

Algernon
Blackwood



**Wendigo
i inne upiory**

C&T

ALGERNON BLACKWOOD

WENDIGO I INNE UPIORY

(BEST GHOST STORIES OF ALGERNON)

Przełożył Lipski Robert



Wydawnictwo: C&T Crime & Thriller 2006

▼ Spis treści ▲

WSTĘP

Wierzby (The Willows)

Sekretny kult (Secret Worship)

Pradawna magia (Ancient Sorceries)

Urok śniegu (The Glamour of the Snow)

Wendigo (The Wendigo)

Drugie Skrzydło (The Other Wing)

Przejęcie (The Transfer)

Z przeszłości (Ancient Lights)

Tajemniczy lokator (The Listener)

Pusty dom (The Empty House)

Współwinny ante factum (Accessory Before the Fact)

Dotrzymana obietnica (Keeping His Promise)

Max Hensig (Max Hensig)

Bibliografia powieści i zbiorów opowiadań ♣ pojedynczych opowiadań

Jest absolutnym i niekwestionowanym mistrzem niesamowitej atmosfery...

H. P. Lovecraft

Życzyłbym sobie, żeby ludzie więcej czytali Blackwooda – on jest jedyny w swoim rodzaju.

Mike Ashley

WSTĘP

Algernon Blackwood (1869–1951) to jeden z wielkich twórców fantastyki niesamowitej (w tym oczywiście „ghost story”), którego utwory, łącznie z dziełem J. Sheridana Le Fanu, Edwarda Bulwera–Lyttona, Arthura Machena i Montague Rhodesa Jamesa, odegrały kluczową rolę w rozwoju literatury grozy w XX wieku.

Le Fanu (1814–1873), do którego najbardziej znanych opowiadań należy „Zielona herbata” (1869, z prekursorskiego cyklu o okultystycznym detektywie, Martinie Hesseliusie – znanym także z *Carmilli*), oswobodził nadprzyrodzoną grozę z banalnych i krwawych gotyckich naleciałości, skupiając większą niż dotąd inni uwagę na grozie nierozdzielnie związanej z psychologią bohaterów. Tego typu psychologiczne niesamowitości stały się w dojrzałszej formie znakiem firmowym Jamesa (*Opowieści starego antykwariusza*, 1904 i 1911). Z kolei autor *Zanoniego* (1803–1873) wprowadził okultystyczną wiedzę (a konkretnie osławiony, pseudonaukowy mesmeryzm) do nowoczesnej literatury grozy, rezygnując z modnej i wszechobecnej alchemii, i praktycznie stworzył tematyczny podgatunek – opowieść o nawiedzonym domu – a to wszystko za sprawą jednego „zaledwie” opowiadania „Duchy i ludzie” z 1859 r. Jego następcą został Arthur Machen (1863–1947), autor powieści i opowiadań niesamowitych, ale też eseista i krytyk literacki (którego wybór najlepszych opowieści grozy poznany w tej serii już niedługo).

Blackwood – pod wieloma względami najoryginalniejszy z nich – debiutował mało odkrywczym opowiadaniem „AMysterious House” (1889), by wkrótce wypracować swe własne podejście do gatunku tak wyjątkowe, że właściwie niepodrabialne. I choć zachęcił wielu do pisania opowieści niesamowitych, tylko nieliczni zbliżyli się do nastroju i sedna jego utworów. A specjalnością autora „Wierzb” była umiejętność wczucia się w tajemne, nadprzyrodzone siły Natury, przenikające przyrodę w

szczególny sposób w zakątkach nieskażonych przemysłowa i niszczycielską działalnością człowieka. Zgodnie z tym przekonaniem ukazywał zwykłych, przeciętnych ludzi, którzy na łonie Natury, ale także w innych okolicznościach, są zdolni do odczuwania jakimś tajemniczym zmysłem owych tajemnych mocy, na co dzień nam niedostępnych:

„Jeśli ktoś widzi ducha, mniej mnie interesuje, czym jest ów duch, niż to, jaki zmysł umożliwia dostrzeżenie go. Innymi słowy: czy posiadamy zdolności, które na skutek nadzwyczajnego bodźca sięgają poza normalny zakres widzenia, słyszenia, odczuwania. Owe zdolności zapewne istnieją naprawdę u niektórych przynajmniej ludzi i czasami manifestują swoją obecność – a to od dawna niezmiernie mnie pasjonowało. Źródłem takich wyjątkowych bodźców może być choroba umysłowa bądź też wstrząs spowodowany nagłym odczuciem wielkiego strachu czy piękna absolutnego, jakiego doznaje szary człowiek. Tylko uparty sceptyk mógłby twierdzić, że takie zjawiska nie mają miejsca w naszym życiu. Teraz moje przekonanie jest o wiele głębsze niż kilkadziesiąt lat temu, kiedy pisałem te opowiadania, bo poznałem szereg takich przypadków, a jest ich o wiele więcej, niż może się komuś wydawać. (...)

Jakże wiele dzieli przeciętnego człowieka, który stał się jasnowidzącym i jasnosłyszącym na skutek porażenia grozą w „Pustym domu”, i innego, z powieści *The Centaur*, który, porażony niesamowitym pięknem, doświadczył przebłysku wyższej prawdy – było mu dane pojąć, że planety to ponadludzkie byty, ale zasada jest identyczna: obaj doznali poszerzenia normalnej świadomości. A owo poszerzenie, jak zakładam, umożliwia coś więcej, niż stworzenie kolejnej typowej «ghost story».* [*Z przedmowy do wyboru opowiadań z 1938 r. (*The Tales of Algernon Blackwood*)]

Groza najlepszych utworów Blackwooda wiąże się z siłami przyrody i otwartymi przestrzeniami. Ten mistyk Natury podróżował przez całe życie, spędzał noce pod gołym niebem w dzikich, nieskażonych zakątkach Stanów i Europy. Jak później wspominał, spał w dziwnych miejscach, wysoko w górach Kaukazu, na brzegach Morza Czarnego, na egipskiej pustyni, na brzegach Dunaju, w Szwarzwaldzie i na Węgrzech, i owe przeżycia stawały się źródłem oczarowań i życiowych, a zwłaszcza literackich inspiracji: „Kiedy materialny świat rozpływał się w cieniach, mgliście odczuwałem ten prawdziwy, duchowy, przenikający na powierzchnię rzeczywistości... W owych snach niemalże dostrzegałem prawdziwą naturę bytu wyzierającą

przez coraz cieńszą zasłonę, jaka skrywa Prawdę; im więcej nad tym rozmyślałem, tym głębiej zapadałem w moją wewnętrzną świadomość, aż w końcu me niesamowite pragnienie poznania prawdziwej natury świata przelewało się w materię otaczającej nocy i pogrążałem się z ulgą we śnie bez snów.”

W stanach głębokiego nawiedzenia przez siły Natury Blackwood odczuwał, jak otaczająca rzeczywistość - a szczególnie jego własne marne, osobiste troski – zmieniają się w pył rozwiewany przez wiatr: „Ludzie, handel, polityka, a nawet losy całych narodów stawały się jeno paradą umykających cieni, podczas gdy widzialny i namacalny świat okazywał się ulotnym, ułomnym odzwierciedleniem świata prawdziwego, na progu którego przez moment stałem.” (...)

„Zjawiska fizyczne – przypomina nam profesor [James Jeans] – mogą być ledwie symbolami Rzeczywistości, która znajduje się pod nimi. Owa Rzeczywistość może stanowić całkowicie odmienny porządek rzeczy od zdarzeń i zjawisk, które ją symbolizują. Może mieć naturę mentalną, duchową (spirytualną). Tak więc nasz Wszechświat zdaje się być naszą starą przyjaciółką Mają, złudzeniem Hindusów. Jest również możliwe, że dziś nawet bardziej niż trzydzieści lat temu Rozumowi nie musi zagrażać możliwość abdykacji, a zbliżenie się fizyki współczesnej do zjawisk parapsychicznych i mistycznych daje do myślenia każdemu, kto zastanawia się nad istotą rzeczy. I jedna, i druga strona prowadzi badania w „świecie cieni”, pośród i za pomocą złudnych symboli Rzeczywistości, która może być pojmowana umysłem czy duchowo, ale tak naprawdę pozostaje nieznaną czy wręcz niepojętą.”* [*Op. cit.]

Blackwood czerpał więc natchnienie ze źródeł niedostępnych wielu autorom, skupionym wyłącznie na człowieku i codziennej rzeczywistości. Potrafił wykraczać poza granice ludzkiego świata i docierać do niedostępnych regionów królestwa Natury. Jego siłą była emocjonalna i duchowa więź z przyrodą, której doświadczał w stopniu nieosiągalnym dla innych pisarzy tego gatunku. Był i pozostaje więc postacią wyjątkową pośród kolegów po piórze, a jego najlepsze utwory zapisują się złotymi literami w historii fantastyki grozy. Krytycy i badacze gatunku cenią zwłaszcza dwa z jego najsłynniejszych opowiadań, „Wierzby” i „Wendigo”, za mistrzowskie oddanie atmosfery niesamowitości, którego dotąd nikomu nie udało się przewyższyć. Wielu zaś twierdzi, że pierwsze z nich jest

wręcz szczytowym osiągnięciem w tej dziedzinie. To szczęście dla nas, czytelników, że Blackwood prowadził takie wędrowne, wręcz awanturnicze życie, i mógł czerpać ze swoich mistycznych, pogańsko–chrześcijańskich doświadczeń na łonie przyrody w tyłu krajach i krainach geograficznych. Bliższe poznanie źródeł inspiracji najważniejszych utworów prezentowanych niniejszym polskiemu czytelnikowi przyczyni się, jak miemam, do ich głębszego odczytania i odczucia. Tym bardziej że jest to w Polsce doświadczenie niemal zupełnie nowe, ponieważ dotąd dane nam było poznać zaledwie dwa opowiadania Blackwooda w polskim przekładzie: „Wyznanie” („The Confession”, 1921) przełożył Tadeusz Adrian Malanowski, w antologii Wojciecha Żukrowskiego *Tchnienie grozy* (Wydawnictwo Poznańskie 1974), a „Rączego Wilka” („Running Wolf, 1920) przełożyła Monika Dutkowska w pierwszym zeszycie *Nie czytać o zmierzchu!* (Iskry 1983).

Algernon Henry Blackwood urodził się w Shooter’s Hill w hrabstwie Kent 14 marca 1869 r. Jego rodzice byli arystokratami – ojciec, sir Arthur Blackwood, wysoki urzędnik Brytyjskiej Poczty, brat lorda Dufferina, matka – wdowa po księciu Manchesteru. Rodzice należeli do jednej ze skrajnie fanatycznych kalwinistycznych sekt, sandemanitów. Wrażliwy marzyciel i indywidualista, młody Blackwood nie mógł oczywiście przyjąć do wiadomości, że jest z góry skazany na potępienie i piekielny ogień. Uczył się w szkole w Szwarzwaldzie, studiował na Uniwersytecie Edynburskim rolnictwo i buntował się przeciwko religii rodziców, zgłębiając wedantę i okultyzm. W tym czasie uznawał się za buddystę i zamiast pasjonować się rolnictwem, uczęszczał na wykłady z patologii, a także doksztalał się w medycynie z psychiatrią włącznie. Uniwersytetu nie ukończył, musiał więc spakować manatki i wyjechać do Kanady, gdzie zgodnie z wolą ojca miał prowadzić farmę. Z początku pracował w ubezpieczeniach i w wolnym czasie dawał lekcje francuskiego i niemieckiego, a także gry na skrzypcach, ale wkrótce został asystentem redaktora naczelnego *Methodist Magazine*, gdzie ukazywały się jego pierwsze opowiadania. Po kilku miesiącach zajął się pracą na farmie, ale podejście i błędy dowiodły niezbitcie, że absolutnie nie nadaje się na biznesmena – i farma mleczna, i mały bar, a także inne inwestycje doprowadziły go wkrótce do utraty całego kapitału i niemalże do bankructwa. Blackwood wyjechał do Nowego Jorku w październiku 1892 r.

i pracował tam jako reporter, ale czekały go głód i nędza. Schorowany i bez pieniędzy żył wśród złodziei, oszustów, sutenerów i narkomanów, cynicznych, wiecznie pijanych reporterów i partyjniaków – niczym bohater kryminalnych historii. Imał się aktorstwa, pozował jako model Charlesowi Danie Gibsonowi * [*Charles Dana Gibson (1867-1944) - słynny amerykański ilustrator tworzący dla modnych magazynów, kreator tzw. dziewczyny Gibsona - czyli wzorca i ideału nowoczesnej amerykańskiej kobiety; właściciel i redaktor naczelny *Life Magazine*.], żeby zdobyć pieniądze na jedzenie (które podstępem mu odebrano, kiedy był ciężko chory), a następnie został niemiłosiernie wykpiiony przez nowojorskie gazety jako arystokrata–nieudacznik. Cudem uniknął śmierci pod kołami pociągu – zemsty za podpalenie. Wkrótce potem – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – wiedza klasyczna Blackwooda olśniła pewnego milionera, który zatrudnił go na stanowisku osobistego sekretarza. Ów nowojorski okres życia opisał Blackwood w książce *Episodes Before Thirty* (1923). Osią tych wspomnień jest przyjaźń z drobnym przestępcą i historia dramatycznego pościgu podczas surowej zimy 1892/1893, który zakończył Blackwood złapaniem i aresztowaniem owego rzezimieszka – do czego został zresztą przymuszony. Ostatecznie powrócił do Londynu w 1899 r. – nie bogatszy, ale mądrzejszy. Intensywnie podróżował – po Europie i Egipcie. W czasie I wojny światowej był tajnym agentem brytyjskiego wywiadu w Szwajcarii.

Jego pierwsza książka to zbiór ghost stories *Empty House* (1906). Nie kto inny jak sam Hilaire Belloc swoją recenzją zachęcił Blackwooda do wydania drugiego zbioru, *The Listener* (1907), w którym znalazło się arcydziełko „Wierzby”. Blackwood wspominał, że bezpośrednią inspiracją do napisania tego opowiadania była wycieczka Dunajem od źródła w Szwarzwaldzie aż do Budapesztu, którą w 1900 r. odbył razem z przyjacielem Wilfredem Wilsonem w kanadyjskim kanu. Na jednej z wysepek niedaleko Bratysławy, gdzie rozłożyli obóz, „wierzby zdawały się ich dusić mimo silnego wiatru”. Podobną wycieczkę odbyli „rok czy dwa lata” później i wtedy na piaszczystym brzegu tejże wysepki(!) ujrzeni rozkładające się zwłoki zaczepione o korzeń drzewa. *John Silence* (1908), cykl pięciu opowiadań o detektywie zjawisk nadprzyrodzonych („Sekretny kult” – tak nazywali uczniowie szkoły w Kónigsfeld w Szwarzwaldzie, gdzie jako chłopiec Blackwood spędził dwa lata, tajne obrządku ku czci

diabła; z kolei wizyta w małym francuskim miasteczku, którego mieszkańcy wyglądem i zachowaniem przypominali koty skupione głównie na własnym, wewnętrznym życiu, zaowocowała opowiadaniem „Pradawna magia”), miał bardzo dobre recenzje i na tyle dobrze się sprzedawał, iż Blackwood zdecydował, że będzie żył z pisania (pracował dotąd w koncernie produkującym mleko w proszku). Zamieszkał w Szwajcarii i nadal wiele podróżował, tylko od czasu do czasu odwiedzając Anglię. W 1911 r. opublikował wizjonerską powieść *The Centaur*. Jego twórczość ceniono na równi z dziełem Jamesa. Ogółem wydał dwanaście zbiorów (sto pięćdziesiąt jeden opowiadań – Michael Ashley w różnych czasopismach doszukał się jeszcze ponad siedemdziesięciu do 1989 r., a także stu trzydziestu szkiców i recenzji), trzynaście powieści, dziewięć książek dla dzieci, dwie sztuki teatralne, autobiografię, współpracował z Edwardem Elgarem nad stworzeniem musicalu *The Starlight Express* na podstawie adaptacji scenicznej powieści *A Prisoner in Fairyland*, przy której pomagała mu Violet Pearn. W latach 30. BBC nadała siedem audycji z jego udziałem – były to oczywiście historie o duchach, które opowiadał na żywo. Podczas II wojny światowej wskutek nalotów stracił wiele dokumentów i maszynopisów, które trzymał w londyńskim mieszkaniu. W ostatnich latach życia fascynował słuchaczy i widzów (program nosił tytuł „Opowieść Sobotniego Wieczoru”) kolejnymi niesamowitymi historiami, zyskując przydomek „The Ghost Man” (Człowiek–Widmo) – tylko ostatni z programów TV został zarejestrowany na taśmie. W 1949 został odznaczony Orderem Komandorskim Imperium Brytyjskiego i Medalem Towarzystwa Telewizyjnego. Można zaryzykować twierdzenie, że mimo wczesnych sukcesów literackich pod koniec życia był zdecydowanie bardziej znany jako osobistość radiowa i telewizyjna. Nigdy się nie ożenił, a jego ogromny urok osobisty i gawędziarski talent zjednały mu masę przyjaciół wśród arystokracji, pisarzy i artystów. Zmarł 10 grudnia 1951 r. na zakrzepicę mózgu i arteriosklerozę.

Jeszcze zanim wyjechał do Kanady w 1890 r., z ramienia Society for Psychical Research badał nawiedzone domy. Związał się także z Towarzystwem Teozoficznym Heleny Bławackiej (działali tu też Yeats, Tomasz Edison i Rudolf Steiner) i w 1899 r. po powrocie do Londynu wstąpił do Hermetycznego Zakonu Złotego Świtu (już po wyrzuceniu Aleistera Crowleya – notabene Blackwood nie interesował się czarną magią

– zajmowały go głównie sprawy ducha i rozszerzania świadomości). Brał udział w gorączce złota 1894 r. Pracował jako reporter dla nowojorskiego *Timesa* (zrobił wywiad z osławioną morderczynią Lizzie Borden i poznał Bramę Stokera, zanim ten napisał *Draculę*). Znał dobrze między innymi: Hilaire’a Belloc’a, Johna Buchana, Arthura Conan Doyle’a, Gilberta Keitha Chestertona, Rudyarda Kiplinga, C. S. Lewisa, Wyndhama Lewisa, H. P. Lovecrafta, Arthura Machena, Rainera Marię Rilkego, May Sinclair, Jamesa Stephensa, Williama Butlera Yeatsa, Herberta George’a Wellsa. Ale – rzecz charakterystyczna – trudno znaleźć o tym. wszystkim jakiegokolwiek wzmianki w biografiiach i pamiętnikach, w czasopiśmie i innych dokumentach. Blackwood nawet na zdjęciach jest trudny do wypatrzenia – zawsze ustawiał się z tyłu, za plecami innych. Poza autobiografią pozostało po nim bardzo niewiele zapisków i dokumentów. Michael Ashley zbierał materiały do biografii Blackwooda ponad dwadzieścia lat (*Starlight Man*, 2001), a mimo to wielu zagadek z jego życia nie udało mu się do dziś rozwikłać. Część dokumentów pozostaje praktycznie niedostępna, ponieważ nie zostały skatalogowane przez amerykańskie uniwersytety. Ashley w wywiadzie dla *zone–sf* pisze:

„W końcu uznałem, że zebrałem dostateczną ilość materiału i że jeśli teraz nie napiszę tej książki, nie napiszę jej już nigdy. Ze zbieraniem danych na temat Blackwooda jest jak z gonitwą za cieniami. To wręcz nieprawdopodobne, jak on zawsze zlewał się z tłem – na fotografiach ukrywał się za plecami innych, a własne badania [dla Society for Psychical Research] «przykrywał» raportami innych ludzi. *Research* był bardzo frustrujący, ale nieuchwytność [Blackwooda] czyni go jeszcze bardziej fascynującym.”

Niezwykle bogate życie. Ale... I tu znów pozwolę sobie zacytować Ashleya:

„Nie usiedział spokojnie ani przez chwilę ani jednego dnia – wciąż pisał, badał, podróżował, uprawiał piesze wycieczki, poznawał nowych ludzi, gromadził wiedzę, czytał i tak dalej. Aczkolwiek zebrałem tak wiele informacji o jego życiu i wyjaśniłem wiele niejasności, sporo zaszłości pozostało tajemnicą. Tajemniczy człowiek – nie rejestrował swoich publikacji, nie robił notatek, nie prowadził dziennika.

Zadawałem sobie pytanie – ile w tym fabrykacji i zmyśleń? A on przecież próbował być przedsiębiorcą, ale ponosił klęskę za klęską. Nawet

sto lat temu image i legenda były przecież ważne. Łatwiej coś sfabrykować, jeśli informacja jest skąpa, może nieprzypadkowo, a to co jest, należy ulepszyć. Nie można wykluczyć, że Blackwood, osiągnąwszy sukces literacki, kultywował image tajemniczego i uduchowionego człowieka.”

Blackwood wierzył, że cywilizacja stępiła stopniowo nasze zmysły i żeby rozszerzyć świadomość i na nowo je wyostrzyć, musimy powrócić do natury. Dlatego podróżował do różnych dzikich zakątków świata. Całym swoim wewnętrznym ja doświadczał jedności z naturą, co później starał się odtworzyć w swej twórczości. Na przykład „Wierzyby”. Nie jest to historia o duchach czy o zjawiskach nadprzyrodzonych w zwykłym tych określeń znaczeniu. To opowieść o „czystej”, pierwotnej naturze, która jest z ludźmi w stanie wojny. Blackwood nienawidził cywilizacji i już sto lat temu głosił idee wyraźnie „zielone”, New Age’owe. Czuł i zdawał sobie z tego sprawę, że miasta niszczą świat i że odzyskać naturalną, wewnętrzną równowagę możemy tylko w jeden sposób: porzucić cywilizację i wrócić do roli „prostego dzikusa”. Wizje niepojętych, czających się wokół nas potęg i ukazanie, do czego są zdolne, powracają w wielu najlepszych opowiadaniach Blackwooda. O tym mówi „Pradawna magia”, a także opowiadanie „Sand”, w którym egipski duch sprzed czterech tysięcy lat przybywa na wezwanie. Umiejętność przekazania czytelnikowi wrażenia nieskończoności, poczucia otchłani czasu, które wyczarowała w umyśle Blackwooda pustynia egipska, jest oszałamiająca. Pustynny piasek unosi się i otwiera się w nim korytarz czasu, którym duch wychodzi prosto na nas. Ten mrozący krew w żyłach obraz, ukazany w zaledwie paru akapitach, pozostaje na długo w pamięci. „Nikommu poza Blackwoodem nie udało się czegoś takiego dokonać. Opis przyprawiającej o zawrót głowy bezdni czasu i demonstracja potęgi sił natury są po prostu wyjątkowe w literaturze fantastycznej.” (Michael Ashley)

Blackwood doszedł do przekonania, że mitologia (interesował się też bardzo kulturą duchową i mitologią indiańską), a zwłaszcza mity greckie, odnoszą się do Gai, ducha Matki Ziemi. Zaczerpnął tę ideę z pism filozoficznych Gustawa Fechnera (1801–1887); tu też okazał się prekursorem – chodzi o Jamesa Lovelocka i jego hipotezę Gai. Blackwood był przekonany, że życie na Ziemi zapoczątkowała obdarzona świadomością siła, że ludzie byli kiedyś bliżej z nią związani, a zwłaszcza ci, których uznawano za bogów. Te poglądy występują najwyraźniej w

dwóch powieściach Blackwooda, które Ashley uważa za najlepsze: *The Centaur* (1911) i *The Bright Messenger* (1921); tematem tej ostatniej jest alternatywna ewolucja – duchowa. W „Wierzbach” pojawia się przesłanie, że nie należy igrać z siłami Natury, która jest zawsze górą. W szeregu utworów Blackwood wyraża zaś pogląd, że im bardziej rozwija się cywilizacja, ignorując siły Natury, tym większe nieszczęścia ściąga na siebie ludzkość. Po I wojnie światowej Blackwood staje się pesymistą – przestaje głosić ideę harmonii z Naturą, ponieważ dochodzi do wniosku, że ludzkość zniszczyła resztki tej harmonii. Ale istnieje inna droga – ścieżka rozwoju ducha. Bohaterem powieści *The Bright Messenger* jest Julius LeVallon, w którego ludzkiej duszy tkwi uwięziony duch Natury. Ów duch postanowił się nie ujawniać, ale jego obecność powoduje wyobcowanie bohatera. Kiedy bohater zakochuje się, dochodzi do konfliktu ducha ludzkiego z duchem Natury. Pod wpływem psychiatry, który się nim opiekuje, LeVallon zaczyna wierzyć, że zdoła wyswobodzić ducha, pojednać go ze sobą i w rezultacie stanie się harmonijną istotą podobną do dawnych bogów – idealnym człowiekiem żyjącym w korelacji z potężnym duchem Natury. Pod koniec powieści, której narratorem jest psychiatra, duch przemawia doń i oświadcza, że ludzkość nie jest jeszcze na to gotowa. Blackwood–pesymista w okresie międzywojennym pisał liczne recenzje i przede wszystkim opowiadania współczesne, zaczął też tworzyć książki dla dzieci; jako idealista, który nie stracił dziecinnej niewinności, uznał, że w ten sposób lepiej przekaże ludziom swoje idee. Odwiedzał licznych przyjaciół i chętnie spędzał czas w towarzystwie dzieci. Wtedy też prowadził mistyczne studia pod kierunkiem Gurdżijewa i Uspienskiego, które nie zaowocowały jednak nowymi opowiadaniem.

W powieści *Dudley and Gilderoy* (1929), która opowiada o przyjaźni kota i papugi, i zaczyna się jak książka dla dzieci, ale wkrótce okazuje się przede wszystkim, mimo żywej fabuły, filozoficzną medytacją o życiu i sprawach duchowych, Blackwood, który jak zwykle starał się ukryć swój pesymizm, pisze na końcu: „Rzeczywiście, mam już dosyć wysiłków, żeby związać się z Ziemią. Będę żyć po prostu tak, jak teraz chcę – zwykłym życiem.”

Na początku tego stulecia, do czego niewątpliwie przyczyniła się biografia Ashleya, można zaobserwować dużą ilość niskonakładowych przedruków print-on-demand zbiorów (które tak naprawdę nigdy nie

cieszyły się dużą popularnością), a nawet pojedynczych opowiadań. Potwierdzają one kultowy status twórczości Blackwooda. Niestety, prawdą jest, że wprawdzie Blackwood po śmierci miał opinię klasyka, ale nie był szeroko czytany, w przeciwieństwie do takich tuzów ze skrajnych biegunów gatunku jak James i Lovecraft, a nawet William Hope Hodgson (1877–1918), którego twórczość przeżywa ostatnio renesans – ukazują się liczne wybory opowiadań, dzieła zebrane, a cykl lekkich opowiadań o Carnackim łowcy duchów, *Carnacki the Ghost-Finder* (1913, rozsz. 1947), jak dotąd okazał się zdecydowanie poczytniejszy od cyklu o Johnie Silence’ie. Ale oto niedawno pojawiło się popularne wydanie – i nareszcie kompletne, bo zawierające sześć opowiadań – zbioru *The Complete John Silence Stones* (Dover 1997). Stale wzrasta też ilość przekładów Blackwooda w Europie i w Japonii.

Na koniec oddaję głos Everrettowi F. Bleilerowi, twórcy niniejszego zestawu opowiadań Blackwooda:

„Jest kilka rzeczy, które Blackwood, w swoich najlepszych utworach, potrafił robić lepiej niż ktokolwiek inny. Potrafił wzbudzić w czytelniku nastrój grozy i skutecznie podtrzymywać wysoki poziom napięcia aż do końca opowieści. Suspens «Wierzb», na przykład, nie ma sobie równych. To opowiadanie było zresztą często kwalifikowane jako najświetniejsza opowieść niesamowita w języku angielskim. Potrafił także podzielić się ze swoimi czytelnikami specyficznym kosmicznym doświadczeniem, a nawet sprawić, że czytelnik jakimś szóstym zmysłem mógł wyczuwać niedostrzegalne normalnie siły i napięcia we Wszechświecie, niepojęte na co dzień wrażenia i niezwykle olśnienie *natura naturans*. W tych dziedzinach miał tylko jednego rywala, Austriaka Gustava Meyrinka, co prawda na innym poziomie. Udawała mu się także fantazy pełna patosu i czułości, pozbawiona sosów ckliwego sentymentalizmu (*Dudley and Gilderoy*).

Były, oczywiście, także niepowodzenia. Pisał, bo musiał, stosownie do stawek za ilość wyrazów, i nie zawsze udawało mu się przemóc naturalną tendencję do wyjaśnienia wszystkiego do końca. (...) W swoich późniejszych utworach starał się być oszczędniejszy, ale opowiadania pisane po I wojnie światowej, w epoce edwardiańskiej, nie trzymają często poziomu tych «rozlewnie wiktoriańskich». Nie wszystkie jego eksperymenty były udane, np. sugerowany supernaturalizm nastroju w

ramach utworów zakrojonych społeczno–psychologicznie, ale zauważalny wysiłek twórczy i tak wzbudza podziw. Czasami werbalny opis nie dorównywał wspaniałości idei, a bywało też, że owe idee okazywały się nieco mętne. Ale, ogólnie rzecz biorąc, żaden pisarz fantastyki grozy nie miał na swoim koncie tylu tak wyśmienitych opowiadań i równie znakomicie nie potrafił opisywać rzeczy niepojętych.

Blackwood wydatnie przyczynił się do rozwoju gatunku opowieści niesamowitej. Rozszerzył znacząco zasięg tematyczny, pokazał, że niezliczone komnaty ludzkiego umysłu aż kipią od dziwnego, ukrytego życia. Wprowadził spory wachlarz dziedzin filozofii, poważnej myśli orientalnej, nowoczesną psychologię i wzbogacił tradycje okultystyczne gatunku; Pokazał, że opowiadanie niesamowite nie musi być opowieścią o zemście ani prymitywnym dramatem, w którym sprawiedliwości staje się zadość, ani historią o manifestacji starego zła, ani też brukową historyjką dla spragnionych krwi czytelników literatury popularnej. W zasadzie można uznać go za spadkobiercę J. Sheridana Le Fanu, największego z wiktoriańskich pisarzy grozy. Dzięki niemu opowieść grozy stała się pełnoprawną, szanowaną dziedziną literatury i nie były to już tylko ociekające hipokryzją gwiazdkowe nowelki ani krwawe łupu–cupu; nabrała ona intelektualnej głębi – skłaniała do myślenia i miała już niejedno do przekazania inteligentnemu czytelnikowi.

Opowiadania w niniejszym zestawie zostały wybrane ze wszystkich zbiorów Blackwooda. I był to trudny wybór, ponieważ dobrego materiału jest o wiele za dużo jak na pojedynczą książkę, a niektóre utwory, nie będąc powieściami, i tak są za długie jak na taki zestaw, który powinien być przekrojem twórczości. I z tego ostatniego powodu pozwoliłem sobie zamieścić tu «Maxa Hensiga», który – chociaż nie można zaliczyć go do fantastyki grozy - jest po prostu bardzo dobrym opowiadaniem. Bazując na doświadczeniach reporterskich Blackwooda w Nowym Jorku, który pisał o przypadku mordercy Carlyle’a Harrisa, pokazuje ono inną stronę twórczości Blackwooda, reprezentowaną niestety przez bardzo nieliczne utwory.

Oto opowiadania, które dowodnie ukazują, dlaczego Blackwooda uważa się za czołowego twórcę brytyjskiej fantastyki grozy XX stulecia.”

Wybrana bibliografia:

Mike Ashley *Algernon Blackwood: A BioBibliography*. Westport: Greenwood Press, 1987, s. xx, 349

Mike Ashley *Starlight Man: The Extraordinary Life of Algernon Blackwood*. London: Constable, 2001, s. xviii, 395; *Algernon Blackwood: An Extraordinary Life*. New York: Carroll & Graf, 2002

Algernon Blackwood „Introduction to the 1938 Edition [of *The Tales of Algernon Blackwood*]”, [w:] Algernon Blackwood, *Best Ghost Stories of Algernon Blackwood*. Selected with an Introduction by E. F. Bleiler. New York: Dover Publications, Inc., 1973, s. xviii, 366

E. F. Bleiler „Introduction to the Dover Edition”, [w:] Algernon Blackwood, *Best Ghost Stories of Algernon Blackwood*. Selected with an Introduction by E. F. Bleiler. New York: Dover Publications, Inc., 1973, s. xviii, 366

S. T. Joshi – „Algernon Blackwood”, [w.] S. T. Joshi, *The Weird Tale: Arthur Machen, Lord Dunsany, Algernon Blackwood, M. R. James, Ambrose Bierce, H. P. Lovecraft*. Austin, TX: University of Texas Press, 1990, s. xii, 292

Marek S. Nowowiejski

Wierzby

(The Willows)

Opuściwszy Wiedeń, i na długo przed dotarciem do Budapesztu, Dunaj dociera do obszaru osobliwie odludnego i przeraźliwie posępnego, gdzie wody tej wielkiej rzeki rozplywają się na boki, nie bacząc na swe główne koryto, cała kraina zaś na przestrzeni wielu mil zmienia się w podmokłe trzęsawiska, porośnięte morzem niskich, przysadzistych wierzb. Na szczegółowych mapach ten opustoszały teren zaznaczony jest kolorem ciemnoniebieskim, który staje się coraz jaśniejszy w miarę oddalania się od brzegów rzeki, zaś w poprzek niego widnieją litery układające się w napis *Siimpfe*, co znaczy moczary albo bagna.

Po dużej powodzi ten rozłożysty obszar piaszczystych łąch, mierzwi i porośniętych wierzbami wysepek, niemal całkiem znika pod wodą, zwykle jednak krzewy i drzewa wystają ponad wodę i kołyszą się, poruszone podmuchami wiatru, wystawiając swe srebrzyste liście na działanie promieni słonecznych, tworząc poruszający się bez przerwy i nieodparcie urzekający pejzaż, pełen zapierającego dech w piersi piękna. Te wierzby nie dorównują swym większym odpowiednikom, choćby wierzdom płaczącym; nie mają pni, są jedynie marnymi krzewami o zaokrąglonych wierzchołkach i łagodnych konturach, kołyszą się na smutnych łodygach w odpowiedzi na najłżejszy nawet podmuch wiatru; giętkie jak trawa, nieustannie falują, sprawiając wrażenie, jakby cała równina poruszała się i żyła. Wiatr bowiem tworzy fale, przetaczające się przez te równiny i nie są to fale wód, lecz fale liści, zielone jak morze, dopóki gałęzie nie uniosą się i nie odwrócą, ukazując ich srebrzystobiałe spody, roziskrzzone w promieniach słońca.

W okolicy tej Dunaj, szczęśliwy, że może wystąpić z brzegów, wędruje przez całą, nader skomplikowaną sieć szerokich kanałów przecinających

kolejne wysepki i wdziera się w nie przy wtórze donośnych odgłosów, wywołuje większe i mniejsze wiry oraz spienione kaskady, rozmywa piaszczyste brzegi, odrywając całe ich fragmenty, wraz z kępami wierzb, a także tworzy niezliczone nowe wyspy, które każdego dnia zmieniają swe kształty i rozmiary, i na których wszelkie życie jest nietrwałe, gdyż przemija z każdą kolejną powodzią.

Innymi słowy, ta fascynująca część rzeczno-życiowa ma swój początek tuż za Pressburgiem, my zaś, w naszym kanadyjskim kanu, zaopatrzonym w cygański namiot i patelnię, dotarliśmy tam w połowie lipca, w przededniu powodzi. Tego ranka, kiedy przed wschodem słońca niebo zaczęło nabiegać czerwienią, przemknęliśmy cichcem przez wciąż jeszcze uśpiony Wiedeń i w kilka godzin później jedynym jego wspomnieniem pozostał słup dymu wznoszący się na tle błękitnych wzgórz Wienerwaldu na horyzoncie; zjedliśmy śniadanie pod Fischeramend, przy kępie wierzb szumiących na wietrze, po czym niesieni silnym prądem minęliśmy Orth, Hamburg, Petronell (stare rzymskie Carnuntum Marka Aureliusza), jak również posępne wyżyny Theben w odnodze Karpat, gdzie po lewej rozciąga się niepozorne Pogranicze i granica między Austrią a Węgrami.

Płynąc z prędkością dwunastu kilometrów na godzinę, dotarliśmy niebawem w głąb terytorium Węgier, a mętne wody – pewna oznaka powodzi, wyrzuciły nas na niejedną mieliznę i zakręciły nami jak korkiem przy wielu niespodziewanych wirach, zanim na tle nieba pojawiły się wieże Pressburga (po węgiersku Poszóny); czółno, jak koń wyścigowy pomknęło z najwyższą prędkością pod szarymi murami, bezpiecznie prześlizgnęło się nad zanurzonym w wodzie łańcuchem promu Fliegende Briicke, skręciło ostro w lewo i rozbryzgując na boki żółtawą pianę, wpłynęło do domeny wysepek, piaszczystych łąk i moczarów – do krainy wierzb.

Zmiana nastąpiła nagle, jakby obrazy z bioskopu, ukazujące ulice miasta zastąpiły nagle inne, przedstawiające lasy i jeziora. Wkroczyliśmy na odludne terytorium i w niecałe pół godziny później w zasięgu wzroku nie mieliśmy już ani jednej łodzi, chaty rybackiej ani jakichkolwiek oznak mogących świadczyć, że obszar ten był zamieszkały. Wrażenie oderwania od cywilizacji, fascynacja tym osobliwym światem wierzb, wiatru i wód w jednej chwili zauroczyło nas obu i w którymś momencie zaczęliśmy przekomarzać się, że właściwie powinniśmy dysponować specjalnymi paszportami zezwalającymi na wejście na ten teren, do tego niewielkiego

azyłu, krainy magii i cudów, królestwa, do którego wstęp mieli jedynie nieliczni uprawnieni i gdzie wszędzie widniały niepisane znaki ostrzegawcze, mające odstraszać intruzów, przeznaczone dla wszystkich dysponujących dostatecznie rozwiniętą wyobraźnią, aby mogli je odkryć.

Choć było dopiero wczesne popołudnie, nie cichnący ani na chwilę, porywisty wiatr potwornie nas wymęczył i zaczęliśmy szukać dla siebie odpowiedniego miejsca na nocleg. Jednakże dziki charakter tutejszych wysepek utrudniał przybicie do nich; szalejąca powódź to kierowała nas ku brzegowi, to znów od niego oddalała; gałęzie wierzb raniły nasze dłonie, gdy chwytałyśmy się ich, by zatrzymać czółno, i sporo piaszczystego brzegu usypało się pod nami, zanim w końcu, za sprawą zmiennego kierunku wiatru udało się nam wreszcie wylądować na jednej z tutejszych wysepek. Leżeliśmy potem na rozgrzanym, złocistym piasku, osłonięci od wiatru, pławiąc się w promieniach słońca, pod bezchmurnym, błękitnym niebem, otoczeni niezliczoną armią tańczących, wydających donośne dźwięki, przysadzistych wierzb, skrzących się od wilgoci i poruszających gałęziami, jakby oklaskiwały nasz sukces.

– Cóż to za rzeka! – powiedziałem do swego towarzysza, mając na myśli całą drogę, którą dotąd przebyliśmy, od jej źródeł w Szwarzwaldzie, oraz te chwile, kiedy z początkiem czerwca musieliśmy przeciągać nasze czółno przez niezliczone mielizny.

– Daj spokój i nic już nie mów, dobra? – mruknął, wyciągając kanu nieco dalej na piasek, a następnie moszcząc sobie poślanie na krótką drzemkę.

Ułożyłem się obok niego, radosny i spokojny pośród szalejących żywiołów – wody, wiatru i piasku, i prażąc się w promieniach słońca zacząłem rozmyślać o długiej podróży, którą mieliśmy za sobą, oraz jak bardzo dopisało mi szczęście, że moim towarzyszem był serdeczny, dobrotliwy Szwed.

Odbyliśmy razem wiele podobnych wypraw, ale Dunaj, bardziej niż jakakolwiek inna znana mi rzeka od samego początku zaimponował nam swą *żywołnością*. Od niewielkiego źródła, skąd wypływał, w sosnowym zagajniku Donaueschingen aż do tego miejsca, gdzie zatracał się pośród odludnych moczarów, nieujarzmiony, niepokonany i nie obserwowany przez nikogo, wydawał się nam jakąś wielką, żyjącą istotą. Zrazu senną, lecz stopniowo ujawniającą swe gwałtowne żądze i pragnienia jawiące się

w głębi jej duszy; przetaczających swe wody niczym gigantyczna, płynna istota przez wszystkie kraje, które przemierzaliśmy, dźwigająca na swych barkach nasze małe czółno; niekiedy traktująca nas surowo, kiedy indziej przyjaźnie i życzliwie, aż w końcu nieodmiennie zaczęliśmy postrzegać ją jako Wielką Istotę.

Jakże mogło być inaczej, skoro opowiadała nam tak wiele o swym sekretnym życiu? Nocami, leżąc w namiocie, słyszeliśmy, jak śpiewa do księżycyca, wydając te osobliwe, świszczące dźwięki, które rzekomo powstają wskutek wyrywania kamieni i ich przetaczania wzdłuż koryta rzeki, przez płynące wartkim nurtem fale. Zналиśmy także głos bulgoczących wirów, owo gulgotanie rozlegające się ni stąd, ni zowąd na spokojnej dotąd powierzchni wody, jak również ryk, z jakim rzeka odrywała całe fragmenty piaszczystego brzegu. A jak donośnie krzyczała, gdy jej powierzchnię siekły strugi ulewnego deszczu! Jak głośno się śmiała, kiedy wiatr wiał w górę rzeki, jakby usiłował powstrzymać jej bieg! Zналиśmy wszystkie jej odgłosy i dźwięki, szумы, szmery i szelesty, ryk, łoskot i buczenie, z jakim przepływała pod mostami, ten dumny jazgot, gdy mijała okoliczne wzgórza, albo afektowaną dostojność mowy, kiedy napotykała na swojej drodze niewielkie miasteczka, nie zasługujące na to, by skwitować je śmiechem, oraz ów słodki, cichy szept, kiedy promienie słońca padały na jedno z jej zakoli, a nad wodą pojawiały się drobne obłoczki pary.

Znała niejedną sztuczkę, poznawała je od wczesnego dzieciństwa, zanim jeszcze ujawniła się światu w całym swym majestacie. W jej górnym biegu, wśród lasów Szwabii, kiedy nie znała jeszcze swego prawdziwego przeznaczenia, istniały miejsca, gdzie jej wody wnikały do dziur w ziemi, by pojawić się ponownie, po drugiej stronie porowatych, wapiennych wzgórz i dać początek innej rzece o innej nazwie, a w jej własnym korycie poziom był wówczas tak niski, że musieliśmy wysiadać z czółna i przenosić je przez ciągnące się na długości wielu mil mielizny.

W tym początkowym okresie swej beztroskiej młodości miała zwyczaj przyczajać się i nie wychylać, dopóki nie zasiliły jej wody z alpejskich, wartkich dopływów, lecz nawet wówczas dopuszczała je do siebie z wielką niechęcią, wyraźnie odgradzone, zróżnicowane pod względem poziomów; wydawać by się mogło, że Dunaj nie chce połączyć się z żadnym dopływem. Jednakże poniżej Passau, Dunaj przestaje stawiać dalszy opór;

tam bowiem łączy z nim grzmiące wody Inn i poziom rzeki gwałtownie zaczyna wzrastać. Koryto rzeki jest tak kręte i płytkie, że fale Dunaju zmieniają się we wzburzoną kipieli, która z trudem przetacza się przez tamtejsze wąskie przesmyki. Gdy przepływaliśmy przez ten odcinek, nasze kanuomal nie zatoneło, ciskane raz po raz ku niebezpiecznym, ostrym skałom. Inn jednak zdołała czegoś nauczyć starą rzekę i za Passau nie próbuje już ona ignorować kolejnych dopływów.

Było to rzecz jasna wiele dni temu, od tego czasu poznaliśmy jeszcze inne aspekty tej wielkiej istoty, która przepływała przez bawarską równinę Straubing, słynącą z uprawy pszenicy, tak leniwie, iż wydawało się nam, że pod naszym czółnem poziom wody wynosił zaledwie kilka cali, głębiej zaś, ukryta jak pod jedwabną chustą przesuwała się cała armia rusalek, wędrujących bezgłośnie i bardzo wolno – by nikt nie zdołał ich dostrzec, ku morzu.

Wiele jej także wybaczyliśmy z uwagi na życzliwość wobec ptaków i zwierząt żyjących na obu jej brzegach. Na płycznach dostrzec można było sylwetki kormoranów, wrony tłoczące się na piaszczystych lachach; bociany zerowały na mieliznach pomiędzy wysepkami, a jastrzębie, łabędzie i rozmaite gatunki ptaków żyjących na moczarach wypełniały powietrze trzepotem i błyskiem skrzydeł oraz wydawanym przez siebie śpiewem i różnorodnymi okrzykami. Nie sposób było złościć się na dziwactwa rzeki, gdy ujrzało się jelenia wskakującego z głośnym pluskiem do wody o wschodzie słońca i przepływającego przed dziobem kanu; często widywaliśmy też młode jelonki przypatrujące się nam z gęstwiny lub spoglądającego nam prosto w oczy byka, stojącego przy mijanym przez nas zakolu rzeki. Na brzegach roilo się także od lisów, hasających zwinnie wśród drzew wyrzuconych na brzeg i znikających tak nagle, że nie sposób było zarejestrować tego wzrokiem.

Teraz wszelako, po opuszczeniu Pressburga, wszystko trochę się zmieniło i Dunaj nabrał większego majestatu oraz powagi. To już nie były przelewki. Znajdowaliśmy się w połowie drogi do Morza Czarnego, tu nieomal czuło się atmosferę innych, obcych krajów i nie było już miejsca na żarty. Rzeka niespodziewanie dorosła i dojrzała, zyskując nasz szacunek, a może nawet respekt. Po pierwsze rozdzielała się na trzy odnogi, które łączyły się ponownie sto kilometrów dalej i nie bardzo wiedzieliśmy, którą

z nich mieliśmy wybrać, a która najbardziej nadawała się dla naszego kanadyjskiego kanu.

– Jeżeli popłyniecie boczną odnogą – rzekł węgierski oficer, którego spotkaliśmy w pressburskim sklepie, gdzie kupowaliśmy prowiant – może okazać się, że gdy poziom wód opadnie, znajdziecie się o czterdzieści mil od najbliższej osady i pomrzecie z głodu. Nie ma tam ludzi, farm ani nawet rybaków. Ostrzegam, abyście porzucili swoje plany. Poziom rzeki też zresztą stale się podnosi i wzmaga się wiatr.

Wzrost poziomu rzeki ani trochę nas nie zaniepokoił, ale perspektywa, że moglibyśmy ugrzęznąć gdzieś na odludziu, na mieliźnie, stanowiła poważny problem, toteż biorąc to pod uwagę, zakupiliśmy więcej prowiantu. Co się tyczy reszty, przepowiednia oficera potwierdziła się: mimo bezchmurnego nieba zerwał się porywisty wiatr zmieniający się z minuty na minutę w prawdziwą wichurę.

Rozbiliśmy obozowisko wcześniej niż zazwyczaj, albowiem słońce jeszcze przez godzinę lub dwie powinno wisieć nad horyzontem, ja zaś, pozostawiwszy mego towarzysza śpiącego na rozgrzanym piasku, udałem się na obchód miejsca, gdzie postanowiliśmy spędzić noc. Wyspa, jak się okazało, mająca niecały akr powierzchni, była nieledwie piaszczystą mielizną wystającą miejscami o dwie lub trzy stopy ponad poziom rzeki. Jej przeciwległy koniec, wymierzony ku zachodowi, zalewany był strugami wodnego pyłu wzbijanego przez wiatr z grzbietów fal. Miała kształt trójkąta, a jej górny wierzchołek skierowany był pod prąd.

Stałem tam przez kilka minut, obserwując rwące, nabiegłe szkarłatem fale przetaczające się nieopodal, przy wtórze ogłuszającego ryku, atakujące brzeg, jakby pragnęły porwać go ze sobą, po czym oddalające się w strugach piany. Ziemia zdawała się drzeć pod wpływem naporu i impetu tych uderzeń, podczas gdy zaciekle falowanie miotanych wiatrem gałęzi wierzb tworzyło osobliwą iluzję, jakby cała wyspa bez przerwy się poruszała. Spoglądając w górę rzeki – widoczność wynosiła około dwóch mil – widziałem sunące w moją stronę, gigantyczne fale, miałem wrażenie, jakbym patrzył w górę na zsuwający się na mnie pagórek, biały od piany i rozkołysany, jak gdyby chciał zaprezentować się w słońcu w całej swej okazałości.

Reszta wyspy była nazbyt gęsto porośnięta wierzbami, aby spacer wśród nich mógł być przyjemny, ale i tak pokreśliłem się przez chwilę

między nimi. Dolny kraniec wyspy rzecz jasna był oświetlony całkiem inaczej, rzeka wyglądała tu posepnie i groźnie. Widać było jedynie grzbiety rwących fal, ozdobione pióropuszcami piany i pchane podmuchami wiatru, który atakował je z siłą huraganu. Rzeka w dolnym biegu, widoczna na dystansie niecałej mili krążyła pomiędzy kolejnymi wysepkami, po czym znikwała pośród wierzb, które zamykały się wokół niej jak stado monstrualnych, przedpotopowych istot zbierających się u wodopoju. Przywodziły mi na myśl gigantyczne, gąbczaste narośla, które wsysały w siebie całą rzekę. Sprawiały, że znikła nam z oczu. Było ich tu doprawdy całe zatrzęsienie.

Choć był to zaiste imponujący widok, gdy tak patrzyłem, długo, z zaciekawieniem, poczułem, że w moim wnętrzu rodzi się zgoła odmienne, osobliwe odczucie. Pośród radości, którą wzbudził w moim sercu widok tego nieokiełznanego piękna natury, pojawiło się nagle niewytłumaczalne, niczym nie usprawiedliwione zaniepokojenie, z wolna przeradzające się w lęk. Może to ten przybierający poziom rzeki; powódź zawsze wydawała mi się czymś złowieszczym; wiele spośród wysepek, które widziałem przed sobą, do rana zapewne przestanie istnieć, zostaną zmyte przez wartki nurt Dunaju, grzmiące fale, których widok przepełniał mnie coraz większą trwogą. Mimo to wiedziałem, że trawiący mnie niepokój wynikał z czegoś więcej, niż tylko głębokiego zdumienia i lęku wywołanego widokiem działania rozszalałych żywiołów. To, co czułem, pochodziło z całkiem innego źródła. Nie miało też bezpośredniego związku z mocą porywistego wichru; ów ryczący huragan był w stanie z łatwością powyrywać wszystkie wierzby rosnące na tej wyspie i rozrzucić je na cztery strony świata. Wiatr po prostu dobrze się bawił, na płaskim terenie bowiem nic nie próbowało go powstrzymać, ja zaś byłem świadom gry, którą miałem okazję zaobserwować i robiłem to z niekłamanym zadowoleniem. Tyle tylko, że dręczące mnie odczucie nie było w żaden sposób związane z wiatrem. Szczerze mówiąc, było ono na tyle niejasne i mgliste, że nie potrafiłem dotrzeć do jego źródła i uporać się z nim, lecz zdawałem sobie sprawę, że miało ono coś wspólnego z przepełniającym mnie głębokim przekonaniem, iż w obliczu tej niespodziewanej mocy żywiołów szalejących dookoła znaczymy tyle co nic. Miała z tym jakiś związek ta wezbrana rzeka – coś powiedziało mi, że jesteśmy zabawkami owych wielkich, elementarnych mocy, wobec potęgi których każdego dnia i nocy byliśmy całkowicie

bezradni. Tutaj bowiem ta gra żywiołów toczyła się na całego, a widok, jaki miałem przed sobą, jak nigdy dotąd przemawiał do wyobraźni.

Moje emocje, o ile byłem to w stanie pojąć, związane były w szczególny sposób z wierzbami, krzewami porastającymi ogromną połąć wysepki, rosnącymi gęsto jeden przy drugim, jak okiem sięgnąć, zdającymi się napierać na rzekę, jakby chciały ją zdławić, ciągnąc się całymi milami po obu stronach Dunaju i na ostrowach wyłaniających się z jego nurtu, obserwującymi, czekającymi, nasłuchującymi. Wierzby zdawały się wzbudzać we mnie niepokój także z uwagi na ich niewiarygodną ilość oraz wywoływane wrażenie, iż stanowią przyczółek nowej, potężnej siły, siły, która nie była nastawiona wobec nas przyjaźnie. Rzecz jasna wszelkie objawienia Natury zawsze wywierają na nas taki czy inny wpływ, a przyznać muszę, że tego rodzaju doznania nie były mi obce. Góry budzą respekt, oceany przerażenie, a sekrety wielkich lasów jeszcze inne, o wiele bardziej osobliwe odczucia. Wszystkie one jednak w ten lub inny sposób łączą się gdzieś z ludzkim życiem i ludzkimi doświadczeniami. Budzą ukryte, częstokroć niepokojące emocje. Zwykle są one mocno przesadzone.

Jednak w przypadku tego mrowia wierzb sprawy przedstawiały się całkiem inaczej. Emanowała z nich jakaś dziwna, chwytająca za serce aura. Uśpiona trwoga obudziła się, i co więcej, była ona podszyta prawdziwą zgrozą. Te brązowe szeregi tworzące mroczne kordony wokół mnie, w miarę jak gęstniały zalegające wśród nich cienie, poruszające się zaciekle, lecz miękko na wietrze, przepełniły mnie osobliwym, niemiłym przekonaniem, że byliśmy intruzami, wkraczającymi na pogranicze obcego świata, świata gdzie uważano nas za niepożądanych, niechcianych gości i gdzie być może groziło nam również śmiertelne niebezpieczeństwo! Odczucie to, choć wymykało się racjonalnemu wytłumaczeniu, wtedy nie niepokoiło mnie jeszcze na tyle, abym zaczął się nim przejmować. Jednakże wciąż było blisko, pozostawało przy mnie nawet przy tak prozaicznej czynności, jaką było rozbicie namiotu przy huraganowym wietrze i przygotowanie ogniska, aby móc ugotować gulasz. Wrażenie to nie dawało mi spokoju, dręczyło i świdrowało, odbierając tej wysepce znaczną część jej uroku. Nie wspomniałem jednak o tym mojemu towarzyszowi, który był człowiekiem bez wyobraźni. Po pierwsze, nie byłbym w stanie wyjaśnić mu, o co mi chodziło, a po drugie, nawet gdybym to zrobił, i tak zostałbym wyśmiany.

Pośrodku wyspy znajdowała się płytka niecka i tam właśnie rozbiliśmy namiot. Rosnące dokoła wierzbę złagodziły nieco działanie wiatru.

– Marne to obozowisko – zauważył niezłomny Szwed, kiedy wreszcie namiot został rozbity – żadnych kamieni, a i opału niewiele. Jestem za tym, abyśmy wyruszyli w dalszą drogę, z samego rana. Co ty na to? W tym piasku nic się nie utrzyma.

Doświadczenie z namiotem walącym się nam w środku nocy na głowy i nauczyło nas wielu sztuczek i ostatecznie rozbiliśmy nasz cygański namiot najlepiej, jak potrafiliśmy, po czym zajęliśmy się zbieraniem opału, aby starczyło go do wieczora. Krzewy wierzb nie gubiły gałęzi i nasz jedyny zapas drewna pochodził z tego, co rzeka wyrzuciła na brzeg. Przetrzęsaliśmy całą wyspę bardzo skrupulatnie. Brzegi ze wszystkich stron kruszyły się pod wpływem atakujących je, wzburzonych fal; rzeka odrywała je i unosiła z sobą.

– Ta wysepka jest o wiele mniejsza, niż kiedy do niej przybiliśmy – orzekł jak zwykle dokładny Szwed. – W tym tempie długo nie wytrzyma. Lepiej przeciągnijmy nasze kanu bliżej namiotu i bądźmy gotowi odpłynąć stąd praktycznie w każdej chwili. Jeżeli o mnie chodzi, zamierzam spać w ubraniu.

Ruszył przed siebie, przeszedł po zboczu i w pewnej chwili usłyszałem jego jowialny śmiech.

– Na Jowisza! – zawołał, ja zaś odwróciłem się, by ujrzeć, co było powodem tak gwałtownej reakcji. On jednak stał wśród wierzb i przez chwilę w ogóle go nie widziałem.

– Co to jest, u licha? – znów usłyszałem jego głos i tym razem pobrzmiwała w nim nuta powagi.

Podbiegłem do niego czym prędzej. Wpatrywał się w rzekę i wskazywał na coś, co znajdowało się w wodzie.

– Na miły Bóg, toż to chyba trup! – zawołał z ożywieniem. – Spójrz!

Coś czarnego, co obracało się bez przerwy wśród spienionych fal, przepłynęło szybko obok wyspy. To zniknęło, to znów wyłaniało się z wody. Znajdowało się o jakieś dwadzieścia stóp od brzegu, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie staliśmy, i patrzyło na nas. Ujrzyliśmy błysk promieni zachodzącego słońca odbijających się w oczach tego czegoś; oczy miały dziwną, żółtawą barwę. W chwilę potem ciało znów obróciło się na falach i skryło się w nich, w okamgnieniu pogrążając się w głębinie.

– Na Boga, to przecież wydra! – zawołaliśmy obaj ze śmiechem.

To *była* wydra, żywa i najwyraźniej właśnie polowała; niemniej jednak z daleka wyglądała jak zwłoki topielca obracane przez rwące fale. Niebawem zwierzę znów się pojawiło, a gdy wyłoniło się z głębin, ujrzeliśmy jego czarną skórę, wilgotną i błyszczącą w promieniach słońca.

Kiedy wracaliśmy do obozu, z naręczami drewna na opał, wydarzyło się coś jeszcze, co ponownie przyciągnęło nas na piaszczysty brzeg. Tym razem rzeczywiście ujrzeliśmy mężczyznę, płynął czółnem. Nieduża łódka stanowiła na Dunaju zgoła pospolity widok, lecz na tym odludziu, w porze powodzi było to coś tak niespodziewanego, że potraktowaliśmy to jak naprawdę wielkie wydarzenie. Staliśmy więc i patrzyliśmy w milczeniu.

Czy to za sprawą padających pod kątem promieni słońca, czy ich refleksów odbitych od powierzchni rzeki, ale nie byłem w stanie należycie skupić wzroku na przepływającej opodal postaci. Wydawało mi się, że był to mężczyzna, stojący sztywno na czymś, co przypominało płaskodenną łódkę, sterowaną za pomocą długiego wiosła i płynący prądem z dużą prędkością, wzdłuż przeciwnego brzegu. Patrzył on w naszą stronę, ale z uwagi na sporą odległość i oślepiające promienie słońca nie byliśmy w stanie zorientować się co właściwie mówił i robił. Wydawało mi się, że coś do nas woła i próbuje wykonywać rękoma jakieś gesty. Jego głos dochodził do nas przez wodę mocno zniekształcony, za sprawą porywistego, zawodzącego wiatru. Muszę przyznać, że w całym tym zdarzeniu – nagłym pojawieniu się nieznanego mężczyzny w czółnie, jego rozpaczliwym wołaniu i gestach było coś przesadnego i niepokojącego.

– On się żegna! – zawołałem. – Czyni znak krzyża! Zobacz, znów się przeżegna!

– Chyba tak – przyznał Szwed, osłaniając oczy dłonią i odprowadzając mężczyznę wzrokiem. Po chwili już go nie było, rozpłynął się wśród morza wierzb, przy zakolu rzeki, gdzie promienie słońca zmieniały gąszcz krzewów w wielką, szkarłatną ścianę precudnej urody. Pojawiła się także mgła i powietrze zatraciło swą zwyczajową przejrzystość.

– Ale co on, u licha, robi o zmierzchu na wezbranej rzece? – spytałem z głupia fant. – Dokąd płynie o tej porze i co miały znaczyć te jego gesty i wołania? Czy twoim zdaniem starał się ostrzec nas przed czymś?

– Zauważył dym z ogniska i wziął nas za duchy – zaśmiał się mój towarzysz. – Ci Węgrzy wierzą w rozmaite banialuki; pamiętasz tę

sklepiarkę z Pressburga ostrzegającą nas, żebyśmy nie przybijali do żadnej z tych wyseppek, ponieważ należą one rzekomo do istot z innego świata? Przypuszczam, że ci prości ludzie wierzą we wróżki, wilkołaki i w demony zapewne też. Wieśniak płynący łódką po raz pierwszy w życiu musiał zobaczyć ludzi na jednej z tych wysp – dodał po krótkiej przerwie – i śmiertelnie go to przeraziło.

Szwed mówił bez większego przekonania, a w jego zachowaniu brakowało czegoś nieodłącznego. Zauważyłem tę zmianę, gdy tylko się odezwał, choć nie potrafiłem sprecyzować swej obserwacji.

– Gdyby mieli dość wyobraźni – zaśmiałem się w głos; pamiętam, że próbowałem mówić *najgłośniej*, jak potrafię – mogliby zaludnić to miejsce panteonem starych bóstw; Rzymianie musieli założyć w tych okolicach całe mnóstwo kapliczek i świętych gajów poświęconych bóstwom żywiołów.

Na tym zakończyliśmy ten temat i zabraliśmy się za przyrządzanie gulaszu, gdyż mój towarzysz był z natury małomówny. W gruncie rzeczy cieszyłem się, że nie odznaczał się bujną wyobraźnią, jego solidna, konkretna, praktyczna natura wydała mi się teraz wyjątkowo potrzebna i pocieszająca. Na tym człowieku można było polegać, potrafił pokonywać najbardziej strome kaskady jak urodzony Indianin, przepływać pod niskimi mostami i omijać groźne wiry jak żaden inny znany mi biały. Był urodzonym kompanem na niebezpieczną wyprawę, prawdziwą ostoją siły i rozsądku w razie wystąpienia nieprzewidzianych zdarzeń. Spojrzałem na jego silne oblicze i jasne, kręcone włosy, gdy tak szedł obok mnie, uginając się pod naręczem drewna (niósł dwa razy tyle co ja!) i aż odetchnąłem z ulgą. Tak, z całą pewnością cieszyłem się, że Szwed był taki, jaki był, a jego słowa nigdy nie zawierały dwuznacznych podtekstów. Szwed zawsze mówił to, co myślał, i nic poza tym.

– Poziom rzeki wciąż się podnosi – dodał jakby pogrążony w myślach, z głośnym sapnięciem upuszczając niesione drewno na opał. – Jak tak dalej pójdzie, za dwa dni ta wyspa znajdzie się całkiem pod wodą.

– Chciałbym, żeby ten wiatr ustał – powiedziałem. – Rzeka mnie nie martwi.

Powodzią faktycznie się nie przejmowaliśmy, mogliśmy wynieść się stąd w dziesięć minut, a im więcej wody, tym lepiej. Oznaczało to szybszy i silniejszy prąd, pozwalający na uniknięcie bliższego kontaktu ze

zdradzieckimi mieliznami, które po wielokroć groziły rozdarciem dna naszego czółna.

Wbrew naszym oczekiwaniom wiatr nie ucichł z nadejściem zmierzchu. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej przybrał na sile, zawodząc jak potępione dusze i kołysząc wierzbami wokoło, jak źdźbłami traw. Towarzyszyły temu od czasu do czasu odgłosy przywodzące na myśl huk dział przepełniające wyspę i rzekę wrażeniem niezmaconej, zagadkowej mocy. Kojarzyły się one z dźwiękami, jakie musiała wydawać nasza planeta i jakie słyszelibyśmy, przepływając obok niej w kosmosie.

Dobrze, że niebo było bezchmurne i niebawem po jego wschodniej stronie pojawił się księżyc w pełni, łagodny blask spowił rzekę i równinę pełną wierzb srebrzystą poświatą.

Leżeliśmy na piasku przy ognisku, paląc, wsłuchując się w odgłosy nocy i rozmawiając o podróży, którą mieliśmy za sobą, oraz o tym, co nas jeszcze czekało. Mapa leżała rozłożona u wejścia do namiotu, ale z uwagi na silny wiatr trudno ją było studiować i koniec końców opuściliśmy płachtę przy wejściu i zgasiliśmy latarnię. Palić mogliśmy przy samym świetle ogniska, widzieliśmy się wyraźnie nawzajem, a w górze nad nami jak fajerwerki unosiły się snopy iskier. Kilka jardów dalej rzeka syczała i bulgotała, czasem słychać też było głuchy łoskot i plusk kolejnego fragmentu brzegu oderwanego przez rwącą rzekę i wpadającego do wody.

Zwróciłem uwagę, że rozmawialiśmy głównie o odległych miejscach i wydarzeniach z naszego wcześniejszego pobytu w Szwarzwaldzie, lub podejmowaliśmy tematy nie związane z naszym obecnym położeniem, o teraźniejszości mówiliśmy tyle tylko, ile było konieczne, zupełnie jakbyśmy za sprawą umowy postanowili unikać dysputy dotyczącej tej wysepki i tego, co się z nią wiązało. Nie wspomnieliśmy ani słowem o wydrze ani mężczyźnie w łódce, choć zwykle takie tematy zajmowały nam większą część wieczoru. Wszędzie, tylko nie tutaj.

Niedostatek drewna na opał sprawił, że koniecznością było jak najdłuższe podsycanie ognia, wiatr bowiem, który owiewał nam dymem twarze, gdziekolwiek siedzieliśmy, równocześnie zapewniał silny z konieczności przeciąg. Na zmianę wyruszaliśmy w mrok, po drewno do ogniska, a ilości, jakie przynosił Szwed, zawsze sprawiały, że czułem się, jakbym na znalezienie swojej porcji zmitrężył zbyt wiele czasu, bo choć nie lękałem się samotności, odnosiłem wrażenie, że oto znów przyszła kolej na

mnie i musiałem wędrować między krzewami lub brnąć po śliskich, piaszczystych brzegach skąpanych w świetle księżyca. Długa, całodzienna bitwa z wichurą i wodą – ale jakąż wichurą i jaką wodą! – wyczerpała nas obu i postanowiliśmy ułożyć się wcześniej na spoczynek. Żaden z nas jednak nie skierował się do namiotu. Leżeliśmy przy ognisku, dokładając do ognia, gawędząc o tym i owym, zerkając na otaczające nas krzewy wierzb i wsłuchując się w grzmiące odgłosy wiatru i rzeki. To odludne miejsce zaczynało dawać nam się we znaki, cisza zaś, która zrazu wydawała się zwyczajna, sprawiała, że zakłócające ją rozmowy po pewnym czasie brzmiały sztucznie i podejrzanie; czułem, że w tym zakątku świata, gdzie dominowały odgłosy żywiołów, bardziej adekwatną formą porozumiewania się był szept, a głos ludzki jako taki wydawał się całkiem nie na miejscu. Mógłbym to porównać z głośną rozmową w kościele albo w jakimś innym miejscu, gdzie były one niedozwolone, a może wręcz niebezpieczne, zwłaszcza gdyby usłyszał je ktoś lub coś, co było do nas wrogo nastawione.

Śmiem twierdzić, że osobliwości tej samotnej, odludnej wysepki otoczonej milionem wierzb, nawiedzanej przez huraganowe wiatry i zalewanej falami wezbranej rzeki dotknęły głęboko nas obu. Nie stanęła dotąd na niej ludzka stopa, a mimo to wyspa ta była tu, skąpana w blasku księżyca, niepodatna na działania człowieka, leżała na pograniczu między światami, na granicy łączącej nasz świat z innym, obcym, zamieszkałym jedynie przez wierzbę i ich dusze.

I oto my, pochopnie ośmieliliśmy się najechać ten świat i wykorzystać go dla swoich celów! Coś więcej aniżeli moc jej tajemnicy przepełniła mą duszę, gdy tak leżałem na piasku, zwrócony stopami w stronę ogniska i pomiędzy liśćmi spoglądałem w gwiazdy. Wstałem, by po raz ostatni przynieść opał do ogniska.

– Kiedy się wypali – rzuciłem stanowczo – idę do namiotu.

Mój towarzysz obserwował mnie leniwie, jak znikalem wśród głębokich cieni. Jak na człowieka bez wyobraźni, za jakiego go uważałem, tej nocy wydawał się wyjątkowo wyczulony, niezwykle wrażliwy, otwarty na wrażenia inne niż te, których dostarczają nam nasze zmysły. Jego także dotknął urok i dojmująca samotność tego odludnego miejsca. Pamiętam, że nie byłem zbytnio zadowolony, dostrzegając w nim tę drobną zmianę, i zamiast zabrać się od razu za zbieranie patyków, udałem się na odległy

cypel wysepki, gdzie z uwagi na silniejszy blask księżyca i prąd rzeczny miałem większe szanse znaleźć to, czego szukałem. Nagle zapragnąłem być sam, znów ogarnęło mnie to dziwne, niewytłumaczalne uczucie, które pragnąłem zidentyfikować i zgłębić.

Kiedy dotarłem na piaszczysty cypel sterczący wśród fal, czar tego miejsca prawie wywołał u mnie szok. Byle pejzaż nie byłby w stanie wzbudzić we mnie równie silnych emocji. Tu w grę wchodziło coś więcej, coś niepokojącego.

Powiodłem wzrokiem po wzburzonych falach; patrzyłem na szepczące wierzby; usłyszałem nie cichnące ani na chwilę zawodzenie wiatru i wszystko to razem i z osobna przepełniło mnie bliżej nie sprecyzowanym lękiem. Przede wszystkim *wierzby*, one bowiem bez przerwy paplały i plotkowały między sobą, niekiedy wybuchały śmiechem lub piskliwym wrzaskiem, kiedy indziej wzdychały donośnie i głęboko; to wszakże co robiły, przynależało do sekretnego życia tej ogromnej równiny, którą zamieszkiwały. A była ona całkowicie obca w porównaniu ze światem, jaki znałem, w którym funkcjonowały rozszalałe, lecz ogólnie dobrotliwe żywioły. Przywodziły mi na myśl gromadę istot z innego planu istnienia, wywodzących się z całkiem innej gałęzi ewolucyjnej, rozprawiających o sekretach znanych jedynie im. Patrzyłem, jak poruszają się nieustannie, kołyszą dziwacznie tymi wielkimi, zdrewniałymi czerepami i wymachują liśćmi, nawet gdy nie było wiatru. Poruszały się same, jakby były żywe, a ich widok wzbudzał we mnie jakieś *przerazające* skojarzenia i mroził krew w żyłach.

Stały tam, w blasku księżyca, niczym olbrzymia armia otaczająca nasze obozowisko, potrząsając zuchwale srebrzystymi włóczniami i szykując się do ataku.

Psychologia miejsc, przynajmniej jeżeli chodzi o osoby odznaczające się bujną wyobraźnią, bywa bardzo żywa i wyrazista; zwłaszcza w przypadku wędrowców; są oni w stanie na podstawie obserwacji danej okolicy stwierdzić, czy są w niej mile widziani, czy raczej uważa się ich za intruzów. Z początku nie jest to aż tak oczywiste, z uwagi na takie absorbujące czynności jak rozbicie namiotu czy przygotowanie posiłku, ale już w pierwszej wolnej chwili – zazwyczaj po kolacji – staje się to na tyle wyraźne, że można zauważyć pewne charakterystyczne oznaki. W przypadku obecnego obozowiska jedno było dla mnie oczywiste – byliśmy

intruzami, przebywaliśmy na tym terenie bezprawnie, nie chciano nas tutaj. Gdy tak stałem i patrzyłem, poczułem otaczającą mnie aurę niepoohamowanej wrogości. Znaleźliśmy się na granicy obszaru, gdzie nasza obecność była niepożądana. Jeżeli chodziło tylko o jeden nocleg, może popatrzone by na naszą obecność przez palce, ale gdyby nasz pobyt miał się przedłużyć... Nie! Na wszystkie bóstwa lasów i dzikich ostępów, nie! Byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy kiedykolwiek wylądowali na tej wysepce, i nasza obecność uznana została za niepożądaną. *Wierzby były przeciwko nam.*

Takie właśnie dziwaczne myśli i osobliwe fantazje, zrodzone nie wiadomo skąd, wypełniły mój umysł, kiedy stałem na cyplu, nasłuchując. Co by było - zastanawiałem się – gdyby się okazało, że te wszystkie wierzby wokoło są tak naprawdę żywe, gdyby nagle poderwały się jak rój żywych istot, podległych bóstwom, których terytorium naruszyliśmy, i ruszyły ku nam od najodleglejszych moczarów i trzęsawisk, w mroku nocy, a potem opadły na tę wyspę!

Gdy tak na nie patrzyłem, nietrudno mi było wyobrazić sobie, że faktycznie się poruszały, to podkładały się bliżej, to nieznacznie się wycofywały, zbite w zwartą masę, wrogie, czekające na silniejszy podmuch wiatru, który w końcu pchnie je do działania. Mógłbym przysiąc, że ich wygląd i położenie nieznacznie się zmieniły, szeregi wydawały się bardziej zwarte i liczniejsze.

Gdzieś w górze rozległ się melancholijny, piskliwy krzyk nocnego ptaka, a ja nagle niemal straciłem równowagę, gdy fragment nasypu, na którym stałem, naruszony przez rzekę zarwał się i z pluskiem wpadł do wody. Cofnąłem się w ostatniej chwili i ruszyłem na dalsze poszukiwanie opału, w duchu śmiejąc się z siebie i osobliwych rojeń, które przepęłniły mój umysł i owładnęły nim jak za sprawą silnego czaru. Przypomniałem sobie uwagę Szweda o tym, że zaraz z samego rana ruszymy w dalszą drogę – nawiasem mówiąc, w pełni się z nim pod tym względem zgadzałem – i nagle odwróciłem się gwałtownie, by ujrzeć mego towarzysza stojącego tuż przede mną. Był naprawdę blisko. Ryk żywiołów zagłuszył odgłos jego kroków.

– Długo cię nie było – zawołał, przekrzykując jęk wichury. – Pomyślałem, że coś ci się stało.

Jednak coś w tonie jego głosu, oczach i wyrazie twarzy przemówiło do mnie w sposób o wiele bardziej wyrazisty aniżeli wypowiedane przezeń słowa i w jednej chwili zdałem sobie sprawę, co było prawdziwym powodem jego nagłego przybycia. Najwyraźniej czar tego miejsca dotknął także jego duszę i Szwed uznał, że nie chce zostać w obozowisku sam.

– Rzeka wciąż się podnosi – zawołał, wskazując wezbrany nurt w blasku księżyca – a wiatr jest po prostu straszny.

Zawsze mówił to samo, ale to zawarta w tonie głosu tęsknota za towarzystwem przydała wagi jego słowom.

– Na szczęście – odkrzyknąłem – nasz namiot znajduje się w zagłębieniu terenu. Myślę, że powinien wytrzymać. – Dorzuciłem coś o kłopotach ze znalezieniem drewna na opał, gwoli usprawiedliwienia mojej nieobecności, ale wiatr zagłuszył moje słowa, zanosząc je na drugi brzeg rzeki, tak więc Szwed nie mógł ich usłyszeć i tylko spojrzął na mnie spomiędzy gałęzi, kiwając lekko głową.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli uda się nam wydostać stąd cało! – zawołał. I pamiętam, że byłem na niego wściekły, iż ubrał myśli, będące także moimi, w słowa. Zbliżało się coś złego, szykowała się jakaś straszliwa katastrofa, nie po raz pierwszy miałem tego rodzaju przeczucia.

Wróciliśmy do ogniska i dorwaliśmy ostatnią porcję chrustu, aby lepiej się rozpałiło. Posiedzieliśmy na zmianę przy ogniu. Gdyby nie wiatr, upał byłby nie do zniesienia. Powiedziałem o tym na głos i pamiętam odpowiedź przyjaciela, mówiącego, że „wolałby raczej lipcowy upał niż ten diabelski wichur”. Przyszykowaliśmy wszystko na noc – czołno odwrócone do góry dnem położyliśmy obok namiotu, pod kanu włożyliśmy dwa żółte wiosła, worek z prowiantem zawiesiliśmy na jednej z wierzb, a pomyte naczynia umieściliśmy z dala od ogniska, by móc z nich skorzystać rano, przy śniadaniu.

Zgasiliśmy ognisko, przysypując żar i popioły piaskiem, po czym wpełzliśmy do namiotu. Płachta przy wejściu była uniesiona i wyglądając na zewnątrz, widziałem gałęzie wierzb, gwiazdy i srebrzysty blask księżyca. Falujące wierzby i silne podmuchy wiatru atakujące nasze małe schronienie były ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, nim ogarnął mnie sen, przynosząc ze sobą aksamitny, miękki mrok zapomnienia.

Nagle się obudziłem i ze swego posłania na piasku spojrziałem w kierunku wejścia do namiotu. Zerknąłem na zegarek przypięty do płótna i w

świetle księżycyca zauważyłem, że było już po dwunastej, nastał nowy dzień – zatem musiałem przespać kilka godzin. Szwed wciąż spał obok mnie, wiatr zawodził tak jak wcześniej, poczułem dziwny ucisk pod sercem i narastający niepokój. Czułem, że w pobliżu działo się coś niedobrego.

Usiadłem gwałtownie i rozejrzałem się dokoła. Drzewa kołysały się jak szalone pod wpływem podmuchów wiatru, ale nasz niewielki, płócienny namiot znajdował się w bezpiecznym zagłębieniu terenu i wichura nie czyniła mu żadnej szkody. Niepokój jednak nie minął, wyczołgałem się więc cicho z namiotu, aby nie obudzić mego towarzysza. Ogarnęła mnie dziwna ekscytacja.

Przemieszczając się na czworakach, wypełzłem do połowy z namiotu, gdy wzrok mój padł na wierzchołki krzewów naprzeciwko i ich falujące liście układające się w powietrzu w osobliwe kształty. Przykucnąłem i patrzyłem z uwagą. To było bez wątpienia niewiarygodne, ale dokładnie naprzeciw i nieco powyżej mnie wśród wierzb widać było nieokreślone kształty, gałęzie zaś kołyszące się na wietrze zdawały się łączyć, otaczając owe kształty, tworząc osobliwe, przeraźliwe sylwetki zmieniające się w okamgnieniu w blasku księżycyca. Ujrzałem te przedziwne istoty zaledwie o pięćdziesiąt stóp przede mną.

W pierwszej chwili miałem ochotę obudzić mego towarzysza, aby on również je zobaczył, ale coś sprawiło, że się zawahałem, uświadomiłem sobie, że nie chcę, by ktokolwiek potwierdził moje spostrzeżenia, i siedziałem tak, w całkowitym bezruchu, patrząc przed siebie oczyma pełnymi zdumienia i dezorientacji. Nie spałem. Pamiętam, że powiedziałem sobie, iż to *nie* sen.

Te olbrzymie postacie stały się nagle bardzo wyraźnie widoczne, ponad wierzchołkami wierzb – ogromne, o barwie spizu, poruszające się całkiem niezależnie, w inny sposób niż gałęzie krzewów. Ujrzałem je wyraźnie, i teraz, gdy przyglądałem się im z nieco większym opanowaniem, stwierdziłem, że były o wiele większe od ludzi, a coś w ich wyglądzie świadczyło, że nie są to istoty ludzkie. Z całą pewnością nie było to złudzenie wywołane przez kołyszące się gałęzie wierzb, skąpane w blasku księżycyca. Poruszały się niezależnie, w całkiem innym tempie. Unosiły się w górę, nieprzerwaną strugą, od ziemi ku niebu i znikwały zupełnie, zlewając się z czernią nieboskłonu. Łączyły się i mieszały ze sobą wzajemnie, tworząc jedną wielką kolumnę, ja zaś ujrzałem, że ich kończyny i ciała

stapiały się i wypływały z siebie nawzajem, tworząc wężowy wir, który kołysał się i falował spiralnie jak wierzchołki targanych wichurą drzew. Te płynne kształty były nagie, mijały krzewy, przepływając nad nimi tak nisko, że nieomal dotykały ich liści, by wzbić się żywą, wirującą strugą w niebiosa. Nie widziałem ich twarzy. Istoty te bez przerwy unosiły się ku górze, kołysząc się majestatycznie; ich skóra mieniła się barwą spizu.

Patrzyłem, usiłując odegnąć od siebie tę wizję. Przez dłuższą chwilę byłem przekonany, że te stwory lada moment znikną. Muszą zniknąć, rozpluwając się w falowaniu gałęzi, okazując się jedynie zwykłym złudzeniem optycznym. Poszukiwałem jakichś dowodów na ich prawdziwość, choć przez cały czas, w głębi duszy przeczuwałem, że znane mi standardy rzeczywistości uległy przewartościowaniu. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej byłem pewien, że te postacie były prawdziwe i żywe, choć być może nie w znaczeniu rozumianym przez biologów i pozwalającym na ich sfotografowanie.

Nie czułem lęku, a raczej nieznanne mi dotąd zdumienie i ożywienie. Miałem wrażenie, że patrzę na personifikację mocy żywiołów obecnych w tej nawiedzonej, pierwotnej okolicy. Nasze przybycie uaktywniło działające w tym miejscu potęgi. To my wywołaliśmy te zakłócenia, a w moim umyśle jęły pojawiać się dziesiątki historii i legend o duchach i bóstwach znanych i czczonych od zarania dziejów do dziś w różnych zakątkach świata. Zanim jednak udało mi się dojść do jakichś rozsądnych wniosków, coś skłoniło mnie, abym całkiem wypełzł z namiotu i wstał. Poczułem pod gołymi stopami ciepłą jeszcze ziemię; wiatr omiółł moją twarz i zmierzwił włosy, uszy przepełnił ryk wezbranej rzeki. Wiedziałem, że to wszystko dzieje się naprawdę, zdobyłem dowód potwierdzający, że moje zmysły funkcjonowały prawidłowo. Mimo to postacie wciąż wznosiły się z ziemi ku niebu bezgłośnie, majestatycznie, olbrzymią spiralą pełną gracji i mocy, której widok przepełnił mnie głęboką pokorą i nabożnością.

Miałem chęć paść na ziemię i ukorzyć się przed tym widokiem. Pragnąłem oddać cześć tym istotom.

Być może za parę chwil tak właśnie by się stało, gdy nagle podmuch wiatru uderzył we mnie z taką siłą, że niemal przewróciłem się i upadłem. To w brutalny sposób pozwoliło mi otrząsnąć się z odrętwienia. Zyskałem w każdym razie inną perspektywę. Ujrzałem to, co rozgrywało się przede mną, z innego punktu widzenia. Postacie wciąż unosiły się ku niebu,

wypływając z samego serca nocy, ale w moim wnętrzu znów zaczął dochodzić do głosu rozsądek. To z całą pewnością jakieś subiektywne doznanie – choć to nie czyni go mniej rzeczywistym, ale jest ono tak czy owak subiektywne. Blask księżyca i ruch gałęzi dały w połączeniu pożywkę dla mej wyobraźni, w której pojawiły się takie a nie inne obrazy, ja zaś z jakiegoś powodu dokonałem ich projekcji i sprawiłem, że zacząłem dostrzegać je obiektywnie. Wiedziałem, że tak właśnie musiało być. Padłem ofiarą wyrazistej, nader ciekawej halucynacji. Zebrałem się na odwagę i zacząłem przesuwać się naprzód po rozległej połaci piasku. Na Jowisza, czy to wszystko faktycznie było tylko złudzeniem? Subiektywnym doznaniem? A może to tylko mój rozum starał się za wszelką cenę wyjaśnić coś, dla czego nie znajdował wytłumaczenia?

Wiedziałem tylko, że ogromna spirala postaci unosiła się ku ciemnemu niebu przez bardzo długi, zdawałoby się, czas i że moje zmysły funkcjonowały prawidłowo. I naraz postacie zniknęły! Znikły w jednej chwili, równocześnie w okamgnieniu przestałem odczuwać zdumienie wywołane ich obecnością, a jego miejsce zajął paralizujący strach. W moim wnętrzu pojawił się płomyk ezoterycznego znaczenia tej odludnej, nawiedzanej okolicy i silne dreszcze przeszyły mnie od stóp do głów. Rozejrzałem się pospiesznie dokoła – z trwogą bliską panice poszukując na próżno jakiejś drogi ucieczki, a gdy zdałem sobie sprawę, że moje wysiłki skazane są na niepowodzenie, na powrót wpełzłem bezgłośnie do namiotu i położyłem się na piaszczystym posłaniu, opuszczając wcześniej odchyloną połę u wejścia do namiotu, by nie widzieć wierzb skąpanych w blasku księżyca, a potem nakryłem się mocno kocem, niemal chowając się pod nim z głową, usiłując w ten sposób zagłuszyć przeraźliwe zawrodozenie wiatru.

Jakby dla upewnienia mnie, że to, czego byłem świadkiem, nie było snem, wspomnienie owych wydarzeń towarzyszyło mi jeszcze przez dłuższy czas, nim znów zapadłem w płytki, niespokojny sen; ale nawet wtedy spałem bardzo czujnie, w głębi duszy zaś bez przerwy czuwałem.

Za drugim razem obudziłem się pod wpływem gwałtownego impulsu. Ogarnęło mnie dojmujące przerażenie. Nie obudził mnie szum wiatru ani ryk rzeki, lecz powolne zbliżanie się czegoś, co sprawiło, że śpiąca część mnie zaczęła zmniejszać się coraz gwałtowniej, aż w końcu znikła zupełnie, a ja poderwałem się do pozycji siedzącej – nasłuchując.

Na zewnątrz słyhać było ciche, zwielokrotnione stukanie. Rozlegało się ono, czego miałem świadomość, już od dłuższego czasu, po raz pierwszy wychwyciłem je przez sen. Siedziałem tak, zdenerwowany i rozbudzony, jakbym ani na chwilę nie zmrużył oka. Wydawało mi się, że oddycham z trudem, a moje ciało przygniata wielki, choć niewidoczny ciężar. Choć noc była ciepła, cały byłem rozdygotany i zlany zimnym potem. Coś bez wątpienia napierało na ściany namiotu i naciskało nań od góry. Czy to wiatr? Aten stukot... czy to deszcz, czy może opadające liście? Albo może niesiony z wiatrem od rzeki pył wodny? W jednej chwili nasunęły mi się dziesiątki potencjalnych rozwiązań.

I nagle pojawiło się kolejne: gałąź topoli, jedyne naprawdę wielkiego drzewa na wyspie, złamana przez wiatr. Konar wisiał wśród gałęzi, ale wystarczy jeden silniejszy podmuch wiatru, aby runął i przygniótł nas, a tymczasem jego gałęzie ocierają się i uderzają w mocno naprężone płótno namiotu. Uniosłem płachtę przy wejściu i wypełzłem na zewnątrz, wołając Szweda, by zrobił to samo.

Kiedy jednak znalazłem się przed namiotem i uniosłem wzrok, okazało się, że moje podejrzenia były błędne. Nie było złamanego konara, deszczu ani pyłu wodnego od rzeki; pusto jak okiem sięgnąć.

Zimne, szare światło przesączało się pomiędzy krzewami, kładąc się na lekko połyskliwym piasku. Gwiazdy wciąż królowały na niebie powyżej, a wiatr zawodził potężnie, lecz ognisko prawie całkiem już wygasło, od wschodu zaś, między drzewami dostrzegłem jaśniejącą, czerwoną poświatę wschodzącego słońca. Musiało upłynąć kilka godzin, odkąd stałem tu po raz ostatni, obserwując unoszące się ku niebu postacie, a ich wspomnienie powróciło do mnie teraz jak upiorny, zły sen. Och, jakże poczułem się zmęczony, miałem serdecznie dość tego nie cichnącego ani na chwilę, zawodzącego wiatru! Mimo iż byłem strudzony po nieprzespanej nocy, moje nerwy były napięte jak postronki wskutek dręczących mnie bez przerwy obaw, a o jakimkolwiek wytchnieniu rzecz jasna nie było mowy. Zauważyłem, że poziom rzeki podniósł się jeszcze bardziej. Grzmot przetaczających się wód zagłuszał wszystko, a pył wodny, który opryskał mnie, gdy podszedłem bliżej, przemoczył moją cienką nocną koszulę.

Nigdzie wszelako nie zauważyłem najmniejszych nawet oznak czegoś, co mogłoby wzbudzić mój niepokój. Nie potrafiłem wyjaśnić, skąd wzięła się trwoga przepełniająca moje serce.

Mój towarzysz nawet nie drgnął, gdy go zawołałem, teraz zaś nie miałem uzasadnionego powodu, aby go budzić. Rozejrzałem się ostrożnie dokoła, rejestrując wszystko; odwrócone czółno, żółte wiosła – dwa, nie miałem co do tego wątpliwości; worek z prowiantem i zapasową latarnię zawieszoną na drzewie, a także tłoczące się wszędzie, jak okiem sięgnąć, wierzby, wszechogarniające, bezkresne, rozedrgane, falujące wierzby. Jakiś ptak rozpoczął swe poranne trele, w promieniach wschodzącego słońca na niebie pojawił się klucz dzikich kaczek. Wiatr powodował falowanie suchego, gryzącego piasku wokół moich stóp.

Obszedłem namiot dokoła, po czym wszedłem pomiędzy krzewy, aby spojrzeć ponad rzeką, w dal i znów ogarnęło mnie to samo niewytłumaczalne przerażenie, gdy moim oczom ukazało się sięgające aż po horyzont morze krzewów, upiorne i widmowo nierealne, w słabym świetle poranka. Pokręciłem się trochę, to tu, to tam, wciąż dziwiąc się, co mogło być źródłem tego osobliwego stukotu i nacisku na płótno namiotu, które mnie obudziło. To *musiał* być wiatr, skonstatowałem, porywisty wiatr wzbijał strugi sypkiego, gorącego piasku, ciskając go na naprężone mocno płótno namiotu, i to także wiatr omal nie spowodował jego załamania, naciskając nań od góry.

Niepokój mój jednak pozostał.

Przeszedłem na drugi koniec wysepki, dziwiąc się, jak bardzo przez noc zmieniła się linia brzegowa i jak wielkie masy piasku zostały zabrane przez rwącą rzekę. Zanurzyłem dłonie i stopy w chłodnej wodzie i obmyłem ciało. Niebo pojaśniało, wstawał świt. W drodze powrotnej celowo przeszedłem przez kępę krzewów, gdzie dostrzegłem kolumnę wzbijających się w niebo postaci, i gdy byłem w połowie drogi, otoczony kołyszającymi się leniwie wierzbami, ogarnęła mnie nagle dojmująca zgroza. Z ciemności wyprysnął jakiś potężny kształt. Ktoś przemknął obok mnie... byłem tego stuprocentowo pewien...

Silny podmuch wiatru pchnął mnie naprzód, a gdy tylko znów znalazłem się na otwartej przestrzeni, uczucie trwogi niespodzianie zaczęło mijać. To było bardzo dziwne. Wiatr omiótł mnie od stóp do głów. To tylko wiatr, powtarzałem sobie w duchu. Niekiedy gdy wędrujemy wśród drzew, podmuchy wiatru wywołują w nas wrażenie czyjejs obecności. I choć trwoga, jaka mnie ogarnęła, nie miała sobie równej, nigdy dotąd bowiem nie odczuwałem podobnego przerażenia, obudziło ono we mnie

równocześnie ciekawość i zdumienie, w znacznym stopniu niwelujące mój strach, kiedy zaś dotarłem do najwyższego punktu, pośrodku wyspy, skąd mogłem ujrzeć cały, szeroki nurt rzeki, mieniającej się szkarłatnie w promieniach wschodzącego słońca, magia i urok tego widoku były tak silne, że w moim wnętrzu pojawiła się jakaś dziwna tęsknota, a gardło ścisnęło się, jakbym lada moment miał wybuchnąć płaczem.

Tak się jednak nie stało, gdyż przeniósłem wzrok z rzeki na otaczającą mnie wyspę, a gdy ujrzałem nasz mały namiot, na wpół ukryty wśród wierzb, przeraźliwe odkrycie, którego dokonałem, w jednej chwili usunęło w cień wszelką trwogę wywołaną we mnie przez zagadkowe działania porywistego wiatru.

Dostrzegłem bowiem jeszcze jedną, być może o wiele bardziej znaczącą zmianę, jaka zaszła w pejzażu wyspy. Nie stało się to dlatego, iż znajdowałem się w najwyższym miejscu na wyspie, dzięki czemu mogłem patrzeć na wszystko z innej perspektywy, zmiana ta dokonała się, jak wszystko na to wskazywało, w układzie namiot-wierzby oraz wierzby–namiot. Odniosłem wrażenie, że krzewy zwierzały swe szyki o wiele bliżej, niepokojąco blisko naszego obozowiska. *Jakby się do niego przybliżyły.*

Przesuwając się bezszelestnie po falującym piasku, cał po calu, niespiesznie, wierzby przez noc zbliżyły się do naszego namiotu. Czy jednak stało się to za sprawą wiatru, czy może przemieściły się same? Przypomniałem sobie ten nie cichnący, regularny stukot i napór na ściany namiotu oraz niewyjaśnioną trwogę, która przepełniła me serce. Zachwiałem się jak drzewo na wietrze, trudno mi było utrzymać pionową pozycję na piaszczystym pagórku. Coś mówiło mi, że mieliśmy do czynienia z rozmyślnym, celowym działaniem, w dodatku wrogim działaniem, i ta świadomość zmroziła mi krew w żyłach.

Na krótko. Bo zaraz cała ta myśl wydała mi się tak osobliwa i absurdalna, że odrzuciłem ją jako niedorzeczną. Przez chwilę miałem ochotę wybuchnąć śmiechem, ale nie zrobiłem tego, tak jak jeszcze niedawno pohamowałem w sobie szloch, gdyż świadomość, że mój mózg jest aż tak podatny na skądinąd groźne i niebezpieczne fantazje, wzbudziła we mnie nową falę dojmującej trwogi, że następny atak może być skierowany nie przeciwko naszym ciałom, lecz umysłom i zapewne tak właśnie będzie.

Podmuchy wiatru chłostały mnie ze wszystkich stron, a słońce, zdawałoby się, bardzo szybko pojawiło się nad horyzontem; było parę minut po czwartej, musiałem zatem stać na piaszczystym pagórku nieco dłużej niż sądziłem, najwyraźniej uczyniłem to, nie chcąc zbliżyć się ponownie do tych przeklętych wierzb. Powróciłem pospiesznie, cichaczem do namiotu, rozejrzawszy się uprzednio wokoło, a także, no dobrze, nie będę tego ukrywał - poczyniwszy pewne pomiary. Odmierzyłem w kilku miejscach krokami odległości pomiędzy wierzbami a namiotem, zapamiętując najkrótsze z nich.

Wpełźłem niemal bezszelestnie do namiotu. Mój towarzysz, jak wszystko na to wskazywało, wciąż spał smacznie, a ja cieszyłem się, że tak było. Ponieważ nie było nikogo, kto mógłby potwierdzić moje obserwacje, odnalazłem w sobie dość sił, by się ich wyprzeć. W świetle dnia mogłem z łatwością przekonać samego siebie, że wszystko to było jedynie subiektywną halucynacją, nocną iluzją, projekcją nadmiernie pobudzonej, wybujałej wyobraźni.

Nic więcej nie zakłóciło mego spokoju i niemal natychmiast zasnąłem, kompletnie wyczerpany, wciąż jednak lękałem się, że mógłbym usłyszeć ten dziwny, zwielokrotniony, niewyjaśniony stukot albo poczuć dziwny ucisk w sercu, sprawiający, że nie byłem w stanie zaczerpnąć tchu.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy Szwed obudził mnie z głębokiego snu i oznajmił, że owsianka jest już prawie gotowa i zdążę jeszcze wykąpać się przed jedzeniem. Od wejścia do namiotu doszedł mnie ponętny zapach smażonego boczku.

– Poziom wody wciąż się podnosi – powiedział – kilka wysepek pośrodku rzeki znikło już zupełnie. A nasza wyspa jest o wiele mniejsza.

– Zostało jeszcze choć trochę drewna? – spytałem zaspanym głosem.

– Po drewnie i wyspie jutro nie będzie już śladu – zaśmiał się – ale do tego czasu na ognisko nam wystarczy.

Wskoczyłem do wody z cypla, który w ciągu nocy bardzo zmałał i zmienił kształt; zmyło mnie stamtąd aż do plaży niedaleko naszego namiotu, tam też wyszedłem na brzeg. Woda była lodowata, brzeg przesuwał się obok mnie tak szybko, że czułem się, jakbym znajdował się w ekspresowym pociągu. Kąpiel w takich warunkach jest nader odświeżająca, nocne lęki opuściły mnie do reszty. Słońce prażyło, na niebie ani jednej chmurki, ale wiatr nie osłabł ani trochę.

Nagle uświadomiłem sobie ukryty sens słów Szweda, dającego mi do zrozumienia, że zmienił zdanie i nie zamierza opuścić tego miejsca możliwie jak najszybciej. „Do jutra nam wystarczy”, czyli że planował spędzić tu kolejną noc. To mnie zdziwiło. Nie dalej jak wczoraj miał w tej kwestii całkiem inne zdanie. Co wywołało tę zmianę?

Gdy jedliśmy śniadanie, nastąpiły kolejne osunięcia się brzegu, słychać było głośny plusk, a pył wodny niesiony wiatrem zalał nam patelnię; mój towarzysz tymczasem opowiadał nieprzerwanie o kłopotach, jakie muszą podczas powodzi napotykać parowce na trasie Wiedeń–Peszt. Jednakże to stan jego umysłu zaciekał mnie i zaintrygował bardziej niż stan rzeki czy potencjalne kłopoty jednostek żeglugi rzecznej. Mój towarzysz od wczorajszego wieczora bardzo się zmienił. Jego zachowanie było inne – wydawał się odrobinę podekscytowany, trochę nieśmiały, a w jego głosie i gestach wyczuwało się pewną podejrzliwość. Nie potrafię tego teraz opisać, wtedy jednak pamiętam, że byłem pewien jednego – czy tylko mi się wydawało, czy mój przyjaciel czegoś się obawiał?

Przy śniadaniu zjadł bardzo mało i po raz pierwszy nie zapalił fajki, jak to miał w zwyczaju. Rozłożył obok siebie mapę i uważnie ją studiował.

– Lepiej wynieśmy się stąd w ciągu godziny – powiedziałem, licząc, że moje słowa wywołają w nim jakąś reakcję i pozwolą mi uzyskać wyjaśnienie, co było przyczyną jego zagadkowego stanu.

Odpowiedź, jaką otrzymałem, bardzo mnie zaskoczyła: – Dobrze by było. O ile nam na to pozwolą.

– O kim mówisz? O żywiołach? – spytałem z udawaną obojętnością.

– O mocach tego przeklętego miejsca, kimkolwiek lub czymkolwiek są – odparł, nie odrywając wzroku od mapy. – Jeżeli gdziekolwiek na świecie są jeszcze bogowie, to właśnie tutaj.

– Żywioły są zawsze prawdziwie nieśmiertelne – odparowałem, siląc się na uśmiech, choć wiedziałem, że moja twarz zdradzała to, co czułem naprawdę, a on spojrzał na mnie z powagą i wycedził posępnym tonem:

– Będziemy mieli szczęście, jeżeli w ogóle zdołamy się stąd wydostać. Obawiam się najgorszego.

Podzielałem jego obawy, choć nie powiedziałem tego na głos. To było jak wyrwanie zęba, trzeba było to zrobić i koniec był łatwy do przewidzenia. Cała reszta stanowiła jedynie niezbędną otoczkę.

– Obawiasz się najgorszego? Jak to? Co się stało?

– Po pierwsze wiosło sterowe zniknęło – odrzekł półgłosem.

– Wiosło sterowe zniknęło! – powtórzyłem z wielkim przejęciem, gdyż wiedziałem, że kontynuowanie rejsu po Dunaju w porze powodzi bez steru było równorzędne z samobójstwem. - Ale co...

– A w dniu naszego czółna jest dziura – dorzucił już drżąco. Wciąż na niego patrzyłem; mogłem jedynie powtarzać jego słowa, jak zacinająca się płyta. Pomimo upału i rozgrzanego piasku nagle zrobiło mi się zimno. Wstałem, aby pójść za nim, Szwed bowiem tylko smętnie pokiwał głową i ruszył w stronę namiotu oddalonego o kilka jardów od ogniska. Kanu leżało tam, gdzie spoczywało przez całą noc, odwrócone do góry dnem, a wiosła – a raczej jedno wiosło leżało przy nim, na piasku.

– Jest tylko jedno – powiedział, schylając się, by je podnieść. – A w dniu czółna jest dziura.

Już miałem powiedzieć mu, że parę godzin temu wyraźnie widziałem dwa wiosła, ale coś mnie przed tym powstrzymało i ostatecznie nabrałem wody w usta. Podszedłem bliżej, aby lepiej się przyjrzeć. W dniu czółna faktycznie widniało spore rozdarcie, brakowało fragmentu poszycia, zupełnie jakby kanu zahaczyło o podwodną skałę albo wystający ostry korzeń; jak się okazało, dno zostało przebite na wylot. Gdybyśmy spuścili łódź na wodę, nie zauważywszy uszkodzenia, czółno, ani chybi, bardzo szybko poszłoby na dno. Początkowo woda sprawiłaby, że drewno napęczniałoby, zamykając otwór, ale z czasem kanu zaczęłoby przeciekać, a jako że krawędzie burt nigdy nie znajdowały się wyżej niż dwa cale nad powierzchnią wody, błyskawicznie by się wypełniło i zatoneło.

– Oto masz przed sobą jawny dowód przygotowania do złożenia ofiary. – Usłyszałem; i mówił to bardziej do siebie niż do mnie. – A raczej dwóch ofiar – dorzucił, pochylając się i przesuwając palcami po otworze.

Zacząłem pogwizdywać, zawsze to robię, mimowolnie, kiedy jestem zdenerwowany i zakłopotany; celowo nie zwracałem uwagi na jego słowa. Postanowiłem je zlekceważyć, jako kompletny nonsens.

– Wczorajszej nocy kanu było całe – rzekł z powagą, prostując się i kierując wzrok w dół.

– Na pewno musieliśmy uszkodzić łódź przy wyciąganiu jej na brzeg – powiedziałem, przerywając na chwilę pogwizdywanie. – Kamienie są przecież ostre...

Nagle przerwałem, gdyż właśnie w tej chwili odwrócił się i spojrzał na mnie surowym wzrokiem. Podobnie jak on wiedziałem, że moje wyjaśnienie jest nieprawdopodobne. Po pierwsze, jak okiem sięgnąć, nie było tu żadnych kamieni.

– Przydałoby się jeszcze wyjaśnić ten drobny szczegół – dodał półgłosem, podając mi wiosło i wskazując na pióro.

Nowe, osobliwe odczucie zmroziło mnie od stóp do głów, gdy przyjąłem od niego wiosło i uważnie je obejrzałem. Pióro zostało starte, bardzo dokładnie i skrupulatnie, na całej powierzchni, jakby wyszorowane w piasku i było teraz tak cienkie, że przy pierwszym silniejszym uderzeniu o wodę trzasnęłoby jak zapałka.

– Jeden z nas musiał chodzić we śnie i zrobił to nieświadomie – powiedziałem niepewnie – a może to efekt działania piasku niesionego wiatrem.

– Ach – jęknął Szwed, odwracając się i chichocząc pod nosem – ty zawsze wszystko potrafisz wytłumaczyć!

– Zapewne ten sam wiatr musiał porwać wiosło sterowe i znieść na brzeg, skąd spadło do wody i popłynęło z prądem – dodałem po chwili za odchodzącym Szwedem, pragnąc za wszelką cenę znaleźć wytłumaczenie dla wszystkich osobliwości, na które zwrócił moją uwagę.

– Jasne – odrzyknął, odwracając głowę, aby na mnie spojrzeć, zanim zniknął wśród wierzb.

Gdy tylko zostałem sam na sam z tymi dowodami niszczycielskiej działalności czynnika ludzkiego, w mojej głowie zaczęła formować się niepokojąca myśl. Musiał to zrobić jeden z nas, i tym kimś nie byłem ja. Zaraz jednak pojawiła się następna, stwierdzająca, że poprzednia jest całkiem absurdalna i że nie zrobił tego żaden z nas. Nie potrafiłem przyjąć do wiadomości, że mój towarzysz, wierny przyjaciel podczas wielu wypraw mógłby świadomie uczynić coś podobnego. Równie nieprawdopodobne było przypuszczenie, że jego niewzruszona, logiczna i racjonalna natura uległa nagłemu zachwianiu wskutek bliżej niesprecyzowanego ataku szaleństwa wywołanego przez nieznanne czynniki.

Jednakże – i to niepokoiło mnie najbardziej i wzbudzało we mnie głęboki niepokój, który nie osłabł nawet teraz, w świetle dnia i w tym jakże uroczym otoczeniu – nie ulegało wątpliwości, że w moim towarzyszku faktycznie zaszła jakaś dziwna zmiana, stał się nerwowy, bojaźliwy,

podejrzliwy, świadomy rzeczy, o których nie chciał mówić głośno, ale mimo to dostrzegał je i rejestrował; odniosłem wrażenie, jakby na coś czekał, na bliżej nieokreślone zdarzenie, kulminację, która zbliżała się w błyskawicznym tempie. Nie wiem, skąd wzięły się we mnie te wszystkie przypuszczenia, zapewne podszeptała mi je intuicja.

Pospiesznie sprawdziłem namiot i jego najbliższe otoczenie, ale wyniki pomiarów dokonanych przeze mnie obecnie i w ciągu nocy okazały się identyczne. Nic się nie zmieniło. Dopiero teraz po raz pierwszy dostrzegłem na piasku nieckowate zagłębienia, różnej wielkości i rozmiarów, najmniejsze z nich miały średnicę filiżanki, największe zaś miednicy. Bez wątplenia to wiatr był odpowiedzialny za powstanie tych miniaturowych kraterów i to także wicher porwał nasze cenne wiosło, ciskając je do rzeki. Nie potrafiłem jak dotąd przekonująco wyjaśnić tylko rozdarcia w dnie kanu, ale wszystko wskazywało, że wbrew naszym przekonaniom musieliśmy o coś zahaczyć, gdy wyciągaliśmy czołno na brzeg.

Zbadanie przeze mnie brzegu nie potwierdziło tej teorii, ale mimo to postanowiłem trzymać się tej zanikającej cząstki mej inteligencji, którą nazywałem rozsądkiem. Wyjaśnienia stanowiły niezbędną konieczność, podobnie jak to ma miejsce w przypadku funkcjonowania wszechświata; dzięki nim człowiek pragnący wypełniać swe powinności i stawiający czoła codziennym problemom może choć przez chwilę poczuć się szczęśliwy. Porównanie to wydało mi się oczywiste.

Zacząłem natychmiast roztapiać smołę, a po chwili Szwed przyłączył się do mnie, choć nawet w najlepszym razie kanu powinno być zdatne do użytku dopiero następnego dnia. Zwróciłem uwagę mego towarzysza na zagłębienia na piasku.

– Tak – powiedział – wiem. Są na całej wyspie. Ale ty bez wątplenia potrafisz wyjaśnić ich pochodzenie!

– To oczywiście sprawa wiatru – odparłem bez wahania. – Nigdy nie widziałeś tych niewielkich wirów powietrznych? Można je zaobserwować nawet w mieście, zwykle wzbijają w górę chmury kurzu i suchych liści. Ten piasek jest dość sypki, aby mogły na nim powstać takie, a nie inne ślady.

Nie odpowiedział i przez dłuższą chwilę pracowaliśmy w milczeniu. Obserwowałem go ukradkiem i wydawało mi się, że on także po cichu mi się przyglądał. Sprawiał wrażenie, jakby bacznie czemuś się przysłuchiwał,

czego ja nie słyszałem, a może spodziewał się coś usłyszeć, bo przez cały czas kręcił się jak w ukropie, to wlepiając wzrok w rosnące opodal wierzby, to spoglądając w niebo, a niekiedy też zerkając na rzekę widoczną pomiędzy krzewami. Bywało, że przykładał dłoń do ucha i zastygał na kilka chwil w kompletnym bezruchu. Nie komentował tego jednak, a ja o nic nie pytałem. A podczas gdy Szwed naprawiał uszkodzone kanu z wprawą rodowitego Indianina, ja cieszyłem się, że miał jakieś zajęcie, czułem bowiem w głębi duszy rosnący niepokój, że gdyby się odezwał, zwróciłby uwagę na zmiany, jakie zaszły wśród wierzby. A gdyby on to zauważył, moja wyobraźnia nie byłaby w stanie znaleźć na to przekonującego wytłumaczenia.

Wreszcie po dłuższej przerwie zaczął mówić.

– To dziwne – rzekł pośpiesznie, jakby chciał wyrzucić coś z siebie i mieć to już za sobą. – Naprawdę dziwne. Mam na myśli tę wydre, którą widzieliśmy ostatniej nocy.

Spodziewałem się czegoś całkiem innego. Tak mnie tym zaskoczył, że spojrzałem na niego z przejęciem.

– To jawny dowód, w jak odludnym miejscu się znaleźliśmy. Wydry są z natury bardzo płochliwe...

– Nie o to mi chodziło – wszedł mi w słowo. – Czy naprawdę myślisz, że to była wydra?

– A cóżby to mogło być innego, na Boga?

– No wiesz, zobaczyłeś to wcześniej niż ja i w pierwszej chwili to wydawało się większe niż wydra.

– To złudzenie wzrokowe wywołane przez odbijające się od fal promienie słońca – odparłem.

Patrzył na mnie przez chwilę niewidzącym wzrokiem, jakby jego umysł zajęty był innymi myślami.

– I miało takie niesamowite, żółte oczy – dodał, jakby mówił do siebie.

– To też efekt wywołany przez słońce – zaśmiałem się, nieco chełpliwie.

– Pewnie teraz zaczniesz zastanawiać się, czy tamten w łódce... Nie dokończyłem. Szwed znów nasłuchiwał, odwrócił głowę w stronę, skąd wiał wiatr, a coś w jego wyrazie twarzy nakazało mi zamilknąć. Nie dokończyliśmy rozmowy, zabraliśmy się za smołowanie dna łódki. Mój towarzysz najwyraźniej w ogóle nie zwrócił uwagi, że przerwałem swój

wywód, nie skończywszy go. Jednak w pięć minut później spojrzał na mnie ponad dnem łódki, z naczyniem pełnym dymiącej smoły w dłoni i posepnym wyrazem twarzy.

– Zastanawiałem się – rzekł, powoli cedząc słowa – czy nie ciekawi cię, kim była ta istota w łódce. Pamiętam, że gdy ją ujrzałem, jakiś wewnętrzny głos powiedział mi, że to nie jest człowiek. Łódka i to coś pojawiły się zbyt szybko, zupełnie jakby wyłoniły się spod wody.

Znów się zaśmiałem, ale tym razem z wyraźnym gniewem i zniecierpliwieniem.

– Posłuchaj – zawołałem – to miejsce i tak jest już dość dziwne, nie musisz jeszcze dokładać do tego swoich wydumanych teorii! To była zwykła łódka, a w tej łódce stał zwykły człowiek, płynął po prostu w dół rzeki, i to wszystko. A wydra też była całkiem zwyczajna, zwierzę to zwierzę, nie ma co kombinować!

Patrzył na mnie z niewzruszoną powagą. Nie był ani trochę rozdrażniony. Jego milczenie przydało mi odwagi.

– Na miły Bóg – ciągnąłem – nie udawaj, że coś słyszysz, bo to mnie coraz bardziej przeraża, przecież tu nie słyhać nic więcej prócz szumu rzeki i zawodzenia tego przekłętą porywistego wiatru.

– Ty głupcze! – odparł cichym, syczącym głosem – nie masz za grosz oleju w głowie. Tak właśnie mówią wszystkie ofiary. Zupełnie jakbyś nie pojmował tego wszystkiego, co ja! – rzucił drwiącym tonem, z nutą rezygnacji w głosie. – Najlepsze, co możesz zrobić, to siedzieć cicho i próbować zachować trzeźwość umysłu. Twój umysł musi być naprawdę niewzruszony. Ta żałosna próba oszukiwania samego siebie sprawi, że prawda będzie dla ciebie trudniejsza do przyjęcia, kiedy w końcu przyjdzie ci się z nią zmierzyć.

Zaprzestałem dalszych wysiłków i nie powiedziałem nic więcej, wiedziałem bowiem, że to, co od niego usłyszałem, było prawdą i to ja byłem głupcem, a nie on. Jeżeli chodzi o tę przygodę, towarzysz mój wyraźnie mnie wyprzedzał, i to mnie chyba drażniło, byłem zły, że okazałem się mniej uzdolniony mentalnie, mniej wrażliwy od niego, mniej wyczulony na niesamowite wydarzenia i po części nie zdawałem sobie sprawy z tego, co działo się pod moim nosem. Najwyraźniej on wiedział to od samego początku. W tym momencie jednak nie potrafiłem pojąć sensu jego słów, jakoby szykowano nas na ofiarę, gdyż poświęcenie jest w tym

przypadku konieczne. Spróbowałem stawić czoła tej prawdzie, ale w miarę jak usiłowałem ją sobie przyswoić, mój lęk coraz bardziej narastał.

– Masz rację co do jednego – dodał, zanim zmieniliśmy temat – to dobrze, że nie próbujemy o tym rozmawiać, tak jest rozsądniej, albowiem kiedy nasze myśli znajdują wyrażenie w słowach, stają się faktem...

Tego popołudnia, podczas gdy czółno schło i twardniało, próbowaliśmy łowić ryby, sprawdzaliśmy, czy kanu przecieka, zbieraliśmy drewno i obserwowaliśmy, w jak szybkim tempie rośnie poziom wód w rzece. Całe masy drewna przepływały obok brzegów naszej wyspy, łowiliśmy je długimi, wierzbowymi gałęziami. Wyspa znacznie się zmniejszyła, w miarę jak kolejne fragmenty jej brzegów przy wtórze głośnego plusku wpadały do wody. Pogoda była niezła, aż do czwartej, wtedy też po raz pierwszy od trzech dni wiatr zaczął słabnąć. Na południowym zachodzie zbierały się chmury, z wolna rozprzestrzeniające się po niebie.

Oslabnięcie wiatru przyjęliśmy z olbrzymią ulgą, bo jego nieustanny ryk, zawodzenie i jęki coraz bardziej działały nam na nerwy. Jednakże cisza, która nastąpiła około piątej, wydała się nam jeszcze bardziej niemiła i niepokojąca. Szum rzeki zaczął odtąd dominować nad wszystkim, wypełniał powietrze głębokimi podmuchami, bardziej melodyjnymi niż odgłosy wichury, lecz nieskończenie bardziej monotonnymi.

Wiatr krył w sobie różne dźwięki, to cichnące, to przybierające na sile, lecz zawsze przepełniała go potężna elementarna nuta; pieśń rzeki zawierała się zaledwie w paru tonach, odmiennych niż melodia wiatru, które nieodparcie kojarzyły mi się z zapowiedzią rychłej zguby.

To niesamowite, w jaki sposób brak jasnych promieni słońca potrafił pozbawić cały pejzaż wszystkiego, co radosne i piękne, a skoro otaczający nas krajobraz i tak już wcześniej wydawał się złowieszczy i wrogi, kolejna zmiana wyszła mu tylko na gorsze. Jeżeli o mnie chodzi, przyjąłem ją z narastającym niepokojem i w duchu zacząłem zastanawiać się, jak długo przyjdzie mi czekać do wschodu księżyca i czy blask miesiąca będzie w stanie, z uwagi na gęstą pokrywę chmur, osiągnąć tej małej, odludnej wysepki.

Odkąd ucichł wiatr - choć odzywał się od czasu do czasu spontanicznymi zrywami – rzeka wydawała mi się czarniejsza niż kiedykolwiek, wierzby zaś jakby mroczniejsz zwały szeregi. Te ostatnie zresztą zdawały się poruszać same, niezależnie od innych czynników,

kołysały się i falowały, mimo iż nie było wiatru, delikatne, osobliwe drżenie przenikało je od korzeni aż po końce cienkich gałązek. Kiedy zwykle, codzienne rzeczy nabierają cech najgorszego koszmaru, pobudzają wyobraźnię o wiele bardziej aniżeli wszelkie nadprzyrodzone zjawiska, a te krzewy otaczały nas zwartą masą jak żywe, przyczajone i wrogie istoty. Odniosłem wrażenie, że ich pospolitość jest jedynie maską, pod którą skrywało się złowrogie nastawienie wobec nas.

Moce działające w tej okolicy przegrupowały się z nadejściem nocy. Skoncentrowały całą swą potęgę na tej wysepce, a konkretnie na naszej dwójce. Stąd bowiem, jak przypuszczałem, brały się moje niezwykle przeczucia, przemyślenia i nieopisane doznania, których tu doświadczałem.

Wczesnym popołudniem uciąłem sobie krótką drzemkę, nadrabiając nieprzespaną, niespokojną noc, ale to tylko uczyniło mnie bardziej podatnym na dręczące mnie lęki, trwogi i niepokoje. Usiłowałem z nimi walczyć, wyśmiewając je i wykpiwając jako coś absurdalnego i dziecinnego – bez wątpienia miały one swe czysto fizjologiczne wytłumaczenie – lecz mimo iż bardzo się starałem, atakowały mnie z tak wielką zaciętością, że czułem się jak strwożone dziecko, zagubione w lesie, lękające się nadchodzącej nocy i gęstniejących cieni.

Za dnia przykryliśmy starannie czółno brezentem, a jedyne wiosło Szwed przywiązał do pnia drzewa, aby wiatr nie odebrał nam także tego. Od piątej zabrałem się za przygotowanie gulaszu, tego wieczora to do mnie należało przyrządzenie kolacji. Mieliśmy ziemniaki, cebulę, kawałek tłustego boczku do smaku i resztki z wczorajszego gulaszu na dnie kociołka; dorzucając do tego kawałki razowego chleba, otrzymałem naprawdę pyszną potrawę, którą popijaliśmy gorącą, mocno osłodzoną herbatą z dodatkiem mleka. Stertę chrustu i drewna opałowego ułożyłem blisko ogniska, brak wiatru w znacznej mierze ułatwił mi pracę. Towarzysz mój siedział opodal, obserwując mnie leniwie, na przemian to czyścił fajkę, to dawał mi zgoła niepotrzebne rady, jak to zwykle bywa, gdy ktoś nie ma w danym momencie nic do roboty. Przez całe popołudnie Szwed był bardzo cichy, milczący, ponownie zasmołował dziurę w dnie czółna, mocniej napiął linki przy namiocie, a kiedy spałem, wybrał się na poszukiwanie drewna na opał. Nie rozmawialiśmy już o rzeczach, o których tak naprawdę nie chcieliśmy mówić, i wydaje mi się, że jego uwagi dotyczyły głównie

postępującego rozpadu wyspy, która jak stwierdził, była o jedną trzecią mniejsza, niż kiedy tu wylądowaliśmy.

W kociołku zabulgotało i nagle usłyszałem głos Szweda wołającego mnie z pobliskiego brzegu; nawet nie zauważyłem, kiedy odszedł od ogniska. Podbiegłem do niego.

– Chodź i posłuchaj – powiedział - jestem ciekaw, co o tym myślisz. Tak jak wiele razy wcześniej uniósł dłoń do ucha.

– I jak, słyszysz coś? – spytał, obserwując mnie podejrzliwym wzrokiem.

Staliśmy tak, czujnie nasłuchując. W pierwszej chwili usłyszeliśmy tylko głęboki szum rzeki i syk bijący z jej wzburzonej toni. Wierzby jak na razie były ciche i nieruchome. Wtem do mych uszu doszedł jakiś słaby, osobliwy dźwięk, coś jakby brzęczenie odległego gongu. Zdawało się ono płynąć z ciemności od rozległej połaci bagien i wierzb naprzeciwko. Powtarzało się w regularnych odstępach czasu, ale nie był to z pewnością dźwięk dzwonu ani buczenie syreny odległego parowca. Mogę przyrównać go jedynie do brzmienia wielkiego gongu, zawieszzonego gdzieś wysoko w powietrzu i powtarzającego nieustannie swój zduszony, metaliczny ton, miękki i melodyjny, jakby ktoś lub coś uderzało weń raz po raz. Moje serce, gdy tak słuchałem, biło coraz szybciej.

– Słyszę to przez cały dzień – rzekł mój towarzysz – kiedy ty spa łeś, po południu, rozlegało się na całej wyspie. Próbowałem odkryć źródło tego hałasu, ale za każdym razem, w ostatniej chwili mi się wymykało. Niekiedy dochodziło z góry, a kiedy indziej spod wody. Raz czy dwa wyda wało mi się, że płynęło z głębi mnie, jak dźwięki dochodzące z czwartego wymiaru, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi.

Byłem zbyt zdezorientowany, aby zwracać uwagę na to, co mówił. Nasłuchiwałem uważnie, próbując przyrównać te dźwięki do innych, które były mi znane, lecz bez powodzenia. Zmieniał się też kierunek, z którego dochodziły, to się przybliżały, to znów odpływały w dal. Nie mogę powiedzieć, że tony te brzmiały złowrogo, bo w moim mniemaniu były całkiem melodyjne, choć muszę przyznać, że wzbudziły we mnie dziwny niepokój i wołałbym nigdy ich nie słyszeć.

– To wiatr dmący w te otwory w piasku – powiedziałem, starając się za wszelką cenę pokusić się o wyjaśnienie – a może gałęzie krzewów ocierają się o siebie.

– Dochodzą od strony trzęsawisk – odparł mój przyjaciel. – Płyną ze wszystkich stron jednocześnie. – Zignorował moje wyjaśnienia. – One idą jakby od strony wierzb...

– Ale przecież wiatr całkiem ustał – zauważyłem. – A wierzby same z siebie raczej nie wydają żadnych dźwięków, zgadza się?

Jego odpowiedź mnie przeraziła, po pierwsze dlatego, że tego się właśnie obawiałem, po drugie, gdyż w głębi duszy czułem, iż faktycznie tak było.

– Słyszymy te dźwięki właśnie *dlatego*, że ucichł wiatr. Wcześniej by ły zagłuszane. I przez to tak...

Wróciłem pospiesznie do ogniska, głośne bulgotanie ostrzegło mnie, że gulasz jest w niebezpieczeństwie, ale w gruncie rzeczy chciałem uniknąć kontynuowania tej rozmowy. Pragnąłem - o ile to możliwe – ustrzec się wymiany opinii na ten temat. Poza tym lękałem się, że Szwed rozpocznie dyskusję o bogach, siłach natury lub czymś równie mrocznym i przerażającym, ja zaś wolałem zachować zimną krew na to, co już wkrótce mogło się wydarzyć. Czekala nas jeszcze jedna noc, nim będziemy mogli opuścić to budzące trwogę miejsce, i nie wiadomo co mogła z sobą przynieść.

– Chodź, wkrój chleb do kociołka – zawołałem do Szweda z ożywie niem, mieszając smakowitą potrawę. Ten gulasz pomagał nam obu zachować zdrowe zmysły, na samą myśl o tym miałem ochotę wybuchnąć śmie chem.

Podszedł powoli, zdjął z drzewa worek z prowiantem, zaczął grzebać w jego tajemniczej zawartości, po czym opróżnił cały ten dobytek na ziemię u swych stóp.

– Pospiesz się! – zawołałem. – Zaczyna wrzeć.

Szwed zachichotał. Całkiem mnie tym zaskoczył. To był wymuszony śmiech, nie tyle sztuczny, co raczej pozbawiony radości.

– Jego tu nie ma! – odkrzyknął, opierając dłonie na biodrach.

– Czego? Chleba?

– Nie ma go. Ani kawałeczka. Zabrały go!

Upuściłem łyżkę i podbiegłem do niego. Zawartość worka leżała na ziemi, ale chleba nie było. Brzemię trwogi spoczywające na moich ramionach w jednej chwili przygięło mnie do ziemi. Nagle ja również zacząłem się śmiać. To jedyne, co mogłem uczynić – a roześmiałwszy się,

zrozumiałem, dlaczego to samo zrobił mój przyjaciel. Spowodowane to zostało długotrwałym stresem, w ten sposób obaj, ja i Szwed próbowaliśmy przemóc narastające w nas napięcie, to było jak skorzystanie z zaworu bezpieczeństwa, tymczasowe, krótkotrwałe rozwiązanie. Obaj uspokoiliśmy się niemal równocześnie.

– Ależ ze mnie głupiec! – wybuchnąłem, usiłując konsekwentnie tłumaczyć każdy niewyjaśniony przypadek. – Po prostu zapomniałem ku pić chleb w Pressburgu. Ta paplająca kobieta zamąciła mi w głowie i po zostawiłem bochenek na kontuarze albo...

– Owsianki też jest sporo mniej, niż było jej rano – wtrącił Szwed. Czemu, u licha, musiał o tym wspomnieć? Po co zwracał na to uwagę?

– pomyślałem gniewnie.

– Do jutra wystarczy – stwierdziłem, prostując się energicznie – a w Komom albo Gran uzupełnimy zapasy prowiantu. Za dwadzieścia cztery godziny będziemy o wiele mil stąd.

– Oby... jak Bóg da – mruknął pod nosem, wkładając rzeczy na powrót do worka – chyba że wcześniej zostaniemy złożeni w ofierze – dodał, śmiejąc się jak skończony kretyn. Zaniósł worek do namiotu, jak przypuszczam dla bezpieczeństwa; usłyszałem, jak mamrotał coś pod nosem, ale tak niewyraźnie, że postanowiłem to ostatecznie zignorować.

Posiłek z natury rzeczy upłynął nam w ponurej atmosferze, jedliśmy nieomal w milczeniu, unikając wzajemnie swoich spojrzeń i dorzucając do ognia. Następnie umyliśmy się i przygotowaliśmy do snu, później zaś, gdy nie mieliśmy już żadnych zaprzatających nas obowiązków, poczułem, że niepokój dręczący mnie przez cały dzień jeszcze bardziej zaczyna dawać mi się we znaki. Nie był to jeszcze strach, ale nieokreśloność jego pochodzenia była dla mnie na tyle odpychająca, że nie próbowałem jej zgłębić. Osobliwy dźwięk, który przyrównywałem do brzmienia gongu, rozlegał się niemal nieprzerwanie, wypełniając ciszę nocy słabym, jednostajnym brzęczeniem, nie były to już odrębne, regularnie powtarzające się tony. W jednej chwili rozlegały się z tyłu, a w następnej daleko przed nami. Niekiedy wydawało mi się, że dochodzi spomiędzy krzewów po lewej, a potem z kęp na prawo od nas. Najczęściej jednak płynął on z góry, rozlegał się nad nami jak trzepot skrzydeł. Dochodził jakby ze wszystkich stron naraz, z tyłu, z przodu, z góry i z boków, otaczał nas falą jednostajnych dźwięków. Szczerze mówiąc, odgłosów tych nie sposób było opisać. Nic, z czym

miałem okazję się zetknąć, nie przypominało nieprzerwanego brzęczenia rozlegającego się w tym odludnym świecie moczarów i wierzb.

Siedzieliśmy, paląc, w niemal całkowitej ciszy, napięcie narastało z minuty na minutę. Najgorsze było to, że nie wiedzieliśmy, czego mamy się spodziewać, a tym samym nie byliśmy w stanie przygotować się do potencjalnej obrony. Wyjaśnienia, których udzielałem za dnia, powracały teraz do mnie jako coś zgoła absurdalnego i niedorzecznego, nie ulegało wątpliwości, że szczerą rozmowa z moim towarzyszem jest nieuchronna, czy to mi się podobało, czy nie. Bądź co bądź mieliśmy spędzić tu wspólnie noc i spać w jednym namiocie. Wiedziałem, że nie zdzierzę dłużej bez jego wsparcia i stąd właśnie wynikała konieczność owej rozmowy. Staralem się jednak możliwie jak najdłużej odwlekać tę kulminację, ignorując lub wyśmiewając rzucane przez niego od czasu do czasu w pustkę kolejne stwierdzenia. Niektóre z nich wzbudziły we mnie silne zaniepokojenie, bo zgadzały się z moimi ukrytymi przeczuciami, i to było dla mnie przekonujące bardziej niż cokolwiek innego, gdyż miałem do czynienia z całkiem odmiennym od mojego punktem widzenia. Szwed budował te osobliwe zdania i rzucał je pod moim adresem w taki sposób, jakby faktyczny tok jego myślenia nawet dla niego samego stanowił nieodgadniona zagadkę, a te oderwane fragmenty stanowiły strzępki informacji, których nie potrafił przetrwać. Pozbywał się ich więc, przyoblekając je w słowa. Mówienie przynosiło mu ulgę. To trochę tak jak z chorobą.

– Otaczają nas pewne istoty, które, o czym jestem przekonany, pragną chaosu, zniszczenia i zagłady, *naszej* zagłady – powiedział, zapatrzony w ognisko. – W którymś momencie musieliśmy przekroczyć granicę i odtąd nasze życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Potem zaś, gdy odgłosy gongu przybliżyły się i przybrały na sile rozlegając się tuż nad naszymi głowami, rzucił jakby do siebie:

– Nie sądzę, aby dało się nagrać te dźwięki na gramofon. Nie odbieram ich przez uszy. Te wibracje docierają do mnie w całkiem inny sposób, zdają się być we mnie, właśnie tak mógłby być słyszalny odgłos płynący z czwartego wymiaru.

Celowo nie pokusiłem się o żadną ripostę, lecz przycupnąłem nieco bliżej ogniska i zlustrowałem ciemność dokoła. Niebo zasnuło się

chmurami, blask księżycy nie był w stanie się przez nie przebić. Wszystko było ciche, nieruchome, nawet rzeka i żaby jakby się trochę uspokoiły.

– Właśnie na tym to polega – ciągnął – nie sposób tego przyrównać z niczym. To coś *nieznanego*. Można to określić tylko w jeden sposób – to nieludzki dźwięk, dźwięk, którego źródło nie pochodzi z tego świata.

Pozbywszy się tego niestrawnego kąska, przez pewien czas leżał w milczeniu; jednakże tak doskonale oddał to, co nie dawało mi spokoju, że kiedy to powiedział, poczułem niewysłowioną ulgę. Choć ciężko było ująć to słowami, nie musiałem już przynajmniej dłużej się nad tym zastanawiać.

Ta odludna wysepka na Dunaju, czy kiedykolwiek zdołam ją zapomnieć? To wrażenie całkowitego osamotnienia, jakbym był ostatnim człowiekiem na tej planecie! Raz po raz wracałem myślami do wielkich miast i skupisk ludzkich. Chyba byłem wówczas gotów zaprzedać duszę za to, by móc poczuć bliskość którejś z tych bawarskich wiosek, jakie mijaliśmy w sporych ilościach; tęskniłem za miejscami, gdzie żyli ludzie, brakowało mi pospolitych widoków wieśniaków popijających piwo, stołów stojących pod drzewami, prażących promieni słońca i ruin zaniku na skałach za małym, uroczym kościółkiem. Tęskniłem nawet za widokiem turystów.

A jednak to, co odczuwałem, nie było zwykłym strachem. Było to coś nieskończenie większego, dziwniejszego, wywodzącego się z jakiegoś mrocznego, pierwotnego lęku, starszego i o wiele bardziej niepokojącego niż wszystko, co znałem lub co potrafiłem sobie wyobrazić. Zboczyliśmy z drogi, zblądziliśmy, jak to ujął Szwed, na obce terytorium, lub może do miejsca, gdzie panowały nieznanne gdzie indziej warunki i gdzie ryzyko z nimi związane było większe niż w innych zakątkach świata, choć nie potrafiliśmy stwierdzić dlaczego, i gdzie wokół nas rozciągała się granica jakiegoś nieznanego, obcego świata. Było to miejsce uczęszczane przez istoty z innego wymiaru, rodzaj judasza, przez który mogły one obserwować Ziemię, same pozostając niewidzialne, punkt, gdzie woal między planami był szczególnie cienki. Gdybyśmy zabawili tu zbyt długo, moglibyśmy zostać przeciągnięci na drugą stronę, poza granicę, pozbawieni tego, co nazywamy życiem, lecz skutek procesu mentalnej, a nie fizycznej natury. W tym właśnie znaczeniu, jak stwierdził, zostalibyśmy złożeni w ofierze.

Do każdego z nas ta prawda dotarła w nieco inny sposób, w zależności od wrażliwości oraz oporu stawianego przeze mnie i przez Szweda. Ja przełożyłem to, w dość mglisty sposób, na uosobienie potęgi wzburzonych żywiołów, przydając im aspektu rozważnego, złowrogiego, celowego działania, wynikającego z faktu, że nieproszeni wdarliśmy się na ich terytorium; mój przyjaciel natomiast potraktował naszą przygodę w zgoła niezbyt odkrywczy sposób, przyrównując naszą przygodę do wejścia do jakiejś pradawnej świątyni, miejsca, gdzie wciąż żyją starzy bogowie, gdzie nadal wyczuwa się emocjonalną potęgę wiary dawnych wyznawców, ujawniając w ten sposób tkwiącą w nim, utajoną, pogańską naturę.

Tak czy owak, miejsce to było nieskażone przez człowieka, wiatr oczyszczał je z plugawych ludzkich wpływów, w miejscu tym istoty duchowe były nieomal na wyciągnięcie ręki i co gorsza, były nastawione wyjątkowo agresywnie. Nigdy, ani wcześniej, ani później nie miałem równie silnych, nieokreślonych doznań sugerujących, iż dostąpiłem bliskiego kontaktu z bramą do innego świata, odmienną formą życia i sposobami komunikacji nieznanymi człowiekowi. Koniec końców nasze umysły poddałyby się sile tego przeraźliwego czaru, my zaś zostalibyśmy przeciągnięci na drugą stronę granicy, do *ich* świata.

Drobiazgi świadczące o zdumiewającym wpływie tego miejsca, w ciszy panującej przy ognisku stały się czytelne i wyraźne dla każdego otwartego umysłu. Sama atmosfera zdawała się mieć szczególną zdolność do zniekształcania owych oznak: wydra obracająca się na falach, odpływający pospiesznie osobnik czyniący nerwowe gesty, wierzby zmieniające swe położenie, wszystko co zostało odarte ze swej natury i ukazane w całkiem odmiennym aspekcie, jako istniejące po drugiej stronie granicy, w innym świecie. Ten zmieniony aspekt nie był czymś nowym tylko dla mnie, lecz dla całej rasy ludzkiej. Doświadczenie, u progu którego staliśmy, było absolutnie nieznanie człowiekowi. To było coś całkiem nowego, nieznanego i w dosłownym tego słowa znaczeniu *nieziemskiego*.

– To rozważne, starannie skalkulowane działanie ukierunkowane na cel, które niweluje odwagę ludzką do zera – rzekł nagle Szwed, jakby czytał w moich myślach. – W innym przypadku można by to złożyć na karb wybujałej wyobraźni. Ale czółno, wiosło, utrata prowiantu...

– Czy nie wyjaśniłem tego wszystkiego raz a dobrze? – przerwałem mu gwałtownie.

– Owszem – przyznał - jak najbardziej.

Dorzucił jeszcze kilka innych uwag o czymś, co nazywał zdeterminowanym działaniem w celu zdobycia ofiary, teraz jednak, gdy nieco pozbierałem myśli, stwierdziłem, że było to jedynie desperackie wołanie jego przerażonej duszy, wywołane świadomością, że zadano mu cios w czuły punkt i że atak nie zakończy się, dopóki Szwed nie zostanie unicestwiony lub pokonany w jakiś inny sposób. Ta sytuacja wymagała odwagi i spokoju, logicznego rozumowania, któremu żaden z nas nie był w stanie sprostać, ja zaś nigdy jeszcze nie miałem równie silnego odczucia obecności w moim wnętrzu dwóch różnych osobowości: jednej, która potrafiła wszystko wyjaśnić, i drugiej, która wyśmiewała tak bzdurne wytłumaczenia, a jednak była śmiertelnie przerażona.

Tymczasem podczas ciemnej nocy ognisko przygasło, a zapas drewna bardzo zmalał. Żaden z nas nie kwapił się, by donieść świeżego chrustu i stopniowo ciemność wokół nas zaczęła gęstnieć. Nasze stopy, pozostające poza kręgiem blasku rzucanego przez płomień były już całkiem czarne. Od czasu do czasu podmuch wiatru wprowadzał w ruch otaczające nas wierzby, ale poza tym żaden inny dźwięk nie mącił panującej dokoła ciszy, przerywanej jedynie przez szum rzeki i rozlegające się gdzieś w górze nad nami uporczywe brzęczenie.

Wydaje mi się, że nam obu brakowało teraz przeciągłego zawodzenia wiatru.

Kiedy wreszcie wiatr zaczął przybierać na sile, osiągnąłem punkt, w którym nie mogłem się już dłużej powstrzymać, musiałem zacząć mówić, wyrzucić z siebie to, co leżało mi na sercu, co nie dawało mi spokoju, bo w przeciwnym razie udzieliłaby mi się groźna histeria, która, gdyby dotknęła nas obu, mogłaby okazać się niemożliwa do powstrzymania. Przegarnąłem ognisko, aby lepiej się rozpało, i spojrzałem na mego towarzysza. Uniósł wzrok, wyraźnie zaniepokojony.

– Nie mogę dłużej tego ukrywać – rzuciłem. – Nie podoba mi się to miejsce, ta ciemność, te odgłosy i dziwne doznania, których stale doświadczam. Jest tu coś, czego nie potrafię pojąć. Czuję się zbity z tropu, zdezorientowany, nie potrafię się odnaleźć. Gdyby drugi brzeg był... inny, słowo daję, popłynąłbym tam!

Ogorzałe oblicze Szweda wyraźnie pobladło. Spojrzał mi w oczy i odezwał się cicho, ale w jego głosie spod pozornego spokoju przebijała

niepohamowana ekscytacja. Przynajmniej na razie przyjaciel mój zachowywał siły za nas obu. Jego spokój wydał mi się nienaturalny. Był po pierwsze bardziej flegmatyczny niż zazwyczaj.

– To nie stan fizyczny, przed którym moglibyśmy uciec – odparł jak doktor, stawiający diagnozę ciężko choremu pacjentowi – musimy siedzieć spokojnie i czekać. Wokół nas, bardzo blisko są siły, które mogłyby uśmiercić stado słońi w okamgnieniu, równie łatwo jak ty czyja zabijamy muchę. Naszą jedyną szansą na przetrwanie jest zachowanie absolutnego spokoju i bezruchu. Może jeśli zostaniemy zlekceważeni, uznani za nic nie znaczące płotki, uda się nam ocalić skórę.

Moja twarz zdradzała w tej chwili dziesiątki dręczących mnie pytań, ale nie wypowiedziałem ich na głos. To brzmiało jak dokładny opis choroby, której symptomy zaobserwowałem.

– Chodzi mi o to, że choć wiedzą o naszej niepożądanym obecności, jak dotąd jeszcze nie zdołały nas *odnaleźć* – nie zlokalizowały nas, jak by to powiedzieli Amerykanie – ciągnął. – Szukają po omacku, kręcą się w kółko. Dowodem tego może być uszkodzenie kanu oraz zniknięcie wiosła i części prowiantu. Myślę, że one nas *wyczuwają*, ale nas nie widzą. Musimy wyciszyć nasze umysły... gdyż to właśnie nasze umysły one są w stanie wyczuć. Musimy kontrolować nasze myśli albo będzie po nas.

– Masz na myśli śmierć? – wykrztusiłem, czując, jak lód skuwa krew w moich żyłach.

– Powiedziałbym, że raczej coś gorszego – odparł. – Śmierć, w zależności od tego, w co wierzymy, oznacza całkowite unicestwienie lub uwolnienie od ograniczonego wpływu zmysłów, jednak bez zasadniczej zmiany naszego charakteru. Nie zmieniasz się tylko dlatego, że twoje ciało przestało istnieć. W tym przypadku jednak oznaczałoby to zmianę radykalną, całkowitą, przerażającą utratę własnej tożsamości na rzecz innej, czyli coś o wiele gorszego niż śmierć czy nawet kompletne unicestwienie. Tak się złożyło, że rozbiliśmy obóz w miejscu, gdzie nasze terytorium styka się z ich domeną, gdzie woal pomiędzy planami jest wyjątkowo cienki... – To straszne, ale mówił dokładnie to, do czego sam nie tak dawno doszedłem, używając niemal tych samych słów. – ...i dlatego zdołały wyczuć naszą obecność.

– Ale o kim ty właściwie mówisz? – spytałem.

Zapomniałem już o falujących dokoła wierzbach, mimo iż przecież nie było wiatru, jak również o dochodzącym gdzieś z góry brzęczeniu, zapomniałem o wszystkim prócz tego, że czekałem na odpowiedź, której obawiałem się bardziej niż czegokolwiek innego.

Zniżył głos i nachylił się lekko w moją stronę, a nieokreślona zmiana w wyrazie jego twarzy sprawiła, że natychmiast wlepiłem wzrok w ziemię.

– Przez całe życie – zaczął – w bliżej nieokreślony, lecz nader wyrazisty sposób zdawałem sobie sprawę z istnienia innego świata – poniekąd leżącego tuż obok naszego, ale zarazem całkiem odeń odmiennego – gdzie żyją i żerują wszelkie istoty i gdzie potężne, przerażające stworzenia spieszą, w sobie tylko znanych celach, to tu, to tam, lecz nasze, ziemskie sprawy w porównaniu z tym, co je zaprzęta, są jedynie nic nie znaczącymi błahostkami, jak pył rozwiewany na wietrze, w grę wchodzi bowiem sprawy o wiele istotniejsze, dotyczące bezpośrednio dusz i nie tylko w znanym nam rozumieniu tego słowa...

– Sugeruję, abyś jednak... – zacząłem, próbując go uciszyć, czułem się jakbym znalazł się twarzą w twarz z szaleńcem. On jednak nie pozwolił sobie przerwać.

– Uważasz – ciągnął – że to duchy żywiołów, ja natomiast sądziłem, że to starzy bogowie. Ale powiem ci, że żaden z nas nie ma racji. Teraz już to wiem. Te istoty mogłyby nas jakoś zrozumieć, i jedne, i drugie bowiem miały styczność z ludźmi, wszak były od nich uzależnione, jeżeli chodzi o oddawanie im czci i składanie ofiar, podczas gdy otaczające nas teraz istoty nie miały dotąd nic wspólnego z ludzkością jako taką i tylko za sprawą osobliwego kaprysu losu zdarzyło się, że ich domena właśnie w tym miejscu graniczy z naszą.

Ta teoria wydała mi się dziwnie przekonująca, gdy tak jej słuchałem w mrocznej ciszy tej oddalonej wysepki. Zimny dreszcz przeszedł mi po grzbiecie. Nie byłem w stanie się opanować.

– I co wobec tego proponujesz? – zapytałem.

– Ofiara, poświęcenie mogłoby nas ocalić, zajmując je na dostatecznie długi czas, abyśmy zdołali się stąd wydostać – ciągnął – tak jak wilki zatrzymują się, by pożreć psy, a w tym czasie sanie mogą bezpiecznie odjechać. Tylko że... jakoś nie widzę możliwości, abyśmy mogli znaleźć tu jakąś ofiarę.

Spojrzałem na niego tępo. Błyski w jego oczach przeraziły mnie do cna. Wreszcie znów się odezwał.

– To rzecz jasna wierzby. To wierzby *maskują* te istoty, ale one przez cały czas nas poszukują. Jeżeli zaczniemy zdradzać nasze lęki i obawy, będziemy zgubieni. – Spojrzał na mnie z takim spokojem, determinacją i szczerością, że nie wątpiłem, iż nadal był przy zdrowych zmysłach. Był całkiem normalny. – Gdyby udało się nam przetrwać tę noc – dodał – może za dnia zdołalibyśmy odpłynąć niepostrzeżenie, lub powinienem raczej powiedzieć – *nie odkryci*.

– Czy naprawdę sądzisz, że ofiara mogłaby...

Gdy to powiedziałem, brzęczenie przypominające dźwięk gongu rozległo się tuż nad naszymi głowami, ale to wyraz przerażenia na twarzy mego przyjaciela sprawił, że nagle zamilkłem.

– Ciii! – wyszeptał, unosząc dłoń do góry. – Nie wspominaj o nich, jeśli nie musisz. Nie próbuj wymawiać ich imion. Nazwanie jest równoznaczne z ich ujawnieniem, to coś, czego powinniśmy unikać, naszą jedyną nadzieją jest zignorowanie ich, a może wówczas one zignorują nas.

– Nawet w myślach?

Był bardzo pobudzony. – Zwłaszcza w myślach. Nasze myśli są widoczne w ich świecie jak namalowane obrazy. Musimy za wszelką cenę postarać się wyrugować je z naszych myśli.

Przegarnąłem ognisko, by jeszcze na jakiś czas powstrzymać gęstniejący mrok. Nigdy jeszcze tak jak teraz, w tę czarną letnią noc, nie tęskniłem za słońcem.

– Ty nie zmrużyłeś oka przez całą ubiegłą noc? – zapytał nagle.

– Zdrzemnąłem się trochę, po wschodzie słońca, ale w sumie kiepsko spałem – odparłem wymijająco, starając się postępować zgodnie z jego zaleceniami, które jak podpowiedział mi instynkt, były słuszne i trafne. – Sam wiesz, ten wiatr...

– Wiem. Tylko że wiatr nie mógł wywołać wszystkich tych odgłosów.

– A więc ty też to słyszałeś?

– Słyszałem niezliczone, zwielokrotnione odgłosy stąpania – odparł po chwili wahania – i ten drugi dźwięk...

– Ten, dobiegający znad namiotu, a potem napierający na nas, jak coś nieopisanego, ogromnego, niezmiernego?

Pokiwał głową znacząco.

– I czułeś przy tym, jakby coś cię w środku dusiło? – spytałem.

– Po części tak. Miałem wrażenie, jakby zmieniło się ciśnienie powietrza, wzrastające do tego stopnia, że mogłoby nas zmiążdżyć.

– A to... co myślisz o tym? – ciągnąłem, wskazując w górę, skąd bez przerwy dochodziło to cichnące, to przybierające na sile brzęczenie.

– To one – odparł. – To ich odgłosy – wyszeptał z powagą. – Dźwięki ich świata, odgłosy ich domeny. Granica jest tu tak cienka, że te dźwięki bez trudu się przez nią przesączają. Jeśli jednak zaczniesz uważnie nasłuchiwać, zorientujesz się, że dochodzą one nie tyle z góry, co raczej zewsząd dokoła. Mówiąc konkretnie, od strony wierzb. To wierzby wydają te odgłosy, ponieważ tu, w tym miejscu wierzby uczyniono symbolami mocy, które są przeciwko nam.

Nie bardzo zrozumiałem, co chciał przez to powiedzieć, lecz z całą pewnością podzielałem jego teorie. Doszedłem do tych samych wniosków, co on, choć nie potrafiłem poprzeć ich równie wnikliwą jak jego analizą. Już miałem opowiedzieć mu o zadziwiającej halucynacji, jakiej doświadczyłem w nocy, kiedy zdawało mi się, że widzę słup wirujących postaci i poruszające się krzewy, gdy nagle Szwed nachylił się gwałtownie w moją stronę i przemówił szeptem pełnym przejęcia i powagi. A przecież od lat uważałem tego człowieka za kompletnie pozbawionego wyobraźni i chłodnego w osądach!

– Słuchaj uważnie – wycedził. – Jedyne, co możemy teraz zrobić, to zachowywać się, jakby nic się nie stało, postępować zgodnie z codziennymi zwyczajami, położyć się na spoczynek, udawać, że niczego nie wyczuwamy ani nie dostrzegamy. To kwestia czysto mentalna. Im mniej będziemy o tym myśleć, tym większe mamy szanse na ucieczkę. Ale przede wszystkim *nie myśl*, bo to, co sobie pomyślisz, to się stanie!

– W porządku – wykrztusiłem, zaskoczony treścią jego słów i osobliwością tego wszystkiego – dobrze, postaram się, ale najpierw coś mi powiedz. Jak sądzisz, co zrobiło te zagłębienia w piasku, wokół naszego obozowiska, skąd się wzięły te otwory i niecki?

– Nie! – zawołał, nie próbując już dłużej silić się na szept. – Nie odważę się, po prostu nie odważę się ująć tego w słowa. Jeśli się tego nie domyśliłeś, tym lepiej dla ciebie. Zapomnij o tym. *One* wtoczyły to w mój umysł, zrób, co w twojej mocy, by nie uczyniły z tobą tego samego.

Znów zniżył głos do szeptu, ale nie próbowałem już nakłaniać go do dalszych wyjaśnień. Koszmar tego wszystkiego i tak już nieźle dawał mi się we znaki. Rozmowa dobiegła końca i przez pewien czas paliliśmy nasze fajki w milczeniu.

I nagle coś się stało, coś z pozoru błahego, jak to zwykle bywa, gdy nerwy masz napięte do granic wytrzymałości; ów drobiazg przez krótką chwilę pozwolił mi spojrzeć na wszystko z całkiem innej perspektywy. Spojrzałem na moje sandały plażowe, używaliśmy ich obaj, w czóźnie, a widok skórzanej pętelki na duży palec przywiódł mi na myśl sklep w Londynie, gdzie je kupiłem, kłopoty z ich dopasowaniem i inne szczegóły tej skądinąd nieciekawej, lecz koniecznej operacji. Poszedłem dalej tym tokiem myśli i oczom moim ukazała się, w całej swej okazałości, perspektywa współczesnego, sceptycznego świata, którą wpajano mi w rodzinnym domu. Pomyślałem o rostbefie, piwie, samochodach, policjantach, orkiestrach dętych i dziesiątkach innych rzeczy, które tworzyły ducha codzienności oraz użyteczności. Skutek był natychmiastowy i zdumiewający, nawet dla mnie samego. Z psychologicznego punktu widzenia była to po prostu nagła i gwałtowna reakcja po dłuższym okresie życia w silnym stresie wynikającym z kontaktu z rzeczami, które w naszym rozumieniu są niemożliwe, niewiarygodne i nieprawdopodobne. Jednak niezależnie od przyczyny, pozwoliło to na krótką chwilę uwolnić moje serce z mocy czaru i przez blisko minutę bez lęku cieszyć się absolutną swobodą. Nie bałem się niczego. Już nie. Spojrzałem na mego przyjaciela.

– Ty przeklęty stary poganinie! – zawołałem, śmiejąc mu się prosto w twarz. – Ty kretynie bez krzty wyobraźni! Ty zabobonny bałwochwalcze! Ty...

Nie dokończyłem, przepełniony na nowo dawną zgrozą. Próbowałem zdusić swój własny głos, jakbym popełnił straszne świętokradztwo. Szwed rzecz jasna także to usłyszał: dziwny krzyk rozlegający się w ciemnościach, nad nami i ten nagły wzrost ciśnienia, jakby coś opadało w dół, zbliżając się do nas.

Twarz Szweda pod opalenizną pobladła jak płótno. Podniósł się błyskawicznie, stając sztywno, jakby kij połknął, przy ognisku i spojrzał na mnie.

– Po tym... – rzekł nerwowym, pełnym przejęcia głosem – musimy stąd odejść! Nie możemy tu zostać. Musimy natychmiast zwinąć obóz i przenieść się gdzieś dalej, w dół rzeki.

Mówił chaotycznie, z trudem dobierał słowa, najwyraźniej był przerażony, długo opierał się rozmaitym lękom, ale w końcu i on musiał ustąpić.

– Po ciemku? – wykrzyknąłem, rozdygotany ze strachu po moim histerycznym wybuchu, ale mimo to lepiej niż on orientowałem się w naszym położeniu. – Toż to czyste szaleństwo! Poziom rzeki wciąż jest wysoki, a my mamy tylko jedno wiosło. Poza tym tylko dotarlibyśmy jeszcze dalej w głąb ich domeny! Na przestrzeni pięćdziesięciu mil nie ma tu nic prócz wierzb! Tylko wierzby! Same wierzby!

Usiadł, był bliski kompletnego załamania. Za sprawą jakiegoś niepisanego czynnika, w które obfituje natura, doszło do nagłej i zgoła niepoahamowanej zmiany ról i układu sił – teraz ja miałem zadbać o nas obu. Umysł Szweda, dotąd niewzruszony, zaczął się poddawać.

– Co cię opętało? Dlaczegoś to zrobił? – wyszeptał z trwogą w głosie. Podszedłem do ogniska z jego strony. Ująłem dłonie Szweda w swoje, ukląknę przy nim i spojrzałem głęboko w jego przerażone oczy.

– Rozpalimy nowe ognisko – oznajmiłem – a potem udamy się na spoczynek. O świcie popłyniemy jak najszybciej do Komom. A teraz weź się w garść i nie zapominaj o tym, co mi niedawno mówiłeś: Myśl pozytywnie! Nie okazuj lęku! Nie myśl o tym, że się boisz!

Nie powiedział ani słowa, ale zrozumiałem, że wziął to sobie do serca i spróbuje sprostać wyzwaniu. Muszę przyznać, że z pewną ulgą obaj wstaliśmy i wyruszyliśmy w noc, po kolejną porcję drewna na ognisko. Szliśmy obok siebie, przedzierając się przez chaszczę w kierunku brzegu. Brzęczenie nad nami nie cichło ani na chwilę, lecz w miarę jak oddalaliśmy się od ogniska, chyba coraz bardziej przybierało na sile. Te dźwięki sprawiły, że po grzbiecie przebiegły mi lodowate ciarki!

Przedzieraliśmy się przez gąszcz wierzb, gdzie wśród gałęzi pozostało trochę drewna przyniesionych z sobą przez wcześniejszą powódź, kiedy moje ciało zostało nagle zamknięte w tak szalonym uścisku, że omal się nie przewróciłem. To Szwed. Osunął się na mnie i schwycił mnie rękami. Usłyszałem jego nerwowy, urywany szept oddechu.

– Spójrz! Na moją duszę! – wyszeptał i wtedy po raz pierwszy w ży ciu usłyszałem głos człowieka, który z przerażenia był bliski łez.

Wskazywał na ognisko, odległe o jakieś pięćdziesiąt stóp od nas. Powiodłem wzrokiem za jego palcem i dając głowę, na chwilę serce zamarło mi w piersi. W słabej poświacie ogniska *coś się poruszało*.

Ujrzałem to przez woal zwieszający się przed moimi oczami jak kurtyna z gazy, czyli trochę rozmyte i niewyraźne. To nie była istota ludzka ani żadne zwierzę. W moim mniemaniu to coś wydawało się wyjątkowo duże, jak kilka zwierząt, na przykład koni połączonych razem w osobliwy sposób i poruszało się bardzo wolno. Szwed także odniósł podobne wrażenie, choć ujął to inaczej, gdyż według niego ta istota przypominała kępę wierzb, zaokrągloną u góry i poruszającą się na całej swej powierzchni, falującą jak dym - jak wyznał mi później.

– Widziałem, jak to coś osuwa się w dół, pośród krzewów – zaszlochał.
– Spójrz, na Boga! To idzie tutaj! Idzie w tę stronę! Och, och – wy dał z siebie krótki, przeraźliwy okrzyk. – *Znalazły nas!*

Z przerażeniem spojrzałem w stronę ogniska i zauważyłem, że cienisty kształt, falując, przesuwa się w naszym kierunku pośród krzewów, zaś zaraz potem z głuchym trzaskiem runąłem do tyłu, między gałęzie. Rzecz jasna, nie zdołały one utrzymać mego ciężaru, toteż obaj, ja i Szwed upadliśmy ciężko na piasek. Prawie nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. Czułem tylko przeraźliwy strach, wyłuskujący moje nerwy z ich cielesnej powłoki, wprawiający je w niepohamowane drżenie i wtykający je na powrót pod skórę. Oczy miałem mocno zamknięte, czułem nieprzyjemny ucisk w gardle, równocześnie zaś poczułem, że moja świadomość ulega rozszerzeniu, rozciąga się hen, w przestrzeń; wrażenie to bardzo szybko zostało zastąpione przez inne, odczułem bowiem, że się zatracam, zanikam, rozpływam i już wkrótce umrę.

W tej samej chwili przeszył mnie gwałtowny, palący spazm i zrozumiałem, że to Szwed wciąż ścisnął mnie tak mocno, że sprawiał mi ból. Nie puścił mnie nawet, kiedy upadał.

Koniec końców jednak to właśnie ten ból zdołał mnie ocalić, sprawił, że *zapomniałem o nich* i zacząłem myśleć o czymś innym, dokładnie w tej chwili, kiedy te istoty były bliskie odnalezienia mnie. Fala bólu spowiała mój umysł, ukrywając go przed nimi niemal w ostatniej chwili. Jeszcze

ułamek sekundy i znalazłbym się w ich mocy. Szwed powiada, że w tej samej chwili on sam stracił przytomność i to go właśnie uratowało.

Wiem tylko, że później – nie potrafię stwierdzić, ile czasu minęło od naszego traumatycznego przeżycia, zacząłem wygrzebywać się z uścisku wierzbowych witek i ujrzałem mego przyjaciela, stojącego przede mną i wyciągającego w moją stronę pomocną dłoń. Spojrzałem na niego otepiałym wzrokiem, rozcierając obolałe ramię, to, które tak mocno ścisnął. Nic mi nie przychodziło do głowy, więc póki co zachowywałem całkowite milczenie.

– Straciłem przytomność na parę chwil – usłyszałem jego głos. – To mnie ocaliło. Dzięki temu przestałem o nich myśleć.

– Omal nie złamałeś mi ręki – poskarżyłem się, przyoblekając w słowa jedyną myśl, jaka zaprzętała w tej chwili mój umysł. Ogarnęło mnie dziwne odrętwienie.

– I to właśnie uratowało ciebie! – odparł. – Wspólnie zdołaliśmy je zmylić, podsunąć im fałszywy trop. Brzęczenie ucichło. To odeszło – przynajmniej na razie!

Znów wybuchnąłem histerycznym śmiechem i tym razem moja radość udzieliła się także Szwedowi, przynosząc i mnie, i jemu niewysłowioną, zbawczą ulgę. Wróciliśmy do obozowiska i dorzuciliśmy dREW do ognia; płomienie od razu buchnęły wysoko, ku niebu. W tej samej chwili zauważyliśmy, że nasz namiot, spoczywający w płytkim zagłębieniu w piasku runął; linki poluzowały się. Rozbiliśmy go ponownie, tym razem o wiele staranniej.

– To przez te zagłębienia w piasku! – wykrzyknął Szwed, kiedy wreszcie uporaliśmy się z namiotem, a blask płomieni rozświetlił ziemię wokół nas na przestrzeni kilkunastu jardów. – Spójrz, jakie są wielkie!

Cały teren wokół namiotu i ogniska, gdzie widzieliśmy poruszające się cienie, pokryty był mnóstwem głębokich otworów i niecek, podobnych do tych, które napotkaliśmy już wcześniej na całej tej wyspie, tyle tylko, że te były znacznie rozleglejsze, większe i głębsze od tamtych, wspaniale uformowane i tak szerokie, że w kilku z nich mogłem zmieścić całą stopę i nogę aż po kolano.

Żaden z nas nie odezwał się już słowem. Obaj wiedzieliśmy, że zapadnięcie w sen to najbezpieczniejsze, co mogliśmy teraz zrobić, toteż niezwłocznie ułożyliśmy się na spoczynek. Najpierw jednak zagasiliśmy

ognisko, przysypując je piaskiem, a worek z prowiantem i wiosło zabraliśmy z sobą do namiotu. Kanu też ułożyliśmy przy końcu namiotu w taki sposób, że dotykaliśmy go stopami, i wystarczyłoby lekkie poruszenie, aby nas obudzić.

Na wszelki wypadek wyjątkowo ułożyliśmy się na spoczynek w ubraniach, aby w razie konieczności móc natychmiast opuścić wysepkę.

Miałem szczerzy zamiar czuwać przez całą noc, ale skrajne wyczerpanie i zszargane nerwy pokrzyżowały moje plany i niebawem zapadłem w stan błogiej nieświadomości. Fakt, że mój towarzysz także spał, tylko przyspieszył nadejście snu. Początkowo wiercił się, a w pewnej chwili nawet usiadł, pytając mnie, czy słyszałem to lub tamto. Kręcił się na korkowym materacu, mówiąc, że namiot się rusza, a rzeka zaczęła zalewać wyspę, lecz ja za każdym razem wychodziłem i wracałem, by poinformować go, że wszystko w porządku, aż wreszcie uspokoił się i znieruchomiał. W końcu jego oddech stał się regularny i usłyszałem wyraźne chrapanie – po raz pierwszy i jedyny w całym moim życiu czyjeś chrapanie sprawiło mi niekłamaną ulgę i wywarło na mnie uspokajający wpływ.

Pamiętam, że była to moja ostatnia myśl tuż przed zaśnięciem.

Obudziły mnie kłopoty z oddychaniem, jak się okazało, koc zasłaniał mi usta. Lecz prócz koca coś jeszcze na mnie napierało, w pierwszej chwili przypuszczałem, że to mój towarzysz, obracając się przez sen, stoczył się ze swego materaca na mój. Zawołałem doń i usiadłem, a w chwilę później uświadomiłem sobie, że cały namiot został *otoczony*. Z zewnątrz znów dobiegał ten donośny stukot, przepełniając noc niewysłowioną zgrozą.

Ponownie zawołałem swego kompana, tym razem głośniejszym głosem niż poprzednio. Nie odpowiedział, lecz nie słyszałem już chrapania, zwróciłem ponadto uwagę, że płachta u wejścia do namiotu była otwarta. To niewybaczalny błąd. Podpełzłem w ciemnościach, aby ją ponownie zabezpieczyć, i wtedy właśnie po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że Szweda nie było obok mnie; zniknął.

Wypadłem na zewnątrz jak oszalały, ogarnięty pełną trwogi ekscytacją, a gdy znalazłem się poza namiotem, otoczyła mnie zewsząd fala donośnego brzęczenia zdająca się płynąć z każdego zakątka nieba naraz. To było to samo brzęczenie, lecz jakże odmienione, pulsujące szaleńczym rytmem! Zdawało się, że wokół mnie unosi się w powietrzu rój niewidzialnych

pszczoł. Dźwięk ten sprawiał, że powietrze zgęstniało, a moje płuca pracowały z wyraźnym trudem.

Tyle tylko, że mój przyjaciel był w niebezpieczeństwie, nie mogłem się zatem wahać.

Zbliżał się świt, słabe światło przesączało się ponad chmurami za czystym horyzontem. Nie było wiatru. Widziałem krzewy, rzekę poza nimi i jasne spłachetki piasku. Przejęty do cna, biegałem jak szalony w tę i z powrotem, wołając go po imieniu, krzycząc na całe gardło słowa, jakie tylko przyszły mi na myśl. Wierzby jednak stłumiły moje wołanie, podobnie jak rozlegające się dokoła brzęczenie, mój głos był słyszalny jedynie na odległość kilku stóp. Wpadłem między krzewy, przewróciłem się o korzenie, runąłem na twarz, gałęzie rozdrapywały mi czoło i policzki, gdy zawzięcie przedzierałem się przez gąszcz.

Wtem zgoła nieoczekiwanie znalazłem się na samotnym cyplu naszej wysepki i ujrzałem ciemną postać rysującą się pomiędzy niebem a wodą. To był Szwed. Stał już jedną nogą w wodzie! Jeszcze chwila i rzuci się w nurt!

Dałem susa w jego kierunku, dopadłem go i objąwszy ramionami w pasie pociągnąłem go z całej siły do brzegu. Rzecz jasna stawiał zacięty opór, wydając przez cały czas odgłosy przypominające to przekłete brzęczenie i wypowiadając w gniewie zagadkowe, niezrozumiałe słowa oraz zdania o „wejściu w *głąb* nich”, „przyjęciu drogi wody i wiatru” i wiele, wiele innych, które na próżno próbowałem sobie później przypomnieć, a które mierziły mnie niepomiernie i przepełniały zgrozą, gdy usłyszałem je, wypływające z jego ust. W końcu jednak udało mi się dowlec go do gwarantującego względne bezpieczeństwo namiotu i cisnąć, zdyszanego i klnącego na czym świat stoi, na materac, gdzie unieruchomiwszy, przytrzymałem go, dopóki się nie uspokoił.

Atak minął. Stało się to nagle. Mam wrażenie, że to właśnie owa gwałtowność, z jaką toczyły się niniejsze wydarzenia, i jak niespodzianie uspokoił się mój przyjaciel – czemu towarzyszyło nagłe, jak ucięte nożem ucichnięcie osobliwego brzęczenia i stukotu rozlegającego się na zewnątrz, wydało mi się w tym wszystkim najdziwniejsze. Oto bowiem Szwed ni stąd, ni zowąd otworzył oczy i uniósł udręczone oblicze, aby na mnie spojrzeć, a gdy padło nań blade światło wschodzącego słońca płynące od wejścia do namiotu, rzekł niepewnym tonem, jak przerażone dziecko:

– Moje życie, stary... zawdzięczam ci życie. Ale już jest po wszystkim. Znalazły sobie inną ofiarę zamiast nas!

W następnej chwili osunął się ciężko na posłanie i zasnął. Padł jak ścięty i niemal natychmiast zaczął chrapać tak głośno i zdrowo, jakby nic się nie wydarzyło, jakby on sam, Szwed, nie próbował złożyć swego życia w ofierze, rzucając się do rzeki. Kiedy zaś złociste promienie słońca obudziły go w trzy godziny później – przez ten czas nieustannie przy nim czuwałem – stało się dla mnie jasne, że nic nie pamięta, nie ma pojęcia, co chciał zrobić, a jeżeli o mnie chodzi, najrozsądniej będzie, jak daruję sobie zadawanie mu trudnych pytań.

Obudził się w sposób całkiem naturalny, bez trudu, jak już wspomniałem, kiedy słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie w ten upalny, bezwietrzny dzień i natychmiast wstał, by przygotować ognisko i przyrządzić śniadanie. Towarzyszyłem mu, gdy poszedł się umyć, ale nie próbował rzucić się do rzeki, zanurzył w niej tylko głowę i rzucił kilka zdawkowych uwag, że jest wyjątkowo zimna.

– Poziom wód nareszcie opada – dodał. – Bardzo mnie to cieszy.

– Brzęczenie także ucichło – zauważyłem.

Uniósł wzrok i spojrzał na mnie z typowym dla siebie spokojnym wyrazem twarzy. Najwyraźniej przypomniawszy sobie wszystko, z wyjątkiem tego, że próbował popełnić samobójstwo.

– Wszystko ucichło – mruknął. – Tak jakby...

Zawahał się. Wiedziałem jednak, że pragnie nawiązać do słów, jakie wypowiedział, nim zasnął jak zabity, i postanowiłem mu je przypomnieć.

– Tak jakby „znalazły sobie inną ofiarę?” – spytałem, siląc się na pogodny ton.

– Właśnie – odparł – dokładnie tak! Ja to czuję, o tak... chcę powiedzieć, że znów czuję się bezpieczny – dokończył.

Przyjrzałem mu się z uwagą. Promienie słońca tworzyły na piasku nierównomierne, gorące plamy. Nie było wiatru. Wierzby nie poruszały się. Podniósł się powoli.

– Chodź – powiedział. – Myślę, że jeżeli dobrze poszukamy, uda się nam ją odnaleźć.

Pobiegł, a ja pospieszyłem za nim. Biegł wzdłuż brzegu, mącąc patykiem wodę w piaszczystych zatoczkach i wtykając go do niedużych jaskiń czy płytkich rozlewisk. Ja trzymałem się z boku.

– No! – wykrzyknął w końcu. – No!

Ton jego głosu przywołał we mnie wspomnienia koszmaru ostatnich dwudziestu czterech godzin i czym prędzej podbiegłem, by do niego dołączyć. Wskazywał pątykiem na coś dużego i ciemnego, co leżało po części w wodzie, po części zaś na piasku. Obiekt ten wydawał się być zaplątany w poskręcane gałęzie wierzb tak, że prąd nie mógł porwać go z sobą. Kilka godzin wcześniej miejsce to musiało znajdować się pod wodą.

– Widzisz – rzekł półgłosem – oto ofiara, która umożliwi nam ucieczkę!

Kiedy spojrzałem ponad jego ramieniem, zauważyłem, że dotykał końcem pątyka ciała mężczyzny. Odwrócił je. To były zwłoki wieśniaka, twarz była niewidoczna, wciśnięta w piach. Najwyraźniej człowiek ten musiał utonąć przed kilkunastoma godzinami, a jego ciało rzeka zniosła na brzeg naszej wysepki mniej więcej o wschodzie słońca, czyli *dokładnie* o tej porze kiedy minął osobliwy atak, który nawiedził Szweda.

– Wiesz, że musimy urządzić mu przyzwoity pochówek...

– Chyba tak – odparłem. Wzdrygnąłem się, jakby wbrew sobie, albowiem w wyglądzie nieboszczyka było coś, co zmroziło mi krew w żyłach.

Szwed uniósł wzrok i spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, po czym zaczął schodzić w dół zbocza. Podążałem za nim powoli. Zauważyłem, że prąd zdarł z ciała większość odzienia, odsłaniając szyję i fragment klatki piersiowej topielca.

W połowie wysokości zbocza towarzysz mój nagle przystanął i uniósł rękę w ostrzegawczym geście, ale albo się poślizgnąłem, albo byłem zanadto rozpędzony, aby stanąć, i w efekcie wpadłem na niego; by nie wpaść do wody, pchnąłem Szweda mocno do przodu. Potoczyliśmy się na stwardniały piach i ostatecznie zamoczyliśmy tylko nogi. Równocześnie jednak, czemu nie mogliśmy zapobiec, zderzyliśmy się z leżącym na brzegu nieboszczykiem.

Szwed krzyknął przeraźliwie. Ja również poderwałem się jak oparzony.

W chwili gdy dotknęliśmy ciała, z jego powierzchni popłynęło donośne, nierównomierne brzęczenie, które ucichło przy wtórze głośnego trzepotu, jakby w powietrzu wokół nas zaroilo się od spłoszonych, skrzydlatych istot, które natychmiast zniknęły, wzbijając się ku niebu; trzepot stawał się z każdą chwilą coraz cichszy, aż w końcu umilkł zupełnie. Wydawało się,

jakbyśmy przeszkodzili jakimś żywym, lecz niewidzialnym istotom przy pracy.

Mój towarzysz objął mnie, a ja chyba opasałem ramionami jego, lecz nim ktokolwiek z nas zdołał otrząsnąć się z niespodziewanego szoku, zauważyliśmy, że prąd rzeczny zdołał jednak poruszyć zwłokami i obrócić je, wyrwane już z uścisku wierzbowych korzeni. W chwilę potem topielec całkiem się odwrócił, jego oblicze skierowało się ku górze, ku niebu. Zwłoki leżały teraz na samym brzegu rzeki. Za chwilę porwie je prąd.

Szwed rzucił się, chcąc je zatrzymać, wykrzykując słowa, których nie rozumiałem; mówił coś o należywym pochówku... i nagle osunął się na kolana, ukrywając twarz w dłoniach. W jednej chwili znalazłem się przy nim.

Zobaczyłem to samo co on.

Kiedy bowiem prąd rzeki obrócił ciało, twarz i fragment klatki piersiowej znalazły się zwrócone w naszą stronę i teraz mogliśmy wyraźnie zobaczyć widniejące na ciele topielca nieduże, wyjątkowo regularne wgłębienia, przypominające kształtem i ułożeniem ślady na piasku, na jakie natrafiliśmy na całej tej wysepce.

– To ich ślady! – usłyszałem zduszony głos mojego kompana. – Ich plugawe ślady!

Gdy wreszcie oderwałem wzrok od jego pobladłej z przerażenia twarzy i spojrzałem na rzekę, okazało się, że prąd dopiął swego i porwał zwłoki; ciało było już poza naszym zasięgiem i prawie go nie widzieliśmy, unoszone w dal, obracało się na falach jak wydra.

Sekretny kult

(Secret Worship)

Harris, handlarz jedwabiem, przebywał na południu Niemiec, wracając do domu z podróży w interesach, kiedy nagle przyszło mu na myśl, aby wsiąść w Strassburgu do pociągu kolei górskiej i odwiedzić starą szkołę, po trzydziestu latach z okładem. To właśnie temu nieodpartemu, instynktownemu impulsowi młodszego partnera w firmie braci Harris z St. Paul's Churchyard, John Silence zawdzięczał jedną z najbardziej osobliwych spraw, z jakimi miał okazję zetknąć się w całej swojej zawodowej karierze, gdyż właśnie w owym czasie wędrował po tych samych górach z plecakiem i dwaj mężczyźni, zmierzający z dwóch przeciwległych kierunków zgoła nieświadomie kierowali się ku tej samej gospodzie.

W głębi serca, które od ponad trzydziestu lat zajmowało się głównie sprawami jak najbardziej zyskowego kupna i sprzedaży jedwabiu, wspomniana szkoła pozostawiła głęboko odcisnięty ślad i choć Harris być może nie zdawał sobie z tego sprawy, pobyt w niej wpłynął na całe jego późniejsze życie. Jako członek niewielkiej, protestanckiej społeczności (bliższe szczegóły pozwolę tu sobie pominąć) Harris został tam wysłany przez ojca w wieku lat piętnastu, przede wszystkim po to, by nauczył się niemieckiego, którego znajomość w biznesie jedwabnym była nieodzowna, po części zaś dlatego, że panowała tam żelazna dyscyplina, a w owym czasie jego dusza i ciało niczego nie wymagało tak bardzo jak właśnie dyscypliny.

Życie tam okazało się faktycznie wyjątkowo ciężkie, a młody Harris nauczył się dzięki niemu naprawdę sporo, bo choć kary cielesne nie były stosowane, w szkole istniał cały system mentalnych i duchowych kar,

sprawiających, że winowajca do głębi uświadamiał sobie rozmiary popełnionego przez siebie wykroczenia i choć miał świadomość, że jego dusza została oczyszczona i wzmocniona, cierpienia, jakich przy tym doznał, nie wynikały bynajmniej z chęci wzięcia na nim przez kogokolwiek odwetu.

Było to ponad trzy dekady temu, kiedy był jeszcze rozmarzonym, trzpiotowatym, piętnastoletnim młodzieńcem; teraz zaś, kiedy pociąg powoli piał się po stokach kolejnych górskich parowów, Harris wrócił tęsknie myślami do owych odległych czasów i z mroków przeszłości wyłoniły się z dawna zapomniane szczegóły. Życie w tej odległej, górskiej wiosce wydawało mu się naprawdę cudowne, od zgiełku codziennego świata chroniła go spora odległość dzieląca to miejsce od innych zamieszkałych osad, a miłość i oddanie braci kierujących szkołą zaspokajały potrzeby zarówno jego, jak i stu innych chłopców pochodzących ze wszystkich krajów Europy. Oczyma duszy widział to miejsce i niektóre z minionych zdarzeń. Znowu poczuł woń panującą w starych, kamiennych korytarzach i emanujących ciepłem pokojach, wyłożonych sosnową boazerią, gdzie latem spędzał na nauce długie, leniwe godziny, wsłuchując się w dochodzące zza okna brzęczenie pszczoł, a pismo gotyckie w jego myślach wiodło zacięte boje z marzeniami o angielskich trawnikach – i wtedy też usłyszał dobrze mu znany, okropny krzyk jednego z wykładowców, wołającego po niemiecku: „Harris, wstań! Ty zasnąłeś!”

Przypomniał sobie, jak stał potem przerażony w bezruchu przez godzinę, z książką w dłoni, podczas gdy jego kolana z każdą chwilą miękły jak wosk, a głowa robiła się ciężka niczym kula armatnia.

Powrócił doń zapach potraw codziennej *sauerkraut*, wodnistej czekolady w niedziele i smak żylastego mięsa serwowanego dwa razy w tygodniu na *mittagessen*; znowu uśmiechnął się do siebie, wspominając porcje zmniejszane o połowę za karę, że w szkole posługiwał się językiem angielskim. Ten zapach kubków z mlekiem i słodki aromat wiejskiego chleba, który zawsze czuł przy śniadaniu o szóstej rano, powrócił doń ze zdwojoną siłą, oczyma duszy ujrzał wielką *speisesaal* z setką uczniów w jednakowych mundurkach, sennych i jedzących w milczeniu, połykających kęsy świeżego chleba i popijających je łykami gorącego mleka, pochłaniających posiłek pospiesznie, w obawie, by dźwięk dzwonka nie

pozbawił ich możliwości dokończenia go, a na drugim końcu sali, gdzie siedzieli wykładowcy, zobaczył wąskie, wysokie okna, przez które dostrzec można było urzekające, rozległe pole i wielki, mroczny las.

To z kolei przywiodło mu na myśl olbrzymi jak stodoła pokój na najwyższym piętrze, gdzie wspólnie spali, na drewnianych łózkach, w jego wspomnieniach zaś rozbrzmiał okrutny dźwięk dzwonka zrywający ich już o piątej w zimowe poranki i zwołujący wszystkich do wyłożonej kamiennymi płytami *waschkammer*, gdzie uczniowie i nauczyciele pospołu po dokonaniu pospiesznych ablucji w lodowatej wodzie, ubierali się w absolutnym milczeniu.

Potem jego myśli zajęły jeszcze inne rzeczy i Harris wzdrygnąwszy się, jął wspominać osobliwą samotność wynikającą z faktu, że nigdy tak naprawdę nie mógł być sam, oraz to, że każdą czynność, czy to pracę, naukę, jedzenie, sen, spacer, a nawet czas wolny dzielił ze swoją grupą dwudziestu innych chłopców, w dodatku pod okiem co najmniej dwóch srogich nauczycieli. Szansę na samotność miał tylko wówczas, gdy poprosił o możliwość półgodzinnych ćwiczeń w jednej z przypominających celę więzienną sal muzycznych; Harris uśmiechnął się do siebie, wspominając, z jakim oddaniem praktykował był ongiś naukę gry na skrzypcach...

Kiedy pociąg brnął z mozołem przez rozległe, sosnowe lasy porastające te góry, Harris coraz bardziej pogrążał się we wspomnieniach, przywołując w nich, z życzliwością, szkolnych wykładowców i opiekunów nazywanych jednakowo Braćmi i ponownie dziwiąc się, że ludzie ci byli w stanie na tak długo zaszyć się w tak odludnym miejscu, a opuszczali je wyłącznie - i to bardzo rzadko, - by wyruszyć z misjonarskim powołaniem do jeszcze bardziej dzikich i zakazanych zakątków świata.

Znów przywołał w myślach cichą, spokojną, religijną atmosferę, która spowijała tę niewielką, odosobnioną społeczność niczym niewidzialny woal odcinając ją od trosk i niepokojów zewnętrznego świata; malownicze ceremonie Wielkiej Nocy, Bożego Narodzenia i Nowego Roku, liczne, okazyjne biesiady i czarujące festyny. Pamiętał zwłaszcza *beschehr-fest*, podarki pod choinkę, kiedy cała społeczność podzielona w pary drogą losowania wręczała sobie nawzajem prezenty, na nabycie których wydawano z trudem zdobyte oszczędności. Przypomniał sobie również mszę o północy w Sylwestra i błyszczące oblicze *predigera* przy pulpicie, miejscowego kaznodziei, który w ostatnią noc mijającego roku, na pustej

galerii za organami ujrzał twarze osób mających umrzeć w ciągu kolejnych dwunastu miesięcy i rozpoznawszy wśród nich także siebie, wpadł w istne uniesienie i zaczął prawić wyjątkowo żarliwe, natchnione wręcz kazanie.

Wspomnienia zgęstniały wokół niego. Wizja małej wioski, odciętej od świata i żyjącej własnym, prostym, szczerym życiem wśród lasów i gór, ludzi pochłoniętych żarliwym poszukiwaniem Boga i nauczających setki chłopców, przekazujących im cały zasób posiadanej przez siebie wiedzy narastała w jego wnętrzu z iście obsesyjną mocą. Znowu poczuł ten dawny, mistyczny entuzjizm, głębszy niż otchłań oceanu i cudowniejszy niżli gwiazdy, znowu usłyszał zawroźdzenie wiatru od lasu, świszczące podmuchy muskające czerwone dachy w srebrzystym blasku księżyca; usłyszał głosy Braci rozmawiających o sprawach metafizycznych, tak jakby sami ich doświadczałi, i kiedy tak siedział, w kołyszącym się wagonie sunącego pośród gór pociągu, jego udręczoną, znużoną duszę przepełnił duch niewysłowionej tęsknoty, ożywiając w nim cały bezmiar emocji, które jak sądził, zabił w sobie już dawno temu.

Ten kontrast był dlań bardzo bolesny – niegdysiejszy marzyciel idealista, a obecnie człowiek interesu – i koniec końców duch nieziemskiego spokoju i piękna, znany jedynie tym, co regularnie praktykują medytację, musnął swym delikatnym palcem jego serce, wyłaniając się z bezdennej otchłani.

Harris lekko się wzdrygnął i wyjrzał przez okno pustego wagonu. Pociąg dawno już minął Hornberg, a daleko w dole, po wapiennych skałach przepływał wąski, rwący strumień. Przed nim, na tle nieba odcinały się porośnięte lasami wzgórza. Był październik, powietrze rześkie i chłodne, woń palonego drewna i wilgotnego mchu mieszała się z subtelnym aromatem sosen. Wysoko w górze, pomiędzy wierzchołkami najwyższych świerków dostrzegł pierwsze migoczące gwiazdy, niebo miało barwę ametystu i taki sam kolor towarzyszył ożywionym w jego wnętrzu wspomnieniom.

Rozparł się wygodnie na siedzeniu i westchnął. Był twardym mężczyzną, nie rozczulał się nad sobą od wielu lat, poza tym charakteryzował się dość potężną budową i zarówno w przenośni jak i dosłownie trudno było go czymkolwiek poruszyć. Był człowiekiem, w którym marzenia o Bogu, nękające jego duszę w młodości, choć zepchnięte na drugi plan przez ciągłą pogoń za pieniędzmi, w przeciwieństwie do

wielu innych, nie szezły zupełnie. Wrócił do swego wewnętrznego azylu, gdzie hołubił najmiłsze jego sercu wspomnienia, przechowując je jak najdroższy skarb, i gdy tak patrzył na zbliżające się wierzchołki gór, gdy poczuł w nozdrzach zapomniane zapachy z dzieciństwa, twarda skorupa jego duszy zaczęła się topić, przywracając w nim wrażliwość, jakiej nie odczuwał od trzydziestu lat, odkąd mieszkał w tych okolicach, przeżywając młodzieńcze troski, radości i rozczarowania. Przeszył go dreszcz, kiedy pociąg zatrzymał się gwałtownie i stanął na małej stacji, Harris zaś dostrzegł nazwę stacji, wymalowaną czarnymi literami na szarej, kamiennej ścianie budynku, a poniżej wysokość nad poziomem morza, na jakiej się obecnie znajdowali.

– Najwyższy punkt na całej trasie! – wykrzyknął. – Pamiętam to doskonale: Sommerau – Letnia Łąka. Na następnej stacji wysiadam!

Kiedy pociąg pomknął w dół zbocza przy wtórze zgrzytu hamulców i z wyłączonym dopływem pary, wychylił głowę przez okno, by jeden po drugim wychwytywać znajome, charakterystyczne elementy krajobrazu. Były tam, jak twarze umarłych pojawiające się we śnie. Jego serce przepełniały dziwne, silne odczucia, przyjemne i niepokojące zarazem. O, ta rozpalona słońcem biała droga, po której tak często chodziliśmy, w towarzystwie Braci, drepczących nam po piętach – pomyślał – a tam, na Jowisza, toż to zakręt wiodący do ścieżki przez las i *die galgen*, kamiennego szafotu, gdzie w dawnych czasach wieszano czarowników i czarownice!

Uśmiechnął się pod nosem, gdy pociąg minął wspomniane miejsce.

O, jest zagajnik, gdzie wiosną kwitną konwalie, a to, wychylił się jeszcze bardziej, wiedziony nagłym impulsem – przecież to polana, na której Francuzik Calame gonił wraz ze mną jaskólkę, a Bruder Pagel obciął nam o połowę racje żywnościowe za zejście z drogi bez pozwolenia i posługiwanie się ojczystym językiem...! Znowu się zaśmiał, gdy wspomnienia wypełniły jego umysł mnóstwem wyrazistych szczegółów.

Pociąg stanął, a Harris jak lunatyk wysiadł na szary peron. Miał wrażenie, że minęło pół wieku, odkąd czekał tam po raz ostatni z drewnianymi pudłami przewiązаныmi sznurkiem, by wsiąść do pociągu do Strassburga i po dwóch latach wygnania wrócić wreszcie do domu. Czas spłynął zeń niczym stare odzienie i znów poczuł się jak mały chłopiec. Tyle

tylko, że teraz wszystko wydawało mu się mniejsze niż we wspomnieniach, podobnie jak odległości, one także uległy znacznemu skróceniu.

Ruszył wzdłuż drogi w kierunku niewielkiej Gasthaus, a gdy tak maszerował, z cieni lasu wokoło wyłoniły się twarze i postacie jego dawnych kolegów ze szkoły, Niemców, Szwajcarów, Włochów, Francuzów i Rosjan i dołączyły do niego w milczeniu. Chłopcy z jego wspomnień szli obok niego, zerkając na Harrisa pytająco i ze smutkiem wpatrując się w jego oczy. Nie pamiętał ich imion. Towarzyszyło im kilku Braci, większość z nich kojarzył z nazwiska – Bruder Roest, Bruder Pagel, Bruder Schliemann i ten brodaty, stary kaznodzieja, który ujrzał samego siebie na nawiedzanej galerii, wśród osób mających umrzeć w przeciągu roku. Ciemny las otaczał go jak morze, którego aksamitne fale w każdej chwili mogły przetoczyć się przez całą okolicę i zabrać ze sobą wszystkie te widmowe postacie. Powietrze było chłodne i przepełnione cudownym aromatem, lecz z każdym kolejnym oddechem w umyśle Harrisa pojawiało się coraz wyraźniejsze, mroczne wspomnienie...

Pomimo smutku jednak, towarzyszącego nieodzownie tym głębokim doznaniom, wszystko to było nader interesujące i na swój osobliwy sposób przyjemne, toteż kiedy Harris wynajął pokój w gospodzie i zamówił kolację, czuł się na tyle dobrze, że postanowił jeszcze tego wieczoru odwiedzić swą starą szkołę. Stała ona pośrodku protestanckiej osady o jakieś cztery mile marszu przez las, a Harris dopiero teraz uświadomił sobie, że wspomniana wioska była jedyną, odludną enklawą Protestantów w kraju, w którym dominowała religia katolicka. Krzyże i kapliczki otaczały polanę jak wartownicy wrogiej, oblężniczej armii. Tylko kilka akrów pól i sadów dzieliło główny plac wioski od skraju lasu, stanowiącego granicę wpływów kapłanów innej wiary. Jak przez mgłę pamiętał, że katolicy okazywali niekiedy wrogość wobec tej małej, protestanckiej osady, która rozkwitła i prosperowała w najlepsze, pośród ich społeczności. Wcześniej całkiem o tym zapomniał. Jakże nieistotne wydawało mu się to wszystko teraz, gdy poznał życie w najróżniejszych jego aspektach, odwiedził niezliczone kraje i zjeździł niemal cały świat. To było jak krok wstecz, nie o trzydzieści lat, lecz o trzy stulecia.

Prócz niego przy kolacji było jeszcze tylko dwóch innych mężczyzn. Jeden z nich, brodacz w średnim wieku, w tweedowym garniturze siedział samotnie przy drugim końcu stołu, a Harris starał się trzymać od niego z

daleka, bo tamten był Anglikiem. Może więc i kupcem! Drugim wędrowcem był ksiądz katolicki. Ten niski mężczyzna pałaszował sałatkę przy użyciu noża, lecz w tak delikatny sposób, że to prawie nie raziło, bardziej widok sutanny obudził w Harrisie dawne antagonizmy. Gwoli nawiązania rozmowy wspomniał o celu swojej sentymentalnej podróży, ksiądz zaś gwałtownie uniósł wzrok i spojrzął na niego, unosząc brwi w wyrazie bliżej nie sprecyzowanego zdumienia i podejrzliwości. Harris przypisał to odmienności swego wyznania.

– Tak – ciągnął handlarz jedwabiem, ciesząc się, że może podzielić się z kimś swymi myślami – muszę przyznać, że to było naprawdę osobliwe doznanie dla angielskiego chłopca znaleźć się w odległej szkole, z setką cudzoziemców. Doskonale pamiętam samotność i doskwierającą *Heimweh*, które z początku wydawały mi się nie do zniesienia.

Mówił to płynnie po niemiecku.

Ksiądz siedzący naprzeciw niego uniósł wzrok znad talerza z zimną cielęciną i sałatką ziemniaczaną, po czym uśmiechnął się. Miał miłe oblicze. Wyjaśnił półgłosem, że nie pochodzi stąd, lecz odwiedza z rekolekcjami parafie w Badenii i Wintenbergii.

– To było surowe życie – dodał Harris. – My, Anglicy, nazywaliśmy to *gefangnisleben* – życiem więziennym!

Twarz tamtego z bliżej nieokreślonych powodów pociemniała. Po krótkiej chwili, bardziej z uprzejmości aniżeli z chęci kontynuowania rozmowy powiedział: – No tak, w tamtych czasach szkoła przeżywała swą świetność. Słyszałem, że to później... – Wzruszył lekko ramionami, a w jego oczach znów pojawił się dziwny wyraz, niepewność, a może zaniepokojenie. Nie dokończył rozpoczętego zdania.

Było coś dziwnego w tonie głosu księdza, coś jakby oburzenie lub skrywana uraza. Harris zaperzył się, wbrew sobie.

– Zmieniło się coś? – zapytał. – Nie do wiary...

– A więc nic pan nie wie? – zauważył łagodnie tamten, wykonując gest, jakby chciał się przeżegnać, lecz w końcu tego nie zrobił. – Nie słyszał pan, co się tam działo, zanim podupadła i opustoszała...?

To było naturalnie bardzo dziecinne, a może Harris był przemęczony i wewnętrznie rozdrażniony, ale słowa i zachowanie niskiego księdza wydały mu się obraźliwe, do tego stopnia, że nie usłyszał zakończenia rozpoczętego przezeń zdania. Przypomniał sobie dawne urazy i

antagonizmy z przeszłości, a co za tym idzie przez chwilę omal nie dał się ponieść emocjom. – Bzdura – rzucił z wymuszonym uśmiechem. – *Unsinn!* Pan raczy wybaczyć, ale mam w tej kwestii zgoła odmienne zdanie. Ale cóż, sam pobierałem tam nauki. To była moja szkoła. Doprawdy niezwykle miejsce. Drugiego takiego nie ma na całym świecie. Nie mogę uwierzyć, że mogło się tam wydarzyć coś na tyle poważnego, by odebrać temu miejscu jego charakter. Pobożność Braci nie miała sobie równej...

Przerwał nagle, uświadamiając sobie, że nierozważnie podniósł głos, a mężczyzna siedzący przy drugim końcu stołu mógł znać niemiecki; równocześnie uniósł wzrok i zauważył, że jegomość ów przyglądał mu się z wytężoną uwagą. Jego oczy wydawały się osobliwie żywe i błyszczące. Były to naprawdę niezwykle oczy, a sposób, w jaki na niego patrzyły, nie wiedzieć czemu, zawierał w sobie ostrzeżenie i przyganę zarazem. Całe zresztą oblicze nieznajomego wywarło na nim spore wrażenie, była to bowiem twarz, w obecności której człowiek z własnej woli nie potrafiłby powiedzieć ani uczynić niczego niewłaściwego czy nie na miejscu. Harris nie potrafił wyjaśnić dlaczego wcześniej nie wychwycił tej jakże potężnej obecności.

Żałował, że w porę nie ugryzł się w język. Zapomniał się jednak i powiedział zbyt wiele. Drobnym ksiądz zamilkł. Zanim nabrał wody w usta, uniósł wzrok i niemal szeptem, który z założenia nie miał zostać dosłyszalny, lecz naturalnie stało się inaczej, powiedział: - Przekona się pan, że wiele się tam zmieniło.

Po czym wstał i odszedł od stołu, kłaniając się uprzejmie obu współbiesiadnikom. Zaraz potem od stołu podniósł się mężczyzna w tweedowym garniturze, pozostawiając Harrisa samego.

Siedział jeszcze przez jakiś czas w ciemnej izbie, sącząc kawę i paląc cygaro za piętnaście fenigów, aż zjawiła się dziewczyna, by zapalić lampy naftowe. Harris ganił się w duchu za brak ogłady, choć nie potrafił wyjaśnić, co było tego przyczyną. Zapewne zdenerwował się, że ksiądz, mówiąc w przenośni, dodał łyżkę dziegciu do beczki miodu, rzucając cień na jego błogie dotąd wspomnienie z przeszłości.

Później, przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbuje przeprosić za swe zachowanie. A póki co miał nieodpartą chęć odwiedzić starą szkołę i zabrawszy laseczkę oraz kapelusz niezwłocznie wyszedł z gospody.

Kiedy mijał budynek od frontu, zauważył, że ksiądz i mężczyzna w tweedowym garniturze wdali się w tak zażartą dyskusję, że prawie nie zauważyli, kiedy ich minął, uchylając kapelusza. Ruszył różnym krokiem, dobrze pamiętał drogę i miał nadzieję, że dotrze do wioski na tyle wcześnie, iż będzie mógł jeszcze zamienić parę słów z którymś z Braci. Może nawet zaproszą go na kubek kawy. Był pewien, że powitają go ciepło i przyjaźnie; znów owładnęły nim dawne wspomnienia. Nie przejmował się potencjalnie późnym powrotem.

Było parę minut po siódmej, październikowy wieczór przyniósł ze sobą chłodny wiatr wiejący od strony gęstego lasu. Droga od stacji biegła prosto jak strzelił w głąb leśnych ostępów i już po kilku minutach Harris znalazł się wśród drzew, a odgłos jego kroków zlał się w jedno z szumem wiatru, którego podmuchy kołysały konarami świerków. Było bardzo ciemno, trudno było rozróżnić jeden pień drzewa od drugiego. Mimo to Harris szedł różnym krokiem, wymachując przy tym laseczką. Raz czy dwa minął spieszącego do domu wieśniaka, a gardłowe „Griiss Gott”, którego nie słyszał od tak dawna, pozwalało mu nie myśleć o upływie czasu i znacznie skracało wędrówkę. W jego umyśle pojawiły się kolejne obrazy. Spomiędzy drzew znów wyłonili się jego starzy, szkolni koledzy i towarzyszyli mu w drodze, opowiadając o zdarzeniach sprzed lat. Wspomnienia powracały, jedno po drugim. Znał każdy zakręt tej drogi, każdą leśną polanę, a ich widok ożywiał w nim kolejne obrazy. Harris nie posiadał się z radości. Szedł uparcie dalej. Niebo skrzyło się złociście, dopóki nie pojawił się na nim księżyc, a wówczas wszystko spowiła delikatna, srebrzysta poświata. Harris ujrzał, jak wierzchołki drzew skrzą się księżycowym blaskiem i usłyszał ich szelest, gdy podmuch wiatru skierował ich igły ku światłu. Górskie powietrze było niewypowiedzianie słodkie i cudowne. Droga lśniła niczym spieniona rzeka pośród półmroku. Białe śmy unoszące się to tu, to tam przecinały mu drogę jak ciche myśli, a setka różnych zapachów płynących z głębi lasu przywoływała kolejne, dawno zapomniane wspomnienia.

I nagle, kiedy najmniej się tego spodziewał, drzewa rozstały się przed nim po obu stronach, a na wprost niego pojawiła się polana, na której znajdowała się wioska.

Przyspieszył kroku. Znajome kontury domów mieniły się srebrzyście, na głównym placu z fontanną i niewielkimi, zielonymi trawnikami rosły

stuletnie drzewa; obok Gasthof der Briidergemeinde widać było kanciasty kształt starego kościoła, tuż za nim zaś, na tle nieba spostrzegł masywny, potężny budynek szkoły, przywodzący na myśl pradawną twierdzę, otoczony głębokimi cieniami, lecz nadal dumny i wyniosły, jakim go zapamiętał, gdy widział go po raz ostatni ponad ćwierć wieku temu.

Przeszedł szybko wzdłuż opustoszałej uliczki i zatrzymał się w cieniu ogromnej budowli, wlepiając wzrok w mury, których był więźniem przez dwa lata – dwa długie lata surowej dyscypliny i tęsknoty za domem. Wspomnienia i emocje wypełniły jego umysł, albowiem właśnie w tym miejscu ogniskowały się najbardziej żywiołowe doznania i emocje z jego młodości, to tutaj nauczył się, co znaczy życie i jakie w nim obowiązują wartości. Nawet najcichszy szmer nie zmącił panującej dokoła ciszy, choć w oknach niektórych domów dostrzegł palące się światła; kiedy jednak uniósł wzrok, wpatrując się w wysokie, udrapowane cieniami mury starej szkoły, oczyma wyobraźni niemal był w stanie ujrzeć witające go uśmiechami znajome twarze w oknach – tych zamkniętych na głucho, w których teraz odbijało się tylko światło księżyca i gwiazd.

Oto jednak miał przed sobą gmach starej szkoły, czteropiętrową budowlę z oknami zaopatrzonymi w masywne okiennice, wysokim dachem, wyłożonym dachówkami i smukłymi piorunochronami wznoszącymi się z naroży budynku niczym czarne, szponiaste palce. Harris stał tak i patrzył przez dłuższą chwilę. Wreszcie otrząsnął się z odrętwienia i z niejakim zadowoleniem stwierdził, że w oknach *bruderstube* wciąż paliło się światło.

Zszedł z ulicy i minął żelazną bramę, następnie wspiął się po dwunastu kamiennych schodach i stanął przed czarnymi, drewnianymi drzwiami, obitymi metalem – drzwiami, które kiedyś mierzily go i napełniały lękiem typowym dla pełnej nienawiści i pasji więzionej duszy, teraz jednak patrzył na nie z czułością i typowo dziecięcym rozmarzeniem.

Niemal bojaźliwie zacisnął dłoń na sznurze i z narastającą ekscytacją wsłuchiwał się w dźwięk dzwonka rozbrzmiewający wewnątrz budynku. Z dawna zapomniany dźwięk ożywił w jego oczach przeszłość w tak realistyczny sposób, że Harris zadygotał od stóp do głów. To było jak czarodziejski dzwonek z bajki, który sprawia, że podnosi się kurtyna Czasu, a z domeny śmierci wyłaniają się dawno nieżyjące postacie. Nigdy jeszcze nie był w równie sentymentalnym nastroju. Znów poczuł się jak nastolatek. Równocześnie jał odzyskiwać pewność siebie i poczucie własnej wartości.

Był grubą rybą, a jego domenę stanowiło działanie. Czy w tym małym świecie pełnym spokojnych marzeń i snów nie powinien stać się dzięki temu kimś naprawdę ważnym?

Spróbuję jeszcze raz – pomyślał po dłuższej chwili, ponownie chwytając za sznur dzwonka i już miał zań pociągnąć, kiedy w sieni rozległ się odgłos kroków i masywne drzwi otwarły się powoli.

Wysoki mężczyzna o raczej dość srogim obliczu spojrzał na niego bez słowa.

– Bardzo przepraszam, wiem, że jest już późno... – zaczął niepewnie – ale naprawdę nie mogłem się powstrzymać. – Jego niemiecki nie był tak płynny jak zazwyczaj. – Tak bardzo chciałem znów zobaczyć to miejsce. Uczyłem się tu przez dwa lata od 1870 roku...

Drzwi uchyliły się nieco szerzej, a mężczyzna ukłonił mu się i powitał szerokim, szczerym uśmiechem.

– Jestem Bruder Kalkmann – rzekł głębokim, cichym głosem. – Byłem tu w owych latach wykładowcą. Rad jestem, mogąc powitać w tych murach naszego byłego ucznia. – Przyglądał mu się z uwagą przez kilka sekund, po czym dodał: – To doprawdy wspaniale, że zdecydowałeś się tu przybyć, naprawdę to wspaniale.

– Ja także się cieszę – odparł Harris, uradowany tak ciepłym przyjęciem.

Słabo oświetlony korytarz był wyłożony szarymi, kamiennymi płytami, a słowa wypowiedziane w dobrze mu znanym języku niemieckim rozbrzmiały głośnym echem w szerokim przejściu. Harris zwrócił uwagę na osobliwą intonację, jaka charakteryzowała wymowę każdego z Braci. Wszystkie te elementy połączyły siły, by umocnić w nim atmosferę nierealności i dawno zapomnianych dni. Wszedł zdecydowanym krokiem, który dopełnił wrażenia rekonstrukcji przeszłości. Niewiele brakowało, aby znów poczuł się jak więzień, przepełniony bolesną nostalgią, tęsknotą za domem i świadomością ponownej utraty wolności.

Westchnął z cicha, po czym odwrócił się w stronę gospodarza, który uśmiechnął się do niego leciutko i poprowadził go w głąb korytarza.

– Chłopcy udali się już na spoczynek – wyjaśnił – jak zapewne pamiętasz, kładziemy się tu spać w miarę wcześnie. Ale może dołączyłbyś do nas choćby na parę minut w *bruderstube* i napił się z nami kawy. – Na to właśnie liczył w duchu handlarz jedwabiem i skwapliwie przyjął

zaproszenie. – Jutro zaś – ciągnął Brat – musisz wrócić i spędzić z nami cały dzień. Być może nawet odnajdziesz tu kolegów, bo kilku uczniów z tamtego okresu powróciło do nas i zostało wykładowcami.

Przez krótką chwilę w oczach Brata pojawiło się spojrzenie, które wywołało u gościa lodowate ciarki. Wrażenie to prysło jednak równie szybko, jak się pojawiło. Nie sposób je było określić. Harris pomyślał, że efekt ten wywołała gra światła i cieni rzucanych przez lampę na ścianie, którą właśnie minęli. Odegnął od siebie niespokojne myśli.

– Jesteś bardzo miły, panie – powiedział uprzejmie. – Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę, mogąc znów ujrzeć to miejsce. Ach... – zatrzymał się przed drzwiami, których górna część była przeszklona, i zajrzał do środka – to bez wątpienia jeden z pokoi muzycznych, gdzie ćwiczyłem grę na skrzypcach. Wspomnienia wracają, jedno po drugim. Mam wrażenie, jakby to wszystko wydarzyło się nie dalej niż wczoraj!

Bruder Kalkmann przystanął i uśmiechnął się, pozwalając, by gość zajrzał na chwilę do pomieszczenia.

– Macie tu jeszcze chłopięcą orkiestrę? Pamiętam, że grałem w niej *zweite Geige*. Bruder Schliemann przygrywał na fortepianie. A niech mnie, nawet teraz go widzę, z długimi, czarnymi włosami i... i... – Przerwał nagle. Przez twarz wykładowcy znów przemknął ten dziwny, mroczny grymas. Harrisowi wydał się on podejrzanie znajomy.

– Tak, wciąż mamy orkiestrę złożoną z naszych uczniów – odparł – ale niestety, z przykrością muszę cię poinformować, że... – Przerwał na moment, jakby się zawahał, po czym dodał: – ...że Bruder Schliemann nie żyje.

– No tak, tak – rzucił pospiesznie Harris. – To faktycznie smutna wiadomość.

Czuł lekki niepokój, ale nie wiedział, czy wynikał on z otrzymanej przed chwilą informacji o śmierci starego nauczyciela muzyki, czy z czegoś całkiem innego – nie potrafił tego stwierdzić. Spojrzał w głąb mrocznego korytarza. Na ulicy i w wiosce wszystko wydawało mu się mniejsze niż pamiętał, tu natomiast było dokładnie na odwrót. Korytarz był rozleglejszy i dłuższy, bardziej przestronny i wyższy, aniżeli go zapamiętał. Znów na chwilę pogrążył się we wspomnieniach.

Uniósł wzrok i ujrzął oblicze Brata, przyglądającego mu się z uśmiechem, pełnym cierpliwej pobłażliwości.

– Owładnęły tobą wspomnienia – zauważył ten łagodnym tonem, a srogi wyraz jego twarzy przepełnił się żalem i współczuciem.

– To prawda – przyznał handlarz. – W pewnym sensie to był najcudowniejszy okres w całym moim życiu. Wtedy nie znosiłem tego miejsca... – Zawahał się, nie chciał urazić Brata.

– Jak na angielskie standardy, faktycznie panuje tu surowy rygor – odparł tamten z wyrozumiałością w głosie, co dodało mu otuchy, toteż mówił dalej.

– ...Tak, poniekąd to było przyczyną mojego dyskomfortu, a po części wynikał on z nieukozonej nostalgii i poczucia samotności, mimo iż tak naprawdę nigdy nie byłem sam. W angielskich szkołach chłopcy cieszą się dość szczególną swobodą, o czym wam tu zapewne wiadomo.

Brat Kalkmann słuchał go z wielką uwagą.

– Niemniej jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i muszę przyznać, że czegoś się tu jednak nauczyłem – ciągnął Harris w zamyśleniu.

– *Ach! Wie so, denn?*

– Ten nieustanny wewnętrzny ból skierował moje zainteresowania ku religii i wierze, odtąd z całej mocy starałem się poszukiwać większej niż inni satysfakcji; chodziło mi o odkrycie prawdziwego azylu dla duszy. Przez dwa lata, które tu spędziłem, wzdychałem do Boga na swój młodzieńczy sposób i wkładałem w to całe moje serce. Co więcej, nigdy nie utraciłem do reszty owego uczucia spokoju i wewnętrznej radości, które towarzyszyły tym poszukiwaniom. Nie potrafię zapomnieć tej szkoły ani nauk, które mi tutaj wpojono.

Przerwał swój długi monolog i przez chwilę w korytarzu panowała kompletna cisza. Harris bał się, że powiedział zbyt wiele albo wyraził się nie dość jasno, używając obcego języka, a kiedy Bruder Kalkmann położył mu rękę na ramieniu, handlarz drgnął mimowolnie.

– W tej sytuacji trudno się dziwić, że wspomnienia mają na mnie tak silny wpływ – dodał przeproszającym tonem – a ten długi korytarz, te sale, obite metalem, masywne frontowe drzwi i ponura sień trąciły we mnie czułą nutę, która... która... – zabrakło mu słów, język niemiecki zawiódł go i koniec końców Harris spojrzał na wykładowcę, uśmiechając się półgębkiem i wzruszając lekko ramionami. A Brat puścił jego ramię i stanął, odwrócony plecami do niego, wpatrując się w głąb korytarza.

– To oczywiste. Jak najbardziej oczywiste – rzekł pospiesznie, nie odwracając się. – *Es ist selbstuerstdndlich*. Wszyscy jesteśmy to w stanie zrozumieć.

I wtedy też odwrócił się, a Harris stwierdził, że jego oblicze stało się dziwnie obce i jakby złowrogie. Może to znów gra światła i cieni, wywołana przez pełgające płomyki lamp naftowych na ścianach, gdyż ów mroczny wyraz zniknął, gdy tylko ruszyli dalej w głąb korytarza, Anglik jednak odniósł wrażenie, że powiedział coś, czym uraził wykładowcę, coś w jego wypowiedzi najwyraźniej mu się nie spodobało. Przystanęli przed drzwiami *bruderstube*. Harris zdał sobie sprawę, że było już późno i że najprawdopodobniej zmitrężył zbyt długo, rozmawiając z Bratem Kalkmannem. Stwierdził, że już czas na niego, że powinien wrócić do gospody, lecz tamten nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Musisz napić się z nami kawy – rzekł stanowczym tonem – moi koledzy na pewno ucieszą się z twej wizyty. Być może pamiętasz niektórych z nich.

Zza drzwi dobiegły stłumione męskie głosy. Bruder Kalmann nacisnął klamkę, po czym dwaj mężczyźni weszli do sali pełnej ludzi i bardzo jasno oświetlonej.

– Hm... jak to się nazywasz? – wyszeptał Brat wtedy, nachylając się, by usłyszeć odpowiedź. – Nie powiedziałeś mi tego.

– Harris – odparł pospiesznie Anglik, gdy przestąpili próg. Równocześnie poczuł narastające zdenerwowanie, lecz wytłumaczył to sobie w bardzo prosty sposób, a mianowicie złamaniem najściślej przestrzeganej reguły tego miejsca, zabraniającej któremukolwiek z uczniów, pod groźbą surowej kary, zbliżyć się do tego sanktuarium, gdzie wykładowcy spędzali swój wolny czas, a nie mieli go wiele.

– Ach tak, Harris, oczywiście, Harris – powtórzył tamten, jakby próbował go sobie przypomnieć. – Wejdz, Herr Harris. Wejdz. Zapraszam. Twoja wizyta jest nam bardzo na rękę. To doprawdy cudowne, że postanowiłeś nas odwiedzić. Jesteśmy wielce radzi z twego, skądinąd nieoczekiwanego przyjazdu. Drzwi zamknęły się za nimi, a w tym jasno oświetlonym pomieszczeniu, po wejściu do którego przez chwilę prawie nic nie widział, Harris nie zwrócił uwagi na przesadną jowialność swego rozmówcy. Usłyszał głos Brata Kalmanna, który przedstawił go pozostałym. Mówił bardzo donośnym tonem, Harris uznał, że to trochę

dziwne, przecież wcale nie musiał tak bardzo podnosić głosu. To nie było konieczne.

– Bracia – oznajmił – z wielką przyjemnością pragnę wam przedstawić Herr Harrisa z Anglii. Właśnie przybył, aby złożyć nam krótką wizytę, ja natomiast, w imieniu nas wszystkich pozwoliłem sobie wyrazić radość z jego przyjazdu. Jak zapewne pamiętacie, był on tutaj uczniem, począwszy od roku 1870.

Było to bardzo formalne powitanie, w typowo niemieckim stylu, ale przypadło Harrisowi do gustu. Poczł się przez to ważny, doceniał także sposób wypowiedzi, zdający się sugerować, iż spodziewano się jego wizyty.

Czarne postacie wstały i ukłoniły się, a Harris także lekko pochylił głowę, podobnie jak Kalkmann. Wszyscy zachowywali się bardzo uprzejmie i kurtuazyjnie. W pomieszczeniu zaroilo się od poruszających się postaci, w porównaniu z mrocznym korytarzem było tu tak jasno, że aż rozboleły go oczy. Zajął zaproponowane mu miejsce pomiędzy dwoma Braćmi i usiadł z bliżej nieokreślonym przekonaniem, że jego zmysły nie funkcjonowały tak dobrze i wyraziście jak zazwyczaj. Zakręciło mu się lekko w głowie, oładnął nim czar dawnych dni, mącąc odbiór terażniejszości i sprawiając, że wszystko wydawało mu się nieodłącznie związane z wydarzeniami sprzed trzydziestu lat. Ogarnął go ten sam nastrój, który opanował do mistrzostwa w czasach dawno zapomnianego dzieciństwa.

Spora wysiłku go kosztowało wzięcie się w garść i włączenie się w rozmowy, toczące się wokół niego. Co więcej, nawiązał konwersację z niekłamaną radością, gdyż Bracia, a w tym małym pomieszczeniu było ich ze dwunastu, potraktowali go tak kordialnie, że bardzo szybko poczuł się, jakby był jednym z nich. To także wydało mu się urocze. Miał wrażenie, jakby opuścił ten chciwy, samolubny, zawistny świat jedwabiów, zysku i nieustannego handlu, by znaleźć się w miejscu, gdzie królowała aura uduchowania i ideałów, życie zaś było proste i pełne nabożności. Tb wszystko było dlań niezwykle urzekające, a równocześnie uświadomiło mu, jak wiele stracił, obracając się przez dwadzieścia lat w jedwabnym biznesie.

W świecie, w którym obecnie żył, nie było miejsca na myślenie o własnej duszy ani o duszach innych ludzi; Harris stwierdził, że na własną zgubę zaczyna robić porównania; porównywał siebie obecnie z tym

mistycznym marzycielem, który przed trzydziestoma laty opuścił progi tej świątobliwej placówki, i wynik, jaki otrzymał, przepełnił go głębokim żalem oraz pogardą wobec samego siebie. Rozejrzał się dokoła, lustrując twarze widoczne pośród kłębow tytoniowego dymu, tego kwaśnego dymu z cygar, który tak dobrze pamiętał. Jakże bystrzy byli to ludzie, silni, dostojni, pełni niezłomności i odwagi w dążeniu do szlachetnych celów. Na kilku z nich patrzył w dość osobliwy sposób. Nie potrafił powiedzieć dlaczego. Fascynowali go. Było w nich coś srogiego i bezkompromisowego, a zarazem coś subtelnego i osobliwie znajomego, czego jak dotąd nie potrafił sprecyzować. Kiedy jednak odnajdywał ich spojrzenia, dostrzegł w nich niekłamana radość i coś jeszcze, być może podziw, coś pomiędzy głębokim szacunkiem a surowym respektem. To mu schlebiało.

Podano kawę, zaparzoną przez czarnowłosego brata, który siedział w rogu pokoju, przy fortepianie i podejrzenie przypominał Brata Schliemanna, nauczyciela muzyki sprzed trzydziestu lat. Harris ukłonił mu się, odbierając kubek z kawą z jego bladych rąk, które wyglądały niemal jak dłonie kobiety. Zapalił cygaro, podane mu przez sąsiada, z którym rozmawiał przez chwilę, a który w świetle zapalanej zapałki przypominał z wyglądu Brata Pagela, byłego opiekuna sali.

– *Es ist wirklich merkwuirdig* – powiedział – jak wiele podobieństw dostrzegam lub wydaje mi się, że dostrzegam. To doprawdy nader osobliwe!

– Tak – odrzekł tamten, spoglądając nań znad kubka z kawą – czar tego miejsca jest wyjątkowo silny. Nie dziwię się, że oczyma duszy widzisz wszystko, jakim było niegdyś, może tylko z wyjątkiem nas samych.

Obaj wybuchnęli śmiechem. Miło było mieć świadomość, że jest się właściwie rozumianym i docenianym. Zaczęli rozmawiać o górskiej wiosce, o tym, jak jest odległa i odcięta od reszty świata i że cechy te są szczególnie pożądane, zwłaszcza jeżeli chodzi o medytacje, nabożność i rozwój duchowy.

– Twój powrót tutaj, Bracie Harrisie, bardzo nas wszystkich ucieszył – wtrącił Brat siedzący po lewej. – Wielce cię za to cenimy. To dla nas za szczyt.

Harris machnął lekceważąco ręką. – Obawiam się, że uczyniłem to wyłącznie z egoistycznych pobudek – powiedział nieco obłudnie.

– Nie wszyscy mieliby dość odwagi – dodał ten, który przypominał Brata Pagela.

– Chodzi ci o... – spytał Harris, nieco zbity z tropu – ...o te niepokojące wspomnienia...?

Bruder Pagel spojrział na niego z olbrzymim szacunkiem i podziwem.

– Chodzi mi o to, że większość ludzi jest bardzo silnie przywiązana do żyć cię i niewiele jest w stanie poświęcić za to, w co wierzy – odparł z powagą.

Anglik poczuł się trochę nieswojo. Ci szlachetni ludzie przydawali całkiem nowego znaczenia tej podróży sentymentalnej. Poza tym rozmowa zaczynała wymykać mu się spod kontroli. Nie nadążał za nią.

– Doczesne życie wciąż ma dla mnie wiele uroków – powiedział z uśmiechem, jakby chciał dać im do zrozumienia, że daleko mu jeszcze do świętości.

– Tym bardziej więc musimy uhonorować cię, żeś przybył tu z własnej woli – rzekł Brat siedzący po jego lewej stronie – i to bezwarunkowo!

Zapadła krótka cisza, a handlarz jedwabiem odetchnął z ulgą, kiedy dysputa zeszła na bardziej ogólne tematy, choć jak stwierdził, wciąż oscylowała wokół kwestii jego przyjazdu i odludnej, małej wioski, gdzie ludzie pragnący rozwijać swe duchowe siły i praktykować religijne kultury mieli do tego wręcz wymarzone warunki. Do rozmowy włączyli się inni, komplementując jego znajomość języka; poczuł się dzięki temu swobodniej, z drugiej zaś strony ich nadmiernie okazywany podziw zaczynał go trochę deprymować. Bądź co bądź nie było to nic wielkiego, ot zwyczajna podróż sentymentalna.

Czas mijał szybko i kawa była wyborna, cygara delikatne, z domieszką orzechowego aromatu, który uwielbiał. Wreszcie, obawiając się, by nie nadużyć cierpliwości gospodarzy, wstał, zamierzając odejść. Tamci jednak w ogóle nie chcieli o tym słyszeć. Nieczęsto zdarzało się, że ich były uczeń powracał do nich z wizytą, w tak prosty, wręcz naturalny sposób. Noc była jeszcze młoda. W razie konieczności znajdą mu miejsce, w wielkiej *schlafzimmer*, na górze. Bez trudu dał się przekonać, by zostać nieco dłużej. Czuł się wspaniale. Zainteresowanie ze strony Braci schlebiało mu i przepełniało go nie skrywanym zadowoleniem.

– A może teraz Brat Schliemann coś nam zagra.

Słowa te padły z ust Kalkmanna, a Harris drgnął wyraźnie na dźwięk tego nazwiska; zauważył też, że czarnowłosa mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął szeroko. Schliemann, tak brzmiało nazwisko starego, nieżyjącego już nauczyciela muzyki. Czy ten mężczyzna mógł być jego synem? Byli bardzo podobni.

– Jeżeli brat Meyer nie położył jeszcze na spoczynek swoich Amati, chętnie zagram z nim w duecie – rzekł znacząco muzyk, spoglądając na mężczyznę, którego Harris wcześniej nie zauważył, a który był bardzo podobny do dawnego wykładowcy noszącego to samo nazwisko.

Meyer wstał i przeprosił wszystkich, z lekkim skinieniem głowy, Anglik zaś zwrócił uwagę, że gest ten był bardzo dziwny, wydawało się, jakby wykładowca obawiał się, iż przy silniejszym ruchu jego głowa, zbyt słabo przytwierdzona do szyi, mogła niespodzianie odpaść. Dawny Meyer też się tak zachowywał. Chłopcy często naśladowali ten osobliwy gest.

Powiódł wzrokiem po twarzach Braci, odnosząc wrażenie, jakby jakiś dziwny, niedostrzegalny proces zmienił wszystko, co go otaczało. Wszystkie twarze wydawały się dziwnie znajome. Pagel, Brat, z którym rozmawiał, wyglądał kropka w kropkę jak jego dawny opiekun sali. Dopiero teraz uświadomił sobie, że i Kalkmann był lustrzanym odbiciem innego wykładowcy, którego nazwisko wypadło mu z pamięci, lecz za którym nigdy nie przepadał. Poprzez kłęby dymu wychwytywał jedna po drugiej kolejne twarze, oblicza Braci, których znał przed laty – Rosta, Fluheima, Meinerta, Rigela, Gysina.

Patrzył z przejęciem, nagle stał się bardziej czujny i wszędzie, gdzie skierował wzrok, odnajdywał, lub tak mu się przynajmniej zdawało, widmowe podobieństwo, dziwnie znajome twarze, identyczne jak te, które wryły mu się w pamięć przed wieloma laty. To wszystko było bardzo dziwne, jakby nie całkiem właściwe i wprawiało go w coraz większe zaniepokojenie. Wzdrygnął się w duchu i fizycznie, po czym zrobił głęboki wydech, rozpraszając dym, który miał przed oczami, a gdy to uczynił, z konsternacją stwierdził, że spojrzenia wszystkich skierowane były właśnie na niego. Obserwowali go.

To pomogło mu otrząsnąć się z chwilowego odrętwienia. Jako Anglik i cudzoziemiec nie chciał być nieuprzejmy ani zachować się niestosownie, aby nie zepsuć atmosfery tego miłego wieczoru. Poza tym właśnie rozległy

się ponure tony smętnej melodii. Długie, białe palce Brata Schliemanna niemal pieszczotliwie muskały klawisze fortepianu.

Rozsiadł się wygodniej na krześle i zapalił, przymknąwszy lekko powieki, lecz mimo to czujnie obserwował to, co działo się wokół niego.

Niemniej jednak niepokój, jaki się w nim zrodził, nieustannie dawał mu o sobie znać. Tak jak miasto na brzegu rzeki czuje niekiedy wpływy odległego morza, jał uświadamiać sobie istnienie jakichś potężnych sił, których istoty nie pojmował, a które atakowały jego duszę w tym dużym, zadymionym pomieszczeniu. Poczł się naprawdę nieswojo.

Kiedy rozległy się dźwięki muzyki, w umyśle Harrisa zaczęło się przejaśniać. Niczym unosząca się zasłona, która dotąd przesłaniała mu wzrok. Przypomniał sobie słowa księdza w gospodzie: „Przekona się pan, że wiele się tam zmieniło.” I nie wiedzieć czemu ujrzał w myślach niezwykle, pełne ciepła, łagodności i współczucia oczy drugiego gościa siedzącego wtedy przy stole, mężczyzny, który przysłuchiwał się ich rozmowie, a potem wdał się w ożywioną dyskusję z kapłanem... Wyjął zegarek i spojrzał na cyferblat. Była już jedenasta.

Schliemann tymczasem, całkiem pochłonięty muzyką, grał jakąś urokliwą melodię. Dźwięki fortepianu brzmiały cudownie. Zawierała się w nich przekonująca potęga, prostota prawdziwie wielkiej sztuki, witalny, natchniony przekaz duszy, która odnalazła samą siebie, było w nich to wszystko, a nawet więcej, tak jakby muzyka ta miała w sobie coś nieczystego, zepsutego i diabolicznego. Melodia, choć Harris jej nie rozpoznał, także wydała mu się znajoma, była bez wątpienia muzyką kościelną, majestatyczną, wzniosłą, posępną. Przepływała przez zadymione pomieszczenie powoli, dystyngowanie, jak coś potężnego, lecz dogłębnie znajomego, a gdy tak płynęła w dal, przepełniała otaczające go postacie aurą niepojętych mocy, której stanowiła słyszalny symbol. Twarze osób dokoła stawały się coraz bardziej złowieszcze, lecz nie było to wrażenie pasywne, a raczej mroczna wrogość, ukierunkowana na pewien konkretny cel. Niespodziewanie przypomniał sobie twarz Brata Kalkmanna w korytarzu, nieco wcześniej. Motywy, jakie nimi powodowały, objawiały się teraz w ich oczach, wyrazie ust, wyglądzie twarzy niczym czarne sztandary hordy upadłych aniołów. Demony – to przeraźliwe słowo przemknęło przez jego umysł jak piorun kulisty.

Kiedy doznał tego nagłego olśnienia, na chwilę stracił nad sobą panowanie. Nie czekając, by rozważyć czy przemyśleć jego treść, uczynił coś bardzo głupiego, lecz skądinąd zrozumiałego i oczywistego. Nie mogąc pohamować narastającego napięcia, a mimo to sprowokowany do działania, poderwał się z miejsca i krzyknął. Ku swemu własnemu zdumieniu, zerwał się na równe nogi i zaczął wrzeszczeć!

Ale nikt inny nawet nie drgnął. Zupełnie jakby nikt nie zwrócił uwagi na jego absurdalne zachowanie. Zdawało się, że prócz niego nikt więcej nie słyszał tego krzyku, jakby pochłonięta go muzyka albo jakby tylko mu się wydawało, że zaczął krzyczeć. Kiedy powiódł wzrokiem po otaczających go mrocznych, nieruchomych twarzach, poczuł lodowaty chłód wpływający do jego wnętrza. Dotykający jego duszy... wszelkie emocje niespodziewanie uległy ochłodzeniu, opuszczając go niczym fala odpływu. Znow usiadł, zawstydzony, przerażony, wściekły sam na siebie, że zachował się jak głupiec albo mały chłopiec. Tymczasem muzyka wciąż wypływała spod białych, wężowatych palców Brata Schliemanna, niczym zatrute wino sączące się z antycznych amfor.

I podobnie jak pozostali, Harris także się nią upajał.

Zmuszając się, by uwierzyć, że padł ofiarą złudzenia wzrokowo-słuchowego, spróbował pohamować targające nim emocje. Wreszcie muzyka ucichła, wszyscy zaczęli klaskać, mówić jeden przez drugiego, śmiać się, zmieniać miejsca, chwalić grającego i zachowywać się tak naturalnie, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego. Twarze znow wyglądały normalnie. Bracia otoczyli swego gościa, on zaś przyłączył się do rozmowy i tak jak inni jął komplementować talent pianisty. Równocześnie jednak zaczął cofać się w kierunku drzwi, przesiadając się z krzesła na krzesło, kiedy tylko było to możliwe, i dołączając do osób znajdujących się możliwie najbliżej potencjalnej drogi ucieczki.

– Pragnę podziękować wam wszystkim *tausendmal* za przyjęcie, ja kie mi zgotowaliście, i olbrzymią przyjemność, prawdziwie wielki za szczyt, jaki mnie tu spotkał – zaczął w końcu zdecydowanym tonem. – Obawiam się jednak, że nieco nadużyłem waszej gościnności. Co więcej, czeka mnie jeszcze długi spacer do gospody, gdzie wynająłem pokój.

Jego słowa powitał chór głosów. Nie chcieli słyszeć o jego odejściu, a w każdym razie nie przed posiłkiem. Wyjęli z kredensu pumpernikiel i bochenek żytniego chleba, a ze spiżarni kielbasę i przy rozmowie zaczęli

pałaszować. Znow zaparzone kawę, zapalono kolejne cygara, Brat Meyer zaś przyniósł skrzypce i zaczął grać cichą, delikatną melodię.

– Na górze mamy wolne łóżko, gdyby tylko Herr Harris zechciał skorzystać z zaproszenia – zaśmiał się w głos jeden z Braci.

– Zresztą ciężko byłoby stąd teraz wyjść, wszak wszystkie drzwi są pozamykane na głucho – zauważył inny.

– Nacieszmy się drobnymi przyjemnościami, mamy ich tak niewiele – dodał trzeci. – Brat Harris na pewno zrozumie, jak bardzo cenimy sobie jego ostatnią tutaj wizytę. To dla nas prawdziwy zaszczyt.

Padły dziesiątki różnych wymówek i usprawiedliwień. Bracia śmiali się, jakby uprzejmość zawarta w ich słowach stanowiła jedynie maskę, cienką zasłonę, pod którą kryło się coś całkiem innego i o wiele bardziej mrocznego.

– No i zbliża się północ – dodał Bruder Kalkmann z czarującym uśmiechem, lecz jego głos przywodził Anglikowi na myśl skrzyp nie naoliwionych, żelaznych zawiasów.

Coraz trudniej mu było zrozumieć wypowiedane przez nich słowa. Zwrócił uwagę, że jego także nazywali Bratem, jakby uważali go za jednego z nich...

Nagle Harris doznał przebłysku podwyższonej percepcji i ciarki przeleciały mu po plecach, kiedy uświadomił sobie, że mylił się od samego początku, błędnie interpretując wszystko to, co do niego mówili. Opowiadali o pięknie tego miejsca, jego odludnym położeniu i izolacji od reszty świata, a także szczególnych właściwościach, jeżeli chodzi o kultywowanie pewnych rodzajów religii i rozwoju duchowego, lecz w całkiem innym znaczeniu aniżeli to, które nasuwało mu się z uwagi na wypowiedane przez nich słowa. Mieli na myśli coś całkiem innego. Ich duchowe moce, umiłowanie samotności i nabożność różniły się od wyznawanego przez Harrisa rozumienia tych słów. Grał rolę w jakiejś upiornej maskaradzie, znalazł się wśród ludzi, którzy pod osłoną kultywowania religii dążyli ku sobie tylko znanym, sekretnym celom.

Co to wszystko znaczyło? Jak wpakował się w ten cały pasztet? Czy stało się to z jego winy? A może został celowo wciągnięty w tę pułapkę, zwabiony jak mucha w pajęczą sieć? Miał w głowie coraz większy mętlik, zatracił pewność siebie. Dopiero teraz zaczął zastanawiać się nad pewnymi rzeczami. Czemu takie wrażenie wywarł na nich fakt samego jego

przyjazdu i odwiedzin w starej szkole? Co tak bardzo w nim podziwiali i dlaczego tak prosta w sumie czynność zdumiała ich aż do tego stopnia? Czemu tak podkreślali jego odwagę, że ośmielił się tu dotrzeć, „przybyć z własnej woli”, „bezwarunkowo” jak drwiąco, przesadnie wyraził się jeden z nich?

Przeraźliwy strach przepełnił jego serce; Harris nie był w stanie odpowiedzieć sobie na żadne z powyższych pytań. Pojmował teraz tylko jedno – ich celem było zatrzymanie go w tym miejscu. Nie zamierzali go wypuścić. Od tej chwili nie miał już wątpliwości, że istoty, jakie miał przed sobą, są złe, diaboliczne, wrogo nastawione nie tylko wobec niego, lecz wobec życia jako takiego. Słowa, jakie usłyszał przed chwilą, o „jego ostatniej tutaj wizycie” zapłonęły w jego myślach niczym ogień. Harris nie był człowiekiem czynu i nigdy w całej swej zawodowej karierze nie znalazł się w sytuacji zagrożenia życia. Nie sposób go było uznać za tchórza, choć z całą pewnością nigdy jeszcze nie spotkał się z podobnym wyzwaniem. Zdał sobie sprawę ze swego nader ciężkiego położenia i musiał stawić czoła ludziom, którzy doskonale wiedzieli, czego chcą. O co im chodziło, tego mógł się jedynie domyślać. Miał zbyt zmęczony umysł, by dokonywać racjonalnych osądów, działał wyłącznie za sprawą najsilniejszych instynktów odzywających się w jego wnętrzu. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Bracia mogli być obłąkani albo że on sam mógł na pewien czas postradać zmysły i cierpieć z powodu dręczących go omamów. W gruncie rzeczy nie czuł niczego, nic do niego nie docierało, chciał jedynie uciec – im szybciej, tym lepiej. Nieprzeparta odraza przepełniała go do cna.

Nie dał jednak tego po sobie poznać, zjadł swój kawałek pumpernika, wypił kawę, tocząc przy tym niezobowiązującą, luźną rozmowę, a gdy nadarzyła się sposobność, wstał i raz jeszcze oświadczył, że musi już iść. Powiedział to niezbyt głośno, ale bardzo zdecydowanie. Nikt, kto go usłyszał, nie mógł wątpić w to, że mówił serio. Tym razem dotarł niemal do samych drzwi.

– Żałuję – powiedział po niemiecku, zwracając się do ogółu wykładowców – że nasz miły wieczór dobiega końca, ale czas już na mnie, toteż życzę wam wszystkim spokojnej nocy. – A kiedy żaden z nich się nie odezwał, dodał, aczkolwiek bez zbytniej pewności siebie: – Iz całego serca dziękuję wszystkim za gościnność.

– Wręcz przeciwnie – odparł natychmiast Kalkmann, podnosząc się z krzesła i ignorując dłoń Anglika, którą ten do niego wyciągnął – to my chcielibyśmy podziękować tobie; jesteśmy ci za to szczerze wdzięczni.

Równocześnie pół tuzina Braci zagroziło mu dostęp do drzwi.

– Miło mi to słyszeć – mruknął Harris, siląc się na stanowczy ton, lecz kątem oka obserwując przebieg wydarzeń – choć szczerze mówiąc, nie zdawałem sobie sprawy, że moja przypadkowa wizyta sprawi wam tak wiele radości.

Postąpił kolejny krok w stronę drzwi, ale Bruder Schliemann błyskawicznie podszedł i zastąpił mu drogę. Jego zachowanie nie pozostawiało złudzeń co do intencji, jakie nim powodowały. Na obliczu mężczyzny pojawił się mroczny, przerażający grymas.

– Nie znalazłeś się tu przypadkiem, Bracie Harrisie – rzekł tak, by usłyszano go w całym pokoju – chyba nie zrozumieliśmy opacznie twojej obecności tutaj? – Uniósł czarne brwi.

– Nie, nie – odparł pośpiesznie Anglik. – Cieszyłem się... cieszę się, że tu jestem. Już mówiłem, jaka to dla mnie przyjemność móc znaleźć się wśród was. Na pewno nie mogliście zrozumieć mnie opacznie. – Głos lekko zaczął mu się łamać, miał trudności w doborze słów. I coraz trudniej mu było zrozumieć ich.

– Oczywiście – wtrącił Bruder Kalkmann swym mrocznym basem – nie zostałeś zrozumiany opacznie. Wróciłeś w duchu prawdziwego, szczerego i bezwarunkowego oddania. Ofiarowujesz się z własnej woli, my zaś to doceniamy. Twoja gotowość i szlachetność zyskała nasz najwyższy szacunek i respekt. – Przez całą salę przeszedł lekki szmer, Harris usłyszał ciche potakiwania. – Szczególnie ważne jest dla nas i dla naszego wielkiego Mistrza... twoja spontaniczność i ochota do złożenia dobrowolnej... – Użył słowa, którego Harris nie rozumiał. Powiedział *Opfer*.

Oszołomiony Anglik jął poszukiwać w myślach właściwego słowa w swym rodzimym języku, lecz na próżno. Nie potrafił go przetłumaczyć i nie pamiętał jego znaczenia. A jednak to słowo, choć niezrozumiałe, spowiło jego serce falą lodowatej trwogi. To było gorsze, znacznie gorsze niż wszystko, co był sobie w stanie wyobrazić. Czuł się jak zagubiona, bezradna istota i na krótką chwilę utracił całą wolę walki.

– To doprawdy wspaniałe, że chcesz być dobrowolną... – dodał Schliemann, podchodząc doń z odrażającym uśmiechem na ustach. On

także użył tego słowa: – ...*opfer*.

Boże, co to wszystko miało znaczyć? Ofiarowujesz się! Duch prawdziwego, szczerego, bezwarunkowego oddania! Dobrowolna, spontaniczna, wspaniała *opfer, opfer, opfeñ* Co to znaczyło, u licha, jak można było przetłumaczyć to dziwne, tajemnicze słowo, które przepełniało jego serce dojmującą zgrozą?

Dzielnie starał się utrzymać nerwy na wodzy i zachować trzeźwość umysłu. Odwracając się, ujrzał, że twarz Kalkmanna była trupio biała. *Kalkmann!* Zrozumiał znaczenie tego słowa: „człowiek z kredy”. Ale co znaczyło to *opfer*? Było ono kluczem do całej tej zagadki. W jego myślach przelewał się istny potok słów, płynęły w nim rwącą, nieprzerwaną strugą, rzadkie słowa, które słyszał zaledwie raz czy dwa w życiu, lecz *opfer*, wyrażenie skądinąd pospolite, będące w codziennym użyciu pozostawało dlań nieodmiennie niezrozumiałe. Cóż za absurdalna sytuacja!

Wtem Kalmann, blady jak trup, lecz z twarzą niewzruszoną niczym żelazna maska wypowiedział kilka cichych słów, których Harris nie dosłyszał, a Bracia stojący pod ścianami natychmiast przygasili lampy i w pomieszczeniu zapanował półmrok. W tym słabym świetle Harris widział jedynie twarze i ruchy tamtych.

– Już czas – usłyszał za sobą beznamiętny głos Kalkmanna. – Pół noc się zbliża. Przygotujmy się. On nadchodzi! On nadchodzi; Bruder Asmodelius nadchodzi! – Jego głos przeszedł w melodyjny zaśpiew.

Brzmienie tego imienia z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu wydało się Harrisowi przerażające, do tego stopnia, że usłyszawszy je, zadygotał od stóp do głów. Wypowiedziane donośnym tonem imię wypełniło wnętrze sali niczym huk grzmotu, a gdy przebrzmiało jego echo, wokół zapanowała kompletna cisza. Jakieś nieznanne moce otoczyły go zewsząd, przemieniając to, co zwyczajne, w to, co przerażające, a trwoga, jaka go ogarnęła, sparaliżowała go do tego stopnia, że był bliski omdlenia.

Asmodelius! Asmodelius! To imię było przerażające. Dopiero teraz Harris zrozumiał, kogo dotyczyło i jakie znaczenie kryło się w tych plugawych sylabach. Równocześnie zdał sobie sprawę, co znaczyło owo niezrozumiałe słowo. Ciężar słowa *opfer* przytłoczył jego duszę jak zapowiedź rychłej śmierci.

Zastanawiał się nad podjęciem desperackiej próby przebicia się do drzwi, ale kolana miał miękkie jak z waty, a widok ciemnych postaci

zastępujących mu drogę pozbawił go resztek odwagi. Mógłby zacząć wzywać pomocy, ale przypomniał sobie, że ogromny budynek stał na odludziu, a jego mury były grube i mocne. Wiedział, że nie znajdzie tu nikogo, kto mógłby przyjść mu na ratunek, więc nie zadał sobie trudu, by zacząć krzyczeć. Stał nieruchomo i w kompletnym milczeniu. Mimo to wiedział, co się zaraz stanie.

Dwaj Bracia podeszli do niego i wzięli go delikatnie pod rękę.

– Bruder Asmodelius zaakceptował cię – wyszeptali – czy jesteś gotowy?

Dopiero teraz spróbował wydobyć z siebie głos: – Ale co miałbym zrobić dla tego, jak mu tam, Brata Asmu... Asmo...? – wykrztusił, z trudem formułując kolejne słowa.

Nie był w stanie wymówić tego imienia. Nie potrafił. Nie mógł wypowiedzieć go na głos. Nigdy jeszcze nie czuł się równie bezradny, a niemożliwość wymówienia nieznanego dotąd imienia na nowo zmąciła jego umysł, przepełniając Harrisa trwogą i osobliwą ekscytacją.

– Przybyłem tu z przyjacielską wizytą – rzekł z największym trudem, ale jakież było jego zdumienie, gdy usłyszał swój głos wypowiadający całkiem inne słowa, włącznie z tym, które padło z ust wykładowców. – Przybyłem tu z własnej woli, by złożyć dobrowolną *opfer* – rzekł powoli – i jestem gotów.

Całkiem się zatracił! Nie panował nie tylko nad swoim umysłem, lecz także nad własnym ciałem. Miał wrażenie, jakby unosił się niczym zjawą na granicy widmowego, czy raczej demonicznego świata, w którym imię wypowiedziane przez Tamtych było prawdziwym imieniem ich Mistrza i stanowiło słowo ostatecznej mocy.

To, co miało miejsce dalej, wydawało mu się istnym koszmarem.

– W półmroku, który skrywa wszelką prawdę, przygotujmy się, by oddać cześć i odprawić rytuał – zaintonował Schliemann, który przemaszerował przed nim na drugi koniec sali.

– We mgle, która skrywa nasze oblicza przed Czarnym Tronem, przygotujmy dobrowolną ofiarę – zawtórował tubalnym głosem Kalkmann.

Unieśli głowy, nasłuchując z uwagą, gdy nagle powietrze wypełnił donośny ryk, jakby świst przelatujących pocisków, odległy dźwięk, cudowny i odpychający zarazem. Ściany pomieszczenia zadrżały.

– On nadchodzi! On nadchodzi! On nadchodzi! – zagrzemiał chór głosów.

Dziki ryk ucichł, wszystko spowiała lodowata, złowroga aura. Wreszcie Kalkmann, mroczny i niewiarygodnie posepny, odwrócił się w słabym świetle i spojrzął na pozostałych.

– Asmodelius, nasz *hauptbruder*, jest wśród nas – zawołał drżącym głosem, który jednak wydawał się dziwnie potężny i niewzruszony. – Asmodelius jest wśród nas. Przygotujcie się.

Nastała chwila ciszy, podczas której nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Wysoki Brat podszedł do Anglika, lecz Kalkmann uniósł dłoń do góry.

– Niechaj oczy pozostaną nie zasłonięte – powiedział – aby uhonorować jego dobrowolne oddanie.

Wtedy też, ku swemu przerażeniu, Harris zorientował się, że jego ręce zostały mocno skrępowane i unieruchomione przy bokach.

Bruder wycofał się bez słowa, a w chwilę później wszystkie otaczające handlarza postacie osunęły się na klęczki; tylko on stał wyprostowany, otoczyły go głosy Braci pełne uniesienia i czci, powtarzające raz po raz, z nabożnością i pokorą imię Istoty, której niechybnego przybycia lada moment się spodziewali.

Wtem, przy drugim końcu pomieszczenia, gdzie okna jakimś trafem znikły i widział teraz wyraźnie gwiazdy migoczące na niebie, dostrzegł przerażający i potężny zarys ludzkiej sylwetki. Otaczała ją straszliwa aura mrocznej chwały, przydająca postaci monumentalnego wręcz dostojenstwa i splendoru. Zbliżająca się istota była olbrzymia, niewzruszona, nieomal posągowa i przerażająca, a jej oblicze emanujące duchową mocą tak dumne, posepne i smutne, że Harris nie potrafił zatrzymać na nim wzroku dłużej niż przez mgnienie oka; gdyby zawahał się choć przez chwilę, straciłby nad sobą panowanie i i zatraciłby się do reszty w bezmiarze nienazwanej pustki.

Postać była tak odległa i niedostępna, że nie sposób było określić jej rozmiarów, lecz zarazem wydawała się dziwnie bliska, do tego stopnia, że gdy mroczna aura bijąca z tego posepnego, smutnego oblicza spłynęła w głąb jego duszy, pulsując niczym ciemna gwiazda mocą duchowego zła, odniósł wrażenie, jakby znajdowało się ono tuż obok niego, nie dalej niż którykolwiek z otaczających go Braci.

Zaraz potem pomieszczenie wypełniło się drżącymi dźwiękami, które Harris rozpoznał bez cienia wątpliwości, były to głosy innych, tych, którzy zawiedli, jego poprzedników z minionych lat. Najpierw rozległ się donośny, ostry krzyk, głos cierpiącego mężczyzny, z trudem usiłującego nabrać tchu, a następnie wraz z ostatnim tchnieniem szepczącego imię Istoty, mrocznego stworzenia, które radowało się tym, co dane jej było usłyszeć. Krzyki duszonych, krótkie, urywane sapnięcia mężczyzn, nie mogących zapełnić złąknionych płuc kolejnym haustem powietrza; bulgoczące dźwięki dobywające się z miazdzonej krtani, to wszystko i wiele więcej rozbrzmiewało echem pośród czterech ścian, tych samych, których on sam był teraz więźniem, stając się dobrowolną ofiarą. Słysząc było również o wiele bardziej upiorne krzyki cierpiących, udręczonych dusz. Ten przeraźliwy chór to cichł, to przybierał na sile, dostrzec też można było widmowe twarze zagubionych, nieszczęśliwych istot, do których należały; przepływały obok niego, w powietrzu, widoczne na tle zasłony jasnoszarego światła, żalodne, białe ludzkie sylwetki, zdające się przyzywać go, jakby już teraz uważały go za swojego i w ten bezceremonialny sposób próbowały przyjąć go do swego grona.

Powoli, w miarę jak głosy przybierały na sile, a blade kształty przepływały obok niego i znikwały w oddali, z nieba spłynęła olbrzymia, szara postać i zbliżyła się do pomieszczenia, gdzie znajdowali się jej wyznawcy, wraz z ich więźniem. Ręce uniosły się i otoczyły go w ciemnościach, Harris poczuł, że ubrano go w inny strój niż ten, który miał dotychczas na sobie, coś zimnego jak lodowa obręcz opasało jego czaszkę, talię zaś opięto coś w rodzaju szerokiego pasa. Wreszcie poczuł na szyi miękką, jedwabistą dotyk, który, o czym handlarz wiedział doskonale i nie potrzebował do tego lusterka, oznaczał obecność jedwabnego, ofiarnego sznura i zwiastował jego rychłą śmierć.

W tej samej chwili Bracia, wciąż rozciągnięci w kornym pokłonie na podłodze, znów zaintonowali swą posępną, choć pełną uniesienia pieśń, a wówczas wydarzyło się coś dziwnego. Albowiem olbrzymia Postać, choć z pozoru wcale się nie poruszyła ani nie zmieniła pozycji, nagle ni stąd, ni zowąd znalazła się wewnątrz pomieszczenia, stanęła niemal tuż przy nim, wypełniając każdy cal wolnej przestrzeni. Prócz tej Istoty nie widział teraz nic innego. Nie czuł już strachu, wykraczał poza te proste odczucia, jednak jego serce przepełniała inna trwoga, lęk przed niechybną śmiercią jego

własnej duszy. Nie myślał już o ucieczce. To byłoby stratą cennego czasu. Koniec był bliski, a on miał tego pełną świadomość.

Wokół niego rozbrzmiały słowa głośniejszej inkantacji: Oddajemy ci cześć! Oddajemy ci hołd! Oddajemy ci ofiarę! Te dźwięki wypełniły jego uszy, docierając z dręczącą siłą aż do jego mózgu. Zaraz potem majestatyczne, szare oblicze powoli spojrzało w dół, na niego, a Harris poczuł, że jego dusza zaczyna wyrwać się z ciała, wchłaniana przez bezmiar tych przepelnionych udręką oczu. Równocześnie tuzin dłoni zmusił go, aby ukląkł, a w powietrzu przed nim pojawiła się uniesiona ręka Kalkmanna i nacisk wokół szyi handlarza przybrał na sile.

Właśnie w tej krótkiej, przerażającej chwili, gdy porzucił wszelką nadzieję, a pomoc zarówno ludzka jak i boska zdawała się nie wchodzić w grę, wydarzyło się coś dziwnego. Oto bowiem przed jego oczami, które z wolna zasnuwała czerń, zdawałoby się bez żadnego wyraźnego powodu, jak promień słońca przesączający się przez szczelinę między zasłonami, pojawiło się nagle oblicze drugiego z mężczyzn, którego widział w gospodzie podczas wieczerzy. I widok ten, choćby tylko mentalny, obraz silnego, pełnego wigoru i zdecydowanie angielskiego oblicza przydał mu sił.

Był to tylko krótki przebłysk, ulotna wizja poprzedzająca popadnięcie w mroczną otchłań ostatecznego zapomnienia, a mimo to w jakiś niewytłumaczalny, niewyjaśniony sposób widok tej twarzy obudził w nim nową nadzieję i wiarę w ocalenie. To było oblicze mocy, twarz emanująca tak potężną falą dobroci, ciepła, życzliwości i współczucia, że podobną mogli ujrzeć starzy rybacy nad brzegami Galilei; owo oblicze, pełne natchnionej bliskości było w stanie pokonać nawet demony z pozaziemskich otchłani.

On zaś, w swej rozpacz i osamotnieniu, przywołał je, jął wzywać to oblicze, przemawiać do niego, choć nie pamiętał, jakich konkretnie użył słów. Odnalazł w sobie głos i to było najważniejsze, słowa nie były aż tak istotne. Stanowiły jedynie środek do osiągnięcia pewnego celu. Nie pamiętał, czy mówił po angielsku, czy po niemiecku. Efekt ich wszelako był nieuchwytny. Bracia zrozumieli, co robił; zrozumiała to także złowroga, szara Postać. Na chwilę w pomieszczeniu zapanował nieopisany chaos. Rozległ się potworny łoskot. Wydawało się, że cała ziemia zatrzęsła się w

posadach. Harris przypomniał sobie później głos, który rozległ się pośród tego niewygodnego zamieszania.

– Wśród nas jest człowiek mocy! Sługa Boży!

Rozdzierający dźwięk powtórzył się – odgłos przywodzący na myśl ryk przelatujących pocisków – a potem Harris osunął się na podłogę pomieszczenia bez przytomności. Wszystko, co wcześniej widział, znikło, rozplynęło się jak dym na wietrze. Obok niego zaś siedział szczupły, niewysoki Anglik, ten sam, którego widział wcześniej w gospodzie, mężczyzna o niezwykłych oczach, pełnych ciepła, życzliwości i współczucia.

Kiedy Harris się ocknął, poczuł chłód. Leżał pod gołym niebem, a chłodne powietrze pól i lasu omiatało jego twarz. Usiadł i rozejrzał się dokoła. Wciąż miał jeszcze żywo w pamięci wspomnienie ostatnich, upiornych scen, ale nie pozostał po nich żaden fizyczny ślad. Nie otaczały go zimne ściany ani wysoki, ciemny sufit, nie znajdował się już w zamkniętym pomieszczeniu. Nie było przygaszonych lamp, dymu z cygar, czarnych sylwetek wyznawców zła ani przerażającej, szarej Postaci czającej się za oknami.

Otaczała go pusta przestrzeń, leżał wśród gruzowiska, jego ubranie było wilgotne od rosy, a wysoko na niebie migotały przyjazne gwiazdy, leżał posiniaczony i wstrząśnięty wśród ruin starej, zniszczonej budowli.

Wstał i rozejrzał się dokoła. W oddali, wśród głębokich cieni widać było szpaler drzew tworzących skraj lasu, a nieco bliżej, zarysy domów w wiosce. Pod stopami miał jedynie pogruchotane kamienie, pozostałości po budowli, która dawno temu obróciła się w gruzy. I nagle zauważył, że kamienie były szerniałe, a wielkie, drewniane belki, widoczne wśród rumowiska, na wpół spalone, na poły zaś zbutwiałe. Stał zatem wśród ruin spalonego i zburzonego budynku, a widok chwastów pniących się dokoła uświadomił mu, że musiało się to zdarzyć wiele lat temu.

Księżyc zaszedł już za lasem, ale gwiazdy migoczące na niebie rzucały dostatecznie silne światło, by zdołał dostrzec, gdzie się obecnie znajdował. Harris, handlarz jedwabiem, stał wśród tych osmalonych ruin i dygotał jak osika.

Nagle też zdał sobie sprawę, że w półmroku obok niego stanęła jakaś postać. Spojrzał w tę stronę i zobaczył twarz nieznanego z gospody.

– Czy pan jest prawdziwy? – zapytał jakby nie swoim głosem.

– Oczywiście, co więcej, nie mam wobec pana złych zamiarów – odparł nieznajomy. – Szedłem tu za panem aż z gospody.

Harris zastygł i patrzył bez słowa przez dobrych kilka minut. Zęby szczękały mu jak kastaniety. Nawet najcichszy dźwięk sprawiał, że gwałtownie się wzdrygał, lecz proste słowa wypowiedziane w jego ojczystym języku i ciepły, życzliwy ton przyniosły mu niewypowiedzianą ulgę i pocieszenie.

– Dzięki Bogu, pan także jest Anglikiem – rzucił z głupia frant. – Te niemieckie diabły... – przerwał i uniósł dłoń do oczu. – Ale co się z ni mi stało... z tą salą... i... i... – Dotknął dłonią szyi i powiódł palcami po skórze. Odetchnął z ulgą. – Czy to wszystko... to był tylko sen? – spytał niepewnym tonem.

Rozejrzał się dziko wokoło, a nieznajomy podszedł i ujął go za rękę.

– Chodźmy – rzekł kojąco, lecz władczy tonem – wynośmy się stąd. Nawet na szlaku czy w głębi lasu poczuje się pan o niebo lepiej, bo tak się składa, że stoimy teraz w jednym z najbardziej nawiedzonych – dodam, że naprawdę potwornych – miejsc na świecie.

Poprowadził swego ślaniającego się na nogach towarzysza przez rumowisko, aż dotarli do ścieżki; pokrzywy parzyły ich dłonie, a Harris szedł krok za krokiem, tępo, bezwiednie, jak lunatyk. Minawszy poskręcane, żelazne ogrodzenie wyszli na ścieżkę, a nią z kolei dotarli do drogi, skrzęcej się biało pośród nocy. Gdy tylko znaleźli się w bezpiecznej odległości od ruin, Harris zebrał się na odwagę i obejrzał się za siebie.

– Ale... jak to możliwe? – zakrzyknął drżącym głosem. – Jak to możliwe? Kiedy tu przybyłem, widziałem ten budynek w blasku księżyca. Otworzyli mi drzwi. Widziałem postacie, słyszałem głosy, a nawet dotykałem, tak, dotykałem ich dłoni, widziałem ich przekłete, mroczne twarze, widziałem je o wiele wyraźniej niż pana w tej chwili. – Był zdezorientowany, zbity z tropu. Wciąż znajdował się pod działaniem uroku, którego iluzje wydawały mu się bardziej realne aniżeli otaczająca go rzeczywistość. – Czy aż tak bardzo zostałem zbałamucony...?

I dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co przed chwilą powiedział mu nieznajomy.

– Nawiedzone? – spytał, przeszywając go wzrokiem – powiedział pan, nawiedzone? – Przystanął na drodze i spojrzał w ciemność, gdzie po raz

pierwszy jego oczom ukazał się gmach starej szkoły. Nieznajomy jednak ponaglił go do podjęcia przerwane marszu.

– Porozmawiamy później, gdy znajdziemy się w bezpiecznej odległości od tego miejsca – oznajmił. – Poszedłem za panem, gdy tylko zorientowałem się, że opuścił pan gospodę. Kiedy pana odnalazłem, była punkt jedenasta...

– Jedenasta – powtórzył Harris i wzdrygnął się na to wspomnienie.

– ...widziałem, jak się pan przewraca. Czuwałem nad panem, aż odzyskał pan przytomność, a teraz... teraz jestem tu, by odprowadzić pana bezpiecznie do gospody. Przełamałem zły czar... ten urok...

– Jestem pańskim dłużnikiem – przerwał mu Harris, zaczynając zdawać sobie sprawę z życzliwości nieznajomego i szczerości jego intencji – ale szczerze mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Jestem zdeorientowany, wstrząśnięty i oszołomiony. – Szczekał zębami, a od stóp do głów jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze. Z całych sił przytrzymał się ramienia towarzysza. W ten właśnie sposób przeszli obaj przez opustoszałą wioskę i dotarli do drogi prowadzącej przez las.

– Gmach szkoły już od dawna nie istnieje – rzekł nieznajomy – został spalony z rozkazu Starszych tej wspólnoty dobrych dziesięć lat temu. Od tej pory wioska jest niezamieszkała. Mimo to manifestacje pewnych upiornych zdarzeń, jakie rozgrywały się w tych murach, mają miejsce po dziś dzień. A „powłoki” głównych uczestników tych wypadków wciąż dokonują tych samych, plugawych czynów, które przyczyniły się do ich ostatecznej zagłady i do opuszczenia tej osady przez jej mieszkańców. To byli czciciele Szatana!

Harris słuchał tych słów z czołem zroszonym zimnym potem, który nie był wynikiem marszu, skądinąd dość powolnego, a w dodatku noc była raczej chłodna. Choć Harris widział tego mężczyznę zaledwie po raz drugi i nigdy wcześniej nie zamienił z nim słowa, czuł się przy nim bezpiecznie i swobodnie, a tego właśnie było mu trzeba po traumatycznych wydarzeniach, które stały się jego udziałem. Bo mimo wszystko wciąż czuł się, jakby wędrował we śnie, i choć słyszał każde słowo swego towarzysza, dopiero następnego dnia zrozumie w pełni, czego się od niego dowiedział. Obecność tego cichego nieznajomego o ciepłych, wrażliwych, pełnych współczucia oczach była niczym kojący balsam na krwawiące rany jego duszy. Z każdą chwilą rany te powoli się goiły. Uzdrowicielski wpływ tego

kogoś idącego u jego boku zaspokoił jego podstawowe potrzeby, do tego stopnia, że Harris nieomal zapomniał, jak dziwnym i szczególnym zrządzeniem losu było, że mężczyzna ten w ogóle się tam pojawił.

Nigdy jakoś nie przyszło mu do głowy, aby zapytać go o nazwisko albo wyrazić swoje zdumienie, że przypadkowy turysta chce zadać sobie trud, dla dobra innej, nieznannej mu osoby. Po prostu szedł obok niego, wsłuchując się w jego ciche słowa i radując się, po niedawnych przejściach, obecnością drugiego, życzliwie doń nastawionego człowieka, którego obecność przydawała mu sił i dodawała otuchy. Pamiętał, że tylko raz, przypomniawszy sobie jakąś lekturę sprzed lat, odwrócił się do swego kompana i w przerwie w jego wypowiedzi jakby mimowolnie zapytał: – Czy nie jest pan aby Różokrzyżowcem? – Nieznajomy jednak zignorował te słowa, a może ich nie usłyszał, bo dalej kontynuował swój wywód, Harris zaś zdał sobie sprawę, że w jego umyśle pojawił się całkiem nowy, dość niezwykły obraz; kiedy tak szli przez ciemny, chłodny las, oczyma wyobraźni ujrzał zapamiętaną z dzieciństwa wizję Jakuba walczącego z Aniołem; człowieka walczącego przez całą noc z istotą wyższą, której moc stała się w końcu jego własną.

– To pańska rozmowa z księdzem przy kolacji pchnęła mnie ostatecznie na spotkanie tych niezwykłych zdarzeń – usłyszał dochodzący z ciemności cichy głos nieznajomego – to od niego usłyszałem, kiedy pan ruszył w drogę, opowieść o Kulcie Szatana, który kwitł w najlepsze potajemnie w murach tej z pozoru szacownej i pełnej wzniosłości, zakazanej placówki.

– Kult Szatana! Tutaj...! – wykrztusił Harris z przerażeniem w głosie.

– Tak, tutaj. Wyznawany potajemnie od lat przez Braci, zanim niewyjaśnione zaginięcia w tej okolicy doprowadziły do odkrycia ich mrocznego sekretu. Gdzież bowiem mogli znaleźć bezpieczniejsze miejsce, by odprawiać swe plugawe rytuały i oddawać się odrażającym praktykom, jeśli nie tu, pod osłoną nabożności i zgłębiania nauk wiodących do rozwoju duchowego?

– To okropne, niepojęte! – wyszeptał handlarz jedwabiem. – Gdy opowiem panu, co od nich usłyszałem...

– Wiem wszystko – rzekł półgłosem nieznajomy – tak się składa, że wszystko widziałem i słyszałem. W pewnej chwili chciałem zaczekać aż do końca, a dopiero potem podjąć kroki mające na celu ich unicestwienie, ale w trosce o pańskie bezpieczeństwo... – mówił z niezłomną powagą i

pewnością siebie – w obawie o pańską duszę musiałem się ujawnić nieco wcześniej, zanim wszystko osiągnęło swój kres...

– W trosce o moje bezpieczeństwo! A zatem zagrożenie było realne. Oni naprawdę żyli i... – zabrakło mu słów. Zatrzymał się na środku drogi i odwrócił się do swego towarzysza; w ciemnościach widać było jego oczy.

– To było zgromadzenie powłok brutalnych, bezlitosnych mężczyzn, ludzi rozwiniętych pod względem mentalnym i duchowym, lecz niewiarygodnie złych, plugawych, pragnących po śmierci – to znaczy po śmierci ich ciał – przedłużyć swą odrażającą, nienaturalną egzystencję. Gdyby im się udało, pan również po śmierci swego ciała dołączyłby do ich grupy, znalazłby się pan w ich mocy i musiałby pomagać w realizacji ich diabolicznych celów.

Harris nie odpowiedział, usilnie starał skupić się na tym, co dobre i co łączyło się z pospolitym, codziennym życiem. Myślał nawet o jedwabiu, St. Paul's Churchyard i twarzach swoich partnerów w interesach.

– Przyszedł pan tutaj jak owieczka na rzeź, ofiara, która sama wcho dzi do jaskini lwa – usłyszał głos tamtego, zdający się dobiegać ze znacznej odległości – pański głęboko introwertyczny nastrój zdołał zrekonstruować przeszłość tak głęboko i wyraziście, że nawiązany został natychmiastowy i bezpośredni kontakt z mrocznymi siłami z przeszłości, które nadal były aktywne w tym przeklętym miejscu. I moce te owładnęły panem bez najmniejszych przeszkód.

Usłyszawszy te słowa Harris mocniej zacisnął dłoń na ramieniu nieznanego. W tym momencie czuł w sobie tylko jedno. Jakoś go nie dziwiło, że tamten tak dobrze znał jego myśli i emocje.

– Tak się dziwnie składa, że to przede wszystkim złe emocje są w sta nie pozostawiać swą aurę w pewnych konkretnych miejscach lub obiektach – ciągnął nieznanomy. – Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o miejscu nawiedzonym przez wspomnienia jakichś szlachetnych uczynków albo o pięknych i uroczych duchach postrzeganych w blasku księżyca? Nieste ty, nic mi o tym nie wiadomo. Natomiast złowieszcze pasje przepełniające ludzkie serca wydają się dostatecznie silne, by pozostawić po sobie obrazy, które trwają jeszcze przez wiele kolejnych lat; dobro jest zawsze zbyt mdłe i cukierkowe.

Nieznanomy mówiąc te słowa, westchnął przeciągle. Harris jednak, wyczerpany i wstrząśnięty do głębi szedł obok niego, prawie nie słysząc

tego, co mówił jego towarzysz. Maszerował jak lunatyk. Czuł się cudownie, idąc tak, pod gwiazdami, powracając do domu w tę późną październikową noc, pośród cichego, spokojnego, ciemnego lasu; niewielkie polany wokoło wypełnił szmer setki drobnych, niewidzialnych strumieni. Gdy później powracał we wspomnieniach do tych chwil, zawsze wydawały mu się one magiczne, nierealne, zbyt piękne i nazbyt osobliwe, aby mogły być prawdziwe. I choć wówczas usłyszał zaledwie cząstkę z tego, co mówił doń nieznajomy, słowa te stopniowo powracały do niego później, pozostając z nim po kres jego dni, jakby przeżył wówczas niezwykle i cudowny sen, który był w stanie przypomnieć sobie tylko fragmentarycznie, w starannie odmierzanych dawkach.

Mimo to koszmar, którego stał się uczestnikiem, został w końcu skutecznie pokonany, przemógł go w sobie, a kiedy dotarli do gospody, około trzeciej nad ranem, Harris z wdzięcznością uściśnął dłoń nieznajomego i przez chwilę z niekłamaną radością wpatrywał się w życzliwe, pełne ciepła i współczucia oczy tamtego, po czym udał się do swego pokoju, rozmyślając niejako mimochodem o słowach, którymi nieznajomy zakończył ich rozmowę, kiedy wreszcie pozostawił za sobą mroczne, leśne ostępy.

– Skoro myśli i emocje są w stanie przetrwać tak długo po tym, jak mózg, który je wyemanował, dawno temu obrócił się w pył, jakże istotne powinno być, abyśmy je całym sercem kontrolowali i powstrzymywali wszelkie przejawy rodzących się w nas negatywnych odczuć...

Harris, handlarz jedwabiem, spał tej nocy lepiej, aniżeli mógł się tego spodziewać, i obudził się dopiero późnym popołudniem. Kiedy jednak zszedł na dół i dowiedział się, że nieznajomy już wyjechał, uświadomił sobie z niejakim żalem, iż nie zapytał go nawet o nazwisko.

– Owszem, wpisał się do księgi gości – odpowiedziała dziewczyna na zadane przez niego pytanie.

Harris zaczął przewracać kolejne pokryte wpisami stronice, a kiedy dotarł do ostatniego z nich, ujrzał trzy słowa nakreślone bardzo starannym, acz drobnym i delikatnym charakterem pisma:

John Silence, Londyn.

Pradawna magia

(Ancient Sorceries)

Może się wydawać, że pewne, z pozoru całkiem pospolite osoby, nie przejawiające awanturniczych zamiłowań, raz czy dwa w ciągu swego spokojnego, nieciekawego życia doświadczają doznań tak osobliwych, że cały świat na samo wspomnienie o nich wstrzymuje oddech i odwraca wzrok! Takie właśnie przypadki, bardziej niż jakiegokolwiek inne zwracały uwagę Johna Silence'a, okultysty i badacza zjawisk paranormalnych, on zaś, odwołując się do swej wrażliwej, ludzkiej natury, cierpliwości i niezmiernych pokładów ludzkiego współczucia, często doprowadzał do rozwiązań wyjątkowo złożonych zagadek, mających olbrzymie znaczenie dla związanych z nim osób i dla ludzi w ogóle.

Uwielbiał docierać do sedna spraw, zdawałoby się zbyt osobliwych i fantastycznych, aby można im dać wiarę. Jego pasję stanowiło rozwiązywanie zagadek powikłanych niczym węzeł gordyjski, docieranie do sedna sprawy i przynoszenie ulgi cierpiącym. A węzły, które zdarzało mu się rozplątywać, były niejednokrotnie nader niezwykle.

Świat, rzecz jasna, wymaga pewnych, ściśle określonych, wiarygodnych podstaw, czegoś, co przynajmniej z pozoru dałoby się wyjaśnić. Ludzie o awanturniczej naturze potrafią to zrozumieć: są oni w stanie na różne sposoby wyjaśnić przygody, które ich spotykają, a w zależności od charakteru danej osoby zróżnicowane są też ich zdarzenia. To, co ich spotyka, jest z natury rzeczy zrozumiałe i oczywiste. Jednakże pospolici,

zwyczajni, szarzy ludzie nie mają prawa do niezwykłych, niecodziennych zdarzeń i gdy coś takiego ich spotka, cały świat jest wstrząśnięty, by nie powiedzieć rozczarowany. Zachwiany zostaje bowiem pewien porządek i spokój. Słysząc głosy: „Że też coś takiego spotkało akurat *jego...* kogoś tak pospolitego! To czysty absurd! Coś tu nie gra!”

A jednak nie ulegało wątpliwości, że coś faktycznie przydarzyło się niejakiemu Arthurowi Vezinowi, coś niezwykłego, o czym postanowił opowiedzieć doktorowi Silence'owi. To, co się stało, wydarzyło się naprawdę, bez cienia wątpliwości, pomimo drwin ze strony kilku przyjaciół, którym opowiedział swą historię i którzy skwitowali jego słowa cenną uwagą, iż *coś podobnego mogłoby może spotkać tego szajbusa Iszarda albo tego dziwaka Mińskiego, ale nie kogoś tak pospolitego jak Vezin, któremu pisane było szare, bezbarwne życie i równie zwyczajna śmierć.*

Póki co Vezin żył i nieodparcie powracał pamięcią do jedyne, jak dotąd, niezwykłego i niesamowitego wydarzenia w swym dotychczas szarym i nieciekawym życiu, a gdy słyszało się jego głos, coraz bardziej cichnący w miarę trwania opowieści i widziało się te zmiany wyrazu jego drobnej, bladej twarzy, można było nabrać przekonania, iż treść relacjonowanej przezeń historii jest ze wszech miar prawdziwa. Ten człowiek za każdym razem przeżywał to zdarzenie od nowa. Wkładał w to całego siebie. To go przytłumiało. Był wyciszony bardziej niż kiedykolwiek, do tego stopnia, iż jego monolog stawał się momentami formą długich przeprosin za to, co go spotkało. Wydawał się poszukiwać wymówek i prosić o wybaczenie, iż odważył się uczestniczyć w tak fantastycznym zdarzeniu. Mały pan Vezin był bowiem z natury bojaźliwy, łagodny i wrażliwy, uległy, dobroduszny, pozytywnie nastawiony zarówno do ludzi jak i zwierząt, nie potrafił nikomu odmówić, słowa *NIE* brakowało chyba w jego słowniku, obce było mu także wyklócanie się o cokolwiek, nawet jeżeli to coś rzeczywiście mu się należało. Całe jego życie koncentrowało się na rzeczach trywialnych, wśród których największą sensację stanowiło zgubienie parasola w autobusie, lub spóźnienie się na pociąg. Kiedy przydarzyła mu się ta dziwna rzecz, był on już mocno po czterdziestce, prawdę mówiąc, miał więcej lat, niż sądzili jego przyjaciele, i więcej, niż on sam się przyznawał.

John Silence, który kilkakrotnie słyszał go mówiącego o swoim przeżyciu, zauważył, że niekiedy pomijał on pewne szczegóły, dodawał natomiast inne, niemniej jednak cała historia pozostawała nieodmiennie taka sama. Wryła się na zawsze w jego pamięć i mimo upływu czasu wspomnienie wciąż pozostawało żywe. Żaden szczegół nie został zmyślony lub dodany z premedytacją, kiedy zaś opowiadał tę historię ze wszystkimi szczegółami, wrażenie było piorunujące. Nie sposób było zaprzeczyć prawdziwości jego słów. Jego ciepłe, brązowe oczy zaczynały błyszczeć, a czarująca osobowość, zwykle w znacznym stopniu tłumiona, wyłaniała się z ukrycia. Nie zatracił przy tym wrodzonej skromności, choć podczas opowiadania zawsze mocno przeżywał tę swą dawną przygodę.

Wracał właśnie do domu, kiedy to się stało, podróżując przez północną Francję, po wyprawie w góry czy jakieś bliżej nieokreślone, odludne miejsce, gdzie samotnie zaszywał się każdego lata. Nie miał niczego prócz torby podróżnej na półce na bagażu, a pociąg był okropnie przepełniony, większość pasażerów stanowili nie spełnieni urlopowo Anglicy. Nie żywił wobec nich sympatii, nie dlatego, że byli jego rodakami, lecz dlatego, że zachowywali się hałaśliwie i natrętnie, swymi potężnymi ciałami przyobleczonymi w tweed przesłaniali i tłumili piękno spokojnego dnia na zewnątrz, to wszystko, co przynosiło mu ukojenie, pozwalając rozplątać się w nicości i zapomnieć o tym, kim był i że w ogóle kimś był. Wspomniani Anglicy robili tyle hałasu co orkiestra dęta, uświadamiając mu równocześnie, że powinien być bardziej asertywny i konkretny i że nie walczył dość zdecydowanie o pewne rzeczy, skądinąd dość trywialne, takie jak miejsce przy oknie, otwarcie lub zamknięcie okna.

W tej sytuacji nic dziwnego, że czuł się w pociągu nieprzyjemnie i nieswojo, w duchu pragnął, by ta podróż już się skończyła i by znów wrócił do swego domu, w Surbiton, gdzie mieszkał z niezamężną siostrą.

Kiedy pociąg zatrzymał się na krótki, dziesięciominutowy postój na niewielkiej stacji w północnej Francji, a Vezin wyszedł na peron, by rozprostować nogi, i ku swemu przerażeniu spostrzegł kolejną grupkę brytyjczyków wysypującą się z innego pociągu, stwierdził, że dalsze kontynuowanie tej podróży jest nie do przyjęcia. Nawet jego spolegliwa dusza burzyła się na samą myśl o tym i wówczas przyszło mu na myśl, aby zostać na noc w tej nudnej miejscinie i ruszyć w dalszą drogę nazajutrz, kolejnym, już mniej zatłoczonym pociągiem. Konduktor zawołał właśnie

„*en uoiture*”, a w korytarzu, przy jego przedziale zaroilo się od ludzi, kiedy ta myśl zaświtała mu w głowie. W tym przypadku jak rzadko zareagował spontanicznie i pobiegł co sił po swoją torbę.

Stwierdziwszy, że korytarz i wejście są całkiem zablokowane, zastukał w szybę (miał bowiem miejsce od strony korytarza) i poprosił Francuza siedzącego naprzeciwko, by podał mu jego bagaż, tłumacząc łamaną francuszczyzną, że zamierza zrobić sobie przerwę w podróży. Starszy Francuz spojrział wtedy na niego – jak twierdzi Vezin – w dziwny sposób, ni to ostrzegawczo, ni to z wyrzutem, lecz nie zapomni tego widoku do końca życia; podał mu torbę przez okno ruszającego właśnie pociągu, a równocześnie wypowiedział pospiesznie kilka zdań, mówiąc energicznie i cicho, z czego Vezin zapamiętał jedynie ostatnie słowa: „*d cause du sommeil et d cause des chats.*”

W odpowiedzi na pytanie doktora Silence’a, którego szczególne parapsychiczne zdolności natychmiast podpowiedziały, iż Francuz ten stanowił punkt zwrotny całej historii, Vezin przyznał, że człowiek ów od samego początku wywarł na nim olbrzymie wrażenie, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego. Siedzieli naprzeciw siebie przez bite cztery godziny podróży i choć nie zamienili ani słowa, musiał przyznać, iż coś, jakiś niewytłumaczalny impuls zmuszał go, by nieustannie kierował wzrok ku twarzy towarzysza podróży, a ich spojrzenia spotykały się tyle razy, że w końcu poczuł się przez to niezręcznie i był bliski wyrażenia ubolewania za swoje zachowanie. Po prostu nie wiedział, co się z nim działo. Tamten na szczęście okazał wobec niego daleko posuniętą życzliwość. Obaj, choć się nie znali, polubili się wzajemnie, nie doszło do żadnych spięć, a raczej nie doszłoby, gdyby wymienili choćby zdawkowe uprzejmości i zapoznali się wzajemnie. Francuz zdawał się wywierać silny wpływ ochronny na drobnego, zagubionego i zahukanego Anglika, a równocześnie bez użycia jakichkolwiek słów czy gestów dał do zrozumienia, iż dobrze mu życzy, i był gotów służyć mu pomocą w potrzebie.

– A jego słowa, wypowiedziane, gdy przekazał panu torbę? – zapytał John Silence, uśmiechając się ze szczególnym współczuciem i wyrozumiałością, jak zwykł był czynić, aby pozbawić pacjenta wszelkich uprzedzeń – nie pamięta pan, co dokładnie powiedział?

– Mówił bardzo cicho i szybko, i gwałtownie – wyjaśnił Vezin półgłosem – usłyszałem tylko kilka ostatnich słów. Te akurat wypowiedział

nico głośniej i bardzo wyraźnie, bo podając mi torbę, wychylił się przez okno, jego twarz była wtedy zaledwie o kilka cali oddalona od mojej.

– *A cause du sommeil et a cause des chats?* – powtórzył doktor Silence, jakby mówił do siebie.

– Dokładnie tak – przyznał Vezin. – Co jak rozumiem, można by przetłumaczyć jako *z powodu snów i z powodu kotów*, zgadza się?

– Tak właśnie bym to przetłumaczył – rzucił krótko doktor, najwyraźniej nie chcąc przerywać pacjentowi bardziej, niż było to konieczne.

– Reszty niestety nie zdołałem zrozumieć, ale wydaje mi się, że było to swego rodzaju ostrzeżenie, prośba, abym czegoś nie robił, nie zatrzymywał się w miasteczku, a może w jakimś konkretnym miejscu w tej osadzie. Takie w każdym razie odniosłem wrażenie.

W chwilę później pociąg odjechał, a Vezin został na peronie samotny i odrobinę zagubiony.

Małe miasteczko zdawało pięć się po stoku stromego wzgórza wznoszącego się ponad równiną za stacją, zaś jej zwieńczenie stanowiły bliźniacze wieże zrujnowanej Katedry stojącej na szczycie pagórka. Z peronu wyglądało nieciekawie i współcześnie, ale w rzeczywistości pamiętało jeszcze czasy średniowiecza. Gdy tylko dotarł na szczyt i znalazł się wśród starych uliczek, opuścił uroki współczesnego życia i cofnął się wstecz o dobrych kilka stuleci. Hałas i gwar zatłoczonego pociągu wydawały się pochodzić z całkiem innej epoki. Dusza tego cichego, górzystego miasteczka leżącego z dala od kurortów dla turystów i szlaków komunikacyjnych, żyjącego własnym, cichym i spokojnym życiem, pławiącego się w promieniach jesiennego słońca owładnęła nim, rzucając na Vezina silny urok. Działał pod jego wpływem bardzo długo, nim wreszcie uświadomił sobie, co go spotkało. Ruszył miękko, nieomal na paluszkach wzdłuż wąskich, krętych uliczek, dachy domów prawie stykały się nad jego głową; dotarł wreszcie do drzwi samotnej gospody i wszedł do środka w taki sposób, jakby swym zachowaniem przeproszał to miejsce, że osmieszył się zakłócić jego spokojny, dotąd niezmacony sen. Początkowo, jak stwierdził Vezin, w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Próbę dokonania analizy podjął znacznie później. Wówczas jego uwagę zwróciły jedynie cisza i spokój, jakże błogie i wyczekiwane po udręce, jakiej doświadczył w czasie podróży hałaśliwym, zadymionym i zakurzonym pociągiem.

Poczuł się błogo, jak kot drapany delikatnie po grzbiecie.

– Jak kot, powiada pan? – przerwał mu natychmiast John Silence.

– Tak. Z początku tak się właśnie czułem – zaśmiał się przeprasząc.

– Odniosłem wrażenie, że za sprawą tego ciepła, ciszy i spokoju mam ochotę zamruczeć z zadowolenia. Wydawało mi się, że ta błogość spowija całe miasteczko jak niewidzialny kokon. To znaczy, wtedy tak sądziłem.

Gospoda, niszczejący, stary budynek, roztaczający aurę dawno minionych dni, nie powitała go zbyt ciepło. Czuł się zaledwie tolerowany. Mimo to pokój był tani, wygodny, a kubek cudownej herbaty, którą zamówił, natychmiast sprawił, że poczuł się usatysfakcjonowany, cieszył się, że opuścił pociąg w tak zdecydowany, oryginalny i odważny sposób. Dla niego to, co zrobił, było odważne i oryginalne. Było mu błogo. Pokoik także wpłynął na niego kojąco, ta ciemna boazeria, niski, nieregularny sufit i długi, opadający korytarz biegnący do sypialni, ot wymarzony, małeńki azyl, do którego nie docierają hałasy zewnętrznego świata. Okienko wychodziło na podwórze za gospodą. Wszystko to było wyjątkowo czarujące i sprawiało, że myślał o sobie, przyobleczonym w delikatny, miękki aksamit, nawet podłogi wydawały się miękkie, ściany zaś wyglądały jak wyłożone poduszkami. Do sypialni nie docierały odgłosy z zewnątrz. W tym miejscu otaczała go aura absolutnego spokoju.

Aby wynająć ten pokój za dwa franki, odbył rozmowę z jedyną osobą, która znajdowała się w gospodzie w to senne popołudnie, podstarzałym kelnerem o sumiastych wąsach i eleganckich, choć nieco leniwych manierach, który podszedł do niego niespiesznie z drugiego końca brukowanego placu, kiedy zaś ponownie zszedł na dół, aby pospacerować po mieście przed kolacją, napotkał samą właścicielkę gospody. Była potężną kobietą, której dłonie, stopy i rysy zdawały się wypływać ku niemu z bezmiaru jej ciała. A może raczej wyłaniały się z niego. Miała jednak ciemne, żywe oczy przeczące jej potężnej budowie i zdradzające, że w rzeczywistości była osobą bystrą, żwawą i czujną. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, robiła na drutach, siedząc w fotelu, przy ścianie skąpanej w promieniach słońca, a widok ten przywiódł mu na myśl wielkiego, domowego kota, drzemiącego, lecz czujnego, pozornie śpiącego, lecz w każdej chwili gotowego do działania. Skojarzyła mu się z czekającym na ofiarę kotem łownym.

Obrzuciła go spojrzeniem, które choć niezbyt serdeczne, było raczej przyjazne. Pomimo masywnego ciała, jej szyja działała nader sprawnie, gdyż energicznie odwróciła głowę, aby podążyć za nim wzrokiem, i zrobiła to naprawdę szybko.

– Kiedy jednak na mnie spojrzała – rzekł Vezin z przepaszającym uśmiechem i lekkim wzruszeniem ramion, które było dla niego charakterystyczne – przyszło mi nagle na myśl, że tak naprawdę chciała zrobić coś całkiem innego, że jednym susem mogła rzucić się na mnie, pokonać całą długość kamiennego placyku.

Zaśmiał się z cicha, a doktor Silence, nie przerywając mu, zapisał coś w swoim dzienniku, podczas gdy Vezin kontynuował swą opowieść niepewnym tonem, jakby obawiał się, że powiedział zbyt wiele i znacznie więcej, aby można mu było uwierzyć.

– Była bardzo zwawa i szybka, jak na swoje gabaryty, poruszała się przeraźliwie cicho i miękko, czułem, że doskonale wiedziała, co robię, na wet gdy ją minąłem i znalazłem się za jej plecami. Odezwała się do mnie, głos miała miękki, miodopłynny. Zapytała, czy już się rozpakowałem i rozgościłem w pokoju, po czym dodała, że kolacja jest przewidziana na siódmą i że w tym małym miasteczku wszyscy wcześniej kładą się na spoczynek. Najwyraźniej próbowała dać mi do zrozumienia, że lepiej nie szwendać się po mieście nocą.

Jej głos i zachowanie przekonały go, że przez cały pobyt w tym miejscu będzie ściśle „kontrolowany”, że wszystko, co się z nim wiąże, zostanie odpowiednio zaplanowane i zaaranżowane, jemu zaś nie pozostanie nic innego, jak się dostosować i podporządkować do nowych warunków. Nie oczekiwano od niego żadnych zdecydowanych działań ani wysiłków z jego strony. Całkiem odwrotnie niż to, co go spotkało w pociągu. Wszedł na ulicę, czując się błogo i spokojnie. Stwierdził, że w tym miejscu czuje się doskonale, nie brano go pod włos. W tej sytuacji nietrudno było o posłuszeństwo z jego strony. Znów zaczął mrużyć i odniósł wrażenie, że całe to miasteczko mruży wraz z nim.

Wędrował cichymi uliczkami tej niewielkiej osady, wnikając coraz głębiej w sennego ducha, który ją spowijał. Krążył po mieście w tę i z powrotem, bez żadnego konkretnego celu. Promienie wrześniejszego słońca padały ukośnie na dachy domów. Maszerując tak krętymi uliczkami, pod zwieszającymi się nisko dachami domów i otwartymi, kwadratowymi

oknami, dostrzegł przebłyski wielkiej równiny poniżej, łąki i złoćące się pola spowite delikatną mgiełką. To wszystko wyglądało jak scena z jakiejś bajki. Uznał, że w tym miejscu czary przeszłości są wyjątkowo silne.

Na ulicach roiło się od malowniczo ubranych mężczyzn i kobiet, bardzo czymś zafrapowanych i śpieszących to w tę, to w tamtą stronę, nikt jednak zdawał się go nie zauważać ani nie zwracał uwagi na jego typowo angielski wygląd. Zdołał nawet zapomnieć, że jako turysta, prezentował się sztucznie i fałszywie w tym jakże czarującym otoczeniu i coraz bardziej się w nie wtapiał, czując się rozkosznie nijaki, nieważny i nie znaczący, zatracił swoje ja, zatracił siebie. To było jak stawanie się częścią łagodnego, barwnego snu, o którym nie wiedział, że jest snem.

Po wschodniej stronie wzgórze opadało bardziej stromo, a równina poniżej kończyła się, dość gwałtownie przechodząc w morze gęstniejących cieni, wśród których niewielkie spłachetki lasów wyglądały jak wyspy, okoliczne pola zaś jak wezbrane fale. Szedł wzdłuż starych blanek pradawnych umocnień, które niegdyś musiały prezentować się okazale, dziś wszelako stanowiły jedynie mgliste wspomnienie, a ich urok mieszał się z murszejącymi, starymi ścianami porośniętymi winoroślą i bluszczem. Ze zwieńczenia muru, na którym przycupnął na chwilę, widział esplanadę na dole, spowitą głębokimi cieniami. Tu i ówdzie przebijały złociste promienie słońca, oświetlające opadłe, pożółkłe liście; patrząc z wysoka, widział miejscowych, spacerujących to w jedną, to w drugą stronę, radujących się chłodem wieczoru. Słyszał szelest ich powolnych kroków, a spomiędzy drzew dochodziły go ich stłumione głosy. Postacie wyglądały jak cienie, gdy dostrzegł ich urywane, ciche ruchy daleko w dole.

Siedział tam przez czas jakiś, rozmyślając, zalewany falami głosów i na wpół zapomnianych ech, stłumionych przez korony platanów. Całe miasteczko i niewielkie wzgórze, na którym się rozłożyło, zdawało się być pogrążone w głębokiej drzemce i mrucało do siebie przez sen.

Teraz zaś, gdy tak siedział, leniwie wtapiając się w ów sen, do jego uszu doszły dźwięki instrumentów muzycznych: na drugim końcu zatłoczonego tarasu poniżej pojawiła się orkiestra i zaczęła grać. Dźwiękom instrumentów smyczkowych i rożków towarzyszyło głucho dudnienie bębna. Vezin był bardzo wrażliwy, jeżeli chodziło o muzykę, nieźle się na niej znał, a nawet, o czym nie wiedzieli jego przyjaciele, komponował proste melodie i grywał je, gdy tylko miał po temu okazję, w samotności.

Ta muzyka, płynąca pomiędzy drzew, grana przez niewidzianą, lecz bez wątpienia bardzo malowniczą, miejscową orkiestrę urzekła go na dobre. Nie rozpoznał melodii, brzmiała raczej jak zwyczajna improwizacja. Poszczególne utwory miały różną długość, a zaczynały się i kończyły w osobliwy sposób, dźwiękami przywodzącymi na myśl szum wiatru poruszającego struny harfy Eola. Stanowiły część tego miejsca i jego scenerii, podobnie jak zachodzące słońce i słaby wietrzyk; owe łagodne tony i żalosne brzmienie staroświeckich rożków, rozlegające się w tle ostrzejszej aranżacji smyczkowej, na wpół zagłuszone przez głucho dudnienie bębna, przepełniły jego duszę osobliwym, nieodpartym czarem, który wydawał się przyjemny i groźny zarazem.

To wszystko było na swój sposób niezwykle i urzekające. Muzyka wydała mu się jednak nad wyraz szczerą. Sprawiała, że pomyślał o drzewach kołysanych wiatrem, o nocnej bryzie śpiewającej w szybach między budynkami i kominach lub wantach niewidzialnych okrętów, albo – i to porównanie w jednej chwili pojawiło się nagle w jego umyśle – przywiodło mu na myśl chór zwierząt, dzikich stworzeń, gdzieś w odludnym zakątku ziemi, wyjących, jak to zwierzęta, do księżyca.

Nieomal słyszał zawodzące, na wpół ludzkie miauczenie kotów pośród nocy, falujące, nierówne, a ta muzyka, stłumiona przez odległość i drzewa sprawiała, że oczyma duszy ujrzał właśnie gromadę kotów, gdzieś na samotnym, wysokim dachu, snujących swą smętną pieśń i kierujących ją ku tarczy widocznego na niebie, srebrzystego księżyca.

Wtedy odniósł wrażenie, że to dość dziwne i niespotykane porównanie, lecz było ono bardziej wyraziste i silniejsze niż jakiegokolwiek inne. Instrumenty grały tak dziwne interwały, a crescendo i diminuendo były tak sugestywne, że kojarzyły mu się nieodparcie z kotami lądującymi miękko na nocnych dachach, muzyka błyskawicznie przybierała na sile, zaraz jednak przechodziła bez ostrzeżenia w głębokie tony, była to zaiste niewiarygodna mieszanina akordów i dysonansów. Mimo to melodia owa zawierała w sobie pewną słodycz i tęsknotę, a dysonanse będące dziełem na wpół zdezelowanych instrumentów wydawały się tak osobliwe, że nie zakłóciły jego melancholijnej duszy i mile połechtaly jego rozmiłowaną w muzyce naturę. Nasłuchiwał przez dłuższą chwilę, poddając się w pełni melodii, po czym, gdy zaczęło się robić chłodno, w promieniach zachodzącego słońca wrócił do gospody.

– I nic pana nie zaniepokoiło? – wtrącił doktor Silence.

– Absolutnie nie – odparł Vezin – ale wie pan, to wszystko było tak fantastyczne i czarujące, że ośwładnęło bez reszty moją wyobraźnię. Być może – dodał, gwoli wyjaśnienia – inne wrażenie i odczucia zostały wywołane przez ożywioną w ten niezwykły sposób moją wyobraźnię. Kiedy bowiem wróciłem do gospody, czar tego miejsca zaczął ogarniać mnie na dziesiątki różnych sposobów; z niektórych z nich w ogóle nie zdawałem sobie sprawy. Ale były też inne rzeczy, których podówczas nie dostrzegałem.

– Ma pan na myśli jakieś konkretne zdarzenia?

– Trudno je określić mianem zdarzeń. Powiedziałbym raczej, że w moim umyśle pojawiło się całe mnóstwo żywych doznań, lecz nie miałem pojęcia, co mogło być ich przyczyną. Zmierzchało, a te stare budynki na tle opalizującego złocistoczerwonego nieba wyglądały wręcz magicznie. Zachód słońca zdawał się spływać krętymi uliczkami. Równina u podnóża pagórka napierała nań ze wszystkich stron jak morskie fale, ich poziom zlewał się z mrokiem. Czar tego rodzaju scen, jak sam pan wie, bywa bardzo poruszający, i tak też było tego wieczoru. Mimo to sądziłem, że to, co mnie spotkało, nie było bezpośrednio związane z tajemniczością i cudownością owej scenerii...

– Nie chodzi tylko o subtelną przemianę ducha, która towarzyszy pięknu – wtrącił doktor, dostrzegając jego wahanie.

– Dokładnie tak – przyznał Vezin, zachęcony do kontynuowania opowieści; nie obawiał się już, że spotka się z negatywnym przyjęciem. – Wrażenia te pochodziły skądinąd. Na ten przykład, idąc główną ulicą, gdzie roiło się od mężczyzn i kobiet wracających z pracy do domu, robiących zakupy na targowisku czy gawędzących między sobą, stwierdziłem, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, nikt nie patrzył na mnie jako na turystę i cudzoziemca. Całkowicie mnie ignorowano, a moja obecność nie wzbudzała niczyjego zainteresowania ani uwagi. Wtedy też, zgoła nieoczekiwanie, ogarnęło mnie przekonanie, że cała ta obojętność i lekceważenie było jedynie udawane. W rzeczywistości obserwowano mnie z wielką uwagą. Każdy mój ruch był ściśle obserwowany i rejestrowany. Ignorowanie mnie stanowiło pewnego rodzaju grę, wszystko to było jedną wielką, misterną iluzją – udawaniem.

Tu przerwał na chwilę i spojrzał na nas, jakby chciał przekonać się, czy się uśmiechamy, po czym, wyraźnie uspokojony, mówił dalej:

– Nie potrafię stwierdzić, w jaki sposób zdałem sobie z tego sprawę, bo po prostu nie potrafię tego wyjaśnić. Niemniej jednak odkrycie to było dla mnie swoistym szokiem. Zanim wróciłem do gospody, odkryłem jeszcze jedną osobliwość i po długim zastanowieniu stwierdziłem, że coś w tym musi być. Przyznać muszę, że także w tym przypadku nie potrafię tego wytłumaczyć. Mogę jedynie opisać konkretne fakty, tak jak miały one miejsce...

Niski człowieczek wstał z fotela i stanął na macie przed kominkiem. Jego nieśmiałość zaczęła się odtąd zmniejszać, jakby ponownie zatracił się w magii dawnej przygody. Gdy podjął swą opowieść, w jego oczach pojawiły się dziwne błyski.

– Cóż – zaczął półgłosem – po raz pierwszy wpadłem na to, kiedy byłem w sklepie, choć trochę potrwało, zanim myśl ta wyłoniła się z mojej podświadomości i przyjęła konkretną postać. Chyba kupowałem skarpety – zaśmiał się – i borykałem się z moim fatalnym francuskim, kiedy zdałem sobie sprawę, że kobiecie za ladą ani trochę nie zależy, czy kupię coś w jej sklepiku, czy też nie. Było jej obojętne, czy cokolwiek mi sprzeda. Udawała tylko, że ze mną handluje. Incydent ten wydaje mi się drobny i nie znaczący, ale łączy się nieodparcie z tym, co miało miejsce później. I w rzeczywistości nie był to wcale drobny incydent. Był niczym iskra za palająca ścieżkę prochową, prowadzącą do wielkiego wybuchu w prochow ni mojego umysłu.

Nagle zdałem sobie sprawę, że całe miasto jest inne, niż początkowo sądziłem. Mieszkańcy zajmowali się i interesowali czymś zgoła innym, niż mogłoby się z pozoru wydawać. Ich prawdziwe życie było ukryte i toczyło się jakby za parawanem. To, czym zajmowali się, z pozoru nie miało nic wspólnego z tym, co robili w rzeczywistości. Kupowali i sprzedawali, jedli i pili, spacerowali ulicami, lecz prawda o ich egzystencji była przede mną ukryta, nie byłem jej w stanie zgłębić. W sklepikach i kramach na targowisku nikt nie przejmował się tym, czy ktoś chce coś kupić, czy nie, w gospodzie właścicielce było obojętne, czy zostaną tam dłużej, czy może zdecyduję się wyjechać; życie tych ludzi było odległe od mojego i całkiem inne, czerpali siłę z jakichś ukrytych, tajemniczych źródeł, niewidocznych, nieznanych i krążących sekretnymi kanałami. Ich energia skierowana była

gdzie indziej. Nieomal poczułem efekt zetknięcia z nią, spodziewałem się, że wniknie do mego ciała jak coś obcego i nieznanego, zaś cały mój organizm będzie musiał zdecydować, czy zechce ją przyjąć, czy może odrzucić. Tak właśnie działało na mnie to miasteczko.

Owa niesamowita rewelacja zakiełkowała w moim umyśle, kiedy wracałem do gospody i zacząłem usilnie się zastanawiać, co może stanowić źródło sekretnego, prawdziwego życia tego miasteczka i co jest osnową będącą głównym zajęciem jego mieszkańców.

Teraz, gdy moje oczy częściowo się otwały, zwróciłem uwagę na inne zastanawiające rzeczy, przede wszystkim na niezwykłą ciszę panującą w całej osadzie. Miasteczko wydawało się jakby wytłumione, wyciszone. Choć ulice były brukowane, ludzie stąpali po nich miękko, bezgłośnie jak koty. Rozmawiali między sobą cichymi, niskimi głosami, przywodzącymi na myśl kocie pomrukiwanie. Nie było tu żadnych hałasów, nic nie zakłócało drzemki tego łagodnego, sennego miasteczka. Podobnie jak w przypadku kobiety w gospodzie, to również było iluzją mającą na celu ukrycie tego, co działo się w miasteczku oraz sekretnych celów uzasadniających zagadkowe poczynania jego mieszkańców.

Nigdzie wszelako nie dostrzegłem oznak letargu czy rozleniwienia. Ludzie byli aktywni i czujni. I każdego z nich spowijała jak czar magiczna, niesamowita miękkość...

Vezin przesunął dłoń przed oczami, jakby to wspomnienie wciąż było w nim wyjątkowo żywe. Jego głos przeszedł w szept, tak że ostatnie słowa były prawie niesłyszalne. Bez wątpienia mówił prawdę, lecz było w niej coś, czego nie cierpiał i czym nie chciał się z nami podzielić.

– Wróciłem do gospody – powiedział nieco donośniej tonem – i zjadłem kolację. Czułem, że otacza mnie nowy, nieznaną świat, realny świat zszedł na drugi plan. Tu, czy to mi się podobało, czy nie, było coś nowego i niepojętego. Zacząłem żałować, że w tak nieprzemyślany i pochopny sposób wysiadłem z pociągu. Stałem u progu przygody, a te przecież były obce mojej naturze. Co więcej, było to początkiem przygody rozgrywającej się w moim wnętrzu, w moim ja, miejscu, którego nie potrafię określić i zmierzyć, i poczułem niepokój mieszający się ze zdziwieniem; obawiałem się o stabilność tego, co przez czterdzieści lat uważałem za swoją „osobowość”.

Poszedłem na górę, aby się położyć, a w mojej głowie trwała istna gonitwa myśli; co gorsza, były one jak dla mnie niezwykle i niepokojące. Dla odprężenia zacząłem myśleć o tym miłym, prozaicznym, turkoczącym głośno pociągu i gwarnych, zawadiackich pasażerach. Przez chwilę chciałem być znowu z nimi. Jednakże sny poprowadziły mnie gdzie indziej. Śniłem o kotach, miękko stąpających stworzeniach i ciszy życia w bezpiecznym od hałasów świecie poza zasięgiem zmysłów...

Vezin przedłużał pobyt z dnia na dzień, z bliżej nieokreślonych powodów pozostając w miasteczku znacznie dłużej, niż zamierzał. Czuł dziwne oszołomienie, senność, rozleniwienie. Nie robił nic szczególnego, lecz miejsce to zafascynowało go w takim stopniu, że nie zdecydował się wyjechać. Zawsze miał trudności z podejmowaniem decyzji i niekiedy zastanawiał się, jakim cudem doszło do tego, że w ogóle wysiadł z pociągu. Miał wrażenie, jakby ktoś to dla niego zaaranżował i raz czy dwa powrócił nawet myślami do śniadego Francuza, który siedział naprzeciw niego. Gdyby tylko potrafił zrozumieć długie zdanie kończące się dziwnymi słowami: „*d cause du sommeil et d cause des chats*”; zastanawiał się, co to wszystko oznaczało.

Póki co ciche, senne miasteczko uwięziło go na dobre, on zaś na swój delikatny, łagodny sposób starał się odkryć sedno tajemnicy i o co w tym wszystkim chodziło. Jednak ograniczona znajomość francuskiego i wrodzona niechęć do zdecydowanych działań sprawiały, że nie był w stanie poznać odpowiedzi na dręczące go pytania. W tej sytuacji zadowalał się obserwowaniem i pozostawał bierny.

Pogoda wciąż była łagodna i mglista, lecz to w zupełności mu odpowiadało, krążył po mieście tak długo, że poznał wszystkie tutejsze alejki i zaułki. Mieszkańcy tolerowali jego obecność, nie zabraniali mu nigdzie wstępu, choć z każdym dniem miał coraz większą pewność, że znajdował się pod ich nieustanną obserwacją. Miasteczko obserwowało go jak kot mysz. On zaś wciąż tkwił w tym samym miejscu, nie przybliżył się ani o krok do rozwiązania zagadki, czym naprawdę zajmowali się tutejsi mieszkańcy. Ludzie ci byli tajemniczy i cisi jak koty.

Jednakże z dnia na dzień narastało w nim przeświadczenie, że niezmiennie go obserwowano.

Na ten przykład, kiedy udał się na drugi koniec osady i wszedł do niewielkiego parku przy murach warownych, by usiąść na jednej z

ławeczek i powygrzewać się na słońcu, kiedy tam dotarł, w parku nie było nikogo. Ani żywego ducha. Nikt nie siedział na ławkach, nikt nie spacerował po zwirowanych alejkach. A jednak w dziesięć minut po jego pojawieniu się wokół niego zebrało się ze dwadzieścia osób, jedne przechadzały się leniwie wąskimi alejkami, wpatrując się w kwiaty, inne zaś siedziały na ławkach i podobnie jak on wygrzewały się na słońcu. Z pozoru nikt nie zwracał na niego uwagi, on jednak wiedział doskonale, że ci wszyscy ludzie przyszli tu z jego powodu. Był skrupulatnie inwigilowany. Na ulicy mieszkańcy sprawiali wrażenie zajętych, spieszyli do różnych zajęć i oto nagle nie mieli nic do roboty, zapomnieli o wszystkim i zjawili się tu, by spacerować bez celu i pławić się w promieniach słońca, ważne dotąd obowiązki w jednej chwili poszły w kąt. W pięć minut po jego wyjściu park znów był pusty, podobnie jak zajęte wcześniej ławeczki. Na zatłoczonych ulicach było tak samo, nigdy nie był sam. Stale o nim pamiętali.

Stopniowo zaczął pojmować, jak sprytnie był obserwowany, choć pozornie nic na to nie wskazywało. Ci ludzie nie robili niczego *wprost*. Postępowali nie bezpośrednio, *pokrętnie*. Zaśmiał się w duchu, gdy to sobie uświadomił, lecz te słowa nie do końca określały bezmiar problemu. Ludzie zerkali na niego pod takim kątem, że ich spojrzenia teoretycznie powinny padać na coś zgoła innego. Podobnie rzecz miała się z ich ruchami. Tak, to nie ulegało wątpliwości, ci ludzie nic nie robili otwarcie i *wprost*. Jeżeli wchodził do sklepu, aby coś kupić, kobieta natychmiast oddalała się, by zająć się czymś przy drugim końcu lady, choć odpowiadała od razu, kiedy się do niej odezwał, dając do zrozumienia, iż wie o jego obecności, jakby to było naturalnym dla niej sposobem obsługiwanie klientów. Tak samo zachowują się koty. Ona także pod tym względem przypominała kota. W jadalni w gospodzie wąsaty, uprzejmy kelner, zwinny i cichy, poruszający się bezszelestnie i miękko, nigdy nie zbliżył się do jego stolika po prostej, by przyjąć zamówienie lub przynieść mu posiłek. Podchodził zygzakiem, nie bezpośrednio, okrężną drogą, tak, że wydawało się, jakby zmierzał do całkiem innego stolika i dopiero w ostatniej chwili odwracał się, by stanąć przy nim.

Vezin uśmiechnął się pod nosem, opowiadając, w jaki sposób zaczął uświadamiać sobie to wszystko. W gospodzie nie było innych gości, ale przypomniał sobie jednego lub dwóch starszych miejscowych, którzy

spożywali tu zwykle *dejeuner* i kolację, i to, że oni również przechodzili przez salę w ten sam dziwaczny i niezwykły sposób. Najpierw przystawali w drzwiach, rozglądali się po sali i zlustrowawszy ją wzrokiem wchodzili - bokiem – do środka, trzymając się blisko ścian, aż zaczynał zastanawiać się, który stolik zamierzają zająć, po czym praktycznie w ostatniej chwili paroma szybkim susami docierali na wybrane przez siebie miejsca. Także w tym przypadku przyszło mu na myśl skojarzenie z zachowaniem kotów. Były również inne incydenty, które w jego mniemaniu stanowiły nieodłączną część tego dziwnego, łagodnego miasteczka z jego przytłumionym, pokrętnym życiem, albowiem sposób, w jaki niektórzy mieszkańcy pojawiali się i znikali z niesamowitą szybkością, wprowadził go w olbrzymie zakłopotanie. To mogło być coś całkiem normalnego, zdawał sobie z tego sprawę, a jednak nie potrafił pojąć, jak uliczki te pochłaniały mieszkańców albo wypluwały ich z siebie, w ułamku sekundy, gdy w pobliżu nie było widocznych bram, drzwi ani przejść. Któregoś razu szedł za dwiema starszymi kobietami, które, jak mu się zdawało, obserwowały go z wytężoną uwagą z chodnika po drugiej stronie ulicy – było to w pobliżu gospody - i widział wyraźnie, jak skręciły za róg, zaledwie o kilka kroków przed nim. Kiedy jednak, przyspieszając kroku, podążył za nimi, ujrzał przed sobą jedynie pustą ulicę, nie było na niej żywego ducha. Rozejrzawszy się dokoła stwierdził, że mogły ulotnić się wyłącznie dotarłszy do ganku, odległego o jakieś pięćdziesiąt jardów, lecz nawet najszybszy biegacz nie zdołałby dostać się tam w tak szybkim czasie.

W równie gwałtowny sposób ludzie pojawiali się, gdy się ich wcale nie spodziewał. Pewnego razu usłyszał odgłosy zażartej kłótni dochodzące z niskiego murku, a gdy tam podbiegł, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzał grupę dziewcząt i kobiet przekomarzających się podniesionym głosem; kiedy zaś wychylił głowę ponad zwieńczeniem muru, hałas natychmiast ucichł. Co więcej, żadna z niewiast nie spojrzała w jego stronę, lecz jedna po drugiej zaczęły się rozchodzić, znikając pospiesznie w okolicznych domach, ulicach i bramach. Ich głosy - jak stwierdził – brzmiały bardzo dziwnie, przypominały raczej gniewne syczenie i fukanie jakichś zwierząt, być może rozjuszonych kotów.

Wszelki lud nadal go unikał, jak coś ulotnego, nieuchwytnego, ukrytego przed światem, lecz zarazem pełnego życia, prawdziwego i elektryzującego, a skoro on, Vezin, także stanowił teraz jego część, fakt, iż ów świat starał

się go unikać, wprawiał go w zakłopotanie i rozdrażnienie, a nawet bardziej – zaczynał go przerażać.

Z oparów mgieł, które spowiły jego umysł, znów wyłoniła się myśl, że mieszkańcy czekali, aby się w końcu zdeklarował, podjął decyzję, zrobił to czy tamto, a dopiero wtedy oni udzielą mu odpowiedzi i zdecydują, czy zechcą go przyjąć, czy może raczej odrzucą. Póki co jednak nie miał pojęcia, o jaką decyzję z jego strony chodziło.

Raz czy dwa celowo podążył za większą lub mniejszą grupką mieszkańców, aby – o ile to możliwe – dowiedzieć się, dokąd zacierają i czym zajmują się potajemnie, oni jednak zawsze w porę odkrywali jego obecność i rozchodzili się, każdy szedł w swoją stronę, jak gdyby nigdy nic. Zawsze było tak samo; nie był w stanie odkryć, czym się zajmowali i co stanowiło ich tajemnicę. Katedra była zawsze pusta, podobnie jak kościół pod wezwaniem św. Marcina na drugim końcu miasteczka. Ci ludzie robili zakupy, ponieważ musieli, a nie dlatego, że chcieli. Kramy i stragany stały zaniedbane, małe kafejki świeciły pustkami. A jednak na ulicach zawsze panował tłok, mieszkańcy wciąż gdzieś się spieszyli, stale mieli coś do roboty. Czy to możliwe – zaczął się zastanawiać i zaraz roześmiał się w duchu, że w ogóle odważył się sformułować w myślach tak osobliwą teorię – czy to możliwe, że ludzie ci byli dziećmi nocy, że dopiero po zmierzchu zaczynali żyć prawdziwym życiem i tylko wtedy ukazywali swe prawdziwe oblicza? Czyżby z dnia na dzień grali w osobliwą grę pozorów, a ich prawdziwe życie zaczynało się dopiero po zachodzie słońca? Czy ludzie ci mają w sobie dusze istot nocy, a całe to błogie miasteczko znajduje się w rękach – a raczej w łapach – kotów?

Ta myśl, jakkolwiek niesamowita i fantastyczna, przepełniła go bliżej nieokreśloną konsternacją i zgrozą. Skwitował ją śmiechem, choć czuł się coraz bardziej niepewnie, miał wrażenie, jakby jakieś nieokreślone, osobliwe moce szarpały tysiące niewidzialnych sznurków rozpiętych w głębi jego jaźni. Coś obcego jego codziennemu, zwykłemu życiu, coś, co przez lata pozostawało w uśpieniu, zaczęło budzić się w jego duszy, wysuwając czułki w głąb jego serca i mózgu, wypełniając go dziwnymi myślami, a nawet nakłaniając do pewnych drobnych działań. Na szali zostało położone coś nadzwyczaj ważnego dla niego samego i dla jego duszy.

Jak zawsze wracając do gospody o zmierzchu, spostrzegł miejscowych wyłaniających się w promieniach zachodzącego słońca ze swoich domów i sklepików, spacerujących jak czujni wartownicy w tę i z powrotem na rogach ulic, lecz wszyscy ci ludzie znikali bezgłośnie jak cienie, gdy tylko się do nich zbliżał. A jako że gospoda jak zawsze zamykała o dziewiątej wieczorem swe podwoje, nigdy nie miał okazji sprawdzić, jak naprawdę wyglądało to miasteczko po zapadnięciu nocy. Był ciekaw, czyjego nieśmiałe przypuszczenia znalazłyby swoje potwierdzenie.

„...*d cause du sommeil et d cause des chats*” – te słowa coraz częściej rozbrzmiewały w jego myślach, choć jak dotąd nie udało mu się odkryć ich prawdziwego, głębszego znaczenia. Co gorsza, z jakichś powodów zasypiał bardzo szybko i spał jak zabity.

Było to, jak sędzę, piątego dnia – choć w tej kwestii jego historia niekiedy się różniła – wtedy właśnie dokonał zaskakującego odkrycia, które wzmogło w nim zaniepokojenie i doprowadziło do raczej gwałtownej kulminacji.

Wcześniej zwrócił uwagę na pewne zmiany i dość subtelną transformację charakteru, prowadzącą do modyfikacji niektórych z jego zachowań. Tym razem wszakże chodziło o coś, czego nie mógł dłużej ignorować, i to go zdumiało.

Nigdy nie był człowiekiem aktywnym, raczej osobą pasywną, uległą, wyciszoną, aczkolwiek w razie konieczności potrafił zakasać rękawy, wziąć się do dzieła i podjąć taką czy inną, konkretną decyzję. Odkrycie, którego właśnie dokonał, uświadomiło mu, że ta jego cecha praktycznie przestała istnieć. Nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji. Albowiem tego dnia zdał sobie sprawę, że zabawił już w tym miasteczku dostatecznie długo i będzie dla niego najlepiej i *najbezpieczniej*, gdy jak najszybciej je opuści.

Wtedy też okazało się, że nie może stąd wyjechać!

Trudno to pisać słowami i raczej jego gesty oraz wyraz twarzy uświadomiły doktorowi Silence'owi bezsilność, z jaką ów mężczyzna miał wówczas do czynienia. Całe to szpiegowanie i obserwowanie, powiedział, było jak sieć owijana wokół jego stóp, aż w końcu został całkowicie osaczony i o jakiegokolwiek ucieczce nie było już mowy. Czuł się jak mucha schwytna w pułapkę, uwięziony i bezradny. To było coraz bardziej przerażające. Jego wola została niemal całkiem sparaliżowana, nie był zdolny do podejmowania jakiegokolwiek decyzji. Na samą myśl o

zdecydowanym działaniu – podjęciu próby ucieczki – ogarniała go niepoohamowana trwoga. W jego wnętrzu trwała zacięta walka, jego emocje były niczym wzburzony ocean, z kipieli zaś zaczęło się wyłaniać coś, o czym dawno zapomniał, co od lat skrywało się w mrokach niepamięci. Wydawało się, jakby okno jego duszy otworzyło się, ukazując widoczny za nim całkiem nowy świat, aczkolwiek świat nie do końca mu obcy. Wyobraził sobie, że jeszcze dalej rozciąga się wielka, opuszczona kurtyna, a kiedy i ona się podniesie, będzie w stanie wejrzeć w głąb tej okolicy i zrozumie w końcu sedno sekretnej życia tych niezwykłych ludzi.

Czy właśnie dlatego czekają i obserwują? – zapytywał sam siebie, z drżącym sercem – czekają, aż do nich dołączę lub odmówię przyłączenia się do ich społeczności? Czyżby wbrew pozorom decyzja zależała wyłącznie ode mnie, a nie od nich?

Wtedy to właśnie, po raz pierwszy ujawnił się złowrogi charakter tej przygody, on zaś poczuł się naprawdę nieswojo. Dopiero teraz zaczął się bać. Gra toczyła się o stabilność jego delikatnej, kruchej osobowości i w jego sercu zagościło małe zwierzątko strachu.

Czemu bowiem, jeśli nie z tego właśnie powodu, miałyby odtąd poruszać się cichaczem, bezgłośnie, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu i stale oglądając się za siebie? Czemu miałyby stąpać na paluszkach, przechodząc przez niemal całkiem pustą gospodę, a gdy wychodził na zewnątrz, celowo wykorzystywać przewagę wynikającą z przesadnego manifestowania swej obecności? I dlaczego, jeżeli się nie bał, miałyby nagle poczuć, że stosowanie się do ścisłego zakazu opuszczania gospody po zmroku jest dla niego priorytetem numer jeden. Właśnie, dlaczego?

Kiedy zaś John Silence delikatnie poprosił go o bliższe wyjaśnienie tych spraw, przyznał z przeproszącą miną, że nie potrafi tego uczynić.

– Po prostu bałem się, że jak nie będę dostatecznie czujny, coś mi się stanie. Bałem się. To był instynktowny strach – powiedział tylko. – Odniosłem wrażenie, że całe miasteczko chciało mnie dopaść, pragnęło mnie z jakichś bliżej nieokreślonych powodów, a ja wiedziałem, że jeśli to się stanie, zatracę siebie, a w każdym razie to moje Ja, które znałem, i osiągnę całkiem inny, nieznaný dotąd stan świadomości. Ale sam pan rozumie, nie jestem psychologiem – dodał potulnie – i nie potrafię lepiej ubrać tego w słowa.

Odkrycia tego Vezin dokonał, siedząc na placyku, pół godziny przed wieczornym posiłkiem i natychmiast udał się na górę, do swego cichego pokoiku na końcu krętego korytarza, aby to wszystko przemyśleć. Placyk był pusty, to fakt, ale zawsze istniała możliwość, że z drzwi gospody wyłoni się budząca grozę, wielka kobieta i udając, że robi na drutach, usiądzie obok, aby go obserwować. Tak się już kilka razy zdarzyło, a Vezin nie miał ochoty więcej jej oglądać. Wciąż pamiętał tę pierwszą, niesamowitą myśl, że mogłaby skoczyć na niego, gdyby odwrócił się do niej plecami, i rzucić mu się do gardła. Rzecz jasna było to absurdalne, ale myśl ta wciąż nie dawała mu spokoju i co gorsza, stawała się coraz bardziej sensowna. Zawarta w niej groźba była coraz bardziej realna.

Właśnie dlatego udał się na górę. Zmierzchało; lamp naftowych w korytarzach jeszcze nie zapalono. Kilka razy potknął się na nierównej, starej podłodze, mijając ciemne obrysy drzwi po obu stronach przejścia, drzwi pokoi, których nikt nigdy nie zajmował. Poruszał się tak, jak to czynił od niedawna, ukradkiem i na paluszkach. W połowie długości korytarza wiodącego do jego pokoju znajdował się ostry zakręt i właśnie tam, gdy macał po omacku dłońmi wzdłuż ścian, jego palce napotkały coś, co nie było ścianą; coś, co się poruszyło. To było ciepłe i delikatne w dotyku, roztaczało nieokreślony aromat i sięgało mu do ramienia; natychmiast pomyślał o kosmatym, słodko pachnącym kocie. Jednakże już w następnej chwili zrozumiał, że się pomylił. To było coś całkiem innego.

Zamiast to zbadać – jak stwierdził, miał za bardzo zszargane nerwy, aby się tego podjąć – cofnął się lekko i przywarł plecami do przeciwległej ściany. To coś, czymkolwiek było, minęło go przy wtórze cichego szelestu i miękko pognało w głąb korytarza, by po chwili zniknąć. W nozdrzach poczuł wonny, ciepły oddech.

Vezin na chwilę przestał oddychać i stał, jakby kij połknął, pod ścianą, po czym niemal biegiem pokonał resztę dystansu, wpadł jak burza do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz. To nie strach skłonił go do tego biegu, lecz podniecenie, rozkoszna ekscytacja. Nerwy miał napięte jak postronki, a całą resztę zalała ciepła, obezwładniająca fala. W jednej chwili doznał olśnienia. Tak właśnie czuł się dwadzieścia pięć lat temu, kiedy był po raz pierwszy zakochany. Ciepła fala życia spowiła go od stóp do głów, przyjemnie mącąc myśli. Jego nastrój nagle się zmienił, stał się nagle czuły, delikatny, kochający, rozanielony.

W pokoju było ciemno, osunął się na sofę przy oknie, zastanawiając się, co się z nim stało i co to wszystko oznaczało. Jedno wiedział na pewno, w okamgnieniu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaszła w nim zasadnicza zmiana – nie chciał już opuścić tego miejsca, ani nawet nie myślał o wyjeździe. Stało się to za sprawą spotkania w korytarzu. Wciąż czuł w powietrzu zapach, który wówczas poczuł, wprawiający jego serce i umysł w stan osobliwej euforii. Wiedział, że w korytarzu spotkał się z dziewczyną, jego palce w ciemnościach napotkały jej twarz, a to, co poczuł i co wywarło na nim tak piorunujące wrażenie, było niczym pocałunek, namiętny pocałunek prosto w usta.

Rozdygotany usiadł na sofie pod oknem, usiłując zebrać myśli. Nie potrafił pojąć, jakim sposobem zwykle, przelotne spotkanie z dziewczyną w wąskim korytarzu mogło podziałać na niego w tak elektryzujący sposób, że całe jego ciało aż do teraz trzęsło się, miotane spazmami słodkiej rozkoszy. A jednak tak właśnie było! Nie mógł temu zaprzeczyć i nie był w stanie wyjaśnić tego dziwnego fenomenu. Jakiś pradawny ogień wpłynął do jego żył i złączył się w jedno z jego krwią; to, że nie miał dwudziestu lat, lecz czterdzieści pięć, było bez znaczenia. Z bezmiaru wewnętrznego chaosu i wzburzenia wyłonił się jeden konkretny, niezbity fakt, że sama tylko aura, byle dotyk tej niewidocznej dziewczyny, osoby całkiem mu nieznaney i spowitej przez ciemność wystarczył, by rozpać w jego sercu wygasły zdawałoby się żar i ożywić jego wnętrze, przepelniając je niewysłowionym, niepoohamowanym podnieceniem.

Jednak już wkrótce przeżyte przez Vezina lata zaczęły dawać o sobie znać, uspokoił się, a kiedy w końcu rozległo się pukanie do drzwi, a następnie głos kelnera informującego, że zbliża się koniec pory wydawania kolacji, zebrał się w sobie i zszedł na dół, do jadalni. Wszyscy unieśli wzrok, gdy wszedł, był bowiem grubo spóźniony, lecz zajął to samo miejsce co zwykle, przy stoliku w kącie i zabrał się do jedzenia. Nadal też czuł to dziwne ożywienie i burzę emocji, lecz fakt, że przeszedł przez podwórze i sień nie ujrzawszy nawet rąbka spódnicy, trochę go uspokoił. Pałaszował tak szybko, że niemal dogonił pozostałych biesiadników, gdy nagle jakieś poruszenie w głębi sali zwróciło jego uwagę.

Jego krzesło stało tak, że Vezin miał za sobą drzwi i większą część *salle d manger*, nie musiał się jednak odwracać, aby wiedzieć, że osoba, która minął w korytarzu, weszła właśnie do pomieszczenia. Wyczuł jej obecność

na długo przed tym, zanim usłyszał lub zobaczył kogokolwiek. Nagle uświadomił sobie, że starsi mężczyźni, jedyni prócz niego goście obecni na sali, zaczęli jeden po drugim podnosić się z miejsc, by przywitać się z kimś, kto miękko przechodził od stolika do stolika. Kiedy się w końcu odwrócił, z mocno bijącym sercem, ujrzał młodą, szczupłą, zgrabną dziewczynę przesuającą się płynnie przez salę i zmierzającą właśnie w jego kierunku. Poruszała się wręcz cudownie, z miękka, kocią gracją, jak młoda pantera, a jej widok i fakt, że szła w jego stronę, przepełnił go tak rozkosznym zdumieniem, że w pierwszej chwili nie potrafił opisać jej twarzy ani zrozumieć, co miała w sobie ta niezwykła, urzekająca osobka, której sama tylko obecność przepełniła go, już po raz wtóry, niepokojem i falą niewyobrażalnego, zmysłowego ciepła.

– *Ach, Ma'mselle est de retour!* – usłyszał głos starego kelnera tuż obok i zrozumiał, że miał przed sobą córkę właścicielki. W tej samej chwili podeszła do niego i odezwała się.

Dostrzegł czerwień jej ust i śnieżną biel zębów oraz kosmyki ciemnych włosów przy skroniach, reszta jednak zamieniła się w sen, w którym jego własne emocje niczym gęsta chmura przesłoniły mu oczy, utrudniając widzenie i mącąc świadomość tego, co robił. Widział, że przywitała go lekkim, czarującym skinieniem głowy, że jej cudowne, duże oczy odnalazły jego spojrzenie i że znów poczuł zapach jej perfum, ten sam dziwny aromat, który po raz pierwszy poczuł w ciemnym korytarzu; w chwilę potem nachyliła się nieznacznie ku niemu, opierając jedną dłoń na blacie stolika. Była bardzo blisko, tuż obok niego – to wszystko, co wiedział – wyjaśniła mu, że poproszono ją, by zadbała o komfort i wygodę gości mieszkających w gospodzie jej matki, a co za tym idzie, pragnęła poznać osobę, która od niedawna zajmowała pokój na piętrze.

– *M'sieur* bawi u nas już od kilku dni – usłyszał komentarz kelnera, a potem jej słodki, śpiewny głos, mówiący:

– *Ach, mam nadzieję, że M'sieur* nie zamierza nas jeszcze opuścić. Moja matka jest zbyt posunięta w latach, aby należycie dbać o wygody naszych gości, lecz ja postaram się uczynić, co w mojej mocy, by podołać temu zadaniu. – Zaśmiała się z rozbawieniem. – Zapewniam, że niczego panu nie zabraknie. Jest pan w dobrych rękach.

Vezin starał się być uprzejmy, ale wciąż czuł targające nim emocje, podniósł się nieznacznie, by podziękować za te miłe słowa, ale gdy to

uczynił, przypadkiem dotknął jej dłoni opartej o blat stolika i wstrząs, jaki wówczas przeżył, był niczym porażenie prądem: elektryzująca fala przeniknęła z jej skóry do jego ciała. To uczucie targnęło całą jego duszą. Dostrzegł jej spojrzenie, wpatrywała się w niego z głębokim przejęciem, a w chwilę potem uświadomił sobie, że bez słowa ponownie usiadł na krześle, a dziewczyna znajdowała się już w drugim końcu sali, on sam zaś usiłował spałaszować sałatkę z pomocą noża i deserowej łyżeczki.

Pragnął, by wróciła, a z drugiej strony obawiał się tego. Dokończył kolację, po czym natychmiast wrócił do sypialni, aby w samotności zmierzyć się z myślami. Tym razem wszelkie przejścia były już oświetlone i nie doświadczył żadnych bulwersujących spotkań, aczkolwiek kręty korytarz spowijały gęste cienie, ostatni jego odcinek zaś, od zakrętu do drzwi jego pokoju, wydał mu się dłuższy niż dotychczas. Biegł ukośnie w dół, jak ścieżka na górskim stoku, a kiedy Vezin podążył nim cicho, na paluszkach, odniósł wrażenie, że jeszcze kawałek i teoretycznie powinien znaleźć się poza gospodą, a nawet granicą miasta, w samym sercu wielkiego lasu. Świat śpiewał wraz z nim. Dziwne fantazje wypełniły jego umysł, a kiedy wreszcie dotarł do swego pokoju i zamknął za sobą drzwi na klucz, nie zapalił świec, lecz usiadł przy otwartym oknie, snując długie, tęskne myśli, które go niespodziewanie nawiedziły.

Tę część historii Vezin opowiedział doktorowi Silence'owi bez zbędnego krygowania się, choć z licznymi przerwami wywołanymi przez wrodzoną nieśmiałość i brak pewności siebie. Nie mógł w żadnej mierze pojąć, jak sam stwierdził, w jaki sposób ta dziewczyna wywarła nań tak wielki wpływ, i to zanim ją jeszcze zobaczył. Sama bowiem jej bliskość, wtedy w ciemnym korytarzu, wystarczyła, aby rozpałić w nim żar namiętności! Nie wiedział nic na temat czarów i przez lata obce mu były bliższe stosunki z płcią przeciwną, głównie z uwagi na wspomnianą już nieśmiałość i niskie mniemanie o sobie, a raczej przesadne wyolbrzymianie własnych wad. Mimo to ta czarująca istota zbliżyła się doń celowo. Jej zachowanie nie pozostawiało miejsca na domysły, co więcej, starała się widywać go możliwie jak najczęściej.

Choć bez wątplenia cnotliwa i słodka, nie ulegało wątpliwości, że czyniła wobec niego awanse i zdobyła jego serce, odkąd po raz pierwszy skierowała na niego spojrzenie swych błyszczących oczu, nawet gdyby nie

owładnęła nim znacznie wcześniej, w ciemnym korytarzu, za sprawą swej magnetycznej obecności.

– Czy czuł pan, że to prawa i dobra dziewczyna? – wtrącił doktor. – Nie miał pan, dajmy na to, jakichś wewnętrznych przeczuć, nagłych instynktownych reakcji, bliżej nieokreślonego zaniepokojenia?

Vezin spojrział na niego i uśmiechnął się przepraszająco. Upłynęło trochę czasu, zanim odpowiedział. Na samo wspomnienie tej przygody jego policzki oblewały się pąsami, a spojrzenie brązowych oczu kierowało się ku podłodze.

– Nie powiedziałbym – mruknął niepewnie. – Doświadczyłem pewnych osobliwych sensacji, ale już potem, w moim pokoju. Ogarnęło mnie przekonanie, związane z jej osobą – jakby to wyrazić? – takie odczucie, że ma w sobie coś plugawego. Nie chodzi mi o nieczystość w sensie fizycznym czy psychicznym, lecz raczej o coś nieokreślonego, i to właśnie zmroziło mi krew w żyłach. Z jednej strony pociągała mnie, z drugiej zaś wzbudzała obrzydzenie, i to większe, aniżeli...

Zawahał się, zaczerwienił potężnie i nie dokończył rozpoczętej myśli.

– Ani wcześniej, ani później nic podobnego mi się nie przytrafiło – dodał z zakłopotaniem. – Przyznam, że w grę wchodziły jakieś czary, tak jak pan sugerował. Tak czy inaczej było to na tyle silne, że poczułem, iż mógłbym zostać w tym upiornym, nawiedzonym miasteczku przez całe lata, abym tylko mógł widywać ją każdego dnia, słyszeć jej głos, obserwować jej cudowne ruchy, a niekiedy być może także dotknąć jej dłoni...

– A czy mógłby pan wyjaśnić mi, co pańskim zdaniem było źródłem jej mocy? – zapytał John Silence, celowo nie patrząc na pytanego.

– Dziwię się, że mnie pan o to pyta – oznajmił Vezin, wyraźnie skonsternowany. – Wydaje mi się, że żaden mężczyzna nie jest w stanie w przekonujący sposób wyjawić drugiemu, w czym kryje się sekret magii kobiety, która opętała go swym urokiem. Ja z pewnością tego nie potrafię. Mogę jedynie powiedzieć, że ta cudnej urody dziewczyna oczarowała mnie, i sama świadomość, że mieszkała ona i sypiała w tym samym domu co ja, przepełniła mnie niewysłowioną radością. Mogę powiedzieć coś jeszcze – dodał z przejęciem, w jego oczach pojawiły się dziwne błyski – a mianowicie, że wydawała się ona być uosobieniem połączonych w jedno sekretnych mocy, które w tak dziwny sposób działały w miasteczku i

przepełniały tamtejszych mieszkańców. Miała jedwabiste ruchy pantery, poruszała się szybko, bezszelestnie i okrężnie, jak oni wszyscy, podobnie jak oni nie zdradzała swych prawdziwych zamiarów i celów, choć teraz byłem już niemal pewny, że to ja byłem ich celem. Byłem pod jej stałą obserwacją i z jednej strony na samą myśl o tym czułem dojmującą trwogę, lecz równocześnie przepełniała mnie dzika namiętność... Obserwowała mnie wnikliwie i beztrosko zarazem, na tyle beztrosko, że ktoś inny, mniej wyczulony i wrażliwy czy nie zwracający uwagi na wcześniejsze wydarzenia, w ogóle by się w tym wszystkim nie połapał. Była zawsze nieruchoma, wyczekująca, jakby odpoczywała, a zarazem była wszędzie, nie potrafiłem się od niej uwolnić. Wciąż napotykałem jej spojrzenia i błysk uśmiechniętych oczu, czy to w izbie na dole, czy to w korytarzu, patrzyła na mnie przez okno w gospodzie i odnajdywała na najbardziej nawet zatłoczonej ulicy...

Wydawało się, że ich zażyłość, po pierwszym spotkaniu, które tak gwałtownie zaburzyło równowagę Vezina, zaczęła rozwijać się w coraz szybszym tempie. Naturalnie Vezin był człowiekiem bardzo pedantycznym, afektowanym, a tacy ludzie wiodą uporządkowane, stateczne życie i na wszelkie zdarzenia, które burzą ich ustalony porządek rzeczy, patrzą nader podejrzliwie, z typową dla siebie nieufnością. Tyle tylko, że Vezin zaczął nagle zapominać o wyznawanych przez siebie zasadach. Dziewczyna zawsze zachowywała się skromnie, a jako przedstawicielka swojej matki, właścicielki gospody, miała pewne obowiązki, które musiała wykonywać. Nic więc dziwnego, że zażyłość między tą dwójką szybko zaczęła zacieśniać swe więzy. Poza tym dziewczyna była młoda, czarująca, ładniutka, była Francuzką i... najwyraźniej lubiła go.

Równocześnie coś innego, pewna nieopisana aura innych czasów i innych miejsc sprawiała, że usilnie starał się zachować czujność i czuł, jak coś niewidocznego zapiera mu dech w piersiach. To wszystko wyglądało niczym senny majak, na wpół rozkoszny, na poły porażający, jak wyznał szeptem doktorowi Silence'owi i niejednokrotnie przyłapywał się na tym, że robił lub mówił coś, czego sam nigdy by nie powiedział lub nie uczynił, jakby powodowały nim całkiem obce, nieznanne impulsy.

I choć miał niekiedy myśli o opuszczeniu tego miasteczka, za każdym razem były one coraz słabsze, tak więc z dnia na dzień przedłużał swój pobyt, stając się z wolna częścią tej sennej, starej, średniowiecznej osady i z

każdym dniem zatracając coraz bardziej swą osobowość. Czuł, że już niedługo wewnętrzna kurtyna uniesie się przy wtórze głuchego łoskotu, a on sam pozna kryjące się za nią tajemnice sekretnego życia tutejszego miasteczka. Tyle tylko, że do tej pory zmieni się w kogoś całkiem innego. Poza tym zaczął zwracać uwagę na inne, skądinąd drobne oznaki mające uatrakcyjnić mu jego przedłużający się pobyt w gospodzie: kwiaty w sypialni, wygodniejszy fotel w kącie, a nawet zwiększone porcje posiłków, które spożywał w izbie kominkowej na dole. Częstsze i bardziej przyjemne stały się rozmowy z „*Mademoiselle Ilse*”, choć ich treść rzadko wykraczała poza temat pogody czy miasteczka, dziewczyna zaś, jak zauważył, nie spieszyła się, by szybko zakończyć ich dysputy, i często wtrącała dziwne zdania lub zwroty, których sensu nie potrafił pojąć, lecz czuł, że były one nader ulotne.

To właśnie te drobne uwagi i wtrącenia, pełne niezrozumiałego dlań znaczenia pozwoliły mu domyślić się, iż kierowały nią jakieś sekretne pobudki i sprawiły, że poczuł się nieswojo. Czuł, że miały one związek z jego przedłużającym się pobylem w tej osadzie.

– Ach, czyżby *M'sieur* nie podjął jeszcze decyzji? – wyszeptała mu wprost do ucha, siadając przy nim na skąpanym w słońcu placu, przed *dejeuner*; ich znajomość rozwijała się wręcz błyskawicznie. – Bo jeżeli to takie trudne, musimy uczynić co w naszej mocy, aby mu w tym pomóc!

To pytanie zdziwiło go, gdyż łączyło się z tym, o czym przed chwilą myślał. Skwitowała swoje słowa śmiechem, odgarnęła kosmyk włosów, który przesłonił jej jedno oko, po czym odwróciła się i spojrzała na niego z filuternym uśmiechem. Być może nie do końca rozumiał, co do niego mówiła, bo jej obecność deprymowała go tak bardzo, iż jego znajomość francuskiego, i tak dość mizerna, stawała się jeszcze bardziej ograniczona. Mimo to zarówno słowa, zachowanie, jak i to niewytłumaczone coś, co kryło się w umyśle dziewczyny, wprawiało go w przerażenie. Wzbudzało w nim świadomość, że to miasteczko tylko czekało, aby podjął decyzję w jakiejś bardzo ważnej sprawie.

Równocześnie jej głos i bliskość, gdy była tuż obok niego, ubrana w delikatną, ciemną sukienkę, przepełniały go doznaniem niewysłowionej rozkoszy.

– To prawda, jakoś trudno mi opuścić to miejsce – wykrztusił, zatracając się w bezmiarze jej oczu – zwłaszcza teraz, gdy jest tu *Mademoiselle*

Ilse.

Zdziwił się, że udało mu się sklecić tak długie zdanie, i ucieszył się, iż uczynił to z taką swadą. Z drugiej strony żałował, że w porę nie ugryzł się w język.

– Wobec tego musiał pan polubić nasze miasteczko, w przeciwnym razie nie zechciałby pan zabawić tu tak długo – rzuciła, ignorując ten komplement.

– Jestem nim oczarowany, podobnie jak pani osobą – zawołał, czując, że słowa same cisną mu się na usta. Był bliski wyrażenia jeszcze innych myśli, dzikich, nieokiełznanych i niepojętych, gdy nagle dziewczyna poderwała się z krzesła, by odejść.

– Mamy dziś *soupe d l'oignon!* – zawołała doń z uśmiechem – muszę zająć się niezbędnymi przygotowaniami. W przeciwnym razie *M'sieur* może uznać, że mu nie smakuje, i zechce nas opuścić!

Patrzył, jak przechodziła przez plac, z iście kocią zwinnością i gracją, a jej obcisła, prosta, czarna sukienka wyglądała jak lśniąca futro pantery. Raz jeszcze odwróciła się na ganku, by uśmiechnąć się do niego, i stanęła na moment przy przeszklonych drzwiach, by zamienić kilka słów z matką, która jak zawsze siedziała w fotelu w sieni i robiła na drutach.

Jak to się stało, że gdy jego wzrok padł na tę niezgrabną kobietę, obie wydały mu się nagle inne, aniżeli je postrzegał? Skąd wzięła się ta czarowna dostojność i wrażenie mocy zdające się otaczać je niczym magiczna aura? Co było w tej zwalistej kobiecie, co przydawało jej iście królewskich cech i sprawiało, że w jego mniemaniu bliższy był jej raczej tron w jakimś mrocznym, starym zamczysku, berło w ręku i dzika, posępna orgia rozgrywająca się w sali tronowej? I czemu ta szczupła, drobna dziewczyna, smukła jak wierzba, gibka jak pantera zaczęła nagle w jego oczach emanować aurą złowrogiego dostojenstwa, jakby każdemu jej ruchowi towarzyszyły buchające płomienie i kłęby czarnego dymu, a pod jej stopami rozpościerał się mrok nocy?

Vezin wstrzymał na chwilę oddech i patrzył jak urzeczony. Wtem dziwne odczucie prysło, równie nagle jak się pojawiło i obie kobiety znów wyglądały w jego oczach tak jak zwykle, słyszał śmiech Ilse i jej słowa, w których przewijała się nazwa *soupe d l'oignon*, a zaraz potem dziewczyna odwróciła się i obejrzała przez ramię z tak cudnym uśmiechem, że widok

ten przywiódł mu na myśl wilgotne od rosy róże kołysane delikatnym podmuchem letniego wiatru.

Rzeczywiście zupa cebulowa była tego dnia wyśmienita, a kiedy ujrzał na swoim stole dwa nakrycia, serce niemal zamarło mu w piersi, kelner zaś gwoli wyjaśnienia powiedział: – *Ma'mselle Ilse* zechce zaszczyścić dziś pana przy *dejeuner*, jak to ma w zwyczaju wobec niektórych, szczególnych gości.

I rzeczywiście, siedziała obok niego podczas tego cudownego posiłku, rozmawiając z nim uproszczonym francuskim, pilnowała, by niczego mu nie brakowało, pomogła nawet przygotować dla niego sałatkę. A później, po posiłku, kiedy palił na placu i w duchu tęsknił za jej widokiem, zjawiała się, uporawszy się z obowiązkami i podeszła do niego. Gdy wstał, by ją powitać, przez chwilę mu się przyglądała, jakby z nieśmiałością, aż w końcu rzekła:

– Matka mówi, że powinien pan poznać lepiej uroki naszej małej osady, i przyznam szczerze, że jestem tego samego zdania. Czy zechciałby pan, abym przyjęła rolę jego przewodnika? Mogę pokazać panu wszystko, bo nasza rodzina mieszka tu już od wielu pokoleń.

Ujęła go za rękę, zanim zdołał wyrazić, jak bardzo był zaszczycony tą propozycją, i poprowadziła go, nie stawiającego oporu, wzdłuż ulicy; zrobiła to w taki sposób, że cała sytuacja wyglądała wręcz naturalnie, bez odrobiny zuchwałości czy braku skromności z jej strony. Jej oblicze promieniało zadowoleniem i ciekawością, a w swej krótkiej sukience i ze zmierzwionymi włosami Ilse wyglądała jak czarująca siedemnastolatka, którą była, niewinna i wesoła, dumna ze swego rodzinnego miasteczka i świadoma ponad wiek uroków tej prastarej osady.

Wyszli na spacer po mieście, Ilse pokazywała mu miejsca, które jej zdaniem zasługiwały na szczególną uwagę: ruiny starego domu, gdzie mieszkali jej przodkowie, posępną, dumną rezydencję, gdzie rodzina jej matki zamieszkiwała przez stulecia i stare targowisko, gdzie przed kilkuset laty palono czarownice. Opowiadała o każdym z tych miejsc długo i z ożywieniem, choć Vezin nie rozumiał nawet jednej piątej z tego, co próbowała mu przekazać. Gdy tak szedł obok niej, w duchu przeklinał swój wiek i tęsknoty młodości, które zdawały się drwić zeń i nękać przy każdej nadarzającej się okazji. Kiedy tak do niego mówiła, Anglia i Surbiton

wydały mu się nagle bardzo odległe, jakby pochodziły z innej epoki w historii świata.

Jej głos dotknął czegoś niewypowiedziane starego, co tkwiło w jego wnętrzu, głęboko uspięne. To coś uspiło wierzchnią powłokę jego świadomości, równocześnie budząc do życia coś znacznie bardziej odwiecznego. Tak jak to miasteczko, z jego wykwintną iluzją współczesnego, aktywnego życia, górne warstwy jego jaźni stały się otępiałe, przytłumione, złagodzone, a to, co kryło się pod nimi, poruszyło się i zaczęło się budzić! Wielka kurtyna zafalowała nieznacznie. Kto wie, może się w końcu podniesie...

Dopiero teraz zaczął wszystko pojmować. Nastrój miasteczka stopniowo udzielał się także jemu. W miarę jak jego codzienne, zwykłe ja stawało się stłumione, owo drugie, sekretne życie coraz bardziej dawało mu o sobie znać. Z całą pewnością była to sprawka dziewczyny, to ona niczym arcykapłanka kontrolowała przebieg niepojętych dla niego zdarzeń. Nowe myśli, ich nowe interpretacje zalewały jego umysł, kiedy szła obok niego krętymi uliczkami, podczas gdy malownicze, stare miasteczko z obwisłymi, spadzistymi dachami i kwaterowymi oknami, skąpane w promieniach zachodzącego słońca nigdy jeszcze nie wydawało mu się równie piękne i urzekające. Jeden tylko zagadkowy incydent zaniepokoił go i zdumiał, w sumie nic wielkiego, ale nie potrafił tego wyjaśnić, nagle bowiem jej anielskie oblicze wykrzywił grymas dojmującej zgrozy, a z uśmiechniętych jeszcze przed chwilą ust dobył się krzyk przerażenia. Wskazał przecież wtedy tylko na słup siwego dymu buchającego z palonych, jesiennych liści i odcinającego się na tle czerwonych dachów, a potem podbiegł do muru i zawołał ją, by wraz z nim popatrzyła na jęzory ognia bijącego ze stosu. Ona jednak na ten nieoczekiwany widok wyraźnie zbladła i pobiegła jak wiatr, wypowiadając niezrozumiałe dla niego słowa i zdania; jedyne, co było dlań teraz oczywiste, to że ogień budził w niej niewysłowione przerażenie i jak najszybciej chciała znaleźć się możliwie jak najdalej od niego, zabierając ze sobą Vezina.

W pięć minut później znów była spokojna i szczęśliwa, jakby nie wydarzyło się nic, co mogło ją zaniepokoić czy wywołać niepoohamowane wzburzenie, i wkrótce oboje zapomnieli o całym zdarzeniu.

Stali przy ruinach murów warownych, wsłuchując się w dziwną muzykę orkiestry, którą słyszał już w pierwszym dniu swego pobytu w miasteczku.

Podobnie jak wtedy, tak i teraz muzyka poruszyła go do głębi, jakby trąciła w nim sekretną, na wpół zapomnianą strunę. Dziewczyna nachyliła się w jego stronę, opierając się o blanki. Nikogo nie było w pobliżu. Aon pod wpływem jakiegoś osobliwego impulsu, zaczął wyrzucać z siebie kolejne słowa; nie zważał na to, że słabo znał język, po prostu chciał najlepiej jak potrafił wyrazić swój podziw dla Ilse. Gdy wymówił pierwsze słowo, dziewczyna zwinnie ześlizgnęła się z muru i zbliżyła się do niego z ciepłym, zachęcającym uśmiechem. Vezin siedział pod murem, a dziewczyna nieomal dotknęła jego kolan, stając tuż obok. Jak zwykle nie miała kapelusza, słońce pieściło jej włosy, policzek i szyję.

– Och, tak się cieszę! – zawołała, klaszcząc w dłonie i patrząc mu prosto w oczy. – Tak bardzo się cieszę, bo to oznacza, że skoro mnie lubisz, musisz także lubić to, co robię i czego jestem częścią.

Znów pożałował, że w porę nie zdołał się opanować. Coś w jej doborze słów zmroziło mu krew w żyłach. Poczul taki strach, jakby wpływał na nowe, nieznanne dotąd wody.

– Chodzi mi o to, że staniesz się częścią naszego prawdziwego życia – dodała półgłosem, zagadkowym, ale łagodnym tonem, jakby dostrzegła jego wahanie. – Powrócisz do nas.

Ta młodziutka dziewczyna zaczynała nad nim dominować, czuł jej moc spowijającą go jak niewidzialny kokon, coś, co z niej emanowało, otepiało jego zmysły i pozwalało mu dostrzec, że jej osobowość, choć pełna prostej gracji, skrywała w sobie imponujące, srogie i bezlitosne siły. Znów ją dostrzegł, sunącą pośród dymu i płomieni, w chaosie szalejącej burzy i pożogi, niepokojąco silną i dumną, obok niej zaś kroczyła jej matka. Jej surowość i potęga skrywały się pod maską czarującego uśmiechu i nieskalanej niewinności.

– Tak właśnie będzie, ja to wiem – rzekła, wpatrując się w niego z uwagą.

Byli sami na blankach warownych murów, a wrażenie, że próbowała nim owładnąć, ożywiło w nim dziką zmysłowość. Jej rezerwa i dystans podniecały go niesamowicie, a tkwiący w nim tłumiony dotąd męski instynkt wreszcie doszedł do głosu, stawiał opór jej natarczywym wpływom, równocześnie przyjmując je z rozkoszą i oddaniem, niczym wspomnienie dawno minionej młodości. Ogarnęła go niepoohamowana chęć, aby zasypać

ją pytaniami, zebrać te resztki siebie, jakie mu jeszcze pozostały, i podjąć ostatnią próbę ocalenia swej pierwotnej osobowości.

Dziewczyna znów przycichła, opierała się teraz łokciami o szeroki mur tuż obok niego i wpatrywała się w ciemniejszą równinę, nieruchoma jak posąg wykuty z kamienia. Zebrał się na odwagę.

– Powiedz mi, Ilse – powiedział, nieświadomie naśladowując jej włą sny, mrużący głos, lecz mówił absolutnie szczerze – co się tak naprawdę dzieje w tym miasteczku i o jakim prawdziwym życiu mówiłaś? Dlaczego ci wszyscy ludzie obserwują mnie bez przerwy, od rana do nocy? Powiedz mi, co to wszystko znaczy? I powiedz mi jeszcze – dodał z niezwykłą pa sją w głosie – kim i czym naprawdę jesteś ty sama?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek, a narastające podniecenie zdradzało lekkie zaróżowienie widoczne na obu policzkach. Przez jej oblicze przepłynął dziwny cień.

– Wydaje mi się... – jej spojrzenie mocno go zdeprymowało – że mam prawo wiedzieć...

Nagle otworzyła oczy szerzej. - A zatem kochasz mnie? – spytała półgłosem.

– Mogę przysiąc – rzucił ze swadą, czując wzbierającą w nim falę emocji. – Nigdy dotąd nie czułem niczego... nie znałem innej dziewczyny, która...

– Wobec tego masz prawo wiedzieć – wtrąciła ze spokojem, przerywając jego niezborny wywód – albowiem miłość dzieli się wszelkimi sekretami.

Tu zamilkła, on zaś poczuł, jakby jego ciało od stóp do głów zalała fala żywego ognia. Jej słowa wprawiły go w głębokie uniesienie, poczuł niezgłębioną radość, z którą z niewiadomych przyczyn splatały się mroczne myśli o śmierci i przemijaniu. Znów poczuł na sobie jej wzrok i usłyszał jej głos.

– Pradawne życie, o którym mówiłam – ciągnęła – to stare, bardzo stare życie wewnętrzne, życie, do którego ty także kiedyś należałeś i do którego wciąż przynależysz.

Słaba fala wspomnień wzburzyła głębiny jego duszy, gdy jej słowa pogrzały się w ich otchłani. Instynktownie wiedział, że to, co mówiła, jest prawdą, mimo iż nie pojmował jeszcze wszystkiego. W miarę jak jej słuchał, jego stare życie zdawało się od niego odpływać, zlewając się z o

wiele potężniejszą i starszą osobowością. To właśnie utrata jego obecnego ja przywołała w nim myśli o śmierci.

– Zjawileś się tu – ciągnęła – w celu odnalezienia go, a mieszkańcy wyczuli twą obecność i czekają teraz na twoją decyzję: chcą wiedzieć, czy porzucisz ich nie znalazłszy tego, czego szukałeś, czy...

Patrzyła mu prosto w oczy, ale jej twarz zaczęła się zmieniać, powiększała się i mroczniała, przepełniona mądrością wieków.

– To ich ciągłe myśli na twój temat dotyczą twojej duszy i przepełniają cię przekonaniem, że jesteś pod stałą obserwacją. Oni nie obserwują cię w normalnym tego słowa znaczeniu. Cele ich wewnętrznego życia przyzywają cię, pragną tobą owoładnąć. Dawno, bardzo dawno temu ty tak że stanowiłeś część tego życia, a teraz oni pragną, abyś wrócił pośród nich.

Serce Vezina zmroziła trwoga, gdy przysłuchiwał się tym słowom, lecz spojrzenie dziewczyny było tak pełne radości, że już nie chciał się z nią rozstać. Fascynowała go nawet teraz, gdy odkrywała przed nim swe prawdziwe oblicze.

– Sami mieszkańcy nie byli w stanie omotać cię i zatrzymać – ciągnęła. – Brakowało dostatecznie silnej motywacji, moc przez te wszystkie lata znacznie osłabła. Ja wszelako – przerwała na chwilę i spojrzała na niego z przekonaniem malującym się w jej pięknych oczach – posiadam moc zdolną, by cię zdobyć i utrzymać: to czar dawnej miłości. Mogę znów tobą owoładnąć, sprawić, byś żył wraz ze mną dawnym życiem, łączy nas bowiem pradawna więź, która, jeśli zechcę ją wykorzystać, okaże się dla ciebie potęgą nie do odparcia. A ja chcę jej użyć i zrobię to. Nadal cię pragnę. A ty, droga duszo z mej mglistej przeszłości... – przybliżyła się do niego tak, że poczuł na policzkach jej tchnienie, a potem usłyszał jej dźwięczny głos: – jesteś mi pisana, albowiem kochasz mnie, a co za tym idzie, zdany jesteś w pełni na moją łaskę.

Vezin usłyszał te słowa, ale tak jakby ich nie słyszał, zrozumiał je, lecz jakby ich nie pojmował. Ogarnęło go uniesienie. Świat u jego stóp utkany był z muzyki i kwiatów, a on sam unosił się gdzieś wysoko w górze, pławiąc się w rozkosznych, złocistych promieniach słońca. Brakowało mu tchu i kręciło się w głowie. Jej słowa wprawiły go w stan bliski euforii. A mimo to jej słowom wciąż towarzyszyła nieokreślona groza, lęk przed śmiercią, nieopisana trwoga. Wydawało się, że wraz z jej głosem jego duszę omiały płomienie i spowijały ją kłęby czarnego dymu.

Miał wrażenie, że porozumiewają się między sobą bez słów, telepatycznie, gdyż ze swoją znajomością francuskiego nie byłby w stanie wyrazić tego, co pragnął jej powiedzieć. A jednak ona rozumiała go doskonale, a to, co mówiła do niego, było jak recytacja wyuczonych dawno temu słów, które już kiedyś słyszał. Towarzyszyło temu osobliwe uczucie: mieszanina bólu i słodyczy, tak dojmujące, że jego dusza z trudem mogła je wytrzymać.

– Ale... przecież zjawiłem się tu przypadkiem... – usłyszał swój własny głos.

– Nie! – zawołała z pasją. – Przybyłeś tu, bo cię wezwałam. Wzywałam cię od dawna, a ty zjawiłeś się mając za sobą całą moc minionych lat. Musiałeś przybyć, bo należysz do mnie; jesteś mój.

Znów się podniosła i podeszła bliżej, patrząc na niego buńczucznie, jej oblicze emanowało mocą.

Słońce zaszło za wieżami starej katedry, ciemności zgęstniały i otoczyły ich. Orkiestra przestała grać. Liście platanów zwieszały się nieruchomo, ale wieczór był chłodny i Vezin mimowolnie zadygotał. Słysząc było tylko ich głosy i od czasu do czasu szelest sukienki dziewczyny. Vezin słyszał też pulsowanie krwi w skroniach. Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje i co robi. Jakaś potworna magia wyobraźni wciągnęła go w otchłań katakumbów jego własnej jaźni, uświadamiając mu stanowczo, że w jej słowach kryła się szczerą i okrutną prawdą. Ta prosta Francuzeczka mówiąca z tak niezłomną pewnością siebie zmieniła się nagle w jego oczach w całkiem inną istotę. Kiedy spojrział w jej oczy, obraz, który postrzegał, zaczął się rozrastać i ożywać, przeistaczając się w jego wyobraźni w coś zgoła innego, co stopniowo się przed nim odsłaniało. Tak jak poprzednio, zobaczył ją wysoką i majestatyczną, przechodzącą przez dziki, mroczny gąszcz, leśną głuszę i górskie jaskinie, z tyłu za jej głową płonął ogień, a jej stopy niknęły w kłębach dymu. Ciemne liście otaczały jej głowę, niesione wiatrem, a przez dziury w łachmanach przeświecało nagie ciało. Byli tam także inni, oczy błyszczące ze wszystkich stron kierowały ku niej spojrzenia, ona wszelako spoglądała wyłącznie na Wybrańca, którego trzymała za rękę. To ona bowiem prowadziła w tym tańcu, burzliwej, nieopisanej orgii rozgrywającej się pod muzykę śpiewnych głosów, krążąc miękko wokół olbrzymiej, potwornej Postaci zasiadającej na tronie i obserwującej całą tę scenę pośród wirujących oparów, podczas gdy

całe mnóstwo innych, dzikich twarzy wirowało w szaleńczym rytmie dokoła niej. Wiedział, że to jego trzymała za rękę i że monstrualną postacią na tronie była jej matka.

Ta wizja zrodziła się w jego wnętrzu przywołana z otchłani wspomnień, wygrzebana z piasków przeszłości, zdawała się krzyczeć donośnym głosem... A potem sama znikła, on zaś ujrzał wpatrzony w siebie, głębokie jak dwa stawy oczy dziewczyny i znów stała się dla niego piękną, drobną córką właścicielki gospody, on zaś odzyskał głos.

– A ty – wyszeptał drżąc – ty, dziecię wizji i czarów, jakim sposobem mnie omotałaś do tego stopnia, że pokochałem cię, zanim cię jeszcze ujrzałem?

Stała przy nim i przyjęła dystygowaną pozę.

– Za sprawą zewu Przeszłości – odrzekła. – A poza tym – dodała z dumą – w prawdziwym życiu jestem księżniczką...

– Księżniczką! – zawołał.

– ...a moja matka jest królową!

Usłyszawszy te słowa, Vezin całkiem stracił głowę. Rozkosz rozdarła jego serce, przepełniając je uczuciem niepojętej ekstazy. Ten słodki, dźwięczny, melodyjny głos i widok poruszających się warg wypowiadających te słowa do reszty zachwiał jego równowagę wewnętrzną. Przygarnął i zasypał oblicze nie opierającej się dziewczyny pocałunkami.

Kiedy to jednak uczynił, gdy fala żarliwej namiętności owładnęła nim od stóp do głów, poczuł, że była miękka i odrażająca, a odwzajemnione przez nią pocałunki plugawią jego duszę... Gdy w końcu uwolniła się i odsunęła od niego, by zaraz zniknąć w ciemności, Vezin wciąż stał, opierając się o mur; był bliski załamania, przepełniony dojmującą zgrozą wywołaną dotykiem jej elastycznego ciała, w głębi duszy zaś był zły sam na siebie za słabość, która jak wiedział, mogła doprowadzić go do ostatecznego upadku. A tymczasem z ciemności starych budynków, między którymi zniknęła, popłynęło rozziewające nocną ciszę zawołanie, które w pierwszej chwili omyłkowo wziął za śmiech, a które później zidentyfikował jako przywodzące na myśl głos ludzki miauczenie kota.

Vezin jeszcze długo stał oparty o mur, samotny, z dręczącymi go myślami i emocjami. Dopiero teraz pojął, że uczynił jedyną rzecz, konieczną do przywołania tałej mocy pradawnej Przeszłości. Za sprawą

tych namiętnych pocałunków ponownie ożywił więź łączącą go z dawnymi czasami. Wspomnienie delikatnej, miękkiej pieśczoży w ciemnym korytarzu gospody przyprawiło go o zmysłowy dreszcz ekscytacji. Dziewczyna najpierw nim owładnęła, po czym nakłoniła, aby uczynił jedyną rzecz niezbędną dla osiągnięcia przez niego zamierzonego celu. Zwiodła go, przywołała, i to po setkach lat, by go osaczyć, pochwycić i zdobyć.

Uświadomił to sobie mgliście i jął zastanawiać się nad planem potencjalnej ucieczki. Póki co jednak był całkiem bezsilny; niepojęte, fantastyczne szaleństwo całej tej przygody owładnęło jego umysłem jak zły urok, on zaś pławił się w świadomości, że został oczarowany i przyszło mu żyć w świecie znacznie rozległej szym i bardziej wrogim niż ten, do którego przywykł.

Księżyc, bład i ogromny, wzniósł się właśnie nad przypominającą morze równiną, kiedy w końcu postanowił wstać i ruszyć w drogę. Srebrzysty blask przydawał okolicznym domom całkiem nowego charakteru, dachy, mokre od rosy, zdawały się wznosić znacznie wyżej niż dotychczas, a ich szczyty i stare murszejące wieżyczki niemal zlewały się z ciemniejszym niebem.

Katedra skąpana w oparach mgieł wydawała się nierzeczywista. Szedł na paluszkach, trzymając się wśród głębokich cieni, ulice jednak były opustoszałe i bardzo ciche. Drzwi były pozamykane, okiennice również. Ani żywego ducha. Wszystko spowijała cisza nocy. To miasteczko wyglądało jak wymarłe, wielkie cmentarzysko z olbrzymimi, groteskowymi nagrobkami.

Zastanawiając się, co stało się z mieszkańcami i gdzie wszyscy oni zniknęli, skierował się do tylnego wejścia, aby wejść do gospody od strony stajni i w ten sposób niepostrzeżenie dostać się do swego pokoju. Ruszył powoli, skradając się, jak staruszkowie wchodzący do *salle d manger*. Z przerażeniem stwierdził, że robi to instynktownie. W pewnej chwili ogarnęło go dziwne pragnienie, które objawiło się w jego wnętrzu, nabrał nagle ochoty, aby opaść na czworaka i pobiec, cicho, bezszelestnie. Uniósł wzrok i nagle ogarnęło go pragnienie, aby wskoczyć na parapet powyżej, omijając w ten sposób schody. Ten sposób wydał mu się najprostszy, najbardziej naturalny. Był to jednak początek jakiejś przerażającej transformacji zmieniającej go w coś innego. Ogarnęło go straszliwe

napięciu. Księżyc wisiał na niebie, cienie przy ulicy zgęstniały, kiedy ruszył dalej. Szedł, wybierając miejsca, gdzie cienie były najgęstsze, aż dotarł do ganku z przeszklonymi drzwiami.

W izbie kominkowej wciąż paliło się światło, niestety, ktoś też jeszcze tu czuwał. Mając nadzieję, że uda mu się niepostrzeżenie przemknąć przez izbę i dotrzeć do schodów, lekko uchylił drzwi i wślizgnął się do środka. Wtedy właśnie zobaczył, że sień nie była pusta. Coś czarnego i wielkiego leżało pod ścianą po lewej. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakieś domowe sprzęty. Zaraz potem to coś się poruszyło, a Vezinowi przyszło nagle na myśl, że to wielki kocur, zniekształcony osobliwą grą światła i cieni. Olbrzymi kształt wyprostował się przed nim i jego oczom ukazała się właścicielka.

Mógł jedynie snuć mroczne przypuszczenia, co robiła w tej dziwacznej pozycji, w chwili jednak gdy wstała i spojrzała na niego, wyczuł bijące z niej niezwykle, posępne dostojeństwo i natychmiast przypomniał sobie słowa dziewczyny, stwierdzającej, że jej matka jest prawdziwą królową. Stała w świetle lampy naftowej, ogromna i złowroga, prócz ich dwojga w sieni nie było nikogo. Przepęłniła go przeraźliwa trwoga, biorąca swój początek z jakiegoś pierwotnego lęku. Czuł, że powinien się przed nią pokłonić, oddając jej hołd. Impuls był gwałtowny i nieodparty jak wpojony przez lata nawyk. Rozejrzał się pospiesznie dokoła. Pusto. W następnej chwili kornie pochylił głowę, oddając jej pokłon.

– *Enfin! M'sieur s'est donc decide. Cest bien alors. J'en suis contente.* Jej słowa zdawały się dochodzić z bardzo daleka.

Wtem olbrzymia postać miękko zbliżyła się do niego i ujęła jego drżące dłonie. Tkwiąca w jej wnętrzu wszechogarniająca siła przepłynęła do jego ciała.

– *On pourrait faire un p'tit tour ensemble n'estce pas? Nous y allons cette nuit et U faut s'exercer un peu d'avance, pour cela. Ilse, Ilse, viens donc ici. Viens vite!*

To rzekłszy zaczęła obracać go, jakby w początkowej fazie jakiegoś tańca, który wydawał mu się dziwny i przeraźliwie znajomy. Jako taneczna para, stąpając po kamiennej posadzce, nie wykazali żadnych, nawet najcichszych odgłosów. Poruszali się miękko i bezszelestnie. A kiedy powietrze zgęstniało jak dym i zaczął przebijać przez nie czerwony blask,

jak łuna płomieni, zdał sobie sprawę, że dołączył do nich ktoś jeszcze i że jego dłoń, którą pieściła właścicielka, odnalazła rękę jej córki. Ilse przybyła na wezwanie, on zaś ujrzał wplecione w jej ciemne włosy liście werbeny. Miała na sobie dziwne, skąpe odzienie, była piękna jak noc i przerażająco, odrażająco i nieodparcie wręcz uwodzicielska.

– Na Sabat! Na Sabat! – zawołały obie. – Na Wiedźmi Sabat!

Tańczyli w tej wąskiej sieni, kobiety zajęły miejsca po jego bokach, ale choć był to isticie szalony tan, niewiele z niego zapamiętał. Zatrzymali się dopiero, gdy płomyk lampy na ścianie zamigotał i zgasł, pograżając całą sien w aksamitnej ciemności. Równocześnie jego serce przepęłniła kompletna trwoga podsycana tysiącami złowrogich podszeptów, aluzji i sugestii. Był naprawdę przerażony. Jeszcze nigdy tak bardzo się nie bał.

Puściły jego ręce i po chwili usłyszał głos właścicielki wołający, że już czas, że muszą już iść. Nie zdołał zobaczyć, dokąd pobiegły. Wiedział tylko, że jest wolny, i ruszył w ciemność, aż do schodów, po czym pognął na górę, jakby goniły go wszystkie demony piekieł. Rzucił się na sofę, ukrywając twarz w dłoniach, i jęknął głośno. Pospiesznie jął obmyślać dziesiątki sposobów natychmiastowej ucieczki, wszystkie w równej mierze niemożliwe do zrealizowania, aż w końcu uznał, że jedyne, co może teraz uczynić, to siedzieć cicho i czekać. Musiał zobaczyć, co ma się wydarzyć. W swojej sypialni powinien być względnie bezpieczny. Drzwi były zamknięte na klucz. Podszedł do okna wychodzącego na plac i otworzył je. Mógł też przez nie zobaczyć fragment sieni, dzięki przeszkłonym drzwiom na ganku.

I wtedy też z głębi okolicznych uliczek dobiegł go donośny hałas i gwar, stłumiony przez znaczną odległość dźwięk kroków oraz głosy. Wychylił się ostrożnie, nasłuchując. Blask księżyca przybrał na sile, srebrna tarcza wisiała na niebie za domem. Jakiś neodparty instynkt podpowiadał mu, że mieszkańcy miasta jeszcze przed chwilą niewidoczni, skryci w zaciszu swych domów, opuszczali swoje sadyby w sobie tylko znanym, mrocznym i bluźnierczym celu. Wytężył słuch.

Początkowo otaczała go cisza, lecz stopniowo zaczął zwracać uwagę na poruszenie w całym domu. Ciche szelesty i szmery dochodziły doń także z drugiego końca placu, skąpanego w księżycowym blasku. Gromadzące się w pobliżu istoty czyniły niemały hałas rozchodzący się pośród nocy.

Wszędzie widać było poruszające się sylwetki. W powietrzu rozszedł się, płynący nie wiadomo skąd, gryzący odór. Wzrok Vezina skierowany został na okna w przeciwległej ścianie, na które padało światło księżyca. Dach powyżej i z tyłu za nim bardzo wyraźnie odbijał się w szkłe, on zaś dostrzegł ciemne kształty przebiegające zwinnie po czerwonych gontach i zwieńczeniach murów. Poruszały się szybko i bezszelestnie, kształtem przypominały ogromne koty, widział ich odbicia w szybie, później zaś, gdy zeskakiwały niżej, tracił je z oczu. Słyszał tylko miękkie odgłosy towarzyszące ich kolejnym, długim, zwinnym susom. Niekiedy ich cienie padały na biały mur naprzeciwko, a wtedy nie potrafił stwierdzić, czy ma przed sobą cienie istot ludzkich, czy może wielkich kotów. Zdawały się w błyskawicznym tempie zmieniać postać z ludzkiej na zwierzęcą i z powrotem. Przemiana wyglądała aż nadto realistycznie, gdyż istoty te wzbijały się w powietrze jeszcze w ludzkiej postaci i w trakcie skoku dokonywały transformacji, by jako zwierzęta wylądować na bruku poniżej.

Plac w dole tętnił życiem, ciemne postacie skradały się, podchodząc ze wszystkich stron ku gankowi z przeszklonymi drzwiami. Trzymały się tak blisko ścian, że nie potrafił dostrzec ich prawdziwych kształtów, kiedy jednak stwierdził, że przyłączały się do zgromadzenia w sieni, zdał sobie sprawę, że musiały to być stworzenia, których skaczące cienie ujrzał po raz pierwszy odbijające się w szybach naprzeciwko. Schodziły się tu ze wszystkich stron, z każdego zakątka miasta, dochodząc do miejsca zbiórki po dachach i murach, przeskakując z jednego budynku na drugi, aż w końcu docierały na plac przed gospodą.

Wtem nowy dźwięk zwrócił jego uwagę, Vezin zauważył, że okna w sąsiednich domach zostały pootwierane i w każdym z nich pojawiła się twarz. W chwilę potem postacie te zaczęły jedna po drugiej wyskakiwać przez okna na plac w dole. Gdy wyłaniały się z okien, postacie przypominały istoty ludzkie, jednak lądowały na bruku na czworakach i natychmiast zmieniały się w olbrzymie, ciche koty. Następnie czym prędzej spieszyły, by dołączyć do pozostałych, zgromadzonych w sieni gospody.

A zatem inne pokoje w tym przybytku wcale nie były puste i niezamieszkałe.

Co gorsza, to, co miał okazję widzieć, przestało go zdumiewać. Pamiętał to doskonale. To był znajomy widok. Oglądał to już wcześniej setki razy i sam także w tym uczestniczył, dając się ponieść ogólnemu

szaleństwu. Zarys starego budynku zmienił się, plac dziwnie się rozszerzył, a Vezin odniósł wrażenie, jakby patrzył w dół przez kłęby czarnego, oleistego dymu, ze znacznie większej niż dotychczas wysokości. I gdy tak patrzył, nawiedziły go na wpół zapomniane tęsknoty, dojmujące i cudowne zarazem, krew w jego żyłach wzburzyła się za sprawą Zewu Tańca, który ponownie dał mu o sobie znać. Poczuł go w sercu, rozdartym bólem i cierpieniem, lecz równocześnie poczuł pradawną magię Ilse wirującej tuż obok niego.

Otrząsnął się z chwilowego ośpienia. Wielki, zwinny kot wyłonił się z cieni i wskoczył na parapet tuż przy nim, po czym skierował nań spojrzenie swych zdumiewająco ludzkich oczu. Pójdź – zdawał się mówić – pójdź z nami. Rusz do tańca! Aż za dobrze zrozumiał bezgłośnie wezwanie zwierzęcia.

Zniknęło w okamgnieniu, przy wtórze cichego tupotu łap na kostce brukowej, po czym w ślad za nim podążyły dziesiątki innych; wybiegły z wnętrza gospody i pognały bezgłośnie i zwinnie w stronę punktu zbornego. Raz jeszcze poczuł nieodparte pragnienie, by uczynić to samo, wymamrotać pradawną inkantację, po czym osunąć się na czworaka i dać potężnego susa w powietrze. Och, to pragnienie narastało w nim jak niepojęta euforia, poczuł, jak przenika go na wskroś, a w jego sercu zapłonął ogień odwiecznej tęsknoty za starym, bardzo starym Magicznym Tańcem Wiedźmiego Sabatu! Gwiazdy wirowały wokół niego, znów poczuł działanie księżycowego czaru. Moc wiatru, wiejącego od strony przepaści i lasu, przepływającego od wzgórza do wzgórza, ponad dolinami, próbowała nim ośwadczyć... Usłyszał krzyki tańczących i ich dziki śmiech, widział siebie tańczącego zawzięcie z tą dziką dziewczyną w ramionach, wokół czarnego tronu, na którym z berłem w ręku siedziała mroczna Postać...

I nagle wszystko ucichło, uspokoiło się, żar w jego sercu przygasł. Blask księżycy zalał pusty już teraz, brukowany plac. Tamci odeszli. Odfrunęli ku niebu. A on został sam.

Vezin podszedł cichcem do drzwi i otworzył je, odblokowawszy zamek. Gdy się do nich zbliżył, usłyszał o wiele wyraźniej hałas dochodzący z ulicy. Z najwyższą ostrożnością ruszył w głąb korytarza. U szczytu schodów przystanął, nasłuchując. Sień poniżej, gdzie odbyło się zgromadzenie, tonęła w ciszy i w ciemnościach, ale przez otwarte drzwi i

okno po drugiej stronie budynku dochodziły odgłosy olbrzymiej fali istot oddalających się pospiesznie od opustoszałej gospody.

Zszedł po rozchwierutanych, skrzypiących schodach, z jednej strony lękając się, a z drugiej strony pragnąc spotkania z jakimś maruderem, który mógłby mu wskazać drogę, lecz nie znalazłszy nikogo, przeszedł przez izbę, a następnie sień, jeszcze do niedawna pełną żyjących, poruszających się stworzeń i przez otwarte drzwi wyszedł na ulicę. Nie mógł uwierzyć, że tak go zostawiono, że o nim zapomniano, że celowo dano mu szansę ucieczki. To wprawiło go w niemałą konsternację.

Rozejrzał się nerwowo dokoła, powiódł wzrokiem w głąb ulicy, a gdy nie dostrzegł niczego, ruszył prosto przed siebie.

Całe miasteczko wyglądało na opuszczone, opustoszałe, jakby potężna wichura wymiotła zeń wszelkie oznaki życia. Drzwi i okna domów były pootwierane na oścież, jak okiem sięgnąć zero jakichkolwiek oznak poruszenia. Wszystko spowijała cisza i łagodny, księżycowy blask. Noc otuliła go jak aksamitny płaszcz. Podmuchy wietrzyku, lekkiego i chłodnego, głaskały go po policzku jak miękka, kosmata łapa. Odzyskał nieco pewności siebie i przyspieszył kroku, lecz w dalszym ciągu trzymał się głębokich cieni. Nigdzie nie napotkał żadnych śladów wielkiego, bluźnierczego exodusu, który niedawno miał tutaj miejsce. Wysoko na bezchmurnym niebie wisiła srebrna tarcza księżyca.

Nie wiedząc, dokąd zmierza, przeszedł przez plac targowy i dotarł do murów warownych, skąd wiodła ścieżka schodząca w dół, na główny trakt i którą, jak wiedział, mógł dotrzeć do innych małych osad znajdujących się na północ stąd oraz do stacji kolejowej.

W pewnej chwili przystanął i zlustrował wzrokiem pejzaż rozpościerający się u jego stóp, rozległa równina przywodziła na myśl srebrzystą mapę Krainy Snów. Ciche piękno tego krajobrazu przepęniało jego serce, wzmagając w nim wrażenie nierealności i oszołomienia. Nie było wiatru, liście platanów trwały w kompletnym bezruchu, wszystkie szczegóły wydawały się wyraźnie widoczne, jak w dzień, odcinając się w oparach falujących mgieł.

Zaparło mu dech i stanął jak zakłęty, gdy odrywając wzrok od horyzontu, skierował go na to, co znajdowało się w głębi doliny, poniżej. Dół zbocza, na które nie padał księżycowy blask, zdawał się emanować silnym światłem i w poświacie tej Vezin spostrzegł poruszające się kształty,

przemykające rażno i zdecydowanie pomiędzy drzewami, w górze zaś, jak liście niesione wiatrem, widać było unoszące się postacie, które w jednej chwili odcinając się posępną czernią na tle nieba, opadały w następnej, przy wtórze głośnych krzyków i zaśpiewów, pomiędzy gałęziami, ku miejscu stojącemu w płomieniach.

Stał oczarowany i przyglądał się temu przez bliżej nieokreślony czas. Wreszcie za sprawą kolejnego z tych strasznych impulsów, które zdawały się kontrolować całą tę przygodę, wspiał się pospiesznie na zwieńczenie szerokiego muru obronnego i stał tam przez chwilę, wpatrując się w dolinę poniżej. Nagle, kiedy tak stał, kołysząc się lekko, jego wzrok przykuło nagłe poruszenie wśród cieni między domami. Odwrócił się, by ujrzeć potężne zwierzę przemykające długimi susami i w paru skokach pokonujące otwartą przestrzeń z tyłu za nim, a następnie miękko wskakujące na ścieżkę w pewnym oddaleniu od niego. Zwierzę pomknęło jak wiatr, dopadając go w kilku susach i stanęło tuż przy nim, pod murem. Przeszył go dreszcz i na chwilę przyćmił mu się wzrok. Jego serce zabiło żywszym rytmem. Obok niego stała Ilse, wpatrując się w niego z przejęciem.

Vezin zauważył, że twarz dziewczyny i jej skórę pokrywała jakaś ciemna substancja, błyszcząca w świetle księżyca. Dostrzegł to, kiedy wyciągnęła ku niemu ręce. Miała na sobie stare łachmany, ale prezentowała się w nich olśniewająco, we włosach miała wplecioną rutę i werbenę, jej oczy lśniły bluźnierczym blaskiem. Z trudem pohamowywał się, by nie wziąć jej w ramiona i nie zeskoczyć wraz z nią w głąb kotliny.

– Spójrz! – zawołała, wskazując ręką przyobleczoną w trzepoczące na wietrze łachmany w stronę gorejącego lasu w oddali. – Zobacz, czeka ją tam na nas! Las żyje! Wielcy już tam są i niebawem rozpoczną się tańce. Masz tu maść, natrzyj się nią i pójdź!

Choć jeszcze przed chwilą niebo było czyste i bezchmurne, ledwie wypowiedziała te słowa, tarcza księżyca pociemniała, a podmuchy przybierającego na sile wiatru zakołysały konarami platanów, hen w dole. Wiatr niósł ze sobą ochryple głosy, krzyki dochodzące z dolnych zboczy wzgórz i kwaśny odór, który poczuł już wcześniej na placu przy gospodzie.

– Przemień się, przemień się! – zawołała ponownie śpiewnym głosem.
– Wetrzyj ją mocno w skórę, nim się wzbijesz w powietrze! Pójdź! Chodź

ze mną na sabat, poznaj to rozkoszne szaleństwo. Oddaj się słod kiemu zapamiętaniu diabelskiego kultu! Zobacz, Wielcy już tam są, wszy stko jest gotowe do wypełnienia mrocznych i przerażających ceremonii. Tron został zajęty. Namaść się i przybądź! Namaść się i przybywaj!

Urosła w jego oczach i jednym skokiem wskoczyła na mur, jej oczy zdawały się płonąć, nocny wiatr rozwiewał włosy. Vezin także zaczął się szybko zmieniać. Dotknęła skóry na jego twarzy i szyi, pokrywając ją ognistą maścią, która wtłoczyła do jego żył moc pradawnej magii, moc, w obliczu której blakło wszystko, co dobre i prawe.

Z głębi lasu doszedł go dziki ryk, a kiedy dziewczyna to usłyszała zaczęła podskakiwać na blankach w przypiływie dzikiej, mrocznej radości.

– Szatan już tam jest! – zawołała, podbiegając do Vezina i usiłując pociągnąć go za sobą w kierunku lasu. – Szatan przybył! Wspólnota nas wzywa! Czas rozpocząć Rytuwały! Pójdź, mały odszczepieńcze, zjednocz się z nami na powrót w tańcach i ceremoniach, aż księżyc szejnie, a cały świat popadnie w zapomnienie!

Vezin w ostatniej chwili uniknął runięcia w dół, uwalniając się z jej uścisku, choć przepęniała go niepojęta pasja i pohamowanie jej kosztowało go wiele wysiłku. Krzyknął głośno, nie wiedząc, co właściwie mówi, a potem wrzasnął raz jeszcze. Powodowały nim pradawne impulsy, stare, przerażające nawyki odnajdowały w nim zapomniane słowa z przeszłości, bo choć Vezinowi wydawało się, że w tym, co wykrzykiwał, nie było żadnej treści ni sensu, słowa te z całą pewnością miały swoje ukryte znaczenie. To był prawdziwy zew. I ci, co znajdowali się poniżej, usłyszeli go. A potem odpowiedzieli.

Wiatr zafalował połami jego surduta, gdy powietrze wokół niego pociemniało od postaci wypływających z głębi doliny. Wdzierające się do jego uszu ochryple wołania przybliżały się. Podmuchy wiatru zakołysały nim, gdy tak stał, chwiejąc się na nogach na murszejących, kamiennych blankach. Ilse przywarła do niego, obejmując za szyję długimi, lśniącymi, gołymi ramionami. Ale nie była sama, towarzyszyło jej tuzin innych istot, które spłynęły z powietrza, by otoczyć go na szczycie murów. Poczul w nozdrzach dławiący odór maści, którą natarli swe ciała, podniecający i mącający zmysły, nakłaniający, by poddał się pradawnemu szaleństwu Sabatu, czasu zgromadzenia i tańca wiedźm oraz czarowników oddających w ten sposób cześć ucieleśnionemu Złu tego świata.

– Namaść się i przybywaj! Namaść się i przybywaj! – zawołali dzikim chórem, zgromadziwszy się wokół niego. – Dołącz do Tańca, który nigdy nie przemija! Stań się jednością z rozkoszą i przeraźliwą fantasmagorią wszelkiego zła!

Jeszcze chwila i poddałby się, uległby ich namowom i dołączył do nich, albowiem jego woła zaczęła słabnąć, owładnęła nim fala rozkosznych wspomnień, gdy wtem – jak taka drobnostka mogła odmienić bieg tych nader ważkich wydarzeń – postawił stopę na zmurszałym fragmencie muru, który ukruszył się pod jego ciężarem i Vezin ciężko poleciał w dół. Wylądował z głuchym łupnięciem na ziemi, kilka stóp niżej. Miał szczęście, spadł po stronie miasta i domów, na pylistą, brukowaną ulicę, a nie w głąb doliny rozciągającej się za murami.

Tamci rzucili się na niego, opadli go jak muchy truchło, ale zanim go dopadli, na krótką chwilę zdołał wyzwolić się spod ich hipnotycznej mocy i w tym momencie zrozumiał, że ocaliło go całkiem przypadkowe, intuicyjne działanie. Zanim zdążył podnieść się z ziemi, ujrzał ich, wycofujących się i wspinających z powrotem na mur; niczym nietoperze mogące latać tylko wtedy, gdy rzucają się w dół z wysokości, także oni nie byli w stanie go dopaść na otwartej przestrzeni. Nie mieli już nad nim władzy. Kiedy ujrzał ich, siedzących na szczycie muru, jak koty na dachu, mroczne, dziwnie bezkształtne istoty o ślepiach jak gorejące lampy, przypomniał sobie nagle niewytłumaczalny lęk Ilse przed ogniem. Natychmiast sięgnął do kieszeni po zapalki i podpalił stertę zeschniętych liści piętrzącą się pod murem.

Suche i pomarszczone, natychmiast zajęły się ogniem, a wiatr poniósł ogień długą nitką wzdłuż murów obronnych; z sekundy na sekundę płomienie rozrastały się coraz wyżej; równocześnie siedzące na szczycie blanek bezkształtne istoty przy wtórze głośnego miauczenia i jękliwego zawodzenia rzuciły się w przepaść po drugiej stronie murów i z zajadłym trzepotem i szelestem opadły w głąb nawiedzanej doliny, pozostawiając Vezina rozdygotanego i pozbawionego tchu na środku opustoszałej, szerokiej, brukowanej ulicy.

– Ilse! – zawołał nieśmiało. – Ilse! – Serce mu się krajało na myśl, że ją utracił, że odeszła sama, bez niego, by rzucić się w wir Tańca, on zaś z własnej woli zrezygnował z czegoś tak przerażającego i ekscytującego zarazem. Jednak odczuwał przy tym również niewysłowioną ulgę, był

oszołomiony i miał wielki mętlik w głowie, w jego wnętrzu szalała burza emocji...

Ogień pod murem wypalił się i wygasł, księżycowy blask powrócił, łagodny i czysty, twarz miesiąca ponownie pojaśniała po chwilowym zaćmieniu. Vezin wzdrygnąwszy się gwałtownie raz jeszcze spojrzął na stare niszcząc mury warowne i przez chwilę z niepokojem zastanawiał się, co też mogło dziać się teraz w nawiedzanej dolinie poniżej, gdzie wciąż roilo się od unoszących się w powietrzu ciemnych kształtów, po czym spuścił wzrok i powoli, niespiesznie wrócił do hotelu.

A gdy tak szedł, przez cały czas od strony gorejącego, skąpanego w silnej łunie lasu poniżej towarzyszyło mu echo osobliwego jazgotu i donośnych wrzasków, niesione podmuchami wiatru, które jednak z każdym jego krokiem coraz bardziej słabło, a kiedy znalazł się między budynkami, ucichło zupełnie.

To nagłe, dość spokojne skądinąd zakończenie może wydaje się panu nieoczekiwane - rzekł Arthur Vezin, spoglądając z niepewną miną i rumieńcami na policzkach na doktora Silence'a trzymającego w dłoniach notes – ale prawda jest taka, że... ee... od tej chwili moje wspomnienia wydają się niepewne i mgliste. Nie pamiętam, jak konkretnie dotarłem do domu i co właściwie zrobiłem.

Wygląda na to, że nie wróciłem już do gospody. Jak przez sen pamiętam, że biegłem, długą białą drogą, w blasku księżyca, przez lasy i wioski, ciche, opustoszałe, wymarłe, aż nadszedł świt i ujrzałem przed sobą wieżyczki większego miasta, i udałem się niezwłocznie na stację.

Wcześniej jednak, pamiętam, że zatrzymałem się po drodze i spojrziałem za siebie, w stronę wioski, gdzie miała miejsce moja niezwykła przygoda, a gdy ujrzałem ją, skąpaną w srebrzystym blasku, pomyślałem, że z tej odległości przypomina mi olbrzymiego kota, leżącego na równinie, z dwiema przednimi łapami tworzonymi przez domy stojące wzdłuż dwóch głównych ulic i bliźniaczymi, zrujnowanymi wieżami katedry przypominającymi kocie uszy, odcinającymi się na tle nieba. Pamiętam ten obraz po dziś dzień, jakbym widział go zaledwie przed chwilą...

A jeżeli chodzi o moją ucieczkę, pamiętam tylko jedno - uświadomiłem sobie bowiem, że nie uiściłem rachunku w gospodzie, uznałem wszelako, że nieduży bagaż, jaki pozostawiłem, powinien z nawiązką pokryć wszelkie koszty. Co się tyczy reszty, zjadłem śniadanie i wypłem kawę w

niewielkiej kafejce na obrzeżach miasta, do którego dotarłem, a niedługo potem udałem się na stację i jeszcze tego samego dnia znalazłem się w pociągu. Wieczorem byłem już w Londynie.

– Jak długo, pańskim zdaniem – spytał półgłosem John Silence – trwała pańska przygoda?

Vezin niepewnie uniósł wzrok.

– Właśnie do tego zmierzałem – podjął swój wywód z typowym dla niego apologetycznym wzruszeniem ramion. – W Londynie okazało się, że w moich rachubach pomyliłem się prawie o tydzień! Spędziłem w miasteczku tydzień i powinien być już piętnasty września, gdy tymczasem okazało się, że jest dopiero dziesiąty września!

– Zatem w rzeczywistości spędził pan w gospodzie zaledwie jedną lub dwie noce? – spytał doktor.

Vezin wahał się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział. Niepewnie przestępował z nogi na nogę.

– Musiałem gdzieś w którymś momencie *odzyskać* stracony czas – powiedział w końcu. – Na pewno spędziłem tam aż tydzień. Nie potrafię tego wyjaśnić. Mogę jedynie podać panu suche fakty.

– To miało miejsce w ubiegłym roku, czy od tego czasu miał pan okazję odwiedzić ponownie to miejsce?

– To było jesienią ubiegłego roku – przyznał Vezin. – I nigdy nie odważyłem się tam wrócić. Chyba nie miałem już na to ochoty.

– A proszę mi powiedzieć – rzekł po dłuższej chwili doktor Silence, stwierdziwszy, że mały człowieczek najwyraźniej powiedział mu już wszystko, co miał do powiedzenia – czy czytał pan jakiegokolwiek prace dotyczące starych praktyk czarnoksięskich z okresu Średniowiecza lub czy kiedykolwiek interesował się pan tą tematyką?

– Nigdy! – zagrzemiał z emfazą Vezin. – O ile mi wiadomo, nigdy takie rzeczy nie leżały w sferze moich zainteresowań.

– A sprawy dotyczące reinkarnacji?

– Przed moją przygodą nie, ale od tej pory przeczytałem to i owo na ten temat – odparł wymijająco.

Nie ulegało wątpliwości, że Vezinowi coś bardzo ciążyło na duchu i liczył, że dzięki temu wyznaniu pozbędzie się brzemia, jednak ciężko było mu zebrać się na odwagę i wyjawic, o co chodziło; dopiero doktor Silence kilkoma trafnie rzuconymi pytaniami i uwagami, okazując

zaciekawione i głębokie współczucie, nakłonił go, by nieco bardziej się otworzył. Vezin, z trudem formułując słowa, powiedział, że chciałby pokazać mu znaki, jakie miał na szyi w miejscach, gdzie jak wyjaśnił, dziewczyna dotknęła go wilgotnymi od maści rękami.

Po, zdawałoby się, nie mającej końca chwili wahania mężczyzna zdjął kołnierzyk i rozchylił koszulę, aby doktor mógł zobaczyć wspomniane miejsce. Rzeczywiście na szyi Vezina, tuż przy obojczyku, widać było słabe zaczerwienienie, ciągnące się przez cały bark, w kierunku kręgosłupa. Taki ślad mogło pozostawić ramię kogoś, kto obejmował Vezina za szyję. Na szyi z drugiej strony Vezin nosił podobny, choć znacznie słabszy ślad.

– To pamiątka po tym, jak mnie objęła wtedy, tamtej nocy, na blanchach – wyszeptał, a w jego oczach to pojawiały się, to gasły osobliwe iskierki.

W kilka tygodni później, gdy ponownie miałem okazję konsultować się z doktorem Silence'em w całkiem innej, równie niezwykłej sprawie, która zwróciła moją uwagę, nasza rozmowa zeszła na temat przypadku Vezina. Odkąd ją poznał, doktor poczynił pewne kroki w celu potwierdzenia zasadniczych szczegółów i jeden z jego sekretarzy odkrył, że przodkowie Vezina faktycznie przez wiele pokoleń zamieszkiwali w osadzie, gdzie spotkała go ta niesamowita przygoda. Dwójka z jego przodków – dwie kobiety zostały oskarżone o czary i na tej podstawie skazane, a następnie żywcem spalono je na stosie. Co więcej, nietrudno było udowodnić, że gospodę, w której zatrzymał się Vezin, zbudowano na początku XVIII w. w tym samym miejscu, gdzie wcześniej odbywały się egzekucje. Miasteczko wydawało się być siedliskiem wszelkiego rodzaju czarowników i wiedźm z całego regionu, a po przedstawieniu pojmanym zarzutów i przeprowadzeniu szybkiego procesu palono winowajców na stosach całymi tabunami.

– To dziwne – ciągnął doktor – że Vezin nie wiedział o takich skąd inąd istotnych sprawach, choć z drugiej strony nie są to historie, które mogą stanowić powód do dumy i które można by opowiadać z pokolenia na pokolenie, jako chlubną kartę w dziejach rodu. W tej sytuacji śmiem twierdzić, że pan Vezin w dalszym ciągu trwa w błogiej nieświadomości.

Ta przygoda wydaje się być nader wyrazistym odtworzeniem wspomnień z wcześniejszego życia, spowodowanym przez wejście w bezpośredni kontakt z żyjącymi siłami, wciąż na tyle potężnymi, by nadal pozostawały w tym miejscu, oraz zgoła przypadkiem z tymi samymi duszami, z którymi miał styczność w poprzednim życiu. Te dwie kobiety,

matka i córka, które wywarły na niego tak niezwykle wpływ, musiały być czołowymi postaciami, które przy jego udziale prowadziły pewne sekretne ceremonie i praktyki czarnoksięskie, tak popularne w owych ciemnych czasach, w których królowały zabobony i przesady.

Wystarczyło jedynie poczytać to i owo na temat tamtych czasów, aby dowiedzieć się, że czarownice dysponowały rzekomo mocą przeistaczania się w rozmaite zwierzęta, zarówno dla celów ochronnych, aby ukryć się w razie zagrożenia, jak i po to, by możliwie jak najszybciej móc dotrzeć do miejsca, gdzie odbywały się ich fantasmagoryczne, dzikie orgie. Wierzono powszechnie w tzw. lykantropię, czyli umiejętność przemiany czarownika w wilka oraz zdolność przeistaczania się czarownic w koty, przy pomocy specjalnej maści lub mazidła dostarczanego im jakoby przez samego Szatana. W relacjach z niezliczonych procesów aż roi się od zeznań podobnej treści...

Doktor Silence zacytował tutaj kilka fragmentów z dzieł różnych autorów dotyczących powyższej kwestii, wykazując, iż wszystkie szczegóły związane z przygodą Vezina mają swe podstawy w średniowiecznych praktykach czarnej magii.

– Nie wątpię wszelako, że cała ta przygoda rozegrała się li tylko w świadomości pana Vezina – ciągnął w odpowiedzi na moje pytania – mój sekretarz bowiem, który udał się do tego miasteczka, aby przeprowazić śledztwo, odkrył wpis w rejestrze gości, stanowiący dowód, że zjawił się on tam ósmego września i wyjechał nagle, nie uściwwszy rachunku. Wyjechał w dwa dni później, w gospodzie pozostały jego ubrania i stara torba podróżna. Wysłałem kilka franków, by uregulować jego dług, i kazałem odesłać bagaże Yezinowi. Córki nie było wtedy w domu, ale jej matka, właścicielka przybytku, postawna matrona wyglądająca dokładnie tak, jak została opisana, powiedziała mojemu sekretarzowi, że jej ubiegłoroczny gość wydawał się bardzo dziwnym, trochę roztrzepanym dżentelmenem i że po jego nagłym zniknięciu przez długi czas martwiła się, iż mogło mu się stać coś złego podczas kolejnego z tych jego nierozważnych, samotnych spacerów po lesie...

Powinienem był osobiście pomówić z córką właścicielki, by oszacować, na ile to, co usłyszałem, zostało podkoloryzowane przez Vezina i jak bardzo jego wersja wydarzeń różni się od wersji dziewczyny. Strach przed ogniem i widokiem płomieni z całą pewnością wynikał z intuicyjnie

przywoływanych wspomnień o jej własnej gwałtownej, bolesnej śmierci na stosie, co z kolei tłumaczy, dlaczego Vezin niejednokrotnie widział ją stającą wśród dymu i płomieni.

– A ten znak na jego szyi? – dociekałem.

– To efekt hysterii – odparł – podobnie jak stygmaty mistyków i sińce, które pojawiają się na ciałach osób poddanych hipnozie, którym w czasie transu zasugerowano, że powinni spodziewać się takiego właśnie śladu. Łatwo to można wytłumaczyć. Dziwi mnie tylko, że u Vezina te ślady wciąż są widoczne. Powinny były zniknąć dawno temu. Zwykle tak bywa.

– Najwyraźniej wciąż o tym myśli i raz po raz od nowa przeżywa to zdarzenie – zasugerowałem.

– Zapewne tak. Co gorsza, obawiam się, że to nie koniec jego kłopotów. Jeszcze o nim usłyszymy. Ale póki co nic już nie mogę zrobić. Nie jestem w stanie złagodzić jego bólu.

Doktor Silence mówił wolno, z powagą i smutkiem w głosie.

– A co myślisz o tym Francuzie w pociągu? – spytałem po chwili – o mężczyźnie, który próbował ostrzec go przed tym miejscem, *à cause du sommeil et à cause des chats*? To z pewnością wielce osobliwy incydent?

– W rzeczy samej, *wyjątkowo* osobliwy – odparł powoli – mogę go wytłumaczyć jedynie nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności...

– To znaczy?

– Całkiem możliwe, że człowiek ten tak jak Vezin zatrzymał się kiedyś w tej osadzie i przeżył podobne doświadczenie. Powiniennem spróbować odnaleźć go i zapytać, jak było naprawdę. Ale w tym przypadku kryształowa kula jest bezużyteczna, nie mam żadnego, nawet najmniejszego śladu, na którym mógłbym się oprzeć, mogę jedynie wyciągnąć pewne daleko idące wnioski, że jakaś szczególna mentalna więź, jakaś siła, nadal tkwiąca w jego jaźni i biorąca swój początek z tego samego wcześniejszego życia próbowała nawiązać kontakt z osobą Vezina, aby poprzez wzbudzenie bliżej nieokreślonych lęków ostrzec przed tym, co mogło spotkać go w miasteczku. W sumie poniekąd fortel się powiódł...

Tak - ciągnął doktor, jakby mówił do siebie. – Podejrzewam, że nasz pan Vezin znalazł się w rozszalałym wirze potęg mających swoje źródło w wydarzeniach z przeszłości, a ściślej biorąc, z wcześniejszego życia, on sam zaś odegrał ponownie scenę, w której często uczestniczył, wiele stuleci temu. Albowiem znaczące wydarzenia rodzą moce, które wygasają bardzo

wolno, niektórzy zaś powiadają, że potęgi te nigdy nie umierają. W tym przypadku wspomniane moce nie były dość silne, by dopełnić wrażenia iluzji, dzięki czemu nasz mały człowieczek znalazł się w bardzo przykrych sytuacji, rozdarty wewnętrznie pomiędzy przyszłością a teraźniejszością, był on jednak dostatecznie wrażliwy, by rozpoznać prawdę i stawić opór próbie powrotu, choćby tylko we wspomnieniach, do poprzedniego, a w tym przypadku wcześniejszego, niższego stadium rozwoju.

O, tak! – mówił dalej, przechodząc przez pokój, by spojrzeć na ciemniejące niebo, zdawał się w ogóle nie dostrzegać mojej obecności – podświadome przyпіwy pamięci, takie jak w tym przypadku, mogą być wyjątkowo bolesne i niekiedy nawet skrajnie niebezpieczne. Mam nadzieję, że ten łagodny, wrażliwy człowiek o delikatnej, czulej duszy możliwie jak najszybciej uwolni się od tej obsesji o namiętnej, burzliwej i mrocznej przeszłości. Choć w gruncie rzeczy śmiem wątpić. Śmiem wątpić...

W jego głosie pojawiła się nuta głębokiego smutku, a gdy doktor Silence znów odwrócił się w moją stronę, ujrzałem na jego twarzy wyraz niezmięzonej tęsknoty i współczucia. W jego oczach malował się bezmiar bólu, który przepełnia duszę, jakże chętną do udzielenia pomocy bliźniemu, lecz świadomą, że są sytuacje, w których wszelkie próby ocalenia go są z natury rzeczy skazane na niepowodzenie.

Urok śniegu

(The Glamour of the Snow)

Hibbert, zawsze świadom istnienia dwóch światów w tej małej, górskiej wiosce, miał świadomość trzeciego; znajdował się on na zboczach Alp Valois, a Hibbert wynajął pokój w niedużym urzędzie pocztowym, gdzie mógł w spokoju poświęcić się pisaniu książki, a przy tym cieszyć się zimowymi sportami i gdyby tego zapragnął, również towarzystwem innych gości. Trzy światy, które spotykały i mieszały się tutaj, były dla jego bujnej wyobraźni czymś nader oczywistym, choć wątpił, aby inny, obdarzony mniejszą intuicją umysł był w stanie dostrzec to równie wyraźnie. Był to świat typowego angielskiego turysty, ucywilizowanego, quasi-wykształconego, do którego przynależał od urodzenia, świat wieśniaków, do którego czuł wielką sympatię, albowiem kochał i podziwiał ich proste, wypełnione ciężką pracą życie, a także trzeci, który mógł określić wyłącznie jako Świat Natury. Poetycka wyobraźnia, którą się odznaczał, a także pogański instynkt, który miał we krwi, podpowiadały mu, że do tego właśnie, ostatniego świata należał niemal całym sercem. Inne stanowiły dlań jedynie krótkotrwałą odskocznię. Tu natomiast, w duszy samej natury, kryło się sedno jego życia.

Pomiędzy tymi trzema światami trwał konflikt – potencjalny konflikt. Na lodowisku każdej niedzieli turyści patrzyli na miejscowych jak na intruzów; w kościele wieśniacy pytali wprost: „Po co tu przychodzicie? My odwiedzamy kościół, aby się pomodlić, wy tylko się gapicie i szepczecie między sobą!” Żaden bowiem z tych światów nie akceptował drugiego. Natura także nie akceptowała turystów, wykorzystywała bowiem ich najdrobniejsze pomyłki, a jeśli chodziło o świat wieśniaków, akceptowała wyłącznie tych na tyle silnych i zuchwałych, by zdołali wdrzeć się do jej

dzikiej domeny, i wyposażonych w dostateczne umiejętności, by mogli ochronić się przed śmiercią – w jej kilku postaciach.

Hibbert nader wyraźnie zdawał sobie sprawę z istnienia tego potencjalnego konfliktu i potrzeby harmonii, czuł się rozdzielony na trzy części, gdyż należał fragmentarycznie do każdego z tych światów, z żadnym jednak nie był związany w całości. W jego wnętrzu narastało subtelne zrazu pragnienie zjednoczenia tychże światów i podjęcie niezbędnego wysiłku w celu ustalenia, do którego z nich naprawdę przynależał i w którym powinien żyć. Próba ta była rzecz jasna w znacznej mierze podświadoma. To jego wrodzony instynkt, cecha obdarzonej bujną wyobraźnią natury poszukiwała stanu równowagi, aby umysł mógł wreszcie poczuć upragniony spokój, a jego mózg zajął się inną, wymaganą odeń pracą.

Spośród gości nikt nie wzbudził jego zainteresowania. Mężczyźni, choć mili, wydawali się pospolici, nauczyciele wychowania fizycznego, lekarze na wakacjach, w sumie dobre dusze; kobiety, równie zróżnicowane, łatwe i z pozoru niedostępne, trzpiotowate i intelektualistki, a także lubiące zabawę tancerki i *mewki*. Hibbert mający na karku już ponad cztery krzyżyki i spore doświadczenie, wiedział, jak ma sobie z nimi radzić, rozumiał ich wszystkich doskonale, należeli do konkretnych, ściśle określonych kategorii, jakie spotyka się na całym świecie i z jakimi od dawna miewał do czynienia.

On natomiast nie zaliczał się do żadnej z nich. Jego natura była zbyt złożona, by można było sklasyfikować go w jednej tylko *szufladce*. Poza tym wszyscy go lubili, niejako instynktownie wyczuwali, że jest człowiekiem z zewnątrz, widzem, przygodnym obserwatorem, a co za tym idzie, pragnęli zwrócić na siebie jego uwagę i nakłonić, by stał się jednym z nich.

W pewnym sensie, można by rzec, że trzy światy toczyły o niego zażarty bój: miejscowi, turyści i Natura...

Tak oto zaczęła się niezwykła wojna o duszę Hibberta. Rozgrywała się ona w jego własnej duszy. Ani wieśniacy, ani turyści nie zdawali sobie sprawy, że walczą o cokolwiek. Natura zaś, jak powiadają, działa na oślep i odruchowo.

Atak ze strony wieśniaków możemy tu sobie odpuścić, jest bowiem oczywiste, że ich poczynania z góry skazane były na niepowodzenie. Świat

turystów, przyznać trzeba, walczył dzielnie, usiłując go wchłonąć. Jednakże wieczory w hotelu, kiedy nie urządzano tańców, były z gruntu angielskie. Prym wiodła tu zaściankowa, sztywna mentalność i ciasne, ograniczone poglądy. Hibbert wracał jak najszybciej do swego pokoju w urzędzie pocztowym, aby wziąć się do pracy. Jest błędem z mojej strony, że w ogóle zdaję sobie sprawę z istnienia jakiegokolwiek konfliktu, pomyślał, idąc do domu przez zmarznięty śnieg o północy, po wieczorku tanecznym. Byłoby lepiej trzymać się z dala od tego wszystkiego i robić swoją robotę. Lepiej – dorzucił, spoglądając w głąb cichej uliczki, w stronę wieży kościoła – i *bezpieczniej*. Słowo to zatarło się w jego myślach, zanim zdołał dłużej się nad nim zastanowić. Odwrócił się, poczuwszy na grzbiecie lodowate ciarki, i rozejrzał dokoła. Doskonale wiedział, co to oznaczało, co znamionowała ta myśl będąca podszeptem jego wewnętrznego instynktu. Choć nie był w stanie tego uczynić, zrozumiał znaczenie kryjące się w doborze takiego, a nie innego słowa. Gdyby bowiem zignorował istnienie tego konfliktu, oznaczałoby to dla niego pozostanie poza areną starcia. Teraz natomiast niejako mimowolnie sam na nią wyszedł. Zaciągnął się na wojnę. W tej sytuacji wojna o jego duszę była praktycznie nieuchronna. Wiedział, że czar natury był dla niego znacznie bardziej kuszący niż wszelkie inne uroki świata razem wzięte – silniejszy niż miłość, hulanki, przyjemności, rozkosze, a nawet nauka. Zawsze bał się pójść na całość. Jego pogańska dusza lękała się jej przerażających, magicznych mocy, mimo iż w głębi serca był jej szczerze oddany.

Mała wioska już spała. Świat był spowity śniegiem. Dachy domów skrzyły się bielą w świetle księżyca, a pod ścianami kościoła gromadziły się czarne cienie.

Jego wzrok padł przez chwilę na kanciastą, kamienną wieżyczkę z oszronionym krzyżem, odcinającą się na tle nieba, po czym jednym ruchem głowy pokonał odleglejszy dystans i skierował spojrzenie ku masywowi gór, zdającemu się dotykać gwiazd. Potężne turnie niczym las wznosiły się nad uspioną wioską, odmierzając noc i niebiosą. Przyzywały go. Coś, co zrodziło się ze śnieżnej pustki, z mroku nocy, dostojeństwa ciszy i bezmiaru górskiej samotności, spłynęło z tej lodowej przestrzeni w głąb jego serca i poczęło go przyzywać. Bardzo delikatnie, bez słów czy konkretnych myśli, które mogły zagościć w jego mózgu, lecz spowiły go swym ujmującym

czarem. Palce śniegu musnęły powierzchnię jego serca. Moc i cichy majestat zimowej nocy wzbudziły w nim trwogę...

Manipulując przez chwilę wielkim, nieporęcznym kluczem, wszedł do środka i udał się na górę, aby się położyć. Towarzyszyły mu dwie myśli - zgoła zwyczajne i całkiem sensowne: Co za głupcy z tych wieśniaków, że przesypiają taką noc! I druga: Te tańce mnie męczą. Więcej już tam nie pójdę. Cierpi tylko na tym moja praca.

Tym samym wpływ wywierany na niego przez wieśniaków i turystów w jednej chwili znacznie osłabł.

Jego sny w dużej mierze zakłócał bitewny zgiełk. Natura wysłała do Hibberta Piękność Nocy i wygrała pierwszą batalię. Inni walczący poszli w rozsypkę i skonsternowani zrejterowali w popłochu.

Nie wracaj do tego okropnego urzędu pocztowego. Zjemy kolację w moim pokoju – coś na gorąco. Chodź i przyłącz się do nas. Pospiesz się!

Trwał festyn zimowy i uczestnicy ostatniego przyjęcia zmierzający wzdłuż ośnieżonego zbocza do hotelu tak właśnie przywoływali go. Chińskie lampiony dymiły i skwierczały na drutach, orkiestra już dawno przestała grać. Chłód dawał się mocno we znaki, a księżyc pojawiał się tylko sporadycznie pomiędzy przepływającymi po niebie chmurami. Z wiaty, gdzie ludzie zmieniali łyżwy na ciepłe, zimowe buty, odkrzyknął pospiesznie, że „niedługo do nich dotrze”, ale nie doczekał się odpowiedzi; poruszające się cienie tych, co go wołali, zwały się już z panującym w wiosce mrokiem. Głosy ucichły. Drzwi zamknęły się. Hibbert został sam na opustoszałym lodowisku.

Nagle, zgoła nieoczekiwanie przyszło mu na myśl, aby zostać i pojeździć na łyżwach samemu. Nie miał ochoty na spędzanie czasu w zatłoczonym, dusznym hotelowym pokoju, słuchając odgrzewanych dowcipów i wymuszonego śmiechu. Tęsknił za tym, aby być sam na sam z nocą i poznać jej wszystkie wspaniałości, właśnie tu, pod gwiazdami, jeżdżąc na łyżwach. Do północy zostało jeszcze trochę czasu, mógł pojeździć dobre pół godziny.

Birbanci, o ile w ogóle zauważą jego nieobecność, pomyślą zapewne, że zmienił zdanie i położył się spać.

To był impuls, ale zgoła naturalny, niemniej jednak w chwili, gdy doznał tego olśnienia, zrozumiał, że kryło się za nim coś więcej. Dużo więcej. To było więcej niż zaproszenie, ale z pewnością jeszcze nie rozkosz,

ogarnęło go bliżej nieokreślone wrażenie, że został tu, ponieważ musiał, zupełnie jakby było coś, o czym zapomniał, co przeoczył lub co pozostawił nieskończone. Często tak bywa z ludźmi o wybujałej wyobraźni; tego rodzaju nagłe impulsy nigdy nie są u nich poczytywane za słabość. Zbyt pochopne i pospieszne działania mogłyby bowiem zaowocować atakiem pewnych sił – sił, które czekają tylko na dogodną okazję do rozpoczęcia inwazji!

Przez chwilę rozważał dziwne, bliżej nieokreślone ostrzeżenie, lecz w końcu odrzucił je jako absurdalne i już niebawem śmigał po lodzie, w blasku księżyca, wykonując na lodowisku cudowne łuki i pętle. Nie lękał się, że się z kimś zderzy. Mógł jeździć tak szybko, jak tylko zapragnął. Miał całe lodowisko dla siebie. Cienie olbrzymich gór spowiły białą taflę, a od strony lasu, gdzie warstwa śniegu sięgała dziesięciu stóp, napłynął lodowaty wiatr. Światła hotelu zamrugwały i zgasły. Wioska pogrążyła się we śnie. Nawet wysoka siatka nie była w stanie stłumić w nim zachwyty wobec piękna zimowej nocy, które otaczało go niczym realna obecność. Śmigał na łyżwach w tę i z powrotem, rozkoszując się pulsowaniem krwi w żyłach i zapominając o zmęczeniu.

Nagle, zbliżając się do kulminacji tej niespodziewanej euforii, spostrzegł postać przesuwaną się za siatką i przyglądającą mu się z uwagą. Gwałtownie, do tego stopnia, że nieomal stracił równowagę, nie spodziewał się bowiem, że ktokolwiek mógł zjawić się tu o tej porze, zatrzymał się i spojrzał na smukłą, bladą postać. Choć światło było słabe, zauważył, że ma przed sobą kobietę, przesuwaną się wzdłuż siatki, jakby usiłowała wejść na lodowisko. Patrzył na nią na tle bieli śniegu. Obserwował, jak się skrada, przechodząc bezszelestnie przez wysokie, śnieżne zaspę. Była wysoka, szczupła i pełna gracji, potrafił to dostrzec nawet w ciemnościach. I, rzecz jasna, wszystko zrozumiał. To była turystka, która tak jak on postanowiła spędzić choć kilka chwil na łonie natury, jeżdżąc na łyżwach. Wymknęła się cichcem z hotelu albo któregoś z domków, a teraz próbowała dostać się na lodowisko. Energicznym ruchem ręki wskazał jej wejście po drugiej stronie i podjechał tam.

Zanim jednak tam dotarł, usłyszał jakiś dźwięk na lodzie, z tyłu za sobą, a gdy się odwrócił, nie był w stanie powstrzymać okrzyku zdumienia, gdyż ujrzał ją, podjeżdżającą do niego przez całą długość tafli. W jakiś sposób zdołała jednak przedostać się przez siatkę.

Hibbert był z reguły pedantyczny, zwłaszcza w takich miejscach, jak to, gdzie rozwiązłość i brak manier były na porządku dziennym. Choćby dla własnego dobra nie zbliżał się nigdy do nieznanegoj osoby, dopóki nie zostaną dopełnione pewne podstawowe formalności wynikające z zasad kurtuazji i dobrego tonu. Teraz jednak, gdy tylko we dwoje jeździli na łyżwach, w półmroku, milczenie byłoby nie tyle oznaką braku taktu, lecz czystą impertynencją. Bądź co bądź, podczas jazdy mogło się zdarzyć, że otrą się wzajemnie o siebie. W tej sytuacji zrobił jedyną rzecz, jaką uznał za właściwą – zdjął czapkę i odezwał się. Nie pamiętał słów ani odpowiedzi dziewczyny, wiedział tylko, że mówiła po angielsku, z silnym akcentem, ani na chwilę nie przerywając kolejnych ewolucji na pustym lodowisku. To było całkiem normalne, wręcz oczywiste. Nosła szary strój, lecz nie miała rękawic ani swetra jak większość osób, które widywał. Miała gołe ręce, a kiedy zaczęli jeździć, przez chwilę zastanawiał się, dlaczego sprawiały wrażenie tak suchych i zimnych.

Mimo to cudownie było tak z nią pojeździć, poruszała się na lodzie zwinnie, szybko i pewnie, czuł się przy niej nader swobodnie i choć wykonywali skomplikowane ewolucje, nie bał się ani trochę. Jej elastyczność i wygimnastykowanie zdumiewało go, a kiedy zapytał, gdzie się tego wszystkiego nauczyła, wyszeptła mu wprost do ucha – później przypomniał sobie, że jej oddech był wyjątkowo chłodny – że nie pamięta, bo lód towarzyszył jej praktycznie od zawsze. Ani razu też nie zdołał ujrzeć wyraźnie jej twarzy. Biały, futrzany kołnierz przesłaniał jej szyję po same uszy, a czapka była naciągnięta głęboko, aż do oczu. Zauważył tylko, że była młoda. Kiedy zapytał, gdzie mieszka, nie podała mu adresu ani nazwy hotelu, wskazała jedynie ręką w stronę stoków gór. – Tam... – odparła, ponownie ujmując go za rękę. Nie próbował naciskać, bez wątpienia pragnęła zachować swą eskapadę w tajemnicy. A dotyk jej dłoni przepęniał go niewysłowionym podnieceniem, nie pamiętał, aby kiedykolwiek wcześniej odczuwał coś podobnego, nawet przez grubą rękawicę czuł tę delikatną, lodowatą miękkość.

Chmury nad górami zgęstniały. Zrobiło się ciemniej. Trochę porozmawiali, nie jeździli razem przez cały czas. Często się rozdzielali, wykonując eleganckie piruety w przeciwległych końcach lodowiska, zawsze jednak, prędzej czy później, spotykali się pośrodku, a kiedy go opuszczała, Hibbert uświadamiał sobie, że za nią tęskni! Odczuwał

niezwykłą satysfakcję, wręcz fascynację, ślizgając się obok niej. To była prawdziwa przygoda, dwoje nieznanym na lodowisku, pośród śniegu i nocy!

Zegar na wieży starego kościoła dawno temu wybił północ, kiedy się w końcu rozstali. Ona zdecydowała się zakończyć jazdę pierwsza i czym prędzej podjechała do wiaty, aby zająć miejsce na ławeczce i z jego pomocą zdjąć łyżwy. Ledwie się jednak odwrócił, ona już znikła. Ujrzał jej szczupłą postać przesuwaną się płynnie po śniegu... a gdy po raz ostatni okrążył lodowisko, już samotnie, na próżno poszukiwał wzrokiem otworu, z którego w tak osobliwy sposób dwukrotnie skorzystała.

Jakie to dziwne! – pomyślał, zerkając na siatkę. – Musiała ją chyba unieść i prześliznąć się pod spodem...!

Zastanawiając się, jak, u licha, mogła tego dokonać i jakim cudem tak łatwo pozwolił jej odejść, wspinał się na strome zbocze, dotarł na kwaterę i ułożył się na spoczynek, mając w czułej pamięci jej obietnicę, że powróci tu znów któreś nocy. Towarzyszyły temu nader dziwne myśli i uczucia. Co więcej, był niemal pewien, że znał tę dziewczynę, spotkał ją już kiedyś, dawno temu, i że ona znała także jego. W jej głosie bowiem, niskim, miękkim, cichym jak szum wiatru i mimo pozornego chłodu czułym i kojącym, kryło się wspomnienie dwóch innych znanych mu osób, których nie było już na tym świecie, głos kobiety, którą kochał... i głos jego matki. Tym razem jego sny nie rozbrzmiewały bitewnym zgiełkiem. Wypełniało je coś zimnego i wilgotnego, co przywodziło mu na myśl delikatne płatki śniegu osypujące się z nieba i nawarstwiający się wokół niego. Śnieg padał bezgłośnie, każdy płatek był tak drobny i lekki, że nie sposób określić, gdzie osiadł, a jednak ich nagromadzona masa była w stanie przysypać i unicestwić całe wioski, biały puch przesypywał się w głąb jego umysłu, wprawiając go w lodowate, tępe odrętwienie skumulowaną mocą ulotnego dotyku niezliczonych, łączących się ze sobą zimnych płatków.

Rankiem Hibbert stwierdził, że być może popełnił poważny błąd. Doszedł do tego wniosku, pławiąc się w promieniach słońca, jego przypuszczenia potwierdził jeszcze widok biurka, przy którym pracował, z maszyną do pisania, książkami, papierami i całą resztą. Jazda na łyżwach o północy z nieznaną dziewczyną, niezależnie jak niewinnie mogło to wyglądać, to było niemądre, niepożądane – zwłaszcza dla niej. W takich jak ten, zimowych, miłych kurortach plotki rozchodziły się znacznie szybciej

niż na prowincji. Miał nadzieję, że nikt ich nie widział. Na szczęście noc była ciemna. Wątpliwe, aby ktoś usłyszał odgłosy łyżew.

Postanowiwszy, że w przyszłości będzie o wiele ostrożniejszy, zabrał się do pracy, koncentrując swą uwagę na całkiem innych sprawach.

Jednak w każdej wolnej chwili wspomnienie natychmiast powracało, nie dając mu spokoju; kiedy jeździł na nartach, na sankach czy podczas wieczornych tańców, a zwłaszcza podczas jazdy na łyżwach na lodowisku, oczyma duszy wypatrywał swojej niezwyklej nocnej towarzyszki. Setki razy miał wrażenie, że ją dostrzega, lecz zawsze, prędzej czy później okazywało się, że się pomylił. Mógł nie znać jej twarzy, ale figurę rozpoznałby w każdej chwili. Wśród osób, które towarzyszyły mu na lodowisku lub które widywał pod gwiazdami, nie spostrzegł tej jednej, jedynej. Poszukiwania spełzyły na niczym. Podobnym fiaskiem zakończyła się próba odnalezienia jej w którejś z prywatnych kwater. Znikła. Zgubił ją. To dziwne, bo przecież czuł, że była gdzieś blisko, *wiedział*, że tak naprawdę wcale nie odeszła. Choć inni ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali, ani razu nie pomyślał, że mogłaby stąd wyjechać. Wręcz przeciwnie, był pewien, że wkrótce znów się spotkają.

Jego przekonanie jak dotąd okazało się nieuzasadnione. Może było to tylko pobożne życzenie. Poza tym, gdyby ją spotkał, pozostawała kwestia, jak miałby do niej zagadnąć, ponownie nawiązać znajomość. Nie wiadomo było zresztą, czy ona rozpoznałaby jego. Sytuacja mogła okazać się niezręczna. Nieomal bał się tego spotkania, choć „strach” był w tym przypadku zbyt mocnym słowem dla opisu emocji balansującej na granicy nieśmiałej rozkoszy i pełnego niepokoju wyczekiwania.

Tymczasem nadeszła pełnia sezonu. Hibbert był w doskonałym zdrowiu. Ciężko pracował, jeździł na nartach, wieczorami zaś bywał też na tańcach, wbrew swemu wcześniejszemu postanowieniu. Te tańce stanowiły ostatnią próbę odnalezienia dziewczyny, którą utracił; liczył podświadomie, że którejś nocy ujrzy ją wśród wirujących par. Szukał jej, choć nie potrafił przyznać się do tego przed samym sobą, a tymczasem świat turystów był niemal w pełni przekonany, że zdołał go pozyskać, i wykorzystywał go do woli. Hibbert tańczył, jak mu zagrali, lecz przez cały czas obserwował, wypatrywał i poszukiwał... czekał.

Przez kilka dni niebo było czyste i pogodne, było mroźno i biało, cała okolica skrzyła się w słońcu, ale śnieg wciąż nie padał i narciarze zaczęli

sarkać. Stoki gór pokryła zlodowaciała warstwa zmarzniętego śniegu, który czynił wszelkie zjazdy wyjątkowo niebezpiecznymi, potrzebny był świeży, suchy i pylisty śnieg, po którym szusowało się najlepiej i który łagodził nawet najcięższe upadki. Jednak ostry wiatr od wschodu nie zmieniał się od dobrych dziesięciu dni. Wreszcie, wraz ze zmianą kierunku wiatru, w powietrzu pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącego ocieplenia i przepowiadacze pogody zaczęli wieszczyć.

Hibbert, który był tak wrażliwy, że wyraźnie wyczuwał najdrobniejsze nawet zmiany na ziemi i w powietrzu, zapewne odczuł je pierwszy. Tyle tylko, że nie próbował wieszczyć.

Wszystkie nerwy w jego ciele podpowiadały mu, że poziom wilgoci w powietrzu wzrasta i niebawem nadejdą obfite opady. Reagował na zmiany zachodzące w Naturze jak doskonały barometr. Tymczasem ta świadomość ożywiła w jego sercu bliżej nieokreśloną, dziwną emocję, której nie potrafił wyjaśnić, niewytłumaczalny lęk i pełną niepewności radość. Towarzyszyło jej, a raczej przeplatało się z nią wrażenie rozbawienia, nieodmiennie związanego z rozkosznym zaniepokojeniem, tym delikatnym dreszczykiem emocji, który tak bardzo go deprymował i zastanawiał, gdy rozmyślał o ponownym spotkaniu ze swoją towarzyszką z lodowiska. Nie sposób było ująć tego w słowa, relacja między nimi dwojgiem była nie do opisanego, a jednak w jakiś sposób czuł, w głębi duszy, że dziewczyna i śnieg są ze sobą nierozzerwalnie związane.

Może dla pisarzy obdarzonych bujną wyobraźnią wszelkie zmiany pogodowe są wyraźniejsze i dostrzegalne wcześniej niż dla przedstawicieli innych zawodów i przejawiają się w ich pracy. Tak w każdym razie było w przypadku Hibberta. Jego praca bynajmniej na tym nie ucierpiała, lecz przeszła subtelną przemianę, tak jak niemal niedostrzegalne zmiany zachodzą na niebie, morzu czy w pewnych szczegółach krajobrazu, kiedy popołudnie mija i nieuchronnie nadchodzi wieczór. Podświadome, pełne ożywienia pragnienie wypełnienia ze skorupy i wyrażenia siebie nie dawało mu spokoju, on zaś, świadom niemożliwych do określenia skutków, jakie tego rodzaju zmiany nastrojów mogły wywrzeć na jego pracę, odłożył pióro i zamiast kontynuować pisanie, poświęcił się lekturze.

Tymczasem promienie słońca przygasły, niebo zasnuło się chmurami, zmierzch sprawił, że górskie turnie wydawały się wyjątkowo bliskie i ostre, odległa dolina za sprawą jakiejś sztuczki perspektywy także w dziwny

sposób się przybliżyła. Wilgotność wzrosła, zbliżając się szybko do punktu nasycenia, po przekroczeniu którego opady śniegu były nieuchronne. Hibbert patrzył i czekał.

Rankiem świat skrył się pod świeżą warstwą białego puchu. Sypało aż do południa, grubość pokrywy śniegu wyniosła nieco ponad stopę; wreszcie niebo przejaśniło się i pojawiło się na nim słońce w całej swej okazałości, znów powiał wiatr ze wschodu, przynosząc z sobą trzaskający mróz. Spadek temperatury był olbrzymi, ale miłośnicy białego szaleństwa przyjęli go z euforią i entuzjazmem. Następnego dnia będą szusować aż miło po ośnieżonych stokach. Zapowiadała się wspaniała jazda. Śnieg pod wpływem mrozu stwardniał, jego powłoka, zamarzając, zmieniała się w przypominającą mech warstwę pylistych kryształków, sprawiających, że narty zdawały się same po nich zjeżdżać, przy wtórze cichego *szurszur*, przywodzącego na myśl trzepot skrzydeł spłoszonych ptaków, wzbijających się w powietrze.

I a noc w małym, hotelowym świątku była pełna ekscytacji, po pierwsze dlatego, że odbywał się tam bal kostiumowy, przede wszystkim jednak z uwagi na niedawne opady śniegu. Hibbert poszedł na bal, coś go tam ciągnęło, nie założył żadnego kostiumu, chciał jednak pomówić o stokach i szusowaniu z innymi mężczyznami, a niejako przy okazji...

Tak, nie dało się ukryć, że przyzywała go wyższa konieczność. Znów zaczął dawać o sobie znać osobliwy związek pomiędzy nieznaną i śniegiem, tak jak wcześniej niemożliwy do wytłumaczenia, lecz natarcywy i oczywisty. Jakiś sekretny instynkt w jego pogańskiej duszy - Bóg jeden wie, jak sam Hibbert próbował to sobie tłumaczyć, o ile w ogóle to robił – podszeptował mu, że z nadejściem śniegu dziewczyna znów się pojawi, wyłoni się ze swej kryjówki, a może nawet zacznie go szukać.

Nie miało to żadnego konkretnego uzasadnienia. Zaśmiał się, gdy stojąc przed niewielkim lustrem, przycinał wąsy, poprawiał muszkę i wygładzał poły fraka. Jego brązowe oczy pałały ożywieniem. Wyglądam młodziej niż zwykle – pomyślał. To było niezwykle, a nawet znaczące u mężczyzny, który dotąd nie przejawiał narcystycznego zainteresowania swym wyglądem i z całą pewnością nigdy nie kwestionował swojego wieku, a także nie starał się wyglądać na młodszego, niż był w istocie. Sprawami sercowymi, z jednym burzliwym wyjątkiem, który nie pozostawił w nim opału dla kolejnych pomniejszych ognisk uczuć, nigdy nie zaprzętał sobie

głowy. Moce duszy i umysłu, których nie wykorzystywał przy pracy i niezbędnych codziennych obowiązkach, oddawał w pełni Naturze. Odludne, dzikie miejsca na ziemi, oto co naprawdę kochał; noc, piękno gwiazd i śniegu. Tego wieczoru znów poczuł ich kuszący zew. Sprawił on, że krew żywiej zatętniła w jego żyłach, obudziły się w nim także nieukożona tęsknota i ukryta pasja. Sprawił to głównie śnieg. To właśnie śnieg wirował w jego myślach jak białe, uwodzicielskie sny... Bo śnieg znów spadł, a wraz z nim Ona ponownie zagościła w jego myślach.

I dlatego stał teraz przed małym lustrem, poprawiając, zdawałoby się, bez końca muszkę i wygładzając frak, jakby to miało dlań jakieś znaczenie. Co się ze mną dzieje, u licha? – zastanawiał się. Po chwili zaśmiał się cicho i podszedł do biurka, aby przed wyjściem uporządkować swoje dokumenty i zapiski. Wyjął teczkę z zielonej, marokinowej skóry, gdzie je przechowywał, i położył na biurku. Do teczki przymocowana była wizytówka z londyńskim adresem jego brata *na wszelki wypadek*. W drodze do hotelu zastanawiał się, dlaczego to zrobił, bo mimo iż obdarzony sporą wyobraźnią, nie należał do osób przykładających większą wagę do przesądów. Choć był człowiekiem zmiennych nastrojów, zawsze umiał je trzymać w ryzach.

„To prawie jak ostrzeżenie” – pomyślał, uśmiechając się. Postawił kołnierz płaszcza i otulił się szczelnie jego połami, gdy poczuł pierwszy podmuch lodowatego wiatru. Jedno z tych ostrzeżeń, o których czasem czyta się w książkach...!

Czuł przepełniające go uczucie niemal euforycznej radości. Znad wzgórz nad doliną wyłonił się srebrzysty księżyc. Hibbert ujrzał jego blask padający na świat spowity bielą śniegu. Śnieg przykrywał wszystko. Tłumił dźwięki, sprawiał, że to, co odległe, wydawało się bardzo bliskie. Przykrywał domy, ulice i spowijał swymi białymi płatkami ludzi. Zdawał się tłumić wszelkie życie.

W hallu było jasno i tłoczno, zjawili się już ludzie z innych hoteli i kwater, ich kostiumy wciąż jeszcze pozostawały ukryte pod warstwami wierzchniej odzieży. Mężczyźni w smokingach stali grupkami, paląc i rozmawiając o śniegu oraz jeździe na nartach. Orkiestra stroiła instrumenty. Urok świata turystów nie robił na nim większego wrażenia, moc znacznie osłabła, spowszedniała. Wieśniacy przystawali na chwilę w drodze z kafejek do domu pod wielkimi oknami przeszklonego ganku, aby zajrzeć do

środku. Hibbert z rozbawieniem pomyślał o konflikcie, który sobie uroił. Wybuchnął śmiechem, ponieważ to wszystko wydało mu się nagle takie nierealne. Całym sercem należał do Natury, gór, a zwłaszcza tych samotnych stoków, na których zalegała obecnie gruba warstwa świeżego śniegu, o żadnym konflikcie nie było mowy. Moc świeżo spadłego śniegu oładnęła nim praktycznie bez żadnego wysiłku. Lecz w oddali, na tych samotnych masywach skąpanych w księżycowym blasku turni, zalegał grubą warstwą chłodny, miękki, zapraszający puch. Tęsknił za nim. Wiedział, że śnieg na niego czeka. Pomyślał o zapierającej dech rozkoszy szusowania po stoku w blasku księżyca...

Ta kusząca wizja, która zagościła nagle w jego myślach, zaprzętnęła je na dłuższą chwilę, kiedy tak stał, paląc z innymi mężczyznami i rozmawiając o narciarstwie jako takim.

Co dziwniejsze, z mocą śniegu wsączającą się do jego duszy połączyła się nagle moc tajemniczej dziewczyny. Nie był w stanie uwolnić się od niepokojącej go różnymi podszeptami i aluzjami połączonej obecności tych dwóch potęg. Przypomniawszy sobie dziwny impuls zmuszający go do nocnej wyprawy na lodowisko dziesięć nocy wcześniej, impuls, który sprawił, że dopuścił ją do siebie. To, że jakkolwiek umysł, nawet odznaczający się bujną wyobraźnią, byłby w stanie ugiąć się pod naporem tak niezwykłych sugestii, było osobliwością samą w sobie, Hibbert, zaś mając pełną świadomość burz targających jego wnętrzem, znalazł niezwykłą przyjemność w poddawaniu się jej wpływom. Ta wewnętrzna niesubordynacja kierowała go ku starym, pogańskim wierzeniom, które z wolna brały nad nim górę. Z niezwykłą zmysłową rozkoszą poddał się im. Tej nocy śnieg był obecny w myślach wszystkich gości. Tańczące pary rozmawiały o nim, właściciele hoteli gratulowali sobie nawzajem, śnieg oznaczał możliwość uprawiania sportów zimowych, a w efekcie zadowolenie przybyłych gości; wszyscy snuli plany wycieczek i dłuższych wypraw, rozmawiali o stokach i telemarkach, o prędkości zjazdowej, szusowaniu, zmarzniętym śniegu i sypkim puchu. W powietrzu wyczuwało się silne ożywienie i entuzjazm, wszyscy byli czujni, aktywni, radośni, ich pozytywna aura wypełniała całe wnętrze zatłoczonej sali balowej. Wszystko to sprawił śnieg, cała ta pozytywna zmiana, emanacja silnej, rozbudzonej energii wydarzyła się za sprawą Śniegu.

W umyśle Hibberta natomiast, za sprawą niezwyklej alchemii jego pogańskich tęsknot, owa energia uległa błyskawicznej transmutacji. Rozrzedziła się, połyskując w białych i krystalicznych strugach pełnego pasji wyczekiwania, które przynosił jako istota o elektrycznej wyobraźni do osoby dziewczyny - a konkretnie Śnieżnej Dziewczyny. Czekala gdzieś na niego, oczekiwała go, przyzywała łagodnie ze stoków góry skąpanej w księżycowym blasku. Pamiętał ten dotyk jej zimnej, suchej dłoni, jej łagodny, zimny oddech na swoim policzku, sposób, w jaki pojawiła się i odeszła, praktycznie bezszelestnie, niczym płatek śniegu niesiony wiatrem od gór. Tak jak w jego przypadku, tam było również jej miejsce. Wyobrażał sobie, że słyszy jej cichy jak szum wiatru głos, przesączający się między ośnieżonymi koronami drzew, nawołujący go po imieniu... ten kuszący głos zdający się docierać do sedna jego istnienia, jak niegdyś, przed laty potrafiły tego dokonać dwa inne głosy...

Nigdzie jednak wśród przyodzianych w kostiumy balowiczów nie dostrzegł jej smukłej postaci. Zatańczył z jedną i ze wszystkimi, zamyślony, oderwany od rzeczywistości, co rychło odkrywała każda z jego partnerek, widząc, jak wodzi wzrokiem ku drzwiom i oknom, w nadziei, że dostrzeże tam ulotne oblicze, wizję, która nie chciała nadejść, w końcu łudząc się nadzieją, nawet wbrew nadziei. W sali balowej przerzedziło się, grupki wychodziły, jedna po drugiej, ludzie wracali do domu, do swoich hoteli i prywatnych kwater, orkiestra najwyraźniej się zmęczyła, jej członkowie siedzieli przy stolikach, sącząc lemoniadę, ocierając spocone czoła i ewidentnie tęskniąc za wygodnym, ciepłym łóżkiem. Dochodziła północ. Przechodząc przez hall, aby odebrać swój płaszcz i zimowe buty, ujrzał w korytarzu przy kantorku sportowym mężczyzn smarujących narty i szykujących się do porannej wyprawy. Z kuchni przyniesiono im porcje obiadowe na wynos. Westchnął. Zapaliwszy papierosa, którym poczęstował go kolega, rzucił niejasną odpowiedź na zadane mu pytanie, czy rankiem przyłączy się do ich grupy. Nie dosłyszał pytania, minął zewnętrzny westybul pomiędzy podwójnymi, szklanymi drzwiami i wyszedł w mrok nocy.

Mężczyzna, który zadał mu pytanie, odprowadził go wzrokiem, choć w jego oczach przez chwilę pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Nie sądzę, aby cię usłyszał – rzekł inny mężczyzna, śmiejąc się.

– Do Hibberta musisz zawsze krzyczeć, on stale buja gdzieś w obłokach.

– Zbyt ciężko pracuje – zasugerował pierwszy z mężczyzn – przepełniają go dziwaczne myśli, sny i marzenia.

Milczenie Hibberta nie wynikało z jego impertynencji. Po prostu nie dosłyszał zaproszenia. Zew świata turystów ucichł. Już go nie słyszał. W jego uszach pobrzmiwał całkiem inny, o wiele bardziej dziki zew.

Na ulicy bowiem spostrzegł poruszającą się drobną postać. Przepłynęła wśród cieni przed niewielką piekarnią – biała, szczupła, kusząca.

W jednej chwili do jego umysłu wniknęła cisza i miękkość śniegu, a wraz z nią nieodparty, tęskny zew wysokich gór. Instynktownie pojął, że ona nie spotka się z nim na żadnej z ulic w wiosce. Wśród tamtejszych domów nie zechce zamienić z nim ani słowa. Nawet teraz już znikła mu z oczu, rozplywając się pośród bieli drogi skąpanej w księżycowym blasku. Domyślał się, że będzie czekać nań w miejscu, gdzie droga zwężała się gwałtownie, przechodząc w stromą górską ścieżkę, za ostatnimi domami oferującymi kwatery dla turystów.

Nie zawahał się ani chwili, choć to wydawało się czystym szaleństwem – i było nim – owo nagłe pragnienie, by znaleźć się wysoko, w górach, wraz z nią, tęsknota za otwartą przestrzenią, gdzie zalegała gruba warstwa świeżego śniegu – po prostu nie mógł oprzeć się temu impulsowi. Nie pamiętał wizyty w swoim pokoju, gdzie założył na frak gruby sweter, włożył podbite futrem rękawice i ciepłą, wełnianą czapkę. Nie pamiętał, kiedy i jak założył narty, musiał to zrobić automatycznie. Zdolność normalnej obserwacji musiała czasowo ulec zawieszeniu. Myślami był już poza wioską, pod księżycem, wśród ośnieżonych gór.

Henri Defago, zamykając okiennice w oknach kafejki, ujrzał go, przechodzącego obok i przez chwilę zastanawiał się mimochodem: *Un monsieur qui fait du ski d cette heure! Il est Anglais, donc...*

Wzruszył ramionami, jakby uznał, że każdy ma prawo wybrać dla siebie rodzaj śmierci. Marthe Perotti, garbata żona szewca, która przypadkiem wyjrzała wtedy przez okno, też dostrzegła postać sunącą szybko wzdłuż drogi. Pomyślała o czymś zupełnie innym, znała bowiem i wierzyła w stare ludowe podania o czarownicach i śnieżnych istotach kradnących dusze mężczyzn. Powiadano nawet, że słyszała przeraźliwą

synagogę przetaczającą się z hukiem nocnymi ulicami i tak wtedy, jak i teraz ukryła twarz w dłoniach.

– Wezwały go... i musiał do nich pójść – wymamrotała, zegnając się nabożnie.

Nikt jednak nie próbował go zatrzymać. W pamięci Hibberta pozostał tylko jeden incydent, jaki miał miejsce, zanim opuścił on granice wioski i pozostawiwszy za sobą ostatnie domy, ruszył w poszukiwaniu swej wybranki skrajem lasu, gdzie blask księżyca, napotykając śnieg, tworzył istną feerię fantastycznych cieni. A stało się to, kiedy mijał miejscowy kościół. Gdy patrzył na zarys wieży kościelnej rysującej się na tle nieba, poczuł przez moment lekkie wahanie. Ogarnął go nieokreślony niepokój, który jednak bardzo szybko minął, odegnany falą niepohamowanej ekscytacji i wszechogarniającej radości. Poczł drobne zawahanie, lecz przemógł je w sobie i ruszył dalej. Czar śniegu stłumił w nim wszelkie obawy i nie pozwolił, by w jego umyśle na dobre rozbrzmiał sygnał alarmowy.

A potem ją ujrzał. Stała, czekając na niego na niewielkiej ośnieżonej polanie, cała w bieli; zdawała się być częścią tego roziskrzonego pejzażu skąpanego w blasku księżyca, jej szczupła postać była prawie niewidoczna.

– Zaczekałam, bo wiedziałam, że przyjdiesz – dobiegł go miękki jak szum wiatru, srebrzysty, dźwięczny głos ulotnej piękności – *musiałeś* przybyć.

– Jestem gotowy – odparł. – Ja też na to czekałem. Wiedziałem, że tak ma być.

Świat Natury za sprawą tych kilku wypowiedzianych przez niego słów zdobył jego serce i duszę. Tchnął weń równocześnie całą chwałę oraz piękno nocy i śniegu. Poczł niewysłowione uniesienie. Dopiero teraz zrozumiał, że naprawdę żyje. Jego pogańską duszę ogarnęła niewypowiedziana euforia i fala tych emocji przepłynęła także do niej. Nie zdawał sobie z tego sprawy ani nie zastanawiał się nad tym, ale otworzył się przed nią jak uczeń w obliczu pierwszej miłości.

– Daj mi rękę – zawołał. – Idę do ciebie...!

– Jeszcze kawałek, gdy wyjdziemy wyżej – padła odpowiedź, której treść dodała mu sił i werwy. – Jesteśmy wciąż zbyt blisko wioski... i kościoła.

Te słowa wydawały się jak najbardziej słuszne i oczywiste; nie śmiał ich kwestionować, miał świadomość, że w tak niewielkiej odległości od cywilizacji próba nawiązania kontaktu fizycznego z tą kobietą nie wchodziła w rachubę. Kiedy tylko znajdą się w górach, wśród ośnieżonych szczytów i stromych stoków, gdzie ich świadkami będą jedynie gwiazdy, księżyc i drzewa, będą mogli poznać smak niewinnego, szczęśliwego zbliżenia, wolnego od sztywnych konwenansów ograniczających ciasne, proste, prymitywne umysły.

Przyspieszył kroku, lecz nie zdołał jej wyprzedzić. Mimo iż bardzo się starał, dziewczyna stale pozostawała o kilka kroków przed nim... Niebawem zostawili drzewa z tyłu, za sobą i dotarli do rozległych stoków, istnego bezmiaru białego morza, które w swym pięknie i grozie zdawało się sięgać gwiazd. Urok tego białego świata pochłonął go bez reszty. Ta biel w świetle księżyca była bardziej niż urzekająca. To była żyjąca, biała, budząca zdumienie i trwogę moc, która rozkosznie mąciła zmysły i wprawiała serce w dzikie drzenie. Spod tej bieli śnieżnego puchu przezierała jakaś zakamuflowana, lecz wciąż wyczuwalna obecność. Wyłoniła się z niej, towarzyszyła mu, wyprzedzając go i podążając jego śladem. Opuściła powoli smukłe, lśniące ramiona, opasując jego szyję i przyciągając do siebie...

Bez wątpienia jakaś łagodna perswazja ukoili jego duszę, ponaglając go, by szedł dalej przed siebie, piął się po stoku coraz wyżej i wyżej ku skutym lodem, spowitym bielą partiom gór. Szaleństwo, które go ogarnęło, przemogło w nim do reszty zdrowy rozsądek i trzeźwość oceny sytuacji. Dziewczyna, szczupła i kusząca, wciąż podążała przed nim, nie był jej w stanie dogonić. Widział czarującą biel jej twarzy i figury oraz coś, co miała na szyi, a co unosiło się za nią w powietrzu jak śnieżna wstęga, słyszał też uwodzicielski szept swej wyobraźni, przywołującej go od czasu do czasu: - Jeszcze tylko kawałek, już niedaleko, jeszcze trochę wyżej... A potem wrócimy razem do domu!

Niekiedy widział jej dłoń wysuwającą się w jego stronę, lecz za każdym razem, gdy docierał do miejsca, gdzie się zatrzymała, okazywało się, że znów wysforowała się naprzód i wyprzedziła go na tyle, że nie był nawet jej w stanie dotknąć. Wspinali się łagodnym, szerokim łukiem. Zdawało się, że nie stanowiło to dla nich najmniejszego wysiłku. W tym krystalicznym, upojnym jak wino powietrzu znikało wszelkie zmęczenie. Szmer nart

przesuwających się po pylistym śniegu był jedynym odgłosem mącącem ciszę, ten szmer, szept jego oddechu i szelest jej spódnicy – to było wszystko, co słyszał. Cały świat ograniczył się do zimnego blasku księżyca, śniegu i ciszy. Niebo było czarne, a ostre turnie odcinały się na jego tle niczym kliny z żelaza i stali. Dolina poniżej pogrążyła się we śnie, wioski nie było już widać. Czuł, że już nigdy się nie zmęczy... Od czasu do czasu słychać było bicie zegara na wieży kościelnej, lecz dźwięk ten stawał się coraz bardziej odległy.

– Daj mi rękę. Już czas, abyśmy zawrócili.

– Jeszcze tylko jeden stok – zaśmiała się. – Ten grzbiet nad nami. A potem wrócimy do domu.

– Ale ja jeszcze nigdy nie wchodziłem tak wysoko. To cudowne! Ten świat cichego śniegu i księżycowego blasku... i ty. Dałbym głowę, że jesteś dzieckiem śniegu. Pozwól mi podejść wyżej... abym mógł ujrzeć twoją twarz... i dotknąć twojej drobnej dłoni.

W odpowiedzi usłyszał jej śmiech.

– Chodź! Już niedaleko. Tu będziemy tylko we dwoje, całkiem sami.

– To cudownie – zawołał. – Ale dlaczego tak długo się nie pokazywałaś? Szukałem cię na próżno odkąd spotkaliśmy się wtedy na lodowisku... – Chciał powiedzieć: przed dziesięcioma dniami, lecz do reszty stracił poczucie czasu, nie był pewien, czy chodziło o dni, lata, czy może minuty. Miał w głowie mętlik.

– Szukałeś mnie w nieodpowiednich miejscach – usłyszał nad sobą jej szept. – W miejscach, gdzie nigdy nie bywam. Hotele i domy mnie zabijają. Unikam ich. – Zaśmiała się, to był przeciągły, wysoki dźwięk, jak zawodzący, czysty szum wiatru.

– Ja też ich nie cierpię...

Zatrzymał się. Dziewczyna nagle znalazła się bardzo blisko niego. Lodowate tchnienie zmroziło jego duszę. Dotknęła go.

– Co za okropny chłód! – zawołał donośnie. – Robi mi się zimno. Wiatr się wzmacza, to przez ten wiatr zrobiło się tak mroźno. Chodź, za wrócimy już...

Kiedy jednak skoczył naprzód, aby ją pochwycić, albo przynajmniej lepiej się jej przyjrzeć, dziewczyna ponownie jakby mu znikła. A coś w sposobie, w jaki stała zaledwie o kilka stóp od niego, patrząc mu w oczy w milczeniu, sprawiło, że lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach. Blask

księżycyca padał na nią z tyłu, lecz nie wiedzieć czemu, nie potrafił skupić wzroku na jej twarzy, choć przecież była tak blisko. Widział błysk oczu, ale cała reszta wydawała się śnieżnobiała, jakby patrzył na wskroś niej, w przestrzeń...

Z doliny poniżej dobiegł słaby dźwięk kościelnego dzwonu. Hibbert policzył uderzenia – pięć. Gdy tak im się przysłuchiwał, ogarnęła go niezrozumiała, dziwna słabość. Tkwiła gdzieś głęboko w jego wnętrzu, zabójcza, lecz słodka zarazem i zdawałoby się, nieodparta. Miał wrażenie, jakby zatapiał się w śniegu i leżał tam... Wspinali się przez pięć godzin... To było rzecz jasna ostrzeżenie przed kompletnym wyczerpaniem. Z niemałym wysiłkiem stawiał mu czoła i przewyciężył je. Minęło równie szybko, jak się pojawiło.

– Zawracamy – oznajmił zdecydowanym tonem, lecz bez większego, wewnętrznego przekonania. – Zanim wrócimy do wioski, będzie już po wschodzie słońca. Chodź, idziemy. Pora wracać do domu.

Uczucie radości i rozbawienia opuściło go w jednej chwili. Ogarnęła go fala nienazwanej emocji, która zmroziła mu krew w żyłach. Jej szept i odpowiedź, jaką usłyszał, zmieniła nieokreślone przekonanie w dojmującą zgrozę, trwogę, która ogarnęła go bez reszty, sprawiając, że stał się słaby i niezdolny do stawienia najsłabszego choćby oporu.

– Nasz dom jest *tutaj!* – Słowom tym towarzyszył dziki, wysoki śmiech, donośny i przeraźliwy. Brzmiał jak zawroźnienie wiatru. A wiatr *faktycznie* się zerwał, chmury przesłoniły księżyc. – Trochę wyżej, gdzie nie będziemy już mogli usłyszeć tych przeklętych dzwonów – zawołała i po raz pierwszy z własnej woli ujęła go za rękę. Zbliżyła się do niego, ich twarze niemal się zetknęły. Znów go dotknęła.

Hibbert odwrócił się, zamierzając uciec i równocześnie po raz pierwszy poczuł prawdziwą moc śniegu, tę drugą, która miał go ożywić i wprowadzić w stan bliski euforii, przyprawiła go o senność i odrętwienie. Ogarnęła go dławiąca słabość, która nawiedza wyczerpanych mężczyzn, kusząc ich obietnicą wiecznego snu i łagodnym zapomnieniem, w delikatnych objęciach śnieżnego puchu, odbierającego strudzonym wędrowcom resztki sił i woli przetrwania.

Stopy miał ciężkie jak z ołowiu, plątały mu się nogi. Nie mógł się odwrócić, nie był w stanie nawet ruszyć się z miejsca. Dziewczyna stała bardzo blisko, nieomal tuż przed nim. Czuł na policzkach jej lodowate

tchnienie, jej włosy falujące na wietrze smagnęły go po oczach, oślepiając go. Znow poczuł te podmuchy mroźnego wiatru. Była tak blisko, widział biel jej ciała i znow odniósł wrażenie, jakby dziewczyna w ogóle nie miała twarzy. Objęła go ramionami za szyję. Pociągnęła go delikatnie w dół, zmuszając, aby ukląkł. Poddał się, nawet nie próbował stawiać oporu. Czuł na sobie jej ciężar, przytłaczający, przygniatający, dławiący, rozkoszny. Śnieg sięgał mu do pasa... Pocałowała go miękko w usta, oczy, całowała go po twarzy. A potem wypowiedziała jego imię tym niezwykłym głosem pełnym miłości i uniesienia, głosem, który zawierał w sobie wspomnienia dwóch innych, których właścicielki dawno temu przestąpiły próg domeny śmierci i na zawsze opuściły ten padół – był to głos jego matki i kobiety, którą kochał.

Raz jeszcze spróbował stawić jej opór, lecz zrobił to bez większego przekonania. Wreszcie uświadomił sobie, że łagodny ciężar przygniatający jego serce był wspanialszy aniżeli wszystko, co mogło mu dać życie, zaprzestał więc próżnej walki, rozluźnił wszystkie mięśnie i położył się na wznak, na miękkim kobiercu niosącego zapomnienie, śnieżnego puchu. Lodowate pocałunki utuliły go do snu.

Mówi się, że ludzie zasypiający ze zmęczenia na śniegu nie powracają już do świata żywych... Minęły godziny, księżyc znikł za horyzontem białego świata. Nagle coś posypało się na szyję i tors Hibberta, a on sam... obudził się.

Odwrócił się powoli, zdumiony i zdezorientowany, ogarniając sennym spojrzeniem smętne, samotne, posępne góry i mętnym wzrokiem rozejrzał się dokoła, po czym spróbował wstać. W pierwszej chwili mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa; przeszył go tępy, dojmujący ból. Wydał z siebie długi, przeciągły krzyk, wzywając pomocy, lecz był on zbyt cichy i już po chwili rozpląnął się w poszumie wiatru. Dopiero teraz zorientował się, dlaczego jest mu ciepło i czemu nadal żyje. Ten sam wiatr, który stłumił jego krzyk, naniósł z jednej strony pryzmę śniegu, który przysypał ciało śpiącego Hibberta. Podmuchy wiatru omiatały śnieg, omijając ciało mężczyzny. Teraz fragment śnieżnego nawisu odpadł i rozbił się na jego torsie i szyi, a chłód śniegu obudził go w jednej chwili.

Świt rozjaśnił niebo na wschodzie czułymi pocałunkami; jasnozłote promienie słońca barwiły strzępiaste turnie, przydając im nowego splendoru, w powietrzu jednak unosił się lód; suchy, zmarznięty śnieg

wzbijał się pylistą kurzawą ze stoków. Ujrzał czubki nart wystające spod śniegu. I wtedy przypomniał sobie wszystko. Zrozumiał, że jeśli tylko zdoła podnieść się z ziemi i wstać, uczyni co w jego mocy, aby jak na skrzydłach pomknąć w stronę lasu i wioski poniżej. Narty poniosą go w dół. Jeśli jednak nogi ugną się pod nim i upadnie...!

Hibbert nie wiedział, jakim cudem zdołał tego dokonać; strach przed śmiercią musiał wyzwolić w nim resztki sił. Podniósł się powoli, przez chwilę walczył o utrzymanie równowagi, po czym jak wypuszczona z łuku strzała pomknął w dół stoku. Zdał się na instynkt, prężne mięśnie doświadczanego narciarza i sportowca ocaliły go i kierowały jego ruchami, Hibbert bowiem prawie nie panował nad szybkością i kierunkiem jazdy. Śnieg ranił jego twarz i oczy jak stalowe śruciny; Hibbert mijał kolejne grzbiety górskie, strzępiaste turnie zdawały się przepływać po niebie, wysoko nad nim, dolina w zatrważającym tempie zbliżała się, wychodząc mu na spotkanie. Prawie nie czuł ziemi pod stopami, gdy potężne stoki i odległości zlewały się w jedno w obliczu zapierającej dech w piersiach prędkości zjazdu – od śmierci ku życiu.

Szusował czteromilowej długości zygzakami, a każdy kolejny zakręt omal nie zakończył się dla niego tragicznie, wtedy bowiem wysiłek, jaki wkładał w utrzymanie równowagi, pochłaniał niemal cały zasób jego i tak już mocno nadwątlonych sił.

Stoki, na które wejście zajmuje kilka godzin, można pokonać na nartach w przeciągu pół godziny, lecz Hibbert podczas tego zjazdu do reszty stracił poczucie czasu. Całkiem inne myśli i uczucia owładnęły nim, gdy jak ptak szusował w dół zbocza, w szaleńczym wyścigu o życie. Wciąż bowiem deptały mu po piętach osobliwe kształty wyłaniającej się ze śniegu wirującej kurzawy i płynące z niej, wabiące, słodkie głosy. Słyszał te srebrzyste, dźwięczne, zwiastujące śmierć szepty i śmiech, rozlegające się za jego plecami. Wysokie i dzikie, niesione z wiatrem świszczącym mu w uszach, ścigały go bezlitośnie, lecz nie były już łagodne i przyjazne, tylko gniewne i wrogie. Towarzyszyło im coś jeszcze; nie podążała za nim sama. Miał wrażenie, jakby jego śladem sunęła cała horda unoszących się w powietrzu śnieżnych postaci, ścigały go z mściwym, śnieżnym zapamiętaniem. Czuł, jak chłoszczą zaciekłe jego szyję i policzki, chwytają za ręce, usiłując unieruchomić jego stopy i narty w sypkim, zdradliwym śniegu. Oślepiały go, odbierały mu oddech.

Strach przed wysokością, śniegiem i samotnością w surowych, zimowych warunkach przydał mu siłą, ponaglając do jeszcze szybszego szusowania w dół stoku, w szaleńczym wyścigu o życie. Hibbert gnał z tak zatrważającą prędkością, że zanim jeszcze odcienie złota i karmazynu opuściły wierzchołki gór, by osiąść na zimnych wargach niższych lodowców, ujrzał przed sobą, poniżej zbliżający się nieuchronnie las i widok ten natchnął jego serce nową nadzieją. Wtedy też, na skraju mijanego lasu, spostrzegł światło lampy. Niósł ją jakiś mężczyzna. A za nim procesja ciemnych postaci brnęła mozolnie przez śnieg. Ludzkie sylwetki odcinały się czernią na tle śnieżnej bieli. Hibbert usłyszał także cichy śpiew. Instynktownie, bez chwili wahania zmienił kierunek jazdy. Nie szusował już, jak wcześniej, pod kątem, w poprzek stoku, lecz zaczął zjeżdżać pionowo w dół górskiego zbocza. Niemal pionowa stromizna nie wzbudzała w nim lęku. Wiedział doskonale, że przypląci swą brawurę upadkiem u podnóża zbocza, ale dzięki temu ryzykownemu manewrowi zwiększył dwukrotnie prędkość zjazdu, gdy zaś znajdzie się w dolinie, powinien być całkiem bezpieczny. Bo choć nie pomyślał o tym wprost, zrozumiał, że to miejscowy *cure* przedzierał się o świcie z latarnią w dłoni przez śnieżne zasy, zmierzając w stronę jednego z domów na drugim końcu wioski. Ksiądz szedł z Panem Bogiem, by udzielić ostatniego namaszczenia jakiemuś umierającemu wieśniakowi. Hibbert przypomniał sobie, jak bardzo *ona* lękała się kościoła i dźwięku dzwonów. Święte symbole i relikwie wzbudzały w niej nieopisaną trwogę.

Gdy zaczął szusować w dół, jego uszy przeszył jeszcze jeden, ostatni dziki wrzask, zawodzący wiatr omiółł mu twarz, obsypując policzki i powieki okruchami zmarzniętego śniegu, a w chwilę potem mknął już przez pustkę. Prędkość całkiem go oślepiła. Miał wrażenie, jakby wzbił się w powietrze, na zawsze odrywając się od ziemi...

Jak przez mgłę pamiętał szmer męskich głosów, dotyk silnych ramion, które dźwignęły go w górę, i przeszywający ból, kiedy zdejmowano mu narty... Miał nogę skręconą w kostce... Kiedy zaś znów otworzył oczy, stwierdził, że leży w swoim łóżku, w wynajętym pokoju w urzędzie pocztowym, a obok niego stoi lekarz. Jednak jeszcze przez wiele lat w górskiej wiosce opowiadano historię „szalonego Hibberta” i jego nocnej wyprawy na narty. Wyglądało na to, że poszedł w góry i wspiął się tak wysoko, jak jeszcze nigdy dotąd żaden człowiek będący przy zdrowych

zmysłach wejść się nie ośmielił. Turyści plotkowali o tym incydencie przez resztę sezonu, a jeszcze tego samego dnia dwóch śmiałków ruszyło w góry i zrobiło kilka zdjęć, podążając tropem Hibberta. Później Hibbert miał okazję zobaczyć te zdjęcia. Zauważył na nich jedną nader osobliwą rzecz, choć nikomu o tym nie wspomniał:

Na śniegu widać było tylko ślady jego stóp.

Champéry.

Wendigo

(The Wendigo)

Tego roku wiele wypraw myśliwskich wyruszało na ich poszukiwanie, żadna jednak nie odnalazła świeżego tropu; łosie były bowiem wyjątkowo płochliwe i niejednen niedoszły łowca powrócił był na łono swej szacownej rodziny, by przedstawić jej członkom bardziej lub mniej przekonującą wymówkę, mającą wyjaśnić swą haniebną porażkę. Bez trofeum powrócił także doktor Cathcart, jemu wszakże pozostało wspomnienie przeżyć, które rzekomo warte było więcej niż wszystkie ustrzelone łosie na tym świecie. Dodać przy tym należy, że Cathcart z Aberdeen interesował się innymi rzeczami prócz łosi, między innymi fantasmagoriami ludzkiego umysłu. Ta szczególna historia wszelako nie została zamieszczona na kartach jego książki zatytułowanej „Zbiorowa halucynacja” z prostego powodu (jak wyznał niegdyś koledze po fachu) – bo on sam odegrał w niej zbyt istotną rolę, aby móc pokusić się o bezosobowy, rzetelny osąd...

Prócz niego i jego przewodnika, Hanka Davisa, w wyprawie uczestniczył jeszcze młody Simpson, jego bratanek, student teologii, a niebawem także kleryk (wówczas po raz pierwszy w kanadyjskiej puszczy) oraz jego przewodnik, Defago. Joseph Defago był francuskim *kanukiem*, który wiele lat temu opuścił swą rodzinną prowincję – Quebec i zaszył się w Rat Portage, gdzie trwała budowa linii kolejowej Canadian Pacific Railway; człowiekiem, który poza tym, że dysponował niezmierną wiedzą na temat przetrwania w puszczy i jej tajemnic, potrafił śpiewać stare

pieśni wędrowców, mógł też poszczycić się nieporównywalnie wysoką liczbą zwierząt, jakie ustrzelili towarzyszący mu zwolennicy tego sportu. Był przy tym bardzo podatny na ów wyjątkowy urok, jaki wywiera puszcza na szczególnie marzycielskie umysły, a jako człowiek obdarzony naturą samotnika, uwielbiał dzikie ostępy, darząc je wielką miłością, która nieomal graniczyła z obsesją. Fascynowało go leśne życie i stąd też bez wątpienia biegłość, z jaką potrafił radzić sobie z tamtejszymi tajemnicami.

To Hank wybrał go do udziału w tej ekspedycji. Hank znał go i wiedział, że można mu ufać. Poza tym od czasu do czasu rugał go po przyjacielsku, a jako że w kwestii przekleństw posiadał wyjątkowo bogate słownictwo, rozmowy pomiędzy tymi dwoma mocnymi, nieustępliwymi mężczyznami zwykle przedstawiały się barwnie i ekspresyjnie. Hank zgodził się jednak pohamować nieco swój niewyparzony język przez wzgląd na szacunek, jakim darzył starego myśliwskiego druha, doktora Cathcarta, do którego nieodmiennie zwracał się per „doktoru”, a także dlatego, że młody Simpson był już po części księdzem. Miał wszakże jedną obiekcję względem Defago, twierdził mianowicie, że Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia przejawia niekiedy coś, co Hank określał jako napady konsternacji połączonej z ponurą zadumą, co oznaczało, że od czasu do czasu, zgodnie ze swym pochodzeniem przewodnik popadał w posępną melancholię, kiedy to do nikogo się nie odzywał i nikt ani nic nie było go w stanie zmusić do mówienia. Z reguły ataki te spowodowane były zbyt długim przebywaniem wśród cywilizacji, bo zaledwie po kilku dniach spędzonych w puszczy wszelkie symptomy choroby mijały, jak ręką odjął.

Tak więc ten czteroosobowy zespół w ostatnim tygodniu października roku „płochliwych łosi” rozbił obóz wśród leśnych ostępów na północ od Rat Portage, w odludnym i trudno dostępnym miejscu. Był z nimi także Punk, Indianin, który w latach poprzednich towarzyszył doktorowi Cathcartowi i Hankowi w ich myśliwskich wyprawach i który pełnił funkcję kucharza. Jego obowiązki ograniczały się do pozostawiania w obozie, łowienia ryb i przygotowywania gorącej kawy oraz steków z dziczyzny w iście rekordowym czasie. Nosił stare ubrania, które otrzymał w spadku po byłych opiekunach, i ze swymi czarnymi, długimi włosami i śniadą cerą wyglądał w tych miejskich ciuchach równie sztucznie jak Murzyn z rewii, który tylko kolorem skóry przywodzi na myśl mieszkańca Czarnego Łądu. Mimo to Punk wciąż nie zatracił w sobie instynktu

typowego dla jego wymierającej rasy, nadal był małomówny, wytrwały i twardy... a także przeraźliwie zabobonny.

Tej nocy zebrani przy ognisku byli w minorowych nastrojach, upłynął bowiem tydzień, a oni wciąż nie natrafili na ślad łosia. Defago odśpiewał piosenkę, po czym zaczął opowiadać jakąś historię, lecz Hank, będąc w wyjątkowo paskudnym humorze, kilkakrotnie upomniął go, że przeinacza fakty i w efekcie jego słowa nie są warte funta kłaków, na co Francuz pogrzył się zaraz w posepnym milczeniu, z którego nic nie było go w stanie wyrwać. Doktor Cathcart i jego bratanek mieli dość po długim i wyczerpującym dniu. Punk zmywał naczynia, mamrocząc pod nosem, w prymitywnym, zbitym z gałęzi szałasie, gdzie też sypiał. Nikt nie pokwapił się, by przegarnąć dogasające ognisko. Niebo było rozgwieżdżone, noc chłodna, a wiatr słaby; wzdłuż brzegów nieruchomego jeziora, z tyłu, za nimi zaczął formować się lód. Cisza panująca w tej rozległej, mrocznej puszczy spowiła ich niczym niewidzialny kokon.

Hank przerwał ją pierwszy, odzywając się nosowym głosem.

– Jestem za tym, byśmy jutro przenieśli się w inne miejsce, doktoru – rzucił z przejęciem, patrząc na swego pracodawcę. – Nic tu po nas.

– Zgadza się – powiedział jak zawsze lakonicznie Cathcart. – Uważam, że to dobry pomysł.

– Pewno, że tak – podjął Hank z niezłomną pewnością siebie. – Może dla odmiany we dwóch wyruszymy na zachód, wzdłuż Garden Lake. Jak dotąd nikt z nas nie spenetrował tego cichego zakątka...

– Jestem za.

– A ty, Defago, i pan Simpson przepłyniecie czółnem przez jezioro i dotrzecie do Fifty Island Water, aby rozbić obóz na tamtejszym południowym brzegu. W ubiegłym roku było tam prawdziwe zatręśnienie łosi i kto wie, może w tym roku na złość nam też się tam przeniosły.

Defago w milczeniu wpatrywał się w ognisko. Może nadal był zły, że nie pozwolono mu dokończyć jego historii.

– Mogę się założyć, że w tym roku nikt jeszcze nie zapuszczał się w tę okolicę! – wymądrzał się Hank, jakby mógł to wiedzieć. Spojrzał z ukosa na swego partnera. – Lepiej weź ten mały, jedwabny namiot, spędzicie tam w sumie kilka nocy – orzekł i tym samym uznał sprawę za załatwioną. Hank bowiem był uważany za głównego organizatora i kierownika całej wyprawy.

Nie ulegało wątpliwości, że Defago był przeciwny tym planom, lecz jego milczenie zawierało w sobie coś więcej prócz zwykłej dezaprobaty, a na jego wrażliwym, śniadym obliczu pojawił się osobliwy wyraz, jak odbłask płomieni z ogniska, lecz pozostał na nim dostatecznie długo, by trzech mężczyźni zdołali go zobaczyć.

– Pomyślałem sobie, że jego obawy mają uzasadnienie – powiedział później Simpson w namiocie, który dzielił ze swoim wujem.

Doktor Cathcart nie odpowiedział od razu, choć wyraz twarzy przewodnika zaciekał go do tego stopnia, że zachował ten fakt w pamięci. Widok ten wzbudził w nim dziwny, bliżej nieokreślony niepokój.

Hank naturalnie pierwszy zwrócił na to uwagę i co dziwne, miał sarkać lub wściekać się na wahania przewodnika, spróbował poprawić mu humor i odrobinę rozluźnić napiętą atmosferę.

– Przecież nie ma żadnych szczególnych powodów, dla których w tym roku nikt nie dotarł w tę okolicę – rzekł, zniżając głos – a na pewno nie wchodzi w grę powody, o których ty mógłbyś teraz myśleć. W zeszłym roku nikt się tam nie zapuszczał ze względu na pożary, a w tym... cóż... tak się jakoś po prostu złożyło i tyle! – Jego zachowanie najwyraźniej miało dodać przewodnikowi otuchy.

Joseph Defago na moment uniósł wzrok, po czym znów skierował spojrzenie w ogień. Tchnienie wiatru prześlizgnęło się przez popioły, rozpalając je na kilka chwil. Doktor Cathcart znów dostrzegł ten dziwny wyraz twarzy przewodnika i ponownie poczuł niewytłumaczalny lęk. Tym razem jednak zdołał rozszyfrować jego przyczynę. W oczach kanuka dostrzegł błysk niepokonanego przerażenia. To zaniepokoiło go bardziej, niż byłby w stanie przyznać.

– Czyżby w tej okolicy żyli wrogo nastawieni Indianie? – zapytał i zaśmiał się, chcąc nieco rozładować atmosferę, podczas gdy Simpson, zbyt śpiący, by przejrzeć ten subtelny fortel, ziewnął przeciągle i udał się na spoczynek – a może coś jest nie tak z tym miejscem? – dorzucił, gdy jego bratanek już się oddalił.

Hank odnalazł jego spojrzenie i westchnął.

– Boi się i tyle – odparł, usiłując nadać swemu głosowi lekceważący ton – stare bajdy wzbudzają w nim śmiertelny strach. Mam rację, sta ry? – I przyjaźnie końcem buta szturchnął Defago w obutą w mokasyn stopę.

Defago natychmiast uniósł wzrok, jakby wyrwano go z głębokiego zamyślenia, zadumy, która jednak nie przeszkodziła mu kontrolować przebiegu rozmowy toczącej się przy ognisku.

– Ja niczego się nie boję! – odparł zuchwałym tonem. – W puszczy nic nie jest w stanie przerazić Josepha Defago. Nie zapominaj o tym! –

Padło to z takim napuszeniem, że nie sposób było stwierdzić, czy powiedział całą prawdę, czy tylko jej część.

Hank odwrócił się do doktora. Już miał coś dodać, gdy nagle nabrał wody w usta i rozejrzał się dokoła. Jakiś dźwięk, który rozległ się nieopodal w ciemnościach, sprawił, że wszyscy trzej odruchowo się wzdrygnęli. To stary Punk wygramolił się ze swego szałas, kiedy rozmawiali, i stał teraz w kręgu światła bijącego z ogniska, nasłuchując.

– Kiedy indziej, doktoru! – wyszeptał Hank i mrugnął – kiedy nie będziemy mieli niepożądanego widowni! – To rzekłszy, podniósł się energicznie, klepnął Indianina w plecy i zawołał głośno: – Podejź no do ogniska i ogrzej trochę tę swoją czerwoną skórę! – Następnie podprowadził go nieomal siłą do ogniska i dorzucił kilka polan. – Posiłek, który nam dziś przyrządziłeś, był naprawdę wyborny – ciągnął kordialnie, jakby chciał skierować myśli tamtego na inny tor – a to wszak nie po chrześcijańsku, abyśmy kazali ci stać na mrozie, podczas gdy my tutaj wygrzewamy się w najlepsze.

Punk podszedł bliżej i usiadł, by ogrzać sobie stopy; przez cały czas dziwnie się uśmiechał. Nie sposób było stwierdzić, czemu się tak cieszył, bądź co bądź nie zrozumiał nawet połowy tego, co do niego mówiono, ale też o nic nie pytał i milczał jak grób.

Doktor Cathcart stwierdziwszy, że kontynuowanie rozmowy jest niemożliwe, poszedł za przykładem swego bratanka i udał się do namiotu, pozostawiając trzech mężczyzn, palących przy ognisku.

Niełatwo jest rozebrać się w niewielkim namiocie, aby nie obudzić swego towarzysza, toteż Cathcart, zahartowany w bojach i wciąż krzepki, mimo iż miał na karku już przeszło pięć krzyżyków, przebrał się do snu przed wejściem do namiotu. Równocześnie zauważył, że Punk wrócił już do swego szałas, a Hank i Defago wdali się w ożywioną dyskusję, pełną mocnych słów i najrozmaitszych epitetów.

Cała ta scena wydawała się jakby żywcem wyjęta z ckliwego melodramatu – płomienie ogniska na przemian to rozjaśniały ich twarze, to

spowijały je czarnymi cieniami; Defago w mokasynach i kapeluszu z obwisłym rondem wyglądał jak klasyczny desperado, Hank z gołą głową rozciągnięty leniwie przy ognisku, przypominał pozytywnego, choć zwodzonego na manowce bohatera, zaś stary Punk, podsłuchujący w tle, przydawał tej scenie wrażenia osobliwej tajemniczości. Doktor uśmiechnął się, zwracając uwagę na te szczegóły, lecz równocześnie gdzieś w sobie poczuł na chwilę lekkie, bliżej nieokreślone zaniepokojenie, które prysło, nim jeszcze zdołał je zarejestrować. Zapewne wywołane zostało przez wyraz przerażenia, jaki zaobserwował na obliczu i w oczach Defago, zapewne, gdyż owa ulotna emocja nie poddała się bardziej szczegółowej analizie. Coś mówiło mu, że powinni uważać na Defago, że może on im jeszcze sprawić mnóstwo kłopotów... I gdzie w nim ten niewzruszony przewodnik... Na razie nie dało się tego powiedzieć...

Obserwował tamtych jeszcze przez kilka chwil, zamiast wślizgnąć się do namiotu, gdzie Simpson już chrapał w najlepsze. Hank, jak zauważył, kłął teraz jak szalony Afrykanin w nowojorskim barze dla czarnych, ale jego przekleństwa miały w sobie osobliwie czułą nutę. Absurdalne inwektywy płynęły wartkim, nieprzerwanym potokiem, kiedy to już osoba, przez którą się powstrzymywał, odpłynęła w objęcia Morfeusza. Wreszcie Hank objął swego kompana ramieniem i oddalili się wspólnie w ciemność, gdzie stał ich namiot. Punk w chwilę potem poszedł za ich przykładem, by ułożyć się na swym cuchnącym barłogu, w szałasie.

Dopiero teraz doktor Cathcart wpełzł do namiotu. Nie chciało mu się jeszcze spać, zastanawiał się, co tak bardzo przerażyło Defago, dlaczego przewodnik obawiał się wejścia na teren Fifty Island Water, a także dlaczego obecność Punka powstrzymywała Hanka przed dokończeniem tego, co chciał powiedzieć. Wreszcie zmorzył go sen. Nazajutrz dowie się wszystkiego. Hank opowie mu co i jak, gdy rozpoczną poszukiwania tych płochliwych łosi.

W obozie zapanowała głęboka cisza, spotęgowana jeszcze mrokiem nocy. Jezioro skrzyło się jak tafła ciemnego szkła w świetle gwiazd. Było chłodno. Nocny wiatr przepływający falami przez leśne ostępy niósł z sobą od strony odległych jezior i gór zapowiedź nadchodzącej surowej zimy. Biali ze swym przytępieniem węchem nie byli w stanie tego wyczuć; woń drew w ognisku ukrywała przed nimi uderzająco czytelne aluzje kryjące się w mchu, korze i twardniejącej powierzchni odległych o setki mil moczarów.

Nawet Hank i Defago, choć obeznani z duszą lasu, zapewne mieliby sporo trudności z dostrzeżeniem tych oznak...

Jednak w godzinę później, kiedy wszyscy spali w najlepsze, stary Punk zwłóknął się z posłania i jak cień, bezgłośnie, tak jak to potrafią tylko ludzie mający w sobie indiańską krew, zszedł nad brzeg jeziora. Gęstniejąca ciemność zmniejszała zasięg widzenia, lecz jak zwierzęta, Punk dysponował zmysłami, których mrok nie był w stanie przyćmić. Zaczął nasłuchiwać, a potem węszyć. Stał w całkowitym bezruchu, wyprężony jak struna. Po pięciu minutach znów uniósł głowę i ponownie pociągnął nosem. Gdy poczuł woń rześkiego powietrza, zdał sobie sprawę, że wszystkie nerwy w jego ciele zaczynają się napinać, bez żadnych wyraźnych przyczyn.

Wreszcie, wtapiając się w otaczającą go czerni, bezszelestnie, tak jak to potrafią tylko dzicy oraz zwierzęta, odwrócił się i płynnie jak cień wrócił na swoje posłanie w szałasie.

Niedługo po tym jak zasnął, przewidziana przez niego zmiana kierunku wiatru wywołała lekkie fale na powierzchni jeziora i zmaćła odbicie widocznych na nim gwiazd. Nadchodzący spomiędzy odległych gór, za Fifty Island Water, wiatr wiejący od strony, w którą patrzył stary Indianin, przepłynął ponad uśpionym obozowiskiem przy wtórze cichego szeptu i westchnienia, tak łagodnego, że prawie całkiem niesłyszalnego. Wierzchołki smukłych, strzelistych drzew zakołysały się nieznacznie. Wiatr sunący poprzez noc przyniósł ze sobą bardzo słabą, niewyczuwalną nawet dla wyjątkowo wrażliwego Indianina, osobliwą, delikatną woń, wzbudzającą dziwny niepokój, woń czegoś obcego... całkowicie nieznanego.

W tej samej chwili kanuk Defago i stary Indianin poruszyli się niespokojnie przez sen, ale żaden z nich się nie obudził. Wreszcie ów widmowy, niezapomniany, dziwny fetor rozwiął się w powietrzu, odpływając w głąb niezmierzonej puszczy, rozciągającej się hen, daleko, za obozowiskiem myśliwych.

Rankiem, jeszcze przed wschodem słońca zrobił się spory ruch. W nocy spadł śnieg, powietrze było rześkie. Punk wcześniej się uwiął, bo do każdego namiotu dotarł aromat parzonej kawy i smażonego boczku. Wszyscy byli w dobrych nastrojach.

– Wiatr znowu się zmienił! – zawołał gromko Hank, obserwując, jak Simpson i jego przewodnik ładują rzeczy do niebieskiego kanu. – Wieje w sam raz jak dla was, chłopcy, od jeziora! Na śniegu ślady łosi będą wyraźnie widoczne! Jeżeli są tam jakieś łosie, przy tym wietrze i takim jego kierunku raczej was nie zwęszą. Powodzenia, monsieur Defago – dorzucił, używając francuskiego zwrotu – *bonne chance*.

Defago także życzył im wszystkiego najlepszego, sprawiał wrażenie, jakby poprawił mu się nastrój, nie był już pośepny i milczący. Przed ósmą stary Punk miał obóz tylko dla siebie, Cathcart i Hank byli już daleko na szlaku, wiodącym na zachód, podczas gdy kanu niosące Defago i Simpsona z namiotem i prowiantem na dwa dni zmieniło się w czarny punkcik kołyszający się na powierzchni jeziora i zmierzający ku wschodowi.

Promienie słońca, które hojnie padały na jezioro i puszcę, złagodziły nieco zimowy chłód poranka; w chmurach wzbijanego wiatrem pyłu wodnego śmigają lelki kozodoje, nurki to unosiły ociekające wodą łebki ku słońcu, to znów zanurzały się pod wodą. Jak okiem sięgnąć, dokoła widać było niezmiernie ostępy Puszczy, odludnej i zakazanej, potężnej i groźnej, sięgającej aż do skutych lodem brzegów zatoki Hudsona.

Simpson, który ujrzał to wszystko po raz pierwszy, wiosłując zawzięcie, stojąc na dziobie kołyszającego się kanu, był urzeczony surowym pięknem otaczającego krajobrazu. Jego serce chłonęło doznania wolności i wielkich przestrzeni, tak jak płuca syciły się chłodnym, wonnym wiatrem. Za nim siedzący na rufie czółna Defago sterował niewielką łódką jak żywą istotą, odpowiadając entuzjastycznie na pytania swojego towarzysza. Obaj mężczyźni byli radośni, weseli. W takich chwilach zatracali w sobie dystans wobec świata i innych ludzi, stawali się istotami ludzkimi, współpracującymi dla osiągnięcia wytyczonego, wspólnego celu. Simpson, pracodawca i Defago, pracownik, pośród tych prymitywnych potęg byli po prostu tandemem, prowadzącym i prowadzonym. Naturalnie kontrolę przejęła wyższa wiedza i młodszy mężczyzna bez oporów wszedł w rolę osoby podporządkowanej. Nie obruszał się, gdy Defago nie zwracał się do niego per pan czy mówił do niego po nazwisku, albo szefie, co zdarzało się nagminnie, zanim dotarli do przeciwległego brzegu, po pokonaniu drogą wodną dwunastu mil pod wiatr. Zaśmiał się tylko i pogodził się z sytuacją, a w końcu przestał zwracać na to uwagę.

Ów student teologii był bowiem młodym, niedoświadczonym człowiekiem, którego charakter dopiero się kształtował, nie był też wytrawnym wędrowcem, po raz pierwszy wypuścił się poza granice swej rodzinnej Szkocji i ogrom oraz różnorodność świata wprawiły go w nie lada oszołomienie. Słyszeć o wielkich, pierwotnych rzeczach to jedno, ale widzieć je na własne oczy, to coś całkiem innego. Życie w nich i poznanie natury przyrody wymagało inicjacji, której żaden inteligentny człowiek nie był w stanie odbyć bez uprzedniego przewartościowania wszystkiego, co dotąd uważał za trwałe, niezmiennie i święte.

Po raz pierwszy Simpson odczuł to, gdy ujął w ręce niemiecki sztucer i zajrzał w głąb bliźniaczych, lśniących luf. Po trzech dniach podróży do głównego obozowiska, drogą wodną, przez jeziora stan ten jeszcze się w nim pogłębił. A teraz młodzieniec miał zagłębić się jeszcze dalej w leśne ostępy, niezamieszkałe, mroczne i rozległe jak cała Europa i ta świadomość wzbudzała w nim równocześnie niepoahamowaną radość i trwogę. Tylko on i Defago przeciwko całej niezbadanej puszczy!

Posępny splendor tych odludnych, samotnych lasów sprawił, iż Simpson po raz pierwszy poczuł, jak niewiele znaczy wobec tego ogromu Natury. Surowa dzikość nieprzebytych ostępów, które można było jedynie określić mianem bezlitosnych i przeraźliwych, zdawała się emanować z każdego zakątka tych rozciągających się aż po horyzont, gęstych lasów. Wyczuł ją. I zrozumiał to bezgłośnie ostrzeżenie. Uświadomił sobie własną bezradność. Jedynie Defago, symbol odległej cywilizacji, gdzie człowiek był panem, stał pomiędzy nim a żalosną śmiercią z głodu i wyczerpania.

Między innymi dlatego z ekscytacją patrzył, jak Defago wyciąga kanu na brzeg, odwraca czołno dnem do góry, starannie wsuwa pod nie wiosła, po czym naznacza pnie świerków po obu stronach niemal niewidzialnej ścieżki, rzucając jakby mimochodem: – Spójrz no, Simpson, w razie gdyby coś mi się stało, powinienesz bez trudu znaleźć kanu, idąc po tych śladach, a potem, by trafić z powrotem do głównego obozu, wystarczy, że będziesz płynął na zachód, ku zachodzącemu słońcu. Dasz sobie radę, prawda?

Było to zgoła naturalne, a Defago wypowiedział te słowa niemal beznamiętnym tonem i tylko przepełniające młodzieńca emocje, symbolika ich obecnej sytuacji i dodatkowy czynnik – jego własna bezradność – przydały im całkiem nowego znaczenia. Byli tu sami z Defago, w samym sercu prymitywnego świata. Czołno, jeszcze jeden symbol ludzkiej

wyższości, zmuszeni byli pozostawić. Tylko te małe, żółtawe ślady wycięte toporkiem na pniach drzew wskazywały miejsce ukrycia kanu.

W końcu, zaopatrzeni w plecaki i sztucery, ruszyli obaj wąską ścieżką biegnącą przez kamienie, zwalone pnie i na wpół zamarznięte trzęsawiska, omijając liczne jeziora, w które obfitował ów las. O piątej po południu znaleźli się nagle na skraju puszczy, mając przed sobą rozległą połąć wód upstrzoną tu i ówdzie porośniętymi sośniną wysepkami najróżniejszych kształtów i wielkości.

– Fifty Island Water – oznajmił znużonym tonem Defago. – Słońce tu właśnie zanurza swą starą, łysą głowę! – dorzucił w niezamierzenie poetycki sposób; natychmiast zabrali się za przygotowanie obozowiska na noc.

W kilka minut te zręczne ręce, które nigdy nie wykonywały zbędnych ruchów, rozbiły jak trzeba zgrabny, jedwabny namiot, ułożyły chrust i rozpały ognisko tak umiejętnie, że prawie się zeń nie dymiło. Podczas gdy młody Szkot czyścił ryby złowione w sieć ciągniętą za czółnem, Defago stwierdził, że może niebawem wybierze się w puszcę, w poszukiwaniu śladów łosi. Liczył, że natknie się gdzieś na pnie drzew, o które się ocierały rogami, albo odnajdzie miejsca, gdzie żerowały, skubiąc ostatnie klonowe liście. I po chwili już go nie było.

Jego niska postać rozplynęła się jak cień o zmierzchu, podczas gdy Simpson z nieskrywanym podziwem stwierdził, z jaką łatwością puszcza wchłonęła go w siebie. Wydawało się, że zrobił zaledwie parę kroków i już nie było go widać.

A przecież prawie nie było tu krzewów, drzewa rosły w pewnym oddaleniu, jedno od drugiego, na przecinkach dostrzec można było brzozy i klony, smukłe i strzeliste w porównaniu z masywnymi świerkami i tsugami. Pomijając jednak te olbrzymy i masywy szarych skał, które dostrzec można było sterczące z ziemi to tu, to tam, miejsce to przypominało któryś z parków leśnych w Starym Kraju.

Tak mógłby wyglądać, gdyby zajęła się nim troskliwa ludzka ręka. Jako przykład nieco po prawej widniał rozciągający się na dobrych parę mil wypalony obszar, tak zwane *brule*, pamiątka po ubiegłorocznych, szalejących przez całe tygodnie pożarach; poczerniałe pnie wznosiły się ku niebu, szpetne i nagie; pozbawione gałęzi wyglądały jak gigantyczne,

powtykane w ziemię, wypalone zapałki. Widok był przygnębiający i nieprzyjemny. W powietrzu wciąż jeszcze czuło się swąd spalenizny.

Zmierzchało, cienie na moczarach zgęstniały, słychać było tylko trzask płomieni ogniska i szum niewielkich fal obmywających skalisty brzeg jeziora. O zachodzie słońca ucichł wiatr, powietrze było całkiem nieruchome. Wydawało się, że nieomal w każdej chwili wśród drzew mogą pojawić się potężne i przerażające kształty leśnych bożków, którym należało oddawać cześć w ciszy i samotności. W oddali, otoczone kolumnami strzelistych drzew, rozciągał się obszar Fifty Island Water – jezioro w kształcie sierpa mierzyło około piętnastu mil od jednego czubka do drugiego i mniej więcej pięć mil średnicy przy miejscu, gdzie rozbili obóz. Niebo nabiegło różem i szafranem, czystsze niż w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie miał okazję podziwiać je Simpson, wciąż rzucało swe blade, ogniste promienie na fale, wśród których jak czarodziejskie barki jakiejś baśniowej flotylli unosiło się nie pięćdziesiąt, lecz raczej sto niewielkich wysepek. Porośnięte sosnami, których wierzchołki delikatnie wznosiły się ku niebu, zdawały się, w miarę jak robiło się ciemniej, coraz bardziej wyprężyć się w górę, jakby miały zaraz podnieść kotwice i wyruszyć w rejs po niebie miast po wodach tego dużego, sierpowatego jeziora.

Ich odlot ku gwiazdom zdawały się obwieszczać pasma barwnych chmur, jak trzepoczące na wietrze bandery...

Piękno tej sceny było dziwnie podnoszące na duchu. Simpson uwędził rybę i poparzył sobie przy tym palce, gdy równocześnie próbował podziwiać urzekające widoki i zajmować się patelnią, umiejscowioną nad ogniskiem. Mimo to w głębi duszy wciąż miał świadomość całkiem innego aspektu tej leśnej głuszy - obojętności wobec ludzkiego życia i bezlitosnego poczucia osamotnienia, którego duchowi człowiek był całkiem obcy. To osobliwe osamotnienie, teraz, gdy Defago odszedł, pojawiło się także w sercu Simpsona, który uważnie rozglądał się wokoło, nasłuchując odgłosu kroków powracającego przewodnika.

Uczucie to było dość przyjemne, choć z całą pewnością wzbudziło zrozumiałą i uzasadnioną niepokój. Zaczął zastanawiać się w myślach: Co powinienem, co *mógłbym* zrobić, gdyby coś się stało i gdyby on jednak nie wrócił...?

Zjedli jednak razem sytą, zasłużoną kolację, złożoną ze złowionych ryb popijanych olbrzymią ilością nie ochrzczonej mlekiem herbaty, tak mocnej, że mogłaby zwalić z nóg każdego, kto nie miał za sobą trzydziestu mil uciążliwej drogi i nie czuł nieprzyjemnego ssania w pustym żołądku. Kiedy już zaspokoili głód, siedli przy ognisku, paląc i opowiadając sobie różne historie, śmiali się, przeciągali zmęczone mięśnie i snuli plany na dzień następny. Defago był w wybornym nastroju, choć trochę rozczarowany, że nie odnalazł żadnych śladów łosi. Było jednak ciemno i nie zapuścił się daleko w las. Poza tym *brule* było naprawdę olbrzymie. Ubranie i dłonie karnika były całe osmolone sadzą. Simpson, obserwując go, ponownie zdał sobie sprawę, że oto znaleźli się obaj w niezmierzonej leśnej głuszy.

– Defago – odezwał się w końcu – ta puszcza wydaje mi się zbyt wielka, aby można było czuć się w niej jak w domu... to znaczy swobodnie i w ogóle... co ty na to? – Wyraził w słowach to, co właśnie czuł, nie był przygotowany na pełen powagi i szacunku ton głosu przewodnika, który odpowiedział na jego pytanie.

– Dobrze to ująłeś, szefie – rzekł kanuk, zatrzymując wzrok na twarzy Simpsona – to święta prawda. Te lasy są bezkresne, absolutnie bezkresne. – I nieco dziwnym głosem dorzucił: – Wielu było takich, co uświadomiwszy to sobie, nie byli w stanie tego wytrzymać i całkiem się załamali!

Powaga przewodnika nie przypadła młodzieńcowi do gustu, była nieco zbyt sugestywna jak na tę porę, miejsce i otoczenie, wnet pożałował, że w ogóle podjął ten temat. Przypomniał sobie nagle, że jego wuj wspominał, iż w leśnej głuszy mężczyźni ogarniała czasem dziwna gorączka, działało się to, gdy urok mrocznych ostępów okazywał się dla nich zbyt silny, a wówczas jak w amoku wyruszali przed siebie, ogarnięci na poły fascynacją, na poły ułudami, na spotkanie śmierci. Coś mu mówiło, że jego towarzysz, kanuk, był człowiekiem takiego właśnie pokroju. Zmienił temat i przez chwilę rozmawiali o Hanku i doktorze, a także o tym, kto teoretycznie powinien pierwszy wypatrzeć łosia.

– Jeśli poszli na zachód – zauważył z niezmaconą beztroską Defago – dzieli nas teraz od nich sześćdziesiąt mil, a tymczasem stary Punk w obozie przejściowym obzera się do nieprzytomności rybami i żłopie ka wę litrami.

Zaśmiali się, rozbawieni tą wizją. Mimo to rzucona niedbale wzmianka o sześćdziesięciu milach ponownie uświadomiła Simpsonowi rozmiary terytorium, na którym przyszło im polować; sześćdziesiąt mil stanowiło

zaledwie jeden mały kroczek, dwieście mil zaś to nie więcej niż jeden solidny krok. W jego myślach zaroiło się nagle od opowieści o zaginionych myśliwych. Pasja i tajemnica bezdomnych włóczęgów urzeczonych pięknem wielkich lasów przepełniły jego duszę nieco zbyt wymownie, aby mógł nazwać to uczucie przyjemnym. Zastanawiał się mgliście, czy to nastrój jego kompana tak natarczywie karmił jego umysł nieprzyjemnymi wrażeniami.

– Zaśpiewaj no coś, Defago, o ile nie jesteś zbyt zmęczony – popro sił.
– Jedną z tych piosenek wędrownych, które śpiewałeś zeszłej nocy.

Podał przewodnikowi kapciuch z tytoniem, po czym nabił swoją fajkę, podczas gdy Kanadyjczyk z ciężkim sercem zaintonował jedną z tych smętnych, nieomal melancholijnych szant, którymi flisacy, drwale i traperzy próbują złagodzić nieco trudy swej codziennej pracy. W pieśni wyczuwało się coś kuszącego i romantycznego, coś, co przywodziło na myśl atmosferę dawnych czasów pionierów, kiedy Indianie i puszcza byli ze sobą sprzymierzeni, bitwy były na porządku dziennym, a stary kraj wydawał się o wiele odleglejszy niż obecnie. Głos kanuka poniósł się po wodzie, ale las z tyłu, za nimi zdawał się pochłaniać go jednym haustem, tak że nie słychać było echa ani typowego dłań rezonansu.

W połowie trzeciej zwrotki Simpson zauważył coś niezwykłego, co w jednej chwili wyrwało go z głębokiej zadumy. W głosie kanuka zaszła niezwykła zmiana. Zanim jeszcze zorientował się, co to takiego, ogarnął go niepokój, a gdy pospiesznie uniósł wzrok, stwierdził, że Defago, wciąż śpiewając, wodził wzrokiem dokoła, wpatrując się w leśny gąszcz, jakby coś zobaczył lub może usłyszał. Jego głos osłabł, przeradzając się w szept, po czym ucichł zupełnie. W tej samej chwili przewodnik, zdumiewająco czujny, poderwał się na nogi i wyprężywszy całe ciało jak struna, zaczął mocno pociągać nosem, *jakby coś zwietrył*. Wyglądał jak pies, który zwęszył zwierzynę. Nabierał powietrza do nozdrzy, krótkimi, zdecydowanymi wdechami, obracając się wokół osi, aż w końcu zatrzymał się, skierowawszy się ku wschodowi, a ściślej rzecz biorąc, ku brzegowi jeziora. Było to wyjątkowo sugestywne widowisko, w dodatku pełne zagadkowego dramatyizmu. Obserwując zachowanie kanuka, Simpson poczuł, że serce w jego piersi zaczyna bić szybszym rytmem.

– Na Boga, człowieku! Aleś mnie przestraszył! – wykrzyknął, podrywając się z ziemi i stając obok niego, by spojrzeć ponad ramieniem prze

wodnika w nieprzeniknioną ciemność. – Co jest? Coś cię przeraziło...?

Zanim jeszcze te słowa padły z jego ust, Simpson zrozumiał, że popełnił błąd, nie powinien w ogóle się odzywać, widział wyraźnie, że tamten zbladł jak płótno. Nawet opalona cera i blask bijący z ogniska nie zdołały tego ukryć.

Student lekko zadygotał, zmiękły mu kolana – Co się stało? – spytał z przejęciem. – Zwietrzyłeś łosia? A może coś innego... coś dziwnego? – Instynktownie zniżył głos do szeptu.

Puszczą otaczała go zwartym murem; pnie najbliższych drzew lśniły w blasku ogniska jak wykute ze spiżu; dalej, o ile był w stanie stwierdzić, królowały tylko nieprzenikniona czerń i grobowa cisza. Za ich plecami lekki podmuch wiatru uniósł pojedynczy liść, obejrzał go uważnie, po czym nie poruszając pozostałych, delikatnie opuścił go na miejsce. Zupełnie jakby milion niewidzialnych czynników sprzymierzyło się, by wywołać ten jeden, jedyny dostrzegalny wzrokowo efekt. *Inne*, obce życie zatętniło wokół nich i znikło.

Defago odwrócił się gwałtownie, jego twarz przybrała barwę popiołu.

– Nie mówiłem, że coś usłyszałem albo wyczułem – powiedział po woli, już mniej zaniepokojonym głosem, w którym pobrzmiwała osobliwa, zuchwała nuta. – Chciałem się tylko trochę rozejrzeć, to wszystko. Twoje pytania, szefie, bywają zbyt pochopne. – Iz wyraźnym wysiłkiem, nieco spokojniejszym głosem dorzucił: – Masz zapalki, szefie? – po czym zaczął zapalać fajkę, którą nabił, nim jeszcze zaczął śpiewać.

Bez słowa obaj ponownie usiedli przy ognisku. Defago zajął miejsce tak, by być zwrócony twarzą w stronę, skąd wiał wiatr. Nawet żółtodziób by tego nie przeoczył. Defago usiadł tak, by móc usłyszeć i poczuć wszystko, co przyniesie z sobą wiatr. A jako że siedział zwrócony twarzą do jeziora, plecami zaś do drzew, najwyraźniej to, co wzbudziło jego nagłe zaniepokojenie, nie pochodziło z głębi lasu.

– Chyba nie mam już ochoty na śpiewanie – wyjaśnił, nie pytany. – Tego rodzaju pieśni przywołują niechciane wspomnienia, nie powinienem być w ogóle tego robić. Zaczynam wyobrażać sobie rozmaite rzeczy, rozu miesz, szefie?

Najwyraźniej przewodnik borykał się z jakimiś wyjątkowo silnymi emocjami. Chciał wytłumaczyć się przed Simpsonem ze swego zachowania. Jednak wyjaśnienie, którego udzielił, nie było prawdziwe, a

Simpson w jednej chwili zdołał przejrzeć kłamstwo kanuka. Nic bowiem nie było w stanie wytłumaczyć wyrazu dojmującej zgrozy malującej się na jego obliczu, kiedy nerwowo wciągał nosem powietrze. I nic, ani płonące ognisko, ani rozmowa na luźne tematy, nie zdołały przywrócić w obozie sielskiej atmosfery. Widmo nieznanego koszmaru, które przez moment można było zaobserwować w wyrazie twarzy i zachowaniu przewodnika, rzuciło mroczny cień także na jego kompana. Wyraźne wysiłki kanuka w celu zatuszowania prawdy tylko pogorszyły całą sprawę. Co więcej, Defago pogłębił jeszcze trawiący młodzieńca niepokój, stając się absolutnie nieprzystępny. Student zdał sobie sprawę, że o zapytaniu przewodnika wprost, co było źródłem jego lęków, nie było mowy. Z drugiej strony wiedział, że w grę nie wchodził Indianie, dzikie zwierzęta ani pożar lasu. Poszukiwał gorączkowo odpowiedzi na tę zagadkę w swej bujnej wyobraźni, lecz jego wysiłki spełzły na niczym.

W końcu po długiej rozmowie przy fajeczce i przy ognisku, niepokój, jaki nawiedził ich obozowisko, zaczął z wolna mijać. Być może sprawiły to starania Defago, a może fakt, że znów był spokojny i opanowany. Być może też Simpson przesadnie potraktował całą tę sprawę lub, kto wie, stało się to za sprawą uzdrowicielskiej aury tego odludnego miejsca. Tak czy owak, groza z wolna zaczęła mijać w równie tajemniczy sposób, jak się pojawiła, nie stało się bowiem nic, co mogłoby ją podsycić. Simpson złażał się w duchu za swe nieuzasadnione, dziecięce lęki. Złożył je po części na karb podświadomej ekscytacji wywołanej w nim przez to niezwykle, dziwne, nieokiełznane otoczenie, po części zaś przez zmęczenie i samotność. Trudno było natomiast wyjaśnić niezwykle bladą twarz przewodnika, choć mógł to być efekt spowodowany przez blask bijący z ogniska lub złudzenie będące dziełem jego wyobraźni... Jako Szkot–realista, postanowił przejść nad tym drobnym szczegółem do porządku dziennego.

Kiedy znika niezwykle doznanie, umysł stara się zwykle wyjaśnić jego przyczyny na dziesiątki różnych sposobów... Simpson zapalił fajkę i wysiłił się na uśmiech. W drodze powrotnej do Szkocji przemyśli całą tę historię, a może nawet przeleje ją na papier. Nie zdawał sobie sprawy, że jego śmiech był oznaką grozy, wciąż jeszcze czającej się w jego wnętrzu, typowym symptomem, zgodnie z którym człowiek mocno czymś zaniepokojony stara się przekonać samego siebie, iż wcale tak nie jest. Defago wszakże usłyszał

ten cichy śmiech i uniósł wzrok ze zdziwieniem. Obaj też zaraz, nim udali się na spoczynek, zagasili żar w ognisku. Była już dziesiąta, o tej porze myśliwi zwykle dawno już spali.

– Co tak cię rozbawiło, szefie? – padło wtedy z ust Defago.

– Pomyślałem sobie o naszych małych lasach w mojej ojczyźnie – wykrztusił Simpson, powracając do tego, co leżało mu na wątrobie; to pytanie trochę zbiło go z tropu – i porównałem je z tymi ostępami... – wykonał zamaszysty gest ręką.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Mimo to, na twoim miejscu, Simpson, nie byłoby mi wcale do śmiechu – dodał Defago, spoglądając ponad ramieniem studenta w głąb cieni, – Są tu miejsca, do których nikt wcześniej nie dotarł, nikt nie wie, co w nich żyje.

– Zbyt wielkie, zbyt odległe? – To, co sugerowało zdziwienie przewodnika, było monumentalne i przerażające.

Defago skinął głową. Jego oblicze przepełniał mroczny wyraz. On także odczuwał niepokój. Student zdał sobie sprawę, że w *hinterlandzie* tych rozmiarów, wśród ostępów leśnych mogły znajdować się miejsca całkiem nieznanne, gdzie nigdy nie postąpiła ludzka stopa. Myśl ta ani trochę nie przypadła mu do gustu. Donośnym tonem oznajmił, że już czas ułożyć się na spoczynek. Przewodnik jednak ociągał się, rozrzucał obutą stopą ostatnie dogasające węgle w ognisku, poprawił otaczające je kamienie, w sumie robił całe mnóstwo zbędnych rzeczy. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale jakoś nie miał do tego śmiałości.

– Powiedz no, szefie – zaczął nagle, gdy w powietrze buchnął ostatni snop iskier – nie czujesz nic w powietrzu, nic szczególnego, znaczy się?

Zwyczajne z pozoru pytanie wzbudziło w duszy Simpsona poważne wątpliwości i narastający niepokój. Zimny dreszcz przeleciał mu po plecach.

– Nic prócz woni palonego drewna – odparł zdecydowanie, ponownie roztrzaskując stopą popioły. Towarzyszący temu dźwięk przyprawił go o kolejny dreszcz.

– A przez cały wieczór... nie poczułeś nic dziwnego, Simpson? – ciągnął z naciskiem przewodnik, wpatrując się w niego w półmroku. – Nic niezwykłego, czego nigdy wcześniej nie czułeś?

– Nie, wcale nie, w ogóle! – odparował gniewnie.

Oblicze Defago rozchmurzyło się. – To dobrze! – wykrzyknął z wyraźną ulgą – miło mi to słyszeć!

– A ty coś wyczułeś? – spytał ostrym tonem Simpson i natychmiast pożałował, że zadał to pytanie.

Kanadyjczyk podszedł do niego w ciemnościach. Pokręcił głową. – Chyba nie – odparł bez większego przekonania. – Pewnie to przez tę moją szantę. Nastroiła mnie melancholijnie i tyle. Tę pieśń śpiewa się w obozowiskach drwali i odludnych miejscach, takich jak to, gdzie ludzie obawiają się, że w pobliżu może czaić się Wendigo, spragnione kolejnej wędrowni...

– A co to takiego, Wendigo? – spytał pospiesznie Simpson, zdenerwowany, bo znów nie był w stanie opanować dreszczy, które targały jego ciałem. Wiedział, że był bliski poznania sekretu przewodnika i przyczyny jego prerażenia. Mimo to rodząca się w nim ciekawość przemogła wszelkie obawy i dystans.

Defago odwrócił się energicznie i spojrzał na niego, jakby miał wybuchnąć przeraźliwym wrzaskiem. Miał błyszczące oczy i szeroko otwarte usta. Jednak głos, jaki wydobył się spomiędzy jego warg, brzmiał niczym trwożliwy szept:

– E, to nic takiego, ot duby smalone, bujdy, w które wierzą zabobonni mężczyźni, zbyt często zagląający do butelki... podobno to zwierzę, które żyje gdzieś tam, w leśnych ostępach... – ruchem głowy wskazał na północ – szybkie jak błyskawica, większe niż jakikolwiek inny zwierz żyjący w puszczy, i jak powiadają, lepiej nie patrzeć na nie... ot i wszystko!

– Leśne zabobony... – zaczął Simpson, ruszając szybkim krokiem w stronę namiotu, by uwolnić się od dłoni przewodnika, zaciśniętej na jego ramieniu. – Dobra, chodź już, pospieszmy się, na miłość boską, i weź ze sobą tę latarnię! Pora spać, jeśli jutro mamy wstać skoro świt...

Przewodnik ruszył za nim. – Idę, idę – powiedział nerwowym tonem. – Już idę. – W chwilę potem wyłonił się z ciemności, niosąc latarnię. Zawiesił ją na kiju przy wejściu do namiotu. Równocześnie setki drzew zmieniły swe położenie, a kiedy przewodnik przegramolił się pod rozpiętą linką od namiotu i zwinnie wślizgnął się do środka, cały namiot zatrzęsł się, jakby uderzył weń silny podmuch wiatru.

Obaj mężczyźni, bez rozbierania się, legli na posłaniach ze starannie ułożonych miękkich gałęzi niecierpka. W namiocie było ciepło i miło, na

zewnątrz zaś świat złożony ze zmieniających swe szyki drzew zdawał się napierać nań, wysyłając naprzód forpocząty cieni, by zalały niewielki namiot swymi mrocznymi falami, jak samotną skałę zagubioną pośród bezmiaru leśnego oceanu.

Tymczasem na dwie postacie znajdujące się wewnątrz namiotu padł całkiem inny cień. Był to cień osobliwej trwogi, której mimo wszystko nie udało się w żaden sposób odegnąć, a która po raz pierwszy dopadła Defago, kiedy śpiewał tę samotną szantę. Cień ten padł także na Simpsona, obserwującego ciemność przez uniesioną płachtę u wejścia do namiotu i czekającego na przybycie snu. Student teologii wtedy właśnie zrozumiał, co oznacza niesamowita, niewzruszona cisza pierwotnego lasu, kiedy nie ma wiatru... a noc zdaje się być materialna i jak wąż wślizguje się do wnętrza ludzkiej duszy, by otoczyć ją szarym, lepkiem kokonem... Wkrótce potem zmorzył go sen.

I wtedy wydawało mu się, że to usłyszał. Mimo iż wciąż dochodził go niewyraźny plusk wody bijącej o brzeg, leżąc z otwartymi oczami, zdał sobie sprawę, że w przerwach pomiędzy szumem fal słyszeć jeszcze inne odgłosy.

Na długo przed tym, jak zdołał je zidentyfikować, wskrzesiły w nim one osobliwy żal i niepokój. Nasłuchiwał z uwagą, choć początkowo na próżno, gdyż szum krwi zagłuszał wszelkie dźwięki. Skąd dochodził ten dźwięk, od strony lasu, czy może jeziora?

Nagle jego serce zabiło żywszym rytmem, a on sam zdał sobie sprawę, że źródło zagadkowych dźwięków znajdowało się tuż obok niego, w namiocie, kiedy zaś wyteżył słuch, stwierdził, iż dzieliło go od niego zaledwie półtorej stopy. Dźwiękiem tym był szloch; Defago leżący na posłaniu z gałęzi płakał w ciemnościach tak żałośnie, że aż krajało się serce, choć koc przylegający do jego ust nieznacznie tłumiał te dźwięki.

Pierwsze, co poczuł, to głębokie współczucie. Ten przejmujący dźwięk obudził w nim dojmujący żal i nieprzebraną czułość. Był taki niestosowny, nie na miejscu i co więcej, rozlegał się na próżno! Cóż mogły sprawić łzy tu, w tej leśnej głuszy? W myślach ujrzał małe, szlochające dziecko, pośrodku Oceanu Atlantyckiego... Wtedy też, gdy zaczął lepiej pojmować i przypominał sobie, co zaszło wcześniej, ogarnęło go przerażenie i krew zastygła mu w żyłach.

– Defago – wyszeptał – co się stało? – Próbował nadać swemu gło sowi delikatne brzmienie. – Czy coś cię boli, cierpisz, jesteś nieszczęśliwy...?

Odpowiedzi nie było, ale dźwięki nagle ucichły. Wyciągnął rękę i dotknął go. Przewodnik nawet nie drgnął.

– Śpisz? – dopiero teraz zdał sobie sprawę, że tamten mógł płakać przez sen. – Zimno ci? – Zauważył, że jego gołe stopy były wysunięte po za namiot. Nakrył je fragmentem swego koca. Przewodnik zsunął się z po słania, ciągnąc za sobą gałęzie. Simpson nie chciał go poruszyć, aby go nie obudzić. Rzucił w półmrok kilka cichych pytań, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wreszcie usłyszał regularny oddech kanuka, a przyłożywszy dłoń do jego piersi, poczuł, jak równo się ona unosi i opada.

– Daj znać, gdyby coś było nie tak – wyszeptał – powiedz, jeśli będę mógł coś zrobić. Obudź mnie, jeśli poczujesz się... dziwnie.

Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć. Znów się położył, zastanawiając się, co to wszystko mogło oznaczać. Defago bez wątpienia popłakiwał przez sen. Musiało przyśnić mu się coś strasznego. Mimo to wiedział, że już do końca życia nie zapomni tego żałosnego szlochu i wrażenia, że cały las na zewnątrz pilnie się temu przysłuchiwał...

Jego myśli długo jeszcze zaprzętało wspomnienie tego zdarzenia, które Simpson natychmiast uznał za zagadkowe i osobliwe i choć rozsądek skutecznie odpierał wszelkie niepożądane sugestie, wrażenie niepokoju pozostało, nie pozwalając się wyprzeć, osadzone głęboko na samym dnie jego duszy.

Sen jednak na dłuższą metę okazał się silniejszy od wszelkich doznań. Znów zaczął błędzić myślami, leżał w ciemnościach, stopniowo poddając się znużeniu, noc koła go i utulała, odsuwając w cień lęki i złowrogie wspomnienia. W pół godziny później pogrążył się w błogim zapomnieniu.

Mimo to w tym akurat przypadku sen stał się jego największym wrogiem, tuszując ostrzeżenia instynktu i nie pozwalając mu wyczuć zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Jak to czasem bywa z koszmarami, wypadki nakładają się na siebie, następując jeden po drugim, wywołując wrażenie przeraźliwego, porażającego realizmu, a jednak pewne niekonsekwencje i nie pasujące do innych szczegóły zdradzają ich sztuczność i iluzoryczność; tak samo było i tym razem. Wydarzenia, które miały miejsce, choć bez wątpienia autentyczne, przekonały umysł, że w całym zamieszaniu pewne szczegóły

mogące posłużyć ich wyjaśnieniu zostały przeoczone, a co za tym idzie, tylko częściowo była to prawda, reszta zaś była zwykłym omamem. Częstka umysłu śpiącego zawsze czuwa, gotowa dokonać pospiesznego osądu: To wszystko nie do końca jest prawdą, kiedy się obudzisz, na pewno to zrozumiesz.

Tak właśnie było z Simpsonem. Wypadki, nie do końca wytłumaczalne lub same w sobie niesamowite pozostawały dla człowieka, który był ich świadkiem, serią odrębnych elementów jednego przeraźliwego koszmaru, ponieważ fragment, który mógł sprawić, że układanka ta stanie się wyrazistą całością, został przeoczony lub ukryty.

O ile dobrze pamiętał, w namiocie miało miejsce jakieś gwałtowne poruszenie, coś rzuciło się w kierunku wyjścia - i to go obudziło. Wtedy też zdał sobie sprawę, że jego towarzysz siedzi sztywno obok niego, dygocząc jak osika. Musiało upłynąć wiele godzin, gdyż do wnętrza namiotu wpływały pierwsze promienie słońca. Tym razem przewodnik nie płakał, drżał jak liść, dygotał tak mocno, że było to czuć przez koc okrywający całe jego ciało od stóp aż po szyję. Defago wtulił się w niego dla ochrony, cofając się przed czymś, co najwyraźniej kryło się przy uniesionej płachcie u wejścia do namiotu. Simpson, także oszołomiony nagłym przebudzeniem, zaczął go wypytywać – lecz tamten nic nie odpowiedział. Na co i jemu udzieliła się duszna atmosfera mrocznego, mrozącego krew w żyłach koszmaru. Trudno mu było wydusić z siebie choć słowo, miał też trudności z poruszaniem się, w pierwszej chwili nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje, czy w jednym z poprzednich obozowisk, czy może w swoim łóżku, w domu, w Aberdeen. Miał w głowie mętlik.

W następnej chwili – niemal po tym, jak się obudził – ciszę świtu na zewnątrz rozdarł niesamowity dźwięk. Pojawił się bez ostrzeżenia, a był on zaiste potworny. Zdaniem Simpsona był to głos ludzki, ochrypły, lecz żałosny i płaczliwy; ów miękki, ryczący głos rozległ się tuż przy wejściu do namiotu, dobiegał raczej z góry niż od strony ziemi, był naprawdę potężny, na swój sposób przenikliwy i kusząco słodki. Pobrzmiwały w nim trzy odrębne dźwięki – lub wrzaski – zdające się układać w nazwisko kanadyjskiego przewodnika – *De-fa-go!*

Student przyznał potem, że nie potrafi opisać tego lepiej i precyzyjniej, nigdy bowiem nie słyszał niczego podobnego. W dodatku dźwięk ten zdawał się zawierać w sobie niewysłowione sprzeczności.

– To było takie przeciągłe zawrodożenie, jak szum wiatru – objaśniał Simpson - jak zew czegoś samotnego i nieujarzmionego, dzikiego i obdarzonego niewypowiedzianą mocą...

Zanim ten dźwięk ucichł, rozpluwając się w bezmiarze ciszy, przewodnik poderwał się z posłania z donośnym, lecz nieartykułowanym krzykiem. Uderzył w podpórkę namiotu, omal jej nie łamiąc, rozłożył szeroko ręce, jakby potrzebował więcej przestrzeni, zaś wierzgnięciem nóg zrzucił z siebie koce. Przez chwilę, może dwie, stał wyprostowany u wejścia do namiotu, jego sylwetka odcinała się wyraźnie na tle promieni wschodzącego słońca, po czym z dziką zawziętością wypadł na zewnątrz i zniknął, nim jego towarzysz zdążył go zatrzymać. Stało się to tak szybko, tak błyskawicznie, że Simpson zdołał tylko usłyszeć jego głos, niknący w oddali, przeraźliwy krzyk pełen dojmującej grozy i jakby rozkoszy zarazem:

– Och! Och! Moje stopy płoną! Moje stopy płoną żywym ogniem! Och! Och! Ta wysokość i paląca prędkość!

Zaraz potem głos rozplynał się w dali, a w lesie znów zapanowała niezmacona cisza.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, tak błyskawicznie, że gdyby nie puste posłanie obok, Simpson złożyłby to, co się stało, na karb nocnego koszmaru. Wciąż czuł obok siebie ciepło ciała, którego już tam nie było, opodal walały się ciśnięte niedbale koce, cały namiot trząsał się pod wpływem drgań wywołanych nagłym opuszczeniem go przez przewodnika. Dziwne słowa wciąż rozbrzmiewały w jego uszach, jakby nadal dochodziły doń z oddali – słowa w dziwnym, dzikim języku. Co więcej, doznał nie tylko niezwykłych wrażeń wzrokowych i słuchowych, kiedy bowiem Defago zaczął krzyczeć i pognał jak szalony przed siebie, Simpson poczuł w namiocie słabą, choć wyraźnie wyczuwalną woń. Chyba właśnie w tym momencie, gdy uświadomił sobie, że owa woń dociera przez jego nozdrza do gardła, zebrał się na odwagę, poderwał z posłania i wyszedł na zewnątrz.

W szarym świetle świtu przesączającym się zimno między drzewami Simpson powoli, uważnie rozejrzał się dokoła. Z tyłu, za sobą miał namiot, wilgotny od rosy, opodal widniały ciemne popioły ogniska – wciąż jeszcze były ciepłe, jezioro skrzyło się pod warstewką białej jak mleko mgły, wylaniające się z niej czarne wysepki wyglądały jak otulone watą, tu i ówdzie na wolnej przestrzeni zalegał śnieg. Wszystko było spowite mrozem

i czekało na słońce. Nigdzie jednak nie było widać zaginionego przewodnika, który zapewne biegł dalej, na oślep, w głąb lasu. Nie słychać było jego kroków ani przeraźliwego krzyku. Znikł, jakby rozpułynał się w powietrzu.

Zniknął bez śladu, pozostały jedynie wyraźne oznaki jego niedawnej obecności i ten dziwny, wyczuwalny w powietrzu dziwny odór. Nawet on jednak zaczął się szybko rozpułynać i znikać. Simpson, choć wzburzony i oszołomiony, próbował go zidentyfikować, lecz rozpoznanie słabo wyczuwalnego zapachu, nie dokonane podświadomie i od razu, staje się prawie niemożliwe. Jemu także się nie udało. Woń znikła, zanim Simpson zdołał ją rozpoznać. Trudno mu było ją nawet opisać, gdyż nigdy dotąd nie czuł niczego podobnego. Był to kwaśny odór, przypominający fetor lwa, aczkolwiek delikatniejszy i nie do końca niemiły, lekko słodkawy, przywodzący na myśl zapach gnijących liści, ziemi i mnóstwa innych, nieokreślonych rzeczy, które składają się na woń wielkiego lasu. W sumie jednak najlepiej określał tę woń fetor lwa.

W końcu jednak zapach przestał być wyczuwalny, a Simpson stał przy wygasłym ognisku, zdezorientowany i osłupiały, jak sparaliżowana trwożą ofiara czekająca na dalszy rozwój wydarzeń. Gdyby piźmowiec wychylił łebek znad skały albo wiewiórka przebiegła po pniu drzewa, student bez wątpienia padłby bez zmysłów na ziemię. Jego nerwy były napięte do ostateczności. Czuł bowiem w tej całej sprawie tchnienie Wielkiego Zewnętrznego Koszmaru, a sam był zbyt słaby i nie miał dość szans, aby zebrać się w sobie i odzyskać zimną krew.

Nic się jednak nie wydarzyło. Przez budzący się las przepłynął lekki powiew wiatru, jego ulotne pocałunki strąciły z gałęzi klonów kilka liści. Niebo wyraźnie pojaśniało. Simpson poczuł na policzku pieszczotliwe muśnięcie wiatru i zdał sobie sprawę, że dygocze z zimna. Z niejakim trudem uświadomił sobie, że jest sam w wielkiej puszczy i że musi podjąć natychmiastowe kroki, aby odnaleźć i ocalić zaginionego towarzysza.

Jak postanowił, tak też uczynił, choć jego wysiłki spełzyły na niczym. Otoczony drzewami, odcięty z tyłu przez jezioro, czując, jak krew zastyga mu w żyłach, zrobił to, co w podobnej, niespodziewanej sytuacji zrobiłby każdy żółtodziób – zaczął biegać to tu, to tam, nawołując przewodnika:

– Defago! Defago! Defago! – krzyczał, a drzewa odpowiadały nieco tylko stłumionym echem: „Defago! Defago! Defago!”

Podążył za tropem, który był widoczny na niewielkich spłachetkach śniegu, po czym zgubił go między drzewami. Nawoływał, aż ochrypl, i dźwięk jego własnego głosu, pozostający bez odpowiedzi zaczął go przerażać. Jego dezorientacja rosła wprost proporcjonalnie do czynionych przezeń desperackich wysiłków. Dał z siebie wszystko, a gdy w końcu zmęczenie zabiło w nim lęk, powrócił skrajnie wyczerpany do obozowiska. To cud, że w ogóle tam trafił. Dokonał tego nie bez trudu, po wielokroć myląc drogę, ale w końcu ujrzał przed sobą biały namiot i wrócił w bezpieczne miejsce. A zmęczenie stało się dla niego wybornym lekarstwem, dzięki niemu zdołał się uspokoić. Rozpalił ognisko i zjadł śniadanie.

Gorąca kawa i bekon pozwoliły mu odzyskać nieco zdrowego rozsądku i zdał sobie sprawę, że zachował się jak dziecko. Spróbował niniejszym ponownie i już nieco rozsądniej stawić czoła sytuacji, w jakiej się znalazł, i po namyśle stwierdził, że zacznie od możliwie jak najbardziej skrupulatnych poszukiwań zaginionego kanuka, a jeśli te zakończą się fiaskiem, wróci do głównego obozowiska i sprowadzi pomoc.

Tak też uczynił. Zabierając z sobą prowiant, zapalki i sztucer oraz niewielki toporek, aby znakować pnie drzew, o ósmej rano wyruszył w drogę. Słońce świeciło ponad wierzchołkami drzew, niebo było bezchmurne. Przy ognisku, na kołku student przymocował jeszcze kartkę z wyjaśnieniem, na wypadek, gdyby pod jego nieobecność Defago wrócił do obozu.

Tym razem, postępując zgodnie ze starannie opracowanym planem, ruszył w drugą stronę, zamierzając zatoczyć szerokie półkole, w nadziei, że prędzej czy później natknie się na ślady pozostawione przez przewodnika – i zanim przebiegł pół mili, napotkał widoczne na śniegu tropy dużego zwierzęcia, obok zaś mniejsze, słabo widoczne ślady ludzkich stóp: stóp Defago. Ulga, jaką wywołał w nim ten widok, była naturalna, jednak krótkotrwała, bo już na pierwszy rzut oka zorientował się, co musiało się wydarzyć. Te wielkie ślady z całą pewnością pozostawił łoś – zapewne przypadkiem natknął się na ich obozowisko i zaniepokojony obecnością ludzi, których zwierzył zbyt późno, wydał ów przeciągły, dziki ryk. Defago, w którym instynkt łowcy rozwinięty był do perfekcji, zwęszył zwierzę już wiele godzin temu. Jego podniecenie i zniknięcie wynikało li tylko...

Szybko jednak to niesamowite wyjaśnienie wydarzeń ostatnich godzin zaczęło tracić rację bytu, zdrowy rozsądek jasno uświadomił mu pomyłkę. Żaden przewodnik, a już na pewno nie ktoś taki jak Defago, nie mógłby zachować się w równie irracjonalny sposób, oddalając się od obozu bez broni! To wszystko wydawało się o wiele bardziej złożone, zwłaszcza gdy Simpson przypomniał sobie więcej szczegółów... Okrzyk przerażenia, niezwykle język, poszarzałe ze zgrozy oblicze, kiedy przewodnik poczuł w nozdrzach tę nową woń; zduszony szloch w ciemnościach, a także, i to przypomniał sobie dopiero teraz – głęboką awersję, jaką odczuwał kanuk wobec tego szczególnego miejsca...

Poza tym teraz, kiedy przyjrzał się im bliżej, Simpson stwierdził, że wielkie tropy nie były wcale śladami łośia!

Hank pokazał mu, jak wyglądają ślady łośi, zarówno samców jak i młodych łośąt, naszkicował je wyraźnie na kawałku brzozy kory. Te wyglądały całkiem inaczej. Były wielkie, okrągłe, szerokie, bez ostrych krawędzi, jakie pozostawiają kopyta łośi. Pomyślał, czy tak mogą wyglądać ślady niedźwiedzia. Żadne inne zwierzę nie przychodziło mu do głowy, karibu bowiem o tej porze roku nie zapuszcza się tak daleko na południe, a jeżeli nawet, pozostawiłoby przecież wyraźne ślady kopyt.

To były złowrogie ślady, te zagadkowe tropy pozostawione na śniegu przez nieznaną istotę, która wywabiła Defago w mroczne ostępy puszczy, a kiedy w myślach połączył je z tym przeraźliwym dźwiękiem, który rozdarł ciszę poranka, na moment jego umysł ogarnęło oszołomienie wywołujące w sercu coraz większy niepokój. To wszystko wydawało mu się podejrzanę i groźne. Gdy nachylił się, aby przyjrzeć się lepiej śladom na śniegu, znów poczuł ten kwaśny odór i natychmiast wyprężył się jak struna, usiłując pokonać wzbierające w nim mdłości.

Pamięć znów potraktowała go w okrutny sposób. Nagle bowiem przypomniał sobie wystające z namiotu stopy przewodnika i wrażenie, jakby ktoś – lub coś – próbowało wywlec go na zewnątrz, oraz to, jak tamten kulił się, próbując uchronić się przed czymś, co czyhało u wejścia do namiotu. Szczegóły niby już zapomniane przypuściły zmasowany atak na jego umysł. Zdawały się gromadzić w rozległych ostępach mrocznego lasu wokoło, gdzie drzewa stały, oczekując, nasłuchując i bacznie obserwując wszystkie jego poczynania. Las zdawał się go osaczać.

Simpson nieustrudzony i niezmordowany ruszył dalej, podążając za widocznymi na śniegu śladami. W głębi duszy rozpaczliwie starał się zwalczać w sobie wrogie, niechciane emocje osłabiające jego siłę woli. Po drodze naznaczył całe mnóstwo drzew, obawiając się, że mógłby nie trafić z powrotem do obozowiska, co kilka chwil głośno nawoływał zaginionego przewodnika. Tępe uderzenia siekiery o masywne pnie i nienaturalne brzmienie jego własnego głosu stały się w końcu dźwiękami, których nie chciał już wywoływać, ani tym bardziej usłyszeć. Zdradzały one bowiem nieustannie jego obecność, a jeżeli faktycznie, tak jak przeczuwał, coś ścigało jego, tak jak on podążał tropem nieznanego zwierzęcia...

Z niemałym trudem odegnał od siebie tę myśl, gdy tylko pojawiła się w jego umyśle. Zdał sobie sprawę, że mogła ona zapoczątkować proces iście diabolicznej fascynacji, która nieuchronnie przywiodłaby go do zguby.

Choć śnieg nie sypał już nieprzerwanie, a jedynie zalegał płytką warstewką na niemal każdym skrawku otwartej przestrzeni, nie miał większych trudności z podążaniem po śladach przez kilka pierwszych mil. Wiodły prosto jak strzeły, o ile tylko pozwalały na to drzewa. Kroki niebawem zaczęły stawać się coraz dłuższe, aż w końcu osiągnęły proporcje, zdawałoby się, niemożliwe, by mogło je zrobić jakiegokolwiek znane człowiekowi zwierzę. Przerodziły się w coś w rodzaju długich susów. Zmierzył odległość pomiędzy dwoma kolejnymi śladami i choć wiedział, że dystans osiemnastu stóp to rzecz nieprawdopodobna, musiał się gdzieś pomylić, niemniej jednak nie potrafił pojąć, dlaczego na śniegu pomiędzy tymi śladami nie odkrył żadnych innych znaków. Jednak w jeszcze większe zakłopotanie wprawilo go przekonanie, iż zawodzi go wzrok, albowiem odniósł wrażenie, że także kroki Defago stały się dłuższe i odległości pomiędzy nimi niepomiarne się zwiększyły. Wydawało się, jakby jakaś olbrzymia bestia porwała go z sobą i poniosła, oddalając się w głąb puszczy zdumiewającymi, gigantycznymi susami. Simpson, który miał o wiele dłuższe nogi, stwierdził, że nawet skacząc, nie jest w stanie pokonać połowy odległości pomiędzy tymi zagadkowymi śladami.

Widok tych ogromnych śladów, biegnących obok siebie, milczące świadectwo przeraźliwej wędrówki, w której zgroza lub szaleństwo skłaniało go do osiągnięcia niemożliwych, zdawałoby się, wyników, był niewiarygodnie poruszający. To wstrząsnęło nim do głębi. To była najbardziej przerażająca rzecz, jaką miał okazję widzieć. Zaczął iść po

śladach zgoła mechanicznie, prawie bez namysłu, raz po raz oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy i za nim nie podążała jakaś olbrzymia, poruszająca się skokami, nieznana bestia...

Niebawem zaś czekała go jeszcze jedna nieodgadniona zagadka, gdyż zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co mogły oznaczać te odcisnięte w śniegu ślady pozostawione przez coś nieznanego i nieokiełzanego, towarzyszące śladom stóp niskiego, drobnego kanuka, jego przewodnika i towarzysza, mężczyzny, z którym zaledwie przed kilkoma godzinami dzielił namiot, gawędził, śmiał się, a nawet nucił do wtóru...

Jak na swój wiek i doświadczenie, ten młody Szkot zbrojny w zdrowy rozsądek i niezłomną logikę spisał się doskonale, można by niemal uznać za cud, że nie stracił zimnej krwi w tak trudnych warunkach. W przeciwnym razie brnąc nieprzerwanie naprzód i zwróciwszy uwagę na dwie rzeczy, musiałby natychmiast zawrócić do zapewniającego jako takie bezpieczeństwo namiotu, zamiast mocniej ścisnąć w rękę sztucer, a w głębi duszy żarliwie odmawiać kolejne modlitwy. Dostrzegł on bowiem, że oba tropy nieznacznie się zmieniły, a zmiana ta, zwłaszcza jeśli chodzi o ślady stóp ludzkich, była w bliżej nieokreślony sposób zatrważająca.

Najpierw zauważył zmianę w większych śladach i przez długi czas nie mógł uwierzyć własnym oczom. Czy to niesione wiatrem liście wywołały ten dziwny efekt światłocienia, czy może suchy śnieg, przesypany się po brzegach jak ziarenka ryżu, powodował osobliwą grę światła i cieni? A może wynikało to z faktu, że w śladach tych pojawił się po raz pierwszy kolor?

Otóż w okrągłych zagłębieniach pozostawionych przez oddalające się pospiesznie zwierzę Simpson ujrzał tajemniczy, czerwony odcień, przywodzący na myśl raczej efekty gry światła niż nasączenie śniegu jakąś bliżej nieokreśloną substancją. Barwa ta pojawiała się w każdym ze śladów i było jej coraz więcej; ten nieokreślony, ognisty nalot dodał całości jeszcze bardziej upiornego wyrazu.

Kiedy jednak, nie potrafiąc odnaleźć wytłumaczenia czy uzasadnienia tego dziwnego szczegółu, skupił swą uwagę na innych śladach, aby odkryć, czy także one wyglądały podobnie, przekonał się, że zaszła w nich o wiele gorsza zmiana, sugerująca coś znacznie bardziej potwornego i niewytłumaczalnego. Otóż bowiem na przestrzeni ostatnich stu jardów okazało się, że ślady stóp ludzkich stopniowo zaczęły się powiększać i

zmieniać, tak że koniec końców przypominały te drugie, tropy dziwnego zwierzęcia.

Trudno było określić, gdzie rozpoczęła się owa zmiana. Zachodziła wolno, lecz nieubłaganie. Rezultat był jednak niezaprzeczalny. Wcześniej mniejsze, wyraźniejsze, lepiej ukształtowane, teraz wyglądały jak dokładna kopia dziwnego, towarzyszącego im tropu. Zatem stopy, które je pozostawiały, także musiały się zmienić. Na widok tych śladów w umyśle Simpsona pojawiły się nagle bliżej nieokreślona trwoga i odraza.

Student dopiero teraz po raz pierwszy się zawahał, po czym zawstydzony własnym zaniepokojeniem i niezdecydowaniem postąpił szybko kilka kroków naprzód i nagle stanął jak wryty. Tuż przed nim trop się urywał, oba ślady po prostu znikły! Przeszedł jeszcze dobrych kilka jardów, na próżno poszukując kolejnych śladów. Nie znalazł ich.

Drzewa rosły tu bardzo gęsto, były to zaiste wielkie, strzeliste drzewa, świerki, cedry, tsugi, żadnych krzewów. Simpson stał niepewnie, rozglądając się wokoło. Nie wiedział, co ma sądzić o całej tej sytuacji. Dwie pary śladów z niewiadomych powodów jakby rozplynęły się w powietrzu!

I właśnie w tej chwili oszołomienia i dezorientacji bicz zgrozy smagnął jego serce. Trafił w najczulsze miejsce, wzbudzając w młodzieńcu niepojętą trwogę. Obudził w nim uspięne lęki. Nagle bowiem z góry, stłumiony przez wysokość i odległość, dobiegł go głos Defago.

Dźwięk ten doszedł go prosto z mroźnego, zimowego nieba, rozbudzając w studencie nieopisaną trwogę i konsternację. Wypuścił z rąk strzelbę. Stanął sztywno wyprostowany, jakby nasłuchując całym ciałem, po czym zachwiał się, oparł o pień najbliższego drzewa, kompletnie rozbity fizycznie i duchowo. Było to w jego mniemaniu najbardziej druzgoczące i traumatyczne przeżycie, jakiego kiedykolwiek doświadczył, a jego serce w jednej chwili zostało opróżnione z wszelkich emocji.

– Och! Och! Och! Ta pałaca wysokość! Och, moje stopy płoną! Płoną żywym ogniem...! – takie właśnie słowa doszły Simpsona z przestworzy. Głos był charakterystyczny, z francuskim akcentem, typowym dla kanadyjskiego przewodnika. Rozległ się tylko raz, po czym w leśnej głuszy zapanowała niezmacona cisza.

Simpson, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął biegać w tę i z powrotem, wypatrując, nawołując, potykając się o gałęzi i korzenie i

rozpaczliwie poszukując tego, który wydał z siebie ów głos. Nie pamiętał potem, co się z nim działo, nie odczuwał niczego, gdy tak biegł na oślep, z przerażeniem w oczach, sercu i duszy. Błądził jak statek we mgle. Wraz z tym głosem bowiem ogarnęła go Panika Leśnej Głuszy, moc niezmiernych odległości, urok odludzia, który przywodzi ludzi ku zgubie. W tym momencie poznał cały ból ludzi, którzy kompletnie i nieodwracalnie się zagubili, cierpienie ich żądz i udrękę duszy pogrążającej się w ostatecznym Osamotnieniu. Wizja wiecznie ściganego Defago, zmuszonego do biegu – nie kończącej się ucieczki pośród rozległego bezmiaru niebios rozpościerających się ponad tymi pradawnymi lasami – przemknęła w jego myślach jak gorejąca kometa...

Miał wrażenie, że upłynęły wieki, zanim zdołał odnaleźć się pośród tego chaosu doznań i zaczął rozsądnie myśleć...

Krzyk nie powtórzył się; jego własne ochryple wołanie nie przyniosło rezultatu, nieodgadnione moce Dzikiej Natury przywołały swą ofiarę, pochwyciły ją i najwyraźniej nie zamierzały wypuścić.

Mimo wszystko prowadził poszukiwania i nawoływał jeszcze przez dobrych kilka godzin, było bowiem późne popołudnie, gdy postanowił powrócić do obozowiska nad brzegiem Fifty Island Water. Jednak nawet wówczas zrobił to z ogromnym wahaniem i niechęcią, gdyż owo dziwne, przeraźliwe wołanie wciąż rozbrzmiewało w jego uszach. Z niejakim trudem odnalazł swój sztucer i drogę powrotną do obozu. Skupienie, jakiego wymagało wypatrywanie pospiesznie oznakowanych drzew i uporczywe, wywołane głodem ssanie w dołku, pomagały mu zachować trzeźwość umysłu. W przeciwnym razie, jak przyznaje Simpson, chwilowa aberracja, jakiej doświadczył, mogłaby przerodzić się w stan przewlekły, a ten z kolei zapewne przywiódłby go do zguby. Stopniowo jednak udało mu się odzyskać wewnętrzną równowagę.

Marsz przez puszcę, pośród gęstniejących cieni nie zaliczał się do przyjemnych. Simpson słyszał za sobą dziwne dźwięki, jakby szelest kroków, podejrzanе szeptы i śmiech, dostrzegał postacie czające się za drzewami i głazami, dające sobie nawzajem znaki, jakby szykowały się do zmasowanego ataku na niego, gdy tylko na chwilę zatraci czujność. Denerwujące mamrotanie wiatru wzbudziło w nim niepokój i skłoniło do baczniejszego nasłuchiwania. Szedł skulony, prawie się skradał, starając się nie rzucać w oczy i czynić jak najmniej hałasu. Cienie drzew, do tej pory

delikatne i opiekuńcze, stały się nagle zuchwałe, groźne, a pogańska cząstka jego natury, ożywiona przerażeniem, wypełniła umysł mrocznymi, mrozącymi krew w żyłach podszeptami. Wszystko, co się tu wydarzyło, zdawało się emanować aurą wrogości i nadciągającej, niechybnej zguby.

To doprawdy niezwykle, że mimo wszystko wyszedł z tej próby zwycięsko. Nawet ludzie silniejsi i bardziej od niego doświadczeni mogliby sobie z tym nie poradzić. On natomiast dał sobie radę całkiem niezłe, zważywszy na okoliczności, o czym mogą świadczyć kolejne jego poczynania. Sen nie wchodził w rachubę, podobnie jak wędrówka w ciemnościach nieznanym szlakiem, toteż Simpson przesiedział całą noc, czuwając ze sztucerem w dłoni przy ognisku, nie pozwalając mu zgasnąć. To posępne, nerwowe czuwanie na zawsze pozostawiło ślad w jego duszy, niemniej jednak zakończyło się pomyślnie, a z nadejściem świtu student wyruszył w drogę powrotną do głównego obozu, aby sprowadzić pomoc. Tak jak poprzednio, zostawił notatkę z wyjaśnieniem swej nieobecności oraz informację, gdzie ukrył pokaźny zapas prowiantu i zapalek, choć nie spodziewał się, że jakikolwiek człowiek zdoła z nich skorzystać.

To, w jaki sposób Simpson odnalazł drogę przez jezioro i puszcę, jest historią samą w sobie, a gdy słucho się jego opowieści, człowiek zaczyna rozumieć, jak żarliwa tęsknota przesywa ludzką duszę na tym leśnym odludziu, gdy Natura dopadnie go w swoje szpony, śmiejąc się przy tym w najlepsze. Można także podziwiać jego niezłomną determinację.

On sam twierdzi, że podążał tym prawie niewidzialnym szlakiem, automatycznie, instynktownie, bez namysłu. I to bez wątplenia prawda.

Simpson zdał się w tym przypadku na instynkt i nie zawiódł się. Być może pomógł mu też zmysł orientacji, typowy dla zwierząt i prymitywnych ludów, bo mimo iż znajdował się w leśnej głuszy, udało mu się odnaleźć miejsce, gdzie Defago prawie trzy dni temu ukrył ich kanu, rzucając przy tym prawie mimochodem: „Aby trafić z powrotem do głównego obozu, wystarczy, że będziesz płynął na zachód, ku zachodzącemu słońcu.”

Słońce stało już nisko na niebie, ale wykorzystał je niczym kompas najlepiej, jak potrafił, wsiadając do łodzi, by pokonać ostatnie dwanaście mil drogi. Z niewysłowioną ulgą pozostawiał za sobą puszcę. Na szczęście pozostali myśliwi wrócili już do obozowiska. Blask ognisk był dla niego jak światółko latarni morskiej, gdyby nie one, mógłby błędzić do rana po całej okolicy w poszukiwaniu obozowiska.

Było już około północy, kiedy jego czołno zachrząściło o piaszczysty brzeg, a Hank, Punk i jego wujek wyrwani ze snu okrzykami studenta czym prędzej przybiegli i pomogli skrajnie wyczerpanemu, zdruzgotanemu potomkowi starego, szkockiego rodu przejść przez mulisty brzeg w stronę dogasającego ogniska.

Nagle pojawienie się jego wuja w tym świecie niezwykłości i koszmarów, w którym tkwił przez ostatnie dwa dni i dwie noce, przydało całej sprawie nowego wyrazu. Donośne „Jak się miewasz, mój chłopcze! Co powiesz?” oraz silny, zdecydowany uścisk ręki odmieniły jego sposób postrzegania i oceny sytuacji. Zalała go fala różnorodnych emocji. Uświadomił sobie, że miewa się raczej kiepsko. Wstydział się za siebie. To dawała o sobie znać wrodzona surowość i hart ducha jego rasy.

Bez wątpienia tym należy wytłumaczyć to, iż trudno mu było opowiedzieć pozostałym przy ognisku, co się wydarzyło. Mimo to powiedział im dość dużo, by jego towarzysze zdecydowali, że powinni jak najszybciej wyruszyć na poszukiwania znajomego przewodnika, kiedy tylko Simpson mający pełnić funkcję dowódcy wyprawy odpocznie trochę, naje się i prześni. Doktor Cathcart oszacowawszy stan pacjenta nieco wnikliwiej niż on sam, zrobił mu zastrzyk z niewielkiej dawki morfiny. Student spał po nim przez sześć godzin jak zabity.

Z relacji sporządzonej później starannie na piśmie przez Simpsona wynika, że w opowieści przekazanej swym towarzyszom pominął on wiele znaczących, istotnych dla całej sprawy szczegółów. Jak twierdzi, kiedy tylko spojrzął w oczy swemu wujowi i dostrzegł jego surowe, zimne spojrzenie, nie był w stanie wyjawić mu wszystkiego. Zabrakło mu odwagi. Dlatego też grupa poszukiwawcza, wyruszając na poszukiwanie Defago, była przekonana, iż nocą doznał on bliżej niewyjaśnionego ataku, podczas którego wydawało mu się, iż ktoś lub coś usilnie go nawołuje, i pognął w puszcę, bez żywności czy broni, gdzie czekała go niechybna śmierć z głodu lub wychłodzenia, o ile nie zostanie na czas odnaleziony i nie otrzyma niezbędnej pomocy. Na czas – czyli niezwłocznie.

Wyruszyli o siódmej rano, pozostawiając pod opieką Punka całe obozowisko i nakazując staremu Indianinowi, by doglądał ogniska i był gotów w każdej chwili podać suty posiłek, wcześniej jednak Simpson zdołał opowiedzieć wujowi nieco więcej na temat tego, co się stało, i nawet nie domyślał się, że stało się to w formie bardzo subtelnego przesłuchania.

Nim dotarli do miejsca, gdzie czekało już gotowe do drogi czółno, student wspomniał, że Defago niejako mimochodem napomknął o czymś, co nazywał Wendigo, że szlochał przez sen, wyczuwał w obozowisku jakąś dziwną woń i zdradzał objawy niezwykłego, nieuzasadnionego ożywienia i mentalnego podniecenia. Przyznał przy tym, że i on sam poczuł tę osobliwą woń, przywodzącą na myśl kwaśny, drażniący lwi fetor. Gdy od Fifty Island Water dzieliła ich godzina drogi, wspomniał o czymś jeszcze, o własnej hysterii, jaka ogarnęła go, gdy usłyszał przeraźliwe wołanie przewodnika wzywającego pomocy. Nie przytoczył jego słów, bo nie był ich w stanie wymówić, uważał je bowiem za absurdalne i bezsensowne. Ponadto opowiadając o tym, jak ślady ludzkie na śniegu stopniowo przerodziły się w dokładną kopię głębokich tropów zwierzęcia, nie napomknął ani słowem, iż odległość pomiędzy kolejnymi śladami była niewiarygodnie duża. Balansując na cienkiej granicy pomiędzy dumą a uczciwością, instynktownie pomijał pewne szczegóły, inne natomiast ujawniał. Powiedział o płomiennym zabarwieniu śladów na śniegu, zataił natomiast, że wydawało mu się, iż ciało przewodnika wraz z posłaniem ktoś wywlóknął z namiotu...

Dysponując tymi informacjami zdobytymi w tak przemyślny sposób, doktor Cathcart, uważający się za bystrego psychologa, zapewnił studenta, że większość tego, co przeżył, było jedynie efektem osamotnienia, dezorientacji i zgrozy wynikającej z przemęczenia zarówno fizycznego jak i psychicznego, a koszmary, jakich doznał, stanowiły wytwór jego wybujałej wyobraźni. Pokusił się także o wyjaśnienie, co w jego mniemaniu było iluzją i omamem oraz w jaki sposób doszło do ich powstania. W swoim wywodzie określił stan psychiczny studenta jako znacznie lepszy od faktycznego, choć zdecydowanie umniejszył przez to wartość przytoczonej przez niego relacji. Jak wielu innych racjonalistów, dysponując niepełną wiedzą, posunął się do kłamstwa, gdyż uzyskane informacje były dla niego nie do przyjęcia.

– Te bezkresne połacie lasów – powiedział – wywierają na ludzki umysł niewiarygodnie silny wpływ, zwłaszcza gdy dana osoba odznacza się wyjątkowo bujną wyobraźnią. Twój umysł poddał się urokowi puszczy i tak samo było w moim przypadku, kiedy miałem tyle lat, co ty. Zwierzęciem, które nawiedziło wasz obóz, był bez wątpienia łoś - jego ryki mają niekiedy bardzo dziwne brzmienie. Zabarwienie większych śladów to jak mniemam

złudzenie wzrokowe, jakiego doznałeś w wyniku przemęczenia. Co się tyczy rozmiarów i odległości między śladami, zajmiemy się nimi na miejscu. Jeżeli chodzi o złudzenia słuchowe, są one jak najbardziej rozpowszechnioną formą omamów powstających wskutek silnego wzburzenia, wzburzenia z całą pewnością uzasadnionego, mój chłopcze. Muszę przyznać, że biorąc pod uwagę okoliczności, spisałeś się na medal. Co się tyczy reszty, uważam, że zachowałeś się bardzo dzielnie, bo nie ma większej zgrozy niż wrażenie zatracania się w bezmiarze leśnej głuszy, i będąc na twoim miejscu, daję słowo, nie potrafiłbym odnaleźć w sobie tyle zdecydowania i rozsądku, co ty. Jedyne, czego nie potrafię wyjaśnić, to ten nieprzyjemny, plugawy odór.

– Robiło mi się od niego niedobrze – przyznał student – kręciło mi się w głowie! – Zachowanie wuja, jego wszechobecny spokój wynikający z faktu, że znał więcej psychologicznych zwrotów i formułek, wzbudziły w młodzieńcu zuchwałość i sprzeciw. Łatwo było wymądrzać się i wyjaśniać rzeczy, których nie przeżyło się samemu. – Nie potrafię inaczej określić tej woni, to był przeraźliwy, nieprzyjemny, duszący fetor – dokończył, spoglądając na oblicze beznamiętnego mężczyzny, siedzącego tuż przy nim.

– Dziwię się tylko – padła odpowiedź – że w tych okolicznościach nie wydał się o wiele gorszy. – Simpson wiedział, że te oschłe słowa oscylowały pomiędzy prawdą a interpretacją prawdy w rozumieniu jego wuja.

Dotarli wreszcie do niewielkiego obozu; zastali w nim nienaruszony namiot, pozostałości ogniska i kartkę przypiętą do białego w ziemię kołka. Spiżarnia jednak, wykonana przez niedoświadczonego młodzieńca, została rychło odkryta i opróżniona przez piżmaki, norki i wiewiórki. Zapałki walały się po ziemi, lecz po żywności nie było już śladu.

– No cóż, nie ma i nie było go tu – zawołał donośnie Hank, w typy wy dla siebie, przesadny sposób – to pewne jak amen w pacierzu. Ale rów nie pewne jest, co się z nim stanie, jeżeli go nie znajdziemy. – Obecność studenta teologii nie powstrzymała go przed użyciem kilku bardziej do sadnych słów, które w późniejszej relacji zostały pominięte. – Proponuję – dodał – abyśmy nie zwlekali, tylko wyruszyli na poszukiwanie, bo bę dzie za późno!

Niebezpieczeństwo grożące przewodnikowi sprawiło, że członkowie wyprawy stali się milczący i posepni. Wrażenie to wzbudził w nich widok

niedawno opuszczonego obozowiska, a zwłaszcza namiotu ze znajdującym się wewnątrz posłaniem z gałęzi wygniecionych na płasko pod ciężarem ciała przewodnika. Simpson, czując mgliście, że inni tego odeń oczekują, zaczął wyjaśniać im pominięte wcześniej szczegóły. Był teraz znacznie spokojniejszy, choć przemęczony po kolejnej podróży.

Zastosowana przez wuja metoda uwalniania umysłu od napięcia przez poszukiwanie potencjalnych wyjaśnień, zwłaszcza gdy wciąż miał na świeżo w pamięci wszystkie szczegóły, okazała się nader pomocna przy ujarzmieniu wzburzonych emocji.

– Pobiegnij w tamtą stronę – rzekł, wskazując obu towarzyszom, gdzie w szarym świetle brzasku tamtego poranka znikł kanucki przewoźnik. – Pobiegnij rączo, jak jeleni, pomiędzy tamte brzozy i tsugi.

Hank i doktor Cathcart wymienili spojrzenia.

– Będzie ze dwie mile, prosto jak strzeleń – ciągnął student, dziwnie drżącym głosem, w którym pojawiła się nuta przerażenia – gdy po śladach dotarłem do miejsca, gdzie trop nagle się urywa!

– I tam też usłyszałeś jego wołanie, poczułeś ten smród i całą resztę – zawołał Hank niepewnym tonem.

– Tam właśnie wskutek nadmiernego stresu zacząłeś mieć omamy – dodał doktor Cathcart niemal szeptem, lecz nie dość cicho, aby bratanek nie zdołał go usłyszeć.

Było wczesne popołudnie, albowiem podróżowali szybko, i do zmierzchu zostały jeszcze dwie godziny. Doktor Cathcart i Hank niezwłocznie udali się na poszukiwanie, lecz Simpson był zbyt wyczerpany, aby im towarzyszyć. Mieli pójść za pozostawionymi przez niego nacięciami na drzewach i potem dalej, po śladach. A on sam dopilnuje ogniska i nabierze sił.

Mniej więcej po trzech godzinach, gdy słońce już zaszło, mężczyźni powrócili z niczym. Świeży śnieg zasypał ślady i choć dotarli po znakach na drzewach do miejsca, gdzie Simpson zawrócił, nie napotkali żadnych śladów. Zero jakichkolwiek tropów, śnieg skrył wszystko.

Nie sposób było stwierdzić, co powinni zrobić w tej sytuacji, nie mieli wielkiego wyboru. Mogli pozostać i prowadzić poszukiwania przez kolejne tygodnie, bez większej szansy powodzenia. Świeży śnieg zniweczył ich jedyną nadzieję, toteż gdy zasiedli przy ognisku do wieczery, wszyscy bez wyjątku byli w minorowych nastrojach. Sytuacja była zaiste trudna, gdyż

Defago miał w Rat Portage żonę, a jego zarobki stanowiły jedyne źródło utrzymania rodziny.

Teraz, kiedy na jaw wyszła ponura prawda, nie było sensu dłużej jej ukrywać. Zaczęto otwarcie rozważać fakty i możliwości. Doktor Cathcart nie po raz pierwszy stykał się z sytuacją, kiedy człowiek w obliczu bezmiaru Natury poddawał się jej urokowi i tracił rozum, Defago zaś miał po temu pewne predyspozycje, był bowiem melancholijny z natury, a jego siłę woli osłabiały napady pijackiego ciągu, który, zdarzało się, trwał całymi tygodniami. Coś podczas tej wyprawy – być może nigdy nie będzie wiadomo co – sprawiło, że posunął się o krok za daleko, przekroczył granicę i przepadł. A raczej odszedł, pognał na łeb na szyję w głąb puszczy, by skonać gdzieś tam, wśród lasów i jezior, z głodu i wyczerpania. Szanse, że zdoła sam wrócić do obozu, były nikłe, obłąd, w jaki popadł, bez wątpienia będzie postępować w miarę upływu czasu, istniało prawdopodobieństwo, że kanuk mógł wyrządzić sobie własnoręcznie krzywdę, a tym samym przyspieszyć i przypieczętować własną zgubę. Być może właśnie teraz konał gdzieś tam, wśród gałęzi. Jednakże na prośbę Hanka, starego przyjaciela kanuka, postanowili zaczekać jeszcze trochę i kontynuować poszukiwania przez cały następny dzień, od świtu do zmierzchu, przeczesując możliwie jak największe terytorium; każdy z nich uda się w inną stronę. Podzielili okoliczny teren między siebie. Opracowali szczegółowy plan poszukiwań. Zrobili wszystko, co było możliwe.

Teraz zaś w rozmowie poruszyli szczególną formę, w jakiej osobiwy Zew Natury owładnął umysłem nieszczęsnego przewodnika. Hank, choć znał tę legendę, najwyraźniej nie miał ochoty zdradzać jej szczegółów. Nie podobało mu się, na jaki temat zeszła ta rozmowa. Włączał się w nią, lecz bez większego entuzjazmu. Przyznał bowiem, że w tej okolicy od dawna krążyły pewne legendy, w wyniku których kilku Indian nad Fifty Island Water rzekomo miało ujrzeć Wendigo jesienią ubiegłego roku i to właśnie było głównym powodem, dlaczego Defago nie chciał polować na tym terenie. Hank bez wątpienia czuł się po części odpowiedzialny za śmierć starego przyjaciela, gdyż to on nakłonił go ostatecznie do zmiany decyzji. – Kiedy Indianin popada w obłąd – wyjaśnił, mówiąc bardziej do siebie niż do innych – zawsze mówi się, że ujrzał Wendigo. Biedny, stary Defago był zabobonny do szpiku kości...

Wtedy właśnie Simpson, ogarnięty nastrojem do zwierzeń, ponownie opowiedział im już całą tę historię, nie pominął żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu, wspomniał o swoich lękach i osobliwych odczuciach. Nie przytoczył jedynie dziwnych słów, które miał okazję usłyszeć.

– Defago więc w rzeczy samej opowiedział ci ze szczegółami legendę o Wendigo, drogi przyjacielu – rzekł z naciskiem doktor. - A czy nie mogło być tak, że opowiedziawszy ci o tym, równocześnie natchnął twój umysł symbolami i pojęciami, które później zostały rozwinięte przez narastające w nim stesy, napięcie i zdenerwowanie...?

Simpson znów przytoczył wszystkie fakty. Defago wspomniał jedynie mimochodem o jakimś zwierzęciu. On, Simpson, nie znał związanej z nim legendy ani nigdy, o ile sobie przypominał, nie czytał nic na ten temat. Nawet to słowo słyszał wówczas po raz pierwszy.

Naturalnie mówił prawdę, a doktor Cathcart z pewnym wahaniem musiał przyznać, że cała ta sprawa ma wyjątkowy charakter. Nie wyraził tego jednak słowami, lecz swoim zachowaniem. Oparł się plecami o pień grubego, strzelistego drzewa, przegarniał ognisko za każdym razem, gdy zaczynało dogasać, szybciej niż inni reagował na rozlegające się dokoła odgłosy nocy – plusk wody w jeziorze, trzask gałązki w leśnym gąszczu, szmer topniejącego śniegu osypującego się z konarów okolicznych drzew.

Jego głos także się zmienił, miał w sobie mniej pewności siebie i był o wiele cichszy. Nie ulegało wątpliwości, że nad obozem zawisło widmo strachu i choć trzech mężczyźni mieli wielką ochotę rozmawiać na różne tematy, nieodmiennie wracali w dyskusji do tego jednego, jedyne – dotyczącego źródła ich lęków.

Na próżno usiłowali podejmować inne tematy, rozmowa się nie kleiła. Hank, najuczciwszy z całej grupy, prawie cały czas milczał. Ani razu jednak nie odwrócił się plecami do ciemności. Siedział zwrócony twarzą w kierunku lasu, a gdy potrzeba było drewna, nigdy nie oddalił się bardziej, niż to się okazało konieczne, aby zebrać chrust.

Otoczył ich kokon ciszy, śnieg bowiem, choć zalegający ziemię cienką warstwą, skutecznie tłumiał wszelkie odgłosy wespół z mrozem. Słysząc było jedynie odgłosy mężczyźni i delikatny trzask płomieni. I tylko od czasu do czasu w powietrzu obok nich przemknęło coś ulotnego i cichego jak ćma. Nikt nie kwapił się, by udać się na spoczynek. Dochodziła północ.

– Legenda, o której mówiłem, jest dość ciekawa – zauważył doktor po jednej z dłuższych przerw, odzywając się nie tyle po to, że miał coś do powiedzenia, tylko żeby zabić tę nieprzyjazną ciszę – albowiem Wendigo to nic innego jak ucieleśnienie Zewu Natury, który słyszą niekiedy pewne osoby, na swoją zgubę, niestety...

– Dokładnie tak – wtrącił Hank. – I gdy go usłyszysz, nie masz co do tego żadnych wątpliwości. Ponieważ to nawołuje cię po imieniu.

Znowu zapadła cisza. Wreszcie doktor Cathcart powrócił do zakazanego tematu z takim wigorem, że pozostali aż się wzdrygnęli nerwowo.

– Alegoria jest znacząca – zauważył, przepatrując wzrokiem ciemność – bo ów głos, jak powiadają, przypomina pomniejszych dźwięki pu szczy, szum wiatru, szmer wody, odgłosy zwierząt. A kiedy ofiara usłyszy ten zew, natychmiast mu ulega. I zaczyna biec ze wszystkich sił. Mówi się, że najbardziej cierpią na tym oczy i stopy ofiary. Stopy, ponieważ dręczy je pragnienie tułaczki, a oczy, gdyż ogarnia je umiłowanie piękna. Nieszczęśnik gna z tak niesamowitą prędkością, że zaczynają mu krwawić oczy, a stopy zdają się płonąć żywym ogniem...

Mówiąc to, doktor Cathcart wciąż wpatrywał się niepewnie w otaczający go mrok. Zniżył głos do szeptu, dodając:

– Podobno Wendigo powoduje, że jego ofiary tracą stopy, zostają spalone wskutek gwałtownego tarcia wywołanego olbrzymią prędkością, a w ich miejsce wyrastają nowe, takie same jak u tej istoty.

Simpson słuchał tego z przerażeniem i fascynacją zarazem, najbardziej jednak zdumiewała go bladość oblicza Hanka. Gdyby starczyło mu odwagi, najchętniej zatkałby sobie uszy i zamknął oczy.

– To nie zawsze porusza się po ziemi – dobiegł go powolny, przeciągły głos Hanka – potrafi bowiem wzbić się tak wysoko, że ofiara ma wrażenie, że płonie, zajmuje się ogniem gwiazd. Porusza się wielkimi susami albo przeskakuje po wierzchołkach drzew, dźwigając swoją ofiarę, a potem ciskając ją z wysokości jak rybołów szczupaka przed zjedzeniem. A co więcej, jego jedynym pokarmem w puszczy jest... mech!

Tu się zaśmiał, krótko, nienaturalnie.

– Wendigo żywi się mchem – dodał, unosząc wzrok i wodząc spojrzeniem po twarzach swych zdezorientowanych towarzyszy – żywi się mchem – powtórzył, okraszając te słowa serią barwnych epitetów.

Simpson dopiero teraz zrozumiał cel całej tej rozmowy. Ci dwaj mężczyźni, obaj silni i na swój sposób doświadczeni, bardziej niż czegokolwiek innego lękali się ciszy. Rozmawiali dla zabicia czasu. A także po to, by przezwyciężyć ciemność, narastającą panikę i niepokojącą świadomość, że znaleźli się na wrogim terytorium, to była jedyna alternatywa wobec poddania się dręczącym ich myślom. On, Simpson, miał to już za sobą. Zmierzył się ze swoją trwogą i wyszedł z tej próby zwycięsko. Osiągnął poziom, na którym strach nie mógł nim już ovlądnać. A ci dwaj, racjonalny analityk i szczerzy do bólu, prostoduszny człowiek lasu siedzieli przy ognisku, dygocząc ze zgrozy.

Tak mijały godziny i tak właśnie, rozmawiając szeptem, walcząc o zachowanie wewnętrznego spokoju i równowagi, ta niewielka grupka mężczyzn siedziała wśród leśnej głuszy, rozprawiając o przerażającej, mrocznej legendzie. Było to nierówne starcie, gdyż puszcza przypuściła już pierwszy atak i wzięła zakładnika. Troska o los towarzysza coraz bardziej dawała się im we znaki. Napięcie było nie do zniesienia.

To Hank, po dłuższej niż dotychczasowa przerwie, której nikt najwyraźniej nie chciał przerwać, jako pierwszy wyładował „nagromadzone w nim emocje, podrywając się na nogi i wydając z siebie przeciągły, rozzwierający krzyk. Wydawało się, że nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Zagłuszył go w końcu, przykładając dłoń do ust i modulując ostatnie kilka dźwięków.

– To dla Defago – objaśnił, zerkając na dwóch pozostałych z dziwnym, zuchwałym chichotem – bo zda się – tu pomińmy kilka barwnych przekleństw – że mój stary partner jest całkiem niedaleko.

W jego zachowaniu było coś takiego, co sprawiło, że także Simpson poderwał się niepewnie na nogi, i co tak zdumiało doktora, iż cybuch fajki wyślizgnął mu się z ust. Twarz Hanka była trupio biała, ale to Cathcart okazywał teraz pewne oznaki słabości, nie był w pełni władz umysłowych, to pewne. Wtem w jego oczach pojawiły się płomyki wściekłości i również on, z rozmysłem zrodzonym z typowej dlań niezłomnej samokontroli, podniósł się z ziemi, by stanąć naprzeciw rozentuzjasmowanemu przewodnikowi. To, co się działo, było bowiem niedopuszczalne, nieroztropne, niebezpieczne i zamierzał zdusić to w zarodku.

O tym, co się wydarzyło w ciągu następnej minuty lub dwóch, można spekulować, lecz nikt nie wie tego na pewno, bo w chwilę po tym, jak Hank

ryknął na całe gardło, coś z oszalamiającą prędkością przemknęło po mrocznym niebie powyżej, coś bez wątpienia wielkiego, gdyż spowodowało przemieszczenie ogromnych mas powietrza, podczas gdy z przestworzy popłynął w dół słaby, zdyszany, ludzki głos pełen nieopisanej udręki i ekstazy:

– Och! Och! Ta pałaca wysokość! Och, och! Moje stopy płoną! Płoną żywym ogniem!

Biały jak płótno Hank rozejrzał się dokoła, jak przerażone dziecko. Doktor Cathcart wydał z siebie nieartykułowany krzyk, po czym instynktownie, w przypiływie zaślepiającego strachu odwrócił się i pobiegł w kierunku namiotu, nagle jednak znieruchomiał, jakby sparaliżowany z przerażenia. Z tej trójki jedynie Simpson zachował przytomność umysłu. Zgroza, jaką odczuwał, sięgała zbyt głęboko, aby wywołać w nim natychmiastową reakcję. Już wcześniej słyszał ten krzyk.

Odwrócił się do swych skonsternowanych kompanów i niemal ze spokojem oznajmił: – Słyszałem już przedtem ten krzyk, dokładnie te same słowa!

Po czym unosząc głowę ku niebu, zawołał na cały głos:

– Defago, Defago! Zejdź tu do nas na dół! Zejdź...!

I zanim ktokolwiek z nich zdążył zareagować, dał się słyszeć odgłos czegoś ciężkiego, spadającego pomiędzy drzewa, łamiącego gałęzie i z głuchym łoskotem uderzającego o zmarzniętą ziemię poniżej. Trzask i łomot były naprawdę przerażające.

– Boże miłosierny, to on! – wyszeptał zdumionym głosem Hank, sięgając odruchowo dłonią do zawieszzonego przy pasie myśliwskiego noża. – On nadchodzi! Nadchodzi! – dodał, zaśmiewając się jak obłąkaniec, gdy z oddali dobiegł chrzęst ciężkich kroków na śniegu kogoś, kto zbliżał się w ich stronę, brnąc przez ciemność, w kierunku kręgu światła.

I gdy te powolne, powłóczące kroki przybliżyły się do obozowiska, trzech mężczyźni stanęli w bezruchu przy ognisku, otepiali i zdezorientowani. Doktor Cathcart wydawał się dziwnie zgaszony; nawet jego oczy straciły dawny blask. Hank, sądząc po zachowaniu, był gotowy do odparcia ataku i przelewu krwi, lecz póki co trwał w kompletnym bezruchu. Był jak wykuty z kamienia. Wszyscy oni przywodzili na myśl przerażone dzieci. To było potworne. A mimo iż idący wciąż pozostał niewidoczny, odgłos jego kroków na zmarzniętym śniegu stawał się coraz

wyraźniejszy. Przybliżał się. Ten upiorny chrzęst – nazbyt przedłużający się, aby można go było uznać za prawdziwy, miał w sobie coś posępnego, mrocznego i złowieszczego. To nie był odgłos kroków człowieka, lecz raczej jakiejś przeraźliwej zjawy, potępionej duszy...

Wreszcie z ciemności wyłoniła się postać. Podeszła do miejsca, gdzie blask ognia i cienie mieszały się, niecałe dziesięć stóp od ogniska, po czym przystanęła i spojrzała na trzech mężczyzn. W tej samej chwili postać ruszyła dalej, gwałtownymi, spazmatycznymi ruchami, jak zawieszona na sznurkach marionetka, a kiedy podeszła bliżej, stając w kręgu światła, okazało się, że był to mężczyzna, a konkretnie, jak się wydaje, Defago.

W tej samej chwili wydawało się, że łuski opadły z oczu myśliwych i przez chwilę mogli oni sięgnąć wzrokiem poza granicę zwykłego postrzegania, w głąb domeny Nieznanego.

Defago podszedł bliżej, niepewnym, powłóczącym krokiem - w pierwszej chwili zmierzał w kierunku myśliwych, nieoczekiwanie jednak skręcił i zatrzymał się naprzeciw Simpsona. Spomiędzy jego warg dobył się głos:

– Oto jestem, szefie. Usłyszałem, że ktoś mnie woła. – To był cichy, świszczący głos, zdyszany, jak po długim wysiłku. – Mam za sobą nieliczną wycieczkę. Mówię serio, to była piekielna jazda! – I wybuchnął śmiechem, unosząc głowę ku niebu.

Ten śmiech, zdawało się, ożywił całą grupę woskowych figur o woskowobiałej skórze. Hank natychmiast jął wyrzucać z siebie potok przekleństw, tak soczystych i barwnych, że w pierwszej chwili Simpson w ogóle ich nie zrozumiał i sądził, że tamten miał językiem angielskim, posługuje się jakimś dziwnym dialektem.

Wiedział tylko, że obecność Hanka, który stanął pomiędzy nim a Defago, dodała mu otuchy. Zaraz potem powolnym krokiem, chwiejąc się na nogach, zbliżył się do niego doktor Cathcart.

Simpson nie bardzo pamięta, co wówczas powiedział i uczynił, gdyż spojrzenie oczu przypatrujących mu się z tak bliskiej odległości i z takim przejęciem na chwilę zamąciło mu w głowie. Po prostu stał w kompletnym milczeniu i bezruchu. Brakowało mu wytrenowania i siły woli pozwalającej weteranom na podjęcie skutecznych działań w przypadku silnej sytuacji stresowej. Widział ich, jak szli, jakby patrzył na nich przez szybę albo weneckie lustro; to czyniło całą tę sytuację na wprost rzeczową,

przypominała raczej sen, była zdeformowana, nierealna, spaczona. Jednak pośród potoku bezsensownych inwektyw Hanka, student zapamiętał wyraźnie surowy ton głosu swego wuja – twardy i wymuszony – mówił coś o posiłku, ciepłe, kocach, whisky i całej reszcie... oraz towarzyszący całemu zdarzeniu nieprzyjemny odór, plugawy i kusząco słodki zarazem, wdzierający się brutalnie do jego nozdrzy. To on jednak, mniej bystry i doświadczony, niż sądzili inni, wyraził słowami to, co przepełniało serce każdego z nich.

– To ty, Defago, prawda? – zapytał pod nosem pełnym przerażenia szeptem.

Równocześnie Cathcart zakrzyknął na całe gardło, zanim tamten zdążył nawet otworzyć usta: – Oczywiście, że to on! Jasne, że to on! Tylko że... czy nie widzisz, że on jest na wpół martwy z wyczerpania, zimna i zgrozy? Czy to nie wystarczy, by odmienić człowieka nie do poznania?

Powiedział to, by przekonać w ten sposób zarówno siebie jak i pozostałych. Dlatego też uczynił to z większą niż należało emfazą. Wyjął też z kieszeni chustkę i przyłożył do nosa. W całym obozowisku dał się bowiem wyczuć nieprzyjemny, drażniący odór.

Defago zaś, który siedział skulony przy wielkim ognisku, owinięty kocem, sącząc mocną whisky i trzymając w dłoni talerz z gorącym posiłkiem, nie przypominał ich dawnego przewodnika, tak jak wygląd sześćdziesięciolatka różni się od tego w młodości, w kostiumie z innej epoki. Nic nie jest w stanie opisać owej upiornej karykatury, owej parodii, która w blasku ogniska udawała Defago. Simpson, sięgając do mrocznej skarbnicy wspomnień tamtego wydarzenia, twierdzi, że oblicze istoty, która ich nawiedziła, było bardziej zwierzęce niż ludzkie, rysy nieproporcjonalne, skóra zwisała luźno, jakby poddawano ją niewiarygodnym naciskom i naprężeniom. Widok ten przywiódł mu na myśl nadymane kauczukowe główki, które zmieniają wygląd, gdy się je nadmucha, a kiedy uchodzi z nich powietrze, wydają z siebie słaby, świszczący dźwięk, przywodzący na myśl głos ludzki. Podobieństwo kryło się zarówno w tej twarzy jak i w głosie. Cathcart jednak, znacznie później, usiłując opisać to, co wymykało się opisowi, upierał się, że tak mogła wyglądać twarz i ciało ludzkie wystawione przez długi czas na działanie tak bardzo rozrzedzonego powietrza, że zaszły w nim głębokie zmiany i cała jego struktura stała się niestabilna, do tego stopnia, iż w każdej chwili mogła się rozpaść.

To jednak Hank, wzburzony i targany emocjami, których nie pojmował i nad którymi nie panował, bez zbytnich ceregieli doprowadził sprawę do końca. Oddalił się nieco od ogniska, zapewne po to, by blask za bardzo go nie oślepił, i ocieniając oczy dłońmi, zawołał głosem pełnym zmieszanej z sobą w przeraźliwy sposób wściekłości i umiłowania.

– Ty nie jesteś Defago! Wcale nie jesteś Defago! Mnie to nic... a niech tam, ale nie jesteś moim kumplem, z którym znamy się od dwudziestu lat! – Łypnął gniewnie na skuloną postać, jakby chciał uśmiercić ją wzrokiem. – Jeśli się mylę, to jak mi Bóg miły, niech mi przyjdzie czyścić po sadzki w piekle kawałkiem waty nabitym na wykałaczkę! – dorzucił z odrazą i przerażeniem.

Nie sposób go było uciszyć. Stał przy ognisku, wrzeszcząc na całe gardło jak opętaniec, nic nie widział, niczego nie słyszał, *ponieważ to była prawda*. Powtarzał te słowa na pięćdziesiąt różnych sposobów, każdy z nich był bardziej złożony i dziwniejszy od poprzedniego. Las rozbrzmiał gromkim echem. W pewnej chwili wydawało się, że Hank chce rzucić się na intruza, bo jego ręka wciąż balansowała niebezpiecznie blisko długiego, myśliwskiego noża, który miał przy pasie.

Ostatecznie jednak nie zrobił nic, a jego wybuch zakończył się niemal łzami. Głos Hanka nagle zaczął się łamać, a on sam osunął się na ziemię. W końcu Cathcart w ten czy inny sposób zdołał przekonać go, aby udał się do namiotu i poleżał tam trochę, w ciszy i spokoju. Dalszy ciąg tej historii blady jak płótno Hank obserwował z wnętrza namiotu.

A doktor Cathcart, w towarzystwie swego bratanka, który jak dotąd odznaczał się większą od nich odwagą, z determinacją podszedł i stanął naprzeciwko siedzącego przy ognisku Defago. Spojrzał na niego i odezwał się. Początkowo głos miał pewny, mocny, stanowczy.

– Defago, powiedz nam, co się stało – powiedz coś, cokolwiek, abyśmy mogli ci jakoś pomóc – rzucił władczym, niemal rozkazującym tonem. Wtedy jeszcze faktycznie był to rozkaz. Jednak zaraz potem ton głosu doktora zaczął się zmieniać, albowiem postać przy ognisku skierowała na niego wzrok, a jej oblicze było tak żałosne, przerażające i nieludzkie, że Cathcart odstąpił od niego jak od czegoś plugawego, duchowo nieczystego stworzenia. Simpson, który stał tuż przy nim, odniósł wrażenie, jakby z twarzy tego czegoś lada moment miała spaść maska, ukazując znajdującą się pod nią mroczną, nieopisaną, diaboliczną prawdę, w całej swej

bezbożnej okazałości. – Odejdź i zabierz to z sobą, człowieku, odejdź z tym! – zakrzyknął Cathcart, a w jego głosie pobrzmiwała jednak groza i błaganie. – Nikt z nas dłużej tego nie zniesie...!

To było wołanie instynktu przekrzykującego głos rozsądku.

Wtedy też „Defago”, uśmiechając się blado, odpowiedział cichym, słabnącym głosem, który zdawał się należeć do całkiem innej istoty.

– Widziałem to wielkie stworzenie... to Wendigo – wyszeptał, pociągając energicznie nosem, jak wężące zwierzę. – I byłem z nim...

Nie wiadomo, czy ten nieszczęśnik powiedziałaby coś więcej ani czy doktor Cathcart próbowałby się jeszcze czegoś od niego dowiedzieć, gdyż właśnie w tym momencie z wnętrza namiotu rozległ się przeraźliwy, rozzierający krzyk Hanka. Nigdy jeszcze nikt nie słyszał równie przejmującego skowytu.

– Jego stopy! O Boże, jego stopy! Spójrzcie na jego wielkie... zmienione stopy!

Defago, oddalając się na siedząco od ogniska, przesunął się w taki sposób, że dopiero teraz po raz pierwszy w świetle płomieni dostrzec można było jego stopy. Mimo to Simpson nie zdążył zobaczyć tego, co ujrzał Hank. A Hank nigdy nie znalazł w sobie dość odwagi, aby komukolwiek to wyznać. W tej samej chwili, dając susa jak przerażony tygrys, Cathcart dopadł tamtego i otulił jego nogi kocem z taką szybkością, że młody student spostrzegł tylko coś ciemnego i masywnego w miejscu, gdzie powinny znajdować się przyobleczone w mokasyny stopy, ale trwało to tak krótko, że nie był w stanie określić kształtu dalszej części kończyn istoty przypominającej kanuckiego przewodnika.

Wtedy też, nim doktor zdążył zrobić coś więcej, a Simpson sformułować w myślach pytanie i przyoblec je w słowa, Defago podniósł się z ziemi i wyprostował, co najwyraźniej sprawiło mu sporo trudności i bólu, jako że na jego zniekształconym, nieludzkim obliczu pojawił się grymas tak mroczny i złowrogi, że określenie potworny wydawał się w tym przypadku jak najbardziej adekwatny.

– Teraz ty też to widziałeś – wychrypiał – widziałeś moje płomienne, gorejące stopy! No i teraz... o ile potrafisz temu zapobiec i uratować mnie... już czas, abym...

Jego żaloszny, błagalny głos zagłuszony został przez dźwięk przywodzący na myśl ryk wiatru, przetaczającego się nad taflą jeziora.

Korony drzew zakołysały się. Płomienie ogniska zafalowały jak pod wpływem podmuchu wiatru. Coś też przy wtórze głośnego szumu i szelestu przewaliło się przez cały obóz, otaczając go ze wszystkich stron naraz w jednej chwili. Defago zrzucił z siebie koce, odwrócił się w stronę lasu i tym samym mechanicznym, przeraźliwym krokiem jak marionetka na niewidzialnych sznurkach, zniknął w jednej chwili, zanim ktokolwiek zdążył choćby kiwnąć palcem, aby go zatrzymać; rozpląnął się w mroku z tak olbrzymią, zatrważającą szybkością, że o jakimkolwiek działaniu ze strony pozostałych myśliwych nie było mowy. Pochłonęła go ciemność; w niecałe dziesięć sekund później pośród ryku wiatru trzej mężczyźni, wpatrujący się w dal i z drżącym sercem wsłuchujący się w odgłosy nocy, usłyszeli pośród szumu kołyszących się drzew i zawodzenia wichury przeciągły krzyk, zdający się płynąć z przestworzy i z bardzo daleka:

– Och, och! Ta paląca wysokość! Och! Och! Moje stopy płoną! Płoną żywym ogniem...! – po czym głos ucichł, rozplývając się w ciszy i w przestrzeni.

Doktor Cathcart, który nagle odzyskał wewnętrzną równowagę, a co za tym idzie zmuszony był stłumić panikę u pozostałych, gwałtownie schwycił za ramię Hanka, który próbował pobiec w puszcę, w ślad za przewodnikiem.

– Ale ja chcę wiedzieć... zrozum! – tłumaczył on doktorowi. – Chcę zobaczyć! To przecież wcale nie był on, tylko jakiś... czart, który zajął jego miejsce!

W ten czy inny sposób – nie potrafi dziś stwierdzić, jak tego dokonał, ale zatrzymał Hanka w namiocie i odczekał tak długo, aż tamten się uspokoił. Najwyraźniej doktor osiągnął poziom, na którym zaczął działać odruchowo, instynktownie. Tak czy owak poradził sobie z Hankiem celująco. Jednak to jego bratanek wzbudził w nim największy niepokój, gdyż skumulowane napięcie przyprawiło go o nieustanny szloch, i koniec końców, trzeba było go ułożyć na osobnym pościeliu z gałęzi i koców, zważywszy na okoliczności, możliwie jak najdalej od Hanka. I leżał tak, pośród mrocznej, koszmarnej nocy, wykrzykując niezrozumiałe zdania i wyrazy, lecz słowa płynące z jego ust tłumili koce, w które był otulony. Potoki bełkotliwych zdań o szybkości, wysokości i palącym ogniu zlewały się osobliwie ze wspomnieniami z teologicznych wykładów.

– Płonący ludzie o zniekształconych twarzach zmierzają wolno, po włącząc nogami, w stronę obozowiska! – wykrzykiwał w jednej chwili, w następnej zaś siadał sztywno na posłaniu, wlepił wzrok w ścianę lasu, nasłuchiwał z uwagą i szeptał: – Jakże potworne są w tej leśnej głuszy stopy tych, co... – aż wuj musiał podejść do niego i próbując pocieszyć, kierował jego myśli na całkiem inne tory.

Histeria na szczęście okazała się krótkotrwała. Sen przywrócił mu zdrowie, tak jak wczoraj Hankowi.

Doktor Cathcart czuwał aż do pierwszego brzasku, kilka minut po piątej. Twarz doktora była biała jak kreda, a pod oczami widniały dziwne rumieńce. Przez te wszystkie milczące godziny druzgocąca zgroza duszy toczyła zażarty bój z jego siłą woli. Pojawiły się pierwsze zewnętrzne symptomy... znaki...

O świcie osobiście rozpałił ognisko, przyrządził śniadanie i obudził pozostałych, o siódmej zaś cała trójka była już w drodze powrotnej do głównego obozowiska. Mimo iż mocno skonsternowani i zdezorientowani, ci trzej mężczyźni zdołali, każdy na swój sposób, opanować wzburzenie i osiągnąć stan jako takiej równowagi psychicznej.

Rozmawiali niewiele i tylko na ogólne, bezpieczne tematy, bo ich umysły przepełnione były bolesnymi myślami domagającymi się wyjaśnień, choć nikt nie odważył się ich udzielić. Hank, duchem najbliższy prymitywnym dzikusom, a tym samym mniej złożony psychicznie, pierwszy doszedł do siebie. U doktora Cathcarta cywilizowany duch musiał stawić czoła nader osobliwemu atakowi. Być może po dziś dzień nie jest on do końca pewien niektórych rzeczy. W jego przypadku odnalezienie siebie trwało znacznie dłużej.

To Simpson, student teologii, pokusił się w końcu o wyciągnięcie pewnych konkretnych wniosków, choć nie użył w tym celu wzniosłych, napuszonych, naukowych zwrotów. Tutaj bowiem, w samym sercu nieujarzmionej, leśnej głuszy zetknęli się z czymś pierwotnym, objawiającym całkiem inną, niestrudzoną i niedojrzałą skalę życia. Simpson postrzegał to raczej jako rzut oka wstecz, w czasy prehistoryczne, kiedy sercami ludzi wciąż niepodzielnie władały gusła i zabobony, kiedy siły natury nadal pozostawały nieokiełznane; Potęgi, które mogły zamieszkiwać w pierwotnym wszechświecie, a które nadal w nim pozostawały. Po dziś dzień rozmyśla o tym, co w jednym ze swych późniejszych kazań określił

mianem dzikich i niewiarygodnych sił, czających się za duszami ludzi, które być może nie są złe same w sobie, lecz ogólnie mają do ludzkości jako istniejącej wrogie nastawienie.

Nigdy nie rozmawiał konkretnie na ten temat ze swoim wujem, gdyż bariera pomiędzy ich światopoglądami okazała się niemożliwa do przewyciężenia. Tylko raz, wiele lat później, coś doprowadziło ich na pogranicze tego tematu - stało się to za sprawą pewnego drobnego, związanego z nim szczegółu.

– Nie możesz mi nawet powiedzieć, jakie one były? – zapytał, a odpowiedź, choć roztropna, wcale nie brzmiała zachęcająco.

– Lepiej, abyś tego nie wiedział i samemu nie próbował się tego dowiedzieć.

– Ale... no dobrze... a ta woń? – nalegał bratanek. – Co mógłbyś o niej powiedzieć?

Doktor Cathcart spojrział na niego, unosząc brwi.

– Wonie – odparł – nie są tak proste jak dźwięki i obrazy otrzymy wane na drodze przekazu telepatycznego. Moje zdanie jest w tej kwestii równie dobre jak twoje. Wiem o tym tyle co ty, a może nawet mniej.

Nie był w tym przypadku wcale skory do udzielania wyczerpujących wyjaśnień. I tyle.

Pod koniec dnia, zziębnięci, wyczerpani, wygłodniali członkowie wyprawy dotarli wreszcie do głównego obozowiska, które na pierwszy rzut oka wydawało się opuszczone. Ognisko się nie paliło. Punk także nie wyszedł im na spotkanie. Cała trójka była zbyt wyczerpana psychicznie, aby okazać zdziwienie lub złość, kiedy z ust Hanka dobył się głośny okrzyk i przewodnik pobiegł co sił w stronę ogniska; wołanie to miało zapewne z założenia stanowić ostrzeżenie i zapewnienie, że ich niezwykła przygoda jeszcze się nie skończyła. Później obaj, zarówno Cathcart jak i jego bratanek, wyznali, że gdy ujrzeli go, jak klęka i z przejęciem tuli do siebie coś, co leżało na ziemi i nieznacznie się poruszało, przy wygasłym ognisku, od razu zorientowali się, że to musiał być Defago. Czuli w kościach, że Defago powrócił.

I faktycznie tak było.

Sprawa rychło się wyjaśniła. Wycieńczony do cna, skrajnie wyczerpany kanuk – a raczej to, co z niego zostało – grzebał wśród popiołów, usiłując rozniecić ogień. Skulił się przy wygasłym ognisku, jego palce zakrzywione

w szpony niepewnie powtarzały zapamiętane od lat czynności, posługując się suchymi patykami i zapałkami. Brakowało jednak umysłu, który mógłby ową prostą skądinąd czynność nadzorować. Umysł uleciał bezpowrotnie, a wraz z nim pamięć. Nie tylko o niedawnych wydarzeniach, lecz o całym jego dotychczasowym życiu. Tym razem był to prawdziwy człowiek, z krwi i kości, choć niesamowicie i przeraźliwie wychudzony, jakby skurczony. Jego twarz odarta była z wszelkich emocji, nie rozpoznawał nikogo ani niczego, nie okazywał też lęku. Nie wiedział, kto go tulił, kto go karmił, kto szeptał doń pocieszające słowa, które miały mu przynieść ulgę. Ten strzęp człowieka wykonywał automatycznie wszelkie polecenia, był posłuszny jak małe dziecko. Coś, co stanowiło jego esencję - jego jaźń – przestało istnieć.

W pewnym momencie było to o wiele bardziej poruszające i przerażające niż wszystko, co mieli okazję ujrzeć do tej pory, ten kretyński uśmieszek na jego wargach, gdy wyjmował z ust kępki mchu, po czym nieodmiennie zwracał każdy inny, wmuszony węń, najprostszy nawet posiłek, ale najgorsze były żalodne słowa skargi, gdy niemal dziecięcym, wysokim głosem poinformował swoich towarzyszy, że bolą go stopy – płoną żywym ogniem. Co było zrozumiałe, gdyż doktor Cathcart zbadawszy je stwierdził, że były potwornie odmrożone. Pod oczami widniały słabe oznaki niedawnego krwawienia. Szczegóły dotyczące tego, w jaki sposób przeżył w leśnej głuszy na siarczystym mrozie i jak udało mu się przebyć sporą skądinąd odległość z jednego obozowiska do drugiego – bo przecież nie miał czółna, zatem musiał obejść całe jezioro na piechotę – pozostaje do dziś nierozwikłaną zagadką. Defago całkowicie stracił pamięć. I zanim dobiegła końca zima, której chłodne dni były świadkami tych osobliwych wydarzeń, Defago, pozbawiony pamięci, umysłu i duszy, na zawsze opuścił ten padół łez.

To, co miał potem do powiedzenia Punk, bynajmniej nie rzuciło nowego światła na całą tę sprawę. Czyścił ryby nad brzegiem jeziora, około piątej po południu, czyli na godzinę przed powrotem pozostałych członków wyprawy, kiedy ujrział ten strzęp człowieka, cień kanuckiego przewodnika, który ślaniając się na nogach, wszedł do głównego obozu. Jego pojawienie się, jak twierdzi, poprzedziła rozchodząca się w powietrzu, osobliwa woń.

I w tej samej chwili stary Punk wyruszył w drogę do domu. Pokonał całą trasę w trzy dni; nikt, kto nie ma w żyłach indiańskiej krwi, nie byłby w stanie tego dokonać. A do większego niż zwykle wysiłku ponaglała go

zabobonna trwoga nieobca członkom jego rasy. Wiedział, co to wszystko oznaczało. Defago ujrzał Wendigo.

“

BEUKSHH OimiMŁ®

Drugie Skrzydło

(The Other Wing)

Zdumiewało go, że po zmierzchu zawsze ktoś zaglądał przez uchylone drzwi do jego sypialni i wycofywał się tak szybko, że nigdy nie był w stanie dostrzec twarzy. Zawsze działało się to już po wyjściu niani: – Dobranoc, paniczu Timie – mówiła zwykle, osłaniając jedną ręką świecę, by blask nie raził jego oczu – przyśnij mi się i niech ja przyśnię się tobie.

Wyszła powoli z pokoju. Ostry cień drzwi przetoczył się po suficie niczym pociąg. W korytarzu rozległy się ciche szepty, mówiono zapewne o nim i znów został sam. Usłyszał kroki niani oddalające się w głąb starego domu, głośniejsze, gdy przechodziła przez wyłożony kamiennymi płytami hall i niekiedy także głucho trzask drzwi wiodących do pomieszczeń dla służby, a potem zapanowała kompletna cisza. Kiedy jednak przebrzmiał już ostatni zbłąkany dźwięk i wspomnienie sylwetki odchodzącej niani znikło sprzed jego oczu, ta twarz natychmiast wyłaniała się ze swej kryjówki i wychylała się zza drzwi. Z reguły pojawiała się, gdy mówił: – Teraz zasnę. Nie będę zaprzętał głowy myślami. Dobranoc, paniczu Timie, przyjemnych snów.

Uwielbiał tak do siebie mówić, nie czuł się wówczas samotny, miał raczej wrażenie, jakby rozmawiał z drugą osobą.

Pokój znajdował się na najwyższym piętrze starego domu, sklepienie było wysokie, a stojące pod ścianą łóżko otoczone żelaznymi poręczami. Czuł się w nim naprawdę bezpieczny. Zastłony w oknach były zaciągnięte. Leżał, wpatrując się w blask ognia tańczący na grubych zasłonach, a zdobiący je wzór w postaci spaniela goniącego ptaka z długim ogonem w stronę wysokiego drzewa wzbudzał w nim ciekawość i rozbawienie.

Wzór wielokrotnie się powtarzał. Tim liczył psy, ptaki i drzewa, ale za każdym razem osiągał inny wynik. W tym wzorze była ukryta jakaś metoda; gdyby tylko zdołał ją odkryć, poznałby prawdziwą liczbę psów, ptaków i drzew. Setki razy grał w tę grę, a wzór raz stawał po jego stronie, kiedy indziej zaś był przeciwko niemu. Zwykle wygrywały ptaki i psy. To one opowiadały się przeciwko niemu. Tim niemal zawsze zasypiał, kiedy zaczynał zyskiwać przewagę. Zasłony zazwyczaj zwieszały się nieruchomo, lecz od czasu do czasu przenikało je lekkie drzenie, ukrywając dzięki temu ptaka lub psa i nie pozwalając chłopcu wygrać. Kiedy na przykład udało mu się policzyć jedenaście ptaków i jedenaście drzew, co starał się zapamiętać, powtarzając w myślach: mam jedenaście ptaków i jedenaście drzew, ale tylko dziesięć psów, powracał wzrokiem by odnaleźć jedenastego psa, a wówczas zasłona falowała leciutko, niweczając jego wysiłki. Nie lubił tego falowania, odnosił wówczas wrażenie, że zasłona nie poruszyła się sama. Zwykle jednak był zbyt zaaferowany rachunkami i poszukiwaniem psów, aby poczuć prawdziwe zaniepokojenie.

Naprzeciw niego znajdował się kominek pełen czerwonożółtych węgli, on zaś, leżąc z głową opartą bokiem na poduszce, spoglądał pomiędzy szczebelkami łóżka. Kiedy węgle opadły na palenisko z miękkim, pylistym trzaskiem, odwrócił wzrok od zasłony w stronę kominka, usiłując odkryć, które bryłki osunęły się ze sterty. Dopóki gorące węgle roztaczały silny blask, dźwięki te wydawały mu się miłe dla ucha, niekiedy wszelako budził się w środku nocy, gdy w pokoju panowała niemal całkowita ciemność, w kominku prawie wygasło, a wtedy odgłosy te wcale nie brzmiały przyjemnie. Raczej niepokojąco. Węgla nie osypywały się same. Wydawało się raczej, jakby ktoś delikatnie je przegarniał. Wokół łóżka gęstniały cienie. Tak jak w przypadku zasłon, poranek i wygasły kominek, z zimnymi jak lód popiołami wydającymi niemal metaliczne odgłosy, nie wzbudzały w nim absolutnie żadnych emocji.

Zazwyczaj kiedy leżał, czekając na przybycie snu, znużony zarówno grą z zasłonami jak i osypującymi się bryłkami węgla, gdy wymawiał tak często powtarzane słowa: „Teraz zasnę”, miała miejsce rzecz, która wprawiała go w nie lada zakłopotanie. Wpatrywał się sennie w dogasające płomienie, licząc pończochy i flanelowe rzeczy rozwieszane na obramowaniu kominka, kiedy nagle ktoś błyskawicznie zaglądał do pokoju, uchylając lekko drzwi, i znikał, nim chłopiec zdążył odwrócić głowę i

zobaczyć, kto to taki. Za każdym razem niespodziewany gość pojawiał się i znikał z przeraźliwą szybkością. Wsuwał do pokoju jedynie głowę i ramiona, a poruszał się równie bezszelestnie jak cień. Czyjaś dłoń przytrzymała krawędź drzwi. Głowa wychylała się przez wąską szparę, ktoś spoglądał na niego i wycofywał się z szybkością błyskawicy. Chłopiec nie potrafił wyobrazić sobie niczego szybszego i bardziej sprytnego. To coś zaglądało do środka bezszelestnie. I znikало. Wcześniej jednak przyglądało mu się, spoglądało na niego, ogarniało wzrokiem w czasie krótszym niż mrugnięcie powieką. To coś chciało wiedzieć, czy już spał, czy jeszcze nie. I choć odchodziło, wciąż obserwowało go z daleka, czekało gdzieś, wiedziało o nim wszystko. *Gdzie* czekało, tego nikt nie potrafiłby odgadnąć. Czuł, że przychodziło spoza domu, możliwe, że z dachu, lecz najprawdopodobniej od strony nieba lub ogrodu. To może wydawać się dziwne, ale chłopiec nie odczuwał strachu. To coś wydawało się nastawione czule i życzliwie. A kiedy się pojawiało, nigdy nie wzywał pomocy, ponieważ zdarzenie to po prostu odbierało mu mowę.

– To przychodzi z Korytarza Koszmarów – stwierdził – ale nie jest koszmarem.

I zdumiało go to.

Niekiedy pojawiało się kilkakrotnie podczas jednej nocy. Był przekonany, nie, *prawie pewien*, że to zajmowało jego pokój, kiedy tylko pogrązał się we śnie. Zajmowało tę sypialnię, siadając być może pod niemal wygasłym kominkiem, stawało przy grubych zasłonach, a nawet kładło się w pustym łóżku, z którego korzystał jego brat, gdy przyjeżdżał ze szkoły do domu. Możliwe, że grało w tę samą grę co on, a w każdym razie wiedziało, gdzie ukrywał się jedenasty pies. Bez wątpienia to przychodziło do jego sypialni i opuszczało ją, kiedy tylko chciało. Z całą pewnością też nie chciało, by je ujrzał. Niejednokrotnie bowiem budząc się nagle w środku nocy, Tim wiedział, że to stało przy jego łóżku i pochylało się nad nim. Nie tyle usłyszał, co raczej wyczuwał tę obecność. Ta jakaś istota oddalała się też błyskawicznie. Przemieszczała się z niewysłowioną miękkością, niemniej był pewien, że się poruszała. Po prostu wyczuwał różnicę. W jednej chwili była tuż przy nim, w następnej już nie. Powracała, gdy tylko pogrązał się we śnie. Jednakże nocne wizyty znacznie się różniły od tych wcześniejszych, nieśmiałych odwiedzin. Kiedy bowiem w kominku wciąż

palili się ogień, to przychodziło samo, ciemną nocą zaś przyprowadzało z sobą innych.

W którymś momencie doszedł do wniosku, że to poruszało się tak szybko i bezszelestnie, bo musiało posiadać skrzydła. Umiało latać. A inni, którzy towarzyszyli tej istocie, to w rzeczywistości jej dzieci. Stwierdził, że wszystkie te stworzenia były przyjazne, życzliwe, troskliwe i choć nie były koszmarami, musiały w jakiś sposób pokonywać Korytarz Koszmarów, zanim docierały do jego sypialni. – Widzisz, to jest tak – wyjaśnił niani – ta duża istota odwiedza mnie sama, a z dziećmi przychodzi do mnie dopiero, kiedy usnę.

– Wobec tego im szybciej położysz się panicz do łóżka, tym lepiej, nie prawdaż, paniczu Timie?

Odparkł: – Oczywiście. I zawsze to robię. Zastanawia mnie tylko, skąd one przybywają! – A powiedział to takim tonem, jakby miał w tej kwestii pewne podejrzenia.

Niania nie przejawiała jednak większego zainteresowania całą sprawą, toteż zwrócił się z nią do ojca. – No cóż – odparkł jego wiecznie zajęty, choć kochający rodzic – albo tylko ci się zdawało i nikt cię nie odwiedzał, albo może to sam Sen przybywa, by zabrać cię do swej krainy. – Powiedział to życzliwym, choć nieco zdawkowym tonem, martwił się bowiem o dodatkowe podatki nałożone na jego włości i nie był w stanie skupić się należycie na wizji fantastycznego świata Tima. Posadził sobie chłopca na kolanie, pocałował, po czym zamaszystym, miękkim ruchem opuścił go na dywan. – Biegnij, zapytaj o to swoją matkę – dodał – ona wie wszystko o tego typu sprawach. A potem wróć i opowiedz mi o tym, ale innym razem.

Tim zastał matkę w sąsiednim pokoju. Siedziała w fotelu przy kominku, robiła na drutach i równocześnie czytała; cudowna umiejętność, której chłopiec nigdy nie potrafił pojąć. Uniosła głowę, gdy wszedł, przesunęła okulary na czoło i wyciągnęła do niego ręce. Opowiedział jej wszystko, kończąc tym, co usłyszał od ojca.

– To nie żadne bajki – zawołał z przejęciem. – To się dzieje naprawdę!

– To miłe – zapewniła go – że ktoś zjawia się, by upewnić się, że wszystko z tobą w porządku. Że jesteś bezpieczny i śpisz spokojnie.

– No tak. Wiem. Ale...

– Myślę, że twój ojciec ma rację – dodała pospiesznie. – To z pewnością Sen wygląda zza uchylonych drzwi. Słyszałam, że Sen *ma skrzydła*.

– A te małe istoty, jego dzieci? – zapytał. – Czy to mogą być drzem ki?

Matka nie odpowiedziała przez chwilę. Założyła stronicę książki, zamknęła ją powoli i odłożyła na biurko, tuż obok. Jeszcze wolniej odłożyła robótkę, starannie układając na blacie włóczkę i druty.

– Może – powiedziała, przyciągając chłopca bliżej do siebie i spoglądając prosto w jego pełne zdumienia oczy – może są to marzenia senne.

Gdy to powiedziała, Tim poczuł dreszcz przepełniający całe jego ciało. Cofnął się o krok i delikatnie zaklaskał w dłonie.

– Marzenia senne! – wyszeptał z wiarą i entuzjazmem – oczywi ście! Że też o tym wcześniej nie pomyślałem!

Matka, uradowana swą niepoślednią wiedzą, popełniła w tym momencie istotny błąd. Odniosła sukces, lecz zamiast na tym poprzestać, wdała się w niepotrzebne wyjaśnienia. Innymi słowy „poszła za ciosem”. Tim już jej jednak nie słuchał. I w końcu przerwał jej monotony wywód własną konkluzją:

– Wobec tego wiem, gdzie ukrywa się Sen – oznajmił z nutą trwogi w głosie. – To znaczy, gdzie On mieszka. – I nie czekając na pytanie, podzielił się z nią tą informacją. – W Drugim Skrzydle.

– Ach! – rzekła jego matka, nie próbując ukryć swego zdziwienia. – Spryciarz z ciebie, Tim...! – czym potwierdziła jego przypuszczenia.

Od tej pory było dla niego jasne, że Sen i jego dzieci, marzenia senne, ukrywają się za dnia w nie wykorzystywanej części wielkiej, elżbietańskiej rezydencji, zwanej Drugim Skrzydłem. Nie było ono zamieszkałe, po tamtejszych korytarzach nikt się nie przechadzał, okiennice w oknach były pozamykane, podobnie jak wszystkie pokoje. Z różnych miejsc wiodły tam obite zielonym rypsem drzwi, ale nikt ich nigdy nie otwierał. Od wielu lat ta część budynku była zamknięta i pozostawała niedostępna dla dzieci. Nie wolno im tam było wchodzić, bawić się w chowanego ani w żadną inną grę. Drugim Skrzydłem władały cienie, cisza i kurz.

Tim, mający swoje zdanie na każdy temat, posiadał szczególne informacje dotyczące Drugiego Skrzydła. Wierzył, że było ono zamieszkałe. Nie wiedział dokładnie, kto zamieszkiwał w tym ogromnym labiryncie pustych pokoi, kto stąpał po tych rozległych korytarzach, kto podchodził i stawał przy każdym z tych pozamykanych na głucho okien. O mieszkańcach tego miejsca mówił potocznie „Oni”, a najważniejszym spośród nich był ten, którego nazywał „Władcą”. Władca Drugiego

Skrzydła był łagodnym bóstwem, potężnym, odległym, wiecznie obecnym, lecz nigdy nie widywanym.

Jak na małego chłopca, Tim miał raczej konkretne wyobrażenie owego władcy, łączył jego osobę z sekretnymi miejscami tkwiącymi głęboko w jego wnętrzu. Kiedy wymyślał przygody wiodące go na Księżyc, ku gwiazdom lub na samo dno oceanu, przygody rozgrywające się w jego wnętrzu, za każdym razem nieodmiennie zmuszony był przejść wcześniej przez komnaty Drugiego Skrzydła. Te przejścia i sale, a wśród nich Korytarz Koszmarów, znajdowały się na jego drodze do przygody, stanowiły one pierwszy etap każdej jego wyprawy. Kiedy tylko obite zielonym rypsem drzwi zamykały się za nim, na wprost zaś rozpościerał się długi, mroczny korytarz, chłopiec wiedział, że staje u progu nowej przygody; minąwszy bezpiecznie Korytarz Koszmarów czuł, że nic już nie mogło mu grozić, kiedy zaś otwierał okiennice w olbrzymich oknach, uwalniał się od niezmiernego świata, który pozostawiał za sobą. Wtedy bowiem przez okno do pomieszczenia wpływało światło i bez trudu mógł widzieć drogę.

Jak na dziecko, jego teoria była dość osobliwa. Zgodnie z nią istniała ścisła zależność pomiędzy tajemniczymi komnatami Drugiego Skrzydła i zasiedlonymi, lecz niezgłębionymi pomieszczeniami jego sekretnego wnętrza. Musiał przejść przez te pomieszczenia, przez ciemne zakamarki i Korytarz, niekiedy groźny i niebezpieczny, nieodmiennie zaś odpychający i złowrogi, aby odkryć wszystkie *prawdziwe* przygody. Światło, gdy udało mu się w końcu otworzyć okiennice, było dlań prawdziwym objawieniem. Tim tak naprawdę wiele o tym wszystkim nie myślał ani nie mówił. Po prostu miał tego świadomość. To wszystko. Wyczuwał to. Drugie Skrzydło znajdowało się za obitymi zielonym rypsem drzwiami, lecz także w jego wnętrzu. Jego wewnętrzna czarodziejska mapa cudów i niezwykłości obejmowała jedno i drugie.

Dopiero teraz po raz pierwszy zdał sobie sprawę, kto tam mieszkał i kim był ów Władca. Okiennica otwarła się sama, struga światła wpłynęła do środka; wysnuł pewne przypuszczenie, a matka potwierdziła je. Sen i jego dzieci za dnia byli mieszkańcami Drugiego Skrzydła. Opuszczali je z nadejściem zmierzchu. Wszystkie przygody życia zaczynały się i kończyły snem, odkrywaniem podczas pierwszego przejścia przez Drugie Skrzydło.

I kiedy to ustalił, jego jedynym pragnieniem stało się stworzenie mapy potencjalnych odkryć i podróży. Mapę swego wnętrza już znał, lecz mapy Drugiego Skrzydła nigdy wcześniej nie widział. Jego umysł je znał, wypracował wyraźny, mentalny obraz pokoi, sal i korytarzy, lecz jego stopy nigdy nie przemierzały spowitych ciszą pięter, gdzie kurz i cienie skrywały za dnia Sen z jego trzódką. Pragnął *znaleźć* się w olbrzymich komnatach, gdzie władzę sprawował Sen, i stanąć z nim twarzą w twarz. Podjął decyzję, że wybierze się do Drugiego Skrzydła.

Nie było to łatwe, ale Tim był zdecydowanym, zdeterminowanym młodzieńcem i zamierzał podjąć tę próbę, licząc, że zakończy się ona sukcesem. Zastanawiał się nad tym. Wyprawa nocą nie wchodziła w rachubę; zresztą Władca i jego dzieci opuszczali to miejsce po zmroku, aby na chyżych skrzydłach przemierzać cały Świat; Drugie Skrzydło było wówczas opuszczone, ta pustka zaś wzbudziłaby w nim przerażenie. W tej sytuacji musiał wybrać się tam za dnia i tak też postanowił. Głowiąc się ostro. Musiał pamiętać o pewnych zasadach i ryzyku: to czego miał się podjąć, oznaczało opuszczenie miejsc, gdzie zwykle uczęszczał, niebezpieczeństwo, że może zostać zauważony, i narażenie się na niewygodne pytania jakiegoś ciekawskiego dorosłego: „Gdzieś ty się podziewał tyle czasu?” i podobne. Obmyślił wszystko starannie i choć nie rozwiązał nękających go problemów, poczuł się usatysfakcjonowany i był pewien, że wszystko pójdzie dobrze. Zdawał sobie sprawę z ryzyka. Przygotowanie to połowa sukcesu, w tej sytuacji nic nie mogło go zaskoczyć.

Pomysł o rozpoczęciu wyprawy od strony ogrodu musiał niezwłocznie zarzucić, w czerwonych ceglach nie było żadnego otworu ani drzwi, wejście od dziedzińca także nie wchodziło w rachubę: nawet stając na palcach nie dosięgnąłby szerokich, kamiennych parapetów. Bawiąc się samotnie lub spacerując z francuską guwernantką, badał uważnie wszelkie możliwe rozwiązania. Jak dotąd nie odkrył nic, co by mu odpowiadało. Okiennice, zakładając, że byłby w stanie ich dosięgnąć, były grube i mocne.

Czekając na dogodną okazję, stał przed murem na zewnątrz i nasłuchiwał, z uchem przytkniętym do chłodnych, czerwonych cegieł, wysoko nad nim wznosiły się wieżyczki i szczyty Drugiego Skrzydła; słyszał wiatr hulający wzdłuż podstrzesza, wyobraził sobie ukradkowe kroki i trzepot skrzydeł wewnątrz. Sen i jego dzieci krzątali się,

przygotowując do nocnych wypraw; ukrywali się, lecz nie spali, w tej nie wykorzystywanej części domu, większej niż niektóre wiejskie rezydencje, jakie miał okazję widzieć. Sen nauczał i szkolił trzódkę sennych Marzeń. To było wspaniałe. Zapewne mieli w swojej pieczy całą tę okolicę. Wspanialsze jednak było to, że sam Władca zadawał sobie trud, aby zajrzeć do jego sypialni i czuwać nad nim przez całą noc. To było zdumiewające. W jego bogatym, pełnym bujnej wyobraźni umyśle pojawiła się myśl: Może zabierają mnie ze sobą! To się dzieje, kiedy zasypiam! Właśnie dlatego on do mnie przychodzi!

Najbardziej nurtowało go, w jaki sposób Sen odchodził. Zapewne przez obite zielonym rypsem drzwi. Drogą dedukcji doszedł do wniosku, że on także musi przejść przez te drzwi, narażając się na to, że ktoś go przy tym zauważy.

Ostatnio jednak te wizyty ustały. Cicha, ulotna postać nie zaglądała już do jego sypialni jak niegdyś. Zasypiał zbyt szybko, nim jeszcze niania docierała do hallu, na długo przed wygaśnięciem ognia w kominku. Co więcej, liczba psów i drzew na zasłonach zawsze była jednakowa, teraz z łatwością wygrywał grę, która jeszcze niedawno stanowiła dla niego prawdziwe wyzwanie, zasłona ani razu nawet nie drgnęła. Tak było od czasu jego rozmowy z rodzicami. Tym sposobem odkrył coś bardzo ważnego... jego rodzice nie wierzyli w Postać, o której im mówił. Dlatego przestała mu się ukazywać. Oni zwątpili w jej istnienie, a ona zaszyła się gdzieś. Ukryła się. Należało ją odnaleźć. Tęsknił za nią, była taka życzliwa i łagodna, co więcej, zadała sobie mnóstwo trudu i tak troskliwie się nim opiekowała, czuwając nad nim w jego wielkiej, samotnej sypialni. Jednak rodzice mówili o niej jak o czymś nieistotnym. Pragnął znów ją zobaczyć, stanąć z nią twarzą w twarz, powiedzieć, że *on* w nią wierzy i kocha ją. Z pewnością chciałyby to usłyszeć. Przecież jej zależało. Choć ostatnio zasypiał zbyt szybko, aby ujrzeć ją, zaglądającą przez drzwi, nawiedzały go znacznie przyjemniejsze sny, niż kiedykolwiek dotąd – sny o podróżach. To *ona* mu je przysyłała. Był przy tym pewien, że zabierała go ze sobą.

Pewnego marcowego wieczoru okazja wreszcie się nadarzyła, i to w samą porę, bo już o poranku miał przyjechać ze szkoły jego brat, Jack, a pod jego obecność w sypialni Postać prawie na pewno się nie pokaże. Nadchodziła Wielkanoc, a po niej, choć Tim wtedy jeszcze o tym nie wiedział, czekało go ostateczne pożegnanie z guwernantką i wyjazd do

szoły z internatem w Wellington. Okazja nadarzyła się niespodzianie, a Tim wykorzystał ją bez wahania. Nie kwestionował jej ani nie próbował zrejterować. Tak najwidoczniej miało być. Nagle bowiem, zgoła niespodziewanie znalazł się przed obitymi zielonym rypsem drzwiami, a te drzwi wciąż się kołysały! Ktoś nie dalej jak przed chwilą musiał przez nie przejść!

Wszystko układało się po jego myśli. Ojciec, który wyjechał do Szkocji, do Inglemuir na polowanie, miał wrócić nazajutrz rankiem; matka poszła do kościoła w związku z obchodami Wielkiej Nocy, guwernantce pozwolono wrócić na święta do domu, do Francji. Tim został w domu sam, a godzina pomiędzy porą herbaty a położeniem się do łóżka wydawała się najodpowiedniejsza dla jego celów. Unikając bez większego trudu piastunek oraz służby krzątającej się po domu, odwiedził i spenetrował starannie wszystkie zakazane miejsca, aż w końcu dotarł do prawdziwego sanktuarium, gabinetu ojca. Ten wspaniały pokój stanowił serce i centrum całego wielkiego domu; dawno temu dostał tu kiedyś lanie, tu również ojciec powiedział mu z powagą, lecz i uśmiechem na twarzy: – Masz rodzeństwo, Tim, młodszą siostrzyczkę; musisz być dla niej miły. – Tu także przechowywano wszystkie pieniądze. W pomieszczeniu czuć było „ojcowską woń”, jak ją nazywał, zapach gazet, tytoniu, książek oraz sprzętu myśliwskiego i prochu.

W pierwszej chwili poczuł trwogę, stając w bezruchu w progu. Wreszcie, odzyskawszy nad sobą panowanie, wolno, na paluszkach podreptał do olbrzymiego biurka, którego blat zasłany był całą masą różnych ważnych pism i dokumentów. Nawet ich nie tknął, jednakże jego bystre oko w mig wychwyciło postrzępiony kawałek żelaznego pocisku, który ojciec przywiózł z wojny krymskiej, a teraz używał go jako przycisku do papieru. Nawet podnieść go było trudno. Wspiął się na fotel i zaczął się obracać. To był obrotowy fotel. Rozsiadł się na nim wygodnie, wpatrując się z fascynacją w dziwne rzeczy leżące na blacie biurka. Następnie odwrócił się i spostrzegł stojak na laski w kącie pokoju; wiedział, że wolno mu było ich dotykać. Bawił się już nimi niejedną raz. Było ich w sumie ze dwadzieścia, wszystkie z dziwnie zdobionymi uchwytami, przywiezione, jak mu mówiono, z różnych zakątków świata; wiele z nich jego ojciec wyciął i wystrugał własnoręcznie w najdziwniejszych, odległych miejscach. Wśród nich Tim zauważył laskę z rękojeścią z kości słoniowej, smukłą,

polerowaną, która zawsze najbardziej mu się podobała. Takiej właśnie laseczki zamierzał używać, gdy dorośnie. Wyginała się, trzepotała, a gdy wykonywał nią zamach, drżała jak harcap i wydawała świszczący dźwięk. Mimo że elastyczna, była bardzo mocna. Ten rodzinny skarb był bardzo stary, stanowił pamiątkę rodzinną, należał do dziadka chłopca. Laseczka zdawała się emanować nagromadzoną przez lata aurą. Biła z niej gracia, dostojność i rozleniwienie. I nagle coś przyszło mu do głowy: Dziadkowi musi jej bardzo brakować! Na pewno chciałby ją odzyskać!

Tim nie wiedział, jak to się właściwie stało, ale już w kilka minut później maszerował wzdłuż opuszczonych korytarzy domu, jak podstarzały dżentelmen sprzed stu lat, dumny niczym lowelas, wymachując laseczką a la osiemnastowieczny dandys w alei, w parku św. Jakuba. To, że laska sięgała mu do ramienia, było bez różnicy, i tak wymachiwał nią ze swadą. Wyruszał na spotkanie przygody. Wkraczał w labirynt korytarzy Drugiego Skrzydła i samego siebie, jakby laseczka przeniosła go do czasów, kiedy korzystał z niej wiekowy dżentelmen.

Dla mieszkańców małych domów, może to być dziwne, ale w tej olbrzymiej, elżbietańskiej rezydencji było wiele miejsc nieznanymi, żeby nie powiedzieć obcych Timowi. W jego umyśle mapa Drugiego Skrzydła jawiła się wyraźniej niż plan tej części budynku, którą odwiedzał na co dzień. Napotykał na drodze przejścia i słabo oświetlone sale, długie kamienne korytarze za Galerią Portretów; wąskie, wyłożone boazerią łączniki z czterema schodami wiodącymi w dół i dwoma kolejnymi, prowadzącymi pod górę, opustoszałe komnaty ze strzegącymi je łukami, wszystko to skąpane w promieniach zachodzącego, marcowego słońca i zdumiewające równocześnie, ponieważ widział te miejsca po raz pierwszy. W awanturnicznym nastroju, kierowany żądzą przygód brnął uparcie przed siebie, coraz dalej w głąb tego nieznanego terytorium, wymachując laseczką, z jednym kciukiem wetkniętym pod pachę niebanalnego, serżowego mundurka, pogwizdywał cichutko, podekscytowany, ale nieodmiennie czujny i nagle znalazł się naprzeciwko drzwi, na widok których stanął jak wryty. To były drzwi obite zielonym rypsem. I lekko się kołysały.

Zatrzymał się gwałtownie. Spojrzał na drzwi. Patrzył na nie, wstrzymując oddech i ściskając w dłoni laseczkę. – Drugie Skrzydło! – wyszeptał zduszonym głosem. To było wejście, ale takie, jakiego nigdy

wcześniej nie widział. Wydawało mu się, że zna z widzenia wszystkie drzwi w całym domu, te wszakże były dla niego nowe. Stał w bezruchu przez kilka minut, wpatrując się w nie, drzwi były dwuskrzydłowe, ale tylko jedna ich część wciąż się kołysała, wahnięcia powoli słabły, usłyszał towarzyszący temu ruchowi szum powietrza; wreszcie drzwi znieruchomiały. I gdy to nastąpiło, serce chłopca także zamarło – na moment.

– Ktoś właśnie przez nie przeszedł – wykrztusił. I gdy wymówił te słowa, zrozumiał, kim był ten ktoś. To było niczym olśnienie. – To dziadek! Wie, że mam jego laseczkę. Chce ją odzyskać! – Wraz z tą informacją w jego myślach pojawiła się jeszcze inna. – On tam śpi. I śni. To właśnie oznacza, kiedy mówi się, że ktoś umarł.

W pierwszej chwili, instynktownie miał ochotę zawrócić. – Muszę powiedzieć o tym tacie, na pewno by się ucieszył – ale zaraz zmienił zdanie: chciał też dokończyć rozpoczętą właśnie przygodę. To drugie pragnienie, rzecz jasna, zwyciężyło. Mógł później opowiedzieć o wszystkim ojcu. Jego powinnością było teraz wejście do Drugiego Skrzydła. Musiał oddać laseczkę jej właścicielowi. Przekazać ją we właściwe ręce.

Teraz nadeszła pora na sprawdzian woli i charakteru. Tim miał wyobraźnię, tak więc znał pojęcie strachu, ale nie odczuwał lęku. Potrafił wyć, krzyczeć i tupać nogami jak każda osoba w jego wieku, gdy okoliczności wymagały takiego zachowania, ale tego rodzaju przypadki wynikały ze starcia jego charakteru z silną wolą innej osoby, a napady hysterii były po części udawane w celu osiągnięcia pożądanego skutku. W obecnej chwili nie było nikogo, z kim mógłby się zmierzyć. Wiedział przy tym, że lęk przed Nieznanym, obawa pozbawiona nieuzasadnionych przyczyn to stan wynikający z własnej niepewności. Potrafił sobie z tym poradzić. Byle lodowate ciarki nie mogły go powstrzymać.

W razie gdyby stanął przed prawdziwym wyzwaniem, Tim miał dość charakteru, aby mu sprostać. Ścisnąłby dłonie w pięści, napiął mięśnie, zacisnął zęby – i żałował, że bardziej nie urósł. Ale z pewnością nie oddałby pola. Jako chłopiec z wybujałą wyobraźnią potrafił wyobrazić sobie tuzin niebezpiecznych sytuacji, zanim jeszcze jakkolwiek się wydarzy, a kiedy to już nastąpi, był gotów stawić jej czoła jak mężczyzna. Miał ten rzadki dar, odwagę osoby o wrażliwej naturze. I akurat w tym

momencie, u progu nowej przygody ta odwaga go nie zawiodła. Uniósł laseczkę i pchnięciem uchylił jedno skrzydło drzwi. A potem przestąpił próg, wkraczając do Drugiego Skrzydła.

Zielone drzwi zamknęły się za nim; miał dość charakteru i hartu ducha, aby odwrócić się i przymknąć je niewzruszoną dłonią, ponieważ nie chciał usłyszeć całej serii głuchych dźwięków towarzyszących ich powolnemu, kołyszącemu zamykaniu się. Zdawał sobie sprawę, że robi coś naprawdę wielkiego.

Ściskając mocno w ręku długą laseczkę, ruszył odważnie wzdłuż korytarza, który się przed nim rozciągał. Cały lęk opuścił go w jednej chwili, zastąpiony, jak mu się zdawało, przez delikatne, subtelne zdumienie. Szedł bezgłośnie, zdawał się nie dotykać stopami ziemi; zamiast ciemności lub półmroku, jakiego się spodziewał, wszędzie płożyły się promienie rozrzedzonego, łagodnego światła, przywodzącego na myśl srebrzysty blask księżyca na trawniku w jasną, bezchmurną noc. Tim znał drogę, wiedział, gdzie się znajduje i dokąd zmierza. Znał ten korytarz równie dobrze jak własną sypialnię i jej okolice, rozpoznawał jego kształt i długość; wszystko zgadzało się ze sporządzoną przez niego dawno temu mapą. Choć o ile mu wiadomo, nigdy jeszcze tu nie był, znał to miejsce ze szczegółami, jakby odwiedzał je wielokrotnie.

Dlatego też zdziwienie, jakie odczuwał, było ogólnie rzecz biorąc łagodne i dalekie od niepokojącego. Znowu tu jestem! – pomyślał. To, w *jaki sposób* się tu dostał, wzbudziło w nim nieznaczne zdumienie. Nie szedł już buńczucznym krokiem, lecz stąpał ostrożnie, na paluszkach, trzymając wykonaną z kości słoniowej rękojeść dziadkowej laseczki z niemal nabożną czcią i szacunkiem. A kiedy tak szedł, światło z tyłu, za nim przybrało na sile, przesłaniając drzwi, przez które tu dotarł. On jednak o tym nie wiedział, ponieważ nie oglądał się wstecz. Patrzył wyłącznie przed siebie, na korytarz tonący w srebrzystych strugach światła, wiodący do wielkiej komnaty, gdzie, jak wiedział, będzie musiał oddać laseczkę. Ktoś, kto szedł przed nim tym samym korytarzem, otwierając obite zielonym rypsem drzwi, na kilka chwil zanim przed nimi stanął – ojciec jego ojca – znajdował się w tym właśnie pomieszczeniu, czekając, by odzyskać swą prawowitą własność. Tim wiedział o tym instynktownie. W drugim końcu korytarza widział większy spłachetek srebrzystego światła, znamionujący otwarte wejście.

Było coś jeszcze, o czym instynktownie wiedział, a mianowicie, że korytarz, którym szedł i w którym po obu stronach znajdowały się zamknięte drzwi, był Korytarzem Koszmarów, przemierzał go wielokrotnie, każdy pokój był zamieszkały. – To Korytarz Koszmarów – wyszeptał do siebie – ale przecież znam Władcę, to nie ma znaczenia. Żaden z nich nie mógł wyjść ani niczego zrobić. – Mimo to usłyszał je, kręcące się wewnątrz, za mijanymi przezeń zamkniętymi drzwiami. Usłyszał, jak skrobą w drewno, usiłując się wydostać. Wrażenie bezpieczeństwa sprawiło, że stał się nieostrożny; podjął niepotrzebne ryzyko, przechodząc obok drzwi, niemal ocierał się o nie ramieniem. Złakniony mocnych wrażeń, owego przejmującego dreszczyku, dał się skusić do tego stopnia, że uniósł laseczkę i szturchnął nią jedne z zamkniętych drzwi!

Nie był przygotowany na taki rezultat, ale chciał poczuć dreszcz emocji i tak też się stało. W następnej chwili bowiem drzwi uchyliły się na pół cala, a ze szpary wyłoniła się łapa, schwyciła laseczkę i spróbowała mu ją wyrwać. Tim zatoczył się do tyłu, jak po silnym ciosie. Szarpnął mocno białą jak kość rękojeść laseczki, ale nie miał dość siły. Chciał krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w gardle. Ogarnęła go dojmująca zgroza, bo nie był w stanie rozluźnić uchwytu dłoni na rękojeści laseczki, wydawała się teraz stanowić część jego ciała, była zespolona z jego palcami. Zatrważająca słabość sprawiła, że stał się kompletnie bezradny. Cal po calu był przyciągany w kierunku przerażających drzwi, koniec laseczki zniknął już wewnątrz wąskiej szczeliny. Nie widział już ciągnącej go łapy, ale wiedział, że była naprawdę potworna. Zrozumiał teraz, dlaczego świat był dziwny, czemu konie galopowały we wściekłym pędzie i dlaczego pociągi wydawały donośny gwizd, przejeżdżając przez stację. Cały bezmiar farsy i zgrozy zmienił się w lodowate szczypce, które zacisnęły się wokół jego serca. Różnica w układzie sił była zatrważająca. Ostateczne załamanie ogarnęło go, gdy nagle, bez ostrzeżenia drzwi zamknęły się bezgłośnie, a laseczka została zmiażdżona jak trzcinka pomiędzy krawędzią drzwi a framugą. Moc czająca się za drzwiami była tak nieodparta, że elastyczna, mocna laseczka została spłaszczona jak zwyczajna trzcina.

Spojrzał na nią. To *faktycznie* była trzcina.

Nie wybuchnął śmiechem, to wszystko było tak niezwykle i niepojęte, że aż absurdalne. Fakt, że zamiast mocnej, lakierowanej laseczki ujrzał nagle zwyczajną trzcinę, przepełnił go niepohamowaną trwogą; to upiorne,

zdumiewające odkrycie miało w sobie wszelkie aspekty najgorszego z możliwych koszmarów. Czuł się dezorientowany, zbity z tropu. Czemu od początku nie zdawał sobie sprawy, że ta laseczka nie jest w istocie laską, lecz cienką, suchą trzcinka...?

Zaraz jednak stwierdził, że trzyma w dłoni laskę, całą i nienaruszoną. Spojrzał na nią. Koszmary rozszalały się na dobre. Usłyszał skrzyp kolejnych drzwi, otwierających się za jego plecami, drzwi, których nie dotknął. Zdążył jeszcze zobaczyć dłoń wysuwającą się i poruszającą się w jego stronę przez wąską szczelinę w przerażający, znajomy sposób; zdążył jeszcze uświadomić sobie, że to kolejny koszmar usiłujący włączyć się do gry, kiedy nagle ujrzał tuż obok górującą nad nim, życzliwą Postać, sięgającą aż do sufitu; była to ta sama, czuła, troskliwa Postać, która odwiedzała jego sypialnię. Odwracając się, by stawić czoła atakowi, zdał sobie sprawę z jej obecności. Równocześnie przepełniający go strach zniknął. To była jedynie zgroza wywołana przez koszmary. Nieskończona trwoga przysła. Pozostała jedynie farsa. Uśmiechnął się.

Ujrzał Postać niewyraźnie, taka była ogromna, niemniej jednak w końcu ją zobaczył – Władcę Drugiego Skrzydła – i wiedział, że znów jest bezpieczny. Spojrzał na Postać z miłością i zdumieniem, usiłując przyjrzeć się jej wyraźniej, ale głowa istoty znajdowała się zbyt wysoko, zdawała się zlewać w jedno z niebem ponad sklepieniem, powyżej. Stwierdził, że Postać była większa niż Noc, lecz znacznie od niej łagodniejsza, wielkie skrzydła, którymi go otuliła, były czulsze nawet od ramion jego matki. Pośród piór błyszcząły drobne punkciki światła, jak migoczące gwiazdy, skrzydła były tak wielkie, że mogły ogarnąć miliony ludzi naraz. Co więcej, Władca Snów nie odszedł ani nie zniknął, lecz raczej powiększył się w taki sposób, że chłopiec stracił go z oczu. Postać rozprzestrzeniła się na całe Drugie Skrzydło...

Tim przypomniał sobie, że było to jak najbardziej normalne. Często bywał w tym miejscu, przejście przez Korytarz Koszmarów nie było dla niego niczym nowym, musiał stawić mu czoła, jak zawsze. Dowiedziawszy się, co kryło się wewnątrz mijanych pomieszczeń, zawsze przeżywał podobne pokusy. Koszmary usiłowały go skusić, oczarować, omamić, na tym polegała ich moc. Były w stanie przyciągnąć go całkiem bezradnego ku sobie, on zaś nie mógł nic na to poradzić. Rozumiał doskonale, dlaczego skusiły go, aby postukał laseczką w te przerażające drzwi, lecz uczyniwszy

to, przyjął wyzwanie i mógł teraz spokojnie i bezpiecznie kontynuować swą wędrówkę, Władca Drugiego Skrzydła wziął go pod swoją opiekę.

Ogarnęło go rozkoszne uczucie beztroski. Otaczające go rzeczy, choć solidne i trwałe, wydawały się płynne i delikatne. Nic nie mogło go zranić ani sprawić mu bólu. Trzymając laseczkę mocno za rękojeść z kości słoniowej, szedł dalej wzdłuż korytarza, miękko, jakby unosił się w powietrzu.

Bardzo szybko dotarł do końca przejścia, stanął u progu wielkiej komnaty, wewnątrz której, jak wiedział, czekał właściciel laseczki; długi korytarz pozostał z tyłu, za nim, przed sobą zaś miał rozległą, przestronną salę, której widok sprawił, że chłopiec poczuł się jak w Crystal Palace, na Euston Station albo u św. Pawła. Po jednej stronie widniały wysokie okna wykute głęboko w ścianie, po prawej stronie miał olbrzymi kominek, w którym płomienie pożerały łąpczywie ogromnie polana, od sufitu aż do kamiennej posadzki na ścianach zwieszały się grube gobeliny, pośrodku komnaty zaś stał masywny stół z ciemnego, lśniącego drewna, przy nim zaś kilka krzeseł z rzeźbionymi misternie oparciami. Na największym z tych podobnych tronowi krzeseł siedziała postać patrząca na niego z niezmaconą powagą – stary, bardzo stary mężczyzna.

Widok ten ani trochę nie zdumiał chłopca. Jego serce biło przyspieszonym rytmem, lecz wyłącznie za sprawą przepelniającej go radości i ekscytacji. Czuł wzbierającą w nim głęboką satysfakcję. Był pewien, że ten staruszek tam będzie, i wiedział, że właśnie tak będzie on wyglądał. Postąpił naprzód bez cienia trwogi, przekroczył próg i stanął na kamiennej posadzce, w obu rękach unosząc przed sobą laseczkę, jakby przekazywał ją w prezencie jej właścicielowi. Czuł się dumny i zadowolony zarazem. Podjął niemałe ryzyko, aby tego dokonać.

Postać podniosła się bezgłośnie, aby do niego podejść, zbliżyła się do Tima powolnym, majestatycznym krokiem. Oczy staruszka zmierzyły chłopca pełnym powagi, lecz życzliwym spojrzeniem, orli nos był wydatny, sterczący. Tim znał go doskonale – sięgające do kolan bryczesy z błyszczącej satyny, lśniące sprzączki przy butach, ciemne, eleganckie pończochy, koronki i żabot pod szyją i przy mankietach, barwny surdut z rozchylonymi mocno połami – pamiętał wszystkie te szczegóły z obrazu wiszącego nad kominkiem w gabinecie ojca, pomiędzy dwoma bagnetami z

wojny krymskiej, a teraz miał okazję ujrzeć je na własne oczy. Brakowało jedynie polerowanej laseczki z rękojeścią z kości słoniowej.

Tim podszedł o trzy kroki do zbliżającej się ku niemu postaci i wyciągnął ręce przed siebie, z laseczką ułożoną na dłoniach.

– Przyniosłem ci ją, Dziadku – powiedział niezbyt donośnym, lecz pewnym i spokojnym tonem. – Oto ona.

Tamten nieznacznie się schylił, wyciągnął trzy palce, na wpół ukryte pod delikatnymi koronkami i zacisnął je wokół rękojeści laseczki. Spojrzał na Tima i wykonał elegancki, dworski ukłon. Uśmiechnął się, lecz mimo iż wyraźnie zadowolony, w jego uśmiechu malowały się także powaga i smutek. Po chwili przemówił, miał głęboki głos i mówił bardzo wolno. W jego głosie dało się wyczuć delikatną łagodność i słodką uprzejmość, typową dla dawnych czasów.

– Dziękuję – powiedział. – Jest dla mnie bardzo cenna. Dostałem ją od dziadka. Zapomniałem jej, kiedy... - jego głos stał się nagle niewyraźny.

– Tak? – spytał Tim.

– Kiedy... odszedłem – powtórzył dżentelmen starej daty.

– Och – mruknął Tim, stwierdzając w duchu, jak przepiękną i życzliwą postać miał teraz przed sobą.

Staruszek przesunął ostrożnie szczupłymi palcami po drzewcu laseczki, muskając z zadowoleniem delikatną, polerowaną powierzchnię. Przez dłuższą chwilę dotykał rękojeści z kości słoniowej. Był bez wątpienia bardzo zadowolony.

– Widzisz... gdy to się stało... nie byłem w pełni sobą – ciągnął łagodnym tonem – ...pamięć musiała mnie zawieść. – Westchnął z wyraźną ulgą.

– Mnie też zdarza się zapomnieć o tym i owym – wtrącił Tim z wyrozumiałością w głosie. Po prostu kochał swego dziadka. Przez krótką chwilę miał nadzieję, że dziadek weźmie go na ręce i ucałuje. – Bardzo się cieszę, że ją przyniosłem – na chwilę zamilkł, zabrakło mu słów – ...abyś mógł ją odzyskać.

Dziadek skierował na niego spojrzenie szarych oczu, w uśmiechu malującym się na jego twarzy kryła się niewysłowiona wdzięczność.

– Dziękuję ci, mój chłopcze. Jestem ci szczerze i głęboko wdzięczny. Naraziłeś się na niebezpieczeństwo i uczyniłeś to dla mnie. Inni już wcześniej próbowali, ale ten Korytarz Koszmarów... ee... – Przerwał.

Postukał mocno laseczką w kamienną posadzkę, jakby badał jej wytrzymałość. Lekko się ugięła, gdy oparł się na niej całym ciężarem.

– No! – wykrzyknął i odetchnął z ulgą. – Teraz już mogę... Jego głos znów stał się niewyraźny, Tim nie dosłyszał słów.

– Tak? – zapytał ponownie, czując po raz pierwszy, gdzieś pod sercem, ukłucie trwogi.

– ...pokręcić się trochę tu i tam – ciągnął tamten cichym głosem. – Nie mogłem pozwolić... – dodał, z trudem formułując kolejne słowa – aby ktoś... zobaczył mnie... bez niej. To takie uwłaczające... niewybaczalne... jak mogłem o niej zapomnieć! Dalibóg... ja... ee... ja...

Jego głos rozpląnął się nagle w poszumie wiatru. Wyprostował się, stukając metalowym okuciem laseczki w kamienną posadzkę. Rozległa się cała seria suchych, ostrych dźwięków. Tim poczuł, że miękną mu kolana. Dziwne słowa wzbudziły w nim lekkie zaniepokojenie.

Staruszek postąpił krok w jego stronę. Wciąż się uśmiechał, ale teraz jego uśmiech nabrał całkiem nowego znaczenia. Dotychczasowe wytworne rozleniwienie zastąpiła nagła zwawość ruchów. Kolejne słowa zdawały się napływać do chłopca z góry, jakby przywiał je z zewnątrz podmuch lodowatego wiatru.

A mimo to wiedział, że słowa te zostały wypowiedziane szczerze, z niekłamaną życzliwością. Przeraziła go tylko nagła zmiana, którą dostrzegł w swoim dziadku. Bądź co bądź dziadek był tylko człowiekiem! Odległy dźwięk ożywił w nim coś, otwierając go na świat zewnętrzny, z którego powiał ten lodowaty wichur.

– Jestem ci wdzięczny po wsze czasy – usłyszał głos, podczas gdy twarz i postać oddalały się coraz bardziej w głąb tej wielkiej komnaty. – Nie zapomnę twojej życzliwości ani twej odwagi. Może dane mi będzie kie dyś spłacić ten dług... to się okaże. Teraz jednak powinieneś już wrócić do siebie, i to możliwie jak najszybciej. Albowiem leżysz teraz, opierając głowę i ramiona na blacie biurka, dokumenty i pisma walają się w nieładzie, poduszka spadła z fotela... a mój syn jest już w domu... Żegnaj! Radzę ci, abyś opuścił to miejsce jak najszybciej. Spójrz! *On* jest tuż za tobą. Czeka. Idź z nim. Idź już...!

Cała ta scena znikła, zanim jeszcze padły ostatnie słowa. Tim poczuł wokół siebie pustkę. Olbrzymia, cienista Postać niosła go, jakby frunęła na wielkich, mocnych skrzydłach. Leciał, mknął naprzód, nie pamiętając już

niczego, gdy nagle usłyszał inny głos i poczuł na ramieniu dotyk ciężkiej ręki.

– Tim, ty nicponiu! Co robisz w moim gabinecie? W dodatku siedząc tak po ciemku?

Uniósł wzrok i spojrzał bez słowa na ojca. Czuł się zdezorientowany. W chwilę potem ojciec wziął go na ręce i ucałował.

– Ty hultaju! Skąd wiedziałeś, że wrócę jeszcze tej nocy? – uniósł go w górę i ucałował jego zmierzwiłone loki. – Widzę, że trochę się zdrzemnąłeś. Dobre i to. A co tam w domu? Wszystko gra? Wiesz, Jack wraca ju tro ze szkoły i...

Jack faktycznie wrócił do domu następnego dnia, a po Wielkanocy guwernantka została za granicą, Tim zaś wyruszył na spotkanie innej przygody, w prywatnej szkole z internatem w Wellington. Jego życie przyspieszyło tempa, dorósł, stał się mężczyzną, zmarli jego rodzice, a wkrótce po nich odszedł także jego brat, Jack; Tim odziedziczył majątek, ożenił się, osiadł w wielkiej rezydencji i otworzył Drugie Skrzydło. Sny z bajecznych czasów jego dzieciństwa przyblakły, a może to on zepchnął je na drugi plan lub kto wie, całkiem o nich zapomniał. Tak czy owak, nigdy o nich nie wspominał, a kiedy jego żona, z pochodzenia Irlandka, wyraziła na głos przypuszczenie, jakoby ta stara, wiejska rezydencja miała swojego własnego, rodzinnego ducha, ba, dodała przy tym, że spotkała na jednym z korytarzy mężczyznę w osiemnastowiecznym stroju, zgrzybiałego staruszka, idącego o lasce, Tim tylko się zaśmiał i rzekł:

– Tak właśnie być powinno! A jeśli te przekłete podatki zmuszą nas któregoś dnia do sprzedaży posiadłości, obecność szacownego ducha tylko zwiększy jej wartość rynkową...!

Pewnej też nocy obudził się i usłyszał wyraźne stukanie w podłogę. Usiadł na łóżku, nasłuchując. Lodowate ciarki przebiegły mu po plecach. Utracił wiarę dawno temu, pozostał jedynie nieznaczny, niepojęty strach. Odgłosy zbliżały się, towarzyszyły im lekkie kroki. Drzwi otwały się, a raczej uchylły szerzej, bo nie były całkiem zamknięte, w progu zaś pojawiła się znajoma postać. Wyraźnie ujrzał twarz starszego mężczyzny, uśmiechał się, lecz w uśmiechu tym wyczuwało się ostrzeżenie i niepokój. Jedną rękę miał uniesioną do góry. Tim spostrzegł szczupłą dłoń, koronki opadające na długie, smukłe palce ściskające mocno rękojeść polerowanej laseczki. Mężczyzna machnął laską kilka razy w powietrzu, wychylił się do

przodu, wypowiedział pewne słowa... i zniknął. Słowa były jednak niesłyszalne, bo mimo iż usta wyraźnie się poruszyły, nie wypłynął spomiędzy nich żaden dźwięk.

Tim poderwał się wtedy z łóżka. W pokoju było ciemno. Zapalił światło. Drzwi, jak zauważył, były jak zawsze zamknięte. Poczował jednak dziwną woń. Pociągnął mocniej nosem i w jednej chwili rozpoznał ten zapach. To był swąd spalenizny! Coś się paliło!

Na szczęście obudził się w samą porę...

Za swoją przytomność umysłu zyskał sobie miano bohatera. Wiele dni później, gdy usunięto już wszystkie szkody, a rozkołatanе nerwy ponownie się uspokoiły, dostrajając się na nowo do sielskiego, spokojnego trybu życia, opowiedział tę historię żonie - nie zatajając niczego. Poprosiła wtedy, by pokazał jej tę rodzinną pamiątkę, laseczkę z rękojeścią z kości słoniowej. Jej prośba sprawiła, że Tim przypomniał sobie ze szczegółami to wszystko, co przez lata zatarło się w jego pamięci. Przypomniał to sobie w jednej chwili – zagubienie laseczki, awanturę, jaką zrobił mu później z tego powodu jego ojciec i długie, lecz zakończone niepowodzeniem poszukiwania zguby. Laseczki bowiem nigdy nie odnaleziono, a Tim, którego w związku z jej zaginięciem po wielokroć zasypywano pytaniami, nieodmiennie odpowiadał, że nie ma zielonego pojęcia, gdzie mogła się ona znajdować. I, rzecz jasna, była to szczerą prawdą.

Przejęcie

(The Transfer)

Po raz pierwszy dziecko zapłakało wczesnym popołudniem, ściślej mówiąc, około trzeciej. Pamiętam, o której to było, bo akurat ze starannie skrywaną ulgą wsłuchiwałam się w odgłos odjeżdżającego powozu. Cichnący w oddali dźwięk przetaczających się po żwirze kół pojazdu z panią Frene i jej córką Gladys, której byłam guwernantką, oznaczał dla mnie kilka godzin miłego odpoczynku, a ten czerwcowy dzień był wyjątkowo upalny. Co więcej, w całej tej niewielkiej wiejskiej posiadłości wyczuwało się tego dnia spore ożywienie, dające się we znaki wszystkim, a mnie w szczególności.

Owo ożywienie, towarzyszące kolejnym porannym wydarzeniom, związane było z pewną tajemnicą, która mnie jako zwykłej guwernantce nie została wyjawiona. Mimo to nie ustawałam w wysiłkach, by ją zgłębić, i wciąż zachowywałam niezmaconą czujność. Ogarnął mnie bowiem jakiś głęboki, nieopisany lęk i przyszło mi na myśl to, co kiedyś powiedziała mi siostra; a mianowicie, że jestem zbyt wrażliwa, aby być dobrą guwernantką i że jako osoba tak sensytywna lepiej bym się sprawdziła w roli zawodowej wróżki.

Pan Frene senior, „wujek Frank”, miał przyjechać z miasta z niezwykle rzadką wizytą, w porze picia herbaty. Tyle tylko wiedziałam. Wiadomo było, że jego wizyta była w jakiś sposób związana z przyszłością i zapewnieniem dobrobytu siedmioletniemu bratu Gladys, Jamiemu. Więcej

nie zdołałam się dowiedzieć, a owo brakujące ogniwo uczyniło całą tę historię w dużej mierze niepojętą, brakowało istotnego elementu tej dziwnej układanki. O ile wiedziałam, wujek Frank był z natury osobą protekcyjną, a Jamiemu nakazano, by zachowywał się możliwie jak najlepiej, aby wyrzucić na wujku Franku dobre wrażenie, Jamie zaś, który nigdy swego wujka nie widział, bał się go potwornie, choć przecież nie miał po temu żadnych powodów. Kiedy zaś przy wtórze oddalającego się chrzęstu kół toczących się po żwirze w to upalne, czerwcowe popołudnie dał się słyszeć cichy płacz dziecka, dźwięk ten zgoła niespodziewanie sprawił, że całe moje ciało, od stóp do głów, przeszył dziwny prąd i w przypływie niewytłumaczalnego niepokoju poderwałam się na nogi. Łzy napłynęły mi do oczu. Przypomniałam sobie atak białej gorączki, w jaki wpadł on tego ranka, gdy powiedziano mu, że wujek Frank przyjedzie na herbatę i że ma być dla niego „szczególnie miły”. To wspomnienie zakłuło mnie jak nóż wbity w ciało. Przez cały dzień te koszmarne wspomnienia zgrozy i konsternacji nie dawały mi spokoju.

– Ten pan z wielką twarzą? – zapytał z przerażeniem chłopiec, a zaraz potem zamilkł, zalewając się łzami i nic nie było go w stanie uspokoić.

To wszystko, co miałam okazję ujrzeć, a jego wzmianka o „wielkiej twarzy” przepełniła mnie mglistymi, niejasnymi przeczuciami. Na swój sposób mogło się wydawać rozczarowujące to nagłe rozwiązanie zagadki związanej z ożywieniem, obecnym od samego ranka w całej posiadłości. Bałam się o chłopca. Ze wszystkich bowiem osób zamieszkałych w tym domu najbardziej lubiłam Jamiego, choć z zawodowego punktu widzenia nie miałam z nim w ogóle do czynienia. Był bardzo wrażliwym, nerwowym dzieckiem i wydawało mi się, że nikt go nie rozumie, a już na pewno nie jego kochający, nader czuli rodzice, tak więc jego cichy płacz, którego dźwięk sprawił, że zerwałam się z łóżka i podbiegłam do okna, zabrzmiał dla mnie niczym wołanie o pomoc.

Czerwcową mgiełka płożyła się w wielkim ogrodzie niczym wielki koc; przepiękne kwiaty, chluba pani Frene, trwały w majestatycznym bezruchu, trawniki gęste i miękkie tłumiły wszelkie inne dźwięki, jedynie wśród lip i buldenezży uganiały się stada brzęczących pszczół. Pośród fal żaru i mgły, z oddali znów dobiegł mnie płacz dziecka. W gruncie rzeczy zaczęłam zastanawiać się, jakim cudem w ogóle go usłyszałam, gdyż w chwilę potem ujrzałam go, daleko, przy drugim końcu ogrodu, dwieście jardów stąd,

stojącego w bezruchu, w białym, marynarskim ubranku. Dotarł do szpetnego spłachetka, na którym nie rosło absolutnie nic, miejsca zwanego powszechnie Zakazanym Obszarem. Omal wtedy nie zemdlałam, poczułam, że tracę zmysły, kiedy ze wszystkich możliwych miejsc ujrzałam go tam właśnie, dokąd zabroniono mu chodzić i gdzie sam nigdy dotąd pójść się nie ośmielił. Ujrzawszy go stojącego w tym odludnym, niezwykłym miejscu, na krótką chwilę utraciłam możliwość wszelkiego działania. I wtedy, zanim jeszcze zdążyłam odzyskać rezon na tyle, by go przywołać, zza rogu, od strony Lower Farm nadszedł pan Frene z psami, a ujrzawszy syna, wyręczył mnie w tym względzie. Zawołał go donośnym, radosnym głosem, zaś Jamie odwrócił się i pobiegł, jakby w ostatniej chwili uwolniony od mocy bliżej nieokreślonego czaru, i rzucił się w objęcia szczęśliwego, choć nieświadomego tego, co się tu stało, ojca, który wziął go na ręce i zaniósł w stronę domu, zapytując niejako z głupia frant: – A cóż ci się przydarzyło mój chłopcze, skąd te łzy? – Psy pospieszyły za nimi, powarkując głośno i tańcząc coś, co Jamie określał mianem „pląsu na żwirze”, ponieważ ich nerwowym pląsom towarzyszyły strugi żwiru wypryskujące spod łap.

Odstąpiłam czym prędzej od okna, aby mnie nie zauważono. Nie czułamby większej ulgi, gdybym miała okazję ujrzeć, jak jakieś dziecko zostało uratowane od śmierci w rzece lub płomieniach. Wiedziałam jednak, że Frene nie uczynił i nie powiedział wszystkiego, co powinien. Będzie z pewnością starał się uchronić chłopca przed jego własną, wybujałą wyobraźnią, lecz wyjaśnienia, których mu udzieli, nie zdołają go uzdrowić. To nie mogło mu pomóc. W chwilę potem zniknęli wśród krzewów róż, zmierzając w stronę domu. Ponownie ujrzałam ich dopiero po przyjeździe pana Frene’a seniora.

Określenie szpetnego spłachetka ziemi mianem „osobliwego” jest trudne do usprawiedliwienia, jednak, choć nikt z rodziny nie wpadł na nie, było to słowo najbardziej adekwatne do tego miejsca. Choć Jamie i ja również nigdy o tym nie rozmawialiśmy, to miejsce, gdzie nie rósł ani jeden kwiat czy drzewo, było dla nas bardziej niż osobliwe. Rozciągało się na drugim końcu przepięknego, różanego ogrodu: łysy, nagi placek, gdzie zimą przezierał spłachetek czarnej gleby, nieomal jak fragment groźnego trzęsawiska, latem zaś ziemia była poprzecinana pęknięciami i co chwilę przemykały po niej chyże jaszczurki, przywodzące na myśl zielone, żwawe

płomyki. W porównaniu z przepychem ogrodu nieopodal, miejsce to wyglądało jak wymarłe, oaza śmierci wśród enklawy życia, ognisko choroby błagającej o uzdrowienie, aby nie rozprzestrzeniła się dalej. Choć dotąd nie zaczęła się jeszcze rozprzestrzeniać. Po drugiej stronie rozpościerał się gęsty las brzozowy, za nim zaś niewielka, skrząca się w słońcu polana, na której igrały jagnięta.

Ogrodnicy mieli bardzo proste wytłumaczenie na jałowość tego skrawka ziemi, został on pozbawiony wody za sprawą otaczających go stoków i to właśnie brak wody sprawił, że ziemia ta stała się nieurodzajna. Nie wiem, czy to prawda. To Jamie jako pierwszy poczuł magię tego miejsca i jego przyciąganie – zaczął je odwiedzać, przesiadywał tam całymi godzinami, mimo iż bardzo się bał, to on właśnie określił je jako „miejsce bez barier”, gdyż stymulowało jego i tak już mocno wyobraźnię, aczkolwiek nie rozwijało jej, czyniło ją jedynie bardziej posępną i mroczną; to Jamie grzebał tam ogry i słyszał, jak wyły ziemistymi głosami, przysięgał, że widział, jak powierzchnia gleby falowała gwałtownie na jego oczach i po cichu karmił ją znalezionymi podczas swych wędrówek padłymi myszami, ptakami czy królikami. To Jamie również przyoblekał w słowa swe niezwykle odczucia, które to upiorne miejsce wzbudzało także we mnie, od chwili gdy ujrzałam je po raz pierwszy.

– Ono jest złe, panno Gould – powiedział do mnie.

– Ależ Jamie, w Naturze nie ma złych rzeczy, co najwyżej są rzeczy inne niż pozostałe.

– Ale właśnie dlatego ono jest puste, panno Gould. Nie jest karmione. Umiera, bo nie dostaje pożywienia, którego łaknie.

I kiedy tak patrzyłam na jego drobne, blade oblicze, w jego ciemne, piękne oczy, szukając w sobie właściwych słów, czegoś, co mogłabym mu powiedzieć, dodał z przekonaniem, od którego przeszył mnie dreszcz:

– Panno Gould – zawsze tak się do mnie zwracał – czy pani nie wi dzi, że ono jest głodne? Ale ja wiem co może sprawić, że wydobrzeje.

Jedynie pewność siebie i szczere przekonanie dziecka było w stanie sprawić, że te zuchwałe słowa zwróciły moją uwagę, dla mnie jednak, która czuła, że rzeczy, w które wierzy nadwrażliwe dziecko, są naprawdę istotne, wrażenie, jakie temu towarzyszyło, było bliskie głębokiemu psychicznemu wstrząsowi. To było niczym szok, który sprawił, że zaczęłam inaczej patrzeć na rzeczywistość. Jamie, na swój sposób, nieco przesadzając, zdołał

uchwycić samo sedno wstrząsającego faktu, dotknąć aluzyjnie mrocznej, nie odkrytej prawdy, która zrodziła się w jego wrażliwej, bujnej wyobraźni. Dlaczego te słowa wzbudziły we mnie grozę, nie potrafię powiedzieć, ale wydaje mi się, że jakaś mroczna siła zawarła się w tym zdaniu: *Wiem co może sprawić, że wydobrzej.* Dorzucone mimochodem słowa, poprzedzone chwilami ciszy, ożywiły niewysłowione przypuszczenia, usłone dotąd gdzieś w głębi mojej świadomości. Wydaje mi się, że mój umysł już od jakiegoś czasu borykał się z tą sprawą i brał ją pod uwagę. Słuchałam z uwagą, a krew z wolna stygła mi w żyłach. Pamiętam, że zaczęły trząść mi się kolana. Teoria Jamiego w stu procentach pokrywała się z moją.

Teraz zaś, gdy położyłam się odpocząć, przez chwilę zastanawiałam się nad tym wszystkim. Zrozumiałam, dlaczego przyjazd jego wuja spowodował u chłopca głęboko traumatyczną reakcję i przepełnił go dojmującą zgrozą. Uczucie koszarnej pewności sprawiło, że nie byłam w stanie przewalczyć w sobie tej, zdawałoby się, absurdalnej myśli, była zbyt szokująca, aby można z nią polemizować czy obalić zdroworozsądkowymi argumentami, to przekonanie nawiedziło mnie, przepełniając mroczną, przeraźliwą pewnością; jako że prawdziwą zgrozę niełatwo ująć w słowa, mogłam powiedzieć jedno: w tym wymierającym spłachetku jałowej ziemi na skraju ogrodu *faktycznie* czegoś brakowało, nie było tu czegoś, co być powinno, czegoś, co niegdyś się tu znajdowało, a co zostało temu miejscu odebrane, coś, co mogło żyć i rozwijać się jak reszta tej okolicy, a także więcej, że istniał ktoś, kto mógł zaradzić tej sytuacji. Osobą tą był pan Frene senior, „wujek Frank”, którego bujne życie mogło z łatwością, żeby nie powiedzieć w nadmiarze, nieświadomie uzupełnić ów brak.

Związek bowiem pomiędzy gasnącym, jałowym skrawkiem ziemi i tą żywotną, zamożną, nader żywiołową osobą pojawił się w mej podświadomości na długo, zanim w ogóle go sobie uświadomiłam. Musiał tkwić gdzieś w niej, ukryty bardzo głęboko. Słowa Jamiego, jego nagła bladość i przerażająca trwoga, która go ogarnęła, dopełniły dzieła, choć dopiero płacz chłopca stojącego na skraju umierającego skrawka ziemi wydobył owo skojarzenie z głębi mojego umysłu. Ujrzałam przed sobą tę twarz, wyraźną jak na fotografii. Zamknęłam oczy. Gdyby nie rumieńce na policzkach – moja twarz wydaje się powabna, o ile mam suche oczy – zapewne wybuchnęłabym płaczem. Słowa Jamiego o „wielkiej twarzy” powróciły do mnie z mocą obłączniczego tarana.

Pan Frene senior, odkąd się tu zjawiał, był w domu rodzinnym tematem tak licznych rozmów, że często o nim słyszałam, a to, czego się dowiedziałam, zaciekało mnie na tyle, że zaczęłam szukać o nim informacji z innych źródeł, przeglądałam gazety i pisma, by poznać prawdę o tym niezmordowanym, żywiołowym człowieku sukcesu, żarliwym filantropie, aż w moich oczach pojawił się pełen jego obraz. Poznałam go takim, jakim był, na wskroś, albo jak powiedziałyby moja siostra – w sposób parapsychiczny. Widziałam go tylko raz (gdy zabrałam Gladys na spotkanie, któremu przewodniczył, a później *poczułam* jego aurę oraz obecność, kiedy zamienił z nią protekcyjnie kilka słów) co pomogło mi zweryfikować zdanie na jego temat. Co się tyczy reszty, możecie uznać to za wymysł wybujałej, kobiecej wyobraźni, ja sądzę jednak, że był to rodzaj wróżebnej intuicji, którą kobiety dzielą niekiedy wspólnie z dziećmi. Gdyby można było ujrzyć duszę, założyłabym się o własne życie, że stworzony przeze mnie portret pana Frene’a seniora był jak najbardziej dokładny i trafny.

Pan Frene był z natury samotnikiem, aczkolwiek w tłumie natychmiast się ożywiał – umiał bowiem wykorzystywać witalność innych ludzi. Był prawdziwym mistrzem, nieświadomym artystą, jeżeli chodzi o sztukę zawłaszczania owoców pracy i dorobku życiowego innych osób oraz wykorzystywaniem ich na swoją korzyść. Był wampirem energetycznym, zapewne nieświadomie, żerując na każdym, z kim miał styczność, pozostawiając swe ofiary wyczerpane, zmęczone, niespokojne. Karmił się innymi, tak że w sali pełnej ludzi zdawał się błyszczeć, brylować, kiedy zaś był sam, pogrążał się w marazmie i rozleniwieniu. Znalazłszy się blisko niego, czułaś jak jego moc wysącza z ciebie energię, pozbawia cię zmysłów, siły, słów nawet, a następnie wykorzystuje je dla własnych potrzeb i korzyści. Nie w złych celach, ma się rozumieć, ten człowiek był ogólnie rzecz biorąc dobry, czuło się jednak, że gdyby mógł, pozbawiłby cię wszelkich sił witalnych, jakie tylko zdołałby z ciebie wyssać. Jego oczy, głos i obecność sprawiały, że człowiek tracił całą żywotność. Wydawało się, że życie, cała ta luźna, nieuporządkowana witalność, nie mogąca stawić mu oporu, rejterowała, gdy tylko się zbliżał, i kryła się w obawie, by jej nie pochłonął, co faktycznie równałoby się jej śmierci.

Jamie nieświadomie dopełnił tworzony przeze mnie portret mentalny tego człowieka. Pan Frene senior posiadał osobliwy dar pozbawiania

innych ludzi rezerw witalnych i błyskawicznego ich magazynowania. Zrazu wyczuwało się lekki opór, uczucie to stopniowo przechodziło w znużenie, siła woli słabła, potem albo kobieta się wycofywała, albo poddawała naporowi, przystając na każde słowo rozmówcy z coraz to większą rezygnacją. W przypadku męskiego przeciwnika mogło być nieco inaczej, ale nawet wówczas siła oporu mogła zostać wykorzystana przez pana Frene'a, nie zaś przez jego antagonistę. Nigdy się nie poddawał. Jakiś instynkt nauczył go, jak ma się przed tym bronić. I nigdy nie zdradził się ze swoimi umiejętnościami przed innymi ludźmi. Tym razem miało być inaczej. Miał tyleż szans co mucha znajdująca się na drodze wielkiej – jak ją określił Jamie – maszyny przyciągającej niczym magnes.

Tak go właśnie postrzegałam, jako wielką, ludzką gąbkę, napęczniałą i ociekającą życiem, a raczej skradzioną komu się tylko dało energią życiową. Moja wizja wampira energetycznego była jak najbardziej słuszna. Ten człowiek kroczył przez życie, wysysając siły witalne innych osób. W pewnym sensie życie, którym się cieszył, nie było jego własnym. Wydaje mi się, że właśnie z tego względu nie panował nad nim w takim stopniu, jak mu się wydawało.

Ten właśnie człowiek pojawił się tu w godzinę później. Podeszłam do okna. Skierowałam wzrok ku spłachetkowi pustej ziemi, zięjącej grobową czernią pośród żywnych barw kwietnego ogrodu, odniosłam druzgocące wrażenie, jakby ta jałowa gleba była otwartą paszczą, czekającą, by coś ją wypełniło i nasyciło. Przeraziło mnie na samą myśl, że mały Jamie mógł bawić się na skraju tego plugawego miejsca. Spojrzałam na wielkie, letnie chmury powyżej, na mgiełkę, wsłuchiwałam się w panującą dokoła ciszę. Ta cisza była, delikatnie mówiąc, nieprzyjemna. Nigdy jeszcze żaden dzień nie wydał mi się równie duszny i przykry. Mierzył mnie zwłaszcza panujący dokoła bezruch. Wydawało mi się, jakby coś w pobliżu czekało cierpliwie przyczajone. Posiadłość także czekała, oczekiwała na przybycie pana Frene'a z Londynu, w jego wielkim, hałaśliwym samochodzie.

Nigdy nie zapomnę mrozącej krew w żyłach trwogi i poruszenia, jakie ogarnęło mnie, gdy usłyszałam odgłos nadjeżdżającego auta. A więc przyjechał. Herbata była już gotowa, wszystko czekało na trawniku pod lipami, zaś pani Frene i Gladys, powróciwszy z przejażdżki, siedziały w swych wiklinowych fotelach. Pan Frene junior wyszedł do sieni, by powitać brata, Jamie zaś, o czym dowiedziałam się później, wpadł nieomal w

histerię i zaczął stawiać tak silny opór, że uznano, iż najrozsądniej będzie, jeżeli pozostanie w swoim pokoju. Może jego obecność wcale nie była konieczna. Wizyta dotyczyła wszak szpetniejszej strony ludzkiej egzystencji, pieniędzy, wikt, opierunku i innych tego rodzaju trywialności – szczegółów nigdy nie poznałam. Wiedziałam tylko, że rodzice bardzo się niepokoiли i pragnęli wyrzucić na wuju Franku jak najlepsze wrażenie. To zresztą nieważne. Nie ma większego związku z tą sprawą. Istotne jest natomiast – w przeciwnym razie nie opowiedziałabym wam tej historii – że pani Frene poprosiła mnie, abym, jeśli to możliwe, zeszła na dół, w mojej ładnej, białej sukience, na co ogarnęła mnie zgroza i radość zarazem, bo oznaczało to, że powabne oblicze mogło stanowić miły akcent dla tego, jakże ważnego spotkania. Najdziwniejsze było to, iż poczułam, że moja obecność była w pewnym sensie nieodzowna i że miałam być świadkiem tego, co już wkrótce miało się wydarzyć. Z chwilą gdy wyszłam na trawnik – waham się, czy o tym wspomnieć, bo wydaje mi się takie nieroztropne, niezwiązane z całą resztą – mogłabym przysiąc, że kiedy moje i jego spojrzenia spotkały się, ogarnął mnie dziwny mrok, wysączaając światłość ze wszystkiego, i że zostało to spowodowane przez stado małych, czarnych koni, które wyłoniły się z jego ciała i zaatakowały nas wszystkich.

Obrzuciwszy jednym, długim, taksującym spojrzeniem, przestał zwracać na mnie uwagę. Herbatka i rozmowa potoczyły się gładko. Pomagałam podawać talerzyki i filiżanki, wypełniając przerwy niezobowiązującą rozmową z Gladys. O Jamiem nawet nie wspomniano. Z pozoru wszystko grało, ale pod tą maską kryło się coś bardzo złego, mrocznego i niewypowiedzianego, tak groźnego, że w moim głosie słychać było wyraźne drżenie, kiedy coś mówiłam.

Wpatrywałam się w jego surowe, twarde oblicze, zauważyłam, jak bardzo było szczupłe, dostrzegłam też osobliwy, oleisty błysk w jego nieruchomych, zimnych oczach. Nie skrzyły się w nich iskierki, po prostu lśniły, jak oczy Azjatów. Wszystko, co powiedział lub uczynił, zdawało się, przynajmniej dla mnie, próbą sił dla *potęgi* jego obecności. Zdominował nas wszystkich, lecz uczynił to tak subtelnie, że nie zorientowaliśmy się, co się stało, dopóki nie było po wszystkim.

Nie minęło pięć minut, gdy zdałam sobie sprawę z jeszcze jednej istotnej rzeczy. Mój umysł skupił się wyłącznie na niej z taką intensywnością, że dziwi mnie, iż inni nie zaczęli krzyknąć, uciekać lub w

jeszcze inny, brutalniejszy sposób nie starali się temu zapobiec. Otóż człowiek ten, emanujący siłą witalną innych ludzi, znalazł się nagle o kilkanaście jardów od zakazanej strefy w polu działania owej ziejącej pustki, czekającej łapczywie na wypełnienie. Ziemia zwietrzyła swoją ofiarę.

Te dwa aktywne „ośrodki mocy” znalazły się niebezpiecznie blisko siebie; on, taki chudy, twardy, bystry, lecz roztaczający swą aurę dokoła, by pochłonąć witalną moc innych, którzy znaleźli się w jego zasięgu, którą to umiejętność wykorzystywał był od lat dla swojej korzyści, i ono, zagadkowe miejsce, cierpliwe, ciche i wyczekujące, mające po swojej stronie całą ziemię i jak wszystko wskazywało, świadome nadarzającej się, jedynej w swoim rodzaju okazji.

Ujrzałam to równie wyraźnie, jakbym obserwowała dwa wielkie, nieświadomie szykujące się do walki zwierzęta, zobaczyłam to rzecz jasna oczyma duszy. Starcie z pewnością byłoby przeraźliwie nierówne. Każda ze stron wysłała już swoich emisariuszy, choć nie potrafię stwierdzić, jak dawno temu, gdyż pierwszą oznaką tego że coś było z *nim* nie tak, była zmiana w głosie: najpierw zabrakło mu słów, potem nagle ucichł, zaczął się jąkać, aż w końcu jego wargi zadrżały i dziwnie zwiotczały. W chwilę później jego oblicze przeszło osobliwą i przerażającą przemianę, jego kości policzkowe jakby się obłuzowały i powiększyły, a wówczas przypomniałam sobie feralne słowa Jamiego. Wysłannicy dwóch królestw – ludzi i roślin – spotkali się. Zorientowałam się w tej kwestii w okamgnieniu. Po raz pierwszy w całej swej długoletniej karierze wampira energetycznego, pan Frene natknął się na coś, co dysponowało większą od niego mocą, a spotkanie to wstrząsnęło nim do głębi. Czuł, że nadciąga wielka katastrofa.

– Tak, Johnie – mówił, powoli cedząc słowa – sir George dał mi to auto w prezencie. Czyż nie jest czar...? – nagle urwał w pół słowa, zająknął się, nabrał tchu, wstał i rozejrzał się niepewnie dokoła.

Przez chwilę panowała nieprzyjemna cisza. Brzmiała jak trzask oznaczający uruchomienie jakiejś wielkiej maszyny. To, co stało się później, było niczym puszczenie w ruch owej maszyny, która, raz włączona, nie dała się już zatrzymać. Pomyślałam o wielkim, niewidzialnym dynamie, działającym cicho i efektywnie.

– Co to jest? – zawołał z niepokojem w głosie. – Co to za straszne miejsce? I ktoś tam płacze... kto to jest?

Wskazał na spłacheć pustej ziemi. A potem, zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, ruszył przez trawnik, z każdą chwilą przyspieszając kroku. Zanim ktokolwiek zdążył uczynić jakikolwiek ruch, stanął na skraju jałowego obszaru. Nachylił się nad zeszlą ziemią i wejrzał w głąb niej.

Wydawało się, że upłynęło kilka godzin, lecz w rzeczywistości minęły zaledwie sekundy, czas bowiem mierzy się jego upływem a nie ilością doznań, jakie w sobie zawiera. Ujrzałam to wszystko z bezlitosną, fotograficzną wręcz dokładnością, każdy drobiazg wrył mi się głęboko w pamięć mimo panującego dokoła chaosu i harmidru. Każda ze stron była nad wyraz aktywna, lecz tylko jedna strona, ta ludzka, włożyła w to całą swoją moc, by stawić opór. Druga jedynie wysunęła do przodu czułki, wykorzystując, zaledwie cząstkę swej niezmierzonej potęgi, tyle tylko, ile było konieczne. To było nader łatwe i łagodne zwycięstwo. Powiedziałybyśmy, że wręcz żalosne. Przynajmniej jedna ze stron nawet się w tym starciu nie wysiliła. Przyglądałam się temu z bliska, gdyż odniosłam wrażenie, że spośród wszystkich obecnych tylko ja podeszłam, aby stanąć obok niego. Nikt inny nawet się nie poruszył, choć filiżanka w dłoni pani Frene dygotała głośno, w rytm drżenia jej rąk, a Gladys zakrzyknęła nagle: – Mamo, to chyba z gorąca, nieprawdaż? – Jej ojciec, pan Frene, milczał, z twarzą szarą jak popiół.

Kiedy jednak sama znalazłam się blisko seniora, od razu instynktownie zrozumiałam, co mnie tam przyciągnęło. Po drugiej stronie, wśród brzoź stał mały Jamie. Patrzył z uwagą. Dzięki niemu doświadczyłam jednej z tych chwil, które chwytają za serce, fala strachu zalała mnie od stóp do głów, było to tym bardziej porażające, że nie potrafiłam wyjaśnić tego, czego doświadczyłam. Odniosłam wrażenie, że gdybym dowiedziała się wszystkiego i co się za tym kryło, moje obawy byłyby w pełni usprawiedliwione, albowiem *to było przerażające*, pełne trwogi.

I wtedy to się stało, to było niewiarygodne, porażające, jakbym ujrzała cały wszechświat w akcji, lecz zawarty na małym, mającym stopę kwadratową skrawku przestrzeni. Myślę, że zrozumiał, aczkolwiek mgliście, że mógłby zostać ocalony, gdyby jego miejsce zajął ktoś inny, i właśnie dlatego pragnął znaleźć dla siebie najlepsze, znajdujące się najbliżej zastępstwo, zobaczył dziecko i zawołał doń, by przeszedł przez skrawek jałowej ziemi: – James, mój chłopcze, podejdź tutaj!

Jego głos brzmiał jak suchy strzał, ale dziwnie stłumiony i pozbawiony życia, kiedy kula, choć wystrzelona, chybia celu. Brakowało temu mocy, siły trafienia w cel. To było niczym błaganie. I jakież było moje zdumienie, kiedy usłyszałam swój własny silny i władczy głos, choć nie zdawałam sobie sprawy z tego, że w ogóle się odezwałam: – Jamie, nie ruszaj się! Zostań tam, gdzie jesteś!

Jamie jednak, ten mały chłopiec, nie usłuchał żadnego z nas. Podchodząc do skraju zakazanej strefy, stanął tam i... wybuchnął śmiechem! Usłyszałam ten śmiech, ale mogłabym przysiąc, że nie dobywał się z jego ust. Zdawał się płynąć z głębi tego spłachetka ziejącej czerni.

Pan Frene odwrócił się bokiem i uniósł obie ręce w górę. Ujrzałam, jak jego surowe, zimne oblicze dziwnie się rozszerza, rozprzestrzenia w powietrzu i kieruje się ku dołowi. Podobna rzecz, jak stwierdziłam, działa się z całą jego postacią, jego ciało zmieniło się w przesuwającą się w powietrzu płynną falę, twarz mężczyzny przez chwilę przywodziła mi na myśl jedną z kauczukowych zabawek, które dzieci tak lubią rozciągać. Stała się olbrzymia. Lecz było to tylko zewnętrzne wrażenie. To, co się naprawdę wydarzyło, a co zrozumiałam niemal natychmiast, polegało na tym, iż cała jego witalność, cały zasób siły życiowej, który przejął od innych i którą wchłaniał od lat, to wszystko zostało mu w końcu odebrane i przeniesione gdzie indziej.

W jednej chwili zachwiał się niepewnie na skraju spłachetka jałowej ziemi, a w następnej przeraźliwie wolno przechylając się w bok, wkroczył zdecydowanym, choć niezdarnym ruchem na sam środek czarnej ziejącej plamy pustej ziemi i runął ciężko na twarz. Jego oczy, kiedy upadał, przeraźliwie wyblakły, jakby zgasły, a na całym obliczu odmalował się wyraz miażdżącego załamania. Wydawał się absolutnie zdruzgotany. Usłyszałam jakiś dźwięk – czyżby pochodzący od Jamiego? Lecz tym razem nie był to śmiech. Brzmiał on raczej jak przełknięcie śliny, wydawał się głęboki, zduszony, jakby niknący w trzewiach ziemi. Znów pomyślałam o stadzie czarnych, niedużych koni galopujących hen, w dal, mrocznym, podziemnym tunelem pod moimi stopami, niknącymi z każdą chwilą w czarnej czeluści, tętent ich kopyt z wolna rozplątywał się w oddali. Moje nozdrza wypełniła silna, drażniąca woń ziemi...

I nagle wszystko minęło. Wróciłam do siebie. Pan Frene junior uniósł głowę brata, który zapewne z gorąca zemdlał i przewrócił się na trawnik

obok stolika z herbatą. Ani na chwilę nie oddalił się od stołu. Jamie zaś, o czym dowiedziałam się później, przez cały ten czas spał w swoim łóżku na piętrze, zmęczony szlochaniem i atakami bliżej nieokreślonej paniki. Gladys przybiegła z zimną wodą, gąbką i ręcznikiem oraz brandy - nie zapomniała o niczym.

– Mamo, to z gorąca, prawda?

Usłyszałam jej szept, ale nie dosłyszałam odpowiedzi pani Frene. Sądząc po wyrazie jej twarzy, ona również była bliska omdlenia. Po chwili zjawił się służący i wspólnie z młodym panem Frenem wnieśli seniora do domu. Tam doszedł do siebie jeszcze przed przybyciem lekarza.

Najdziwniejsze jest to, że odniosłam wrażenie, iż wszyscy inni ujrzeli to samo co ja, lecz nikt nie odważył się wspomnieć o tym choćby słowem, i pozostało tak po dziś dzień. Może to właśnie jest w tym wszystkim najbardziej przerażające.

Od tamtego dnia prawie nie słyszałam, by w rozmowie ktokolwiek wspomniał o panu Frene’u seniorze. Zupełnie jakby całkiem wycofał się z życia publicznego. W gazetach nie było o nim najmniejszej wzmianki. To, czym się odtąd zajmował, przestało przynosić jakiegokolwiek zyski. Nie był już na ustach wszystkich. Jego inwestycje kończyły się fiaskiem. Nie dokonał żadnych znaczących osiągnięć, a w każdym razie nie takich, które byłyby godne wymienienia. A może stało się tak tylko dlatego, że odkąd zrezygnowałam z pracy u pani Frene, nie miałam okazji wysłuchiwać na bieżąco potencjalnych nowych informacji i plotek na jego temat. Jeżeli chodzi o to, co odtąd działo się ze skrawkiem ziemi uważanej dotąd za jałową, rzecz ma się zgoła inaczej. O ile wiem, ogrodnicy nie zrobili z tym skrawkiem gruntu nic szczególnego, nie próbowali go nawadniać ani użyźniać, zanim jednak latem następnego roku porzuciłam pracę u pani Frene, miejsce to diametralnie się zmieniło. Choć nikt nie tknął go palcem, nieduży, pusty dotąd spłachetek ziemi porósł gęstą trawą i chwastami, które nawet na pierwszy rzut oka wydają się bardzo silne, dobrze odżywione, wręcz zdają się tętnić życiem.

Sandhills.

Z przeszłości

(Ancient Lights)

Z Southwater, gdzie wysiadł z pociągu, droga wiodła na zachód. Tyle wiedział; jeśli chodzi o resztę, ufał swemu szczęściu, jak typowy urodzony wędrowiec, nie przepadający za pytaniem kogokolwiek o drogę. Miał w sobie instynkt i z reguły służył mu on doskonale. „Idąc milę na zachód wzdłuż piaszczystej drogi, dotrze pan do bramki po prawej; potem przejdzie przez pole. I na wprost ujrzy pan czerwony dom”. Znów przeczytał te wskazówki na odwrocie pocztówki i raz jeszcze próbował rozszyfrować ten wykreślony fragment, bez powodzenia. Został zamazany tuszem tak skutecznie, że nie sposób było odczytać ani słowa. Zamazane zdania w listach zawsze go pociągały. Zastanawiał się, co zostało tak starannie wykreślone.

Popołudnie było wietrzne, od morza wiał silny wiatr, jego porywy przetaczały się nad zalesionymi obszarami Sussex. Masy chmur o zaokrąglonych, zwartych brzegach sunęły wartko po błękitnym niebie. W oddali, na horyzoncie, jak nadciągająca fala rysowała się linia gór Downs. Na ich grani wznosiło się Chanctonbury Ring, niczym zbłąkany statek usiłujący skryć się przed szkwałem. Przyjezdny zdjął kapelusz i przyspieszył kroku, nabierając głębokie hausty powietrza z radością i rozkoszą. Droga była opustoszała, żadnych jeźdźców, bicykli ani samochodów, żadnych wozów kurierskich, żywego ducha. Zresztą i tak nie zapytałby nikogo o drogę. Wypatrując bacznie furtki, maszerował naprzód, podczas gdy wiatr szarpał połami jego płaszczu i powodował falowanie powierzchni niewielkich kałuż na drodze. Drzewa ukazywały zbielełe spody liści. Orlica i wysokie, świeże trawy kładły się w jednym kierunku. Dzień aż tętnił od tej radości życia, tego uniesienia i płasania. Dla

inspektora mierniczego z Croydon opuszczenie biura w taki czas było istnym darem niebios.

Dzień był to wręcz wymarzony na wielką przygodę i serce mężczyzny aż rwało się z piersi, by się dostroić do nastroju Natury. Jego parasol ze srebrnym pierścieniem mógłby być szpadą, a brązowe trzewiki butami z długą cholewką i brzęczącymi ostrogami. Gdzie znajdował się zaczarowany zamek, w którym czekała księżniczka o włosach koloru złota? Jego rumak...

Nagle wyrosła przed nim bramka, a wraz z nią załątek nowej przygody. Znowu stał się więźniem swego codziennego ubioru. Był inspektorem mierniczym, mężczyzną w średnim wieku, zarabiającym trzy funty tygodniowo, przybyłym z Croydon, by zbadać, czy możliwe jest dokonanie pewnych zmian proponowanych przez jego klienta - chodziło o las, który rzekomo psuł widok z okna jadalni. Po drugiej stronie pola, o jakąś milę dalej, ujrzał czerwony dom błyszczący w promieniach słońca, oparł się na chwilę o bramkę, aby złapać oddech, i właśnie wtedy spostrzegł zagajnik, pełen dębów i grabów, nieco z boku po prawej. „Aha – rzekł do siebie – czyżby to ten las, który tamten chce wyciąć, aby zapewnić sobie lepszy widok z okna jadalni? Rzucę nań okiem”. Tablica zabraniała wprowadzić wejścia, ale pośród drzew widać było wąską ścieżkę, która aż zapraszała, by nią powędrować. „Nie jestem intruzem – tłumaczył sobie – to część mojej pracy. Tym się przecież zajmuję”. Przegramolii się niezdarnie przez bramkę i wkroczył do zagajnika. Zatoczywszy mały krąg, powinien znów wyjść na pole.

W chwili kiedy wszedł pomiędzy drzewa, wiatr ustał i cały świat pogrążył się w grobowej ciszy. Drzewa rosły tak gęsto, że promienie słońca tylko tu i ówdzie przebijały pomiędzy splątanymi konarami. Powietrze jakby zastygło. Otarł pot z czoła i poprawił zielony, filcowy kapelusz, lecz nisko zwieszająca się gałąź znowu strąciła mu go z głowy, a gdy się pochylił, sprężysta gałąź, powracając na miejsce, uderzyła go w twarz. Po obu stronach wąskiej ścieżki rosły kwiaty, widać było rozległe, porośnięte trawą polany, w wilgotniej szych zakątkach płożyły się paprocie, w powietrzu zaś unosiła się silna, słodka woń ziemi i listowia. Było tu nieco chłodniej.

Cóż za bajeczny las, pomyślał, wchodząc na niedużą, zieloną polankę, gdzie promienie słońca migotały jak srebrzyste skrzydła. Jak one tańczyły,

wirowały i przesuwały się z miejsca na miejsce! Zerwał ciemnoniebieski kwiat i włożył go do butonierki. Gdy się podnosił, kapelusz znowu opadł mu na oczy i zsunął się na ziemię. Tym razem już go nie założył. Wymachując parasolem, ruszył dalej, już z gołą głową, pogwizdując głośno. Jednakże tłumiąca wszystko grubość pni drzew nie zachęcała do gwizdania i wkrótce utracił przepełniającą go radość i bez troskę. Nie wiedzieć czemu, zaczął poruszać się coraz wolniej i z coraz większą ostrożnością. Cisza panująca w lesie wydała mu się podejrzana.

Wśród paproci i liści coś zaszeleściło, a potem przemknęło przez ścieżkę o dziesięć jardów przed nim i przystanęło niespodziewanie, z przechyloną na bok głową, aby lepiej się przyjrzeć, zaraz jednak bezszelestnie jak cień skryło się wśród krzewów. Drgnął, jak wystraszone dziecko, lecz już po chwili skarcił sam siebie i wybuchnął śmiechem, że zachował się jak zabobonny wieśniak. Z oddali dobiegł go odgłos kół przetaczających się po drodze i zaraz też pomyślał, czemu to dźwięk ten uznał za przyjemny. „Stary, znajomy wóz rzeźnika” – orzekł, po czym uświadomił sobie, że zmierzał w złym kierunku, jakimś cudem zatoczył pełny krąg. Droga powinna być przecież za, a nie przed nim.

Pospiesznie wszedł na kolejną wąską polanę, tonącą w zieleni na prawo od niego. „To oczywiście, że nie mogę iść w tamtą stronę – tłumaczył sobie – drzewa trochę mnie zmyliły...” I nagle znalazł się przy bramce, którą już wcześniej przeskoczył. Rzeczywiście zatoczył pełen krąg. Zdziwienie zmieniło się w nim w zmieszanie. O bramkę opierał się jakiś mężczyzna, ubrany jak gajowy, uderzając się po nogach wąską, długą witką.

– Idę na farmę pana Lumleya – odezwał się do niego wędrowiec. – Jak mi się zdaje, ten las należy do niego...

Zamilkł, bo przy bramce nie było żadnego mężczyzny, a to, co ujrzał, było jedynie iluzją, efektem gry światła, cieni oraz listowia. Cofnął się o krok, próbując zrekonstruować to niezwykle złudzenie wzrokowe, ale silniejszy podmuch wiatru poruszył gałęziami i liście nie chciały już przyjąć poprzedniego położenia. Postać nie powróciła. Liście zaszeleściły osobliwie. I w tej samej chwili słońce skryło się za chmurą, sprawiając, że cały las wydał mu się inny. Wyglądał całkiem inaczej. To, w jaki sposób jego umysł został dwa razy z rzędu oszukany, było zaiste niesamowite, bo wydało mu się, że ów mężczyzna odpowiedział na jego pytanie - a może to tylko szelest poruszanych wiatrem gałęzi? – i wskazał witką na tablicę

wiszącą na pobliskim drzewie. Słowa rozbrzmiały pod jego czaszką, ale rzecz jasna usłyszał je tylko w wyobraźni: „Nie, ten las nie należy do niego. Należy do nas”. A do tego jakiś wiejski dowcipniś popisał starą, nadgryzioną zębem czasu tablicę, bo widniało na niej wyraźnie: *Nakaz wstępu pod groźbą kary*.

Czytając te słowa i chichocząc, urzędnik rzekł do siebie, rozmyślając o historii, którą opowie później żonie i dzieciom: „Ten las próbował mnie wyrzucić. Ale ja i tak wejść tam raz jeszcze. Przecież on w sumie zajmuje niewiele ponad akr kwadratowy powierzchni. Jeśli będę szedł prosto przed siebie, powinienem wkrótce wyjść po drugiej stronie”. Przypomniał sobie jednak zaraz o funkcji, jaką piastował w biurze. Musiał zachować choć odrobinę godności.

Chmura przepłynęła poniżej słońca i jego promienie nagle się rozproszyły. Mężczyzna pomaszerował naprzód. Poczucił się trochę dziwnie, był zbity z tropu, jakby zakłopotany; cienie, które nagle zaległy w zagajniku, ani trochę nie ułatwiały mu marszu. Z prawdziwą ulgą powitał polanę, którą ujrzał wśród drzew, oraz pola i czerwony dom w oddali. Najpierw jednak musiał przegramolić się przez drewnianą bramkę, stojącą na jego drodze, a gdy to uczynił, skądinąd bez trudu, ogarnęło go zdumiewające odczucie, że bramka przesuwana się pod jego ciężarem w bok, w kierunku lasu. Tak jak ruchome schody u Harrod'sa i w Earl's Court bramka zaczęła się przemieszczać wraz z nim. To było przerażające. Zaczął się szamotać, usiłując zejść na ziemię, nim wjedzie z bramką między drzewa, ale jego stopy zaplątały się o sztachety i parasol tak, że runął ciężko na trawę po drugiej stronie, z rozłożonymi szeroko dłońmi, zaś jego buty pozostały uwięzione między pierwszą a drugą deską w bramce. Leżał tak przez chwilę, jak ktoś, kogo ukrzyżowano do góry nogami, i kiedy miotał się, usiłując się uwolnić – bo stopy, deski i parasol utworzyły prawdziwą sieć – spostrzegł niskiego osobnika w zielono-brązowym stroju, który minął go w wielkim pośpiechu, kierując się w głąb lasu. I śmiał się. Minął polanę o jakieś pięćdziesiąt jardów dalej, a do tego jeszcze nie był sam. Towarzyszył mu drugi, podobnie odziany osobnik. Inspektor, który zdołał w końcu podźwignąć się z ziemi, patrzył, jak tamci znikali w półmroku, pośród zieleni lasu. „To nie gajowi, lecz jacyś włóczędzy” – tłumaczy sobie, na wpół rozgniewany, na poły zaś przerażony. Jednak ze

zgrozy jego serce wciąż biło żywszym rytmem i nie odważył się obrócić w słowa wszystkich swych myśli.

Spojrzał na drewnianą bramkę, podejrzewając, że została w jakiś sprytny sposób przerobiona, po czym szybkim krokiem ruszył dalej; zdumiony ponad wszelką miarę, gdy stwierdził, że z polany nie było już widać odległego pola, lecz skręcała ona ostrym łukiem w prawo. Co się, u licha, z nim działo? Wyraźnie zawodził go wzrok. Promienie słońca wyłoniły się zza chmur, zalewając leśne podłoże srebrzystymi splachetkami i w tej samej chwili powiał porywisty wiatr. Krople deszczu zabębniły o liście, a towarzyszący temu dźwięk przypominał odgłos niezliczonych, drobnych kroków. Cały zagajnik zadrżał i znów się przemieścił.

„Oberwanie chmury, do kroćset” – pomyślał inspektor i sięgając po parasol, stwierdził, że nie ma go. Odwrócił się do bramki i dostrzegł go, leżącego po drugiej stronie. Ale jakież było jego zdumienie, kiedy w oddali dostrzegł pole, a za nim skrzący się w słońcu czerwony dom. Wybuchnął śmiechem – to oczywiste, że szamocząc się przy przechodzeniu przez bramkę, musiał jakimś zrzędzeniem losu upaść nie do przodu, lecz w tył. Przegramolił się przez bramkę, tym razem dokonał tego z łatwością, i zaczął się wycofywać. Odkrył też, że z parasola znikła srebrna opaska. Najwyraźniej zahaczyła o jakiś gwóźdź albo jego stopę i odpadła. Chciał już stąd uciec. Ogarnęła go niewytłumaczalna konsternacja.

Kiedy jednak zerwał się do biegu, cały las także jął się przemieszczać, otaczając go ze wszystkich stron; drzewa przesuwwały się jak żywe istoty, liście zwijały i rozwijały, gałęzie rozciągały na całą długość, zamykając ogromne połacie przestrzeni, pnie przemieszczały się w przód i w tył, to zbliżając się, to znów oddalając od niego. Wszędzie słyhać było kroki, śmiech, wołania, a tuż za jego plecami zgromadziło się mnóstwo postaci, aż całą polanę, jak widział, wypełniła wzburzona fala żyjących istot. Rzecz jasna to wiatr był odpowiedzialny za powstanie tych głosów, zaś słońce i chmury, spowijające polanę na przemian w potokach złocistego, oślepiającego blasku i szarych cieniach, tworzył iluzję postaci. To jednakże ani trochę mu się nie spodobało i ruszył przed siebie tak szybko, jak tylko były go w stanie unieść jego krótkie, grube nogi. Teraz był naprawdę przerażony. Gnał jak wiatr. Jego stopy przesuwwały się bezgłośnie po miękkiej, omszałej ziemi.

Ogarnęła go zgroza, gdy stwierdził, że polana nagle się zwężyła, z jednej strony porósł ją gąszcz chwastów i pokrzyw, a droga, dotąd szeroka, przeszła w wąską ścieżkę, która kończyła się nagle dwadzieścia jardów dalej, wśród drzew. Sztuczka, która nie udała się bramce, z łatwością została osiągnięta przez pokrętną polanę – tak czy owak znalazł się wśród gęsto rosnących, strzelistych drzew.

Mógł teraz uczynić już tylko jedno – zawrócić i pobiec ile sił w stronę, skąd przybył, na spotkanie tego, co nieomal deptało mu po piętach, owej niezmaconej fali życia, która nieomal go dopadła i kierowała coraz dalej w głąb zagajnika. Nie bacząc na ryzyko, odnalazłszy w sobie resztki odwagi, tak właśnie uczynił. Anie było to proste. Wręcz przeciwnie. To było naprawdę przerażające. Zatrzymał się i nie zwlekając, zawrócił, biegnąc co sił w nogach, z pochyloną głową, uniesionymi rękami, osłaniając twarz dłońmi. Pomknął jak burza, niczym ścigane zwierzę, wybiegające naprzeciw swym prześladowcom, popędził z powrotem, a podmuchy wiatru omiatały jego twarz.

Boże Wszchemogący! Polana z tyłu, za nim, także się zamknęła, ścieżka znikła zupełnie. Zataczając coraz większe kręgi, jak zwierzę schwymane w pułapkę, rozpaczliwie szukał wyjścia, zadyszany i coraz bardziej przerażony. Listowie otoczyło go ze wszystkich stron, gałęzie zagroziły mu drogę, drzewa stały przed nim zwarte, niczym strzelisty mur, nie poruszane nawet najłżejszym tchnieniem wiatru, słońce zaś skryło się w tej chwili za wielką, czarną chmurą. Cały las pogrążył się w ciszy i ciemnościach. Obserwował go.

Być może to właśnie ten mrok sprawił, że inspektor zdecydował się na ostatni, desperacki krok, jakby do reszty stracił głowę. Tak czy owak, bez namysłu urzędnik znów rzucił się na łeb na szyję w gąszcz między drzewami. Przez chwilę miał wrażenie, że nie może oddychać, czuł się otoczony i spętany, wiedział, że *musi* wydostać się stamtąd za wszelką cenę, wydostać się z tego zagajnika na otwartą przestrzeń i świeże powietrze. Postąpił nierozważnie i wpadł na pień dębu, który, zdawałoby się celowo, przemieścił się, by zagrozić mu drogę. Ujrzał, jak olbrzymie drzewo przesuwa się o dobry jard, a jako mierniczy, przyzwyczajony do pracy z teodolitem i łańcuchem, wiedział o tym najlepiej. Upadł, zobaczył gwiazdy przed oczami i poczuł tysiąc drobnych palców szarpiących i ciągnących go za szyję i kostki. Niewątpliwie odczucie to zawdzięczał

parzącym pokrzywom. Tak pomyślał o tym później. Wówczas to doznanie wydawało mu się diabolicznie przemyślnie i złowrogie.

Jednakże innej, nader zastanawiającej iluzji nie potrafił równie łatwo wyjaśnić. W tym momencie bowiem odniósł wrażenie, że cały las przesunął się obok niego, przy wtórze głośnego, głębokiego szelestu liści i śmiechu, tupotu niezliczonych stóp i energicznego uwijania się całego mnóstwa małych, żwawych postaci; dwaj mężczyźni w brązowo–zielonych ubraniach dźwignęli go w górę, a kiedy otworzył oczy, stwierdził, że leży na łące, obok bramki, gdzie zaczęła się jego niewiarygodna przygoda. Las stał w tym samym miejscu co zwykle i przyglądał mu się w promieniach zachodzącego słońca. W oddali, tak jak poprzednio, widać było czerwony dom.

Przed nim, na starej, drewnianej, nadgryzionej zębem czasu tablicy widniał napis: *Zakaz wstępu pod groźbą kary.*

Sponiewierany na ciele i wzburzony wewnątrz, czując, że naruszono jego urzędniczą godność, inspektor przemaszerał powoli przez pole. Po drodze raz jeszcze zerknął na pocztówkę z instrukcjami i jakież było jego zdziwienie, gdy stwierdził, że podkreślone słowa, wbrew pozorom, dadzą się odczytać. Brzmiały one następująco: *Duży skrót byłby, gdyby las wyciąć, co zależy od pana rozwagi.* Przyjrząwszy się uważnie pocztówce, inspektor odkrył, że ostatnie słowo musiał chyba odczytać niewłaściwie, bo to, co wziął za trzy litery *roz*, mogło być też i dwiema: *od*.

– Ten zagajnik przesłania mi widok na Downs, rozumie pan – wyjaśnił mu później jego klient, wskazując ręką ponad polami i wracając do mapy kartograficznej przed sobą. – Chciałbym go wyciąć, a potem poprowadzić dwie drogi, tędy i tędy – wskazał kierunek na mapie, przesuwając po niej palcem. – Ten lasek po dziś dzień nazywają w tej okolicy Lasem Elfów i jest on o wiele starszy niż ten dom. Jeśli jest pan gotów, panie Thomas, proponuję, abyśmy udali się teraz na mały spacer i przyjrżeli się temu zagajnikowi z bliska...

Tajemniczy lokator

(The Listener)

4 września. Przeczesałem cały Londyn w poszukiwaniu mieszkania, na które mógłbym sobie pozwolić, biorąc pod uwagę moje zarobki – 120 funtów rocznie – i w końcu znalazłem odpowiednie. Dwa pokoje – bez wygód, to fakt – w dodatku w starej, niszczej kamienicy, lecz o rzut kamieniem od Placu P... i blisko dużej, bardzo znanej ulicy. Czynsz wynosi zaledwie 25 funtów rocznie. Byłem już niemal w czarnej rozpacz, gdy nagle, całkiem przypadkowo znalazłem ten lokal. Przypadek to przypadek, nic godnego uwagi. Musiałem podpisać umowę rocznego wynajmu i uczyniłem to z wielką radością. Meble z naszego starego domu w Hampshire będą tu pasować w sam raz.

1 października. Oto jestem w moim dwupokojowym mieszkaniu, w samym centrum Londynu, niedaleko od redakcji periodyków, gdzie od czasu do czasu publikuję swoje artykuły. Budynek stoi na samym końcu ślepej uliczki. Zaułek jest brukowany i schludny, po obu jego stronach stoją budynki niemieszkalne. Są tu także stajnie. Dom, w którym mieszkam, nosi dumne miano *Chambers*. Mam wrażenie, że zgubiła go nadmierna pycha i mocno podupadł. Jest bardzo stary. Podłoga w moim salonie jest cała pofałdowana, a drzwi tak wypaczone, że widać szczelinę między nimi a górną częścią framugi. Mogłoby się wydawać, że pół wieku temu doszło między nimi do gwałtownego sporu i od tej pory coraz bardziej oddalają się od siebie.

2 października. Właścicielka kamienicy jest stara i chuda, o bladej, jakby przykurzonej twarzy. Nie sposób się z nią porozumieć. Jeśli już próbuje wykrztusić z siebie parę słów, wydaje się, że sprawia jej to olbrzymi ból. Zapewne płuca ma na wpół zatkane kurzem. Stara się, by

moje mieszkanie było możliwie schludne, a pomaga jej w tym silna dziewczyna, która przynosi mi śniadania i rozpala w kominku. Jak już wspomniałem, nie sposób nawiązać z nią kontaktu. W odpowiedzi na moje liczne pytania, poinformowała mnie zdawkowo, że jestem obecnie jedynym lokatorem w budynku. Mieszkanie, które wynająłem, od lat stało puste. Na górze mieszkali inni dżentelmeni, ale już ich tam nie ma.

Nigdy nie patrzy mi w oczy, kiedy mówi, skupia wzrok na środkowym guziku mojej kamizelki, aż zaczynam się denerwować, czy przypadkiem nie zapiąłem kamizelki krzywo albo czy guzik nie pasuje do pozostałych.

8 października. Prowadzę staranne zapiski moich tygodniowych wydatków i jak na razie nie są one zbyt wielkie. Mleko i cukier 7 p., chleb 6 p., masło 8 p., marmolada 6 p., jajka 1 p., 8 p., pranie 2 sz. 9 p., nafta, obsługa i sprzątanie 5 p. Ogółem 12 sz. 2 p.

Właścicielka ma syna, który jak mi wyznała jest „kimś w rodzaju omnibusa”. Niekiedy ją odwiedza. Chyba pije, bo mówi bardzo donośnym głosem niezależnie od pory dnia i nocy i wywraca meble na dole.

Przez cały ranek siedzę w mieszkaniu i piszę – artykuły, teksty do gazetowych komiksów, powieść, nad którą *pracuję* od trzech lat i która nawiedza mnie w snach, książkę dla dzieci, gdzie mogę puścić wodze mojej wyobraźni, i jeszcze jedną, której napisanie zajmie mi zapewne całe życie, gdyż jest ona szczerą, szczegółową relacją rozwoju mojej duszy i trudów, z jakimi przyszło mi się borykać. Oprócz tego jest jeszcze tomik poezji, pełniący dla mnie rolę zaworu bezpieczeństwa i w związku z którym nie miewam żadnych złudzeń. W tej sytuacji trudno się dziwić, że jestem stale zajęty. Po południu, zwykle dla zdrowia wybieram się na spacer do Regens Park, Kensington Gardens lub nawet dalej, do Hampstead Heath.

*

10 października. Wszystko dziś poszło nie tak. Na śniadanie jadłem dwa jajka. Dziś rano jedno było nieświeże. Zadzwoiłem po Emily; kiedy przyszła, czytałem gazetę i nie unosząc wzroku, oznajmiłem: – Jajko jest nieświeże. – Na co odparła: – Doprawdy, sir? Zaraz przyniosę inne – i wyszła, zabierając z sobą jajko. Odczekałem aż wróci, co trwało w sumie pięć minut. Położyła drugie jajko na stole i wyszła. Kiedy jednak spuściłem wzrok, okazało się, że zabrała dobre, a zostawiła zepsute jajko, całe zielone i żółte – w wiadrze na pomyje. Znów ją wezwałem.

– Zabrałaś nie to jajko – powiedziałem.

– Och! – wykrzyknęła. – Tak mi się zdawało, że to, które zabrałam, wcale nie śmierdzi.

Niebawem wróciła ze świeżym jajkiem, a ja dokończyłem śniadanie, choć straciłem apetyt. Wszystko to było bardzo trywialne, przyznaję, ale tak głupie, że aż się zdenerwowałem. To jajko zepsuło mi dzień. Napisałem kiepski artykuł i od razu go podarłem. Rozboliła mnie głowa. Skląłem sam siebie w żywy kamień. Wszystko szło mi jak po grudzie, toteż odłożyłem pracę na później i wybrałem się na długi spacer.

W drodze powrotnej zjadłem kolację w tanim barze i wróciłem do domu około dziewiątej. Gdy wszedłem do budynku, zaczęło zanosić się na deszcz, zerwał się silny wiatr. Zapowiadała się paskudna noc.

Zaułek wyglądał złowrogo i upiornie, a w sieni domu, gdy przez nią przechodziłem, było zimno jak w grobowcu. To była pierwsza słotna noc w moim nowym mieszkaniu. Przeciągi były potworne. Wiało ze wszystkich stron, strugi powietrza krzyżowały się pośrodku pokoju, tworząc zawirowania i ciche, lodowate prądy, które niemal jeżyły mi włosy na głowie. Zabezpieczyłem nieszczelne okna, jak potrafiłem najlepiej skarpetkami i krawatami, po czym usiadłem przy dymiącym kominku, aby się ogrzać. Początkowo próbowałem coś napisać, ale było mi zbyt zimno. Moja dłoń dotykająca papieru nieomal zmieniała się w bryłę lodu.

Jakież sztuczki wyczyniał wiatr z tym starym domem! Hulał w ciemnym zaułku, przy wtórze dźwięków przywodzących na myśl tupot biegnących ludzi, którzy nagle zatrzymują się przed frontowymi drzwiami kamienicy. Miałem wrażenie, jakby ciekawscy zgromadzili się całą chmarą na zewnątrz i gapili się w okna mego mieszkania. Zaraz potem rzucali się do ucieczki, oddalając się w popłochu ku wylotowi zaułka, by powrócić z następnym podmuchem wiatru i cały ten drażliwy spektakl powtarzał się od nowa. Po drugiej stronie pokoju znajduje się nieduże okno, wychodzące na coś w rodzaju szybu, od tylnej ściany drugiego domu dzieli je odległość około sześciu stóp. Wiatr wdzierał się w ten szyb, świszcząc, wyjąc i zawodząc. Nigdy jeszcze nie słyszałem takich odgłosów. Rozdarty pomiędzy tymi dwoma osobliwymi przedstawieniami siedziałem okutany w płaszcz przy kominku, z którego także dobiegały dziwne, głośnie dźwięki. Czuję się, jakbym był na statku, na morzu i niewiele brakowało, abym spojrzął na podłogę, spodziewając się ujrzeć jej gwałtowne falowanie.

12 października. Och, jakże czuję się samotny i biedny. Mimo to lubię zarówno tę samotność jak i ubóstwo. To pierwsze sprawia, że cenię sobie towarzystwo wiatru i deszczu, podczas gdy to drugie pozwala mi ratować wątrobę i zapobiega marnotrawieniu czasu na tańcach i umizgach wobec kobiet. Ubodzy, źle ubrani mężczyźni nie są mile widzianymi towarzyszami do tańca.

Moi rodzice nie żyją, a moja jedyna siostra poślubiła bardzo zamożnego mężczyznę. Sporo podróżują, on ze względów zdrowotnych, ona, by się zatracić. Przez czyste zaniedbanie ze swojej strony, dawno temu ulotniła się z mego życia. Drzwi zamknęły się, kiedy po pięciu latach kompletnego milczenia wysłała mi na Gwiazdkę czek na 50 funtów. Był podpisany przez jej męża! Odesłałem go jej, podarty na tysiąc kawałków, w nieofrankowanej kopercie. Ale miałem przynajmniej tę satysfakcję, że dowiedziałem się, ile naprawdę dla niej znaczę! W odpowiedzi otrzymałem napisany przez nią własnoręcznie list – całe trzy linijki. *Widzę, że jesteś równie dumny i niepoprawny jak zawsze, bo na wyciągniętą do ciebie pomocną dłoń odpowiadasz niewdzięcznością i brakiem ogłady, lecz może wynika to z zachwiania wewnętrznej równowagi.* Zawsze obawiałem się, że szaleństwo obecne w rodzinie mego ojca, objawiające się co kilka pokoleń, znów da o sobie znać i że ja będę jego ofiarą. Ta myśl nie dawała mi spokoju i siostra doskonale o tym wiedziała. Dlatego też po tej drobnej wymianie kurtuazyjnych uprzejmości drzwi zamknęły się ponownie, tym razem już na zawsze. Usłyszałem ich trzask oraz towarzyszący temu brzęk tłuczonej porcelany sypiącej się z kredensu, gdzieś w głębi mego serca, przedmiotów nader rzadkich i delikatnych, na swój własny sposób bezcennych, choć bez wątplenia mocno zaniedbanych i wymagających odnowienia. Na ścianach tego pokoju zachowanego w myślach wisiały lustra, w których niekiedy widywałem spowite we mgle miejsca z czasów mego dzieciństwa, łańcuszki ze stokrotek, połamane przez wichury kwiaty walające się w ogrodzie po letniej ulewie, jaskinię piratów na końcu długiej ścieżki i zapas jabłek ukryty na stryszku. Ona była wtedy mą nieodłączną towarzyszką, lecz kiedy drzwi się zamknęły, lustra popękały na całej długości i widniejące w nich obrazy znikły na zawsze. Zostałem sam. Mając czterdzieści jeden lat nie sposób zacząć ponownie budować nowych przyjaźni, a wszystkie inne są niemal całkiem bezwartościowe.

14 października. Moja sypialnia ma dziesięć stóp na dziesięć. Znajduje się poniżej poziomu frontowego pokoju i schodzi się do niej po schodach. W obu tych pomieszczeniach w spokojne noce panuje kompletna cisza, gdyż do tego ciemnego zaułka prawie nikt nigdy nie zagląda. O ruchu ulicznym przez grzeczność nie wspomnę. Jeśli nie liczyć wiatru, który niekiedy szaleje na całego, jest to miejsce względnie ciche i spokojne. Pod oknami mego mieszkania z nadejściem zmierzchu zbierają się tylko wszystkie koty z całej okolicy. Wylegują się, przez nikogo nie niepokozone, na długim parapecie okna z zaciągniętymi żaluzjami w sąsiednim budynku, kiedy bowiem o wpół do dziesiątej rano zjawia się i zaraz odchodzi listonosz, nikt tu nie zagląda. Nie słychać kroków, które mogłyby zakłócić ich złowieszcze zgromadzenia, oczywiście nie licząc moich własnych i niekiedy także kroków niepewnie stąpającego syna właścicielki, który jest *kimś w rodzaju omnibusa*.

15 października. Zjadłem dziś w kafejce gotowane jajka, wypilem kawę, po czym wybrałem się na spacer, na drugi koniec Regenfs Park. Wróciłem do domu o dziesiątej. Naliczyłem nie mniej niż trzynaście kotów, wszystkie ciemnej maści, wylegujących się pod murami budynku w zaułku. Noc była chłodna, gwiazdy skrzyły się na granatowoczarnym niebie niczym okruchy lodu. Koty odwróciły łebki i przyglądały mi się w milczeniu, gdy je mijałem. Poczułem dziwny lęk, czując na sobie spojrzenie tylu par błyszczących ślepiów. Kiedy zacząłem manipulować kluczem przy zamku, koty zbliżyły się bezgłośnie i zaczęły ocierać się o moje nogi, jakby chciały, bym je wpuścił do środka. Zatrzasnąłem im jednak drzwi przed nosem i szybko wbiegłem na górę. We frontowym pokoju, gdy zacząłem gorączkowo szukać zapalek, było zimno jak w grobowcu, a w powietrzu wyczuwało się niezwykle wilgotność.

17 października. Od kilku dni pracuję nad dużym artykułem, w którym nie ma miejsca na choćby odrobinę fantazji. Muszę utrzymać w ryzach moją bujną wyobraźnię. Obawiam się, że mógłbym dać się ponieść, a to nie byłoby wskazane, bo nieraz przenosiła mnie ona w odległe, przerażające miejsca poza gwiazdami i w otchłanie ziemi. Nikt bardziej ode mnie nie zdaje sobie sprawy z wiążących się z tym niebezpieczeństw... Po cóż jednak piszę te bzdury, przecież i tak nikt o tym nie wie, nikt nie zdaje sobie z tego sprawy! Ostatnio w moim mózgu pojawiają się niezwykle myśli, których nigdy dotąd nie miewałem, o lekarstwach, narkotykach i leczeniu dziwnych

chorób. Nie mam pojęcia, z jakiego źródła mogą się one wywodzić. Nigdy jeszcze w całym moim życiu nie zastanawiałem się nad sprawami, które teraz niemal nieprzerwanie pochłaniają me myśli. Ostatnio zrezygnowałem ze spacerów, bo pogoda była wyjątkowo kiepska, popołudnia zaś spędzałem w czytelni British Museum, do której się zapisałem. Dokonałem niepokojącego i nieprzyjemnego odkrycia – w domu są szczury. Nocami słyszę je, jak hasają wśród fal wypaczonej podłogi frontowego pokoju, i z tego też powodu ostatnimi czasy gorzej sypiam.

19 października. Właścicielka ostatnio wszędzie pokazuje się z małym chłopcem, zapewne dzieckiem jej syna. Gdy jest ładna pogoda, chłopiec bawi się w zaułku i ciągnie drewniany wózek po bruku. Starłem się wytrzymać możliwie jak najdłużej, ale w końcu puściły mi nerwy i nie byłem w stanie pisać. Zadzwoiłem więc. Zjawiła się Emily.

– Emily, czy mogłabyś poprosić tego młodzieńca, aby tak nie hałasował? Nie mogę pracować.

Dziewczyna zeszła na dół i niebawem usłyszałem, jak woła chłopca przez otwarte, kuchenne drzwi. Było mi trochę głupio, że psuję malcowi zabawę. Jednak już po kilku minutach hałas rozległ się na nowo i uznałem, że ten mały łobuz chciał w ten sposób zrobić mi na złość. Włókł za sobą drewniany, skrzypiący i zgrzytający wózek po kocich łbach tak zaciekle, że towarzyszący temu hałas rozsierdził mnie na dobre. To stało się nie do zniesienia i ponownie zadzwoniłem na dół.

– Ten hałas musi się skończyć! – rzuciłem do dziewczyny tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Tak jest, psze pana – uśmiechnęła się – wiem, ale niestety wózek nie ma jednego kółka. Stajenni proponowali, co mu je naprawią, ale on nie chce. Mówi, że woli tak.

– Nie obchodzi mnie, że on tak woli. Ten hałas musi się skończyć. Nie mogę pisać.

– Dobrze, psze pana. Powiem pani Monson. Ostatecznie hałas ucichł. Na jeden dzień.

23 października. Przez cały ubiegły tydzień codziennie słyszałem turkot wózka ciągniętego po bruku, aż w końcu zacząłem myśleć o nim jak o wielkim powozie zaprzężonym w dwa konie i każdego ranka zmuszony byłem dzwonić na dół z prośbą, aby uciszyć ten hałas. Ostatnim ranem sama pani Monson pofatygowała się na górę i przeprosiła za niedogodności,

jakie musiałem znosić; zapewniała, że to już się nie powtórzy. Rozmowna jak rzadko, zapytała, czy dobrze się czuję w nowym miejscu, jak mi się mieszka i czy podobają mi się pokoje. Odparłem wymijająco i zdawkowo. Wspomniałem o szczurach. Odrzekła, że to myszy. Poskarżyłem się na przeciągi. Powiedziała, że to fakt, w tym domu zawsze były przeciągi. Napomknąłem o kotach, na co odrzekła, że były tu, odkąd sięga pamięcią. Na koniec poinformowała mnie, że dom ma ponad dwieście lat, a ostatnim lokatorem, zajmującym to samo co ja mieszkanie, był malarz, który miał tu na ścianach płótna samego Jimmy'ego Bueysa i Rafflesa. Dopiero po chwili zrozumiałem, że miała na myśli Cimabuego i Rafaela.

24 października. Ubiegłej nocy zjawił się syn właścicielki, rzekomy *omnibus*. Musiał mieć mocno w czubie, bo słyszałem dochodzące z kuchni na dole donośne, gniewne głosy, rozlegały się jeszcze długo po tym, jak położyłem się do łóżka. W pewnej chwili dobiegły mnie płynące z dołu dziwne słowa: – Spalić by to trza do fundamentów, dopiero wtedy byłby z tym domem porządek. – Zastukałem w podłogę i głosy nagle ucichły, choć później, we śnie znów usłyszałem ten gniewny jazgot.

Samo mieszkanie jest ciche. W bezwietrzne noce panuje tu iście grobowa cisza i mogłoby się wydawać, że dom stoi gdzieś na wiejskim odludziu. Odgłosy londyńskiego ruchu ulicznego docierają do mnie jedynie w formie odległych, ciężkich wibracji. Niekiedy zawierają one w sobie złowieszcze tony, jak odgłosy nadciągającej armii, albo odległej, zbliżającej się nieuchronnie, gigantycznej fali przyływu formującej się pośród nocy.

27 października. Pani Monson, choć bardzo cicha, to zrzędliva, nieroztropna osoba. Robi mnóstwo głupich rzeczy. Odkurzając pokój, nie odkłada moich rzeczy na miejsce. Popielniczki, które powinny stać na biurku, ustawia rządkiem na obramowaniu kominka. Podstawkę do pióra, która powinna stać przy kałamarzu, ukrywa skrzętnie wśród książek na innym biurku, przy którym oddaję się lekturze. Moje rękawiczki układa w kretyński sposób na półkach z książkami, ja zaś co dzień muszę odnosić je na niski stolik przy drzwiach. Stawia mój fotel w nietypowym miejscu, pomiędzy kominkiem a lampą, obrus zaś, z nadrukiem Trinity Hall, kładzie na stole w taki sposób, że gdy nań patrzę, nieodparcie odnoszę wrażenie, że mam krzywo zawiązany krawat i źle zapięte guziki przy kamizelce. Drażni mnie. Irytuje mnie zwłaszcza jej łagodność i małomówność. Bywa, że mam ochotę cisnąć w nią kałamarzem, choćby tylko po to, by w jej wodnistych

oczach pojawił się przeblysłk jakiegokolwiek emocji, a spomiędzy bezbarwnych warg wypłynął choćby najcichszy dźwięk... A niech mnie! Dałem się ponieść emocjom. Ależ ze mnie głupiec! Mimo to odnoszę wrażenie, jakby te słowa nie były moimi własnymi, lecz zostały mi wyszeptane wprost do ucha – przecież z natury jestem człowiekiem spolegliwym i wszelka przemoc jest mi obca.

30 października. Mieszkam tu już od miesiąca. Wydaje mi się, że to miejsce mi nie służy. Coraz częściej miewam silne bóle głowy, a zszargane nerwy z nawet najbardziej błahych powodów dają mi się we znaki.

Nie cierpię pani Monson i odnoszę wrażenie, że uczucie to jest obustronne. Nie wiedzieć czemu, wydaje mi się, że w tym domu dzieje się coś, o czym nie wiem i co właścicielka starannie przede mną ukrywa.

Ubiegłej nocy jej syn spał w domu, a dziś rano, gdy stałem przy oknie, zobaczyłem go wychodzącego. Uniósł wzrok i wychwycił moje spojrzenie. Był postawny, barczysty, o najbardziej odrażającej fizjonomii, jaką miałem okazję widzieć; wrażenie to pogłębił jeszcze nieprzyjemny grymas, jakim mnie obdarzył. A może tylko mi się zdawało.

Tak czy owak, staję się nadmiernie wyczulony na drobiazgi; jest to jak sędzę wywołane przez fatalny stan moich nerwów. Dziś po południu w British Museum zauważyłem, że kilka osób w czytelnicy dziwnie mi się przygląda i obserwuje każdy mój ruch. Gdy tylko unosiłem głowę nad książek, odnajdywałem na sobie ich wzrok. Wydało mi się to nieuprzejme i niepożądane, toteż wyszedłem stamtąd wcześniej niż zwykle. W drzwiach odwróciłem się i raz jeszcze zlustrowałem całą salę, by stwierdzić, że wzrok wszystkich skierowany był w moją stronę. To wprawiło mnie w nie lada rozdrażnienie, choć zdaję sobie sprawę, iż nieroztropnie jest zwracać uwagę na podobne błahostki. Kiedy jestem spokojny, mijają mnie, w ogóle nie dostrzegając. Muszę regularnie ćwiczyć i dbać o siebie. Ostatnio się do tego nie przykładam.

2 listopada. Niezmacona cisza panująca w tym domu zaczyna mnie drażnić. Chciałbym, aby nade mną mieszkał ktoś jeszcze. Pokoje na wyższym piętrze przepełnia kompletna cisza. Nie słychać choćby najcichszego stąpania ani kroków osoby mijającej drzwi mojego mieszkania i wchodzącej po schodach na górę. Ogarnia mnie przemożna chęć, aby samemu się tam wspiąć i sprawdzić, jak wyglądają tamtejsze pokoje. Czuję się tu osamotniony i odizolowany, jakby przeniesiono mnie

w odległy, opuszczony zakątek świata i całkiem o mnie zapomniano... któregoś ranka przyłapałem się na tym, że patrzę w długie, popękane lustro, usiłując dojrzeć promienie słońca tańczące pod drzewami w ogrodzie. Lecz teraz zalegały tam wyłącznie cienie i zaraz też opuściłem to miejsce.

Przez cały dzień było bardzo ciemno, zero wiatru. Pojawiła się mgła. Od rana musiałem pracować przy lampie. Dziś na szczęście nie usłyszałem turkotu wózka. Szczerze mówiąc, nawet mi go brakowało. W ten pochmurny poranek, wśród ciemności i ciszy, sądzę, że powitałbym ów dźwięk z niekłamaną radością. Bądź co bądź był on wywoływany przez człowieka, a ten pusty dom w głębi zaułka kryje w sobie mnóstwo innych, znacznie bardziej niepokojących odgłosów.

Nigdy jeszcze nie widziałem na tej ulicy policjanta, listonosz zaś zawsze zjawiał się jak po ogień i znikał w pośpiechu.

22.00 – kiedy piszę te słowa, nie słyszę żadnych dźwięków prócz odległych odgłosów ruchu ulicznego i cichego szumu wiatru. Łączą się one ze sobą. Po zmierzchu pod moim oknem zawsze zbierają się koty. Wiatr wpada do szybu z hałasem przywodzącym na myśl trzepot wielkich skrzydeł. Straszna jest ta noc. Czuję się zapomniany i zagubiony.

3 listopada. Z mojego okna widzę przychodzących. Kiedy ktoś staje przed frontowymi drzwiami, widzę kapelusz, ramiona i dłoń naciskającą dzwonek. Tylko dwóch ludzi odwiedziło mnie, odkąd tu zamieszkałem. Obu dostrzegłem z okna, zanim jeszcze weszli na górę, i usłyszałem ich głosy, pytające, czy jestem w domu. Żaden z nich nie wrócił.

Skończyłem duży artykuł. Jednakże podczas lektury wzbudził we mnie spore rozczarowanie i wykreśliłem niemal cały tekst, sprawdzając go z ołówkiem w dłoni. Pojawiły się w nim dziwne wyrażenia i idee, których nie potrafiłem wyjaśnić i których widok wprowadził mnie w zdumienie, żeby nie powiedzieć, w przerażenie. Te słowa nie były *moimi*, nie pamiętam, abym je napisał. Czy to możliwe, aby moja pamięć była aż tak zawodna?

Nigdy nie mogę znaleźć moich piór. Ta głupia starucha każdego dnia odkłada je w inne miejsce. Muszę przyznać, że wkłada w to sporo wysiłku i pomysłowości, pod tym względem jest po prostu genialna. Mówiłem jej o tym wielokrotnie, ona jednak stale powtarza: „Porozmawiam o tym z Emily, sir.” A Emily zawsze mówi: „Powie o tym pani Monson, sir.” Ich głupota irytuje mnie i rozprasza. Chciałbym powbijać w ich ciała te wszystkie zgubione pióra, a potem oślepienie wyrzucić za drzwi, do

ciemnego zaułka, aby stada wygłodniałych kotów rozszarpały je na strzępy! O rany! Cóż za upiorna myśl! Skąd się ona wzięła, u licha? Na pewno nie zrodziła się w mojej głowie, lecz nie byłem w stanie odłożyć pióra, dopóki nie przeniosłem na papier tych wszystkich jakby mi *podpowiadanych* słów. Co za absurd! Muszę wziąć się w karby, i zrobię to. Muszę wreszcie zacząć ćwiczyć, zadbać o siebie, nerwy i wątroba niemiłosiernie dają mi się we znaki.

4 listopada. Byłem dziś na ciekawym wykładzie w dzielnicy francuskiej, wykład był o śmierci, lecz w sali panowała tak wielka duchota, a ja byłem tak zmęczony, że usnąłem. To wszelako, co usłyszałem, żywo podziałało na mą wyobraźnię. Mówiąc o samobójstwach, wykładowca stwierdził, że odebranie sobie życia nie jest ucieczką przed obecną niedolą, a jedynie przygotowaniem do boleśniejszego cierpienia w przyszłości. Samobójcy, jak stwierdził, wbrew temu, co niekiedy sądzą, nie zdołają w ten sposób uniknąć odpowiedzialności, której nie chcą na siebie przyjąć. Muszą powrócić i rozpocząć życie w tym samym momencie, w którym je brutalnie przerwali, cierpiąc przy tym znacznie większe katusze, będące karą za okazaną przez nich słabość. Wielu z nich krąży po ziemi, przeżywając okrutne niedole, dopóki nie będą w stanie *ponownie przywdziać się w ciało* kogoś innego, zazwyczaj szaleńca lub osoby o słabej psychice, która nie jest w stanie oprzeć się wrogiemu opętaniu. To ich jedyna szansa na ucieczkę. Cóż za dziwna i przerażająca teoria! Szkoda, że nie przespałem całego wykładu, aby nie słyszeć tych bredni. Moje nerwy i tak są już w strzępach, nie potrzebuję wysłuchiwać równie absurdalnych fantazji. Policja powinna położyć kres tak złowrogiej propagandzie. Napiszę o tym do *Timesa* i zasugeruję im to. Doskonała myśl!

Kiedy wracałem do domu i dotarłem do zaułka, w szczytowym oknie ujrzałem światło. Na rolecie widać było przesadnie wydłużony, zniekształcony cień głowy i ramion. Zastanawiałem się, co syn właścicielki mógł robić tam o tak późnej porze.

O listopada. Dziś rano, gdy pisałem, ktoś wszedł po skrzypiących schodach i delikatnie zapukał do moich drzwi. Sądząc, że to właścicielka, rzuciłem: – Proszę! – Pukanie powtórzyło się, zawołałem więc głośniejszym głosem: – Proszę wejść! – Nikt jednak nie przekręcił klamki, ja zaś kontynuowałem pracę, skwitowawszy całe zdarzenie krótkim: – Nie, to nie! – Czy pisałem dalej? Starłem się, lecz nagle zabrakło mi weny. Nie byłem w stanie

wydusić z siebie ani jednego słowa. Był pochmurny poranek, pełen żółtawej mgły, widok ten bynajmniej nie mógł stanowić inspiracji do pracy twórczej, a tu jeszcze ta głupia kobieta stała pod drzwiami, czekając, aż ponownie zaproszę ją do środka, i w dodatku z tego zdenerwowania, jakie mnie ogarnęło, nie byłem w stanie skupić się na pracy. W końcu poderwałem się i sam otworzyłem drzwi.

– Czego pani chce i dlaczego, u licha, nie wejdzie pani do środka? – zawołałem. Ale moje słowa trafiły w pustkę. Na zewnątrz nie było nikogo. Na schodach płożyla się żółtawa mgła, ale jak okiem sięgnąć, w pobliżu nie było żywej duszy.

Zatrzasnąłem drzwi, składając to, co wydarzyło się przed chwilą, na karb panujących w domu niewytłumaczalnych hałasów, po czym wróciłem do pracy. W kilka minut później zjawiła się Emily z listem.

– Czy to ty pukałaś przed chwilą do drzwi mojego mieszkania? Albo pani Monson?

– Nie, psze pana.

– Na pewno?

– Pani Monson poszła na targ, a w całym domu prócz mnie i chłopca nie ma nikogo, ja zaś przez ostatnią godzinę zmywałam naczynia.

Odniosłem wrażenie, że oblicze dziewczyny nieznacznie pobladło. Cofnęła się ku drzwiom, oglądając się przez ramię.

– Zaczekaj, Emily – rzuciłem, po czym opowiedziałem jej, co usłyszałem. Na co obrzuciła mnie kretyńskim spojrzeniem, błędząc wzrokiem po całym pokoju. – Kto to był? – spytałem na koniec.

– Pani Monson mówi, że to pewnikiem myszy – odrzekła, jakby nauczyła się tej kwestii na pamięć.

– Myszy! – zawołałem. – Nic z tych rzeczy. Ktoś kręcił się pod drzwiami mego mieszkania. Kto to był? Czy syn właścicielki jest w domu?

Jej zachowanie uległo jakby nagle diametralnej zmianie: nie była już skryta i nieszczerą, lecz wylewną i otwartą. Sprawiała wrażenie, jakby chciała powiedzieć prawdę.

– Ależ nie, sir, w domu prócz pana, mnie i dziecka nie ma nikogo. Nikt nie mógł się kręcić pod drzwiami pańskiego mieszkania. A co się tyczy tego pukania... – Przerwała nagle, jakby powiedziała za dużo.

– No, co z tym pukaniem? – spytałem nieco łagodniej.

– Oczywiście – wyszeptała – pukania nie można zwalić na myszy, odgłosu kroków zresztą też, ale w sumie... – Znów zamilkła.

– Coś jest nie tak z domem?

– Ależ skąd, sir, kanalizacja działa doskonale!

– Nie chodzi mi o kanalizację, dziewczyno. Pytam raczej, czy zdarzyło się tu kiedykolwiek coś złego?

Zaczerwieniła się aż po czubki włosów, po czym nagle znów zbladła. Była najwyraźniej bardzo skonsternowana, bała się czegoś, ale równie mocno obawiała się powiedzieć mi o tym... miała zakaz rozmawiania o tym z kimkolwiek.

– Nie przeszkadza mi to, co się tu stało, chciałbym po prostu wiedzieć – powiedziałem zdecydowanym tonem.

Spojrzała mi w oczy, na jej twarzy malowało się skrajne przerażenie, po czym zaczęła bredzić o „tej strasznej rzeczy, co spotkała tego dżentelmena, co mieszkał na górze”, dopóki z dołu *nie dobiegło* donośne wołanie właścicielki, wzywającej dziewczynę po imieniu: – Emily! Emily!

Właścicielka wróciła z targu, a dziewczyna czym prędzej zeszła na dół, jak pociągnięta za sznurki marionetka, pozostawiając mnie z całą garścią domysłów na temat tajemniczego losu lokatora z *najwyższego* piętra, który w tak osobliwy sposób, poprzez dziwne efekty i złudzenia słuchowe dawał mi o sobie znać w moim mieszkaniu *poniżej*.

10 listopada. Skończyłem dużą pracę, naprawdę spory artykuł, i został on przyjęty przez... *Reuiew*. Zamówiono także następny. Czuję się dobrze, jestem w pogodnym nastroju, utrzymuję wyśmienitą formę i sypiam jak dziecko; żadnych migren, nerwów czy bólu wątroby. Te pigułki, które mi polecono, są naprawdę cudowne. Mogę obserwować dziecko ciągnące wózek i wcale mnie to nie denerwuje, niekiedy mam nawet ochotę do niego dołączyć. Nawet właścicielka o szarej twarzy wzbudza we mnie litość i współczucie, żal mi jej; jest taka zmęczona, taka znużona, niszczyje w oczach, tak jak ta kamienica. Wygląda, jakby kiedyś przeżyła ciężki szok, będący być może wynikiem silnego przerażenia, i obawiała się, że to się może powtórzyć. Kiedy dziś bardzo delikatnie zwróciłem jej uwagę, by nie wkładała moich piór do popielniczki ani nie odkładała rękawiczek na półkę z książkami, po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy i rzekła z widmowym uśmiechem na ustach: – Postaram się o tym pamiętać, sir. –

Miałem wówczas ochotę poklepać ją po plecach i powiedzieć: – No już, uśmiechnij się. Rozchmurz się. Życie nie jest wszak takie złe...

Och, naprawdę jest mi lepiej. Nie ma to jak świeże powietrze, sukces i kojący sen. W połączeniu są jak magia. Odbudowują kawałki serca odebrane nam przez rozpacz i nieutulone tęsknoty. Nawet wobec kotów jestem nastrojony przyjaźnie. Kiedy wróciłem dziś o jedenastej wieczorem, odprowadziły mnie całą gromadą do drzwi, przykucnąłem więc, by pogłaskać tego, który znajdował się najbliżej mnie... I co! Kocur zasyczał i zaatakował mnie. Zadrasnął mnie pazurem w rękę aż do krwi. A pozostałe natychmiast oddaliły się w mrok, sycząc i pofukując, jakbym zrobił im coś złego. Odnoszę wrażenie, że te koty mnie nienawidzą. Może czekają, aż będzie ich więcej. A wówczas mnie zaatakują. Ha, ha! Wbrew chwilowemu rozdrażnieniu ta myśl rozbawiła mnie do łez.

Wszedłem do mieszkania. W kominku się nie paliło, w pokoju panował okrutny ziąb. Podchodząc do kominka i przesuwając dłonią po obramowaniu w poszukiwaniu zapalek, w jednej chwili zdałem sobie sprawę, że obok mnie, w ciemnościach stał ktoś jeszcze.

Rzecz jasna, nic nie widziałem, ale gdy wodziłem palcami po gzymsie nad kominkiem, w pewnej chwili dotknąłem czegoś, co natychmiast, gwałtownie się cofnęło. To było wilgotne i zimne. Mógłbym przysiąc, że była to czyjaś ręka. Natychmiast poczułem na plecach lodowate ciarki.

– Kto tu jest? – zawołałem donośnie.

Mój głos utonął w ciszy jak kamyczek wrzucony do głębokiej studni. Nie doczekałem się odpowiedzi, lecz w tej samej chwili usłyszałem, jak ktoś oddala się ode mnie, przechodząc przez pokój w stronę drzwi, kroki były niepewne, słychać było szelest ubrania ocierającego się po drodze o meble. W tej samej chwili moja dłoń napotkała pudełko zapalek i wyłuskawszy jedną, zapaliła ją. Spodziewałem się ujrzeć panią Monson, Emily lub może syna właścicielki, tego rzekomego omnibusa. Jednak w świetle gazowej lampy nie dostrzegłem nikogo, pokój był pusty. Poczułem, jak jeżą mi się włosy na głowie, instynktownie cofnąłem się pod ścianę, aby nic nie zdołało zająć mnie od tyłu. Po chwili odzyskałem nad sobą panowanie.

Drzwi na korytarz były otwarte, podszedłem do nich i nie bez obawy wyszedłem na zewnątrz. Światło z pokoju padało na schody, lecz nikogo nie zauważyłem, nie było też słychać skrzypienia schodów oznajmiającego oddalanie się nieproszonego gościa. Już miałem odwrócić się i cofnąć do

mieszkania, gdy wychwycony przypadkiem dźwięk zwrócił moją uwagę. Dźwięk był bardzo słaby, przywodził na myśl szum wiatru, lecz nie mógł to być wiatr, gdyż noc była spokojna i całkiem bezwietrzna. Choć już się nie powtórzył, postanowiłem wejść na górę i zbadać samemu, co mogło go wywołać. Doświadczyłem wrażeń związanych z dwoma zmysłami – dotykem i słuchem i nie potrafiłem uwierzyć, że to wszystko mogło mi się zdawać. Dlatego też, z zapaloną świecą, skradając się, podjąłem zgoła nieprzyjemną podróż na wyższe piętra tego niedużego, starego domu.

Na pierwszym podejściu znajdowały się tylko jedne drzwi, były zamknięte na klucz. Na drugim także były tylko jedne drzwi, kiedy jednak nacisnąłem klamkę, ustąpiły. Poczułem podmuch chłodnego, zatechłego powietrza, typową woń, jaką można poczuć w dawno nie zamieszkałym pomieszczeniu. Towarzyszył jej inny, trudny do opisanego fetor. Celowo użyłem słowa fetor. Choć był bardzo słaby, kiedy go poczułem, w jednej chwili mdłości podeszły mi do gardła. Nigdy jeszcze nie czułem takiego odoru i nie potrafię go opisać.

Pokój był nieduży, prostokątny, znajdował się pod samym dachem, toteż miał spadzisty sufit i dwa niewielkie okienka. Było tu zimno jak w grobie, zero dywanów czy mebli. Przejmujący chłód i dławiący, nienazwany fetor sprawiły, że nie byłem w stanie zabawić choć chwilę dłużej w tym plugawym, przeraźliwym pokoju i rozejrzawszy się pośpiesznie, by sprawdzić, że nie było tu ciemnych kątów ani wnękowych szaf, w których mógłby się ukryć człowiek, czym prędzej wyszedłem na korytarz, zamknąłem za sobą drzwi, zszedłem do swego mieszkania i położyłem się do łóżka. Najwyraźniej ten hałas był jednak wytworem mej wyobraźni.

Tej nocy nawiedził mnie głupi, lecz bardzo wyrazisty sen. Przyśniło mi się, że właścicielka i ktoś jeszcze, kto stał w ciemnościach i nie mogłem mu się przyjrzeć, weszli na czworakach do mego pokoju, za nimi zaś wpadła do środka gromada wielkich kotów. Zaatakowali mnie wspólnie, gdy spałem, i zamordowali, a potem zawlekli moje ciało na górę, porzucając je na podłodze tego małego, ciasnego, zimnego pokoiku na poddaszu.

U listopada. Od czasu mojej niedokończonej rozmowy z Emily prawie jej nie widziałem. Teraz pani Monson zajmuje się u mnie wszystkim. Jak zawsze robi to nie tak, jak mógłbym sobie tego życzyć. Chodzi o zbyt błahe sprawy, abym miał o tym z nią rozmawiać, ale mimo wszystko bardzo mnie

to irytuje. Z panią Monson jest jak z często braną morfiną, efekt się kumuluje.

12 listopada. Dziś rano obudziłem się bardzo wcześnie i poszedłem do pokoju po książkę, zamierzając oddać się lekturze, dopóki nie zdecyduję się wstać. Emily rozpałała w kominku.

– Dzień dobry! – powiedziałem radośnie. – Rozpal proszę porządnie. Jest bardzo zimno.

Dziewczyna odwróciła się i ujrzałem na jej twarzy zdziwienie. To nie była Emily!

– Gdzie Emily? – spytałem z przejęciem.

– Chodzi panu o dziewczynę, co tu była przede mną?

– Czy Emily odeszła?

– Zaczęłam pracę szóstego – odparła z powagą – a wtedy już jej tu nie było.

Zabrałem książkę i wróciłem do łóżka. Emily musiała dostać wymówienie tuż po naszej rozmowie. Doszedłem do tego wniosku, zanim jeszcze zabrałem się do lektury. Tak zdecydowana, szybka i nieodwracalna decyzja zdawała się wskazywać na coś bardzo ważnego, przynajmniej dla kogoś w tym domu.

13 listopada. Zadrapanie od kocich pazurów nabrzmiało i oprócz tego, że drażni, sprawia mi też spory ból. Obawiam się, że moja krew musi być w kiepskim stanie, w przeciwnym razie już by się dawno zagoiła. Otworzyłem ją scyzorykiem unurzonym w roztworze antyseptycznym i starannie oczyściłem. Słyszałem wiele nieprzyjemnych opowieści o skutkach skaleczeń będących dziełem kotów.

14 listopada. Pomimo osobliwego efektu, jaki ten dom bez wątpienia wywiera na stan moich nerwów, muszę przyznać, że podoba mi się tu. Budynek stoi samotny i opuszczony w samym sercu Londynu, ale także z tego powodu mogę w nim spokojnie pracować. Zastanawiam się, czemu mieszkania tu są takie tanie. Niektórzy zapewne podchodziliby do tego podejrzliwie, ale ja nigdy nie pytałem o przyczynę. Brak odpowiedzi jest lepszy niż kłamstwo. Gdybym tylko mógł pozbyć się kotów spod okna i szczurów z mieszkania. Czuję, że coraz bardziej przyzwyczajam się do osobliwości tego miejsca i umrę tu. To, co napisałem, trochę dziwnie brzmi i wywołuje niewłaściwe wrażenie: Zamierzam tu żyć i umrzeć. Będę

przedłużał umowę najmu z roku na rok, aż do samego końca, mojego lub tej kamienicy. Sądząc po stanie budynku, powinienem go raczej przeżyć.

16 listopada. To okropne, co się dzieje z moimi nerwami, te ciągłe huśtawki nastrojów, bardzo mnie one niepokoją. Dziś rano obudziłem się, by ujrzeć moje rzeczy rozrzucone po całym pokoju, trzcinowy fotel leżał przewrócony przy łóżku. Mój surdut i kamizelka wyglądały, jakby ktoś zeszłej nocy próbował je *przymierzyć*. Nękały mnie również przeraźliwie wyraziste sny, w których ktoś zasłoniwszy twarz rękami zbliżał się do mnie nieustannie, głośno krzyząc, jakby z bólu i cierpienia: „Gdzie mogę się schronić? Och, kto mnie przygarnie?” Jakie to głupie i przerażające zarazem. Muszę przyznać, że trochę się przestraszyłem. To było niesamowicie realistyczne. Minał już ponad rok, odkąd ostatni raz chodziłem we śnie i obudziłem się, wstrząśnięty, na zimnym chodniku Earl’s Court Road, gdzie podówczas mieszkałem. Sądziłem, że już jestem wyleczony, ale najwyraźniej byłem w błędzie. To odkrycie podziałało na mnie raczej przytłaczająco i mocno zaniepokoiło. Dzisiejszej nocy zastosuję starą sztuczkę i przywiążę duży paluch u nogi do poręczy łóżka.

17 listopada. Zeszłej nocy znów nękały mnie nader niemiłe sny. Nocą ktoś jakby przechadzał się w tę i z powrotem po całym mieszkaniu, to zachodząc do pokoju, to stając przy moim łóżku i wpatrując się we mnie z uwagą. Ten ktoś przypatrywał mi się przez całą noc. Nie obudziłem się ani razu, choć byłem tego bliski. Przypuszczam, że był to koszmar wywołany niestrawnością, bo dziś rano znów dopadł mnie ten stary, uporczywy ból głowy. Kiedy jednak się obudziłem, stwierdziłem, że moje ubranie wała się po podłodze, gdzie zostało rzucone (czyżby przeze mnie?) późną nocą, a moje spodnie leżały na stopniach prowadzących do pokoju.

Co gorsza, wydawało mi się rankiem, że w mieszkaniu poczułem ten dziwny, dławiący fetor. Choć bardzo słaby, był on tak nieprzyjemny, że od razu zaczęło zbierać mi się na mdłości. Co to za smród, u licha...? W przyszłości będę zamykał drzwi na klucz.

26 listopada. Przez ostatni tydzień nieźle się napracowałem, ale zrobiłem dużo ważnych rzeczy, co więcej, zacząłem regularnie ćwiczyć. Czuję się dobrze i nie miewam już huśtawek nastrojów. Tylko dwie rzeczy, które się ostatnio wydarzyły, zdołały zmącić mój spokój ducha. Pierwsza jest w sumie błahostką, bez wątplenia łatwą do wytłumaczenia. Okno na górze, gdzie nocą czwartego listopada widziałem palące się światło i cień

ludzkiej głowy oraz ramion na tle rolety, jest jednym z dwóch okien niewielkiego pokoiku na poddaszu. A przecież tam nie ma *żadnych rolet*.

I jeszcze jedno. Zeszłej nocy, około dwudziestej trzeciej, gdy wracałem do domu, sypał śnieg, miałem więc rozłożony parasol. W połowie długości zaułka, gdzie zalegała nienaruszona warstwa białego puchu, spostrzegłem przed sobą męskie nogi. Parasol przesłaniał resztę postaci, kiedy go jednak podniosłem, zauważyłem, że mężczyzna był wysoki, barczysty i zmierzał podobnie jak ja ku drzwiom frontowym kamienicy, gdzie zamieszkiwałem. Był o niespełna cztery kroki przede mną. Choć gdy wkraczałem do zaułka, wydawało mi się, że nikogo w nim nie ma. Rzecz jasna jednak, że mogłem się łatwo omylić.

Nagły podmuch wiatru zmusił mnie do opuszczenia parasola, a gdy go znów uniosłem, niecałe pół minuty później, przede mną nie było już nikogo. Od drzwi frontowych dzieliło mnie zaledwie parę kroków. Gdy do nich dotarłem, okazało się, że jak zawsze były zamknięte. Wtedy też z niemałą konsternacją stwierdziłem, że warstwa świeżego śniegu była *nienaruszona*. Jak okiem sięgnąć widać było na nim tylko moje ślady i choć wróciłem do miejsca, gdzie przedtem trafiłem na owego mężczyznę, nie udało mi się dostrzec choćby fragmentów śladów jego stóp. Czując narastający niepokój i zakłopotanie, udałem się na górę i z niekłamaną radością położyłem się do łóżka.

28 listopada. Odkąd zacząłem zamykać drzwi do sypialni, moje kłopoty ustały. Jestem pewien, że musiałem chodzić we śnie. Prawdopodobnie rozwiązywałem sznurek, którym połączyłem mój duży palec u nogi z ramą łóżka, a potem na powrót go przywiązywałem. Iluzoryczne bezpieczeństwo, jakie stanowiło dla mnie zamknięcie drzwi na klucz, pozwoliło mi odzyskać spokój ducha i odtąd sypiałem już bez żadnych przeszkód.

Zaszłej nocy wszelako koszmar powrócił, w nowej, bardziej agresywnej postaci. Obudziłem się w ciemnościach, z wrażeniem, że ktoś stoi pod drzwiami mojej sypialni, *nasłuchując*. Gdy nieco bardziej się rozbudziłem, to odczucie przerodziło się w pewność. Mimo iż nie usłyszałem szeptu oddechu ani najmniejszego nawet poruszenia, byłem pewien, że ktoś jest za drzwiami. Bezszelestnie wysliznąłem się z łóżka i podszedłem do drzwi. Równocześnie z sąsiedniego pokoju dobiegł mnie charakterystyczny odgłos kroków kogoś, kto wycofywał się ukradkiem w stronę wyjścia. Kiedy to usłyszałem, odniosłem wrażenie, że nie były to zwyczajne kroki ani

odgłosy stąpania mężczyzny, lecz raczej pełzania, jakby ktoś odczołgiwał się przez pokój na czworakach.

W niecałą sekundę odblokowałem zamek i błyskawicznie wpadłem do frontowego pokoju, a kiedy przestąpiłem próg, odniosłem nieodparte wrażenie, że miejsce to jeszcze niedawno było przez kogoś zajęte. Zimny dreszcz przeszedł mi po grzbiecie.

Nieznajomy, który podsłuchiwał pod drzwiami, ulotnił się, znajdował się teraz za drugimi drzwiami, w korytarzu, lecz także te były zamknięte. Szybkim krokiem przeszedłem przez pokój i przekręciłem klamkę. Chłodny podmuch powietrza z korytarza omiół mnie od stóp do głów, wywołując falę lodowatych ciarek. Za drzwiami nie było nikogo, podest także świecił pustkami, na schodach ani żywego ducha. Zareagowałem jednak na tyle szybko, że tajemniczy intruz nie mógł się zanadto oddalić, i czułem, że jeśli dostatecznie się postaram, w końcu stanę z nim twarzą w twarz. Odwaga, która pojawiła się tak nagle, by przemóc we mnie zdenerwowanie i zgrozę, zdawała się wynikać z niepokojącego przekonania, że zarówno dla mego bezpieczeństwa, jak i dla zachowania zdrowych zmysłów istotne jest, abym odnalazł owego nieproszonego gościa i zmusił go do wyjawienia jego sekretu. Czyż bowiem nie obudziłem się i nie zdałem sobie sprawy z jego obecności tylko dzięki temu, że tak usilnie skupiał się na nasłuchiwanie za drzwiami?

Przechodząc przez wąski podest, zajrzałem w głąb klatki schodowej. Nie dostrzegłem niczego, w ciemnościach nic się nie poruszało. A linoleum pod moimi stopami było piekielnie zimne.

Nie potrafię powiedzieć, co skłoniło mnie do uniesienia wzroku. Wiem tylko, że bez wyraźnego powodu spojrzałem w górę i w połowie wyższej kondygnacji schodów ujrzałem postać, wychylającą się nad barierką i patrzącą na mnie. To był mężczyzna. Nie tyle stał na stopniach, co raczej trzymał się barierki. W półmroku dostrzegłem jedynie zarys jego sylwetki, ale głowa i ramiona były naprawdę potężne i odcinały się wyraźnie na tle świetlika w dachu powyżej. W tej samej chwili odniosłem niesamowite, druzgocące wrażenie, że mam przed sobą jakąś potworną istotę. Ogromna czaszka, gęsta czupryna włosów przypominających lwią grzywę, obwisłe, szerokie bary sugerowały – w sposób, którego z braku czasu nie byłem w stanie przemyśleć – że mam przed sobą istotę tylko z wyglądu przypominającą człowieka, i przez kilka sekund, zafascynowany tym

koszmarem, odnalazłszy spojrzenie tajemniczego lokatora, patrzyłem bez cienia lęku na mroczne, nieodgadnione oblicze, rysujące się ponad barierką. Na parę chwil zapomniałem o tym, gdzie jestem i co robię.

Wreszcie jednak, uświadomiwszy sobie, że mam przed sobą tajemniczego, podsłuchującego mnie lokatora, wziąłem się w garść i przygotowałem na to, co miało teraz nastąpić.

Po dziś dzień nie wiem, co było źródłem fali odwagi, która przepeliła mnie w tej strasznej chwili. Choć byłem cały rozdygotany ze strachu, a moje czoło zrosił zimny pot, wolno ruszyłem naprzód. Na moje usta cisnęły się dziesiątki pytań: Kim jesteś? Czym jesteś? Czego chcesz? Czemu mnie obserwujesz i podsłuchujesz? Po co wślizgujesz się do mego pokoju? Żadnego z nich jednak nie zdołałem wypowiedzieć na głos.

Zacząłem wspinać się po schodach, on zaś zauważywszy, co robię, natychmiast wtopił się w mroczne cienie i jął się wycofywać. Piał się pod górę równie szybko, jak ja pokonywałem kolejne stopnie. Usłyszałem odgłosy pełzania rozlegające się o kilka kroków przede mną. Uciekinier utrzymywał się w stałej ode mnie odległości – kiedy dotarłem do podestu, on był już w połowie kolejnej kondygnacji, a gdy ja dotarłem do tego miejsca, on kulił się na najwyższym podeście. Usłyszałem, jak otwierał drzwi małego pokoiku na poddaszu i wszedł do środka. Choć drzwi nie zamknęły się za nim, w jednej chwili, gdy przestąpił próg, wydawane przezeń odgłosy ucichły.

Bardzo żałowałem, że nie mam przy sobie lampy, laski ani żadnej innej broni; cóż, nic nie mogłem na to poradzić, ale nie zamierzałem się teraz wycofać. Pokonałem ostatnie stopnie i w niecałą minutę później znalazłem się przed drzwiami, za którymi zniknęła zagadkowa istota.

Miałem chwilę zawahania. Drzwi były uchylone, a tajemniczy lokator zapewne stał tuż za nimi i robił to, co lubił najbardziej – nasłuchiwał; przeszukanie tego ciemnego pokoju w poszukiwaniu intruza wydawało się beznadziejnością, wejście do pomieszczenia, w którym się znajdował, uznałem za niewyobrażalny koszmar. Na samą myśl poczułem też tak wielkie obrzydzenie i odrazę, że przez chwilę miałem ochotę wrócić do swego mieszkania.

To dziwne, że w podobnych sytuacjach rzeczy błahe urastają w naszej świadomości do rangi czegoś ciekawego i nader istotnego. Coś, być może żuk albo mysz, przemknęło po podłodze za moimi plecami. Drzwi

przymknęły się o włos. W tej samej chwili, w przypiływie nagłego zdecydowania zamachnąłem się nogą i kopnąłem w nie, otwierając je na oścież, po czym stanowczym krokiem wmaszerowałem w nieprzeniknioną czerń za progiem.

Jakież dziwne, miękkie dźwięki wywoływały moje bose stopy stąpające po gołych deskach podłogi! Jakże głośno pulsowała krew w moich skroniach!

Znalazłem się w środku. Ciemność zamknęła się wokół mnie, skrywając nawet okna. Zacząłem macać na oślep, przesuwając się wzdłuż ścian, lecz chcąc uniemożliwić tamtemu ucieczkę, na początek *zamknąłem drzwi wejściowe*.

I tak oto byliśmy tu obaj, zamknięci w czterech ścianach, oddaleni od siebie zaledwie o kilka stóp. Z kim jednak, lub może z czym przyszło mi się znaleźć w jednym pomieszczeniu? Doznałem nagłego olśnienia i uświadomiłem sobie, jak wielkim byłem głupcem! Dopiero teraz na dobre się rozbudziłem, wspomnienia koszmaru prysły. Znowu te moje przekłete zszargane nerwy, sen, koszmar i to co zwykle, czyli lunatykowanie. Ta postać była elementem mojego snu. Wielokrotnie zdarzało mi się już, że widywałem postaci z moich snów, zanim na dobre powróciłem do świata jawy... W kieszeni piżamy jakimś cudem znalazłem zbłąkaną zapalniczkę i zapaliłem ją, pocierając o ścianę. Pokój był całkiem pusty. Nie było w nim nawet cieni.

Czym prędzej wróciłem do łóżka, przeklinając moje skołatane nerwy i kretyńskie, nazbyt wyraziste sny. Jednak gdy tylko znów usnąłem, ta sama plugawa postać podpełzła do mego łóżka i nachyliwszy olbrzymią głowę, jęła szeptać mi do ucha raz po raz: – Chcę twego ciała, chcę twej powłoki. Czekam na nią i wciąż nasłuchuję...

Te słowa były nie mniej szalone i bezsensowne jak sam sen.

Wciąż też zastanawia mnie ten fetor, który poczułem w pokoiku na poddaszu. Powrócił, silniejszy niż zwykle; kiedy dziś rano się obudziłem, poczułem go w mojej sypialni.

29 listopada. Powoli, jak blask księżycy wyłaniający się nad spowitą oparami mgieł rzeką w czerwcu, dociera do mnie myśl, że zarówno stan moich nerwów jak i somnambuliczne sny to nie jedyne efekty działania, jakie wywiera na mnie ten dom. Budynek ten pochwycił mnie jakby w

jakaś wielką, niewidzialną sieć. Nie mogłem uciec, nawet gdybym chciał. To mnie przyciąga i pragnie zatrzymać.

30 listopada. Listonosz przyniósł mi dziś list z Adenu, przesłany do mego nowego miejsca zamieszkania z poprzedniego, czyli z Earl's Court. List był od Chaptera, mojego, starego kumpla z Trinity, który wracał właśnie do domu ze Wschodu i pytał o mój adres. Przesłałem mu go do hotelu, z adnotacją, że adresat wkrótce się tam zjawi.

Jak już wspomniałem, okna mego pokoju wychodzą na zaułek i mogę dostrzec osoby zbliżające się do drzwi frontowych. Dziś rano, gdy byłem zajęty pisaniem, odgłos kroków dochodzący z zaułka przepełnił mnie bliżej nieokreślonym i niewytłumaczalnym niepokojem. Podeszedłem do okna i zobaczyłem mężczyznę stojącego poniżej i czekającego na otwarcie drzwi. Człowiek ten był barczysty, nosił elegancki cylinder i wytworny płaszcz. To wszystko zdołałem dostrzec. Wreszcie drzwi się otworzyły, a ja przeżyłem niemały szok, gdy usłyszałem zadane przez mężczyznę pytanie: – Czy pan... wciąż tutaj mieszka? – Gość wymienił moje nazwisko. Nie dosłyszałem odpowiedzi, ale była z pewnością twierdząca, gdyż tamten wszedł do sieni i zamknął za sobą drzwi. Na próżno jednak oczekiwałem na odgłos kroków na schodach. W sieni panowała kompletna cisza. Wydało mi się to na tyle dziwne, że otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Pusto. Ani żywego ducha. Przeszedłem przez wąski podest i wyjrzałem przez okno, skąd można było zobaczyć cały zaułek. Nie było tam nikogo. Zszedłem do kuchni i zapytałem właścicielkę kamienicy, kobietę o twarzy szarej jak popiół, czy dzentelmen, który zjawił się tu przed chwilą, pytał o mnie.

– *Nie!* – odparła z dziwnym, krzywym uśmiechem malującym się na jej zakurzonej twarzy.

1 grudnia. Stan moich nerwów szczerze mnie martwi i niepokoi. Sny snami, ale nigdy jeszcze nie miewałem ich na jawie.

Nie mogę już doczekać się przyjazdu Chaptera. To wspaniały człowiek i dobry przyjaciel, życzliwy, energiczny, lecz zrównoważony i obdarzony raczej przeciętną wyobraźnią. Zarabia przez to aż 2000 funtów rocznie. Od czasu do czasu składa mi propozycje – ostatnio chciał, abym w roli jego sekretarza wybrał się z nim w zagraniczną podróż – w ten to delikatny sposób dawał mi do zrozumienia, że płaciłby wszystkie moje rachunki i w

dotatku odpalił jeszcze niewielkie kieszonkowe, lecz ja uprzejmie, acz stanowczo odmówiłem.

Zawsze mu odmawiam. Bardziej zależy mi na jego przyjaźni. Kobiety nie są nas w stanie poróżnić, pieniądze zaś mogłyby, wolę przeto nie ryzykować. Chapter zawsze śmiał się z tego, co określał mianem moich *fantazji*, sam bowiem jako człowiek prozaicznej natury nie odznaczał się bardziej wysublimowaną wyobraźnią. Gdyby jednak ktoś spróbował mu to wytknąć, naraziłby się na wybuch jego niepokonowanego gniewu. Mentalnie człowiek ten jest skrajnym materialistą, stąpającym twardo po ziemi i postrzegającym świat w bardzo ciasnych ramach. Nie wątpię, że podzielenie się moimi strapieniami z tym człowiekiem o chłodnym, logicznym, racjonalnym umyśle przyniesie mi prawdziwą ulgę. Z chęcią usłyszę jego zdanie na temat tego domu i moich perypetii z nim związanych.

2 *grudnia*. O najdziwniejszej rzeczy, jaka mi się przytrafiła, nie wspominałem jak dotąd w moim pamiętniku. Prawdę mówiąc, bałem się prze łać te słowa na papier. Ukryłem to wszystko w otchłani pamięci i robiłem, co w mojej mocy, aby pewne myśli pozostały tam na zawsze. Jednakże wbrew moim wysiłkom, ich moc nadal rośnie.

Teraz, gdy postanowiłem stawić czoła temu wyzwaniu, okazało się, że ujęcie go w słowa jest trudniejsze, niż przypuszczałem. Niczym na wpół zapomniana melodia, która kołacze się po głowie lecz nie sposób jej zanucić, myśli te gromadzą się w głębi mojego umysłu, *zawsze w tle*, nigdy na pierwszym planie. Gotowe w każdej chwili wyłonić się ze swej kryjówki, choć jednak na razie tego nie robią.

W mieszkaniu, z wyjątkiem chwil, kiedy jestem mocno skupiony na swojej pracy, stwierdzam bardzo często, że nawiedzają mnie myśli i idee, które nie pochodzą ode mnie. Nowe, dziwne przemyślenia, całkiem odmienne od moich, zalewają mój umysł. Sęk w tym, że są całkiem oderwane od nurtu, którym zwykle podążały moje własne myśli. Pojawiają się zazwyczaj, kiedy mój umysł odpoczywa, nie jest niczym zaprzątnięty, kiedy przysypiam przy kominku lub siedzę z książką, na której nie potrafię się skupić. Wtedy to wspomniane obce myśli ozywają i sprawiają mi niewypowiedziany dyskomfort. Bywa, że są tak silne, iż mam wrażenie, jakby w pokoju przeze mnie zajmowanym znajdował się ktoś jeszcze, kto wyrażał swoje myśli na głos.

Moje nerwy są w strzępach, w dodatku wysiada mi wątroba. Muszę ciężiej pracować i wytrwalej ćwiczyć. Te okropne myśli nigdy nie nawiedzają mnie, gdy mój umysł jest czymś zaprzątnięty. Ale wciąż tam są, czekają, jakby były żywe.

To, co starałem się opisać powyżej, zacząłem uświadamiać sobie stopniowo po tym, jak spędziłem kilka dni w domu i powoli nabierałem sił. Druga dziwna rzecz przydarzyła mi się przez te wszystkie tygodnie zaledwie dwukrotnie. *To mnie przeraża*. Jest to świadomość bliskości jakiejś zabójczej i odrażającej choroby. Wrażenie to spowija mnie od stóp do głów niczym fala żaru wywołanego gorączką, po czym mija, pozostawiając mnie zmarzniętego i rozdygotanego. Przez kilka sekund nawet samo powietrze wydaje się być skażone. Myśl o chorobie jest tak silna i przekonująca, że w obu przypadkach zakręciło mi się w głowie, a w moich myślach, niczym płomienie białego żaru, pojawiły się złowrogie nazwy wszystkich znanych mi groźnych chorób. Nie potrafię wyjaśnić, co było przyczyną tych niesamowitych doznań, wiem jednak, że nie uroiłem sobie zimnego potu, jaki mnie wówczas oblał, ani przyspieszonej akcji serca, sprawiającego wrażenie, jakby miało lada chwila wyskoczyć z mej piersi.

Najsilniej odczułem bliskość tej zabójczej choroby w nocy dwudziestego ósmego, gdy wspiąłem się na górę śladem tajemniczego lokatora. Kiedy byliśmy zamknięci razem w tym niedużym pokoiku na poddaszu, odniosłem wrażenie, jakbym znalazł się twarzą w twarz z samą esencją owej niewidzialnej, złowrogiej choroby. Nigdy dotąd nie doświadczyłem czegoś podobnego i da Bóg, aby to nie spotkało mnie ponownie.

No i już! Opowiedziałem o wszystkim. Obróciłem w słowa doznania, o których dotąd starałem się nawet nie myśleć, a co dopiero przelewać je na papier. Albowiem – i nie mogę już dłużej oszukiwać samego siebie – to, czego doświadczyłem owej nocy (dwudziestego ósmego) było w równej mierze snem, jak moje codzienne śniadania; zaś trywialny wpis w tym dzienniku, który z założenia miał wyjaśnić incydent, będący dla mnie źródłem niewytłumaczalnej zgrozy, powstał tylko po to, by uspokoić moje zszargane nerwy; nie chciałem opisać słowami tego, co czułem i jak było naprawdę. Gdybym to uczynił, mogłoby się okazać, że nie jestem w stanie znieść całego tego koszmaru.

3 *grudnia*. Chciałbym, aby Chapter wreszcie się zjawił. Zrewidowałem już wszystkie fakty i wyobrażam sobie spojrzenie jego chłodnych, szarych oczu przyglądających mi się z niedowierzaniem, gdy przedstawię mu swoją relację: o pukaniu do drzwi, eleganckim gościu, świetle w oknie na poddaszu i cieniu na roletach, o mężczyźnie, który szedł przede mną po śniegu, o moich rzeczach, które znajdowałem rano rozrzucone po całym pokoju, o pełnych wahania słowach Emily, o podejrzanym małomówności właścicielki, o tajemniczym lokatorze podsłuchującym pod moimi drzwiami, o przeraźliwych, choć dziwacznych słowach, które usłyszałem we śnie, a przede wszystkim, i to będzie dla mnie najtrudniejsze – o obecności przeraźliwej choroby oraz strumieniu myśli i idei nie będących moimi własnymi.

Już widzę twarz Chaptera, nieomal słyszę jego rozważne słowa: „Chyba dopadło cię załamanie nerwowe, a w dodatku jesteś jak zawsze niedożywiony. Lepiej odwiedź mego znajomego lekarza, specjalistę od chorób nerwowych, a potem wybierzemy się razem na południe Francji.” Albowiem przyjaciel mój, który nie ma pojęcia, co znaczy mieć zszargane nerwy i chorą wątrobę, regularnie odwiedza psychiatrę, święcie przekonany, że jego umysł jest w coraz bardziej opłakanym stanie.

5 *grudnia*. Od czasu incydentu z Tajemniczym Lokatorem regularnie palę nocami lampę w sypialni i odtąd sypiam spokojnie. Ale zeszłej nocy wydarzyło się coś o wiele bardziej bulwersującego. Obudziłem się nagle i przy toalecie ujrzałem mężczyznę, przeglądającego się w lustrze. Drzwi były jak zawsze zamknięte na klucz. W pierwszej chwili zorientowałem się, że to mój tajemniczy lokator, i ta świadomość zmroziła mi krew w żyłach. Ogarnęła mnie tak silna fala zgrozy i przerażenia, że poczułem się jak sparalizowany; leżałem na łóżku, nie mogąc się poruszyć ani nawet wydobyć z siebie głosu. Zwróciłem wszelako uwagę, że w sypialni znów pojawił się ten odrażający, mdlący fetor.

Mężczyzna wydawał się wysoki, barczysty. Nachylał się przed lustrem. Był odwrócony do mnie plecami, lecz w lustrze dostrzegłem odbicie olbrzymiej głowy i twarzy oświetlonej blaskiem nocnej lampki. Widmowe, szare światło budzącego się dnia przesączaające się spomiędzy zasłon wzmogło jedynie grozę całej tej sytuacji, padło bowiem na jego zmierzwione, gęste, długie włosy, przypominające lwią grzywę, i twarz, tak obrzmiałą i zniekształconą, że przywodziła na myśl oblicze tego wielkiego,

groźnego drapieżnika. Malował się na niej grymas, którego nie potrafię opisać słowami. W słabym świetle lampy i poranka zauważyłem kilka brązowych plam na policzkach mężczyzny, które ów obserwował badawczo, z wyteżoną uwagą przeglądając się w lustrze. Wargi mężczyzny były blade, bardzo grube, mięsiste. Jednej ręki nie widziałem, druga natomiast spoczywała na mojej szczotce do włosów, zrobionej z kości słoniowej. Mięśnie były dziwnie napięte, palce wychudzone i kościste, wierzch dłoni nabrzmiały, jakby opuchnięty. Jego ręka wyglądała niczym wielki, szary pajak szykujący się do skoku albo szpony olbrzymiego, drapieżnego ptaka.

Gdy uświadomiłem sobie, że znalazłem się sam na sam z tą bezimienną istotą, na wyciągnięcie ręki od niej, przeżyłem prawdziwy szok, lecz jeszcze większy wstrząs czekał mnie, kiedy ów tajemniczy gość odwrócił się nagle i spojrzał małymi jak paciorki oczami nieproporcjonalnymi w porównaniu z resztą jego masywnego cielska. W jednej chwili poderwałem się do pozycji siedzącej, z mych ust dobył się przeraźliwy, przeciągły krzyk, a zaraz potem ogarnęła mnie aksamitna czerń niepamięci.

O grudnia... Kiedy dziś rano odzyskałem przytomność, pierwsza rzecz, na jaką zwróciłem uwagę, to moje ubrania rozrzucone po całej podłodze... Trudno mi było pozbierać myśli, moim ciałem wstrząsnęły gwałtowne, niepohamowane dreszcze. Postanowiłem udać się natychmiast do hotelu, gdzie miał zatrzymać się Chapter, i zapytać o datę jego spodziewanego przyjazdu. Nie chcę wspominać tego, co wydarzyło się w nocy, to zbyt okropne, nie wolno mi o tym myśleć. Tak bardzo kręciło mi się w głowie i tak dziwnie się czułem, że nie byłem w stanie zjeść śniadania, dwukrotnie wymiotowałem krwią. Gdy ubierałem się do wyjścia, usłyszałem turkot dwukółki przetaczającej się po kocich łbach, w chwilę później drzwi otwały się i ku mej wielkiej radości zobaczyłem wchodzącego do środka tego, na kogo tak rozpaczliwie czekałem.

Widok jego twarzy o silnych rysach i oczach przepełnionych łagodnością podziałał na mnie kojąco i nieco się uspokoilem. Uczucie to wzmógł jeszcze mocny, zdecydowany uścisk jego dłoni. Kiedy z uwagą przysłuchiwałem się brzmieniu jego głębokiego, uspokajającego głosu i wspomnienie nocnego koszmaru nieznacznie przyblakło, zacząłem uświadamiać sobie, jak ciężko mi będzie podzielić się z nim tą niewiarygodną, szaloną historią. Niektórzy ludzie emanują zwierzęcym

wigorem, który obraca w perzynę delikatną materię wizji i nie pozwala na jej odtworzenie. Chapter był jedną z takich osób.

Porozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się od naszego ostatniego spotkania, on zaś opowiedział mi trochę o swoich podróżach. On mówił, a ja słuchałem. Był jednak ze mnie kiepski słuchacz, zbyt mi nie przepełniały niespokojne myśli o upiornych rzeczach, którymi zamierzałem się z nim podzielić. W gruncie rzeczy czekałem tylko na dogodną okazję, aby włączyć się do rozmowy i powiedzieć mu to, co leżało mi na sercu.

Wkrótce doszedłem do wniosku, że przyjaciel mój snuje swą opowieść li tylko dla zabicia czasu. Jego myśli także zaprzętało coś bardzo ważnego, coś, co czekało na właściwy moment, aby mogło zostać ujawnione.

Przez pierwsze pół godziny spotkania obaj czekaliśmy na dogodną chwilę, aby odkryć swoje karty, i przyznać muszę, że z uwagi na panujące między nami niewypowiedziane napięcie, dziwię się, iż byliśmy w stanie wytrzymać tak długo. Gdy to sobie w końcu uświadomiłem, postanowiłem ustąpić. Przypomniałem sobie, dlaczego chciałem podzielić się z przyjacielem moją opowieścią, i z niejaką satysfakcją stwierdziłem, że i on, aczkolwiek podświadomie, przygotowywał się na przyjęcie moich rewelacji. Rozmowa coraz mniej się kleiła, zainteresowanie słabło, opisy jego podróży traciły na barwności. Jego monolog był poprzedzony coraz dłuższymi chwilami ciszy. Zaczynał się powtarzać. Słowa stawały się miałkie i bezbarwne. Cisza przedłużała się. Wreszcie zainteresowanie osłabło zupełnie, gasnąc jak świeca na wietrze. Chapter umilkł i z powagą i przejęciem spojrzął mi głęboko w oczy.

Długo wyczekiwana chwila w końcu nadeszła!

– Wiesz... – zaczął i nagle zamilkł.

Wykonałem lekki gest ręką, zachęcając go, by dokończył rozpoczęte zdanie. Bez skutku. Obawiałem się tego, co mogłem za chwilę usłyszeć, może nawet bardziej niż tego, czym sam chciałem się z nim podzielić. Chwilę szczerych zwierzeń spowił nagle złowrogi, mroczny cień.

– – Wiesz... – rzucił w końcu – zastanawia mnie, co cię, u licha, podkusiło, aby wynająć mieszkanie właśnie tu, w tym domu?

– Po pierwsze jest tanie – zacząłem – poza tym znajduje się w centrum i...

– Jest *zbyt tanie* – przerwał. – Nie zapytałeś dlaczego?

– Jakoś nie przyszło mi to nigdy do głowy.

Zapadła chwila ciszy, podczas której Chapter unikał mego wzroku.

– Na miłość boską, stary, mówże! – zawołałem, bo narastające napięcie coraz bardziej działało mi na nerwy.

– To tutaj mieszkał przez dłuższy czas Blount – rzekł półgłosem – i tu właśnie... umarł. Wiesz, dawno temu często tu zaglądałem, aby spotkać się z nim i uczynić co w mojej mocy, aby ulżyć jego... – Ponownie zamilkł.

– Proszę! – rzuciłem z wielkim wysiłkiem. – *Błagam* cię, mów dalej, tylko trochę szybciej.

– Niestety – ciągnął Chapter, odwracając się do okna i wzdrygając się wyraźnie – w końcu tak potwornie się zmienił, że nie byłem w stanie tego znieść, choć zawsze wydawało mi się, że potrafię wytrzymać wszystko. Nerwy miałem w strzępach, dręczyły mnie okropne sny, nawiedzające mnie co noc.

Patrzyłem na niego, nie mówiąc ani słowa. Nigdy dotąd nie słyszałem o Blouncie i nie wiedziałem, o czym mówi mój przyjaciel. Mimo to wzdrygnąłem się, zrobiło mi się zimno, w ustach zaś poczułem nieprzyjemną suchość.

– Wynająłem mieszkanie na rok – odparłem z wymuszonym śmiechem – podpisałem umowę i w ogóle. Pomyślałem, że uśmiechnęło się do mnie szczęście.

Chapter zadygotał i zapiął płaszcz aż po samą szyję. W końcu odezwał się półgłosem, raz po raz oglądając się przez ramię, jakby w obawie, że ktoś mógłby go podsłuchiwać.

Ja również mogłem przysiąc, że prócz nas w pokoju był ktoś jeszcze.

– Zrobił to sam, z własnej woli, ale nikt go z tego powodu nie winił, cierpiał potworne męki. Przez ostatnie dni, wychodząc z domu, zakładał woalkę, ale nawet mimo to i tak poruszał się po mieście tylko w zamkniętym powozie. W końcu opuścili go wszyscy, nawet pielęgniarka, która zajmowała się nim przez tyle czasu. Stracił obie stopy, po prostu mu odpadły, i musiał poruszać się, pełzając na czworakach, jak zwierzę. W dodatku ten smród...

Nie mogłem się dłużej powstrzymywać, musiałem mu przerwać. To, co usłyszałem, w zupełności mi wystarczyło. Skórę miałem lepką od potu, było mi na przemian gorąco i zimno, gdyż dopiero teraz z wolna zacząłem wszystko pojmować.

– Nieszczęśnik – ciągnął Chapter. – W jego obecności starałem się zamykać oczy najsilniej, jak mogłem. Zawsze prosił mnie, by mógł w moim towarzystwie mieć odsłoniętą twarz, pytał, czy mam coś przeciwko temu. Zwykle stawałem przy otwartym oknie. Ale on nigdy nawet mnie nie dotknął. Wynajmował cały dom. Nic nie było w stanie skłonić go, by opuścił to miejsce.

– Czy zajmował właśnie to mieszkanie?

– Nie. Miał nieduży pokój na poddaszu. Wybrał go, bo pokój był raczej ciemny. Inne mieszkania znajdowały się zbyt nisko, bał się, że ludzie mogliby zobaczyć go przez okno. Zdarzało się, że całe tłumy odprowadzały go aż pod same drzwi, a potem stały pod oknami w nadziei, że choć przez chwilę zdołają ujrzeć jego twarz... Nie chciał pójść do szpitala, a nikt nie mógł go do tego zmusić. Wiesz, mówili, że ta odmiana *nie jest* zaraźliwa, toteż skoro chciał tu zostać, nie można było nic zrobić. Przez cały czas czytał podręczniki medyczne o narkotykach, itp. Miał zniekształconą twarz, a jego włosy wyglądały jak lwia grzywa. To było naprawdę potworne.

Uniosłem prawą rękę do góry, chcąc powstrzymać go przed dalszym opisywaniem fizjonomii chorego.

– Był dla świata ciężarem i zdawał sobie z tego sprawę, którejs nocy uświadomił to sobie tak dobitnie, że całkiem stracił chęć do życia. Miał swobodny dostęp do narkotyków i rankiem odnaleziono go martwego, na podłodze w jego pokoju. To się stało przed dwoma laty i jak później mówiono, Blount mógł jeszcze żyć kilka lat.

– Na litość boską! – zawołałem, nie mogąc znieść dłużej tego napięcia – powiedzże mi w końcu, na co cierpiał ten nieszczęśnik, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności.

– Myślałem, że wiesz! – rzucił ze szczerym zdziwieniem. – Byłem pewien, że wiesz!

Nachylił się w moją stronę, nasze spojrzenia spotkały się. Wreszcie spomiędzy jego lekko rozchylonych warg dobiegł ledwie słyszalny, nieomal trwożliwy szept: – Blount był trędowaty!

Pusty dom

(The Empty House)

Niektóre domy, jak niektórzy ludzie, jakimś sposobem od razu zdradzają, że są złe. W przypadku ludzi nie ma mowy o konkretnym szczególe, który mógłby ich zdemaskować; choć wydają się szczerzy i otwarci oraz często się uśmiechają, osoby przebywające w ich towarzystwie w mig orientują się, że coś jest z nimi nie tak, że są przesiąknięci złem. W końcu, krok po kroku ludzie ci zaczynają emanować na zewnątrz złą aurą, co sprawia, że wszyscy, którzy znajdą się w ich pobliżu, czym prędzej biorą nogi za pas, pierzchając przed nimi jak przed nosicielami zarazy.

Z domami jest prawdopodobnie tak samo, lecz w tym przypadku mamy do czynienia z aurą złowrogich czynów dokonanych w ich czterech ścianach, wyczuwalną jeszcze długo po śmierci złoczyńcy, która sprawia, że u odwiedzających to miejsce osób ni stąd, ni zowąd pojawia się gęsia skórka i jeżą się włosy na głowie. Coś, co stanowiło część pierwotnej pasji złoczyńcy i zgrozy odczuwanej przez jego ofiarę, wnika do serca niewinnego obserwatora, który nagle odczuwa niewytłumaczalne zdenerwowanie, lodowate ciarki i niewysłowione przerażenie.

W wyglądzie zewnętrznym tego szczególnego domu nie było nic, co mogłoby znamionować mrożące krew w żyłach koszmary, które rzekomo rozgrywały się w środku. Nie stał na odludziu ani nie stanowił niszczonej ruiny. Stał na rogu ulicy, przy dużym placu i wyglądał dokładnie tak jak inne domy w pobliżu. Miał tyle samo okien co sąsiednie budynki, identyczne balkony wychodzące na ogród i szerokie białe schody wiodące do masywnych, czarnych, frontowych drzwi, na tyłach zaś ciągnął się wąski pas trawnika i murek oddzielający go od następnego budynku. Miał tyle

samo kominów, tak samo spadzisty dach i równie szerokie podstrzesze, nawet płotek przy śmietniku był identyczny jak wszystkie inne opodal.

Mimo to jednak ten dom, choć z pozoru identyczny jak pół setki innych kamienic w tej dzielnicy, różnił się od nich diametralnie, żeby nie powiedzieć, potwornie.

Na czym polegała ta znacząca, niewidzialna różnica, stwierdzić nie sposób. Nie można tego przypisać li tylko wyobraźni, ponieważ osoby, które spędziły w tym domu trochę czasu, nieświadome ponurej sławy, jaką otoczony był budynek, zgodnie stwierdzały, iż pewne pomieszczenia lepiej omijać i pierwej sami padną trupem, aniżeli ktokolwiek zdoła nakłonić ich, by ponownie tam weszli, oraz że aura domu ogólnie wzbudzała w nich uczucie niewyjaśnionej trwogi, zaś o kilku niewinnych osobach, które spróbowały w tym domu zamieszkać i wyniosły się stamtąd najszybciej, jak to było możliwe, mówiło się w miasteczku jak o potencjalnych samobójcach.

Kiedy Shorthouse zjawił się w weekend, aby odwiedzić swoją ciotkę Julię w jej małym domku na wybrzeżu, na drugim końcu miasta, stwierdził, że była dziwnie podekscytowana i bardzo czymś zaaferowana. Otrzymał od niej telegram rano, zaledwie przed paroma godzinami i przybył, oczekując nudnego, rodzinnego spotkania, z chwilą jednak, kiedy dotknął jej dłoni i ucałował pomarszczony jak jabłko policzek, od razu wyczuł bijące z niej, elektryzujące napięcie. Wrażenie to pogłębiło się, gdy powiedziała mu, że nie spodziewa się innych gości, zaś telegram do niego wysłała z całkiem innych względów.

Coś było na rzeczy, i to coś naprawdę ważnego, albowiem ciotka Shorthouse, wiekowa, stara panna, opętana manią badania zjawisk paranormalnych, obdarzona była niebanalnym umysłem i siłą woli, a co za tym idzie, prośbą lub groźbą potrafiła niemal zawsze postawić na swoim. Wyjawiała mu swoje plany, gdy wypili herbatę – wtedy to przybliżyła się do niego, gdy szli ramię w ramię wzdłuż plaży, w promieniach zachodzącego słońca.

– Zdobyłam klucze – oznajmiła z radością i niepokojem zarazem. – Mam je od poniedziałku.

– Klucze od pralni czy...? – zapytał z niewinną miną, przenosząc wzrok z morza w kierunku miasta. Nic nie było w stanie skłonić jej do wyjawienia prawdy lepiej aniżeli zgrywanie półgłówka.

– Nic z tych rzeczy – wyszeptała. – Mam klucze do nawiedzonego domu, przy placu F... i wybieram się tam dziś wieczorem.

Shorthouse poczuł na grzbiecie lodowate ciarki. Już nie próbował dowcipkować. Ciotka także nie żartowała.

– Ale... przecież nie możesz pójść tam sama... – zaczął.

– Właśnie dlatego wysłałam do ciebie telegram – rzekła ze zdecydowaniem.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć. Szpetna, pobrużdżona, zagadkowa twarz pałała ożywieniem. Całe oblicze otaczał blask, niczym gorejąca aureola. Oczy aż lśniły. Wychwycił kolejną falę jej ekscytacji, towarzyszyło jej silniejsze niż wcześniej drzenie.

– Dzięki, ciociu Julio – rzekł uprzejmie – wielkie dzięki!

– Nie odważyłabym się pójść tam sama – ciągnęła, podnosząc głos – ale z tobą to będzie prawdziwa przyjemność. Wiem, że nie lękasz się niczego.

– Wielkie dzięki – powtórzył. – Czy... coś ma się tam wydarzyć?

– Wydarzyło się tam sporo – wyszeptała – choć w większości sprawy sprytnie wyciszono. W ciągu ostatnich kilku miesięcy próbowało tam zamieszkać kilka osób, ale lokatorzy wynieśli się bardzo szybko. Dom powinien być już całkiem opuszczony.

Wbrew sobie Shorthouse poczuł rosnące zainteresowanie. To była zasługa jego ciotki.

– Dom jest faktycznie bardzo stary – ciągnęła – a związana z nim historia, wyjątkowo paskudna, wydarzyła się dawno temu. Ma to coś wspólnego z zabójstwem popełnionym przez zazdrosnego stajennego, który miał romans ze służącą. Którejś nocy zakradł się do piwnicy, a kiedy wszyscy usnęli, rzucił się za dziewczyną w pogoń, dopadł ją na pięterku i zanim ktokolwiek zdążył przyjść jej z pomocą, przerzucił ją ponad barierką, by spadła na podłogę w hallu.

– I co wtedy ze stajennym...?

– Podobno pojmano go i powieszono za zabójstwo; wszystko to stało się jednak przed stu laty i nie zdołałam poznać więcej szczegółów.

Shorthouse był na dobre zaciekawiony tą sprawą i choć nie czuł zdenerwowania, mimo wszystko trochę się wahał.

– Pod jednym warunkiem – rzekł w końcu.

– Nic mnie nie powstrzyma przed pójściem tam – powiedziała stanowczo – ale powiedz, o co ci chodzi.

– Chcę, żebyś zapewniła mnie, że dysponujesz dostatecznie silną samokontrolą, na wypadek gdyby wydarzyło się coś naprawdę strasznego. Chodzi mi o to... czy na pewno nie będzie to dla ciebie nazbyt przerażające.

– Jim – rzuciła karcącym tonem – wiem, że nie jestem już najmłodsza i moje nerwy też nie są w najlepszej formie, ale *przy tobie* nie będę lękać się naprawdę niczego!

To naturalnie przeważało szalę, gdyż Shorthouse uważał się za całkiem zwyczajnego młodzieńca, a co za tym idzie, nie był w stanie oprzeć się próżności. I zgodził się pójść z ciotką.

Instynktownie, za sprawą jakiegoś wewnętrznego, podświadomego przygotowania, przez cały wieczór był spokojny, wyciszony i opanowany, gromadząc i magazynując siłę woli za sprawą bliżej nieokreślonego procesu polegającego na stopniowym odrzuceniu wszelkich emocji i wzięciu ich w karby, procesu trudnego do opisania, lecz nader efektywnego, który jednak doskonale rozumieją ludzie posiadający wiele życiowych doświadczeń. Później bardzo mu się to przyda.

Dopiero o wpół do jedenastej, gdy zeszli się w hallu, skąpani w ciepłym blasku lamp i wciąż otoczeni przynoszącą ulgę aurą innych ludzi, zmuszony był po raz pierwszy sięgnąć do zasobów tej siły. Kiedy bowiem drzwi się zamknęły i ujrzał opustoszałą, cichą ulicę ciągnącą się przed nimi w srebrzystym blasku księżyca, zrozumiał, że miast z lękami jednej, będzie musiał tej nocy zmierzyć się ze strachem dwojga osób. Prócz swojego strachu będzie musiał dźwigać na swych barkach także brzemień trwogi swej ciotki. To będzie dla niego prawdziwy sprawdzian. Kiedy spojrzął na ciotkę o beznamiętnym obliczu sfinksa i zdał sobie sprawę, że może to być naprawdę potężna dawka zgrozy, stwierdził z niejaką satysfakcją, że święcie wierzy ona, iż jego własna moc i siła woli są w stanie przemóc wszystko, z czym przyjdzie im się zmierzyć.

Szli powoli wymarłymi, pustymi ulicami miasteczka, jasno świecący jesienny księżyc srebrzył dachy, rzucając głębokie cienie; w ogóle nie było wiatru, drzewa zaś w ogrodach na nabrzeżu obserwowały ich w milczeniu, gdy je mijali. Shorthouse nie odpowiadał na rzucane zdawkowo uwagi o rzeczach niezwykłych i być może przerażających. W oknach domów paliło się światło, z niektórych kominów bił dym albo buchały iskry. Shorthouse jął dostrzegać nawet najdrobniejsze szczegóły. Wreszcie przystanęli na rogu, spojrzeli na tabliczkę z nazwą ulicy rozjaśnioną blaskiem księżyca i

bez słowa przeszli przez plac, w stronę tej jego części, która tonęła wśród głębokich cieni.

– Dom ma numer 13 – wyszeptała, lecz żadne z nich nie zwróciło uwagi na złowróżbny związek pomiędzy numerem a tym szczególnym budynkiem. Dalej szli przez kilka chwil w całkowitym milczeniu.

Przeszli połowę placu, kiedy Shorthouse poczuł, że ciotka ujęła go pod rękę, i zrozumiał, że ich przygoda zaczęła się na dobre, zaś jego towarzyszka już od teraz jęła borykać się z wrogim wpływem złej aury. Potrzebowała wsparcia.

W kilka minut później przystanęli przed wysokim, wąskim domem, wznoszącym się pośród nocy, budynkiem o szpetnym kształcie i pomalowanym na biało. Okna, pozbawione okiennic i żaluzji, łyptały na nich, błyszcząc w świetle księżyca. Dostrzec można było miejsca nadgryzione zębem czasu, a brudną farbę pokrywały liczne pęknięcia, balkon na pierwszym piętrze był dziwnie wybrzuszony. Jednakże pomimo oznak ogólnego zaniedbania nic na pierwszy rzut oka nie zdradzało, iż budynek ten miał być nawiedzony i cieszył się w okolicy ponurą sławą.

Oglądając się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie szedł, rażno weszli po schodach i stanęli przed masywnymi, odpychającymi, czarnymi drzwiami frontowymi. Nerwy zaczęły dawać o sobie znać i dość długo trwało, nim Shorthouse zdołał wsunąć wreszcie klucz do zamka. Przez chwilę łudził się nadzieją, że drzwi się nie otworzą, bo nawet teraz, gdy stali na schodach, nawiedziły ich nader dziwne i niepokojące emocje. Shorthouse stanowczym ruchem napał na klucz, uczynił to zdecydowanie, ale i z pewną powagą. Wiedział, że to ważna chwila. Miał wrażenie, jakby cały świat wsłuchiwał się w zgrzyt klucza w zamku. Samotny podmuch wiatru przetaczający się przez pustą ulicę poruszył koronami drzew z tyłu, za nimi, lecz i tak szczepek otwieranego zamka był słyszalny bardzo wyraźnie. W końcu zamek poddał się zupełnie i ciężkie drzwi otwarły się, ukazując ziejącą za nimi mroczną czeluść.

Spojrząwszy po raz ostatni na tonący w księżycowym blasku plac, czym prędzej weszli do środka, a drzwi zamknęły się za nimi z hukiem, którego echo przetoczyło się przez puste sale i korytarze. Nagle, pośród tych ech rozległ się całkiem inny dźwięk, a ciotka Julia niespodziewanie tak ciężko wsparła się na ramieniu Shorthouse'a, że ten, by nie upaść, musiał cofnąć się o krok.

Obok niego dało się słyszeć kasznięcie mężczyzny, tak blisko, że wydawało się, iż człowiek ten musiał stać w ciemnościach tuż przy nim.

W przeświadczeniu, że ktoś stroi sobie z niego żarty, Shorthouse zamachnął się ciężko laską w stronę, skąd dobiegł dźwięk, lecz laseczka przecięła tylko powietrze. Usłyszał ciche westchnienie ciotki.

– Ktoś tu jest – szepnęła – słyszałam go.

– Zamilcz! – rzucił srodze. – To tylko hałas czyniony przez drzwi frontowe.

– Och, szybko zapal świecę! – dorzuciła, kiedy jej bratanek, próbując otworzyć pudełko zapalek, przez przypadek odwrócił je do góry dnem i wysypał zapałki na kamienną podłogę.

Kasznięcie nie powtórzyło się jednak, nie słychać także było oddalających się kroków. Po chwili udało im się zapalić świecę, do trzymania której użyli cygarniczki, a kiedy zapałka zgasła, Shorthouse uniósł prowizoryczną lampę w dłoni i rozejrzał się dokoła. Dom wyglądał ponuro, nic bowiem nie wydaje się równie posępne jak nieumeblowany, mroczny, cichy, opustoszały budynek, zamieszkały jedynie, jak głośiły plotki, przez wspomnienia złowrogich zdarzeń, które się tam rozegrały.

Stali w rozległym hallu; po lewej mieli otwarte drzwi olbrzymiej jadalni, na wprost zaś długi, zwężający się, mroczny korytarz, wiodący, jak się zdawało, do szczytu kuchennych schodów. Przed nimi rozpościerały się szerokie, nie wyłożone dywanem schody; wszędzie zalegały cienie, jeśli nie liczyć pojedynczego miejsca w połowie wysokości schodów, gdzie blask księżycy przesączał się przez okno, padając na niewielki fragment drewnianej podłogi. Ta struga światła roztaczała słaby blask na to, co znajdowało się powyżej i poniżej owego miejsca, otaczając znajdujące się najbliżej obiekty mglistą poświatą, bardziej sugestywną i upiorną aniżeli całkowita ciemność. Rozrzedzony blask zdawał się malować wszędzie zagadkowe twarze, wyłaniające się z półmroku, a kiedy Shorthouse próbował przeniknąć wzrokiem ciemność, rozmyślając o niezliczonych pustych pokojach i korytarzach w górnej części starego domu, stwierdził, że znów tęskni do bezpiecznego, oświetlonego przez księżyc placu na zewnątrz lub przytulnego saloniku, który opuścili zaledwie przed godziną. Wreszcie, uświadamiając sobie, że takie myśli były niebezpieczne, odegnał je od siebie i skupił się na terażniejszości.

– Ciociu Julio – rzekł głośno i z powagą – no cóż, musimy teraz spe-
netrować cały dom, od piwnic aż po dach.

Echo jego głosu umilkło powoli w całym budynku, a w ciszy, jaka
potem nastąpiła, odwrócił się, by spojrzeć na ciotkę. W blasku świecy jej
twarz wydawała się śmiertelnie blada, na chwilę jednak puściła jego rękę i
przybliżając się do niego, wyszeptała:

– Masz rację. Musimy mieć pewność, że nikt się tu nie ukrywa. To po-
pierwsze.

Mówiła z wyraźnym trudem, a on spojrzał na nią z podziwem.

– Na pewno dasz radę? Panujesz nad sobą? Możemy jeszcze...

– Raczej tak – wyszeptała, zerkając nerwowo w głąb cieni dokoła. –
Jestem prawie pewna, aczkolwiek...

– Tak?

– Nie opuszczaj mnie ani na chwilę. Nie zostawiaj mnie samej.

– Bądź świadoma jednak, że wszelki hałas czy poruszenie musimy
zbadać natychmiast, wszelka zwłoka byłaby przyznaniem się do strachu. A
to może okazać się fatalne w skutkach.

– Zgadzam się – rzekła nieco drżącym głosem po chwili wahania. –
Postaram się...

Ruszyli dalej, szli ramię w ramię, Shorthouse trzymał ociekającą
woskiem świecę i laskę, podczas gdy jego ciotka zarzuciła sobie płaszcz na
ramiona; mogli wyglądać komicznie dla wszystkich prócz nich samych,
lecz rażno i zdecydowanie zabrali się za systematyczną penetrację budynku.

Skradając się, stąpając na paluszkach, aby światło świecy, odbijając się
w oknach, nie zdradziło ich obecności w domu, weszli najpierw do
olbrzymiej jadalni. Gołe ściany, szpetne obramowanie kominka i puste
palenisko zdawały się łytać na nich ponuro. Mieli wrażenie, że budynek nie
życzy sobie ich obecności, traktując ich jak intruzów, obserwując przez cały
czas bacznie i niespokojnie; towarzyszyły im zduszone szepty, dokoła
bezgłośnie przemykały chyże cienie, coś przez cały czas czaiło się za ich
plecami, przyglądając się i oczekując na dogodną okazję do ataku.
Wydawać by się mogło, że cokolwiek działo się w tym pomieszczeniu, gdy
nie było tu nikogo, zostało gwałtownie przerwane, do czasu odejścia
nieproszonych gości. Całe mroczne wnętrze starej budowli przesyciła
złowroga obecność, która dawała o sobie znać, jednocześnie nakłaniając ich

do opuszczenia tych murów, im dłużej tu przebywali, tym silniejsze było wyczuwane przez nich napięcie i zdenerwowanie.

Z tonącej w półmroku jadalni przeszli przez duże, przesuwane drzwi do palarni, lub może biblioteki, także pogrążonej w głuchej ciszy, spowitej kurzem i woalem ciemności, stamtąd zaś dotarli do korytarza u szczytu tylnych schodów.

Tu ich oczom ukazał się mroczny tunel wiodący do niższych pomieszczeń i, co należało powiedzieć, zawahali się. Lecz tylko na chwilę. Jako że noc mieli jeszcze w dużej mierze przed sobą, nie mogli teraz stąd wyjść, nie chcieli opuścić tego miejsca ani nie zamierzali się poddać. Nic nie mogło ich do tego skłonić. Ciotka Julia potknęła się na jednym ze szczytowych stopni, słabo oświetlonym blaskiem świecy i nawet Shorthouse przez moment wahał się, czy powinni tam schodzić.

– No chodźże! – rzucił jednak ponaglającym tonem, a jego głos pomknął i rozpląnął się w mrocznej pustce poniżej.

– Idę – wyszeptała, chwytając go za rękę silniej, niż było to konieczne.

Zeszli dość niepewnie po kamiennych schodach, zimne, wilgotne powietrze omiotło ich twarze; było zatechłe i cuchnące. Kuchnia, do której weszli wąskim korytarzykiem, była duża, sklepienie wysokie. Wychodziło stamtąd kilkoro drzwi, jedne wiodły do spiżarni, gdzie na licznych półkach stały puste słoiki, inne do przeraźliwie małych pomieszczeń niemieszkalnych, jeszcze chłodniejszych i bardziej odpychających niż poprzednie. Po podłodze pełzały czarne chrząszcze, a raz, gdy potrącili stół stojący w kącie, coś wielkości kota zeskoczyło na ziemię i paroma susami uciekło w gęstniejący mrok. Wszędzie wyczuwało się oznaki długotrwałego zaniedbania, dominowały smutek i półmrok.

Opuściwszy główną kuchnię, udali się następnie do pomywalni. Drzwi były uchylone, a gdy otwarli je na oścież, ciotka Julia wydała z siebie przeraźliwy krzyk, który natychmiast spróbowała zdusić, przykładając prawą dłoń do ust. Shorthouse stał przez chwilę jak skamieniały, usiłując odzyskać oddech. Odniósł wrażenie, jakby jego kręgosłup został nagle wydrążony i wypełniony okruchami lodu.

Dokładnie naprzeciw nich, w drzwiach stała kobieta. Miała zmierzwione włosy i dziki wzrok, a jej bladą twarz przepełniał grymas skrajnego przerażenia. Stała tak w bezruchu przez jedną, jedyną sekundę.

Potem świeca zamigotała, a kobieta znikła, po prostu rozplynęła się w powietrzu, w drzwiach nie było już nic prócz ciemności.

– To tylko gra światła i cieni, nie ma się czego bać – rzekł on pospiesznie nieswoim głosem, z trudem ukrywając zdenerwowanie. – Chodź, ciociu. Tam nic nie ma.

Pociągnął ją naprzód. Ruszyli dalej, dumnie, rażno i buńczucznie, ale Shorthouse stale miał wrażenie, jakby całe jego ciało oblaży niewidzialne mrówki, a ciało ciotki było tak bezwładne, że nieomal musiał wlec ją za sobą. W pomywalni było zimno, a samo pomieszczenie puste, pozbawione wszelkich sprzętów; wyglądało niemal jak więzienna cela. Obeszli je, sprawdzili drzwi i okna wychodzące na podwórze – były starannie pozamykane. Ciotka stała u jego boku, jak pogrążona we śnie. Oczy miała zamknięte, zdawała się iść przed siebie tylko dlatego, że ją prowadził. Jej odwaga zdumiała go niepomniernie. W pewnej chwili zauważył osobliwą zmianę na jej obliczu, której dotąd nie dostrzegł i której nie potrafił wytłumaczyć.

– Tu nic nie ma, ciociu – powtórzył głośno. – Wejźmy na górę i sprawdźmy resztę domu. A potem wybierzemy któryś z pokoi i tam za czekamy.

Podążyła za nim posłusznie. Zamknęli starannie za sobą drzwi do kuchni i z niejaką ulgą ponownie weszli na górę. Hall był oświetlony jaśniej niż dotychczas, bo księżyc przesunął się nieco dalej na niebie, obejmując swym blaskiem większą niż dotąd część schodów. Ostrożnie jęli piąć się pod górę, w mroczną czeluść budynku, drewniane stopnie skrzypiały pod ich ciężarem.

Na pierwszym piętrze odkryli wielki, podwójny salon, którego sprawdzenie nie przyniosło żadnych rezultatów. Tu także nie było żadnych mebli ani oznak, że miejsce to niedawno ktoś zamieszkiwał, jedynie kurz, cienie i atmosfera ogólnego zaniedbania. Otworzyli duże, przesuwane drzwi pomiędzy frontowym i tylnym salonem, po czym znów wyszli na podest i ruszyli dalej, na górę.

Nie pokonali więcej niż dziesięć stopni, kiedy nagle równocześnie zatrzymali się, popatrując sobie wzajemnie w oczy w blasku migoczącej świecy. Z pokoju, który opuścili zaledwie kilka sekund temu dobiegł dźwięk cicho zamykanych drzwi. To nie ulegało wątpliwości, usłyszeli

trzask towarzyszący ostatecznemu zamknięciu przesuwanych drzwi, z charakterystycznym suchym odgłosem zapadowego zamka.

– Musimy wrócić tam i zobaczyć, co zaszło – rzekł półgłosem Shorthouse, odwracając się, by zejść na niższy podest.

Jakimś cudem zdołała powlec się za nim, choć przydeptała przy tym rąbek sukni; jej twarz przepełniało ożywienie.

Kiedy weszli do frontowego salonu, okazało się, że przesuwane drzwi zostały zamknięte – i to najwyżej pół minuty temu. Shorthouse otworzył je bez wahania. Nieomal spodziewał się ujrzeć kogoś, stojącego na wprost niego, w sąsiednim pomieszczeniu, lecz powitały go jedynie mrok i podmuch chłodnego powietrza. Przeszli przez oba pomieszczenia, nie napotykając niczego niezwykłego. Sprawdzili, czy istnieje możliwość, aby drzwi zatrasnęły się same, lecz nie było tam nawet na tyle silnego przeciągu, aby spowodował falowanie płomyka świecy. Aby zamknąć drzwi, należało włożyć w tę czynność sporo siły. Dokoła panowała grobowa cisza. Bez wątpienia pokoje były całkiem opuszczone, dom zaś kompletnie opustoszały.

– Zaczyna się – rozległ się tuż obok niego szept, który, jak się okazało, należał do jego ciotki.

Pokiwał głową potakująco, po czym wyjął zegarek, aby sprawdzić, która była godzina. Za kwadrans północ; zapisał tę godzinę w swoim notesie, na chwilę odstawiając świecę na podłogę. Chwilę potrwało, zanim zdołał oprzeć ją o ścianę obok tak, by się nie przewróciła.

Ciocia Julia zawsze potem mówiła, że w tej chwili nie patrzyła na niego, lecz skierowała wzrok w głąb drugiego pokoju, skąd, jak stwierdziła, doszły ją wyraźne odgłosy kroków; lecz tak czy inaczej oboje zgodnie przyznali, że słyszeli potężny, ciężki tupot stóp, poruszających się bardzo szybko... i w następnej chwili świeca zgasła!

Dla Shorthouse'a to nie było wszystko i zawsze dziękował swej szczęśliwej gwiazdce, że spotkało to tylko jego, a nie jego ciotkę. Kiedy bowiem podnosił się z klęczek, uprzednio przykucnąwszy, by postawić świecę pod ścianą, tuż obok jego twarzy pojawiła się inna, tak blisko, że nieomal mógł jej dotknąć ustami. To oblicze było przepełnione niezmierną pasją; oblicze mężczyzny, ciemnowłosego, o topornych rysach i dzikich, gniewnych oczach. Należało do człowieka z pospólstwa i bez wątpienia emanowało złem w jego najprostszym rozumieniu, lecz prócz

tęgo przepełniały je inne jeszcze mroczniejsze emocje, agresja, złość i przeraźliwa furia, nadając twarzy mężczyzny istic demoniczne rysy.

Nie było ruchu powietrza, jedynie tupot stóp, zduszony, jakby ktoś biegł boso lub tylko w skarpetkach; Shorthouse ujrzał tuż obok siebie twarz i zaraz też świeca zgasła.

Niemal wbrew sobie wydał cichy, nieartykułowany krzyk i prawie stracił równowagę, gdy ciotka oparła się nań całym ciężarem w przypływie nagłej, realnej i niekontrolowanej zgrozy. Nawet nie pisnęła, po prostu uwiesiła się na nim całym ciężarem. Na szczęście niczego nie zobaczyła, a jedynie usłyszała tupot biegnących stóp, gdyż niemal natychmiast odzyskała nad sobą panowanie, on zaś zdołał uwolnić się od niej i zapalić zapałkę.

Cienie pierzchły w popłochu przed wątłym, falującym płomykiem, a ciotka pochyliła się i ujęła cygarniczkę z bezcenną świecą. I dopiero wtedy odkryli, że świeca nie została wcale zgaszona, lecz *zmiażdżona*. Knot wgnieciono w wosk, spłaszczony jak pod wpływem silnego uderzenia.

Shorthouse nigdy nie pojął do końca, jakim cudem jego towarzyszka tak szybko otrząsnęła się ze zgrozy; lecz jego podziw wobec jej samokontroli urósł po tysiąckroć, podsycając równocześnie jego własne, mocno już nadwątlone siły, za co był jej bezgranicznie wdzięczny.

Równie niewytłumaczalny był dla niego jawny dowód siły fizycznej, której zaistnienia właśnie był świadkiem. Natychmiast odegnał od siebie wspomnienia opowieści, które słyssał o „mediach fizycznych” i ich niebezpiecznych właściwościach; gdyby bowiem były one prawdziwe i albo on, albo jego ciotka byli takim właśnie medium, oznaczałoby to, że pomogli w jeszcze większym stopniu, przez swą obecność tutaj, zogniskować i tak już niemałe, balansujące na krawędzi eksplozji moce nawiedzzonego domu. To było jak przemarsz ze świecą przez starą prochownię, w której stoją rzędy otwartych beczek z prochem strzelniczym.

W tej sytuacji możliwie jak najprędzej ponownie zapalił świecę i wszedł z ciotką na wyższe piętro. Trzymająca go ręka drżała wyraźnie, a i jego krok nie był zbyt pewny, ale mimo to brnęli dalej i po przeszukaniu, które nic nie dało, wmaszerowali na najwyższe piętro budynku.

Natknęli się tu na nieduże pokoje dla służby, z połamanymi meblami i brudnymi krzesłami o wiklinowych siedzeniach, komódkami, potłuczonymi lustrami i zdezelowanymi łózkami. Tu i ówdzie pod sufitem i przy oknach

widać było pajęczyny, miejsce to sprawiało tak przygnębiające wrażenie, że czym prędzej je opuścili.

Z wybiciem północy wkroczyli do niewielkiego pokoju na trzecim piętrze u szczytu schodów, gdzie postanowili pozostać aż do końca ich nocnej przygody. Pomieszczenie było całkiem puste i rzekomo to właśnie tu, czyli w garderobie oszalały z wściekłości kochanek po długim pościgu dopadł swoją ofiarę. Z boku, na wąskim podeście zaczynały się schody wiodące na wyższe piętro, do pokoi dla służby, które właśnie spenetrowali.

Pomimo nocnego chłodu w powietrzu czuło się coś, co sprawiało, że aż chciało się otworzyć okno. Ale to nie wszystko. Shorthouse powiedziałyby, że czuł się tu w mniejszym stopniu opanowany, niż w jakiegokolwiek innej części domu. Było tu coś, co sprawiało, że człowiek czuł się podenerwowany, znużony, a jego siła woli wyraźnie słabła. Zdał sobie z tego sprawę, spędziwszy w pokoju zaledwie pięć minut, a jednak przez ten czas zdołał odczuć znaczny ubytek sił życiowych i fakt ten przeraził go bardziej aniżeli cokolwiek innego.

Postawili świecę na podłodze wewnątrz szafy, pozostawiając drzwi lekko uchylone, aby jej blask nie zmaćcił ich wzroku i by ustrzec się przed grą cieni na ścianach i suficie pokoju. Następnie rozłożyli płaszcz na podłodze i usiedli, oparci plecami o ścianę, czekając.

Shorthouse znajdował się o dwie stopy od drzwi prowadzących na podest; widział stąd wyraźnie główne schody niknące hen, w mroku, a także fragment schodów wiodących do pomieszczeń dla służby, solidna ciężka laska leżała tuż obok, w zasięgu jego ręki.

Księżyc wisiał wysoko ponad domem. Przez otwarte okno widzieli migoczące gwiazdy, jak przyjazne oczy obserwujące ich z nieba. Jeden po drugim zegary w miasteczku wybiły północ, a gdy dźwięk ten ucichł, wszystko znów pograżyło się w niezmaconej ciszy. Słyszać było jedynie kojący szum morskich fal, rozbijających się leniwie o brzeg i wypełniających noc regularnymi, miękkimi pomrukami.

Cisza wewnątrz domu stała się nieprzyjemna, okropna, ponieważ, jak stwierdził Shorthouse, lada moment mogła zostać zmacona przez odgłosy zawierające nadciągającą zgrozę. Napięcie towarzyszące wyczekiwaniu coraz bardziej dawało im się we znaki, działało na nerwy, rozmawiali szeptem albo wcale, gdyż ich głosy brzmiały dziwnie i nienaturalnie. Do pokoju zawitał chłód, nie mający nic wspólnego z nocnym powietrzem, i

zmroził ich do szpiku kości. Obecności, które mieli przeciwko sobie, kimkolwiek były, odzierały ich powoli z pewności siebie, pozbawiając zdecydowania i chęci do działania, ich siły słabły, strach i zgroza nabrały teraz całkiem nowego, groźnego znaczenia. Shorthouse zaczął drżeć o siedzącą tuż za nim ciotkę, która, choć niezmordowana, nie była przecież najmłodsza, a jej wytrzymałość miała granice.

Usłyszał szum krwi w żyłach. Niekiedy wydawał się on tak głośny, że zagłuszał inne dźwięki, które z wolna zaczęły rozlegać się wewnątrz domu. Za każdym razem, gdy skupiał na nich swą uwagę, natychmiast cichły. Na pewno się nie przybliżyły. A jednak nie potrafił wyzbyć się przekonania, że w dalszej części domu coś zaczęło się dziać. Salon, którego drzwi zniknęły się w tajemniczy sposób, wydawał się niebezpiecznie bliski, ale dźwięki dochodziły z innej, nieco odleglejszej części domu. Przyszła mu na myśl wielka kuchnia, po podłodze której pełzały czarne chrząszcze, a także ta upiorna pomywalnia, lecz zagadkowe odgłosy nie płynęły z żadnego z tych pomieszczeń. Z całą pewnością ich źródło nie znajdowało się także *poza* domem!

I wtedy zrozumiał, olśnienie przyszło nagle, tak gwałtownie, że na moment krew zastygła mu w żyłach.

Dźwięki nie dochodziły z dołu, lecz z *góry*, z wyższego piętra, z któregoś z pomieszczeń dla służby, tych odrażających, szpetnych, cuchnących stęchlizną pokoików, z mnóstwem połamanych mebli, farbą odłóżącą ze ścian, niskimi sufitami i małymi, wąskimi okienkami, gdzie rozpoczął się pościg za ofiarą, który w efekcie zakończył się jej śmiercią.

W tym momencie, gdy zrozumiał, skąd dobiegały dźwięki, zaczął słyszeć je w korytarzu powyżej – ktoś krążył od pokoju do pokoju, zaglądając do każdego z nich.

Odwrócił się pospiesznie, by zerknąć ukradkiem na siedzącą obok niego nieruchomą postać, chcąc stwierdzić, czy i ona podzielała jego odkrycie. Słabe światło świecy sączące się przez szczelinę w drzwiach szafy rzuciło silny, wyrazisty cień jej zmęczonej, pobrużdżonej twarzy na białą ścianę. Lecz coś zgoła innego sprawiło, że dech zapało mu w piersiach i znów na nią spojrzął. Jej oblicze przepełniało coś niesamowitego, co zdawało się rozpląwać po nim jak maska; owo coś sprawiło, że głębokie zmarszczki wygładziły się, a skóra naprężyła, bruzdy znikły, zjawisko to rozciągnęło się na całej jej twarzy, z wyjątkiem oczu, przepełnionych mądrością wieku;

oczy wciąż miała stare, ale reszta jej twarzy była gładka i różowa, jak u nastolatki.

Patrzył na nią w niemym osłupieniu, osłupieniu niebezpiecznie bliskim trwodze. To faktycznie była twarz jego ciotki, lecz taka, jaką była przed czterdziestoma laty, niewinne oblicze młodej dziewczyny. Słyszał opowieści o dziwnych skutkach, jakie zgroza może wywołać u człowieka, odzierając ludzkie oblicze z wszelkich emocji, z jakichkolwiek odczuć, grymasów i wrażeń, lecz nie zdawał sobie sprawy, że to w ogóle możliwe, ani tym bardziej, że może to być aż tak przerażające. Albowiem na dziewczęcym obliczu siedzącej obok niego kobiety malowała się dojmująca, nieopisana zgroza; kiedy zaś jego ciotka poczuła na sobie natarczywy wzrok Shorthouse'a, odwróciła się, by na niego spojrzeć, on zaś odruchowo zamknął oczy, aby uwolnić się od przerażającego widoku.

Kiedy ponownie otworzył oczy i zerknął na nią, odzyskawszy rezon, jakaż była jego ulga, kiedy ujrzał na jej twarzy całkiem inny grymas; jego ciotka uśmiechała się i choć była trupio blada, upiorny woal zniknął i znów wyglądała normalnie.

– Wszystko w porządku? – tyle tylko był w stanie z siebie wykrztusić.

Ciotka odparła mu niemal swobodnie.

– Jest mi zimno... i trochę się boję – wyszeptała. Zaproponował, że zamknie okno, lecz schwyciła go za rękę i poprosiła, by nie opuszczał jej ani na chwilę.

– To się dzieje na górze, ja to wiem – dodała i wybuchnęła dziwnym oschłym śmiechem – ale nie dam rady tam wejść.

Shorthouse miał w tej kwestii inne zdanie i wiedział, że aby nie stracić nad sobą panowania, oboje musieli przejść do działania.

Wyjął butelkę brandy i nalał okazałą porcję mocnego trunku, na tyle kojącą, by mogła pomóc każdemu w przewycięzeniu wszelkich przeciwności. Wypiła brandy i lekko się wzdrygnęła. Jedyne, czego teraz pragnął, to opuścić budynek, zanim jego ciotka do reszty się załamie, nie mógł wszelako tego zrobić.

To byłoby jak ucieczka z pola walki, zanim jeszcze zdołał ujrzeć wroga. Nie mógł także trwać dalej w beczynności, z każdą minutą coraz bardziej tracił opanowanie i bezzwłocznie powinien podjąć jakieś, jakiegokolwiek, choćby nawet desperackie kroki. Co więcej, musiał wyjść wrogowi *naprzeciw*, ucieczka była raczej niewskazana, kulminację zaś, potencjalnie

konieczną i nieuchronną, powinien przyjąć odważnie, z podniesionym czołem. Jeszcze mógł to uczynić, lecz za dziesięć minut być może nie będzie do tego zdolny. Nie wiedział, czy sam poradziłby sobie z tym, z czym miał się zmierzyć, a co dopiero mówić o zachowaniu hartu ducha w imieniu ich obojga!

Tymczasem na górze odgłosy stały się donośniejsze i wyraźniej się przybliżały, towarzyszyło im rozlegające się od czasu do czasu skrzypienie starych desek. Ktoś się tam skradał, raz po raz potykając się i zahaczając o meble.

Odczekawszy kilka chwil, by solidna dawka alkoholu zaczęła działać, świadom, że efekt brandy w obecnych okolicznościach nie potrwa długo, Shorthouse podniósł się powoli i rzekł stanowczym tonem:

– Ciociu Julio, pójdziemy teraz na górę i przekonamy się, co to za hałas. Musisz pójść ze mną. Taka była umowa.

Podniósł laskę i podszedł do szafy po świecę. Wątpiąca postać wstała powoli, ciężko dysząc, po czym usłyszał nagle jej zduszony głos, oznajmiający, że jest gotowa. Odwaga ciotki zdumiała go, znacznie przewyższała jego własną i gdy ruszyli dalej, przyświecając sobie świecą, poczuł delikatną, subtelną emanację płynącą z ciała tej rozdygotanej staruszki o twarzy bladej jak płótno, będącej jego źródłem natchnienia i faktyczną wewnętrzną podporą. Uświadomiwszy to sobie, zawstydził się, lecz zarazem przydało mu to siły, bez których nie byłby w stanie stawić czoła kolejnemu, zapewne największemu tej nocy wyzwaniu.

Przeszli przez ciemny podest, nie patrząc na mrok czający się między barierkami. Następnie zaczęli piąć się po wąskich schodach, zmierzając na spotkanie dźwiękom, które z każdą chwilą przybierały na sile. Mniej więcej w połowie schodów ciotka Julia potknęła się, a Shorthouse odwrócił się, by schwycić ją za rękę, i w tej samej chwili z pomieszczeń służby dobiegł przerażający łoskot. Zaraz po nim rozległ się wysoki, piskliwy, przeciągły krzyk, będący zlewającym się w jedno wrzaskiem przerażenia i wołaniem o pomoc.

Zanim zdążyli się usunąć albo zejść o stopień niżej, ktoś przebiegł pędem przez podest powyżej, gnając na oślep, i w szaleńczym tempie jął zbiegać po schodach, na których właśnie stali. Ten ktoś przeskakiwał po trzy stopnie naraz, kroki były lekkie i niepewne; lecz tuż za nimi słyhać

było cięższe stąpanie drugiej, potężniejszej osoby, pod ciężarem której schody zdawały się dygotać.

Shorthouse i jego towarzyszka zdążyli jeszcze przyłgnąć plecami do ściany, gdy dwójka biegnących zrównała się z nimi i minęła, w niewielkim odstępie czasu, jedno po drugim. Był to doskonały w swej perfekcji wir dźwięków, zakłócających panującą w pustym budynku grobową ciszę.

Dwoje biegnących, ścigający i ścigana, przebiegło bez przeszkód obok miejsca, gdzie stali, i z głośnym łoskotem dotarło do podestu. Mimo to, ani Shorthouse, ani jego ciotka nie zauważyli absolutnie niczego, dłoni, ręki, twarzy, ani nawet powiewającego w powietrzu skrawka odzienia.

Nastała krótka chwila ciszy. A potem pierwsza z osób, ta lżejsza, najwyraźniej ścigana, wbiegła niepewnie do niewielkiego pokoju, który przed chwilą opuścili Shorthouse i jego ciotka. Cięższe kroki pospieszyły za nią. Dały się słyszeć odgłosy szamotaniny, głucho sapanie i zduszony krzyk; zaraz potem na podeście rozległy się kroki jednej tylko osoby, za to zdającej się dźwigać jakieś ciężkie brzemie.

Niezmacona cisza trwała niespełna pół minuty, po czym rozległ się szum powietrza i coś ciężko poleciało w dół. A po chwili z dołu dobiegł głucho łoskot, gdy coś, co rzucono ze schodów, roztrzaskało się na kamiennej posadzce w hallu poniżej.

W całym domu zapanowała absolutna cisza. Zero jakiegokolwiek poruszenia. Płomyk świecy ani razu nie zafalował. Nie zafalował przez cały czas, jakby w domu nic się nie wydarzyło, jakby nie zaszły żadne zakłócenia i ruchy prądów powietrza. Ciotka Julia, rozdygotana z przerażenia, nie czekając na swego towarzysza, powoli, krok za krokiem zaczęła schodzić po schodach; szlochała cichutko, a kiedy Shorthouse objął ją ramionami i podtrzymał, poczuł, że drżała jak liść osiki. Wszedł do niedużego pokoju, podniósł płaszcz z podłogi, po czym idąc obok ciotki, bez słowa, nie oglądając się za siebie, zeszli po schodach trzy kondygnacje niżej, do głównego hallu.

W samym hallu nie ujrzeli niczego, lecz przez całą drogę, aż do wyjścia, mieli świadomość, że ktoś podąża ich śladem, idzie za nimi krok w krok; kiedy przyspieszali, *to* pozostawało w tyle, a kiedy zwalniali, *to* ich doganiało. Ani razu jednak nie obejrzeliby się wstecz, by zobaczyć, co *to* było, zaś przy każdym zakręcie i załomie schodów spuszczały wzrok w

obawie, by nawet przypadkiem nie zobaczyć koszmaru mogącego czaić się na schodach powyżej.

Shorthouse drżącymi dłońmi otworzył frontowe drzwi, po czym wraz z ciotką wyszedł z nawiedzonego domu na plac skąpany w srebrnym, księżycowym blasku i zaczerpnął tchu pełną piersią, wypełniając płuca chłodnym, wiejącym od morza, nocnym powietrzem.

Współwinny ante factum

(Accessory Before the Fact)

Na wrzosowych rozstajach dróg Martin przez kilka minut stał i ze zdumieniem przypatrywał się drogowskazowi. Napisy na jego czterech ramionach nie były takie, jakich się spodziewał, nie podano także odległości, a mapa, którą posiadał, była jak stwierdził ze zniecierpliwieniem, nieaktualna. Rozłożywszy ją i oparłszy o drogowskaz, nachylił się, by się jej przyjrzeć. Podmuch wiatru sprawił, że brzegi mapy załopotały i uderzyły go po twarzy. Drobnym drukiem był prawie nieczytelny w słabym świetle. Wyglądało jednak – na ile zdołał się zorientować – że dwie mile wstecz zmylił drogę.

Przypomniał sobie ten zakręt. Ścieżka wydawała się zapraszać, aby nią poszedł. Zawahał się przez chwilę, po czym zrobił to, wiedziony typowym dla wędrowców przecuciem, że może to być „niezły skrót”. Nabranie się na skrót to numer stary jak świat. Przez kilka minut wpatrywał się na przemian w drogowskaz i mapę. Zapadał zmierzch, a jego plecak jął stawać się coraz cięższy. Nie był jednak w stanie odnaleźć na mapie swego obecnego położenia i to wprawiało go w coraz większy niepokój. Czuł się skonsternowany, sfrustrowany. Miał w głowie mętlik. Ciężko mu było podjąć jakąkolwiek decyzję. Nie mogę się pozbierać, stwierdził. Chyba jestem zmęczony. Ostatecznie postanowił pójść dalej, wybierając kierunek wskazany przez jedno z ramion drogowskazu. Prędzej czy później dotrę do jakiejś gospody, choć nie do tej, do której zmierzałem. Postawił na swoje szczęście i ruszył różnym krokiem przed siebie. Na ramionach drogowskazu widniał napis *Przez Litacy HM*, wykonany drobnymi literkami, które wirowały i zmieniały się za każdym razem, kiedy na nie patrzył, jednak nie odnalazł takiej nazwy na swojej mapie. Mimo to uznał,

że może to być poszukiwany przezeń skrót. Tyle tylko, że tym razem ta decyzja wydawała się znacznie bardziej wyężona, wręcz nagła.

Dopiero teraz uświadomił sobie, na jakim odludziu się znalazł. Krajobraz wokół niego zdawał się emanować tęsknotą i samotnością. Droga ciągnęła się na przestrzeni stu jardów, prosto jak strzełił, po czym zakreślała niczym biała rzeka niknąca w przestrzeni, na jej poboczach rosły granatowo–zielone wrzosi, mieniające się w promieniach zachodzącego słońca, tu i ówdzie dostrzec można było niewielkie sosny. To wszystko wyglądało dziwnie, wręcz podejrzanie. Wrażenie osobliwości, raz uświadomione, wciąż nie dawało mu spokoju. Tego popołudnia wydarzyło się tyle niezwykłych i niewyjaśnionych rzeczy: skrót, mapa, której nie potrafił odczytać, napisy na drogowskazie, przepełniające go bliżej niewytłumaczalne impulsy i narastające zakłopotanie, mącące jego spokój ducha. Cała ta okolica aż prosiła się o wyjaśnienia, choć może w tym przypadku powinien raczej powiedzieć „o interpretację”. Zrozumiał to dzięki tym niewielkim, samotnym drzewom. Czemu tak łatwo zabłądził? Dlaczego miał mgliste wrażenie, że coś nim kierowało? Dlaczego akurat tutaj? Czemu właśnie *tul* I po co zmierzał teraz „przez Litacy Hill”?

Wtem, na zielonej łące, która lśniła, jakby marząc o słonecznym świetle wśród półmroku wrzosowisk, spostrzegł postać leżącą na trawie. Wyglądała jak plama na krajobrazie, skulony spłachetek łachmanów, lecz mimo to pełna osobliwej, widowiskowej zgrozy, a w jego umyśle w mig, nie wiedzieć czemu, zaczęły pojawiać się wyrazy zaczerpnięte z języka niemieckiego, języka, którego uczył się dawno temu i którym posługiwał się jeszcze w szkole. *Lump* i *Lumpen*, przemknęło mu nagle przez głowę. Te słowa wydały mu się najbardziej adekwatne i tak ekspresyjne, że gdyby to było możliwe, przyjąłby je za coś w rodzaju wizualnej onomatopei. Żadne inne określenie w rodzaju „włóczęgi” czy „trampa” nie pasowało do tego, co właśnie zobaczył. Jedyne określenia, jakie przychodziły mu na myśl, to słowa w języku niemieckim.

Oto dany mu został ślad, podsunięty przez tę część jego umysłu, która nie działała w sposób zdroworozsądkowy. On jednak najwyraźniej go przeoczył. W następnej chwili lump podniósł się do pozycji siedzącej i zapytał go o godzinę. Spytał po niemiecku. Martin bez chwili wahania odpowiedział w tym samym języku: – *Halb sieben*, wpół do siódmej. – Oszacował to instynktownie, lecz jak się potem okazało, trafnie. Kiedy

później spojrzął na zegarek, stwierdził, że faktycznie było wpół do siódmej. Usłyszał, jak lump powiedział jeszcze z typową dla włóczęgów butą: – Dzenkuje, dzenkuje za fatygę. – Choć Martin nawet nie wyjął zegarka – wiedziony kolejnym, podświadomym przecuciem.

Przyśpieszył kroku, wędrując wzdłuż tej samotnej drogi, a w jego wnętrzu kotłowały się zagadkowe myśli i odczucia. Jakimś cudem wiedział, że to pytanie padnie i że zostanie zadane po niemiecku. Mimo to gdy je usłyszał, ogarnęła go trwoga i konsternacja. Przerazało go i wprawiało w konsternację jeszcze jedno. Spodziewał się tego w ten sam osobliwy sposób: to było właściwe i oczywiste, kiedy bowiem obszarpaniec w brązowych łachmanach wstał, by zadać mu pytanie, *jego część* pozostała, rozciągnięta na trawie – jeszcze jeden włóczęga w starych, brudnych łachach. Lumpów było dwóch. Wyraźnie ujrzał obie twarze. Pod niechlujnymi brodami i starymi kapeluszami z obwisłym rondem dostrzegł nieprzyjemne wyrachowane oblicza, które obserwowały go bacznie, kiedy ich mijał. Nie spuszczały go z oczu. Przez moment wpatrywał się w te oczy i dostrzegł to, co w nich się kryło. Wtedy też pojął z przerażeniem, że te twarze były zbyt pociągłe, przebiegłe i wyrachowane jak na twarze pospolitych lumpów. Ci mężczyźni wcale nie byli włóczęgami. Byli w przebraniu.

Jakże uważnie mu się przyglądali! – pomyślał, maszerując szybkim krokiem wzdłuż mrocznej drogi; dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, na jak odludnym pustkowiu się znalazł.

Zaniepokojony i poruszony, przyspieszył kroku. Z chwilowego zamyślenia nad odgłosami, jakie na tej jasnej, ubitej ścieżce wydawały jego podkute buty, wyłoniło się nagle olśnienie, doznał go, łącząc wszystkie te rzeczy, które nie dawały mu spokoju a które do tej pory wydawały się „niewyjaśnione”. Wynikało z tego jedno: to wszystko tak naprawdę nie było przeznaczone dla niego, stąd całe jego zakłopotanie i zdziwienie; miał wrażenie, jakby wkroczył na inną mapę życia. Wybierając niewłaściwą drogę, skręcając nie w tę odnogę ścieżki, co powinien, wszedł w interpolację z obcymi siłami działającymi w małym światku kogoś innego. Nieświadomie, niechcący przekroczył próg i teraz znalazł się w obcym świecie, był tu intruzem, podglądaczem, przybyszem z zewnątrz. Nasłuchiwał i oglądał rozmaite rzeczy – rzeczy, które nie były przeznaczone dla niego, lecz dla kogoś całkiem innego. Jak statek na

morzu, przechwytywał depesze, których treści nie potrafił właściwie zinterpretować, ponieważ jego odbiornik nie był do nich odpowiednio dostrojony. Co więcej, te wiadomości były w rzeczywistości ostrzeżeniami!

Strach spowił go jak mrok nocy. Został pochwycony w sieć delikatnych, głębokich sił, których nie pojmował ani nad którymi nie panował, nie znając ich celu ani pochodzenia. Wkroczył w sam środek jakiejś ogromnej, parapsychicznej pułapki, starannie opracowanej, zaplanowanej i zastawionej, lecz przygotowanej dla kogoś innego. Coś go tu zwabiło, coś w tym krajobrazie, porze dnia i jego własnym nastroju. Za sprawą jakiejś nieuświadomionej słabości, z łatwością wpadł w tę pułapkę. Trawiący go niepokój z wolna jął przeradzać się w zgrozę.

To, co stało się później, wydarzyło się z takim natężeniem i szybkością, jakby trwało zaledwie chwilę. Po prostu się stało i już. To było nieuchronne. Idąc dalej jasną dróżką, napotkał nagle mężczyznę kołyszącego się na nogach, nieudolnie naśladowującego zataczającego się pijaka-włóczęgę; i kiedy Martin odsunął się, by go przepuścić, tamten zachwiał się, a potem rzucił na niego. Cios, jaki zadał mu włóczęga, był błyskawiczny i przerażający, lecz zanim go jeszcze otrzymał, Martin uświadomił sobie, że z tyłu podbiega doń drugi mężczyzna. Lump podbił mu nogi i silnym pchnięciem powalił na ziemię. Posypał się na niego grad ciosów, zaraz potem ujrzał srebrzysty błysk, mdłości podeszły mu do gardła, słabość, która go ogarnęła, sprawiła, że nie był w stanie stawić oporu napastnikom. Poczul palący żar przenikający jego gardło, a w chwilę później jego usta wypełniła gorąca, dławiąca, słonawa ciecz. Cały świat pogrążył się w ciemnościach... Jednakże z całej tej grozy i zamieszania wyłoniły się nagle dwie wyraziste myśli: uświadomił sobie, że pierwszy lump przekradł się możliwie jak najszybciej przez wrzosowisko, aby go wyprzedzić i zastąpić drogę, a także, że silne, brutalne dłonie pozbawiły go czegoś ciężkiego, co miał przytroczone wokół pasa, pod ubraniem...

Nagle też mrok rozwiął się i rozproszył. Stwierdził, że stoi przy słupie drogowskazu, wpatrując się w swoją mapę. Wiatr uniósł brzegi mapy, które uderzyły go po twarzy. Okazało się, że nazwy, których wcześniej nie dostrzegał, są teraz wyraźnie widoczne i jak najbardziej czytelne. Na ramionach drogowskazu widniały nazwy, które spodziewał się ujrzeć, i bez trudu odnalazł na mapie miejsce, gdzie obecnie się znajdował. Wszystko znów wyglądało wyraziście, dokładnie, tak jak być powinno. Odczytał

nazwę wioski, do której zamierzał dotrzeć, była wyraźnie widoczna w promieniach słońca, dzieliły go od niej jeszcze dwie mile marszu. Zdezorientowany, wstrząśnięty, niezdolny zebrać myśli, włożył mapę do kieszeni, nie złożywszy jej jak należy i pospieszył naprzód, jak ktoś, kto właśnie obudził się z upiornego snu, gromadzącego w jednej sekundzie wszystkie, nader szczegółowe niedole jakiegoś natarczywego, nieprzyjemnego koszmaru.

Przeszedł w lekki trucht, który z czasem zmienił się w zwyczajny bieg, na jego ciele pojawił się pot; nogi miał ciężkie jak z ołowiu, z trudem chwycił oddech. Wiedział tylko, że chce jak najszybciej oddalić się od drogowskazu na rozstajach, gdzie nawiedziła go przeraźliwa wizja. Martinowi, księgowemu na urlopie, nie śniło się nawet, że świat może kryć w sobie taki ogrom paranormalnych możliwości. To, co go spotkało, było prawdziwą torturą. To było znacznie gorsze niż fałszowane księgi rachunkowe, które za sprawą zagadkowego spisku dyrektorów i urzędników trafiały do jego rąk. Biegł, jakby z głośnym wyciem ścigała go cała okolica. I przez cały czas miał nieodparte wrażenie, że to, co go spotkało, nie było przeznaczone dla niego. Podśluchał sekrety kogoś innego. Przyjął ostrzeżenie skierowane do obcej osoby, a co za tym idzie, wywołał niespodziewane, nieobliczalne zmiany. Za jego sprawą ostrzeżenie nie trafiło do adresata. Był tak wstrząśnięty, że nie potrafiłby opisać tego stanu słowami. Ostrzeżenie było przeznaczone dla kogoś innego, kto w tej sytuacji już go nie otrzyma.

Wysiłek fizyczny wywołał w nim na szczęście głęboką ulgę i pozwolił do pewnego stopnia odzyskać nad sobą panowanie. Dostrzegając światła w oddali, zwolnił i wmaszerował do wioski. Dotarłszy do gospody, zajął i sprawdził dokładnie sypialnię, po czym zamówił sutą, zakrapianą kolację, by zaspokoić doskwierający głód i pragnienie, a tym samym do reszty odzyskać nad sobą kontrolę. Wspomnienie niezwykłego doznania rozmyło się jak mgła, a dziwne wrażenie, że na tym prostym, oczywistym świecie wszystko wymagało wytłumaczenia, przestało go dręczyć. Wciąż jednak odczuwał pewien nieokreślony niepokój, choć nie był to już nieopisany lęk; wszedł do izby kominkowej, aby zapalić fajkę po kolacji i porozmawiać z miejscowymi, jak to miał w zwyczaju, będąc na urlopie, i wtedy Właśnie spostrzegł dwóch mężczyzn stojących przy końcu kontuaru i odwróconych do niego plecami. W jednej chwili ujrzał ich odbicia w lustrze i cybuch

fajki nieomal wysunął mu się spomiędzy zębów. Ogorzałe, pociągłe, wyrachowane, przebiegłe oblicza; usłyszał też kilka słów, gdy rozmawiali, sącząc swoje drinki - mówili po niemiecku. Byli dobrze ubrani, nie rzucali się w oczy, ot dwaj turyści, przebywający jak on, na urlopie. Właśnie w tym momencie obaj zapłacili za drinki i wyszli. Nie przyjrzał się żadnemu z nich dokładnie, ale znów poczuł na przemian oblewający jego ciało zimny pot i falę gorąca zalewającą go od stóp do głów. Nie ulegało wątpliwości, że miał przed sobą dwóch nibylumpów, rozpoznał ich w jednej chwili, tym razem nie byli w przebraniu - *jeszcze nie*.

Nie ruszył się z miejsca, siedział przy kontuarze, pykając energicznie wygasłą fajkę, na nowo ogarnięty zimną zgrozą i w jej obliczu kompletnie bezradny. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to nie z nim zamierzali się rozprawić ci mężczyźni, ani tym bardziej, że nie miał prawa, by próbować temu zapobiec. Nie miał żadnego *locus standi*; to byłoby niemoralne... nawet gdyby nadarzyła się taka możliwość. A czuł, że się nadarzy. Był intruzem i natknął się na prywatną, sekretną informację, z rodzaju tych, których nie wolno mu było wykorzystać, niezależnie od tego, że uczyniłby to w słusznej sprawie, aby ocalić komuś życie. Siedział na swoim miejscu, zdjęty zgrozą i milczący, czekając na dalszy rozwój wypadków.

Noc wszelako nie przyniosła żadnych wyjaśnień. Nic się nie wydarzyło. Spał smacznie. W gospodzie nie było żadnych innych gości prócz starszego mężczyzny, podobnie jak on sam, turysty. Staruszek nosił okulary w złotych oprawkach, a rankiem Martin podsłuchał go, jak pytał oberżystę o drogę przez Litacy Hill. Na co on sam zaraz zaczął szczerkać zębami i w jednej chwili jego kolana stały się miękkie jak z waty.

– Skręci pan przy rozstajach w lewo – wtrącił szybko, nim oberży sta zdążył się odezwać – jakieś dwie mile stąd zobaczy pan drogowskaz, stamtąd będzie jeszcze ze cztery mile. – Skąd mógł to wiedzieć, u licha, zastanawiał się z narastającym niepokojem. – Ja też idę w tę stronę – dodał po chwili. – Potowarzyszę panu kawałek, o ile nie ma pan nic prze ciwko temu...

Wypowiedział te słowa niemal odruchowo, bez namysłu, jakby nie kontrolował tego, co mówił. Bo przecież zmierzał dokładnie w przeciwną stronę. *Me chciał jednak, aby tamten szedł sam*. Ale nieznajomy łagodnie acz stanowczo dał mu do zrozumienia, że nie życzy sobie jego

towarzystwa. Podziękował mu, wyjaśniając, że zamierza ruszyć w drogę późnym popołudniem... Stali akurat we trzech przy źłobie przed wejściem do oberży, gdy w tej samej chwili włóczęga sunący powoli drogą, spojrzął na nich i zapytał o godzinę. Odpowiedzi udzielił mu mężczyzna w okularach ze złotymi oprawkami.

– Dzenkuje, dzenkuje za fatygę – odrzekł włóczęga, mijając ich po wolnym, kołyszącym krokiem, podczas gdy oberzysta, wyjątkowo gadatliwy jegomość, zapoczątkował długi, potoczny monolog o rosnącej liczbie

Niemców zamieszkałych w Anglii oraz że przywodziło mu to na myśl teutońską inwazję, która w jego mniemaniu była wręcz nieunikniona.

Martin jednak już tego nie słyszał. Zanim przemaszerował kolejną milę, wszedł do lasu, aby tam, w samotności zmierzyć się z własnym sumieniem. Jego tchórzostwo i wewnętrzna słabość niewątpliwie były godne potępienia. Potworna udręka nie dawała mu spokoju. Cierpiał okropne katusze. Niejeden raz miał ochotę zawrócić i w każdym z tych przypadków coś mówiło mu, że nie wolno ingerować w to, co ma się wydarzyć. Jakim prawem miał wykorzystywać wiedzę zdobytą wskutek czystego przypadku? To było prawie tak, jakby podsłuchał albo podejrzwał przyszłe wydarzenia. Czy mógł ingerować w prywatne sprawy obcej mu osoby, wchodzić z butami w jej sekretne życie, tylko dlatego, że jakimś zrzędzeniem losu dowiedział się, jakby podsłuchując przez telefon, że temu komuś grozi śmiertelne niebezpieczeństwo? Miał mętlik w głowie. Nie był w stanie pozbierać myśli. Nie dysponował żadnymi faktami, nie miał niczego, aby poprzeć swoje przypuszczenia... Słumił w sobie niezliczone pragnienia, aby zawrócić i podzielić się z nieznajomym choćby tylko swoimi przeczuciami... W końcu jednak przemógł się i z drżącym sercem ruszył w dalszą drogę.

Te ostatnie dwa dni urlopu Martina zostały jednak zniweczone przez trapiące go wątpliwości, pytania i niepokoje – które już niebawem się potwierdziły, gdy przeczytał artykuł o śmierci turysty, zamordowanego na Litacy Hill. Nosił on okulary w złotych oprawkach, miał także przy sobie specjalny pas, a w nim sporą sumę pieniędzy. Poderżnięto mu gardło. Apolicja prowadziła szeroko zakrojone, intensywne śledztwo, poszukując dwóch tajemniczych włóczęgów, rzekomo pochodzenia niemieckiego.

Dotrzymana obietnica

(Keeping His Promise)

Była jedenasta wieczorem, a młody Marriott zamknięty w swoim pokoju zakuwał na całego. Był czwartorocznym na Uniwersytecie Edynburskim, ale nauka nie szła mu najlepiej i ostatecznie rodzice zgodnie oznajmili, że nie stać ich na dalsze łożenie na jego edukację.

Pokój, który wynajmował, był tani i obskurny, większość pieniędzy pochłaniało chesne. W końcu Marriott wziął się w garść i podjął decyzję, że albo podejdzie do egzaminu i w końcu go zda, albo padnie trupem na sali egzaminacyjnej. Starał się odpłacić za stracony czas i fundusze w taki sposób, z którego ewidentnie wynikało, że nie pojmował wartości jednego ani drugiego. Albowiem żaden przeciętniak – a Marriott był nim z całą pewnością – nie powinien pozwolić sobie na myślenie o niebieskich migdałach, nie ponosząc tego konsekwencji.

Wśród studentów miał zaledwie garstkę przyjaciół i znajomych, ci jednak obiecali nie przeszkadzać mu tej nocy, wiedząc, że chłopak zamierza w końcu przyłożyć się do nauki. Jakie było zatem jego zdziwienie, gdy tej właśnie nocy usłyszał dzwonek do drzwi i zorientował się, że ktoś postanowił go odwiedzić. Niektórzy zapewne wytłumiliby dzwonek i kontynuowali nieprzerwanie naukę. Marriott wszelako do takich osób się nie zaliczał. Był zdenerwowany. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie dowie się, kto postanowił go odwiedzić. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego jak sprawdzić, kim był nocny gość i o co mu chodziło, a potem spławić go możliwie jak najszybciej.

Właścicielka kamienicy ułożyła się na spoczynek punktualnie o dziesiątej i nic nie było w stanie nakłonić jej, aby wstała z łóżka, toteż

Marriott z jękiem zawodu odłożył podręczniki i z gniewną miną nie wróżącą dobrze nieznanemu intruzowi, ruszył, by otworzyć mu drzwi.

O tej porze, późnej jak na to miasto, ulice Edynburga świeciły pustkami, a w całej okolicy F... gdzie na trzecim piętrze jednego z domów mieszkał Marriott, panowała niemal niezmacona cisza. Kiedy przechodził przez piętro, dzwonek rozległ się ponownie, wywołując zgoła niepotrzebny hałas, Marriott otworzył drzwi, zamknięte na zasuwkę, i wyjrzał na korytarz, z gniewem i rozdrażnieniem wywołanym tym najściem.

Chłopaki wiedzą, że kują do egzaminu. Czemu, u licha, ktoś nachodzi mnie o tak bezbożnej porze?

W budynku prócz niego zamieszkiwali także studenci medycyny i innych wydziałów, nieszczęśni początkujący literaci oraz paru zagadkowych osobników o dość podejrzanej proveniencji. Kamienne schody – słabo oświetlone na każdym z pięter przez lampę gazową, której nie dało się odkręcić do oporu – wiodły na parter, pozbawione barierki i nie wyłożone najtańszym nawet dywanem. Na kilku piętrach były czystsze niż na pozostałych. To zależało wyłącznie od dobrej woli właścicielki kamienicy.

Właściwości akustyczne spiralnych schodów wydawały się osobliwe. Marriott, stojąc przy otwartych drzwiach, z podręcznikiem w dłoni, sądził, że lada moment jego oczom ukaze się osoba, której kroki słyszał już w sieni. Odgłos kroków brzmiał tak głośno i wydawał się tak bliski, że brzmiał nieproporcjonalnie donośnie do odległości dzielącej nocnego gościa od Marriotta. Zastanawiając się, kto to może być, stał, gotowy w ostrych, zdecydowanych słowach przywitać człowieka, który śmiał przeszkodzić mu w nauce. Lecz gość się nie pojawił. Kroki rozlegały się nieomal tuż obok niego, a mimo to nikogo nie dostrzegał.

Wtem ogarnął go dziwny, niewyjaśniony niepokój, poczuł się słabo, a potem lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach. Wrażenie to minęło na szczęście równie szybko, jak się pojawiło, i już, już miał zawołać w głos do swego niewidzialnego gościa albo trzasnąć drzwiami i wrócić do nauki, gdy przyczyna jego wzburzenia powoli wyłoniła się z za rogu, ukazując się jego oczom.

To był jakiś nieznajomy. Marriott zobaczył młodzieńca niskiego, lecz barczystego. Jego twarz miała barwę kredy, a oczy, choć bardzo jasne, były mocno podkrążone. Mimo iż policzki i podbródek przybysza były

nieogolone, a ogólnie rzecz biorąc, wygląd jego można by opisać jako niechlujny, był on bez wątpienia dżentelmenem, był bowiem dobrze ubrany i emanował swoistą charyzmą. Co najdziwniejsze, nie nosił kapelusza, nie trzymał go też w ręku, a choć przez cały wieczór lało jak z cebra, mężczyzna nie miał ani płaszcza, ani też parasola.

Setki pytań przemknęły Marriottowi przez głowę i zaczęły formułować się w słowa, po pierwsze: „Kim jesteś, u licha?” i „Co, do kroćset, cię tu sprowadza?” Nie zdołał ich jednak wyartykułować, kiedy bowiem gość lekko odwrócił głowę, światło lampy padło pod innym kątem na jego twarz. A wówczas Marriott natychmiast go rozpoznał.

– Field! Na Boga żywego! To ty? – wysapał.

Czwartoroczny nie był człowiekiem pozbawionym intuicji i w jednej chwili zdał sobie sprawę, że powinien potraktować tamtego delikatnie. Bez namysłu, jak to się niekiedy zdarza w niespodziewanych przypadkach, stwierdził, że Field musiał zostać wygnany przez ojca z domu. Przed laty uczęszczali wspólnie do prywatnej szkoły i choć od tamtej pory już się nie spotkali, od czasu do czasu dochodziły doń szczegółowe informacje na jego temat, rodzina ta bowiem zamieszkiwała nieopodal jego własnej i jego siostra oraz siostra Fielda przyjaźniły się.

O ile było mu wiadomo, młody Field prowadził ostatnio hulaszczy tryb życia, alkohol, kobiety, opium, tego typu sprawy, choć nie znał żadnych bliższych szczegółów.

– Wejdz – rzucił zaraz, a jego gniew wygasł. – Widzę, że coś jest nie tak. Wejdz i opowiedz mi o tym, a może zdołam ci jakoś pomóc...

Nie wiedział, co jeszcze mógłby mu powiedzieć, zabrakło mu słów. Ciemne strony życia i związane z nimi koszmary były mu obce, należały do innego świata, jakże różnego od tego, w którym żył, otoczony podręcznikami i marzeniami. Mimo to nie był człowiekiem bez serca.

Przepuścił kolegę, starannie zamykając za nim frontowe drzwi, i stwierdził, że tamten, choć ewidentnie trzeźwy, ledwie się trzymał na nogach. Marriott mógł być nie przygotowany do egzaminu, ale potrafił rozpoznać objawy wycieńczenia z głodu, a przyjrząwszy się swojemu gościowi, wychwycił je w jednej chwili.

– Chodź – rzucił radośnie, ze szczerym współczuciem w głosie. – Cieszę się, że cię widzę. Właśnie miałem zrobić coś na ząb, zjawiłeś się w samą porę, aby się do mnie przyłączyć.

Tamten nie odpowiedział i tak ciężko powłóczył nogami, że Marriott ujął go pod rękę, aby go podtrzymać. Dopiero teraz zauważył, że ubranie wisiało na Fieldzie jak na strachu na wróble. Wyglądał fatalnie, sama skóra i kości. Kiedy go dotknął, znów poczuł dziwną słabość i niepokój. Trwało to jedynie przez chwilę i zaraz minęło, on zaś złożył to na karb zdenerwowania i wstrząsu, jaki przeżył, ujrzawszy starego przyjaciela w tak fatalnym stanie.

– Pozwól, że cię poprowadzę. W tym korytarzu jest okropnie ciemno. Zawsze się na to skarżam – dorzucił, aby nieco rozluźnić atmosferę, a ciężar, jaki spoczął na jego ramieniu, potwierdził jego przypuszczenia, że kolega faktycznie potrzebował pomocy – ale ta kutwa, właścicielka kamienicy, nic, tylko obiecuje, że podkręci dopływ gazu w lampie... – Podprowadził go do sofy, przez cały czas zastanawiając się, skąd się tu zjawiał Field i jakim cudem zdobył jego adres. Upłynęło siedem lat, odkąd rozstał się, jako serdeczni przyjaciele, po ukończeniu prywatnej szkoły.

Tamten usiadł na brzegu sofy i wpatrywał się w milczeniu w przestrzeń, podczas gdy Marriott wyciągnął bochenek razowego chleba, placki z mąki jęczmiennej i wielki słoje marmolady, którą studenci w Edynburgu zawsze trzymają w swoich kredensach. Jego oczy błyszczały, jakby zażył jakieś narkotyki, stwierdził Marriott, zerkając na przybysza zza otwartych drzwiczek kredensu.

Nie spojrzał na niego wprost. Jego przyjaciel był w fatalnym stanie i gdyby Marriott zachował się tak wobec niego, Field mógłby przyjąć to za złą monetę i nakłanianie go do niechcianych być może zwierzeń. Poza tym był chyba zbyt wyczerpany, aby móc mówić. Tak więc taktownie starał się udawać, że nie zważa na gościa, i zajął się przygotowaniem kolacji. Zapalił maszynkę spirytusową, aby zrobić kakao, a gdy zagotowała się woda, przystawił stół z jedzeniem do sofy, aby Field nie musiał podnosić się z miejsca i przesiadać na krzesło.

– Teraz zjemy – powiedział – a potem zapalimy fajeczkę i pogawędzimy. Widzisz, uczę się do egzaminu, skądinąd dość ciężkiego. Twoje to warzystwo dobrze mi robi. Przyda mi się odrobina wytchnienia.

Uniósł wzrok i odnalazł skierowane na niego spojrzenie gościa. Poczł dreszcz, który przeszył go od stóp do głów, i mimowolnie się wzdrygnął. Twarz naprzeciw niego była trupio blada i malował się na niej wyraz bólu i niewysłowionego cierpienia.

– Na Boga! – rzucił, podrywając się gwałtownie. – Całkiem zapomniałem. Mam tu gdzieś butelczynę whisky. Ależ ze mnie osioł. Kiedy się ostro uczę, nie mam w zwyczaju sięgać po coś mocniejszego.

Podszedł do kredensu i nalał hojną porcyjkę, gość opróżnił swoją szklaneczkę jednym haustem, bez popijania wodą. Marriott obserwował, jak tamten pije, i równocześnie zwrócił uwagę na jeszcze jeden szczegół – surdut Fielda był cały zakurzony, a na jednym ramieniu miał przylepioną pajęczynę. Płaszcz był całkiem suchy. Field odwiedził go w słotną noc, bez kapelusza, parasola i płaszcza, a mimo to jego ubranie było absolutnie suche, a w dodatku potwornie zakurzone. Co to mogło oznaczać? Czyżby ukrywał się w budynku...? To było bardzo dziwne.

Mimo to Marriott nie obrócił swoich podejrzeń i niepokojów w słowa, co więcej, postanowił nie zadawać żadnych pytań, dopóki kolega nie naje się i nie prześpi. Jedzenie i sen to bez wątpienia najważniejsze rzeczy, których ten nieszczęśnik obecnie najbardziej potrzebował – był zadowolony ze spokoju, w jaki udało mu się zdiagnozować przyjaciela – wypytywanie go, zanim dojdzie do siebie, nie byłoby w dobrym tonie.

Zjedli wspólnie kolację, podczas gdy Marriott prowadził jednostronną konwersację, opowiadając głównie o sobie, egzaminach i chytrej właścicielce kamienicy, tak że gość nie musiał nic mówić, jeżeli nie chciał, a wszystko na to wskazywało! Podczas jednak gdy gospodarz bawił się jedzeniem, przybysz pochłaniał swoją porcję żarłocznie i łapczywie. Widok wygłodniałego kolegi pozerającego placki z mąki jęczmiennej i naleśniki oraz kolejne kromki razowego chleba z marmoladą był czymś niezwykłym dla niedoświadczonego studenta, który nie wiedział, co to znaczy nie zjeść trzech posiłków dziennie. Obserwował przybyłego niejako wbrew sobie, zastanawiając się, jakim cudem tamten się nie zadławi.

Field wydawał się równie śpiący, co wygłodniały. Głowa mu opadała i przestawał na chwilę poruszać ustami. Marriott musiał go wtedy potrząsać za ramię, aby ocknąwszy się z drzemki, przeżuł i przełknął to, co miał w ustach. Silniejsze emocje wypierały słabsze, lecz ta walka pomiędzy nienasyconym głodem a hipnotyczną mocą kojącego snu stanowiła osobliwy widok dla studenta, który obserwował ją z mieszaniną zdumienia i zaniepokojenia zarazem. Słyszał, że zaspokojenie głodu złaknionych i obserwowanie, jak jedzą, to prawdziwa przyjemność, ale nigdy nie miał okazji tego widzieć i nie spodziewał się, że może to tak wyglądać. Field

jadł jak zwierzę – pożerał, pochłaniał, napychał się. Marriott zapomniał o nauce i nagle poczuł dziwną gulę zalegającą mu w gardle.

– Obawiam się, że nie mam ci już wiele do zaoferowania, stary – wykrztusił, kiedy ostatni placuszek zniknął z talerza i pospieszny, jednostronny posiłek dobiegł końca.

Field wciąż nie odpowiadał, bo nieomal przysypiał na siedząco.

– Wiesz, musisz się teraz trochę przespać – ciągnął Marriott – bo jak widzę, padasz z nóg. Ja nie zmrużę oka do rana, muszę zakuwać do egzaminu. Połóż się na moim łóżku i prześpij. Jutro rano zjemy śniadanie. Zobaczymy, co da się zrobić, coś wymyślę, jestem w tym dobry, pamiętasz przecież... – dorzucił gwoli rozładowania napięcia.

Field, senny, nadal uparcie milczał, ale chyba przystał na tę propozycję, gdyż pozwolił bez oporów, aby gospodarz poprowadził go do sypialni. Marriott po drodze przeprosił tego na wpół zagłodzonego syna baroneta, którego dom wyglądał prawie jak pałac, za skromne warunki, w jakich mógł go ugościć. Znużony gość wszelako nie odezwał się ani słowem. Nie próbował mu dziękować ani się nie skarżył. Oparłszy się na ramieniu przyjaciela, powłócząc nogami, przeczłapał przez pokój, a potem w ubraniu osunął się, skrajnie wyczerpany, na łóżko. W niecałą minutę później już spał, a przynajmniej tak się mogło wydawać.

Marriott stał przez kilka minut w otwartych drzwiach sypialni, obserwując go; w głębi duszy modlił się, aby jego samego nigdy nie spotkał podobny los, po czym jął zastanawiać się, co ma począć ze swym niespodziewanym gościem nazajutrz. Nie dumał jednak nad tym długo, bo musiał wrócić do nauki i niezależnie od wszystkiego za wszelką cenę chciał zdać ten egzamin.

Ponownie zamknąwszy na klucz drzwi do hallu, zasiadł przy biurku, nad podręcznikami i notatkami dotyczącymi *materia medica*, powracając do nauki, przerywanej przez dźwięk dzwonka. Mimo to jeszcze przez pewien czas trudno mu było skupić myśli na nauce. Oczyma duszy wciąż widział wygłodzonego i wycieńczonego przyjaciela, o białym jak kreda obliczu i błędnym wzroku, leżącego w brudnym, zakurzonym ubraniu na łóżku w sypialni obok. Przypomniawszy sobie szkolne czasy, dni spędzone razem, nim przyszło im się rozstać, i to, jak przysięgali sobie nawzajem wieczną przyjaźń – i całą resztę. Co mogło się stać? Jaką gehennę musiał przejść jego przyjaciel? Co sprawiło, że znalazł się w takim stanie?

Wyglądało na to, iż Marriott zapomniał o jednej z obietnic, które wspólnie złożyli. Póki co była zbyt głęboko zagrzebana w jego pamięci, aby zdołał ją stamtąd wydobyć. Przez na wpół otwarte drzwi – z sypialni wychodziło się do salonu i nie było stamtąd innego wyjścia – słychać było głęboki, miarowy szept, odgłos regularnego, równego oddechu zmęczonego chłopaka, znużonego tak bardzo, że usłyszawszy to Marriott poczuł, że i jemu zamykają się już oczy.

– Potrzebował tego – stwierdził głośno – i być może zjawił się tu w ostatniej chwili!

To całkiem możliwe, gdyż na zewnątrz, przez całą długość Forth powiał właśnie porywczy wiatr, a strugi lodowatego deszczu zrosiły chodniki i ulice i zabębniły o szyby. Jeszcze przez dłuższy czas, zanim Marriott zabrał się na dobre do nauki, słyszał dochodzący z sąsiedniego pokoju szept oddechu śpiącego przyjaciela.

W kilka godzin później, kiedy ziewnął i sięgnął po kolejny podręcznik, nadal słyszał ten dźwięk i ostrożnie podkraść się do drzwi, aby zajrzeć do środka.

Zrazu musiał go zmylić panujący w pokoju półmrok, a może zawiodły go oczy, zbyt długo oślepiane blaskiem lampy, przy której się uczył. Przez parę chwil nie dostrzegał niczego prócz ciemnych brył mebli i komódki pod ścianą. Potem stopniowo jego oczom ukazało się łóżko. Na nim zaś jego oczom z wolna ukazał się zarys ciała śpiącego, wyłaniając się z mroku niechętnie, lecz nieuchronnie – długa, czarna postać odcinająca się na tle białej pościeli.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu cisnącego mu się na usta. Field nie poruszył się ani o cal. Przyglądał mu się przez moment, po czym wrócił do książek. Noc była pełna śpiewnych głosów wiatru i deszczu. Nie było słychać odgłosów ruchu ulicznego, turkotu dwukółek przetaczających się po kocich łbach, a na wozy mleczarzy było jeszcze za wcześnie. Uczył się pilnie i sumiennie, przerywając tylko na chwilę, gdy musiał sięgnąć po kolejny podręcznik albo wypić łyk zajzajeru, który miał sprawić, że nie uśnie i zachowa trzeźwość umysłu, w chwilach tych zaś nadal słyszał wyraźnie szept oddechu Fielda dochodzący z sypialni. Na zewnątrz wciąż szalała burza, ale w budynku panował niezmacony spokój. Blask lampy spowijał cały blat biurka zavalony książkami i notatkami, lecz pozostała część pokoju tonęła w ciemnościach. Drzwi do sypialni znajdowały się

dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie siedział. Nic nie przerwało mu nauki, nic nie zmąciło jego spokoju, jeśli nie liczyć gwałtowniejszych podmuchów wiatru, dmącego tak, jakby chciał powybić wszystkie szyby w oknach, i delikatnego, ćmiącego bólu w ramieniu.

Ból, którego źródła nie potrafił określić, raz czy dwa dał mu się solidniej we znaki. To go zaniepokoiło i przez chwilę starał się przypomnieć sobie, gdzie i w jakich okolicznościach mógł się uderzyć, aby zrobić sobie siniaka, lecz jego wysiłki spęły niestety na niczym.

Wreszcie stronice przed nim zmieniły się z żółtych w szare, a na ulicy poniżej rozległ się turkot kół. Była czwarta rano. Marriott odchylił się do tyłu i ziewnął potężnie. Następnie rozsunął zasłony. Burza ucichła, a Castle Rock spowiły opary mgieł. Ziewnął raz jeszcze, odwrócił się od ponurego pejzażu i przygotował się, by przespać pozostałe cztery godziny, do śniadania, na sofie. Field wciąż pochrapywał przez sen, w sąsiednim pokoju, Marriott zaś na paluszkach podreptał do drzwi, aby na niego spojrzeć.

Gdy wychylił się nieśmiało zza uchylonych drzwi, jego wzrok padł na łóżko, widoczne wyraźnie w tym świetle poranka. Wytężył wzrok. I przetaił oczy dłońmi. Ponownie przetaił oczy i bardziej wychylił się zza drzwi. Patrzył z niedowierzaniem, coraz usilniej wytężając wzrok.

To niczego nie zmieniło. Miał przed sobą pusty pokój. Uczucie strachu, który poczuł, gdy po raz pierwszy ujrzał Fielda, powróciło nagle, lecz ze wzmożoną siłą. Uświadomił sobie przy tym, że jego lewe ramię pulsowało tęnym, dojmującym bólem. Wciąż patrzył ze zdumieniem, usiłując zebrać myśli. Drżał od stóp do głów.

Na łóżku, gdzie leżał i spał Field, widać było wgłębienie pozostawione przez ciało. Na poduszce pozostał ślad głowy, a w nogach łóżka dwa bliźniacze wgłębienia po butach. Co więcej, wyraźniej niż kiedykolwiek, zbliżając się do łóżka, usłyszał *oddech* swego przyjaciela! Marriott spróbował się opanować. Z niemałym trudem odzyskał rezon i głośno zawołał przyjaciela po imieniu.

– Field! To ty? Gdzie jesteś?

Odpowiedzi nie było, lecz oddech słychać było nieprzerwanie, dochodził od strony łóżka. Jego głos brzmiał tak obco, że Marriott nie odważył się powtórzyć pytań, ale ukląkł i najpierw zajrzał pod łóżko, a potem zdjął zeń całą pościel, a nawet materac. Dźwięki wciąż się rozlegały,

lecz w sypialni nigdzie nie było widać Fielda, nie było tu także dostatecznie dużej niszy czy wnęki, w której mógłby się on ukryć. Odsunął łóżko od ściany, lecz dźwięk wciąż dochodził z *tego samego miejsca*. Jego źródło nie przemieściło się wraz z łóżkiem.

Marriott, pomimo zmęczenia, gdy tylko odzyskał nad sobą panowanie, zabrał się za dokładne przeszukanie całego pokoju. Zajrzał do szafki, komody, małej niszy, gdzie wisiały ubrania, nie pominął żadnego z miejsc. Jednak po jego przyjacielu nie było śladu. Małe okienko u sufitu było zamknięte, zresztą i tak nie precyzyjnie się tamtędy nic większego od kota. Drzwi do pokoju były zamknięte od wewnątrz, Field nie mógłby tamtędy wyjść. Osobliwe myśli zaczęły mącić umysł Marriotta, wywołując ciąg nieprzyjemnych doznań. Był coraz bardziej przerażony, ponownie przebadał łóżko, skotłowane jak po zaciętej walce, przeszukał oba pokoje, choć wiedział, że to na nic się nie zda, mimo to nie ustawał w wysiłkach. Oblał go zimny pot, a przez cały czas od strony rogu pokoju, gdzie położył się i zasnął Field, wciąż dobiegał regularny szept oddechu.

Zmienił taktykę. Przesunął łóżko do poprzedniej pozycji i położył się na nim, tak jak wcześniej jego przyjaciel. I w tej samej chwili poderwał się jak oparzony. Tuż obok usłyszał ten znajomy dźwięk, szept oddechu, rozlegający się przy jego policzku, pomiędzy nim a ścianą! W tę lukę nie wcisnęłoby się nawet dziecko.

Wrócił do pokoju, otworzył okno, starając się rozważyć na trzeźwo całą tę zagadkową historię. Ludzie, którzy zbyt intensywnie się uczyli i zbyt mało spali, miewali często niesamowite halucynacje. Wiedział o tym doskonale... Raz jeszcze na spokojnie przypomniał sobie szczegóły nocnej wizyty; towarzyszące jej osobliwe doznania, wyraziste wspomnienia, kipiące w nim emocje; ową przeraźliwą ucztę; żadna halucynacja nie mogłaby być aż tak złożona i długotrwała. Równocześnie powrócił myślami do dziwnej słabości, która kilkakrotnie nim owładnęła, i niezwyklej dojmującej zgrozy, jakiej doświadczył raz czy dwa razy w ciągu tej nocy, a potem przypomniał sobie o tajemniczym bólu w ramieniu. Nie wiedział, co było tego powodem. Nie miał pojęcia, co mu się stało.

Co więcej, gdy zaczął analizować i badać całą tę sytuację, doznał nagłego olśnienia, uświadomiwszy sobie, że *przez cały czas Field nie odezwał się ani słowem!* A jednak, gdy tak dumał w poszukiwaniu rozwiązania tajemniczej zagadki, przez cały czas słyszał dochodzące z

sypialni odgłosy regularnego, równego, głębokiego oddechu. To było niesamowite. I absurdalne.

Nękanie wizją wywołanych gorączką halucynacji i szaleństwa, Marriott założył płaszcz i kapelusz i wyszedł z domu. Rzeźkie powietrze powinno sprawić, że rychło przejaśni mu się w głowie; zapach wrzosów, a przede wszystkim widok morza pozwolą mu odzyskać jasność umysłu. Spacerował przez kilka godzin po wilgotnych stokach nad Holyrood i nie wrócił do domu, dopóki na dobre nie otrząsnął się z koszmaru, nabierając chęci na dalsze zmierzanie się z tajemnicą.

Kiedy wszedł do środka, zastał w pokoju młodzieńca, stojącego przy oknie plecami do szyby. Był to jego kolega ze studiów, Greene, który przygotowywał się do tego samego co on egzaminu.

– Zakuwałem ostro całą noc, Marriott – powiedział – i pomyślałem, że zajrzę, aby porównać notatki i wrzucić coś na ząb... Wychodziłeś tak wcześnie? – dorzucił jakby ze zdumieniem. Na co Marriott odparł, że rozboleła go głowa i musiał wybrać się na mały spacer. Greene tylko pokiwał głową i mruknął: – Ach! – A kiedy młoda gospośka postawiła na stole talerz z parującą owsianką i oddaliła się, dodał z wyrzutem: – Nie wiedziałem, Marriott, że masz kumpli, którzy lubią dać sobie w szyję...

Powiedział to dość niepewnie, a Marriott oschłym tonem stwierdził, że także nie zdawał sobie z tego sprawy.

– No cóż, wygląda na to, że w twojej sypialni ktoś właśnie odsypia ciężki, mocno zakrapiany wieczór, nieprawdaż? – ciągnął Greene, wskazując głową na drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, po czym spojrzał z zainteresowaniem na przyjaciela.

Obaj tak przez kilka sekund wymieniali niewzruszone spojrzenia, aż wreszcie Marriott rzucił z przejęciem:

– Dzięki Bogu! A więc ty także to słyszysz!

– Oczywiście, że słyszę. Drzwi są otwarte. Wybacz, jeżeli uznałeś to za coś zdroźnego.

– Bynajmniej. Nic się nie stało – odparł Marriott, zniżając głos. – Ale muszę przyznać, że poczułem wielką ulgę. Pozwól, że wyjaśnię. Naturalnie, skoro ty także to słyszysz, to znaczy, że jest dobrze, choć muszę przyznać, że przeraziło mnie to bardziej, niż potrafię wyrazić słowami. Myślałem, że mam gorączkę, majaczkę, lub coś w tym rodzaju, a wiesz dobrze, jak wiele

zależy od tego egzaminu. Zawsze zaczyna się od dźwięków, wizji lub jakichś upiornych halucynacji, a ja...

– Do kata! – wybuchnął tamten ze zniecierpliwieniem. – O czym ty mówisz?

– Posłuchaj mnie uważnie, Greene – rzekł Marriott możliwie jak najspokojniej, gdyż oddech wciąż był wyraźnie słyszalny – a dowiesz się, o co mi chodzi, tylko mi nie przerywaj.

Następnie zrelacjonował szczegółowo, co wydarzyło się nocą, opowiadając o wszystkim, nawet o swoim obolałym ramieniu; kiedy skończył, wstał od stołu i przeszedł przez pokój.

– Słyszysz ten oddech bardzo wyraźnie, prawda? – zapytał. Na co Greene odparł, że tak. – Wobec tego chodź ze mną i wspólnie przeszukajmy sypialnię.

Jego przyjaciel ze studiów nie podniósł się jednak z krzesła.

– Już tam zaglądałem – odparł nieśmiało – usłyszałem te dźwięki i pomyślałem, że to ty. Drzwi były uchylone, więc wszedłem.

Marriott nie odezwał się słowem, lecz otworzył drzwi na oścież. Gdy się uchyliły, dźwięk stał się jeszcze wyraźniejszy.

– *Ktoś tam musi być* – wyszeptał Greene.

– *Ktoś tam jest, tylko gdzie?* – wycedził Marriott.

Raz jeszcze zaprosił przyjaciela, aby wszedł z nim do pokoju. Jednak Greene odmówił stanowczo, odparł, że już tam był i choć przeszukał sypialnię, nikogo w niej nie znalazł. W tej sytuacji nie zamierzał tam ponownie zaglądać.

Zamknęli drzwi i usiedli w pokoju, by przy fajeczce przedyskutować całą tę sprawę. Greene zadawał przyjacielowi mnóstwo pytań, lecz nie osiągnął żadnych konkretnych rezultatów, gdyż fakty mówiły same za siebie.

– Jedyne, co powinno mieć jakieś jasne, logiczne wyjaśnienie, to moja obolała ręka – rzekł Marriott, pocierając ramię i siląc się na uśmiech. – Boli jak diabli, od przegubu aż po bark. Nie pamiętam, abym się gdzieś uderzył, siniaka też chyba nie ma.

– Pozwól, że obejrzę twoją rękę – powiedział Greene. – Znam się na kościach o niebo lepiej, aniżeli sądzi komisja egzaminacyjna.

Marriott z niekłamaną ulgą zdjął płaszcz i podwinął rękaw.

– Na miły Bóg! – wykrzyknął. – Ja krwawię! Spójrz tylko! Co to ta kiego?

Na przedramieniu, blisko nadgarstka widniała cienka, czerwona linia. Dostrzec można było na niej kropelkę świeżej krwi. Greene podszedł i przez kilka chwil uważnie przyglądał się skaleczeniu. Następnie ponownie usiadł na krześle i z zaciekawieniem utkwiał wzrok w obliczu przyjaciela.

– Skaleczyłeś się bezwiednie – rzekł ze spokojem.

– Nie ma jednak ani śladu siniaka. Ramię musi boleć mnie z jakichś innych powodów...

Marriott siedział w kompletnym bezruchu, wpatrując się w milczeniu w swoją rękę, jakby rozwiązanie tej niezwyklej zagadki było wypisane na jego skórze.

– To co się stało? Ja nie widzę w tym zadrapaniu nic niezwykłego – powiedział Greene, bez większego przekonania w głosie. – Zapewne skaleczyłeś się spinką do mankietów. Wczorajszej nocy, kiedy byłeś wyjątkowo podenerwowany...

Marriott poblady jak ściana rozpaczliwie usiłował wydobyć z siebie głos. Pot zaperlił się na jego czole. Wreszcie wychylił się lekko do przodu i spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

– Spójrz – wyszeptał drżącym głosem. – Widzisz ten czerwony ślad? Mam na myśli tę kreskę pod tym, co nazywasz zadrapaniem?

Greene odparł, że tak, a Marriott delikatnie otarł to miejsce chustką i poprosił go, by przyjrzał mu się uważniej.

– Tak, widzę – odrzekł tamten, unosząc głowę po kilku chwilach uważnego oglądania wskazanego miejsca na przedramieniu przyjaciela. – Wygląda jak stara blizna.

– *To jest* stara blizna – wyszeptał Marriott, jego wargi drżały. – *Teraz* już wszystko rozumiem. Powróciły wspomnienia.

– Wspomnienia? – Greene zaczął wiercić się na krześle. Próbował wybuchać śmiechem, lecz bez powodzenia.

– Ciii! Zamilcz, a wszystko ci opowiem – powiedział. – *Ta blizna jest dziełem Fielda.*

Przez blisko minutę dwaj mężczyźni w milczeniu patrzyli na siebie nawzajem.

– Blizna jest dziełem Fielda! – powtórzył w końcu Marriott, nieco głośniejszym tonem.

– To Field?! Chcesz powiedzieć... ubiegłej nocy?

– Nie, nie zeszłej nocy. Kilka lat temu, kiedy byliśmy jeszcze w prywatnej szkole. Zrobił to swoim nożem. A ja moim nożem naciąłem skórę na jego rękę...

Marriott mówił teraz nieco szybciej, z wyraźnym przejęciem:

– Zawarliśmy pakt, pieczętując go wzajemnie kroplą krwi. Ja uroniłem kroplę krwi na jego ranę, a on kroplę swojej na moją.

– Na miły Bóg, po co?

– Jak już wspominałem, zawarliśmy pakt, braterskie przymierze, uwiecznione naszą krwią. Pamiętam to teraz doskonale. Przeczytaliśmy jakąś straszną książkę i poprzysięgliśmy, że którykolwiek z nas umrze pierwszy, ukaze się temu drugiemu. To właśnie przymierze przypieczętowaliśmy kroplą krwi. Pamiętam to aż nazbyt wyraźnie: gorące, letnie popołudnie, na boisku, siedem lat temu... w pewnej chwili jeden z nauczycieli przyłapał nas i odebrał noże... nie powracałem pamięcią do tamtego wydarzenia aż do dziś...

– Chcesz przez to powiedzieć... – wykrztusił Greene.

Marriott nie odpowiedział. Wstał, przeszedł przez pokój i położył się ciężko na sofie, ukrywając twarz w dłoniach.

Greene także był poruszony. Postanowił nie niepokoić przyjaciela przez kilka chwil, a sam wykorzystał ten czas, aby zastanowić się i raz jeszcze przemyśleć całą tę sprawę. I nagle coś mu przyszło na myśl. To było jak niespodziewane olśnienie. Podszedł do sofy, gdzie Marriott wciąż leżał w bezruchu, i dotknął jego ramienia. Musieli stawić czoła wyzwaniu, niezależnie czy miało ono znaleźć logiczne wytłumaczenie, czy też nie. Rezygnacja była niewskazana. Głupio byłoby się teraz wycofać.

– Wiesz co, Marriott – zaczął, gdy tamten uniósł blade jak płótno oblicze i spojrzał na niego. – Nie ma sensu tak się tym denerwować. No bo, rozumiesz, jeżeli to wszystko jest tylko halucynacją, to wiemy, co powinniśmy z tym zrobić. A jeżeli nie... to wiemy, co o tym wszystkim myśleć, zgadza się?

– Chyba tak. Ale tak czy owak okrutnie mnie to przeraża – odparł niemal szeptem Marriott. – Och, ten nieszczęśnik...

– Cóż... jeśli stało się najgorsze, twój przyjaciel po prostu *musiał* dotrzymać obietnicy... i jak wszystko na to wskazuje, zrobił to, nieprawdaż? Marriott pokiwał głową.

– Zastanawia mnie tylko jedno – ciągnął Greene – czy jesteś abso lutnie pewien, że on tej nocy tak łąpczywie się zjadał... to znaczy chodzi mi o to, czy *on faktycznie coś zjadł, cokolwiek?* – dokończył, wyrzucając z siebie to, co nie dawało mu spokoju.

Marriott patrzył na niego przez chwilę, po czym odparł, że tak, jest tego absolutnie pewien. Mówił cichym, spokojnym tonem. Po wielkim wstrząsie, jaki przeżył, żadne inne, pomniejsze zaskoczenie nie stanowiło już dla niego większego wyzwania.

– Sam poodkładałem naczynia na miejsce – odparł – posprzątałem wszystko po kolacji. Wstawiłem je na trzecią półkę w kredensie. Od tam tej pory nikt ich nie ruszał.

Wskazał ręką kredens, nie podnosząc się z sofy, a Greene podszedł, by zajrzeć do środka.

– Otóż to – powiedział, ujrawszy, co znajdowało się w kredensie – dokładnie tak, jak przypuszczałem. Przynajmniej po części to, czego do świadczyłeś, było halucynacją. Posiłek, który przyrządziłeś, pozostał nie tknięty. Chodź i sam zobacz.

Wspólnie zajrzeli do kredensu. Na półce stały talerze z razowym chlebem, naleśnikami i plackami z mąki jęczmiennej. Wszystko wyglądało tak jak w chwili, gdy postawił je na stole. Było po prostu nie tknięte. Nawet szklaneczka whisky, napełniona przez Marriotta, była nienaruszona.

– Nikogo nie nakarmiłeś – mówił Greene – Field nic nie zjadł ani nie wypił. W ogóle go tu nie było!

– Aten oddech? – spytał Marriott, zniżając głos i patrząc na kolegę z wyrazem zdumienia i oszołomienia na twarzy.

Greene nie odpowiedział. Ruszył w stronę sypialni, podczas gdy Marriott odprowadzał go wzrokiem. Otworzył oczy i przez chwilę nasłuchiwał. Nie musiał nic mówić. W powietrzu rozeszły się wyraźne, donośne dźwięki, przywodzące na myśl szept regularnego, głębokiego oddechu. Przynajmniej tego nie sposób było określić mianem halucynacji. Marriott słyszał ten oddech nawet z drugiego końca pokoju.

Greene zamknął drzwi i podszedł do niego. – Możesz uczynić tylko jedno – oznajmił zdecydowanym tonem. – Napisz do domu i dowiedz się, co z twoim przyjacielem, a tymczasem zapraszam cię do swojego pokoju. Będiesz mógł tam uczyć się dalej bez żadnych przeszkód. Mam drugie, wolne łóżko.

– Dzięki! – powiedział Marriott – co jak co, ale ten egzamin stano wi dla mnie smutną i złowrogą rzeczywistość. Muszę uczynić wszystko, aby go zdać. Powiniennem się solidnie przyłożyć.

I jak uradzili, tak też się stało.

W tydzień później Marriott otrzymał od siostry odpowiedź na swój list. Fragmenty przeczytał Greenowi: – To nad wyraz osobliwe – napisała – że w swoim liście zapytujesz o Fielda. To straszne, ale zgoła niedawno cierpliwość sir Johna całkiem się wyczerpała i wyrzucił Fielda z domu, jak powiadają, bez grosza przy duszy. Jak ci się zdaje, co się z nim stało? Otóż Field zabił się. A w każdym razie wyglądało to na samobójstwo. Zamiast opuścić dom rodzinny, zszedł do piwnicy i po prostu zagłodził się na śmierć... Rzecz jasna rodzina stara się zatuszować całą tę sprawę, ale dowiedziałam się tego od mojej służącej, która z kolei usłyszała to i owo od ich lokaja... Ciało odnaleziono czternastego, lekarz zaś stwierdził, że zgon musiał nastąpić dwanaście godzin wcześniej... Był przeraźliwie wychudzony...

– Zatem umarł trzynastego – powiedział Greene. Marriott pokiwał głową.

– Właśnie tej nocy, kiedy cię odwiedził. Marriott ponownie skinął głową.

Max Hensig

(Max Hensig)

Oprócz felietonistów z nowojorskiego *Vulture* na miejscu było jeszcze około dwudziestu innych dziennikarzy, toteż Williams musiał przeciskać się, chcąc znaleźć się w pierwszym rzędzie, bo poza dokładnością i starannością jego artykuły cechowała szczególna doza wyobraźni i humoru, sprawiająca iż wykraczały one poza miano zwykłych relacji z opisywanych zdarzeń. Co więcej, naczelny docenił ten jego dar i zawsze starał się przydzielać mu zadania, które pozwoliłyby zabłysnąć zarówno jemu, jak i gazecie, spodziewał się więc, że nie będzie musiał odwalać chałtury zarezerwowanej zwykle dla młodych pracowników redakcji.

Nic więc dziwnego, że zdumiał się i przeżył wielkie rozczarowanie, gdy któregoś dnia ujrzał, jak jego młodszy kolega po fachu są wzywani do naczelnego, by otrzymać najlepsze zlecenia dnia, kiedy zaś nadeszła jego kolej, a szef poprosił go, by zajął się sprawą Hensiga. Na jego twarzy pojawił się wyraz dezorientacji i wahania; mało brakowało, a w przyпіływie konsternacji zapytałby, co to w ogóle za sprawa. Jego obowiązkiem bowiem, podobnie jak wszystkich dziennikarzy piszących do porannych wydań gazet – przynajmniej w Nowym Jorku – było znać wszelkie nowinki dnia jeszcze przed przybyciem do redakcji i choć Williams przestrzegał tej reguły, nie przypominał sobie ani tego nazwiska, ani nie kojarzył, o jaką sprawę chodziło.

– Maksimum sto, sto pięćdziesiąt słów, panie Williams. Proszę napisać dokładną relację z przebiegu procesu i z tego, czego zdoła pan dowiedzieć się od Hensiga i jego mecenasów. Dopóki proces się nie zakończy, nie będzie pan zajmował się innymi tematami.

Williams miał już zapytać, czy był jakiś poufny cynk z biura prokuratora okręgowego, lecz naczelny wdał się tymczasem w rozmowę z Weeksem, który odpowiadał za codzienną kolumnę z prognozą pogody, toteż wolno wrócił do swego biurka, zasmucony i rozczarowany, by nadrobić zaległości dotyczące sprawy Hensiga i opracować plany na cały dzień.

Tak czy owak, skonstatował, sprawa wyglądała na łatwiznę, a skoro nie otrzyma na ten wieczór kolejnego zadania, oznaczało to, że o ósmej powinien już mieć wolne. Wreszcie będzie mógł zjeść kolację i przespać się jak normalny człowiek.

To było coś.

Zabrało mu trochę czasu odkrycie, że w sprawie Hensiga chodziło o zabójstwo. To jedynie wzmogło jego zdegustowanie. Relacje dotyczące tej sprawy znajdowały się na dalszych stronach gazet, upchnięte wśród artykułów o niewielkim, żeby nie powiedzieć wątpliwym znaczeniu. Proces o zabójstwo nie jest tematem z pierwszych stron gazet, o ile nie wiążą się z nim szczególne okoliczności; sam Williams prześledził ich dziesiątki. Były do siebie tak bardzo podobne, że trudno było zrelacjonować je w interesujący sposób. Z reguły zajmowali się nimi pracownicy agencji prasowych, żadna z gazet nie wysyłała swoich dziennikarzy, o ile sprawa nie została z tych lub innych powodów uznana za niezwykłą. Sto–sto pięćdziesiąt słów oznaczało półtorej kolumny, Williams zaś, który nie zarabiał od wierszówki i otrzymywał tę samą kwotę, czy spłodził krótki artykuł, czy materiał na całą stronę, poczuł się z tego powodu podwójnie rozdrażniony. W minorowym nastroju, ciężko wzdychając i przeklinając swój nużący fach, pomaszerował zalanym słońcem chodnikiem naprzeciwko gmachu, gdzie mieściła się redakcja jego gazety.

Max Hensig, jak się okazało, był niemieckim lekarzem, oskarżonym o zamordowanie swojej drugiej żony przez wstrzyknięcie jej arszeniku. Kobieta od kilku tygodni spoczywała w grobie, gdy podejrzliwi krewni doprowadzili w końcu do ekshumacji jej zwłok, a przeprowadzone badania wykazały w ciele obecność trucizny. Williams przypomniał sobie coś, co

więzało się z aresztowaniem doktora, ale nie zainteresował się bliżej tą sprawą; relacjonowanie zwykłych procesów o zabójstwo nie zaliczało się już do jego obowiązków i nie poświęcał im większej uwagi. Początkowo, rzecz jasna, był nimi bardzo zaaferowany, a niektóre z przeprowadzonych przezeń wywiadów z więźniami, zwłaszcza tymi z celi śmierci, zapadły mu głęboko w pamięć i nocami przyprawiały go o bezsenność. Nawet teraz nie był w stanie wejść do mrocznego więzienia Tombs ani przekroczyć tamtejszego mostu westchnień wiodącego do gmachu sądu, aby nie poczuć na całym ciele gęsiej skórki, zaś otaczające go egipskie kolumny i masywne ściany wzbudzały w nim nieprzyjemne uczucie klaustrofobii; miał wrażenie, jakby się dusił. Gdy po raz pierwszy przechodził przez korytarze bloku straceń i jego oczom ukazały się kolejne cele, poczuł w ustach dziwną suchość i nieomal miał ochotę odwrócić się i wybiec z budynku. Gdy był tam wtedy, aby napisać artykuł o procesie pewnego Murzyna, i wysłuchał historycznej mowy oskarżonego, zanim ogłoszono wyrok, był do głębi przejęty tą sprawą, a serce w jego piersi biło przyspieszonym rytmem. Szaleńcze inwokacje do Bóstwa, długie, pełne uniesienia przemowy, wymyślne słownictwo, blade pomimo czarnego odcienia skóry i wywracanie oczami, to wszystko wydawało mu się zbyt obrazowe, by mogło zostać obrócone w słowa i przelane na papier. Koniec końców jego artykuł został srodze okrojony, całość podbudowano relacją sporządzoną przez pracownika agencji prasowej, a sam Williams rozumiał, jaka jest różnica pomiędzy wyznawanymi przez niego standardami a tym, czego oczekiwali czytelnicy prasy bulwarowej. Zrelacjonował proces Chińczyka, który był nieugięty jak skała, Włocha, nazbyt porywczego i skłonnego do użycia noża, oraz pewnej dziewczyny ze wsi, która zamordowała rodziców, gdy spali, wchodząc do ich sypialni całkiem nago, aby nie zdradziły jej plamy krwi na ubraniu; z początku te rzeczy całymi dniami nie dawały mu spokoju.

To było jednak wiele miesięcy temu, gdy po raz pierwszy przybył do Nowego Jorku. Od tej pory regularnie zajmował się sprawami kryminalnymi i wyrobił w sobie do pewnego stopnia odporność na ludzką tragedię. Egzekucje na krześle elektrycznym w Sing–Sing wciąż budziły w nim silne emocje, ale byle zabójstwem ani trochę się już nie przejmował i wiadomo było, że z każdej wyprawy napisze rzetelny, bezosobowy, konkretny artykuł.

Dlatego też, gdy ponownie zjawił się w więzieniu Tombs, nie czuł nic poza gęsią skórką, którą wywoływała w nim obecność w tym posępnym budynku; więzień, z którym miał przeprowadzić wywiad, był mu całkiem obojętny. Dotarł właśnie do drugich żelaznych drzwi, gdzie strażnik przyjrzał mu się przez niewielkie, okratowane okienko, kiedy usłyszał za sobą czyjś głos, a gdy się odwrócił, ujrzał depreczącego mu po piętach dziennikarza z *Chronicie*.

– A, to ty, Senator! Witaj! Co cię tu sprowadza? – zawołał do niego, tamten bowiem nie pisywał drobnych artykułów i nigdy nie przeznaczano dla niego mniej niż kolumny na pierwszej stronie *Chronicie*.

– Podejrzewam, że to samo co ciebie... Hensig – padła odpowiedź.

– Przecież Hensig to nie temat na pierwszą stronę – rzekł Williams ze zdumieniem. – Znów wróciłeś na etat?

– Bynajmniej – zaśmiał się Senator. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, wszyscy nazywali go Senatorem. – Ale Hensig zasługuje co najmniej na dwie setki. Ma na swoim koncie sporą liczbę zabójstw i o ile mi wiadomo, dopiero teraz po raz pierwszy przedstawiono mu konkretne zarzuty. Nigdy wcześniej go nie przyłapano.

– To ta trucizna?

Senator w odpowiedzi pokiwał głową i odwrócił się, by zadać strażnikowi pytanie w związku z jakąś inną sprawą, i Williams czekał na niego w korytarzu, coraz bardziej zniecierpliwiony, bo mierzła go ta piźmowa, więzienna woń. Patrzył na rozmawiającego Senatora, a w głębi duszy cieszył się, że tamten się zjawił. Byli dobrymi przyjaciółmi, pomagał Williamsowi, gdy ten dołączył do niewielkiej armii dziennikarzy, a jako Anglika, nie powitano go z otwartymi ramionami. Pospolite pochodzenie i życzliwość odmalowywały się wyraziście na jego twarzy. Williamsowi Senator zawsze kojarzył się z przyjaznym, uczciwym koniem pociągowym, solidnym, twardym, kierującym się prostymi, silnymi emocjami.

– Pospiesz się, Senator – rzucił w końcu ze zniecierpliwieniem.

I zaraz też obaj dziennikarze podążyli za strażnikiem przez wyłożony kamiennymi płytami korytarz, minęli rząd ciemnych cel, wszystkie zajęte, aż w końcu klawisz zatrzymał się i machnął ręką, w której trzymał klucze, wskazując kierunek, ze słowami: – Tam jest ten dżentelmen. – Po czym oddalił się w głąb korytarza, pozostawiając ich, wpatrujących się przez kraty w wysokiego, szczupłego, młodego mężczyznę kręcącego się w tę i z

powrotem. Miał włosy jak len, bardzo jasne, niebieskie oczy, białą skórę, a na jego twarzy widniał tak szczerzy i niewinny grymas, że nie sposób było pomyśleć, iż człowiek ten mógłby skrzywdzić choćby muchę.

– Jesteśmy z *Chronicle* i *Vulture* – wyjaśnił Williams gwoli wstęp nego wyjaśnienia i od razu obaj dziennikarze przeszli do rzeczy.

Mężczyzna w celi przestał krążyć w tę i z powrotem i stanął przy kracie, aby przyjrzeć się swoim gościom. Spojrzał Williamsowi w oczy, a reporter dostrzegł całkiem inny wyraz malujący się na jego obliczu, odmienny od tego, który zaobserwował w pierwszej chwili. To sprawiło, że cofnął się o krok i stanął nieco z boku. Zrobił to zgoła instynktownie. Nie potrafił wytłumaczyć, co go do tego skłoniło.

– Sądzę, że liczyacie, panowie, że powiem, że to ja zrobiłem, a potem wyjaśnię, jak tego dokonałem – rzucił chłodnym tonem młody lekarz, z silnym niemieckim akcentem. – Ale niesztety, nie mogę wam pomóc. Na procesie przekonacie się, że to wszystko to nieuzasadnione oszczerstwa i kalumnie rzucone na mnie przez żądną kobietę. Kochałem moją żonę. Za nic w świecie nie zrobiłbym jej nic złego.

– Oczywiście, oczywiście, doktorze Hensig – wtrącił Senator, który miał większą wprawę w prowadzeniu trudnych wywiadów. – W pełni to rozumiemy. Jednak, rozumie pan, w Nowym Jorku gazety osądzają ludzi równie surowo jak sądy, pomyśleliśmy przeto, że chciałby pan wydać oficjalne publiczne oświadczenie, które naturalnie chętnie opublikujemy. To mogłoby panu bardzo pomóc...

– W tym cholernym kraju, gdzie sprawiedliwoszcz kupuje się za dolary, nicz mi nie może pomóc! – zawołał więzień w nagłym przypływie gniewu, a wyraz jego twarzy zmienił się jeszcze bardziej – potrzeba do tego pieniędzy! Mnóstwa pieniędzy! Ale powiem wam dwie rzeczy, które możecie opublikować na łamach swoich pism. Po pierwsze, temu mordersztwu brak jest motywu, bo przecież kochałem moją Zinkę i chciałem, aby żyła wiecznie. A po drugie... – przerwał na chwilę i spojrzał na Williamsa, który pospiesznie sporządzał stenograficzne notatki – z uwagi na moją bardzo rozległą wiedzę z dziedziny znajomości trucizn i bakteriologii, mógłbym, gdybym chciał, zrobić to na tuzin różnych sposobów; nie posunąłbym się do spryczowania jej arsenikiem. To idiotyczny sposób aby kogoś zabić. Jest nieudolny, dziecinny i łatwy do wykrycia! Rozumiecie?

Odwrócił się, jakby dając w ten sposób do zrozumienia, że uważa wywiad za zakończony, po czym usiadł na drewnianej prycy.

– Chyba cię polubił – zaśmiał się Senator, gdy udali się na rozmowę z prawnikami. – Na mnie nie spojrział ani razu.

– W jego obliczu jest... coś złego. To oblicze Szatana. Nie poczytuję sobie tego, co powiedziałaś, za komplement – rzucił krótko Williams. – Wolałbym nie znaleźć się w jego mocy.

– Jestem tego samego zdania – odparł tamten. – Chodźmy przepłukać gardło po tym niezbyt przyjemnym spotkaniu, do „Srebrnego Dolara”.

Tak oto, zgodnie z reporterskim zwyczajem, udali się na Bowery i weszli do knajpy cieszącej się w całym mieście dość sporą sławą, głównie dlatego, że właściciel przybytku, ogólnie szemrana postać, nakazał, aby w każdą z płyt posadzki wprawić srebrną dolarówkę.

Tu właśnie przepłukali gardło po emocjonującym, więziennym spotkaniu, po czym udali się do baru Steve’a Brodiego, mieszczącego się nieco dalej przy tej samej ulicy.

– Będą tam też inni – rzekł Senator, mając na myśli reporterów, co nieodłącznie wiązało się z piciem, a Williams, w głębi duszy wciąż rozmyślając o niedawnym wywiadzie, tylko pokiwał głową.

Lokal Brodiego cieszył się dość dużą popularnością, tu zawsze się coś działo. Podobno sam Brodie skoczył kiedyś do rzeki z mostu brooklyńskiego i przeżył. Nikt temu nie zaprzeczał, ale też nie mógł tego potwierdzić; tak czy owak Brodiemu nie brakowało wyobraźni i charyzmy, aby podtrzymywać swoją legendę i w oparciu o nią serwować klientom najpodlejsze alkohole. Na ścianach lokalu wisiały obrazy olejne przedstawiające most, ukazany z lotu ptaka, ze skaczącym zeń Steve’em, na twarzy którego malował się wyraz głębokiego zadowolenia.

Tak jak się tego spodziewali, zastali tu Białasa Fife’a z *Reportera* i Galuszę Owena z *Worlda*. Białas, jak wskazywała na to jego ksywka, był albinosem, i to w dodatku całkiem bystrym. Pisywał do gazety, do rubryki o pogodzie, a to, w jaki sposób prezentował w niej zapowiedzi nieuchronnych ulew, wichur i zmian temperatury, stanowiło przedmiot zazdrości wszystkich, oprócz szefa działu meteo – Wicherka, któremu nie spodobало się, gdy nazwano go „wsiowym mędrkiem, co to wie, że nadchodzi zmiana pogody, dopiero jak strzyka go w kolanie”, a jego szacowne biuro określono mianem „zapuszczonej wiejskiej farmy”. Czytelnikom jednak to

się podobało i śmieli się do rozpuku, choć Białas nigdy nie był tak naprawdę uszczypliwy.

Owen, kiedy był trzeźwy, był całkiem porządnym facetem, który już dawno temu przekroczył Rubikon drobnych, pokątnych zleceń. Jak się okazało, obaj ci mężczyźni zajmowali się obecnie sprawą Hensiga. Williams, który zdążył już zapalać do niej szczerą niechęcią, przyjął tę informację bez entuzjazmu, oznaczało to bowiem kolejne przesłuchania i dalsze ograniczenie jego twórczej wyobraźni. Najwyraźniej przyjdzie mu się jeszcze parę razy spotkać z niemieckim doktorkiem.

Nawet teraz, na tym etapie, zaczął go nienawidzić.

Reporterzy przez dobrą godzinę pili i rozmawiali we czwórkę. Aż zaczęli wspominać, kiedy to po raz ostatni mieli okazję pracować nad jedną sprawą – chodziło o prywatny zakład dla obłąkanych prowadzony przez niekompetentnego psychiatrę bez licencji, gdzie większość pacjentów wcale nie była szalona; zostali tam umieszczeni przez krewnych, którzy z tych czy z innych powodów chcieli się ich pozbyć. Utracili rozum dopiero podczas pobytu w zakładzie. Szpital został otoczony przed świtem przez funkcjonariuszy ministerstwa zdrowia, a fałszywy doktor aresztowany, kiedy tylko otworzył frontowe drzwi budynku. To był rzecz jasna wyborny temat, prawdziwa bomba.

– Moje rachunki sięgały sześćdziesięciu dolarów dziennie i to prawie przez tydzień – powiedział bełkotliwym głosem Białas Fife, a pozostali wybuchnęli śmiechem, ponieważ Białas większość swoich relacji przygotowywał na bazie artykułów pojawiających się w prasie wieczornej.

– Dobrze – rzucił Galusha Owen, brudny, flanelowy kołnierzyk wyłaniający się spomiędzy jego długich włosów sięgał mu prawie do uszu. – Ja drugiego dnia odwaliłem lepszy numer. Wszystko napisałem z sufitu, w ogóle tam nie poszedłem!

Po raz dziesiąty tego ranka wzniosł toast za zdrowie Białasa, zaś albinos wyszczerzył się do niego z drugiego końca stolika, po czym skomplementowawszy kolegę po fachu, przepił do niego.

– Sprawa Hensiga też będzie niezła – wtrącił Senator, zamawiając gin-fizy, drinki z dżinu, wody sodowej i cytryny, a Williams drgnął nerwowo, ponownie usłyszawszy to nazwisko. – Jego proces to będzie coś. Nigdy jeszcze nie widziałem bardziej opanowanego faceta. Powinniście usłyszeć go, jak mówi o truciznach i bakteriologii, chełpiąc się, że mógłby zabić

człowieka na tuzin różnych sposobów, nie obawiając się, że zostanie złapany. Mam wrażenie, że ten gość nie żartuje!

– Poważnie? – rzucili jednocześnie Galusha i Białas. Jak dotąd żaden z nich nie zainteresował się bliżej tą sprawą.

– No to do Tombs, zwywiadujemy go – rzucił bełkotliwie Białas, zwracając się do swego towarzysza i nie próbując nawet ukrywać swego entuzjazmu. Jego białe brwi i różowe oczy odcinały się wyraźnie na tle zaróżowionego od alkoholu, bladego oblicza.

– Nie, nie – zawołał Senator – nie marnuj dobrego tematu. Obaj jesteście urzędnicy w trupa. Ja i Williams zagramy w orła i reszkę, który z nas tam pójdzie. Hensig już nas zna, a my nie zamierzamy zatajać niczego, co nam powie. Podzielimy się z wami materiałem.

Postanowili tak współpracować do czasu zakończenia procesu i dzielić się wzajemnie zdobywanymi informacjami. Williams, który przegrał w grze w orła i reszkę, jednym łykiem opróżnił swego drinka i wrócił do

Tombs, aby podjąć przerwana rozmowę z więźniem i dowiedzieć się od niego czegoś więcej na temat trucizn i bakteriologii. Myśłami jednak Williams błędził gdzieś indziej. Nie brał czynnego udziału w hałaśliwej dyskusji w barze, ponieważ coś przez cały czas nie dawało mu spokoju, on zaś nie potrafił stwierdzić, co to było. Coś zagnieździło się w jego podświadomości, przepełniając go bliżej niesprecyzowanym niepokojem, który z wolna przeradzał się w dojmującą trwogę, sięgającą pod skorupę nieczułości, jaką się otoczył.

Kiedy tak szedł powoli przez cuchnące, brudne uliczki pomiędzy Bowery a Tombs, omijając naganiaczy stojących pod żydowskimi sklepikami i pojadając orzeszki, które nabył od Włocha prowadzącego środkiem ulicy niewielki wózek z łakociami, owo coś niespodziewanie wyłoniło się z otchłani jego umysłu i zaczęło zalewać jego mózg falą zatrwających i zdawałoby się wręcz absurdalnych myśli.

Stopniowo te bezładne myśli nabierały kształtu, jak kiełkująca roślina wydobywająca się spod ziemi na powierzchnię, a kiedy ujrział ją w pełnej okazałości, przeraził się nie na żarty.

Miał oto bowiem przed sobą twarz jasnowłosego doktora Maxa Hensiga, chłodną, uśmiechniętą i niewzruszoną.

Jakimś trafem spodziewał się, że to będzie właśnie Hensig, że to właśnie jego dotyczyła dręcząca go myśl. Nie zdziwił się zbytnio, gdy to

sobie uświadomił, ponieważ osobowość tamtego od samego początku wywarła na niego silny, negatywny wpływ. Przystanął nerwowo na środku chodnika i rozejrzał się wokoło. Nie spodziewał się ujrzeć niczego niezwykłego ani stwierdzić, że był śledzony. Nie o to chodziło. To, że się odwrócił, stanowiło fizyczny wyraz odczuwanego przezeń psychicznego dyskomfortu; ktoś, kto ma nerwy ze stali albo jest bardziej opanowany, w ogóle by się nie odwrócił.

Co go tak zdenerwowało? Williams zaczął poszukiwać w sobie odpowiedzi. Miał wrażenie, że pochodziła ona z tej części jego wnętrza, której nie rozumiał, a która tak brutalnie wdała się w jego świadomość. Informacje płynące z tego obszaru zawsze dawały mu do myślenia. W tym przypadku Williams nie pojmował, dlaczego osoba doktora Hensiga miałyby wzbudzić w nim szczególny niepokój – bądź co bądź ten jasnowłosy młodzieniec o niebieskich oczach i sumiastych wąsach wcale nie wyglądał groźnie. Twarze innych morderców nękały go niejednokrotnie w snach, bo zdawały się otwarcie emanować złem i szpetotą. Z Hensigiem było nieco inaczej, a w każdym razie on, Williams, póki co nie potrafił go rozgryźć. Tamten coś skrywał, ale dziennikarz jak na razie nie umiał do tego się dobrać. Nie istniały też wyraźne przyczyny mogące tłumaczyć emocje, jakie nim owładnęły. Na pewno nie wiązało się to li tylko z faktem, że Hensig był mordercą, gdyż to akurat nie wzbudzało w nim żadnych silniejszych doznań, może z wyjątkiem współczucia i zadumy nad tym, w jaki sposób człowiek ten uda się na spotkanie z katem. Musiało to raczej wiązać się z jego *osobowością*, a nie z jego wyglądem czy przypisywanymi mu czynami.

Zdezorientowany i wciąż odrobinę zdenerwowany stał na ulicy, nie wiedząc, co ma robić dalej. W oddali przed nim majaczyły ciemne, granitowe mury więzienia Tombs. Powyżej, po ciemnobłękitnym niebie przepływały białe, letnie chmury. Wiatr podśpiewywał radośnie wśród kominów i drutów, przywodząc mu na myśl wiejskie pola, łąki i lasy. W głębi ulicy, jak zawsze o tej porze roiło się od roześmianych Włochów, posępnych Murzynów, Żydów szwargoczących w języku jidysz, muskularnych osiłków, sunących energicznym, kołyszącym krokiem, typowym dla żądnych zaczepki chuliganów, Chińczyków drepczących małymi kroczkami i całego mnóstwa innych barwnych postaci, jakie tylko można sobie wyobrazić. Był początek czerwca, w powietrzu czuć było

słabą woń morza i morskich plaż. Williams zadrżał leciutko, rozkosznie na widok tego cudownego nieba i aromatu, który wdarł się do jego nozdrzy.

Zaraz potem znów spojrzął w stronę olbrzymiego więzienia, nazwa Tombs – Grobowce – była w tym przypadku jak najbardziej adekwatna, a ta nagła zmiana, gdy w jego myślach miejsce pól i łąk zajęły cele, a miejsce życia zajęła śmierć, sprawiła, że w jednej chwili, niespodziewanie zrozumiał, co wywoływało w nim tak silne zdenerwowanie i niepokój.

Hensig nie był zwykłym mordercą! Otóż to. Było w nim coś niezwykłego. Ten człowiek był uosobieniem zgrozy, ucieleśnieniem najgorszych z możliwych koszmarów, potworem, który nie miał prawa zaliczać siebie w poczet istot ludzkich. Ta myśl była dla niego niczym objawienie, co więcej, przyjął ją bez większych oporów. Coś nieokreślonego utwierdziło go tylko w tym przekonaniu. Poczł to podczas ich pierwszego spotkania. To coś ujawniło się przed nim, lecz nie objawiło mu się w pełni i od tej pory zatruwało jego organizm jak krążąca we krwi, wolno działająca trucizna, wywołując w nim dziwne odczucia. Miał w głowie mętlik, bo jego organizm nie chciał zasymilować tego czegoś. Osoba bardziej zdecydowana, o silniejszym temperamencie uporałaby się z tym znacznie szybciej.

Williams zdawał sobie sprawę, że za dużo pił i przeżył więcej niż tylko przelotną znajomość z narkotykami, a co za tym idzie, nerwy miał w strzępach. Praca w redakcji nie pozwalała mu utrzymywać kontaktu ze zdrową częścią społeczeństwa, lecz stale i wciąż sprawiała, że musiał stykać się z różnymi szumowinami – przestępcami, szaleńcami, wyrzutkami, innymi słowy z ciemną stroną ludzkiej natury. Wiedział przy tym, że na takiej glebie nader ochoczo wyrastały najdziwniejsze myśli, *idee-~~ftxe~~* i manie; tak więc, aby się przed tym ustrzec, wyrobił w sobie pewien nawyk – dość szczególny, nawet jak dla niego, raz w tygodniu, celowo i rozmyślnie oczyszczał umysł z tego, co nieodparcie wiązało się z jego brudną, przeraźliwą pracą. Swój umowny dzień świąteczny spędzał nieodmiennie w lesie, spacerując, siedząc przy ognisku, przyrządzając posiłki na świeżym powietrzu, napawając się pięknem przyrody i po prostu odpoczywając. Ćwiczył też na tyle, na ile był w stanie. Tym oto sposobem uwalniał umysł od mnóstwa nieprzyjemnych obrazów, które w przeciwnym razie zagnieździłyby się w nim na stałe, a nawyk oczyszczenia myśli z

negatywnych wizji i emocji niejednokrotnie okazał się dlań wyjątkowo pożyteczny.

Dlatego też teraz zaśmiał się pod nosem i zabrał za robienie mentalnych porządków, starając się zapomnieć o pierwszym wrażeniu, jakie wywołał w nim Hensig, i najzwyczajniej w świecie ruszył na spotkanie przeznaczenia, tak jak to czynił setki razy, gdy udawał się do więzienia, by przeprowadzić zwyczajny wywiad ze zwykłym więźniem. Ów nawyk, polegający w znacznej mierze na autosugestii, tym razem nie spełnił do końca pokładanych w nim oczekiwań. Stało się tak dlatego, że strach jest o wiele mniej podatny na siłę sugestii.

Williams przeprowadził wywiad i zakończył go, czując, jak ogarnia go zgroza. Hensig okazał się dokładnie taki, jak się tego spodziewał, a nawet gorzej. Zdaniem dziennikarza zaliczał się do tego rzadkiego rodzaju zabójców mordujących z zimną krwią i w ściśle przemyślany sposób, popełniających swoje zbrodnie, ponieważ to lubią, pływających się w osiąganey dzięki nim rozkoszy i wkładających cały zasób swego intelektualnego potencjału na staranne obmyślanie wszystkich szczegółów; chlubiących się tym, że nie można im było niczego udowodnić, a w przypadku schwytania cieszących się sławą i popularnością równą nieomal gwiazdom filmowym. Z początku odpowiadał z wahaniem, kiedy jednak Williams zaczął zadawać roztropne, inteligentne pytania, młody lekarz rozluźnił się i nabrał nieco więcej entuzjazmu – oczywiście w typowy dla niego, chłodny, skalkulowany sposób – aż w końcu zaczął prowadzić swoisty monolog, niczym wykładowca, krążąc w tę i z powrotem po celi, żywo gestykulując i wyjaśniając z powalającą szczerością, jak łatwo jest popełnić morderstwo człowiekowi, który znał się na swoim fachu.

A tego nie można mu było odmówić! Żaden człowiek w dobie dociekliwych śledztw w sprawie określenia przyczyny zgonu i sekcji zwłok nie naszprycowałby swojej ofiary trucizną, którą można byłoby w jej ciele wykryć wiele tygodni po pogrzebie. Żaden człowiek, który wiedział o tym fachu tyle co on, nie popełniłby tak kardynalnego błędu!

– Cóż może bycz prostsze – rzekł, zaciskając długie, białe palce na prętach kraty i patrząc reporterowi prosto w oczy – niż użyczyć zabójczej bakterii, czy to tyfusu, czumy czy jakiejś innej groźnej choroby, a potem na jej bazie wyizolować szczep tak zabójczej bakterii, że nikt na świecie, żaden lekarz nie byłby w stanie stworzyć na nią przeciwciał – a potem

zadrasznąc skórę ofiary do krwi czymś osztrym, dajmy na to szpilką? Kto po czymś takim domyśliłby się, że miałeś z tym coś wspólnego, a tym bardziej mógłby oskarżyc cie o morderstwo?

Patrząc i słuchając jego słów, Williams cieszył się, że od lekarza dzieliły go grube kraty, ale i tak poczuł bijącą zeń złowrogą aurę, która otuliła jego serce niczym niewidzialne, zaciskające się bezlitosne, lodowate palce. Miał do czynienia z najgroźniejszymi zbrodniami, przeprowadzał wywiady z dziesiątkami mężczyzn, którzy czy to z zazdrości, chciwości, pasji czy jakichkolwiek innych zrozumiałych emocji odebrali komuś życie, a teraz płacili za to słoną karę. Rozumiał to. Każdy osobnik przejawiający gwałtowniejsze pasje był potencjalnym zabójcą. Nigdy wcześniej jednak nie spotkał człowieka, który z zimną krwią, rozmyślnie, nie poddając się żadnym innym doznaniom poza, być może, znudzeniem, był gotów odebrać drugiemu życie i co więcej, chełpił się tym, iż był w stanie tego dokonać. Najgorsze było to, że Williams czuł, iż Hensig faktycznie to zrobił, zdradzały to mroczne aluzje i sugestie zawarte w jego buńczucznych słowach i stwierdzeniach. Dziennikarz miał tu do czynienia z czymś, co nie zasługiwało na miano istoty ludzkiej, czymś potwornym, niewyobrażalnym, co wzbudzało w nim nieopisaną zgrozę. Czuł, że ten młody lekarz był ucieleśnieniem zła, diabłem w ludzkiej skórze, człowiekiem, dla którego życie ludzkie znaczyło mniej niż zeszłoroczny śnieg i który był w stanie zabić bez mrugnięcia powieką, na zimno, bez odrobiny wahania, jakby przeprowadzał prostą operację w szpitalu.

Tym samym reporter opuszczał więzienne mury z całkiem nowymi, zaskakującymi przemyśleniami, choć wnioski, do jakich doszedł, oraz sposób, w jaki tego dokonał, póki co były dla niego zbyt trudne do ogarnięcia. Tym razem mentalne oczyszczenie nie powiodło się. Groza pozostała w jego umyśle.

Wychodząc na ulicę, natknął się na funkcjonariusza Dowlinga z Dziewiątego Posterunku, z którym zaprzyjaźnił się od dnia, kiedy spłodził nad wyraz pochlebny artykuł o tym, jak wspomniany policjant, który nota bene był podówczas pijany w sztok i o mało nie zawałił całej sprawy – pochwycił był i zatrzymał (z ogromnym trudem) złodzieja sklepowego. Policjant nigdy nie zapomniał wyświadczonej mu przysługi, dzięki temu artykułowi otrzymał awans na detektywa i zawsze był gotów podzielić się z reporterem ważnymi informacjami – o ile je tylko posiadał.

– Masz dziś dla mnie coś ciekawego? – zapytał z przyzwyczajenia.

– Pewno, że tak – odparł irlandzki glina o rumianym obliczu. – To prawdziwa bomba. Ja zapuszkowałem Hensiga!

Dowling mówił z dumą i przejęciem. Był tym bardziej zadowolony, że jego nazwisko miało z tej okazji pojawiać się w gazecie przez kolejny tydzień, a może nawet dłużej, a duży proces i duża sprawa oznaczały dla niego szansę na kolejny awans.

Williams zaklął w myślach. Najwyraźniej przed Hensigiem nie było dla niego ucieczki.

– Ale chyba nic wielkiego, ta sprawa, co? – zapytał.

– Poszlakowa – odparł tamten, wyraźnie obruszony – chociaż nie umniejszałbym jej znaczenia. Hensig może wymigać się od krzesła, bo dowody są kiepskie, ale to najgorszy typ, z jakim miałem kiedykolwiek do czynienia! Ten facet ma w sobie tyle jadu, że gdyby ci splunął w oko, ani chybi wyzionąłbyś ducha, a jeśli nawet ma serce, to jest ono chyba obłożone lodem.

– Skąd te przypuszczenia?

– Ci, których zamykamy, niekiedy okazują się bardzo rozmowni – odrzekł policjant, mrugając znacząco. – Naturalnie zeznań tych nie można później wykorzystać podczas procesu, ale to, jak sądzę, pozwala im trochę oczyścić sumienie. Tylko tyle, że jeżeli o mnie chodzi, wolałbym nigdy nie usłyszeć tego, co powiedział mi ten wymuskany elegancik... Wejźmy do środka – dodał, rozglądając się ostrożnie – usiądziemy, a wówczas wszystko ci opowiem.

Williams z pewnymi oporami wszedł bocznym wejściem do baru.

– Dla Anglika szklaneczkę szkockiej – rzucił policjant żartobliwie – a dla mnie zakrapianego z sokiem brzoskwiniowym, ale tylko kropelkę. – Wyjął pół dolara, ale barman tylko mrugnął porozumiewawczo i przesunął monetę po kontuarze z powrotem w jego kierunku. Na co zaraz usłyszał: – To co dla ciebie, Mike?

– Wezmę sobie cygarko – odparł barman, chowając do jednej kiesze ni kamizelki podaną mu monetę dziesięciocentową, a do drugiej wsuwając tanie cygaro, po czym oddalił się, aby dwaj mężczyźni mogli swobodnie po rozmawiać.

Rozmawiali niemal szeptem, przez blisko kwadrans, aż w końcu reporter zamówił drugą kolejkę. Jego pieniądze barman skrupulatnie

przyjął. Podjęli przerwana rozmowę. Williams był blady jak ściana, policjant zaś wydawał się mocno podekscytowany.

– Chłopaki czekają na mnie u Brodiego – rzekł w końcu Williams. – Muszę lecieć.

– Na mnie też już czas – powiedział Dowling i wyprostował się. – Wypijmy tylko jeszcze strzeziennego przez pamięć dawnych czasów. No i może do zakończenia postępowania procesowego spotykaliśmy się codziennie z samego rana...? A sam proces zaczyna się jutro.

Wypili swoje drinki, a barman ponownie przyjął od policjanta dziesięć centów i wsunął do kieszeni w kamizelce jeszcze jedno tanie cygaro.

– Nie drukuj tego, co ode mnie usłyszałeś, ani nie dziel się z tym z innymi reporterami – rzekł Dowling, zanim się rozstali. – A jeśli chcesz potwierdzenia, weź samochód i pojedź do Amityville, na Long Island, a do wiesz się, że to, co ci powiedziałem, to szczerą prawdą.

Williams wrócił do baru Steve'a Brodiego. Miał w głowie mętlik. To, czego się dowiedział, sprawiło, że po stokroć bardziej lękał się młodego, niemieckiego lekarza. Rzecz jasna Dowling mógł kłamać albo przesadzać, choć to raczej wątpliwe. Zapewne wszystko, czego się od niego dowiedział, było prawdą, a w redakcjach gazet musiano coś o tym wiedzieć, skoro wyznaczono do tej sprawy aż tylu dobrych reporterów. Williams nie chciał mieć z nią nic do czynienia, ale było to naturalnie tylko pobożne życzenie. Poza tym nie mógł opublikować pozyskanych informacji, ale mimo to koledzy po fachu wciąż na niego czekali. Liczyli na niego. Chcieli dowiedzieć się, co usłyszał od Hensiga, przeprowadzając z nim wywiad. Nawet po korekcie i niezbędnych skrótach materiału powinno wystarczyć na dobre pół kolumny.

Zastał Senatora opowiadającego jakąś historię Galushy, podczas gdy Białas Fife strącał kieliszki koktajlowe z krawędzi stołu i chwycił je w locie, zanim roztrzaskały się o podłogę. Kieliszki miały symbolizować Steve'a Brodiego skaczącego z mostu brooklyńskiego. Fife obiecał, że jeżeli stłucze choć jeden, postawi kolejkę wszystkim obecnym w barze i właśnie w chwili gdy Williams wszedł do knajpy, jeden z kieliszków roztrzaskał się w drobny mak, a w sali dał się słyszeć gromki śmiech. Pięciu lub sześciu mężczyzn, w tym także Williams, podeszło do kontuaru, aby odebrać swoje drinki, a niedługo potem Białas i Galusha udali się na lunch. Zamierzali też trochę wytrzeźwieć, wcześniej jednak umówili się z

Williamsem na wieczorne spotkanie, aby wyciągnąć od niego maksimum informacji.

– A dużo się dowiedziałeś? – spytał Senator.

– Więcej, niżbym chciał – odparł tamten, po czym opowiedział o wszystkim przyjacielowi.

Senator słuchał go z wielką uwagą, od czasu do czasu sporządzając krótkie notatki i zadając kilka pytań.

Kiedy Williams skończył, odezwał się półgłosem:

– Myślę, że Dowling ma rację. Wskakujmy do auta i wybierzmy się do Amityville, zobaczymy, czego tam zdołamy się o nim dowiedzieć.

Amityville było rozrzuconą na dużym obszarze osadą, na Long Island, o jakieś dwadzieścia mil od Nowego Jorku, gdzie doktor Hensig mieszkał i praktykował przez ostatni rok lub dwa i gdzie pani Hensig numer dwa w podejrzanym sposób rozstała się z tym światem. Sąsiedzi z całą pewnością powinni mieć w tej kwestii wiele do powiedzenia i choć zapewne nie będzie to nic znaczącego, ich zdanie na temat doktora mogło okazać się nader interesujące. Dlatego też dwaj reporterzy wybrali się tam, wypytując, kogo się tylko dało, od mężczyzny w drogerii po właściciela zakładu pogrzebowego. To, co usłyszeli, mogłoby stanowić materiał na całą książkę.

– Sporo tego – rzekł Senator, gdy wracali do Nowego Jorku – ale obawiam się, że ten materiał nie nadaje się do wykorzystania, przynajmniej dla nas. – Miał poważną minę i najwyraźniej coś go dręczyło.

– Prokuratorowi okręgowemu też się raczej nie przyda – zauważył Williams - Ten człowiek to diabeł wcielony! – ciągnął tamten, jakby mówił do siebie – kompletnie amoralny! Daję słowo, poproszę Mac Sweatera, aby przydzielił mi inne zlecenie...

To, czego się dowiedzieli, ukazywało bowiem doktora Hensiga jako osobnika, który nie tylko jawnie chełpił się, że był w stanie zabić człowieka i nie ponieść z tego tytułu żadnych konsekwencji, twierdził przy tym, że żaden z jego wrogów nigdy nie pożył długo i że on sam jako lekarz miał - a raczej powinien mieć – prawo decydować o życiu i śmierci innych, że osoby, które sprawiają mu problemy lub są ogólnie uciążliwe, nie powinny żyć; i to on równie dobrze jak ktokolwiek inny mógł o to zadbać, o ile tylko uczyni to, nie wzbudzając niepotrzebnych podejrzeń. Rzecz jasna nie ujawnił swoich przekonań wprost, wykrzykując je na targowisku, ale dzielił

się nimi z różnymi ludźmi przy rozmaitych okazjach, a sposób, w jaki to robił, sprawiał, że traktowano go poważnie. Wyrzucał je z siebie w trakcie rozmowy, gdy na krótką chwilę tracił nad sobą kontrolę, zapominał się, a wówczas przyoblekał w słowa swoje najgłębsze przekonania i motywy, jakie nim kierowały. Wiele osób w Amityville wierzyło, że niejednokrotnie zdarzyło mu się obrócić swoje słowa w czyny.

– Nie ma cudów, to nie materiał, którym moglibyśmy podzielić się z Białasem lub Galuszą – rzekł stanowczym tonem Senator – my zresztą też go nie wykorzystamy.

– Szczerze mówiąc, nawet nie miałem na to ochoty – przyznał Williams z wymuszoną wesołością w głosie.

Senator rozejrzał się nerwowo dokoła, jakby nie pojmował, o co właściwie chodziło jego przyjacielowi.

– Hensig może przecież zostać uwolniony od zarzutów i wyjść na wolność... – dodał Williams.

– Racja. Święta racja – powiedział powoli Senator i nieco radośniejszym tonem dodał: – Chodźmy na kolację do Chinatown, trzeba popracować nad artykułem, a co dwie głowy, to nie jedna.

Udali się więc na Pell Street i zawitali do jednej z przytulnych, małych chińskich restauracyjek, gdzie powietrze przesycone było wonią opium i aromatem orientalnych potraw. Zajawszy miejsce przy niedużym stoliku, stojącym na wysypanej piaskiem podłodze, zamówili porcje chou chop suey i chu on dong w brązowych, zgrabnych miseczkach, popijając posiłek sporą ilością mocnej, nie chrzczonej whisky, po czym usiedli w kącie sali i zabrali się wspólnie do pracy nad artykułem, który rankiem miał ukazać się w prasie na użytek bezimiennych rzesz spragnionych sensacji czytelników amerykańskich bulwarówek.

– Nie ma większej różnicy pomiędzy Hensigiem a *tym* – rzekł Senator, gdy jedna z zepsutych, białych kobiet, które często zaglądały do Chinatown, weszła do sali i zasiadła przy stoliku, by zamówić whisky. Bo choć w tej dzielnicy mieszkało cztery tysiące Chińczyków, nie uświadczyłeś tu ani jednej Chinki.

– Wręcz przeciwnie, różnica jest zasadnicza – odparł Williams, podążając wzrokiem w stronę drugiego końca zadymionej sali. – Ta kobieta była niegdyś przyzwoita i kto wie, może znów kiedyś taka będzie, ale ten przeklęty doktorek zawsze był tym, kim jest dzisiaj, bezdusznym,

inteligentnym diabłem w ludzkiej skórze. To nie jest człowiek. Wśród ludzi nie ma dla niego miejsca. Mam niepokojące wrażenie, że...

– Jak to się pisze „bakteriologii” – przez dwa i na końcu czy przez jedno? – przerwał mu nagle Senator, wyraźnie trując się nad wstępną wersją artykułu, który nazajutrz miały przeczytać z przejęciem i pasją tysiące Amerykanów.

– Przez trzy i, jedno w środku i dwa na końcu – zaśmiał się Williams.

Pracowali w sumie jeszcze przez godzinę, po czym każdy z nich udał się do swojej macierzystej redakcji, które mieściły się przy tej samej ulicy, innymi słowy przy Park Row.

Proces Maxa Hensiga trwał całe dwa tygodnie, jak to zwykle, gdy stały za kimś duże pieniądze, a oskarżony miał dobrych adwokatów i stosował wszelkie możliwe kruczki prawne. Z dziennikarskiego punktu widzenia sprawa spowszedniała i przed końcem czwartego dnia większość redakcji wycofała swoich najlepszych ludzi, by skierować ich do innych zadań, godniejszych ich zarobków.

Dla Williamsa jednak proces wcale nie był nudny i dotrwał aż do samego końca. Jako reporter, nie mógł rzecz jasna wyrażać otwarcie swoich opinii, zwłaszcza że proces był nadal w toku, ale w Nowym Jorku dziennikarstwo i poszanowanie prawa kierują się własnymi standardami, toteż każdego dnia w relacjach z kolejnych posiedzeń przemyślał odrobinę własnych przemyśleń i odczuć. Teraz, kiedy do sprawy przydzielono nowych ludzi z innych gazet, z którymi nie miał umowy o dzielenie się pozyskanymi informacjami, stwierdził, że może swobodnie wykorzystywać to, czego dowiedział się z innych źródeł, i jął ubarwiać swoje relacje szczegółami z wywiadów przeprowadzonych w Amityville oraz z rozmowy z detektywem Dowlingiem. W jego tekstach zaczęła pojawiać się nuta zgrozy i obrzydzenia, jakie wzbudzał w nim młody lekarz – subtelna, choć wyraźnie wyczuwalna, każdy, kto czytał jego codzienne sprawozdania, nieodparcie dochodził do przekonania, że Hensig to wyjątkowo niebezpieczny, zimny i wyrachowany morderca.

Dla reportera było to dość męczące, gdyż jego obowiązkiem było przeprowadzanie każdego ranka wywiadu z oskarżonym w jego celi, aby dowiedzieć się, jakie ma on zdanie na temat przebiegu procesu oraz swoich własnych szans na uniknięcie krzesła elektrycznego.

Hensig jednak nie okazywał ani odrobiny zażenowania. Otrzymywał wszelkie gazety i rzetelnie czytał każdy artykuł Williamsa. Musiał wiedzieć, co myśli na jego temat reporter, a przynajmniej jakie ma on zdanie na temat jego potencjalnej winy lub niewinności, ale nie wyjawiał swojej opinii dotyczącej bezstronności artykułów i śmiało wyrażał nadzieję, że zdoła wymknąć się kostusze. Fakt, iż z taką lubością pławił się w popularności, stanowił dla reportera jeszcze jeden dowód jego diabolicznej natury i ogólnego zepsucia. Jego próżność nie miała granic. Bardzo dbał o swój wizerunek, każdego dnia pojawiał się na procesie w nowej, czystej koszuli i nowym krawacie, nigdy nie nosił tego samego garnituru przez dwa dni z rzędu. Zwracał uwagę na to, jak przedstawiany był na łamach prasy i mierziło go, gdy w gazetach nie odnotowano choćby wzmianki na temat jego wyglądu i ogólnego zachowania. Był szczególnie uradowany, gdy w którejś z gazet napisano, iż na sali sądowej sprawiał wrażenie butnego i wyjątkowo pewnego siebie oraz że podczas przewodu sądowego charakteryzował się szczególnym opanowaniem.

– Robią że mnie bohatera – powiedział któregoś ranka, kiedy Williams jak zawsze odwiedził go przed rozpoczęciem procesu – i jak mnie poszła na kszeszło, choć sządzę, że to mało prawdopodobne, może zoba czycie cosz fajnego. Może szpałę na krzeszle tylko czało!

I zaraz potem, z przeraźliwą beznamiętnością, zaczął po raz pierwszy łajać reportera za treść jego artykułów.

– Relacjonuję tylko to, co się dzieje w sądzie – wykrztusił Williams, czując się dziwnie zażenowany – i zawsze jestem gotów napisać wszystko, co tylko pan powie...

– Nie żebym krytykował pańszką pracze – odparł Hensig, świdrując Williamsa spojrzeniem zimnych, niebieskich oczu. – Wydaje się panu, że jest jusz po mnie, i daje pan temu wyrasz w szwoich artykułach. Czy widział pan kiedysz, jak kogosz szmażą na kszeszle?

Williams odparł, że tak.

– *Ach was!* Widział pan! – rzekł chłodnym tonem doktor.

– Śmierć jest prawie natychmiastowa – dorzucił reporter pospiesznie – i właściwie bezbolesna. – Nie do końca tak uważał, ale cóż innego mógł powiedzieć temu nieszczęśnikowi, który już niebawem mógł zostać posadzony na tym okrutnym urządzeniu i przypięty doń, a na jego ogolonej głowie kat miał zacisnąć tę upiorną opaskę!

Hensig zaśmiał się, po czym ją spacerować w tę i z powrotem po swojej celi. Nagle jednym szybkim susem, jak pantera, zbliżył się do kraty i przywarł do niej twarzą, a na jego obliczu pojawił się całkiem nowy, dotąd nieznany wyraz. Williams mimowolnie cofnął się o krok.

– Są gorsze sposoby umierania – wycedził szeptem, z diabolicznym błyskiem w oku – wolniejsze i o wiele bardziej bolesnie. Wyjdę stąd. Nie żosztanę sztraczony. Wyjdę stąd i kto wie, może jeszcze się kie dysz szpotkamy, a wtedy o nich panu opowiem...

Nienawiść w jego głosie i wyrazie twarzy była aż nadto wyrazista, ale niemal natychmiast oblicze doktora powróciło do poprzedniego, chłodnego, beznamiętnego stanu. Znów bladej jak zawsze i pozornie niewzruszony Hensig wybuchnął śmiechem, po czym ją opowiadać o swoich adwokatach, wykazując ich atuty i mankamenty.

Ale to pokazało, że jego obojętność była jedynie maską, naprawdę zaś bardzo przejmował się treścią artykułów Williamsa. Felietony reportera wzburzyły go do głębi. Lubił popularność i był wściekły na Williamsa, że ten pozwolił sobie na wysnuwanie wniosków i ubarwiał artykuły osobistymi przemyśleniami na jego temat.

Reporter z nieskrywaną ulgą wyszedł na świeże powietrze. Wszedł po kamiennych stopniach wiodących do gmachu sądu, wciąż mając żywo w pamięci wspomnienie tej upiornej, bladej twarzy wpatrującej się w niego przez kraty i malującego się na niej przerażającego wyrazu, który zniknął równie nagle i niespodziewanie, jak się pojawił. Co właściwie miały oznaczać jego słowa? Czy aby się nie przesłyszał? Czyżby Hensig mu groził?

„Są gorsze sposoby na umieranie, wolniejsze i o wiele bardziej bolesne. Wyjdę stąd i kto wie, może jeszcze się kiedyś spotkamy, a wtedy o nich panu opowiem...”

Praca pomogła mu na kilka godzin zapomnieć o tej niepokojącej wizji, a pochwała, jaką uzyskał u naczelnego za świetną robotę, oraz sugestia, iż być może niebawem otrzyma podwyżkę, skierowała jego myśli ku całkiem innym sprawom, a jednak przez cały czas w głębi duszy czuł nieokreślony niepokój. Miał wrażenie, że tamten mężczyzna, lekarz, którego Williams potajemnie uważał za potwora w ludzkiej skórze, znienawidził go i uznał za swojego wroga numer jeden.

Było coś fanatycznego w obsesji, jaką żywił względem tego człowieka, uważając go za istotę skrajnie zepsutą, złą do szpiku kości i absolutnie bezduszną, kroczącą przez życie, jakby dysponowała prawdziwie boską mocą, z ciągnącą się za nią długą listą rzekomych, niemożliwych do udowodnienia zabójstw. Z całą pewnością przemawiało to do jego wyobraźni. Nie był w stanie myśleć o tym młodym człowieku, lekarzu dysponującym niezwykłą wiedzą i nietypowymi umiejętnościami, lecz skrajnie amoralnym, traktującym mężczyzn i kobiety, którzy weszli mu w drogę, jak przeszkody do pokonania. Nie mógł o nim myśleć, nie odczuwając przy tym gęsiej skórki i lodowatych ciarek. Był niezmiernie rad, kiedy nadszedł ostatni dzień procesu. Odtąd nie będzie już musiał więcej rozmawiać z oskarżonym ani przesiadywać całymi dniami w zatłoczonym sądzie, obserwując odrażająco białe oblicze młodego lekarza i przysłuchując się kolejnym stawianym mu oskarżeniom, z których jednak żadne nie było dostatecznie mocne, aby posadzić go na krześle. Koniec końców Hensig został uwolniony od stawianych mu zarzutów, choć ława przysięgłych obradowała przez całą noc i ostatni wywiad, jaki Williams przeprowadził z Hensigiem tuż przed jego zwolnieniem, był w sumie najprzyjemniejszy i najbardziej bulwersujący ze wszystkich.

– Wiedziałem, że zosztanę uwolniony – rzekł Hensig, śmiejąc się pod nosem, lecz nie okazując ulgi, jaką zapewne musiał odczuwać.

– Nikt nie wierzył w moją winę, sz wyjątkiem rodziny mojej żony i pana, panie reporterze z *Vulture*'a. Codziennie czytałem pańskie relacje. Uważam, że wyciągnął pan pochopne wnioski...

– Och... piszemy tylko to, co nam każą...

– Może któregoś dnia napisze pan inny artykuł albo przeczyta pan artykuł o swoim własnym procesie. Wtedy zrozumie pan, w jakiej postawił mnie sytuacji...

Williams uciął to, pytając doktora o jego zdanie na temat przebiegu procesu, po czym dowiedział się, jakie miał on plany na przyszłość. A odpowiedź ta przepełniła go niewysłowioną ulgą.

– Ach, oczywiście wrócę do Niemiec – odparł. – Ludzie w tym kraju za bardzo się mnie boją. Mało brakowało, a to prasa zabiłaby mnie prędzej niż krzesło elektryczne. Żegnaj, panie dziennikarzu z *Vulture*'a. Do zobaczenia!

Williams, pisząc relację z ostatniego wywiadu, poczuł zapewne równie wielką ulgę jak Hensig, gdy starszy przysięgły odczytał werdykt ławy: niewinny, ale jeszcze większą sprawiła mu wiadomość, że Max Hensig, uwolniony od zarzutów, niezwłocznie zamierzał wyjechać do Niemiec.

Nowojorska opinia publiczna była na co dzień złaźniona sensacji i dostawała je, albowiem gazeta, która ich nie serwowała, mogła w ciągu tygodnia ogłosić plajtę, a nowojorscy potentaci prasowi nie zaliczają się do filantropów. Koszmar goni koszmar, a w interesie publicznym jest, aby ten stan nie uległ zmianie.

Jak każdy z reporterów obdarzony choć szcążkową umiejętnością logicznego myślenia, Williams uświadomił sobie tę prawdę już w pierwszym tygodniu pracy dla *Vulture'a*. Jego codziennością stało się relacjonowanie serii sensacyjnych zdarzeń, żył we wrzącym kotle emocjonujących aresztowań, procesów o zabójstwa, przypadków szantażu, rozwodów, oszustw, podpaień, korupcji i całego mnóstwa innych rodzajów ludzkiej podłości.

Każda ze spraw wydawała mu się mniej ekscytująca od poprzedniej, sensacyjne zdarzenia wprawiły go w stan swoistego ośpienia, stał się nie tyle nieczuły, co raczej uodporniony na ich działanie i dawno temu osiągnął stan, kiedy nauczył się powstrzymać od wyrażania własnych sądów, jak to mają w zwyczaju młodzi, nieopierzeni dziennikarze.

Jednakże sprawa Hensiga na długo zagościła w jego duszy i wciąż nie dawała mu spokoju. Suche fakty zostały zamknięte w aktach policyjnego archiwum przy Mulberry Street i w redakcyjnych „kostnicach”, podczas gdy opinia publiczna, co dzień karmiona nowymi potwornościami, zapominała o istnieniu złowrogiego doktora w kilka dni po jego zniknięciu ze sceny.

Ale nie Williams. Osobowość tego zimnego, wyrachowanego zabójcy bez serca, którego nazywał w myślach trucicielem–intelektualistą, wywarła niewiarygodnie silny wpływ na jego wyobraźnię i przez wiele kolejnych tygodni jego wspomnienie żyło w nim jak niepokonany, wiecznie aktywny koszmar. Słowa, które usłyszał, i zawarta w nich zawołowana groźba oraz nie do końca skrywana wrogość pomogły mu bez wątpienia podsycić w sobie to wspomnienie i tłumaczyły, dlaczego Hensig nawiedzał jego sny i pojawiał się w jego myślach z natarczywością, która przywodziła mu na

myśl pierwsze ze spraw, którymi zajmował się, gdy rozpoczynał pracę w redakcji.

Z czasem jednak nawet Hensig zaczął rozmywać się wśród chaotycznych wspomnień więźniów, scen z więzienia, i koniec końców jego widmowy obraz przestał go nękać.

Lato minęło i Williams wrócił z zasłużonego urlopu spędzonego w lasach Maine. Nowy Jork tętnił życiem, a tysiące, które zmuszone były tu zostać i znosić uciążliwe letnie upały, z wolna odżywały, urzeczone czarem pięknych, jesiennych dni. Chłodna bryza przetaczała się przez sprażone słońcem ulice od strony Lower Bay, a po drugiej stronie urokliwej w swym przepychu rzeki Hudson, Lasy Palisades w New Jersey mieniły się szkarłatem i złotem. Powietrze było elektryzujące, rześkie, ostre, życie w mieście znów pulsowało nieujarzmioną, rozbudzoną energią. Tłumy ludzi o zbrązowiałych od morskiego i górskiego słońca twarzach kłębiły się na ulicach, w oczach przechodniów dostrzec można było radość, zdrowie i rozluźnienie, albowiem jesień w Nowym Jorku kryje w sobie potężną magię, której mocy nie sposób się oprzeć i nawet slumsy East Side, gdzie biedota gnieździła się całymi tysiącami, wydawały się wysprzątane i czyste. Na nabrzeżach połączone siły promieni słońca, aromatu fal i lekkiego wietrzyku wywoływały niepohamowaną tęsknotę w sercach tych, którzy gnili w murach więzienia.

W duszy Williamsa, być może bardziej niż u innych ludzi, było coś, co reagowało żywiołowo na otaczającą go zewsząd atmosferę nadziei i wesołości. Wypoczęty po urlopie i pełen sił, by stawić czoła marazmowi nadchodzącej zimy, poczuł się choć na chwilę uwolniony od złowrogiego czaru nieregularnego życia i gdy tak pewnego październikowego poranka płynął na Staten Island na pokładzie wielkiego promu, jego serce przepełniała głęboka radość. Raz po raz z lubością i rozrzewnieniem wodził wzrokiem ponad taflą wody, ku spowitej mgłą linii lasu w oddali.

Zmierzał do Quarantine, gdzie czekała go praca. Miał zaczekać tam na przybycie pasażerskiego liniowca z Europy. Na jego pokładzie płynął pałający nienawiścią do Żydów członek niemieckiego Reichstagu, aby wygłosić w Nowym Jorku cykl wykładów na swój ulubiony temat, a wszystkie gazety, które uznały jego osobę za godną zauważenia, jednoznacznie dały do zrozumienia, że jego misja, choć tolerowana, nie spotka się z życzliwym przyjęciem. Żydzi byli prawowitymi obywatelami,

a Ameryka chlubiła się mianem wolnego kraju i zaplanowane spotkania w Cooper Union Hall w najlepszym razie mogły zakończyć się wyszydzeniem prelegenta, w najgorszym zaś wywołać gwałtowne zamieszki.

To było ciekawe zlecenie, a Williams otrzymał instrukcje, aby o ile to będzie możliwe, utrzyć nosa dumnemu, nienawistnemu Niemcowi, doradzając mu, by najbliższym rejsem wrócił czym prędzej do Bremy, a tym samym uniknął obrzucenia jajkami, zdechłymi kotami, pomidorami i Bóg wie czym jeszcze. Przygotowując się wewnątrz do realizacji zlecenia, opowiedział o tym pewnemu lekarzowi z Quarantine, gdy na pokładzie niedużego holownika płynął na spotkanie olbrzymiego liniowca stojącego na kotwicy przy Sandy Hook.

Na pokładach okrętu roiło się od pasażerów obserwujących nadpływający holownik i zanim znaleźli się w cieniu liniowca, Williams ni stąd, ni zowąd poczuł, że jakiś impuls każe mu oderwać wzrok od kołyszącej się linowej drabinki i skierować go w stronę śródkręcia większej jednostki. Tam właśnie, wśród pasażerów dolnego pokładu ujrzał kogoś, kto przyglądał mu się z zimnym wyrachowaniem. Oczy tego kogoś były jasnoniebieskie, a skóra, w przeciwieństwie do większości ogorzałych pasażerów, niemal śnieżnobiała. W jednej chwili rozpoznał Hensiga.

Jego serce nagle zaczęło bić szybszym rytmem. W tej samej chwili wszystko wokół niego diametralnie się zmieniło, błękitne wody zatoki pociemniały, promienie słońca straciły swój blask, a z dawna zapomniane emocje zgrozy i obrzydzenia powróciły doń jak wspomnienie traumatycznego koszmaru. Otrząsnął się z tego i schwycił drabinkę sznurową, by wspiąć się po niej na górę w ślad za lekarzem urzędowym. Był zły i szczerze zaniepokojony, a zarazem nie spodziewał się, że powrót Niemca wywrze nań tak silny wpływ emocjonalny. Jego wywiad z siewcą nienawiści był wyjątkowo krótki, po czym reporter czym prędzej udał się na przystań, by złapać holownik, którym miał wrócić na Staten Island. Nie spostrzegł powtórnie zniechęconego Niemca i przez chwilę nawet łudził się nadzieją, że tylko mu się przywidziało, że za sprawą jakiejś osobliwej gry światła i cieni oblicze innej osoby nabrało w jego wyobraźni rysów twarzy Maxa Hensiga. Tak minęły kolejne dwa tygodnie, październik odszedł i nastał listopad, ale wspomnienie niepokojącej wizji wciąż go nie opuszczało. Może mimo wszystko to faktycznie był ktoś inny, a jeżeli

nawet to był Hensig, może zapomniał o reporterze, a jego powrót do Nowego Jorku nie miał nic wspólnego z zapowiadzianym odwetem.

Tak czy owak, Williams był niespokojny. Opowiedział o swoich obawach detektywowi Dowlingowi.

– To przebrzmiałe wieści – zaśmiał się Irlandczyk. – Nasi ludzie mają go na oku. Facet nieźle narozrabiał. Nie tylko w Nowym Jorku zo stał posądzony o morderstwo. W Berlinie szukają go w związku z dwoma zabójstwami. Posługiwał się tam co prawda nazwiskiem Brunner, ale są dząc po opisie, jaki otrzymaliśmy, bez wątpienia chodzi o Hensiga. To je szcze nic pewnego, ale jesteemy na jego tropie. To znaczy ja depczę mu po piętach – dodał z dumą – i nie waź się o tym zapomnieć! Jak tylko będę coś wiedział, dam ci znać, ale póki co, ani mru–mu!

Którejś nocy niedługo po tym spotkaniu Williams i Senator otrzymali zlecenie napisać artykuł o wielkim pożarze w dokach West Side.

Stali wśród tłumu obserwującego strzelające w górę jężory ognia, które zawodzący wiatr zdawał się przenosić niemal na drugi brzeg rzeki. Płomienie jasno oświetliły całą przystań, ryk ognia był potworny. Senator, który nie miał swojego, pożyczył na chwilę płaszcz od przyjaciela, by osłonić się przed pyłem wodnym i unoszącymi się w powietrzu popiołami, po czym jał przebijać się przez tłum gapiów, w nadziei na uzyskanie najświeższych informacji. Było już po północy i treść artykułu musiała zostać podyktowana do redakcji przez telefon; jedyne, co musieli teraz zrobić, to dodać najświeższe szczegóły i niezbędne poprawki do wcześniej przydyktowanych tekstów.

– Zaczekam na ciebie na rogu! – zawołał Williams, przeciskając się przez rozentuzjasmowany tłum gapiów i zdejmując po drodze odznakę strażaka. Ta nieduża, mosiężna odznaka, którą reporterzy otrzymywali od straży pożarnej, dawała im prawo wstępu poza obszar policyjnego kordonu, naturalnie na ich własne ryzyko. Ledwie odpiął odznakę od marynarki, kiedy z napierającego tłumu wyłoniła się nagle czyjaś ręka, usiłując schwycić go za ramię. Odwrócił się, by zobaczyć, kto to był, ale w tej samej chwili silniejszy napór tłumu omal nie zwałił go z nóg – zdołał jedynie spostrzec znikającą wśród zwartej ciżby ciał czyjaś rękę, a zaraz potem ciężko rymnął na chodnik.

Incydent ten nie wydał mu się szczególnie podejrzany, gdyż wśród takiej masy ludzi zawsze znajdują się tacy, którzy pragnęli dotrzeć możliwie

jak najbliżej miejsca pożogi. Zaśmiał się tylko i wsunął odznakę do kieszeni, po czym stanął, wpatrując się w dogasające płomienie, dopóki nie dołączył doń jego przyjaciel, z najnowszymi informacjami.

Mimo iż czas naglił, a Senator nie miał wiele do roboty, upłynęło dobre pół godziny, zanim ujrzał go wyłaniającego się z mroku. Williams rozpoznał go z daleka po płaszczu, który Senator miał na sobie. Był to płaszcz Williamsa.

Ale czy to aby na pewno Senator? Postać szła, utykając, jakby coś jej się stało. Zatrzymała się o kilka stóp od niego i spojrzała na Williamsa pośród gęstniejącej ciemności.

– To ty, Williams? – rozległ się ochrypły, surowy głos.

– Przez chwilę myślałem, że to ktoś inny – odparł reporter i odetchnął z ulgą, rozpoznając przyjaciela i podchodząc ku niemu. – Ale co się stało? Jesteś ranny?

Senator wyglądał upiornie w silnej poświacie pożogi. Twarz miał białą jak płótno, a z jego czoła ściekała strużka krwi.

– Jakiś typ omal mnie nie załatwił – odparł. – Rozmyślnie zepchnął mnie z nabrzeża. Gdyby nie to, że spadłem na pale i zdołałem jakoś dotrzeć do najbliższej łodzi, utonąłbym, jak amen w pacierzu. Wydaje mi się, że wiem, czyja to sprawka. Tak sądzę! To znaczy wiem, kto za tym stoi, a poza tym ujrzałem jego piekielne, blade oblicze i usłyszałem, co powiedział.

– Kto to był? Czego chciał? – wykrztusił Williams.

Senator ujął go za rękę i zaprowadził do pobliskiego baru, aby rozgrzać się odrobiną brandy. Przez cały czas oglądał się przez ramię.

– Prędej, im szybciej wyniesiemy się z tej parszywej okolicy, tym le piej – wycedził.

Trochę czasu minęło, nim Senator odwrócił się do Williamsa, spoglądając na niego dziwnie znad szklaneczki, i odpowiedział na jego pytania.

– Kto to był, pytasz, oczywiście, że Hensig! Czego chciał, to jasne, ciebie!

– Mnie! Hensig! – jęknął tamten.

– Chyba omyłkowo wziął mnie za ciebie – ciągnął Senator, zerkając w stronę drzwi. – Tłum był tak gęsty, że poszedłem wzdłuż nabrzeża. Było dość ciemno. Wokół mnie ani żywego ducha. Biegłem. I nagle wydawało mi się, że na drodze przede mną pojawił się jakiś słup, ale to był on, stary!

Powiadam ci, to był Hensig, albo możesz mnie publicznie nazwać blagierem. Spojrzałem mu prosto w oczy. „Szegnam ozięble, panie reporterze z *Vulture'a*” – powiedział i zaśmiał się, a potem silnym pchnięciem strącił mnie z nabrzeża!

Senator przerwał, by złapać oddech i opróżnić drugą szklaneczkę.

– To przez mój płaszcz! – wykrzyknął ze zdumieniem Williams.

– Sądzę, że śledził cię już od jakiegoś czasu.

Senatorowi w końcu się polepszyło i obaj ruszyli rażno w kierunku Broadwayu, aby znaleźć telefon; mijali po drodze obszar zakazanych uliczek znanych jako Mała Afryka, gdzie mieszkali Murzyni i gdzie najbezpieczniej było poruszać się środkiem ulicy, unikając ciemnych bram i niebezpiecznych zaułków po obu jej stronach. Obaj reporterzy milczeli prawie przez całą drogę.

– Zawziął się na ciebie, bez dwóch zdań – uznał potem Senator. – I teraz na ciebie poluje. Chyba jednak nie zapomniał twoich artykułów z przebiegu procesu. Lepiej miej się na baczności! – dodał z przekąsem.

Williamsowi wcale nie było do śmiechu, a świadomość, że to jednak Hensiga ujrzał na pokładzie parowca i że Niemiec śledził go tak skrupulatnie, iż był w stanie rozpoznać jego płaszcz i tylko na tej postawie podjąć próbę zamordowania go, przepełniła go niepohamowaną zgrozą. To, że był śledzony przez kogoś takiego jak Hensig, było przerażające. Świadomość, że ten bladolicy, niewzruszony, zimny jak gład, bezlitosny zabójca wziął go na cel, że zagiął na niego parol człowiek potrafiący uśmiercić swoją ofiarę na tysiące różnych, sekretnych sposobów i był teraz gdzieś tam, wśród tłumu mieszkańców wielkiego miasta, grając na czas, obserwując, polując, czekając na dogodną okazję do ataku, przerodziła się w nim w dręczącą go obsesję, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Te jasnoniebieskie oczy, przenikliwy umysł, przepełniony pragnieniem odwetu, zapowiedzianego jeszcze przed zakończeniem procesu. Hensig o nim nie zapomniał. Na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad własną śmiercią, która obecnie wydawała mu się nieunikniona i rychła; to było straszniejsze niż cokolwiek, czego doświadczył, obserwując cierpienia i konanie innych.

Tej nocy w swoim małym, obskurnym pokoju w pensjonacie przy Dziewiętnastej Wschodniej, Williams położył się do łóżka śmiertelnie

przerażony i przez kolejnych parę dni stan ten bynajmniej nie uległ poprawie. Nie mógł temu zaprzeczyć. Przez cały czas rozglądał się we wszystkie strony, w przekonaniu, że był śledzony i obserwowany. Na widok nowej twarzy w redakcji, przy stole w pensjonacie czy w jakimkolwiek innym odwiedzanym przez siebie miejscu czuł na grzbiecie lodowate ciarki. Strach za dnia towarzyszył mu w pracy, a nocą nękał koszmarami. Williams porzucił dawne postanowienia i zaczął topić swe lęki w alkoholu. Pił dwa razy więcej niż zwykle, dla kurażu i cztery razy tyle co zwykle, aby się znieczulić.

Nie stoczył się i nie został alkoholikiem, nie pił do lustra ani dlatego, że lubił, lecz przyszło mu żyć w świecie reporterów, policjantów i szemranych mężczyzn oraz upadłych kobiet, gdzie picie stanowiło nieodłączny rytuał i tradycyjne powitanie brzmiało „Czego się napijesz?”, a stwierdzenie „Och, to abstynent!” było poczytywane jako obelga. Teraz jednak pił z o wiele większą starannością, odliczając koktajle i drinki wypijane w ciągu całego dnia pracy, aby nigdy ani na chwilę nie stracić nad sobą kontroli. Musiał mieć się na baczności. Zmienił pory i miejsca posiłków, odwiedzał także inne knajpy niż zwykle, aby utrudnić ścigającemu go mordercy wpadnięcie na jego trop. Przeniósł się nawet do innego pensjonatu. A wszystko to za sprawą wszechogarniającego lęku. Strach odmienił jego życie. Spowił cały świat mrokiem, przyćmiewając jaskrawe barwy, odbierając światłu blask, niwecząc entuzjazm i wywierając silny, negatywny wpływ na wszystko, co robił w życiu. Wyjątkowo mocno lęk podziałał na jego wyobraźnię, i tak już nadszarpniętą przez alkohol i narkotyki. Słowa lekarza o wyizolowaniu szczepu bakterii tak zabójczego, że żadne leki nie byłyby go w stanie przezwyciężyć, a następnie wprowadzenie go do organizmu ofiary przez zwykłe zadrapanie szpilką, nie dawały mu spokoju.

Stale o tym rozmyślał, to wydawało mu się niesamowicie sprytne, okrutne i wręcz diaboliczne. Incydent podczas pożaru to rzecz jasna zwykły wypadek, jakich wiele, efekt przypadkowego spotkania i głupiej pomyłki. Hensig nie musiał posuwać się do tak prostackich metod. Kiedy nadejdzie właściwy moment, wdroży o wiele prostszy, bezpieczniejszy plan.

Ta myśl stała się jego obsesją, ubzdurał sobie, że Hensig go śledzi, czekając na odpowiedni moment do ataku i koniec końców, gdy napięcie stało się dla niego nie do zniesienia, opowiedział o wszystkim naczelnemu. Był tak roztrzęsiony, że nie mógł normalnie pracować.

– To ciekawa historia. Zrób z niej artykuł na dwieście słów – rzekł natychmiast naczelny. – Naturalnie posłuż się fałszywym nazwiskiem. Nie możemy wymienić nazwiska Hensiga, bo mógłby nas pozwać do sądu o zniesławienie.

Williams był tak zdenerwowany i tak gorąco oponował, że Treherne, choć jak zawsze zajęty, zaprosił go do swego gabinetu.

– Posłuchaj, Williams, za dużo pijesz – orzekł – to twój najpoważniejszy problem. Weź się za siebie, a Hensig zniknie, jak nocny koszmar nad ranem. – Mówił łagodnym, lecz zdecydowanym tonem. Był młody, piekielnie bystry, znał się na ludziach i miał nosa do newsów. Znał zdolności małej armii swoich pracowników, ludzi obdarzonych szczególną intuicją. To, że pili, nie stanowiło dla niego problemu, o ile tylko wykonywali swoją pracę jak należy. Bądź co bądź wszyscy pili, a na tego, kto zachowywał abstynencję, patrzono podejrzliwym wzrokiem.

Williams, nie przebierając w słowach, wyjaśnił, że jego dręczyciel nie jest wytworem delirium tremens, a naczelny poświęcił mu jeszcze dwie minuty, choć czekał już na niego tłum dziennikarzy.

– Doprawdy? Co ty powiesz! – rzucił z o wiele większym zainteresowaniem. – Cóż, jeżeli chcesz znać moje zdanie, uważam, że Hensig po prostu usiłuje odpłacić ci się pięknym za nadobne. Ty próbowałeś zniszczyć go swoimi artykułami, a teraz on w odwecie chce dać ci popalić. Ale z pewnością nie odważy się nic zrobić. Zablefuj go, a zobaczysz, że zaraz zrejteruje. W tym świecie wszystko jest grą pozorów. Mimo to pomysł z bakteriami nawet mi się podoba. To całkiem oryginalne.

Williams nieco rozdrażniony beztrąską szefa opowiedział mu o przygodzie Senatora i pożyczonym płaszczu.

– Może, może – odparł pospiesznie naczelny – ale Senator żłopie chińską wódę, a po kimś takim można spodziewać się wszystkiego. Przyjmij dobrą radę od starszego kolegi po fachu i przystopuj trochę z piciem. Odpuść sobie koktajle i drinki, pij czystą whisky, jeśli już musisz, ale nigdy na pusty żołądek. I przede wszystkim nie mieszaj!

Spojrzał na niego znacząco i skierował się w stronę drzwi.

– A gdy następnym razem zobaczysz tego Niemca – dodał, oglądając się przez ramię – podejdź do niego i poproś o wywiad, powiedz, że chciałbyś napisać o jego odczuciach... no wiesz... jak się czuje ktoś, kto wymknął się kostusze... pokaż mu, że się go nie boisz. Wspomnij przy okazji,

że jest stale śledzony i obserwowany. Udaj, że nadal uważany jest za podejrzanego, rozumiesz, tego typu rzeczy. Ze niby chcesz go ostrzec. To powinno zmienić układ sił i dać mu trochę do myślenia. Niech teraz on ma zgryz. Kapujesz, o co mi chodzi?

Kiedy potem Williams wyszedł z redakcji, by sporządzić relację ze spotkania Wydziału Komunikacji Miejskiej, pierwszą osobą, jaką spotkał po wyjściu z budynku, był... Max Hensig.

Zanim zdążył przystanąć albo go wyminąć, znaleźli się twarzą w twarz. Zakręciło mu się w głowie, kolana stały się miękkie jak z waty. Wreszcie odzyskał odrobinę pewności siebie i spróbował pójść za radą naczelnego. Nie miał żadnych własnych pomysłów, toteż rozpaczliwie schwycił się ostatniej deski ratunku. Pozostało mu tylko to – lub ucieczka.

Hensig, jak zauważył, wyglądał kwitnąco, nosił futro i czapkę. Twarz miał bledszą niż zazwyczaj, a jego błękitne oczy zdawały się płonąć zimnym ogniem.

– Proszę, proszę! Doktorze Hensig, cóż to, wrócił pan do Nowego Jorku? – zawołał. – Kiedy pan przyjechał? Cieszę się... ee... to znaczy... ten, tego... może wpadniemy na kielicha? – dokończył niepewnym tonem. To był rozpaczliwy chwyt, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było to, aby Hensig wyczuł jego strach.

– Raczej nie, panie reporterze z *Vulture'a*, dżenkuj – odparł chłodno – chociaż chętnie poszedze i popatsze, jak pan pije. – Był jak zawsze opanowany i spokojny Williams tymczasem, który częściowo odzyskał nad sobą panowanie, skwapliwie wykorzystał jego odmowę i ruszył dalej, rzucając na odchodne, że spieszy się na umówione spotkanie.

– Może panu potowarzyszę – rzekł Hensig, zrównując z nim krok. W tej sytuacji o pozbyciu się go nie było mowy. Ruszyli przez City Hall Park w stronę Broadwayu. Było już po czwartej, zapadał zmierzch, w niewielkim parku roiło się od ludzi, zmierzających we wszystkich kierunkach, każdy jak zawsze bardzo się spieszył. Jedynie Hensig sprawiał wrażenie spokojnego i niewzruszonego wśród tego rozbuchanego, nerwowego chaosu. Był zimny jak lód. Wrażenie to wzbudzał jego głos i zachowanie, mentalnie był czujny, spięty, zdeterminowany i jak zawsze bardzo pewny siebie.

Williams miał ochotę rzucić się do ucieczki. W myślach opracowywał tuzin rozmaitych sposobów na szybkie pozbycie się natręta, lecz wiedział,

że żaden z nich nie miał szans powodzenia. Wsunął dłonie do kieszeni wysłużonego płaszcza, a kątem oka przez cały czas obserwował swego towarzysza.

– Zamierza pan znów zamieszkać w Nowym Jorku? – zaczął niepewnie.

– Nie będę tu jusz praktykowacz – padła odpowiedź. – Terasz będę prowadzicz badania i uczycz. Zamierzam tesz zającz się pizaniem pracz naukowych...

– O czym?

– O bakteriach – odparł tamten, po czym spojrział na niego i wybuchnął śmiechem. – O bakteriach chorobotwórczych, ich szczepach i rozwoju – rzekł z mniej już wyczuwalnym niemieckim akcentem.

Williams przyspieszył kroku. Z niemałym wysiłkiem wdrożył plan podsunięty mu przez Treherne'a.

– A czy zechciałby pan udzielić mi jeszcze jednego wywiadu, związanego z pańską specjalizacją? – spytał, starając się ukryć drzenie głosu.

– Alesz oczywiszczce. Z przyjemnoszczą. Mieszkam terasz w Harlemie, gdyby zechczał mnie pan tam odwiedźycz.

– Wolałbym spotkać się w siedzibie naszej redakcji! – przerwał mu reporter. – Rozumie pan, mamy tam na miejscu wszystko, co niezbędne – papier, biurko, bibliotekę...

– Jeżeli pan się boi... – zaczął Hensig. Po czym ni stąd, ni zowąd wybuchnął śmiechem. – Nie mam tam arszeniku. Chyba nie uważa mnie pan jusz za jakiegosz taniego truciciela? Chyba zmienił pan zdanie na mój temat?

Williams poczuł, że zaczyna cierpnąć mu skóra. Jak mógł w ogóle o tym mówić! Przecież chodziło o jego żonę!

Odwrócił się pospiesznie i spojrział na niego przenikliwym wzrokiem. Ludzie na chodniku zmuszeni byli ich omijać, jak woda opływająca dwa niewzruszone głązy pośrodku strumienia. Czuł, że musi powiedzieć coś, co przekona Niemca, że ani trochę się go nie bał.

– Ale chyba zdaje pan sobie sprawę, doktorze Hensig, że policja wie o pana powrocie do Stanów i że najprawdopodobniej znajduje się pan pod ciągłą obserwacją? – rzucił, zniżając głos i wlepiając wzrok w te zimne, jak lód, błękitne oczy.

– Niby czemu? – padło pytanie.

– Mogą coś podejrzewać...

– Podejrzewacz? Znowu? *Ach, was!* – rzekł Niemiec.

– Chciałem tylko pana ostrzec... – wykrztusił Williams, który stwierdził, że przenikliwe, paraliżujące spojrzenie doktora pozbawia go re sztuk opanowania i pewności siebie.

– Żaden policzant nie wie, czym się zajmuję... czo robię i jusz mnie więcej nie złapie – zaśmiał się diabolicznie doktor. – Ale mimo wszystko dzenkuję za ostrzeżenie.

Williams odwrócił się, by wskoczyć w biegu do tramwaju jadącego na Broadway. Nie był w stanie wytrzymać ani chwili dłużej w towarzystwie tego człowieka, który wzbudzał w nim tak wiele negatywnych emocji.

– Któregosz dnia zadzwonię do redakcji, żeby umówicz się na wy wiad! – zawołał w ślad za nim Hensig, a w chwilę później rozplynał się w tłumie, Williams zaś, cały roztrzęsiony wewnętrznie, udał się na spotka nie Zarządu Komunikacji Miejskiej, które miał zrelacjonować.

Ale jakby go tam nie było, jego umysł zaprzętały inne myśli. Hensig nie odstępował go na krok. A jednak, choć to wydawało się nieprawdopodobne, czuł, że jego lęki są w pełni uzasadnione i prawidłowo ocenił niemieckiego lekarza. Hensig go nienawidził i gdyby tylko mógł, bez wahania pozbawiłby go życia. Zrobiłby to w taki sposób, aby nic nie sugerowało, iż jest to morderstwo z premedytacją. Nie zastrzeliłby go ani nie otruł przy pomocy znanych i dostępnych środków, nie posunąłby się też do bardziej prymitywnych metod. Raczej będzie go śledził, obserwował, czekał na dogodny moment, a wówczas zrobi swoje, na zimno, bez emocji, z chłodną determinacją i bezwzględnością. Williams domyślał się, co zostanie przeciwko niemu użyte: bakterie!

To oznaczało, że tamten musiał się do niego zbliżyć. A on z kolei musiał obserwować czujnie wszystkie osoby znajdujące się blisko niego, w pociągu, tramwaju, restauracji, innymi słowy wszędzie. Można to było zrobić w ułamku sekundy, wystarczyło lekkie zadrapanie, a zabójcze bakterie znajdą się w jego organizmie. Wiedział, że szanse na przeżycie zamachu miał raczej nikłe. Co mógł uczynić? Nie mógł doprowadzić do wzięcia Hensiga pod obserwację czyjego aresztowania. Nie miał dowodów, które mógłby przedstawić władzom, a policja z pewnością wyśmiałaby jego historię. Gdyby któregoś dnia zapadł na galopującą gorączkę, powiedzieliby zapewne, że nabawił się choroby podczas pracy, bądź co

bądź każdego dnia odwiedzał podejrzane przybytki, slumsy na East Side, szpitale, kostnice i więzienia. Czy byłoby w tym coś dziwnego, gdyby przypętało się do niego jakieś paskudne choróbko? Bynajmniej. Sytuacja była nie do pozazdroszczenia; Williams, choć młody, był nielicho roztrzęsiony i nie potrafił odegnąć od siebie tych upiornych myśli, pobudzających jego i tak już mocno wybujałą wyobraźnię.

– Gdybym nagle zaniemógł – powiedział Senatorowi, swemu jedy nemu przyjacielowi w całym mieście – i przyślę po ciebie, wypatruj uważnie zadrapania na moim ciele. Opowiedz tę historię Dowlingowi i ich lekarzowi.

– Uważasz, że Hensig będzie wałęsał się po mieście z piersiówką pełną zarazków w kieszonce kamizelki – zaśmiał się tamten – by w odpowiednim momencie zanurzyć w niej szpilkę, a potem cię nią drasnąć?

– Tak, mniej więcej. Coś w tym rodzaju.

– Nie da się go za to przyskrzynić. Raczej wątpliwe, by po fakcie przechowywał w kieszeni obciążające go dowody, prawda?

W następnym tygodniu Williams aż dwukrotnie, zgoła przypadkiem natknął się na Hensiga. Po raz pierwszy spotkał go pod pensjonatem, gdzie mieszkał, tym, do którego się przeprowadził. Hensig postawił właśnie stopę na pierwszym stopniu, jakby chciał wejść do środka, ale błyskawicznie odwrócił głowę, obrócił się na pięcie i oddalił się w głąb ulicy. Było to o ósmej wieczorem, światło płynące z sieni przez otwarte drzwi wyraźnie oświetliło jego twarz. Drugi przypadek nie był tak oczywisty – reporter po raz kolejny odwiedził sąd, w związku ze sprawą podejrzanej śmierci, w której główną oskarżoną była kobieta, i odniósł wrażenie, że widzi blade oblicze doktora przyglądającego mu się z tłumu zgromadzonego w tylnej części sali; kiedy ponownie spojrzął w tę stronę, twarz znikła i już jej więcej nie zobaczył.

Tego samego dnia w gmachu sądu spotkał się z Dowlingiem, który otrzymał kolejny awans. Detektyw odprowadził go na stronę. Rozmowa natychmiast zeszła na temat Niemca.

– My też go mamy na oku – powiedział. – To na razie poufne informacje i nie możesz ich wykorzystywać, ale nasz ptaszek znów zmienił na zwisko i nigdy nie przebywa pod tym samym adresem dłużej niż przez tydzień, dwa. Podejrzewam, że to jednak ten Brunner, którego szukają w

Berlinie. To istny diabeł w ludzkiej skórze. Nigdy nie spotkałem się z równie amoralnym i bezlitosnym człowiekiem.

Dowling cieszył się, że trafiła mu się ta sprawa. Dzięki niej wciąż miał przed sobą otwartą perspektywę dalszego awansu.

– Co może teraz kombinować? – zapytał go Williams.

– Coś paskudnego – usłyszał. – Ale póki co nie mogę powiedzieć nic więcej. On nazywa się teraz Schmidt i już nie tytułuje się doktorem. Powinniśmy go zgarnąć lada dzień. Czekamy tylko na informacje z Niemiec.

Williams opowiedział mu swoją historię o tym, jak pożyczył płaszcz Senatorowi, i o tym, że jego zdaniem Hensig tylko czekał na dogodny moment, aby go uśmiercić.

– To całkiem prawdopodobne – rzekł Dowling i dodał mimochodem: – Chyba jednak będziemy musieli przedstawić mu jakieś zarzuty, choćby tylko po to, aby się go pozbyć. Jest zbyt niebezpieczny, aby mógł przebywać na wolności. To groźny, stale polujący drapieżnik.

Strach niekiedy podkrada się do człowieka stopniowo, tak że nawet nie zdaje on sobie z tego sprawy i nie jest w stanie się z nim uporać, dopóki nie jest za późno, a wówczas całkiem traci siły do działania. Do tego czasu reporter, który znów rzucił się w wir alkoholowych libacji, stracił resztki werwy i zanim uświadomił sobie, co się z nim dzieje, nawet gdyby spotkał się z Hensigiem twarzą w twarz, raczej nie odpowiadałby już za swoje czyny. Mógł rzucić się desperacko na swego prześladowcę, ale równie dobrze sparaliżowany ze zgrozy mógł poddać się biernie losowi, jak ptak zahipnotyzowany przez zbliżającego się doń węża.

Stale rozmyślał o chwili, kiedy się spotkają i co się wtedy stanie, był bowiem przekonany, że to prędzej czy później nastąpi oraz że Hensig spróbuje go zabić. To było pewne tak jak to, że w przyszłym roku kończył dwadzieścia pięć lat. Feralne spotkanie można było jedynie odwlec w czasie, było ono bowiem nieuniknione, a przeprowadzka do kolejnego pensjonatu co najwyżej opóźniłaby to, co nieuchronne. Prędzej czy później musiało dojść do ich ostatecznej konfrontacji.

Reporter z nowojorskiej gazety ma w tygodniu jeden dzień dla siebie. W przypadku Williamsa tym dniem był poniedziałek. Reporter ucieszył się z jego bliskości. Niedziela była dlań szczególnie uciążliwa, gdyż poza nieciekawymi zleceniami, dotyczącymi prywatnych wywiadów, o które w

ten wolny od pracy dzień mieszkańcy miasta wyjątkowo się obruszeni, musiał jeszcze wieczorem pisać relacje z kazań w brooklyńskim kościele. Mając do dyspozycji zaledwie półtorej kolumny, należało być bardzo zwięzłym i lakonicznym, a kazanie było zwykle ożywione i długie, pełne cytatów i zapożyczeń; uporanie się z tym zadaniem przychodziło mu z najwyższym trudem. Zwykle wychodził z kościoła około dziewiątej, a potem czekało go jeszcze przepisanie stenografowanych notatek i sklecenie z nich artykułu do porannego wydania gazety.

W tę niedzielę – dzień po tym jak ujrzał oblicze swego dręczyciela na sali sądowej – Williams żmudnie sporządzał notatki z nużącego kazania pastora, siedząc blisko jego pulpitu. W pewnej chwili podczas krótkiej przerwy uniósł wzrok, powiódł spojrzeniem po twarzach wiernych i skierował je w górę, ku galerii. Nie myślał w tym momencie o doktorze z Amityville i jakież było jego zdziwienie, kiedy wychwycił przenikliwe, świdrujące spojrzenie tamtego, siedzącego w pierwszym rzędzie i przyglądającego mu się z diabolicznym uśmieszkiem. To był dla niego prawdziwy szok. Przez kilka sekund był bliski omdlenia. Przegapił kolejne zdanie pastora, a reszta stenograficznego zapisu kazania okazała się całkiem nieczytelna, co stwierdził już po przybyciu do redakcji *Vulture'a*.

Skończył grubo po pierwszej w nocy. Wyszedł z redakcji wyczerpany i mocno roztrzęsiony. W całonocnej drogerii na rogu wypił o kilka więcej szklaneczek whisky niż zwykle i długo rozmawiał z mężczyzną, który pilnował zaplecza i serwował alkohol tym nielicznym, którzy znali hasło, albowiem drogeria nie dysponowała pozwoleniem na wyszynk. Zdawał sobie sprawę, dlaczego tak się ociągał - bał się powrotu do domu pustymi, ciemnymi uliczkami. Południowy kraniec Nowego Jorku po dziesiątej wieczorem jest praktycznie opustoszały, nie ma tu dużych willi, teatrów ani kafejek, można jedynie natknąć się na spóźnionych wędrowców wracających do domu z przystani promowej, reporterów, policjantów i podejrzanych typów stojących u wejścia do obskurnych knajpek. Enklawa redakcji prasowych przy Park Row naturalnie wciąż tętniła życiem, skąpana w silnym świetle, lecz wystarczyło wyjść poza granicę tej wąskiej strefy i noc otaczała człowieka niczym mroczny, jedwabny kokon.

Williams zastanowił się nad wydaniem trzech dolarów na taksówkę, ale odrzucił od siebie tę myśl; była nazbyt ekstrawagancka. Właśnie zjawił się Galusha Owen; miał jednak zbyt mocno w czubie, aby mógł okazać się

przydatny dla Williamsa. Poza tym Owen mieszkał w Harlemie, wiele mil za Dziewiętnastą Ulicą, dokąd zamierzał udać się Williams. Wypił kolejną szklaneczkę whisky, już czwartą, po czym wyjrzał na ulicę przez szybę z witrażowego szkła. Na zewnątrz nie było żywego ducha. Zebrał się w sobie i ruszył w stronę drzwi. Wyszedł, a właściwie nieomal wybiegł na zewnątrz, gdy nieoczekiwanie wpadł na kogoś, kto pojawił się przed nim jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Williams krzyknął głośno i uniósł przed sobą pięści zaciśnięte w geście obronnym.

– Gdzie się tak spieszysz? – usłyszał znajomy głos, pełen rozbawienia.
– Czyżby księżę Walii wyzionął ducha?

To był Senator, jedyna osoba, której obecności Williams mógłby sobie teraz zażyczyć.

– Lepiej wejdź i przepłucz gardło – rzekł Williams – odprowadzę cię później do domu.

Ucieszył się na widok przyjaciela, bo pensjonaty, w których mieszkali, dzieliło zaledwie kilka ulic.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, aby ten facet mógł zdzierżyć to długie kazanie tylko po to, by cię obserwować – zauważył Senator, wysłuchawszy ożywionej relacji przyjaciela.

– Ten typ zadałby sobie każdy trud, aby tylko osiągnąć upragniony cel – odparł Williams z przekonaniem. – Uważnie obserwuje moje nawyki i codzienne zachowania. Gdy chodzi o sprawę życia i śmierci, nie lubi zbędnego ryzyka. Założę się, że nawet teraz jest gdzieś w pobliżu.

– Furda tam! – wykrzyknął Senator i zaśmiał się w wymuszony sposób.
– Masz obsesję na punkcie Hensiga i śmierci. Wypijmy lepiej jeszcze po jednym...

Dopili swoje drinki i wyszli z drogerii, przeszli na ukos przez City Hall Park w stronę Broadwayu, po czym skręcili na północ. Przemierzyli opustoszałe, ciemne uliczki Canal i Grand. Minęło ich po drodze tylko kilku podchmielonych dżentelmenów. Spotkali kilku policjantów, trzymających się blisko bocznego wejścia do tej czy innej knajpki, rozpoznali jednego czy dwóch i powitali ich, życząc spokojnej nocy. Poza tym nie napotkali już nikogo, tę część wyspy Manhattan mieli praktycznie wyłącznie dla siebie. Obecność Senatora, zawsze życzliwego i wesołego, rozgrzewający wpływ pół tuzina szklaneczek whisky oraz widok stróżów

prawa nieco poprawiły Williamsowi humor. Kiedy dotarli w końcu do Czternastej Ulicy, lepiej oświetlonej i nieco bardziej ruchliwej, a reporter ujrzał Union Square, skąd już tylko rzut kamieniem dzielił go od ulicy, przy której mieszkał, poczuł przypływ odwagi i nie lękał się już samotnego, nocnego spaceru.

– Dobranoc! – zawołał wesoło Senator. – Wracaj bezpiecznie do domu. Ja już tutaj skręcam. – Zawahał się przez chwilę, zanim skręcił w boczną uliczkę, po czym dodał: – Dobrze się czujesz, prawda?

– Mógłbyś zarobić podwójną stawkę za artykuł na wyłączność, gdybyś był świadkiem napadu na mnie – odparł Williams, zaśmiał się głośno, po czym jeszcze przez chwilę odprowadzał przyjaciela wzrokiem.

Kiedy jednak Senator zniknął mu z oczu, jego śmiech natychmiast umilkł. Ruszył dalej samotnie, przeszedł przez rozległy, ozdobiony strzelistymi drzewami plac i przyspieszył kroku. Raz czy dwa odwrócił się, by sprawdzić, czy nie jest śledzony. Przyglądał się bacznie bezdomnym i pijaczkom rozciągniętym na parkowych ławeczkach, gdzie spędzali noc. Nic jednak nie wzbudziło jego zaniepokojenia; jeszcze kilka minut i znajdzie się w swojej małej sypialni w pensjonacie, gdzie powinien być całkiem bezpieczny. Po drodze dostrzegł światła winiarni Burbachera, gdzie szacowni Niemcy sączyli reńskie wino i do białego rana grali w szachy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wejść tam na kielicha, ale w końcu B! zmitygował się i pomaszerował dalej. Gdy dotarł do drugiego krańca placu i ujrzał przed sobą mroczny wylot Osiemnastej Wschodniej, stwierdził, że mimo wszystko najlepiej będzie, jak zawróci i wypije jeszcze jednego drinka. Przystanął na chwilę, po czym obrócił się na pięcie i przyspieszył kroku, sprawna dotąd machina jego woli zaczynała coraz bardziej szwankować.

Dopiero w drodze powrotnej do baru uświadomił sobie ponurą prawdę – prawdziwym powodem, dla którego zawrócił i nie wszedł w ciemną uliczkę, był wewnętrzny, bliżej nieokreślony niepokój, że w tym zaułku mógł się ktoś ukrywać. Wiedział kto. Gdyby latarnia na rogu ulicy paliła się, nie zdecydowałby się zawrócić. Ledwie ta myśl zaświtała mu w głowie, pomimo lekkiego rauszu wywołanego wypitym alkoholem, dostrzegł jakąś postać, która bezszelestnie jak cień wyłoniła się z uliczki, gdzie nie zdecydował się wejść, i podążała teraz w ślad za nim. Osobnik zbliżał się, szedł chodnikiem wzdłuż rzędu domów, trzymając się wśród głębokich

cieni rzuconych przez budynki i płoty, które sprawiały, że był niemal całkiem niewidoczny.

Z chwilą gdy Williams wszedł w krąg światła płynącego z wnętrza winiarni, zdał sobie sprawę, że tamten był tuż za nim, zbliżał się bezgłośnym truchtem. Williams odwrócił się w jego stronę. Ujrzał szczupłego mężczyznę o ciemnych włosach, niebieskich oczach i rozpoznał go natychmiast.

– Późna pora na powrót do domu – usłyszał. – Tak mi szę wydawało, że rozpoznałem mojego przyjaciela, reportera z *Vulture*'a.

Głos był cichy, z pozoru życzliwy, ale Williams odniósł wrażenie, że słowa tamtego są zimne jak lód i brzmią raczej jak: „Mam cię! Nareszcie cię dopadłem! Jesteś wyczerpany i masz nerwy w strzępach. Teraz mogę z tobą zrobić, co tylko zechcę”. Albowiem głos i oblicze należały do Hensiga Dręczyciela, zaś ufarbowane włosy podkreślały jedynie posępność oblicza i jego upiorną bladość.

W pierwszej chwili miał ochotę wziąć nogi za pas, w następnej był bliski rzucenia się na prześladowcę i zasypania go gradem ciosów. Był w stanie stawić czoła przeciwnikowi uzbrojonemu w pistolet lub pałkę, lecz ta osobliwa istota, szczupła, wiotka, o trupio bladej twarzy, roztaczająca wokoło aurę niehumanicznego okrucieństwa przerażała go do tego stopnia, że nie potrafił zareagować, ani nawet wydobyć z siebie głosu. Znajomość jego zwyczajów tylko pogłębiała konsternację Williamsa, świadomość, że Hensig czekał na niego późną nocą, gdy reporter był zmęczony i oszołomiony po całym dniu uciążliwej pracy; i w tym momencie zrozumiał, co musieli odczuwać skazańcy na kilka godzin przed egzekucją: napady histerycznej zgrozy, kompletne zagubienie, mętlik w głowie i przerażająca bezradność. Mimo to reporter zdołał jednak wykrztusić z siebie kilka słów, a nawet zaśmiać się, zapytał bowiem z głupia frant: – Zamierzałem przed pójściem spać strzelić sobie kielicha, przyłączy się pan do mnie?

Dopiero później zdał sobie sprawę, dlaczego zdecydował się rzucić Niemcowi to zuchwałe zaproszenie – podświadomie czuł bowiem, że nie może pozwolić, aby Hensig go przejrzał, zorientował się, że Williams się go boi i jest wręcz wymarzoną, bo całkiem bezbronną ofiarą.

Hensig zgodził się, a Williams poczuł, jak silna wola tamtego pozbawia go resztek pewności siebie i odwagi. Ruszyli wzdłuż ulicy. Reporter miał wrażenie, że myśli rwącym potokiem zalewają jego mózg, powodując w

jego umyśle nieopisany, niepoahamowany chaos. Nie potrafił powiedzieć nic więcej, a gdyby tylko nadarzyła się dogodna okazja, w jednej chwili rzuciłby się do ucieczki przez pogrążone w mroku nocy opustoszałe uliczki.

– Może – usłyszał głos Niemca – wypiję z panem kufelek piwa. Poznał mnie pan jusz, i to nawet pomimo... – dodał, lekkim ruchem ręki wskazując na wąsy i włosy o zmienionym kolorze. – Jeszli pan chce, udzelenę tesz panu wywiadu.

Reporter przytaknął niepewnie, nie wiedząc, co miałby rzec w tej sytuacji. Odwrócił się bezradnie i spojrzal tamtemu w oczy. Czuł się jak ptak mający przed sobą rozwierającą się nieuchronnie paszczę węza, który zahipnotyzował go spojrzeniem. Lęk, gromadzący się w nim przez całe tygodnie, spowił jego serce. Był to rzecz jasna skutek hipnotycznego wpływu Niemca, stwierdził w duchu Williams, pomimo oszołomienia wywołanego alkoholem, skumulowany efekt diabolicznej i bezlitosnej osobowości druzgocącej słabszą, nadmiernie wrażliwą i podatną ofiarę. Kiedy zaś zaproponował mu pójście na drinka, tamten zaś skwapliwie przyjął ofertę, reporter zrozumiał, że popełnił bład i nieświadomie wprowadził w ruch opracowany przez lekarza złowrogi plan, którego kulminacją miała być skierowana przeciwko niemu napaść, no, może *napaść* to zbyt wielkie słowo, ot zwykły dotyk, lekkie draśnięcie, zadrapanie skóry do krwi, ale tak czy owak w umyśle Williamsa było to jednoznaczne z usiłowaniem morderstwa. Od alkoholu szumiało mu w głowie. Czuł się dziwnie bezsilny. Szedł bezwolnie na spotkanie swojej zguby, krocząc u boku swego kata.

Wszelkie próby analizy psychologicznej tej sytuacji w jego przypadku miały się z celem. Jednak pomimo mętliku w głowie i ośpienia wywołanego przez whisky, Williams zdawał sobie sprawę z dwóch *nader istotnych* w jego przypadku rzeczy.

Po pierwsze, mimo iż był na rauszu, wiedział, że nadejdzie moment, kiedy odzyska siłę woli i będzie w stanie podjąć jedną, jedyłą próbę ucieczki, a co za tym idzie, nie powinien marnować ani odrobiny energii na zbędne półśrodki. Będzie udawał bezwolnego i zrezygnowanego; ofiarę pogodzoną z własnym, nieuchronnym losem. Strach, który go teraz paraliżował, będzie w nim wzbierał aż do punktu kulminacyjnego, a wtedy podejmie jedną, jedyłą próbę walki o życie. Bo tak jak skończony tchórz może w pewnej chwili przekroczyć granicę lęku i wykazać się heroiczną odwagą, zadziwiając nawet najdzielniejszych mężczyzn, zastraszona ofiara

również jest w stanie przemoc trawiące ją lęki i osiągnąć stan, w którym nie będzie odczuwać absolutnie niczego. Będzie wówczas jak beznamiętna, zimna maszyna, działająca z niewzruszonym spokojem, logiką i precyzją, czym powinna do reszty zaskoczyć swego oprawcę. To rzecz jasna nieuchronny, powrotny ruch wahadła, prawo jednakowej akcji i reakcji.

Williams mgliście wyczuwał narastający w nim potencjał, moc gromadziła się w nim pod warstwami innych, pomniejszych emocji, lecz jeśli osiągnie dostateczny poziom lęku, powinien móc do niej dotrzeć i wydobyć na powierzchnię, a następnie zrobić z niej właściwy użytek.

Podporządkowując się podszeptom bardziej racjonalnej i trzeźwiejszej części swego ja, nie próbował się opierać, lecz natychmiast przystał na wszystko, co sugerował jego oprawca. Tym sposobem nie stracił ani odrobiny mocy, od której mogło wkrótce zależeć jego życie, w zależności od tego, jak potoczą się dalsze wydarzenia. Równocześnie intuicja podpowiadała mu, że jego uległość, słabość i bezradność mogły nawet do pewnego stopnia zwieść jego dręczyciela i zwiększyć szansę reportera na ucieczkę przy pierwszej dogodnej okazji.

To, że Williams był zdolny do wyobrażenia sobie tego psychologicznego zagadnienia, lecz nie potrafił go przeanalizować, stanowiło jawny dowód, iż w pewnych sytuacjach był on osobą psychologicznie aktywną. Jego głęboko skrywane, podświadome ja, pobudzone przez alkohol i sytuację stresową prowadziło go krok za krokiem i stan ten nie powinien ulec zmianie, o ile tylko Williams nie popełni jakiegoś błędu.

Druga rzecz, którą sobie uświadomił nieomal intuicyjnie, to to, że mógł jeszcze sporo wypić – alkohol zaś zwiększy tylko jego moc i bystrość umysłu – ale nie wolno mu było przekroczyć pewnej granicy. Za nią była już tylko czerń nieświadomości, urwany film, jeden łyk za dużo i przekroczy tę granicę, a była ona bardzo cienka. Zupełnie jakby intuicja podpowiadała mu, że świadomość pijaka jest w dużej mierze zbliżona do świadomości mistycznej. Jak na razie był oszołomiony, dezorientowany i wystraszony, ale dodatkowy stymulator powinien skutecznie stłumić pozostałe emocje, przepełniając go niewzruszoną pewnością siebie, przydając mu jasności umysłu, zdecydowania, i podnieść jego fizyczne zdolności do nadnaturalnego poziomu. Musiał tylko w odpowiednim momencie powie—’ dzieć sobie stop i przestać pić.

Jego szanse ucieczki zależały od dwóch czynników – a w każdym razie tak to sobie tłumaczył – po pierwsze musiał pić, aż zyska niezłomną pewność siebie i typowy dla pewnego stadium upojenia alkoholowego nadnaturalnie czysty i przejrzysty umysł, po drugie zaś, musiał czekać na moment, kiedy przestanie odczuwać lęk, jaki wywoływał w nim Max Hensig. Wtedy powinien przejść do natychmiastowego działania. Jego wola będzie wolna i nic nie stanie na przeszkodzie podejmowanym przez nią decyzjom.

Te dwie rzeczy były dla niego jasne; pomimo alkoholu i strachu zdołał to sobie jakoś uświadomić.

Tak oto, usiłując zebrać siły i myśli, szedł wzdłuż ulicy obok męzczyzny, który nienawidził go i zamierzał zabić. Na razie mógł jedynie czekać. Wszelkie próby podjęte w tym momencie byłyby skazane na porażkę. Po drodze rozmawiali trochę, Niemiec gawędził ze spokojem, jak podczas towarzyskiego spotkania. Jego zachowanie zdradzało, iż czuł, że ma ofiarę w pełni pod kontrolą, a nerwowa szarpanina reportera wzbudziła w nim głębokie rozbawienie. Skwitował śmiechem fakt, iż ufarbował włosy, tłumacząc, że zrobił to, aby zadowolić kobietę; jej zdaniem wyglądał przez to młodziej. Williams wiedział, że było to zwyczajne kłamstwo i chodziło nie tyle o kobietę, co raczej o policję, lecz w słowach tamtego zaczęła pobrzmiwać nuta próżności i pychy.

Nie chciał też wejść do winiarni Burbachera, twierdząc, że nie opłaca się on (Burbacher) policji, a tym samym istniała spora szansa, że lokal otwarty o tak późnej porze mógł paść ofiarą nalotu stróżów prawa.

– Znam cichą knajpkę przy Trzeciej Alei. Chodźmy tam – powie dział.

Williams szedł chwiejnym krokiem, wewnątrz był cały roztrzęsiony, wciąż rozpaczliwie poszukiwał możliwości ucieczki, ale skręcił w pierwszą boczną uliczkę, którą mieli dotrzeć do celu. Pomyślał o ludziach, których widział, przemierzających krótką drogę ze swojej celi do pokoju straceń w Sing-Sing i zastanawiał się, czy czuli oni to samo. Miał wrażenie, jakby szedł na własną egzekucję.

– Dokonałem nowego odkrycia w bakteriologii, jeżeli chodzi o bakterie – ciągnął doktor – uczyni mnie ono szławnym, gdysz jest bardzo ważne. Jako mój pszyjaciel, będzie miał pan ten temat na wyłączność, aby opublikować cykl artykułów w *Vulture*. – Przeszedł do kwestii merytorycznej, a umysł reportera jął skupiać się na takich sformułowaniach,

jak toksyny, alkaloidy itp. Williams wiedział jednak, że Hensig bawił się z nim i był absolutnie pewien, iż miał ofiarę w swojej mocy. Gdy zachwiał się silniej na nogach, co zdarzyło mu się niejedną raz, Niemiec ujął go za ramię, aby go podtrzymać, a jego dotyk wydał się Williamsowi tak odrażający, że z trudem powstrzymał okrzyk obrzydzenia cisnący mu się na usta.

Zawrócili wzdłuż Trzeciej Alei i przystanęli przed drzwiami taniej, niedużej knajpki. Zauważył nad gankiem napis Schumacher, ale wszystkie światła były zgaszone, oprócz słabej poświaty płynącej przez świetlik. Ktoś wychylił ostrożnie głowę przez uchylone drzwi i przyjrząwszy się pobieżnie, wpuścił ich do środka, szeptem nakazując, by zachowywali się cicho. Było to typowe zachowanie skorumpowanych właścicieli barów, którzy płacili policji comiesięczny haracz, aby ich lokale mogły być czynne całą dobę. Warunkiem było, aby w lokalach panował spokój, cisza i żeby nie było żadnych bójek. Było już blisko świtu, na ulicach żywego ducha.

W miejscu, do którego weszli, reporter czuł się jak w domu; gdyby było inaczej, złowieszczą atmosfera podejrzanej, nocnej spelunki, z panującym w niej półmrokiem i aurą podejrzliwości, mogłaby wzbudzić w nim niepokój. Przy barze stał tuzin osobników o twarzach jakby żywcem wyjętych z policyjnych kartotek, światło płynące zza baru było tak słabe, że oświetlało jedynie ich drinki ustawione rzędem na kontuarze. Właściciel knajpy spojrzał na Hensiga i natychmiast go rozpoznał. Reporter i Niemiec przeszli po wysypanej piaskiem podłodze.

– Chodźmy – wyszeptał Niemiec. – Pójdźmy do sali na zapleczu. Znam hasło. – Zaśmiał się i ruszył pierwszy.

Przeszli na drugi koniec baru, otworzyli drzwi i weszli do jasno oświetlonego pomieszczenia z tuzinem stolików, przy których w towarzystwie mocno umalowanych kobiet siedzieli mężczyźni, sącąc drinki, głośno rozmawiając, śpiewając, przekrzykując się i kłócąc nawzajem. W powietrzu było gęsto od dymu. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, gdy podeszli do stolika w przeciwległym końcu sali, wybranego przez Hensiga, a kiedy podszedł do nich kelner i zapytał: – *Was nehmen die Herren?* – by po chwili wrócić z dwiema szklaneczkami taniej whisky, Williams opróżnił swoją jednym haustem, bez popijania alkoholu wodą sodową i natychmiast zamówił następną.

– Potwornie rozwodniona – rzucił bełkotliwie do swego towarzysza – a poza tym jestem zmęczony.

– W tych okolicznościach pewno lepiej pomogłaby panu kokaina – odparł Niemiec z rozbawieniem.

Dobry Boże! Czy było coś, czego ten Niemiec o nim nie wiedział? Musiał śledzić go od wielu dni. Upłynął co najmniej tydzień, odkąd Williams odwiedził drogerię przy Pierwszej Alei, aby ponownie napełnić diabelską buteleczkę. Czy szedł jego tropem każdej nocy, gdy wracał z redakcji do domu? Ta niewzruszona uporczywość i wytrwałość sprawiła, że lodowate ciarki przebiegły mu po plecach.

– Szkoro jeszt pan zmęczony, skończymy to możliwie jak najszybczej – ciągnął doktor – a jutro pokaże mi pan szwój artykuł do autoryzacji. Zanim szę rozsztniemy, podam panu mój adresz.

Coraz bardziej niewyraźna wymowa i coraz silniejszy akcent zdradzały jego narastającą ekscytację. Williams znów wypił whisky bez wody i zamówił następną; gdy pojawił się kelner, reporter stuknął się kieliszkiem z siedzącym naprzeciw niego zabójcą i od razu wypił połowę zawartości, podczas gdy Hensig ledwie umoczył usta, przyglądając się swojej ofierze lodowatym, nieludzkim, beznamiętnym wzrokiem.

– Mogę stenografować – zaczął reporter nagle, udając, że jest całkiem spokojny i opanowany.

Za stolikiem było lustro i pospiesznie rozejrzał się po sali, podczas gdy jego towarzysz jął przeszukiwać kieszenie płaszcza, gdzie miał notatki. Williams uważnie obserwował każdy jego ruch, a jednocześnie zarejestrował w pamięci pozostałe osoby, znajdujące się w pomieszczeniu na tyłach baru. Ujrzał niemal same zapijaczone twarze życiowych wykolejeńców, wątpił, aby w razie potrzeby któryś z tych nieudaczników zechciał pospieszyć mu z pomocą. Zdumiało go, że wolał raczej widok bardziej lub mniej zwierzęcych twarzy degeneratów i alkoholików dokoła niż ascetyczne oblicze siedzącego naprzeciw niego mordercy–intelektualisty. Oni przynajmniej byli ludźmi, podczas gdy on, Hensig, nie miał prawa zaliczać się do tego gatunku, był potworem w ludzkiej skórze, zaś fakt, że Williamsowi miłsze było towarzystwo marginesu społecznego, którym na co dzień gardził, sprawiał, iż w nowy, dotąd nieznanym sposobem jął postrzegać swego towarzysza z przymusu. Dopił drinka i zamówił jeszcze jednego.

Tymczasem alkohol zaczął wydobywać go ze stanu otępienia i marazmu, w jaki wtrąciły go wcześniejsze libacje i skumulowany strach. Jego umysł zaczął się przejaśniać. Poczł przy tym, że odzyskuje siłę woli. Wypił już dość, by w normalnych okolicznościach zaczęło kręcić mu się w głowie, ale tej nocy strach tłumil działanie alkoholu, utrzymując go w stanie osobliwej, niewzruszonej gotowości. O ile tylko nie przekroczy pewnej granicy, mógł pić dalej, aż osiągnie stan, w którym będzie potrafił wykorzystać całą swą wewnętrzną siłę do podjęcia jednej, ostatecznej próby ucieczki. Jeżeli przekroczy tę psychologiczną granicę własnej wytrzymałości, padnie jak ścięty.

Głuchy łoskot sprawił, że Williams drgnął gwałtownie. Dźwięk rozległ się z tyłu za nim, pod drugą ścianą. W lustrze zauważył, że mężczyzna w średnim wieku stracił równowagę i spadł z krzesła, pijany jak bela, a dwie kobiety na pozór próbowały go podnieść, lecz w rzeczywistości metodycznie przetrząsały mu kieszenie, gdy leżał jak długi na podłodze. Postawny osobnik, który dotąd spał w kącie, przestał chrapać, obudził się, uniósł wzrok i wybuchnął śmiechem, ale nikt nie zainterweniował. W miejscach takich jak to, w takim towarzystwie mężczyzna musi mieć się na baczności, w przeciwnym razie przyjdzie mu słono za to zapłacić. Postawny osobnik ponownie przymrużył powieki, upijając wcześniej łyk drinka ze swojej szklaneczki. W sali znów zrobiło się gwarno. To, co się stało, nie było wynikiem nadmiaru wypitego alkoholu, lecz kropel na sen, które kobiety zaaplikowały swemu towarzyszowi od kieliszka. Williams upomniał sam siebie, że akurat tego nie powinien się obecnie obawiać. Metoda Hensiga będzie o wiele sprytniejsza i subtelniejsza. Bakterie! Zadrapanie zakażoną igłą!

– Mam tu notatki dotyczące mojego odkrycza – zaczął właśnie, kwitując uśmiechem to niespodziewane interludium i wyjmując z kieszeni gruby plik kartek. – Ale treszcz jeszt po niemieczku, więc przetłumaczę je panu. Ma pan kartkę i ołówęg?

Reporter wyjął z kieszeni plik czystych kartek, które miał zawsze przy sobie, i przygotował się do pisania. Hałas pociągów dochodzący z zewnątrz i gwar pijackich rozmów toczących się w sali tworzyły tło, pośród którego Williams słyszał, jak Niemiec zimnym, stanowczym tonem ciągnie swój wywód. Od czasu do czasu ludzie wychodzili z baru, a ich miejsce zajmowali nowi klienci. Kiedy hałas kolejnych burd i bijatyk oraz brzęk

tluczonego szkła stały się nie do zniesienia, Hensig czekał, aż w sali znów zapanuje cisza. Bacznie przyglądał się wszystkim nowo przybyłym. Klientów było teraz niewiele, noc miała się bowiem ku końcowi, zaczęło się przejaśniać, knajpa powoli pustoszała, kelner drzemał na krześle przy drzwiach, postawny osiłek wciąż pochrapywał w najlepsze w kącie pod oknem. Gdy zostanie już tylko on, właściciel z całą pewnością zechce zamknąć lokal. Facet co najmniej od godziny nie zamówił kolejnego drinka. Williams natomiast pił w najlepsze, dążąc do punktu, w którym znajdzie się u szczytu sił i możliwości, pewny siebie, zdecydowany i gotowy na wszystko. Ta chwila zbliżała się milowymi krokami. Podobnie jednak jak chwila, na którą czekał Hensig. On także wydawał się niezłomnie pewny siebie, zachęcał swego towarzysza, aby jeszcze się napił, i z nieskrywanym zadowoleniem obserwował jego stopniowy, postępujący upadek. Był wyraźnie rozbawiony. Nie obawiał się, że ofiara może mu umknąć, czuł, że na dobre złapał ją w swoje sidła. Kiedy postawny osobnik wyjdzie, zostaną sami, przez minutę lub dwie nie będą przez nikogo obserwowani, a póki co nadmierna pewność siebie wprawiała go w stan bliski beztrusce. Williams także to zauważył.

Czuł, że odzyskuje dawną siłę woli, ale wraz z nią i bystrością umysłu ponownie pojawił się strach. Lęk wzrastał się. Dwie rzeczy, na które czekał, były już o krok – osiągnięcie stanu, w którym nie będzie już odczuwał strachu, i kulminacyjny moment, kiedy powinien przestać pić. A potem do dzieła i w nogi!

Z tą myślą słuchał monologu Niemca i robił notatki, a równocześnie przeszedł ze stanu kretyńskiej, otepiałej, negatywnej zgrozy w fazę aktywnej, pozytywnej trwogi. Alkohol rozpałił w nim ukryte środki ostrożności, które raz dostrzeżone natychmiast zaczynały się ujawniać; innymi słowy stał się czujny, krytyczny, wrażliwy i spontaniczny. Moc narastała w nim w błyskawicznym tempie. Jego przejrzystość umysłu przybierała na sile, aż w końcu Williams odniósł wrażenie, że jest w stanie nieomal wejrzeć w głąb umysłu tamtego. Czuł się, jakby siedział naprzeciwko wielkiego zegara i słyszał każdy, nawet najcichszy zgrzyt obracających się zębatek jego mechanizmu. Zdawało się, że zmysł postrzegania rozprzestrzenił się z oczu na całe jego ciało, wiedział, co się dzieje obok niego, choć tak naprawdę nie rejestrował tego wzrokiem. W ten sam sposób słyszał wszystko, co działo się na sali, nie odwracając głowy. Z

każdą chwilą jego umysł coraz bardziej się przejaśniał. W tym momencie Williams stał się nieomal jasnowidzem. Zyskał dar jasnowidzenia i jasnosłyszenia. Osiągnął ostatnie stadium przewidzianego wcześniej procesu.

Od czasu do czasu upijał łyk whisky, lecz o wiele ostrożniej niż dotychczas, wiedział bowiem, że wyostrenie jego zmysłów stanowiło zapowiedź rychłego załamania. Stan ten utrzyma się nie dłużej niż przez minutę lub dwie. Granica była przeraźliwie cienka, a on stracił już władzę w palcach; dokonywany przez niego stenograficzny zapis zmieniał się w bazgroły, które w niczym nie przypominały poprawnych znaków. Gdy biały blask jego anormalnej percepcji przybrał na sile, koszmar obecnej sytuacji wydał mu się jeszcze bardziej przerażający i wyrazisty. Wiedział, że walczy o życie z bezduszną, diaboliczną istotą, której bliżej było do demona niż do człowieka. Strach wzrastał w nim z każdą mijającą minutą. Teraz moc postrzegania powinna przerodzić się w działanie, zrobi, co do niego należało, powalczy o życie, nie podda się bez walki.

I tak już w pewnym sensie działał, to znaczy udawał. Odgrywał rolę bardziej pijanego, niż był w istocie, znaki, które kreślił na papierze, wyglądały koślawo. Słowa płynące z jego ust były niewyraźne i bełkotliwe. Sprawiał wrażenie, jakby był bliski utraty świadomości, zaś dar jasnosłyszenia, który objawił się w nim na kilka chwil, uświadomił mu, że jego fortel się udał. Hensig dał się zwieść, przynajmniej do pewnego stopnia. Dał tego wyraz, wykazując się coraz większą bez troską i nie kryjąc swego rozbawienia.

Williams był do tego stopnia skupiony na motywach kierujących potworną istotą siedzącą naprzeciw niego, że nie poświęcał najdrobniejszej uwagi wyjaśnieniom i słowom płynącym z ust Niemca. Nie słyszał ani nie rozumiał nawet jednej setnej z tego, co mówił doktor, lecz od czasu do czasu wychwytywał koniec zdania i na jego podstawie formułował bardziej lub mniej trafne pytanie, na które Hensig, ewidentnie rozbawiony pogłębiającym się upojeniem alkoholowym reportera, odpowiadał spokojnie i wyczerpująco, patrząc z uwagą na kreślone przez Williamsa na kolejnych kartkach papieru nic nie znaczące hieroglify.

To wszystko stanowiło rzecz jasna tylko zasłonę dymną. Hensig nie dokonał żadnego odkrycia. Używał naukowego żargonu, świadom, że te stenograficzne notatki nigdy nie zostaną przepisane, a on sam będzie już

daleko, całkiem bezpieczny, zanim jego ofiara wytrzeźwieje, by zdać sobie sprawę, że trawi ją zabójcza choroba, na którą współczesna medycyna nie ma żadnego lekarstwa.

Williams wiedział to wszystko i czuł aż nadto wyraźnie. To w jakiś sposób objawiło mu się, wypływając z głębin umysłu za sprawą alkoholu, lecz nie był w stanie do tego dotrzeć, dystans, jaki go od tego dzielił, był dla niego nie do przebycia. Rozumiał doskonale, że Hensig czeka na dogodny moment do działania, że nie podejmie żadnych brutalnych kroków, lecz zrealizuje swój plan w tak niewinny sposób, aby jego ofiara niczego nie podejrzewała, a gdy już zorientuje się, że została zakażona...

Och! A co to takiego? Coś się zmieniło. Coś się stało. To było jak dźwięk gongu, a trawiący reportera lęk wzmógł się jeszcze bardziej. Plan Hensiga wszedł w kolejną fazę. Rzecz jasna nie towarzyszył temu żaden dźwięk, lecz jego zmysły zwały szeregi, łącząc się w jedną całość, i z jakiegoś powodu odebrał tę zmianę jako wrażenie słuchowe. Poziom strachu w jego wnętrzu był bliski kulminacji. Jednakże chwila działania jeszcze nie nadeszła, a on zaśmiał się Hensigowi prosto w twarz. Oczyma duszy ujrzał Białasa Fife'a chwytającego kieliszki strącane z brzegu stolika w barze Steve'a Brodiego.

Śmiech był bez wątpienia ochryply i pijacki, ale Niemiec na ten dźwięk drgnął nerwowo i podejrzliwie uniósł wzrok. Nie spodziewał się tego, a Williams spod półprzymkniętych powiek ujrzał wyraz niepewności malujący się przez chwilę na jego bladym obliczu, jakby doktor rozumiał, że nie panował nad sytuacją w takim stopniu, jak mu się zdawało.

– Pomyślałem nagle o Białasie Fajfie strącającym ze stolika kieliszki mające symbolizować Stevabrodiego – wyjaśnił mu Williams bełkotliwym tonem. – Pan ssna oczywiście Białassssa, co? Jasssne, że tak, ha, ha!

Nic nie mogło bardziej zmylić Hensiga. Na jego twarzy znów pojawił się wyraz okrutnej, zimnej determinacji. Kelner, obudzony hałasem, poruszył się niepewnie na krześle, a potężny osobnik siedzący w kącie ze spuszczoną głową upił tak duży haust drinka, że omal się nie zadławił. Poza tym jednak w sali panowała niezmacona cisza. Niemiec odzyskał pewność siebie i - jak przypuszczał - pełną kontrolę nad sytuacją. Williams, w jego mniemaniu, był dostatecznie pijany, aby z łatwością mógł wciągnąć go w swą sieć.

A więc jednak reporter wcale się nie pomylił. Faktycznie coś się *zmiało*, Hensig zamierzał coś zrobić i zastanawiał się usilnie nad realizacją swego planu.

Ofiara, będąca obecnie o krok od apogeum swych możliwości, punktu, w którym strach przestanie oddziaływać na reportera, alkohol zaś popchnie go do zdecydowanego i nieomylnego działania, przejrzała zamiary mordercy. Do tej kulminacji doprowadziły Williamsa niezliczone drobne szczegóły – pustoszejący lokal, świadomość, że bar zostanie wkrótce zamknięty, szarówka za oknem i złowrogi wyraz twarzy jego towarzysza, widocznej w bladym świetle lampy gazowej. Uch! W powietrzu unosiła się zatechła woń alkoholu i tytoniowego dymu, i tanich perfum, których używały nieobecne już w knajpie kobiety. Podłoga usłana była kartkami papieru, pokrytymi niemożliwymi do odczytania bazgrołami. Na blacie stolika widać było mokre ślady i popiół z papierosów. Dłonie i stopy Williamsa były lodowate, w jego oczach płonął ogień. Serce biło jak młotem.

Ton głosu Hensiga zmienił się. Od kilku godzin czekał na tę chwilę. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby cokolwiek zauważyć, o ile to, co się stanie, w ogóle będzie dostrzegalne. Postawny osobnik znowu chrapał, podobnie jak kelner. W drugiej sali panowała głucha cisza, w tej zaś cisza stała się wręcz grobowa.

– A terasz, panie reporterze z *Vulture'a*, pokaszę panu to, co przez cały ten czas próbowałem panu wyjasnić – rzekł Hensig zimnym, metalicznym głosem.

Przesunął czystą kartkę papieru należącą do reportera w stronę Williamsa, starannie omijając mokre miejsca.

– Czy mógłby pan pożyczyć mi na chwilę swój ołówek? Williams, udając, że jest bliski całkowitej utraty kontaktu ze światem, upuścił ołówek na blat i popchnął go po gładkim, polerowanym drewnie, jakby nie był w stanie wykonać innego ruchu. Z głową zwieszoną na piersi patrzył tępy wzrokiem na Niemca. Hensig zaczął coś rysować, mocno dociskał koniec ołówka do kartki, a na jego ustach wykwitł delikatny uśmiezek.

– To jest, widzi pan, ludzkie ramię – rzekł, rysując pospiesznie – a tu są główne nerwy, tu arteria. Moje odkrycie, jak już mówiłem, polega na tym, że... – Wdał się w długi, pełen naukowych zwrotów, komplet nie bezsensowny monolog, podczas gdy reporter rozmyślnie położył luźno rękę

na blacie stołu, wiedząc doskonale, że za chwilę Hensig ujmie jego dłoń... by na tym przykładzie opisać mu swoje odkrycie.

Zgroza, jaką czuł, była tak silna, że po raz pierwszy tej upiornej nocy tylko krok dzielił go od zdecydowanego, konkretnego działania. Był bliski kulminacji. Jego emocje osiągnęły punkt wrzenia. Choć miał nieźle w czubie, jego umysł pozostał wyjątkowo trzeźwy, mógł myśleć logicznie, dokonywać osądów i podejmować świadome decyzje, a za chwilę – kiedy Hensig spróbuje wykonać swe ostatnie posunięcie i przejdzie do bezpośredniego ataku – on pokona w sobie barierę strachu i będzie w stanie zrobić jedną, jedyną rzecz, od której jak podejrzewał, zależało teraz jego życie. Nie miał pojęcia, co będzie musiał zrobić ani czy w ogóle zdoła tego dokonać, wszystko będzie zależało od potrzeby chwili, wiedział tylko, że sił starczy mu tylko na ten jeden desperacki zryw, po którym zwali się bez przytomności pod stół.

Nagle Hensig upuścił ołówek, który potoczył się z cichym grzechotem w kąt pomieszczenia, co mogło sugerować, że uczynił to energicznie i ze znaczną siłą. Zrobił to celowo i bynajmniej nie próbował go podnieść. Williams, pragnąc przejrzeć jego zamiary, wykonał ruch, jakby chciał schylić się po upuszczony przez Niemca przedmiot, jednak doktor, zgodnie z jego przewidywaniami, nie pozwolił mu na to.

– Mam drugi – rzucił pospiesznie, sięgając do wewnętrznej kieszeni i wyjmując długi, czarny ołówek. Williams w okamgnieniu, patrząc spod półprzymkniętych powiek, zauważył, że ołówek był z jednej strony ostro zatemperowany, zaś jego drugi koniec zdobiła ochronna nasadka zrobiona z jakiejś przezroczystej, przypominającej szkło substancji, długa na jedną trzecią cala. Usłyszał, jak brzęknęła, uderzając w guzik płaszcza doktora, dostrzegł także niezauważalny dla osoby pijanej, nie spodziewającej się niczego złego, delikatny ruch ręki Hensiga, który wprawnie usunął nasadkę z ołówka, odsłaniając jego drugi koniec. Coś na nim błysnęło, coś ostrego i metalicznego, jak koniuszek szpilki.

– Proszę dacz mi na chwilę rękę, a wskażę panu nerw, o którym przed chwilą mówiłem – ciągnął doktor lodowatym tonem, nie okazując nawet cienia zdenerwowania, choć przecież za chwilę miał popełnić morderstwo z zimną krwią. – Chciałbym, aby lepiej zrozumiał pan, o czym mowa...

Bez chwili wahania, gdyż pora na działanie jeszcze nie nadeszła, wychylił się ciężko do przodu i niezdarnym ruchem położył wyciągniętą

rękę na blacie stołu. Hensig ujął jego palce w swoje i odwrócił jego dłoń wnętrzem do góry. Drugą ręką przyłożył koniec ołówka do jego przegubu i zaczął przesuwając ołówek w stronę stawu łokciowego, podwijając przy tym rękaw koszuli reportera. Jego dotyk był jak dotknięcie śmierci. Williams wiedział, że ostry metalowy szpic sterczący z drugiego końca ołówka był pokryty jakąś substancją zawierającą bakterie należące do wyjątkowo zjadliwego szczepu. Zdawał sobie również sprawę, że w ciągu następnych kilku sekund lekarz w końcu obróci ołówek w palcach i niby to *przypadkiem* zadraśnie go szpilką, rozdrapując skórę na przegubie aż do krwi, a tym samym wprowadzi zabójcze bakterie do jego krwiobiegu.

Wiedział o tym, a mimo to zachowywał kamienny spokój. Był całkowicie opanowany. Bo wiedział też, że już za chwilę nadejdzie moment, na który czekał przez cały ten czas, przez tyle długich godzin, i był gotowy do działania.

Dodatkowym czynnikiem, który dostarczył mu kolejną porcję lęku, niezbędną, by osiągnął wyczekiwany stan, był dotyk. Dotknięcie dłoni Hensiga dopełniło dzieła, wydobywając ze wszystkich nerwów jego ciała maksimum doznań i przepełniając reportera dojmującą zgrozą, która osiągnęła granicę ludzkiej percepcji, a następnie ją przekroczyła.

W tej samej chwili Williams odzyskał nad sobą panowanie i na moment całkiem wytrzeźwiał. Zgroza utraciła swój paralizujący wpływ, doprowadzając go do punktu, w którym miejsce nadmiaru energii zajmuje kompletne otępienie, a mózg przestaje odbierać jakiegokolwiek bodźce. Strach umarł, a Williams uwolniwszy się od niego, był gotowy do działania i wykorzystania całego potencjału swej wewnętrznej mocy, która po tak długim okresie tłumienia była naprawdę potężna. Co więcej, nie mógł się pomylić, albowiem w chwili gdy działanie alkoholu osiągnęło w nim kulminację, umysł Williama przepełniło silne, białe światło, wskazując mu wyraźnie, co i jak miał zrobić. Był opanowany, pewny siebie, zdolny do wszystkiego. Podążał ślepo za tym wewnętrznym przewodnikiem, którego obecność wyczuwał instynktownie przez całą noc, i to, co zrobił, uczynił odruchowo, instynktownie, bez żadnego konkretnego, rozmyślnego planu.

Czekał, aż ołówek obróci się w placach Niemca tak, by błyszczący, ostry koniec szpilki znalazł się tuż nad jego żyłą. Gdy Hensig będzie całkowicie skupiony na popełnianej przez siebie zbrodni i przestanie zwracać uwagę na wszystko inne, on, Williams, będzie miał swoją szansę.

Wiedział, że w tej jednej, krótkiej chwili umysł Niemca będzie skoncentrowany tylko na jednym. Nie będzie dostrzegał niczego, co dzieje się wokół niego. Tym samym odkryje się i będzie podatny na potencjalny atak.

Tyle tylko, że wyczekiwana chwila potrwa najwyżej pięć sekund, a może nawet krócej!

Reporter uniósł wzrok i po raz pierwszy ze spokojem spojrzał swemu przeciwnikowi w oczy, aż cała sala wokół niego rozmyła się i jedyne, co teraz widział, to biała skóra twarzy Niemca, emanująca swoim własnym, wewnętrznym blaskiem. Równocześnie poczuł całą niepohamowaną falę jadu, nienawiści i żądzy zemsty, którą tamten wylał na niego, siedząc po drugiej stronie stołu. Williams pochwyił te emocje, zatrzymał je przez moment, po czym przesłał z powrotem do umysłu Hensiga, z całą ich pierwotną mocą spotęgowaną jeszcze jego własną, wygenerowaną wewnętrzną siłą.

Hensig poczuł to i zawahał się przez chwilę, nagła zmiana zachowania jego ofiary kompletnie zbiła go z tropu. Równocześnie, wykorzystując moment dezorientacji, jaką zapewnił mu postawny osobnik w kącie sali – który obudził się, ziewając głośno i spróbował wstać – powoli obrócił ołówek w palcach, tak że czubek szpilki skierowany był teraz w unieruchomioną przez niego rękę Williamsa. Zaspany kelner pomagał pijanemu osiłkowi dotrzeć do drzwi – nieoczekiwany obrót wydarzeń sprzyjał wyraźnie Hensigowi.

Williams wiedział jednak, co robi. Nawet nie zadrzał. – Kiedy ta szpilka mnie zadraśnie – rzekł niewzruszonym, mocnym głosem – będę już, praktycznie rzecz biorąc, trupem. Ta szpilka oznacza... śmierć.

Niemiec nie był w stanie ukryć swego zdziwienia, jakie ogarnęło go, kiedy usłyszał tę nagłą zmianę w głosie reportera. Najwyraźniej jednak chciał możliwie jak najdłużej napawać się swoją słodką zemstą. Po chwili wahania odezwał się delikatnym, poufnym szeptem: – Śmiem twierdzić, że chciał pan mnie posłać na krzeszło elektryczne, i terasz pana za to ukarzę.

Jego palce poruszyły się, a czubek szpilki zniżył się jeszcze bardziej. Williams poczuł delikatny jak tchnienie wiatru dotyk ostrza na skórze, a może tylko mu się wydawało. Niemiec ponownie pochylił głowę, aby nakierować czubek szpilki we właściwe miejsce. Jednakże wyraz skupienia

na twarzy Hensiga był dla Williamsa sygnałem do działania. Czekał na tę chwilę od dawna. I oto właśnie nadeszła.

– Alkohol zabije te twoje bakterie! – rzucił gromkim głosem, po czym zaczął się śmiać, wprawiając Niemca w kompletną dezorientację. Doktor uniósł wzrok i spojrzał na reportera ze zdziwieniem. W tej samej chwili ręka, która dotąd spoczywała miękko i bezwładnie w jego dłoni, wykonała błyskawiczny, zdecydowany ruch, zmieniając ich ułożenie. Williams zamknął nadgarstek jego dłoni, tej samej, w której doktor trzymał zabójczy ołówek, w żelaznym uścisku. Drugą ręką zaś, zaciśniętą w pięść, wyrzucił Niemca prosto w twarz z taką siłą, że roztrzaskał mu okulary, a impet ciosu pchnął wyjącego z bólu Hensiga na ścianę.

Wtem w sali zapanowało gwałtowne zamieszanie, krótka szamotanina przerodziła się w desperacką walkę, stoliki przewracały się z trzaskiem, krzesła latały w powietrzu i nagle Williams, odwróciwszy się, ujrzał, że postać z tyłu za nim trzyma w wyciągniętej ręce srebrzysty przedmiot, wymierzony w krwawiącą głowę Hensiga. Kolejne spojrzenie uświadomiło reporterowi, że przedmiotem tym był pistolet, a mężczyzną celującym w doktora był nie kto inny, jak postawny pijaczyna, który, zdawałoby się, przespał cały wieczór w kącie sali. Williams nieoczekiwanie rozpoznał w osiłku partnera Dowlinga, detektywa z komendy głównej.

Reporter cofnął się o dwa kroki, znów zakręciło mu się w głowie. Kolana miał miękkie jak z waty.

– Obserwowałem tę twoją gierkę przez cały wieczór – rzekł policjant, zatraskując kajdanki na przegubach nie stawiającego oporu Niemca. – Mieliśmy cię na oku już od paru tygodni, śledziliśmy cię przez cały czas, mogłem cię już zgarnąć, gdy wychodziłeś z kościoła na Brooklynie, ale szczerze mówiąc, chciałem zobaczyć, co właściwie kombinujesz. Jesteś poszukiwany w Berlinie za kilka poważnych przestępstw, ale my otrzymaliśmy informacje na ten temat i nakaz twojego aresztowania dopiero wczoraj wieczorem. No, rusz się. Idziemy.

– Nie możesz mi nicz zrobić! – odparł Hensig ze spokojem, wycierając zakrwawioną twarz rękami. – Zobacz, szkaleczyłem szę!

Detektyw nie zwrócił uwagi na jego słowa, nie zrozumiał ich sensu, ale Williams dostrzegł spojrzenie Niemca i podążywszy za nim, zobaczył lekko krwawiące zadrapanie na jego nadgarstku. Zdał sobie sprawę, że podczas

szamotaniny szpilka przez przypadek znalazła sobie inny cel niż ten, dla którego była przeznaczona.

Nie pamiętał nic więcej, gdyż w tej samej chwili wystąpiła u niego spóźniona reakcja na wypity alkohol i stres. Napięcie skumulowane przez całą tę upiorną noc sprawiło, że ciało Williamsa w mgnieniu oka zwiotczało, a otchłań alkoholowego upojenia, teraz, gdy było już po wszystkim, pochłoneła go jak malstróm i osunął się na podłogę, nieprzytomny.

Choroba, na którą zapadł, była tylko lekkim załamaniem nerwowym i uporał się z nią w ciągu paru tygodni, by powrócić do pracy w redakcji. Natychmiast zasięgnął języka tu i tam i dowiedział się, że aresztowanie Hensiga przeszło w prasie niemal bez echa. Nie było w tym nic fascynującego, a Nowy Jork pasjonował się tymczasem nowymi koszmarami.

Dowling jednak, ten niewzruszony Irlandczyk, upatrujący we wszystkim możliwości potencjalnego awansu, miał w tej sprawie to i owo do powiedzenia.

– Nic z tego, Angol – rzekł ze smutkiem. – Nic z tego. Mogłaby z tego być niezła historia, ale nie trafiła na łamy gazet. Ten przeklęty Niemiec, Schmidt, alias Brunner, alias Hensig zmarł w więziennym szpitalu, zanim zdążyliśmy przedstawić mu kolejne zarzuty i ponownie przesłuchać...

– Na co umarł? – przerwał mu pospiesznie reporter.

– Chyba nazywają to czarnym tyfusem. Choroba postępowała w piorunującym tempie, facet wyzionął ducha w niecałe cztery dni. Lekarz powiedział, że nigdy jeszcze nie spotkał się z podobnym przypadkiem.

– Cieszę się, że już go nie ma – zauważył Williams.

– W sumie ja też – mruknął z pewnym wahaniem Dowling – choć zapowiadała się naprawdę grubsza sprawa i szkoda, że nie zaczekał jeszcze kilka dni, abym mógł z niej uszczknąć coś dla siebie.

Bibliografia powieści i zbiorów opowiadań pojedynczych opowiadań

Powieści

Jimbo: A Fantasy (1909) London: Macmillan, s. 258

Pragnienia i sny dziecka w komie, które musi nauczyć się latać, aby uciec ze starego domu, gdzie jest uwięzione. Wyraźna alegoria idei o duchu, który szuka ucieczki z więzienia ciała. „*Jimbo* to jedno z najlepszych Blackwoodowskich studiów szczególnych lęków i zachwyków dzieciństwa.” (E. F. Bleiler, *The Guide to Supernatural Fiction*)

The Education of Uncle Paul (1909) London: Macmillan, s. 348 1909 US, Paget – wersja skrócona Uncle Paul #1

Powieść dla dorosłych o dzieciach; kraina utraconego dzieciństwa na krawędzi pomiędzy teraźniejszością i przyszłością.

The Human Chord (1910) London: Macmillan, s. 326

Bohater angażuje się we współpracę z adeptem, który opanował tajemne moce dźwięku i do zawezwania boskiej istoty brakuje mu jednej struny – ale czy taka potęga może ogóle znaleźć się w dyspozycji człowieka? Metafizyczna alegoria i jedna z lepszych powieści Blackwooda, nastrojowa i dobrze napisana.

The Centaur (1911) London: Macmillan, s. 347

Metafizyczna fantazja, której dwóch bohaterów poznaje enigmatycznego Urmenscha. Bliskie pokrewieństwo duchowe pomiędzy jednym z nich, sensytywem, i duchem Matki Ziemi (Dusza Świata), kulminuje się objawieniem rajskiego ogrodu. Jedna z najlepszych powieści Blackwooda.

A Prisoner in Fairyland (The Book That 'Uncle Paul' Wrote) (1913) London:

Macmillan, s. 506 Uncle Paul #2

The Eztra Day (1915) London: Macmillan, s. 358

Julius LeVallon: An Episode (1916) London: Cassell, s. 332 Julius LeVallon #1

Powieść ukazuje walkę ludzi z Naturą i próbę ujarznienia elementała powietrza za pomocą arkanów wiedzy tajemnej; reinkarnacja; poczęcie dziecka przy udziale praktyk okultystycznych. Eksperyment wymyka się spod kontroli, ale są też pozytywne konsekwencje. Kontynuacja ma oryginalniejszy pomysł, ale jest bardziej esejem niż powieścią.

The Wave: An Egyptian Aftermath (1916) London: Macmillan, s. 435 Romantyczna fantazja o współczesnym trójkącie miłosnym w kontekście reinkarnacji starożytnego Egipcjanina, „...powieść jest wyjątkowo nudna. Zdecydowanie najśłabsza w dorobku Blackwooda.” (E. F. Bleiler, *The Guide to Supernatural Fiction*)

The Promise of Air (1918) London: Macmillan, s. 275

Metafizyczna alegoria. Bohater i jego duchowa towarzyszka doświadczają na sobie wpływu powietrznego elementała, który czyni oboje podobnymi ptakom. Macierzyństwo osłabia duchowe moce kobiety, ale te dziedziczy w pełni jej córka.

The Garden of Survival (1918) London: Macmillan, s. 168 Krótka powieść napisana po śmierci brata; bohatera nawiedza obecność zmarłej żony.

The Bright Messenger (1921) London: Cassell, s. 349 Julius LeVallon #2

Filozoficzno-okultystyczna koncepcja ewolucji ludzkiego ducha – próba uwolnienia ducha Natury uwięzionego w ciele bohatera, które ma doprowadzić do odnowienia utraconej harmonii z Naturą i stworzenia nadczłowieka.

Dudley & Gilderoy: A Nonsense (1929) London: Ernest Benn, s. 281
Filozoficzna opowieść o przyjaźni i przygodach papugi i kota; krytyczne spojrzenie na Wielką Brytanię lat 20.

The Fruit-Stoners, Being the Adventures of Maria among the Fruit-Stoners (1929) London: Grayson & Grayson, s. 287
Młodziutka Maria trafia do złowieszczonego Wielkiego Domu z innego świata, w którym ma odnaleźć skarb i umykać przed Człowiekiem Nakręcającym Zegary; cel pomagają jej osiągnąć tytułowe elementale. Powieść o utracie niewinności dzieciństwa.

Zbiory opowiadań/pojedyncze opowiadania

* *The Empty House and Other Ghost Stories* (1906, 10) London: Eveleigh Nash, s. 316

* The Empty House

* A Haunted Island *Pall Mail Magazine* kwiecień 1899

* A Case of Eavesdropping *Pall Mail Magazine* grudzień 1900

* Keeping His Promise

* With Intent to Steal

* The Wood of the Dead

* Smith: An Episode in a Lodging House

* A Suspicious Gift

* The Strange Adventures of a Private Secretary in New York

* Skeleton Lake: An Episode in Camp - *The Listener and Other Stories* (1907, 9) London: Eveleigh Nash, s. 350

* Dance of Death

* Insanity of Jones

* The Listener pierwodruk wt „Mystery and Imagination”

* Max Hensig - Bacteriologist and Murderer

* May Day Eve

* Miss Slumbubble – and Claustrophobia

* Old Man of Visions

* The Willows

* The Woman’s Ghost Story - *John Silence, Physician Extraordinary* (1908, 5; rozsz.

* *The Complete John Silence Stories* 1997 US, 6, wstęp S. T. Joshi
London: Eveleigh Nash, s. 390; New York: Dover, s. 246

- * A Psychological Invasion
- * Ancient Sorceries
- * The Nemesis of Fire
- * Secret Worship
- * The Camp of the Dog
- * A Victim of Higher Space *The Occult Review* grudzień 1914
- * *The Lost Valley and Other Stories* (1910, 10) London: Eveleigh Nash, s. 328
- * Canton's Drive
- * Eccentricity of Simon Parnacute
- * The Lost Valley
- * The Man From the 'Gods'.
- * The Man Who Played Upon the Leaf
- * Old Clothes
- * Perspective
- * Price of Wiggin's Orgy
- * Terror of the Twins *The Westminster Gazette* 6.XI.1909
- * The Wendigo *Pan's Garden, A Yolume of Naturę Stories* (1912, 15) London: Macmillan, s. 530
- * The Man Whom the Trees Loved *The London Magazine* marzec 1912
- * The South Wind *The Westminster Gazette* 29.1.1910 pt. „The Messenger at Midnight”
- * The Sea Fit
- * The Attic *The Westminster Gazette* [20.IV.1912](#)
- * The Heath Fire
- * The Messenger
- * The Glamour of the Snów *The Pall Mail Magazine* grudzień 1911
- * The Return
- * Sand
- * The Transfer *Country Life* 9.XII.1911
- * Clairvoyance
- * The Golden Fly
- * Special Delivery
- * The Destruction of Smith *The Eye–Witness* 29.11.1912
- * The Temptation of Clay

- * *Ten Minute Stories* (1914, 29) London: John Murray, s. 271
- * Accessory Before the Fact *The Westminster Gazette* 2.IX. 1911
- * Ancient Lights *The Eye–Witness* [11.VII.1912](#)

- * Deferred Appointment
- * Dream Trespass
- * Entrance and Exit
- * Faith Cure on the Channel
- * Goblin Collection
- * Her Birthday
- * House of the Past
- * If the Cap Fits
- * Imagination
- * The Impulse
- * The Invitation
- * Jimbo’s Longest Day
- * The Lease *Let Notthe Sun...
- * News vs. Nourishment
- * Pines
- * The Prayer
- * Second Generation
- * The Secret
- * Strange Disappearance of a Baronet
- * Two in One
- * Up and Down
- * Violence
- * The Whisperers *The Eye–Witness* 23.V. 1912 *Wind
- * Winter Alps
- * You May Telephone From Here
- * *Incredible Aduentures* (1914, 5) London: Macmillan, s. 366
- * The Damned
- * Descent Into Egypt
- * Regeneration of Lord Ernie
- * The Sacrifice
- * Wayfarers *Day and Night Stones* (1917, 15) London: Cassell, s. 332
- * BitofWood
- * By Water *The Westminster Gazette* [18.IV.1914](#)

- * Cain's Atonement
- * Desert Episode
- * Egyptian Hornet *Reedy's Mirror* marzec 1915
- * H.S.H.
- * Initiation
- * Occupant of the Room *Nashs* grudzień 1909
- * Other Wing *McBride's* listopad 1915
- * The Touch of Pan
- * The Tradition
- * Transition *The New Witness* [11.XII.1913](#)

pt. „Mudbury's Xmas Adventure”

- * The Tryst
- * Victim of Higher Space
- * Wings of Horus
- * *The Wolves of God* (1921, 15, z/Wilfrid Wilson) London: Cassell, s.

328

- * *Wolves of God*
- * Chinese Magic
- * Running Wolf *The Century* sierpień 1920
- * First Hate
- * Tam of Sacrifice
- * The Valley of the Beasts *Romance Magazine* marzec 1921
- * The Cali
- * Egyptian Sorcery
- * The Decoy
- * The Man Who Found Out *Canadian Magazine* grudzień 1912
- * The Empty Sleeve *The London Magazine* styczeń 1911
- * Wireless Confusion
- * Confession *The Century* marzec 1921
- * The Lane That Ran East and West
- * „Vengeance Is Mine” - pierwodruk
- * *Tongues of Fire and Other Sketches* (1924, 21, wt *Tongues of Fire and Other Stories* 1925 US) London: Herbert Jenkins, s. 311; N.Y.: E.P. Dutton
- * Alexander Alexander
- * Continuous Performance

- * Falling Glass
- * Laughter of Courage
- * Little Beggar *The Saturday Westminster Gazette* 10.V. 1919
- * Lost!
- * Malahide and Forden
- * Man of Earth
- * Man Who Was Milligan
- * Nephele
- * The Olive
- * Open Window
- * Other Woman
- * Petershin and Mr. Snide
- * Picking FirCones
- * Pikestaffe Case
- * Playing Catch
- * S.O.S. *SpellofEgypt
- * Tongues of Fire
- * World–Dream of McCaUister
- * *Fuli Circle* (1929, 1) London: Elkin Mathews & Marrot, s. 23
- * *Shocks* (1935, 15) London: Grayson & Grayson, s. 300
- * Adventure of Tornado Smith
- * Adventure of Miss De Fontenay
- * Chemical
- * Colonel's Ring
- * Dr. Feldman
- * Elsewhere and Otherwise
- * Fuli Circle
- * Hands of Death
- * Land of Green Ginger
- * The Man Who Lived Backwards
- * Revenge
- * Shocks
- * The Stranger *Fortnightly Review* czerwiec 1927
- * The Survivors
- * *Threefold Cord The Doli, and One Other* (1946 US, 2) Sauk City: Arkham House, s. 138
- * The Doli pierwodruk

- * The Trod
- * *The Magic Mirror: Lost Tales and Mysteries* (1989, wybór i wstęp Mike Ashley) Wellingborough: Equation, s. 235 (Equation Chillers)
- * A Mysterious House *Belgravia* lipiec 1889
- * The Kit-Bag *Pall Mail Magazine* grudzień 1908
- * The Laying of a Red-Haired Ghost *The Lady's Realm* wrzesień 1909
- * The Message of the Clock *Nash's* czerwiec 1910
- * The Singular Death of Morton *The Tramp* grudzień 1910
- * La Mauvais Riche *The Westminster Gazette* [30.XI.12](#)

- * The Soldier's Visitor *Land and Water* 9.X.1915
- * The Memory of Beauty *Land and Water* 3.1.1918
- * Onanonanon *English Review* marzec 1921
- * The First Flight [ft z: *Jimbo*] London: Macmillan, 1909
- * The Vision of the Winds [ft z: *The Education of Uncle Paul*] London: Macmillan, 1909
- * The Cali of the Urwelt [ft z: *The Centaur*] London: Macmillan, 1911
- * The Summoning [ft z: *Julius LeVallon*] London: Cassell, 1916
- * The Blackmailers *My Grimmiest Nightmare*, ed. Cecil Madden, London: George Allen, 1935; opowieść radiowa nadana przez BBC 11 lipca 1934
- * The Wig opowieść radiowa nadana przez BBC 18 października 1935
- * King's Evidence [I wersja pt. „Confession”, *Century Magazine* marzec 1921]
London Calling 9.1.1941; opowieść radiowa nadana przez BBC 27 czerwca 1936
- * Lock Your Door opowieść radiowa nadana przez BBC 6 maja 1946
- * Five Strange Stories
 1. The Texas Farm Disappearance nadane przez BBC w październiku 1946 *The Listener* 13.V.1948
 2. The Holy Man nadane przez BBC pt. „Yogi” 28 sierpnia 1934 jako część *Queer Stories* (wcześniejsza wersja) *The Listener* 12.IX. 1934
 3. Pistol Against a Ghost nadane przez BBC pt. „Blank Cartridges” 28 sierpnia 1934 jako część *Queer Stories* (wcześniejsza wersja) *The Listener* [12.IX.1934](#)
 4. Japanese Literary Cocktail nadane przez BBC 13 maja 1948

5. The Curate and the Stockbroker nadane przez BBC 11 października 1935

* At a Mayfair Luncheon *The Windsor Magazine* marzec 1936

* The Man-Eater *Thrilling Mystery* marzec 1937

* By Proxy *The Bystander* [17.XI.37](#)

* The Voice *The Bystander* [29.XII.1937](#)

pt. „The Reformation of St. Jules”

* The Magic Mirror *The Bystander* 16.11.1938; *Weird Tales* wrzesień 1938

* Roman Remains *Weird Tales* marzec 1948

* Wishful Thinking

Oprac. Marek S. Nowowiejski